

PREQUEL BESTSELLEROWEJ SERII O ENDERZE

Orson Scott Card

Aaron Johnston

W PRZEDEDNIU

Przełożył: J. Błażewski

Card Orson Scott, Johnston Aaron

Pierwsza wojna z Formidami 01

W przededniu

Sto lat przed wydarzeniami opisanymi w „Grze Endera” ludzie sądzili, że są sami w Galaktyce. Ludzkość powoli torowała sobie drogę z Ziemi do planet i asteroid Układu Słonecznego, prowadząc prace badawcze, pozyskując minerały i zakładając kolonie.

Statek górniczy El Cavador znajduje się z dala od Ziemi, w głębi pasa Kuipera, za Plutonem. Tak daleko od macierzystej planety mało jest innych statków górniczych oraz mieszkających na nich rodzin i są one rozproszone. Kiedy więc teleskopy El Cavadora wykrywają w granicach układu szybko poruszający się obiekt, nie wiadomo, co o nim sądzić. Jest olbrzymi i porusza się niemal z prędkością światła.

Lecz statek górniczy ma też inne problemy. Jest stary, jego układy się psują. Rodzina staje się zbyt duża. Niektóre korporacje przynoszą do pasa Kuipera stosowaną w pasie asteroid taktykę zajmowania szybów. Przejmowanie się odległym obiektem, który może, ale nie musi być statkiem obcych, wydaje się... nieważne.

Ci, którzy tak myślą, mylą się. To najważniejsze wydarzenie, z jakim zetknęła się rasa ludzka na przestrzeni miliona lat. To pierwszy kontakt ludzkości z obcą rasą. W powietrzu wisi pierwsza wojna z Formidami.



Rozdział 1

Victor

Victor nie udał się do służby i nie patrzył, jak Alejandra na zawsze opuszcza rodzinę, by poprzez małżeństwo wejść do włoskiego klanu. Bał się, że nie będzie umiał pożegnać się z przyjaciółką bez ujawniania, jak blisko był zhańbienia rodziny przez zakochanie się w kimś z własnego statku górniczego.

Włosi mieli cztery statki i ten główny, olbrzymia koparka „Vesuvio”, od tygodnia cumował do „El Cavadora”, a rodziny wymieniały się towarami i informacjami. Victor polubił Włochów. Mężczyźni śpiewali, kobiety często się śmiały, a takiego jedzenia - kolorowych przypraw, gładkich sosów i makaronu o dziwnych kształtach - nie jadł nigdy przedtem. Wynalazek Victora, urządzenie wspomagające instalację HVAC, które mogło podnieść temperaturę centralnego ogrzewania na statkach Włochów aż o jedenaście stopni, natychmiast zdobył ich uznanie.

- Teraz wszyscy będziemy chodzić w jednym swetrze zamiast w trzech! - powiedział jeden z włoskich górników, wywołując huragan śmiechu i grzmiące oklaski.

Włosi tak sobie cenili urządzenie Victora, że przyniosło ono jego rodzinie więcej towarów i prestiżu niż cokolwiek innego z całej oferty. Kiedy więc Concepción wezwała go na rozmowę tuż przed odcumowaniem Włochów, chłopak założył, że kapitan zamierza go pochwalić.

- Zamknij drzwi - powiedziała.

Wykonał polecenie.

Biuro kapitan stanowiło niewielkie pomieszczenie sąsiadujące z mostkiem. Concepción rzadko się w nim zamykała; wołała przebywać z załogą, której dorównywała lub którą nawet przewyższała ilością codziennie wykonywanej pracy. Niedawno przekroczyła siedemdziesiątkę, lecz miała energię i siłę charakteru osoby o połowę młodszej.

- Alejandra odlatuje z Włochami, Victorze. Zamrugął, przekonany, że się przesłyszał.

- Za dziesięć minut przejdzie przez służbę. Zastanawialiśmy się, czy rozsądnie byłoby powiedzieć ci o tym wcześniej i pozwolić, żebyście się pożegnali, bo pomyśleliśmy, że może byłoby ci łatwiej dowiedzieć się o tym później. Ale chyba nigdy nie umiałabym sobie tego wybaczyć, a i ty nie wybaczyłbyś tego mnie.

Pierwszą myślą Victora było, że Concepción mu to mówi, ponieważ Alejandra, którą nazywał zdrobniałym imieniem Janda, jest jego najdroższą przyjaciółką. Byli ze sobą blisko. To oczywiste, że będzie zdruzgotany jej odlotem. Lecz pół sekundy później zrozumiał, co tak naprawdę się dzieje. Janda miała szesnaście lat, o dwa lata za mało, żeby wyjść za męża. Włosi nie mogli jej egzogamić. To rodzina ją odsyłała. A kapitan statku mówiła o tym Victorowi prywatnie na kilka minut przed faktem. Oskarżali go. Odsyłali ją z jego powodu.

- Ale my nie zrobiliśmy nic złego - powiedział chłopak.

- Jesteście kuzynami w drugiej linii, Victorze. Gdybyśmy nagle zyskali opinię endogów, nie moglibyśmy prowadzić handlu z innymi rodzinami.

Endogi, od endogamii, czyli zawierania małżeństw wewnątrz klanu, kojarzenia krewniaczego. To słowo było jak policzek.

- Endogów? Ale ja w życiu nie ożeniłbym się z Alejandrą. Jak możesz choćby sugerować, że moglibyśmy zrobić coś takiego?

Sama myśl o tym była plugawa; wśród lepszych rodzin stanowiło to przekroczenie tabu kazirodztwa.

- Z Alejandrą przyjaźnisz się od czasów żłobka - stwierdziła Concepción. - Jesteście nierozłączni. Obserwowałam was. Wszyscy was obserwowaliśmy. W dużych zgromadzeniach zawsze się szukacie. Ciągłe ze sobą rozmawiacie. Czasami nawet nie musicie nic mówić. Zupełnie jakbyście dokładnie wiedzieli, co myśli

drugie, i żeby się porozumieć, wystarczy wam tylko wymienić przelotne spojrzenie.

- Jest moją przyjaciółką. Chcecie ją wygnać, bo dobrze się ze sobą porozumiewamy?

- Wasza przyjaźń nie jest wyjątkowa. Wiem o kilkunastu takich przyjaźniach na tym statku. Wszystkie łączą męża i żonę.

- Odsyłacie Alejandrę z powodu naszego romansu. Tyle że on nie istnieje.

- To niewinny związek, Victorze. Wszyscy o tym wiedzą.

- Wszyscy? To znaczy kto dokładnie? Odbyło się w naszej sprawie spotkanie całej rodziny?

- Tylko Rada. Nie podjęłabym takiej decyzji samodzielnie. Słaba pociecha. Rada składała się ze wszystkich dorosłych po czterdziestce.

- A więc moi rodzice się na to zgadzają?

- I rodzice Alejandry też. To była trudna decyzja dla nas wszystkich, ale została podjęta jednogłośnie.

Victor wyobraził sobie tę scenę: wszyscy dorośli w jednym pomieszczeniu, ciotki, wujowie i dziadkowie, ludzie, których zna, kocha i szanuje, ludzi, których zdanie ceni, którzy zawsze patrzyli na niego z czułością i na których szacunek zawsze miał nadzieję zasługiwać. Wszyscy usiedli razem i dyskutowali o nim i o Jandzie, omawiali życie seksualne, którego Victor nawet nie miał! To obrzydliwe. Matka i ojciec też tam byli. Jakie to musiało być dla nich krępujące. Jak Victor mógł teraz stanąć przed nimi? Nigdy już nie będą mogli na niego patrzeć, nie myśląc o tym zebraniu, nie pamiętając o tym oskarżeniu i o wstydzie.

- Nikt nie sugeruje, że robiliście coś niewłaściwego, Victorze. Ale dlatego podejmujemy działanie teraz, zanim wasze uczucia rozkwitną jeszcze bardziej, a wy uświadomicie sobie, że jesteście w sobie zakochani.

Kolejny policzek.

- Zakochani?

- Wiem, że to trudne, Victorze.

Trudne? Nie, raczej niesprawiedliwe. I bezpodstawne. Nie mówiąc już o upokorzeniu. Odsyłają jego najbliższą przyjaciółkę, może jego jedyną prawdziwą przyjaciółkę, tylko na podstawie przypuszczeń, że do czegoś między nimi dojdzie? Jakby on

i Janda byli zwierzętami w rui, ulegającymi nieokiełznanym impulsom cielesnym. Czy tak trudno wyobrazić sobie, że nastolatek i nastolatka mogą się po prostu przyjaźnić? Czy dorośli założyli, że każdy związek siedemnastolatka i szesnastolatki musi się opierać na seksie? To irytujące i obraźliwe. On tu zupełnie jak dorosły przyczynia się do sukcesu wymiany z Włochami, generując największą część dochodu rodziny, a oni nie uznali go za dość dojrzałego, by zachowywał się właściwie wobec kuzynki w drugiej linii. Janda nie jest zakochana w nim ani on w Jandzie. Dlaczego ktokolwiek miałby sądzić inaczej? Czy któryś z członków Rady zobaczył coś, co zaszło między nimi, i zrozumiał to opacznie jako oznakę miłości?

I wtedy Victor sobie przypomniał. Kiedyś Janda spojrzała na niego jakoś dziwnie, a on to zlekceważył jako przywidzenie. I raz dotykała jego ręki odrobinę dłużej niż zwykle. Nie było w tym nic seksualnego, ale spodobał mu się ten fizyczny kontakt. Nie odrzuciło go wtedy. Był zadowolony.

Uświadomił sobie, że dorośli mają rację.

Dostrzegli to, czego sam nie widział. Naprawdę był o włos od zakochania się w Jandzie. A ona zakochała się w nim.

Nagle ogarnęło go wszystko naraz: złość, że go oskarżają; wstyd, że wszyscy starsi dorośli na statku rozmawiali o nim za jego plecami, przekonani, że jest na drodze do haniebnego zachowania; obrzydzenie do siebie samego, że może mają rację; żal, że traci kogoś najważniejszego dla siebie. Dlaczego Con-cepción nie mogła po prostu powiedzieć mu wcześniej o swoich podejrzeniach? Dlaczego razem z Radą nie mogła powiedzieć: „Victorze, musisz się pilnować. Chyba się trochę zbliżacie do siebie z Alejandrą”. Nie musieli jej odsyłać. Nie wiedzą, że oboje są na tyle dojrzały, by zachowywać się odpowiednio, gdyby rodzina powiedziała im o swoich obawach? Przecież byliby posłuszni. Przecież i on, i Janda chcą się trzymać zasad egzogamii. Victor nigdy nie chciałby zrobić niczego, co zhańbiłoby ją albo rodzinę. Nawet nie zdawali sobie z Jandą sprawy, że ich związek może zmierzać w niebezpiecznym kierunku. Ale skoro już o tym wiedzą, będą postępować inaczej.

Lecz protestując, przedstawiając argumenty, tylko wyszedłby na dzieciaka. A poza tym robiłby to po to, by zachować Jandę

przy sobie. Czyż nie byłoby to dowodem, że rodzina ma rację? Nie, Alejandrą musi odejść. To okrutne, owszem, lecz nie tak okrutne jak trzymanie jej tu przy nim. To byłaby tortura. Skoro ich miłość - lub też preludium miłości czy cokolwiek to jest - została im tak jaskrawo wykazana, to widząc się, jak mogliby myśleć o czymś innym? A widywaliby się. Cały czas, codziennie. Przy posiłkach, mijając się w korytarzu, podczas ćwiczeń. To byłoby nieuniknione. A z poczucia obowiązku odnosiliby się do siebie chłodno i z dystansem. Przesadzaliby z tym. Powstrzymywaliby się od spojrzeń, rozmów, dotyku. I kiedy tak na próżno usiłowałiby unikać się nawzajem, myśleliby o konieczności unikania się. Zająłoby nawzajem swoje myśli jeszcze bardziej niż przedtem. To byłoby okropne.

Alejandrą też by to zrozumiała. Będzie zdruzgotana koniecznością opuszczenia rodziny, ale, podobnie jak Victor, dostrzeże mądrość tego posunięcia. Był to jeden z wielu powodów, dla których tak bardzo ją szanował. Janda zawsze umiała dostrzec szerszy obraz. Jeśli trzeba było podjąć decyzję, rozważała wszystkie jej konsekwencje: na kogo, kiedy i jak długo będzie miała wpływ? A jeśli decyzja jej dotyczyła, zawsze zastanawiała się nad nią obiektywnie, niemal z naukowego punktu widzenia, nie dopuszczając, by kierowały nią emocje, zawsze stawiając potrzeby rodziny nad swoimi. Teraz Victor uświadomił sobie, że to, co czuje do Jandy, to może nie szacunek. To coś innego. Coś potężniejszego.

Spojrzał na Concepción.

- Zaproponowałbym, żebym to ja odleciał z Włochami zamiast Alejandry, ale to na nic. Włosi zastanawialiby się, dlaczego oddajemy najlepszego mechanika.

Zdawał sobie sprawę, że w słowach tych pobrzmiwa próżność, ale oboje wiedzieli, że są prawdziwe. Kapitan nie spierała się z nim.

- Alejandrą jest bystra, utalentowana i pracowita, ale jeszcze nie wybrała sobie specjalności. Mogą ją przystosować do swoich potrzeb. Ty natomiast masz już specjalność. Co mieliby zrobić ze swoim mechanikiem? Natychmiast postawiłoby to was w sytuacji współzawodnictwa. Nie, nie przyjęliby takiej propozycji, a my nie poradzilibyśmy sobie bez ciebie. Ale ładnie, że wziąłeś to pod uwagę, choć nie miało to sensu.

Victor skinął głową. Teraz pozostawało już tylko wyjaśnić kilka kwestii.

- Alejandra ma dopiero szesnaście lat, o dwa lata za mało, by wyjść za mąż. Zakładam, że Włosi zgadzają się poczekać na odpowiednią porę, by formalnie przedstawić ją ewentualnym konkurentom ze swojej rodziny. Rozumieją, że żadną miarą nie mogą jej egzogamić teraz.

- Nasza umowa z Włochami jest bardzo jasna. Alejandra będzie spać u rodziny z córką w jej wieku i bez żadnych synów. Spotkałam się z tą córką, okazała się nadzwyczaj miła i sympatyczna. Sądzę, że się zaprzyjaźni z Alejandrą. I owszem, Włosi rozumieją, że Alejandrę będą mogli uznać za kandydatkę do małżeństwa dopiero wtedy, kiedy osiągnie pełnoletność. A wtedy nie wolno im zmuszać jej do zawarcia związku czy dokonania wyboru. Będzie działać we własnym tempie. Decyzję, kogo i kiedy poślubi, podejmie całkowicie samodzielnie. A znając ją, podejrzewam, że będzie mogła przebierać wśród kawalerów.

Oczywiście, że będzie mogła przebierać, pomyślał Victor. Każdy konkurent umiejący docenić urodę - i tę fizyczną, i każdą inną - natychmiast spostrzeże, że u boku Jandy czeka go szczęśliwe życie. Victor wiedział o tym od wielu lat. Każdy, kto spędziłby z Jandą pięć minut, wiedziałby, że pewnego dnia stanie się ona atrakcyjną panną młodą. Miała wszystko, co mężczyźni mieli nadzieję znaleźć u swej towarzyszki. Błyskotliwy umysł, łagodne usposobienie, niezłomne oddanie rodzinie. Aż do tej chwili Victor uważał, że jego ocena przyjaciółki opiera się na inteligentnej obserwacji. Teraz jednak dostrzegł ukryte w tej ocenie inne uczucie. Zazdrość. Zazdrość o szczęściarza, który ją zdobędzie. Tak naprawdę było to zabawne. Uczucia, które cały czas żywił do Alejandry, były jakby skrywane w złe oznaczonym folderze. Zawsze tam tkwiły. Po prostu dał im inną nazwę. Teraz prawda o nich wyszła na jaw. Długa przyjaźń przerodziła się powoli w coś innego. Nie rozwinęło się to w pełni i nie pociągnęło za sobą żadnego działania, lecz kierunek został wytyczony. Zupełnie jakby granica między przyjaźnią a miłością była tak cienka i niezauważalna, że można ją było przekroczyć bez świadomości, że w ogóle istnieje.

- Włosi nigdy nie mogą poznać prawdziwego powodu odejścia Alejandry - rzekł Victor. - Nie mogą się dowiedzieć, że

zmierzała ku niedopuszczalnemu związkowi. To by na zawsze splamiło jej dobre imię i odstręczyło potencjalnych konkurentów. Z pewnością wymyśliłaś jakiś powód. Rodziny nie odsyłają swoich szesnastoletnich córek tak po prostu.

- Włosi uważają, że Alejandra opuszcza rodzinę tak wcześnie, dlatego, żeby miała czas na przystosowanie się do życia z dala od niej i w ten sposób uniknęła tęsknoty dręczącej tak wiele egzogamionych młodych żon - odparła Concepción. - Takie emocje, chociaż są naturalne, mogą położyć się cieniem na młode małżeństwo. Wyjaśniliśmy Włochom, że chcemy tego uniknąć.

To była sprytna przykrywka. Victor widział objawy takiej tęsknoty za domem. Sooman, młoda Koreanka, która przybyła na „El Cavadora” kilka lat wcześniej, by wyjść za wuja Victora, Lonza, przez pierwsze tygodnie małżeństwa wypłakiwała oczy w swoim pokoju, załamana utratą rodziny. Przybyła dobrowolnie - żadne egzogamienie nie jest wymuszonym małżeństwem - lecz pojawiła się tęsknota za domem i ciągły szloch dziewczyny grał Victorowi na nerwach. Czuł się jak współsprawca porwania albo gwałtu. Ale co można było zrobić? Rozwód czy unieważnienie nie wchodziły w rachubę. Jej rodzina znajdowała się już w odległości kilku milionów klików. W końcu przyszła do siebie, ale całe to doświadczenie było trudne dla wszystkich.

- Jaką mamy pewność, że Włosi zastosują się do tych warunków? - zapytał Victor.

- Alejandra nie będzie sama. Razem z nią opuści nas Faron. To też było mądre posunięcie. Faron przybył do rodziny jako

nastolatek, kiedy załoga uratowała go wraz z matką z wraku statku górniczego, który ogołocili piraci, zostawiając na pewną śmierć. Matka nie przeżyła długo, a Faron, chociaż ciężko pracował i okazywał wdzięczność, nigdy nie stał się w pełni członkiem rodziny.

- Faron to dobry górnik, Victorze. Czekał na sposobność wstąpienia do większego klanu. Kiedyś chce pilotować własną koparkę. Tutaj tego nie osiągnie. To jego decyzja. Będzie czuwał nad Alejandrą nie jako opiekun, lecz obrońca i doradca. Jeśli jakiś konkurent spróbuje zbyt wcześnie zbliżyć się do Alejandry, Faron przypomni mu, gdzie jego miejsce.

Victor w to nie wątpił. Faron był rośli i silny. W razie potrzeby będzie bronił Alejandry jak własnej siostry, ale taka potrzeba

zapewne się nie pojawi. Włosi nie byli na tyle głupi, żeby narazić na szwank własną reputację. Egzogamienie to konieczność w celu mieszania puli genów. Wszystkie rodziny podtrzymywały tę praktykę jako świętą. Dobre małżeństwo oznaczało zachowanie rodziny i rozwój klanu. Owszem, byli pasiarze, którzy endogamili i zawierali małżeństwa tylko wewnątrz klanu, lecz uważano ich za najniższych z niskiej klasy, a oni sami separowali się od innych i rzadko znajdowali rodziny, które chciały z nimi handlować. Nie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Janda dostanie wszelkie luksusy i ochronę, na jakie będzie stać Włochów. Opieka Farona to tylko formalność.

- To idealna sytuacja - rzekła Concepción. - Wszyscy dobrze na tym wyjdą. A jeśli się pośpieszysz, złapiesz ją przy słuzie. Na pewno chciałaby się pożegnać.

Kapitan zaskoczyła tym Victora.

- Ale ja w żadnym wypadku nie mogę jej odprowadzić.

- Przecież jesteś osobą, z którą najbardziej chciałaby się pożegnać.

- I właśnie dlatego nie mogę iść. Będą tam Włosi. Mogą wychwycić jakąś oznakę szczególnych emocji, kiedy będziemy się żegnać. Nigdy nie zauważyliśmy z Alejandrą, że w ogóle przekazujemy sobie jakieś emocje, choć wyraźnie tak było, skoro uznaliście, że trzeba zwołać Radę. Moglibyśmy więc ujawnić coś, czego my nie widzimy, lecz widzą inni. A Włosi są bystrzy i podejrzliwi. Zanim uwierzyli, że moje urządzenie wspomagające instalację HVAC działa, kazali mi je rozmontować trzy razy. Nie, chociaż bardzo chciałbym się pożegnać z Alejandrą, tylko bym ją naraził na ryzyko. Włosi nie mogą podejrzewać, że między nami kiedykolwiek coś było. Jestem wdzięczny, że przyszedł do mnie zawczasu i ufasz mi na tyle, by dać mi tę sposobność, ale musisz zrozumieć, że z całym szacunkiem nie przyjmuję tej propozycji.

Concepción uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Twoje rozumowanie, Victorze, jest klarowne, chociaż wiem, jaki się za nim kryje ból. I ból, jaki twoja decyzja przyniesie Alejandrze. - Westchnęła, założyła ramiona na piersi i chwilę mu się przyglądała. - Nie rozczarowałeś mnie. Zawsze miałam nadzieję, że wyrośniesz na takiego mężczyznę. Teraz mam tylko

nadzieję, że wybaczysz nam to, co zrobiliśmy tobie i twojej serdecznej przyjaciółce.

- Nie ma czego wybaczać, Concepción. To mnie jest potrzebne wybaczenie. Przez mnie straciliśmy Alejandrę o dwa lata za wcześnie. Odebrałem ją rodzicom i rodzinie. Nie chciałem, lecz cóż, tak się stało.

Nie wypowiedział jednak innych powodów, dla których nie poszedł do służby. Przede wszystkim po prostu nie mógłby stanąć z Jandą twarzą w twarz. Nie dlatego, że się bardzo wstydził. Większą rolę odgrywała ostateczność tego zdarzenia. Nie mógłby na nią spojrzeć, wiedząc, że prawdopodobnie nie zobaczy jej już nigdy więcej. Nie mógłby tego znieść; nie dowierzał swoim emocjom. Mógłby zrobić coś głupiego, jak rozplakać się czy zacząć jąkać albo poczerwieniec jak światło nawigacyjne. A nie chciał, żeby ostatnim wspomnieniem Alejandry z ich przyjaźni była jego słabość. Nie chciał też zacisnąć szczęk, wyprostować ramion i pożegnać jej zimnym, poważnym uściskiem dłoni, czego spodziewałaby się Rada. To byłaby zniewaga dla ich przyjaźni. Sugerowałoby to - przynajmniej dla niego - że ich związek nic dla niego nie znaczył, że można go było zakończyć tak obojętnie, jakby rozchodziło się dwoje znajomych. Na to nie mógł się zgodzić. Nie mógł pozwolić, by ich ostatnia wspólnie spędzona chwila była ćwiczeniem z udawania i skrepowania.

Poza tym to, że nie odprowadzał Jandy, było najlepsze dla niej. Jeśli rzeczywiście go kocha, łatwiej go zapomni. Oddawał jej w ten sposób przysługę. Ale Janda знаła Victora. Mogłaby podejrzewać, że nie pojawił się właśnie z tego powodu, i plan przyniesie odwrotny skutek. Uczyniłby Victora jeszcze droższym jej, zamiast stłumić ich miłość.

Albo mogłaby wyciągnąć zupełnie niewłaściwy wniosek. Mogłaby pomyśleć, że nie przyszedł, bo wydaje mu się odrażająca. Mogłaby pomyśleć: Nienawidzi mnie. Gardzi mną. To ja patrzyłam na niego z miłością. To ja dotknęłam jego ręki. A skoro poznał moje uczucia, uważa mnie za plugawą i odpychającą.

Na tę myśl Victor o mały włos nie popędził do służby, żeby wytłumaczyć Jandzie, że nie, wcale nie...

Lecz niczego takiego nie zrobił. Pozostał na miejscu.

- Członkowie Rady zachowają w tej sprawie całkowitą dyskrecję - powiedziała Concepción. - Z naszych ust nie wymknie się nawet szmer plotki. Jeśli o nas chodzi, to wcale się w tej sprawie nie spotkaliśmy.

Próbowała go uspokoić, lecz zapewnienia o poufności sytuacji jedynie powiększyły wstyd Victora. Zrozumiał - dorośli są tak zniesmaczeni postępowaniem jego i Jandy, przepełnieni taką odrazą, iż zamierzają udawać, że nic się nie wydarzyło. Zamierzają się zajmować swoimi sprawami, jakby wspomnienie Rady zostało zatarte w ich pamięci. Co oczywiście było niemożliwe. Nikt nie mógł tego zapomnieć. Owszem, będą udawać, że zapomnieli. Będą się do niego uśmiechać i zachowywać tak, jakby nic się nie wydarzyło, ale ich twarze pozostaną maskami.

Nie było już nic do powiedzenia. Victor podziękował Concepción i wyszedł z jej biura. Tuż przed sobą miał korytarz prowadzący do śluzy, lecz odwrócił się do niego plecami. Musiał się wziąć do pracy. Musiał czymś się zająć, coś zbudować, naprawić, rozłożyć. Odczepił od pasa na biodrze komputer i sprawdził wykaz napraw na ten dzień. Wiele usterek wymagało jego uwagi, lecz wszystkie były drobne, a żadna nie była straszliwie pilna. Mógł lepiej wykorzystać czas, instalując stabilizator wiertła, który niedawno zbudował. Żeby choć dotknąć wiertła, potrzebuje zezwolenia górników, ale jeśli zapyta dziś, może je dostać. Włosi jeszcze nie odcumowali, więc górnicy nie będą gotowi przez co najmniej godzinę. Victor przełączył ekrany na podręcznym komputerze i wywołał lokalizator. Mono był na dole w warsztacie.

Victor wcisnął guzik wywołania.

- Mono, tu Victor. Odpowiedział mu chłopięcy głos:

- *Epale, pana cambur*. Co jest, Vico?

- Możesz przyjść do ładowni z częściami do stabilizatora wiertła?

- Wychodzimy na zewnątrz, żeby go zainstalować? - zapytał Mono wyraźnie podniecony.

- Jeśli górnicy nam pozwolą. Właśnie tam idę. Mono zagwizdał.

Victor rozłączył się z uśmiechem. Zawsze mógł liczyć, że entuzjazm Mono podniesie go na duchu.

Dziewięciolatek był najmłodszym praktykantem na statku. Za Victorem chodził i obserwował go przy pracy już od jakiegoś czasu. Przed pół rokiem Rada zgodziła się, że tak żywe zainteresowanie, jakie okazuje Mono, należy nagrodzić, a nie ignorować, i uznała chłopca za oficjalnego praktykanta. Wtedy Mono oznajmił, że to najszczęśliwszy dzień w jego życiu.

Naprawdę nazywał się Jose Manuel, tak jak jego ojciec, wuj Victora. Lecz kiedy był niemowlęciem, w żłobku wspinał się na meble, zanim jeszcze nauczył się chodzić, więc matka nazwała go małym *mono* - po hiszpańsku „małpką”. I to pieszczotliwe imię do niego przyłgnęło.

Victor popłynął rozmaitymi korytarzami i szybami do ładowni, poruszając się w stanie nieważkości prosto i szybko jak strzała. Mijał mnóstwo ludzi. Włosy odlatywali, skończył się handel i świętowanie, więc życie wróciło do normy i wszyscy podjęli swoje obowiązki. Górnicy, kucharze, pracownicy pralni, operatorzy maszyn, nawigatorzy i przedstawiciele wielu innych zawodów, dzięki którym rodzinne przedsiębiorstwo w pasie Kuipera działało bez zakłóceń.

Przed ładownią Victor zastał Mono, za którym unosił się w powietrzu spory worek.

- Masz wszystkie trzy części? - zapytał chłopca.

- Jest, jest i jest - odparł Mono, unosząc kciuk.

W ładowni podpłynęli do szafek ze sprzętem, gdzie górnicy zbierali wyposażenie i przygotowywali je do całodziennej pracy. Statek był zacumowany do asteroidy, lecz wiercenie ustało wraz z przybyciem Włochów. Teraz górnicy chętnie wracali do roboty.

Victor spostrzegł, że wielu z nich jest po czterdziestce, co znaczyło, że są członkami Rady i znają prawdziwy powód odejścia Jandy. Zastanawiał się, czy będą od niego odwracać wzrok, lecz tak byli zajęci przygotowaniami, że chyba nikt go nawet nie zauważył.

Znalazł swojego wuja Marco, kierownika zespołu kopaczy, przy sprężarce powietrza. Wuj sprawdzał, czy węże układu podtrzymywania życia nie mają przecieków. Górnicy bardzo dbali o swój sprzęt, a najstaranniej przeglądali węże. Długa rura podłączona z tyłu do skafandra kosmicznego każdego górnika spełniała dwa zadania: zabezpieczała człowieka, łącząc go

ze statkiem, oraz dostarczała mu świeże powietrze, energię i ciepło. Tak jak głosił napis nad szafkami: CUIDA TU MANGUERA. TU MANGUERA ES TU VIDA. „Dbaj o swojego węża. Twój wąż to twoje życie”.

- *Épale*, Marco - przywitał się Victor.

- *Épa*, Vico - odparł Marco z uśmiechem, podnosząc wzrok znad roboty.

Był członkiem Rady, ale nie sprawiał wrażenia, że coś ukrywa. Wyglądał jak zawsze na zadowolonego z życia. Victor odsunął tę myśl. Nie mógł tak żyć, stale podając w wątpliwość myśli wszystkich czterdziestolatków na statku.

- Dobrze wykombinowałeś z tym dinksem od ogrzewania dla Włochów - rzekł Marco. - Dostaliśmy za niego trochę dobrego sprzętu.

Machnął ręką w stronę dużej metalowej klatki przymocowanej do podłogi, pełnej nieco używanych skafandrów ciśnieniowych, hełmów, czytników minerałów i innych bardzo przydatnych urządzeń. Większość wyglądała na nowsze od tych, których kiedykolwiek używali górnicy z „El Cavadora”, co mogło zadziałać na korzyść Victora - zamierzał poprosić o dostęp do wiertła i zaskarwienie sobie łask górników pewnie się okaże pomocne.

- O której wychodzicie dziś rano? - zapytał Victor. Marco uniósł brew.

- Czemu pytasz?

- Pracuję nad ulepszeniem jednego z wiertel. To wciąż jest prototyp, ale chciałbym go wypróbować. A ponieważ nie możecie uruchomić wiertła, dopóki Włosi nie odcumują, to pomyślałem, że może bym zainstalował to urządzenie, zanim wyjdziecie na zewnątrz i zaczniecie kopać.

Marco przyjrzał się workowi.

- To stabilizator wiertła w momentach, kiedy trafia na gniazda lodu - wyjaśnił Victor. - W ten sposób statkiem nie będzie szarpało do przodu, a wiertło będzie stabilne.

Victor widział, że zaciekawiał Marco.

- Gniazda lodu, co?

Nic nie irytowało górnika w pasie Kuipera bardziej niż gniazda lodu. W tak wielkiej odległości od Słońca asteroidy były

brudnymi kulami śniegu, skalnymi bryłami usianymi gdzieś gniazdami zamrożonej wody, metanu czy amoniaku. Laserowe wiertło potrafiło się przez nie przebić, ale wywoływało to reakcję jak w rakiecie. Jeśli statek nie był umocowany do skały hamującymi silnikami rakietowymi wytwarzającymi siłę przeciwną, laser po prostu odrzucał asteroidę od statku.

Dopóki wiertło przebijało się przez skałę - do czego były skalibrowane wszystkie hamujące silniki rakietowe - statek trwał nieruchomo i operacja szła gładko. Lecz gdy tylko laser natrafił na gniazdo lodu, natychmiast je przepalał, a statek tracił siłę skierowaną w górę. Jednak silniki wciąż pracowały, więc całym statkiem rzucało do przodu i w środku powstawał chaos. Ludzie się przewracali, niemowlęta nie mogły spać.

A kiedy laser przebił się przez lód i znów uderzał w skałę, wracała siła skierowana do góry, równoważyła się z tą drugą i statkiem rzucało do tyłu. Wszyscy nazywali to lodowym rodeo.

- Wiem, co myślisz - powiedział Victor. - Wiertło działa. Co będzie, jeśli moje „ulepszenie” je uszkodzi?

- Przyszło mi to na myśl - odparł Marco. - Nie lubię, jak ktoś dotyka wiertła, chyba że jest to absolutnie konieczne.

- Możesz obserwować, co robię - zaproponował Victor. - Krok po kroku. Ale szczerze mówiąc, instalacja wcale się nie wiąże z ingerencją w strukturę wiertła. Główny czujnik idzie do rakiet hamujących. Drugie urządzenie to radio, które umieszczę obok szybu na asteroidzie. A przy wiertle zainstaluję tylko trzecie urządzenie, stabilizator. Wprowadza on drobne poprawki ustawienia, kiedy statek zmienia położenie po napotkaniu gniazda lodowego. Ma utrzymać promień lasera w szybie, żeby nie przesunął się w trakcie wiercenia.

Victor wyjął urządzenie z worka i podał je Marco. Było niewielkie i skomplikowane, górnik najwyraźniej nie miał pojęcia, na co patrzy - tego należało się spodziewać, skoro nie istniało nic podobnego. Victor zbudował je z wyrzuconych części, złomu i poliwęglanu.

Marco oddał stabilizator.

-1 to zlikwiduje kołysanie wywołane gniazdami lodu?

- Nie całkowicie - odparł Victor. - Ale owszem, powinno je zminimalizować. Jeśli zadziała.

Wuj Marco zastanawiał się przez dłuższą chwilę. W końcu wyciągnął palec w stronę chłopaka i powiedział:

- Jeśli uszkodzisz wiertło, każę cię wessać na statek przez twojego węża.

Victor się zaśmiał.

Marco spojrzał na zegarek.

- Masz czterdzieści pięć minut. Tyle nam zajmie sprawdzanie sprzętu.

- Nie ma sprawy.

-1 wchodzi w to czas, jaki wam zajmie włożenie skafandrów. Czterdzieści pięć minut od tej chwili.

- Jasne.

- Pracuj na starym wiertle - dodał Marco. - Nie na nowym.

Victor mu podziękował i Marco pośpieszył do szafek. Kiedy wkładali skafandry, Mono jak zawsze zasypywał Victora pytaniami. Większość dotyczyła spraw związanych z mechaniką, więc Victor mógł na nie odpowiadać, nie poświęcając na to wiele uwagi. Resztę myśli zaprzętała mu służa. Jak wyglądała Janda, kiedy opuszczała statek? Czy udawała, że nie spostrzegła nieobecności Victora? Pewnie tak. Była zbyt sprytna, by ryzykować teraz ujawnienie swoich uczuć.

- Hola! - Mono pomachał mu ręką przed twarzą. - Ziemia do Vico! Mamy zielone światło, a zegar tyka.

Victor zamrugnął i wyrwał się z zamyślenia. Znajdowali się w służbie powietrznej, szczelnie zapieczęt i gotowi. Lampka nad włazem zmieniła kolor na zielony, co oznaczało, że mogą wyjść na zewnątrz statku.

Wystukał polecenie na klawiaturze. Zasyczało powietrze i zewnętrzny luk się odsunął. Mono nie tracił ani chwili. Przecisnął się przez otwór i mocno odepchnął od kadłuba, z radosnymi okrzykami wypływając w przestrzeń. Victor ruszył za nim, jego lina ubezpieczająca rozwijała się jak pojedyncza nić pajęczyny. Odnalazł kciukiem przycisk na skafandrze i włączył napęd gazowy, który stopniowo spowolnił jego ruch do przodu. Obrócił ciało w stronę „El Cavadora” i zobaczył włoski statek „Vesuvio” wykonujący manewr odcumowania.

Janda odlatywała.

Pozostałe trzy statki klanu - także nazwane od włoskich wulkanów „Stromboli”, „Mongibello” i „Vulture” - czekały w pobliżu na „Vesuvio”. Wkrótce przyspieszą i znikną.

Victor nie chciał na to patrzeć. Lepiej się czymś zająć.

- Chodźmy, Mono. Nie ma czasu na latanie.

Wcisnął guzik napędu i wystrzelił z powrotem w stronę statku, kierując się ku jego powierzchni znajdującej się naprzeciwko asteroidy, gdzie przechowywano stare wiertło laserowe. Od statku do zamocowań na asteroidzie ciągnęło się kilka grubych cum. Victor je ominął, uważając, by nie zaplątać w nie swego węża. Po dotarciu do wiertła zatrzymał się, uniósł stopy i włączył magnesy w butach. Podeszwy przylgnęły do powierzchni.

Razem z Mono zaczęli zdejmować z wiertła osłony, by dostać się do jego wnętrza. Szybko zainstalowali stabilizator. To była kwestia przymocowania go bolcami i podłączenia do jednego z wyjść modyfikacyjnych lasera. Większość dużych maszyn była przeznaczona do pewnej liczby modyfikacji i miała wbudowane przystosowane do tego wyjścia i płyty. Victor będzie musiał ponownie załadować system wiertła, żeby urządzenie rozpoznało stabilizator, ale w jego wężu biegły przewody komputerowe i mógł to zrobić od razu, posługując się wyświetlaczem wewnątrz hełmowym. Zamrugał i wywołał obraz. Hełm śledził jego wzrok i Victor wydawał mruganiem odpowiednie polecenia. Kiedy wiertło wróciło do trybu on-line, rozpoznało stabilizator, co Victor zobaczył na wyświetlaczu.

- Gotowe, Mono. Teraz silniki.

Założyli osłony i podlecieli do hamujących silników rakietowych. Po drodze Victor spojrzał w lewo. Włosi zniknęli. Daleka kropka bieli mogła być ich silnikami, ale równie dobrze mogła to być gwiazda. Odwrócił wzrok.

Instalacja urządzenia przy silnikach była trudniejsza, ponieważ miały przestarzałe wejścia modyfikacyjne i Victor musiał zbudować przejściówkę z części, jakie miał w pasie z narzędziami. Na każdym etapie pracy Mono zadawał mu pytania. Dlaczego robisz to czy tamto? A może powinieneś spróbować tego?

- Tak to robimy, Mono. Musimy radzić sobie z tym, co mamy. Korporacyjni górnicy mają na swoich statkach magazyny części zamiennych. My nie mamy nic. Jeśli coś wymaga naprawy,

wyciągamy wyrzucone części i uruchamiamy wyobraźnię. Teraz ja ci zadam kilka pytań.

Wtedy zaczęła się nauka. Victor podawał Mono narzędzia i części i zadawał pytania, na które odpowiedzi nie mówiły chłopcu wyraźnie, jak zakończyć instalację, lecz wskazywały mu właściwe rozwiązania. W ten sposób mały sam odkrywał kolejne kroki i dostrzegał rządzącą wszystkim logikę. Tak uczył Victora ojciec - nie tylko pozwalał mu dokonywać napraw, ale angażował też jego umysł, ucząc syna, jak na bieżąco obmyślać cały proces naprawy.

Kiedy Mono pracował, Victor pozwolił sobie na kolejne zerknięcie w przestrzeń. Tylko czerń, gwiazdy i cisza. Nie był nawigatorem, ale znał asteroidy znajdujące się obecnie w pobliżu i zastanawiał się, dokąd zmierzają Włosi. Oczywiście gdzieś dalej. Podróż między asteroidami w pasie Kuipera zajmowała kilka miesięcy. Ale może by się domyślił.

Zamknął oczy. To nie miało sensu. W pasie Kuipera znajdowały się tysiące obiektów. Zresztą co za różnica, ku któremu zmierzają? Na co mu się mogła przydać znajomość celu ich podróży? To nic by nie zmieniło. Nie sprowadziłoby Jandy z powrotem. Owszem, chciał, żeby wróciła. Teraz to sobie uświadamiał. Nigdy nie okazywał Jandzie czułości w jakiś naganny sposób. A teraz nagle zatęsknił za jej bliskością.

Kochał swoją kuzynkę. Dlaczego nie zauważył tego wcześniej? Jestem dokładnie taki, jak obawiała się Rada. Zasługuję na wszystko, co o mnie myśli.

Mono o coś go pytał. Victor wrócił do pracy. Zakończyli instalację, a potem przenieśli się na dół, do szybu na asteroidzie.

W terminologii górniczej asteroida stanowiła grudę, czyli skałę bogatą w żelazo, kobalt, nikiel i inne minerały ferromagnetyczne. Za pomocą skanerów górnicy szukali skupisk metalu w kamieniu, które nazywali grudkami. Im więcej znajdowali grudek lub żył metalu, tym wyższy był stosunek metalu do kamienia. Asteroida bez grudek była żużlem, śmieciem, bezwartościową bryłą materii.

Victor i Mono wylądowali na asteroidzie. Magnesy w butach mieli ustawione na najwyższą wartość; skała zawierała dość minerałów, by ich stopy przywarły do powierzchni. Podeszli

do krawędzi szybu i spojrzeli w dół. Laserowe wiertło wypaliło w powierzchni asteroidy równe koło, chociaż nie ciągłym ruchem. Wysyłało serię pojedynczych uderzeń, które dziurawiły skałę na określoną głębokość, tworząc koło złożone z ciasno upakowanych otworów. Następnie górnicy rozbijali ścianki między tymi otworami młotami udarowymi i wybierali kawałki skał, tworząc szyb.

Lecz ten szyb nie był wystarczająco głęboki. Górnicy nie dotarli jeszcze do grudki. Kiedy to się stanie, zainstalują węże termiczne i wytopią metal, kształtując go w walce, które będzie można przenieść w próżni na statek. To ciężka praca, lecz jeśli grudka była odpowiednio duża, dobrze się opłacała.

Victor znalazł na wewnętrznej ścianie szybu miejsce, gdzie mógł zainstalować czujnik pary, i wywołał Marco.

- Jesteśmy prawie gotowi do próby. Masz chwilę, żeby do nas zejść i pomóc?

- Zaraz tam będę - odparł Marco.

Victor uznał, że najlepiej będzie, jak Marco sam zainstaluje czujnik pary. To była prosta czynność i pozwoliłaby górnikowi poczuć się częściowo właścicielem urządzenia. Poza tym to górnicy będą przesuwali czujnik za każdym przesunięciem wiertła, więc powinni wiedzieć, jak go instalować w szybie. Dobry pomysł, żeby pierwszy zrobił to Marco jako kierownik zespołu.

Marco nie pojawił się sam. Wieść się rozniosła i wokół szybu zgromadzili się wszyscy górnicy z rodziny.

- Kiedy lód się topi, powstaje para - zaczął tłumaczyć Victor. - Ten czujnik jest umieszczony w szybie i wykrywa parę. Kiedy tylko jej poziom w detrytusie osiąga pewną wartość, czujnik wysyła polecenie do silników, żeby zmniejszyły ciąg. Potem, kiedy ilość pyłu się zwiększa, a pary zmniejsza, silniki zwiększają ciąg. Jednocześnie czujnik wysyła dane do wiertła, żeby utrzymywało pozycję mimo ruchów statku. Promień zawsze trafia w sam środek wykopu.

- Czy temperatura wytwarzana przez laser nie spali czujnika pary? - zapytał Marco.

- Po to czujnik ma osłonę - odparł Victor. - Jest dość mocna. Moim zdaniem wytrzyma.

- Więc nie będzie już rzucało statkiem? - spytał jeden z górników.

- Nie zredukuje to jego ruchów do zera - rzekł Victor. - Nadal będą się pojawiały lekkie przesunięcia, ponieważ wykrycie pary przez czujnik trochę potrwa, ale ruch będzie o wiele łagodniejszy, jak delikatne falowanie zamiast nagłych wstrząsów.

Marco opuścił się do szybu, nawiercił odpowiednie otwory i przymocował czujnik do wewnętrznej powierzchni skały, w miejscu zaproponowanym przez Victora. Kiedy wrócił, kazał wszystkim odsunąć się na bezpieczną odległość i opuścić osłony hełmów.

- To jeszcze prototyp - przypomniał im Victor. - Nie mogę dać gwarancji, że promień nie zejdzie z osi. Na pewno będzie wymagał dostrojenia.

- Przestań gadać i wierć - powiedział Marco.

Victor wydał mruganiem polecenia i laser wgryzł się w skałę. Po kilku sekundach trafił na lód. Statek zaczął się przechylać. Silniki hamujące zareagowały i wiertło zmieniło kąt. Działanie nie było idealne; promień wciąż nieco się chwia.

- Trzeba poprawić - stwierdził Victor.

Wywołał na wyświetlaczu odpowiednie polecenia. Szybko poruszając oczyma, dokonywał korekt. Po dwudziestu sekundach laser trafił na kolejne gniazdo lodu. Z otworu wydostała się para, lecz tym razem silniki zareagowały szybko i gładko. Wiertło też zareagowało idealnie, bez najmniejszego odchylenia na boki.

Wszyscy zaczęli wiwatować. Mono potrząsał uniesioną ręką i gwizdał.

Marco się uśmiechał.

- Działa doskonale. Fantastyczne.

- Jestem więc na właściwej drodze - rzekł Victor. - Teraz mogę się wziąć do pracy nad prawdziwą wersją.

- Czy Concepción o tym wie? - zapytał Marco.

- Nie chcieliśmy nic nikomu mówić, nie mając pewności, że zadziała. Skoro zapowiada się nieźle, włączę do tego tatę. Może przyjdą mu do głowy jakieś ulepszenia.

- Wezmę dwa takie stabilizatory - zadeklarował z uśmiechem Marco i stuknął przyjaźnie kostkami palców w hełm Victora. - Jeden dla nowego wiertła.

Kiedy Victor i Mono wrócili wreszcie na statek, mały był w euforii.

- Na Ziemi byłbyś bogaty, Vico, obrzydliwie bogaty dzięki swoim pomysłom. Płaciliby ci miliony kredytów.

- Mam siedemnaście lat, Mono. Z odrobiną szczęścia mógłbym dostać pracę przy taśmie montażowej. Nikt nie traktowałby mnie poważnie. Tutaj możemy robić, co nam się podoba. Na Ziemi jest inaczej. Poza tym zrobiliśmy to razem. Ten stabilizator to nasze wspólne dzieło.

- Ja pomagałem przy bezmyślnym spawaniu i lutowaniu w warsztacie. Pomysły były twoje.

- Masz o wiele spokojniejsze ręce ode mnie. Wykonujesz mikroprace lepiej niż ja. Nawet mój ojciec nie umie tak lutować jak ty.

Mono się rozpromienił.

Kiedy wypłynęli z komory dekompresyjnej do ładowni, czekała tam na nich Isabella, Chilijka egzogamiona przez rodzinę, gdy Victor był jeszcze dzieckiem. Została poślubiona kuzynowi jego matki w drugiej linii. Co ważniejsze, była bardzo blisko z Jandą.

- Chcę porozmawiać z Vico na osobności, Mono - powiedziała. - Dasz nam chwilę?

Dzieciak wzruszył ramionami.

- Muszę przerobić obwody w warsztacie. Na razie, Vico. Isabella odczekała, aż Mono się oddali, po czym odwróciła się do Victora.

- Wiem, że jesteś zdenerwowany. I nie mam ci tego za złe. Victor zachowywał kamienną twarz. Isabella nie miała dość lat, by zasiadać w Radzie, więc może nie mówiła o Jandzie.

- Nie udawaj głupiego, Vico. - Przewróciła oczyma. - Nie jestem idiotką. Wiem, co tu się stało. Odesłali Janditę. A ty, zamiast się z nią pożegnać, schowałeś się wśród maszyn.

- Tak, byłem tchórzem - przyznał Victor.

- Nie. Usiłowałeś nie dopuścić, by ktokolwiek na „Vesuvio” oskarżył Janditę o miłość do kuzyna. Nie rób takiej zaskoczony miny. To, że się domyśliłam, nie oznacza, że domyślili się inni. Przy służbie Jandita stanowiła wzorzec spokoju. Chyba nikt niczego nie podejrzewał. Właściwie udało jej się przekonać Włochów, że cieszy się z przenosin do nich.

- Skąd wiesz?

- Jandita to moja bratanica, Vico. Bardzo się lubimy. Znam jej myśli chyba lepiej niż jej własna matka. Poza tym jestem spostrzegawcza. Widzę i słyszę wszystko. - Mrugnęła do Vico, a on zmarszczył brwi. - Spokojnie - powiedziała. - Nigdy nie widziałam, żebyście się zachowywali wobec siebie niestosownie, ale znam oznaki. Jandita to nie pierwsza dziewczyna, która zakochała się w swoim kuzynie.

Victor zauważył, że Isabella jest smutna.

- Wyznajesz mi coś?

- Miałam osiemnaście lat. Też był kuzynem w drugiej linii. Chyba nawet nie wiedział, że go kochałam. W roku, w którym to sobie uświadomiłam, przybyłam na ten statek i wyszłam za twojego wuja Selmo.

Formalnie biorąc, Selmo nie był wujem Victora, lecz kuzynem w drugiej linii, ale wszyscy mężczyźni na statku byli w takim czy innym stopniu jego wujami.

- Selmo o tym wie? - zapytał Victor.

- Oczywiście. Teraz się z tego śmiejemy. Byłam młoda i zauroczona kuzynem. Wtedy ledwie wiedziałam, czego oczekuję po mężu.

- Więc Alejandra jest mną zauroczona i naiwna.

- Wcale nie. Sądzę, że będzie o tobie myśleć do końca życia. Ma lat szesnaście, a jest o wiele dojrzała, niż ja byłam w wieku osiemnastu lat. Chodzi mi o to, że nie jesteś draniem, Vico. Znam cię. Będziesz się tym dręczył, a nie powinienes. Ona jest twoją kuzynką w drugiej linii. W każdym miejscu na Ziemi moglibyście się pobrać i nikt nie powiedziałby złego słowa.

- Może na Ziemi jest więcej pokręconych świntuchów. Isabella się roześmiała.

- Tam żyją ludzie tacy jak my, ale my wyznajemy surowsze zasady. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Obiecaj mi, że nie będziesz się tym zadręczał.

Czego się po nim spodziewała? Że zbędzie to wzruszeniem ramion i uzna za jedno z życiowych doświadczeń, które wszyscy przechodzą? Chciała dobrze. Kochała go tak, jak kochała Jandę. Lecz nie znalazł w jej słowach pociechy. Przecież nie obudzi się jutro i nie pomyśli: Jaka to była cenna lekcja życia. Nie ruszy dalej przed siebie. A przynajmniej nie tutaj. Teraz to

sobie uświadamiał. Dokądkolwiek się zwróci, będzie widział Alejandrę. Wszystko będzie budziło wspomnienia o niej. Jak mógłby sprowadzić sobie na ten statek narzeczoną? Nawet gdyby rodzina egzogamiła kogoś dla niego w ciągu następnego roku, jak mógłby prowadzić żonę przez sale przypominające mu o kimś innym? W wypadku Isabelli egzogamienie się powiodło. Ona mogła ruszyć przed siebie. Zostawiła poprzednie życie za sobą, jakby zamknęła drzwi. Nic w nowym życiu nie przypominało jej o starym. Jeśli Victor tu zostanie, nie będzie miał tego luksusu.

Uświadomił sobie, że musi się stąd wydostać. Może udać się na Lunę. Albo na Ziemię czy Marsa. Nie wiedział, jak to zrealizować, ale w tym momencie zrozumiał, że musi to zrobić.

Spojrzał na Isabellę i uśmiechnął się do niej, tak jak oczekiwała.

- Zrobię co w mojej mocy. Sprawiała wrażenie zadowolonej.

- Świetnie. Będę cię obserwować. Jeśli zauważę oznaki nienawiści do samego siebie, stłukę cię do nieprzytomności.

- Na pewno jesteś w stanie to zrobić. Ale z pewnością nic mi nie będzie.

- Nieprawda. Ale cieszę się, że spróbujesz.

Po tych słowach się rozstali. Victor skierował się do szafek i zdjął skafander kosmiczny. Musi powiedzieć rodzicom, że opuszcza statek. Matka będzie z nim dyskutować, lecz ojciec dostrzeże sensowność tego posunięcia. Za żadne skarby nie zechce się do tego przyznać, ale zgodzi się z synem. Victor oczywiście nie będzie mógł zrealizować swojego zamiaru natychmiast. Nie było jak tego zrobić. Może minąć wiele miesięcy, zanim znajdą inną rodzinę, która zechce podrzucić Victora w odpowiednim kierunku. Ale mógł się przygotować już teraz. Mógł zacząć dziś. Na Lunie, Marsie i Ziemi panuje ciężenie, a on ma nogi nie dość mocne, by poradzić sobie z siłą g. Musi je wzmocnić. Będzie potrzebował centryfugi.

Centryfuga znajdowała się w sercu statku. Przystawała wirować tylko dwa razy na godzinę, żeby ludzie mogli wejść i wyjść, więc Victor musiał zaczekać kilka minut na otwarcie wjazdu. Wewnątrz pomieszczenia znajdowało się kilkanaście osób; większość z nich stała na ścianie lub podłodze, czekając, aż fuga

znów nabierze prędkości, żeby mogli kontynuować ćwiczenia. Ci, którzy weszli do środka z Victorem, ruszyli w stronę ściany, na której wisiały magnetyczne nagolenice. Chłopak już zaczynał czuć siłę dośrodkową przyciągającą go do podłogi.

Znalazł sobie parę nagolenic, które wyglądały dobre na niego, i przypiął je do nóg. Wkrótce stał wyprostowany. Magnesy mocno trzymały jego stopy na podłodze. Nagolenice nie stwarzały wrażenia prawdziwej grawitacji. Działały z siłą jednej szóstej g, czyli taką, jaką panuje na powierzchni Luny. Sztuczka w posługiwaniu się nimi polegała na tym, że trzeba było bardzo się napracować, by utrzymać pod sobą własne nogi. Chodząc, trzeba było stale wysuwać stopy do przodu, żeby przeciwstawić się przyciąganiu magnesów.

Lecz nagolenice nie wystarczały do ćwiczeń nóg, zwłaszcza jeśli myślało się o Marsie lub Ziemi. Victor musiał spędzić sporo czasu na ruchomej bieżni. Podszedł do środka pomieszczenia, gdzie mieścił się właz prowadzący w dół do fugi w fudze; tam znajdowały się bieżnie. Czuł, że robi się coraz cięższy - fuga przyśpieszała. Kiedy wirowała z pełną szybkością, przyciąganie magnesów w połączeniu z obrotami dawało siłę około pół g.

Na prawo mieścił się żłobek, długi rząd oszklonych pomieszczeń, w których mieszkali dzieci poniżej drugiego roku życia. W jednym z pokoiów uczące się chodzić dziecko oddalało się niepewnym krokiem od jednego dorosłego w stronę czekających ramion drugiego. Bez sztucznej grawitacji wytwarzanej przez fugę u małych dzieci nie rozwinęłyby się mięśnie konieczne do chodzenia.

Były rodziny wolnych górników, które nie miały centryfug czy magnetycznych nagolenic, bo wołały zawsze unosić się w stanie nieważkości. Lecz te nietoperze, jak ich nazywano, były całkowicie nieprzystosowane do życia na planecie. Ich dzieci nie umiały chodzić ani nawet stać, ponieważ nogi miały cienkie i nieumięśnione, bezużyteczne.

Concepción nie chciała o tym słyszeć. Każdy musiał spędzać tu na dole co najmniej dwie godziny dziennie, by nie dopuścić do atrofii mięśni nóg i do odwapnienia kości. Niektórzy nosili nagolenice podczas pracy i wszędzie na statku trzymali się pionowo. To była kwestia efektywności i wykorzystania własnej siły.

o wiele łatwiej było coś pchać, ciągnąć i podnosić, jeśli miało się oparcie w stopach.

Victor dotarł do wjazdu i opuścił się na bieżnię. Na dole znajdowało się mniej osób niż w głównym pomieszczeniu fugi i wszystkie były młodsze od Victora; spacerowały, biegły, słuchały czegoś ze słuchawek, oglądały filmy lub czytały dzięki goglom. Wszyscy zachowywali postawę pionową. Victor przypiął się do bieżni i podniósł ustawienie do trzech czwartych g. Najpierw szedł powoli, stopniowo przeszedł do truchtu. Po dwudziestu minutach drżały mu łydki i paliły uda. Kiedy obniżył poziom g i zaczął wyciszać organizm, zadał sobie pytanie, o ile więcej będzie musiał codziennie trenować, żeby przygotować się do opuszczenia statku.

Jego podręczny komputer zaczął migać.

Victor zatrzymał bieżnię. Wiadomość pochodziła od Edimar, czternastoletniej siostry Jandy. Była praktykantką przy obserwatorze i śledziła ruch w kosmosie - komety, asteroidy, wszystko, co mogłoby grozić zderzeniem ze statkiem. Wiadomość brzmiała: PRZYJDŹ DO BOCIANIEGO GNIAZDA. PILNE!!

Ani chwili się nie wahał. Wyszedł z fugi, kiedy tylko przestała wirować, i szybko ruszył przez statek. Nogi jeszcze go paliły, a koszulę miał wilgotną od potu.

Bocianie gniazdo stanowiła szklana kopuła umieszczona na górnym pokładzie wysoko nad głównym kadłubem. Victor przemierzył długą, wąską rurę prowadzącą do kopuły i przecisnął się przez otwór w podłodze. Panowała tu ciemność. Miliardy gwiazd za szkłem świeciły wyraźnie i jasno. Chłopak miał wrażenie, że znalazł się na zewnątrz statku.

Edimar unosiła się po drugiej stronie pomieszczenia. Jej twarz przesłaniały gogle z danymi. Komputery były nadzwyczaj wrażliwe na światło, więc obserwatorzy nie używali jasnych monitorów komputerowych, tylko ciasno przylegające do twarzy gogle z wewnętrznymi wyświetlaczami.

- *Epa*, Mar. Co się stało? - zapytał Victor. Edimar zdjęła gogle.

- Zawsze traktowałeś mnie poważnie, Vico. Nawet, kiedy nie robił tego nikt inny. Zawsze traktowałeś mnie tak, jakbym była bystra.

- Jesteś bystra.

- A Jandita powiedziała, że jeśli kiedykolwiek będę potrzebowała pomocy, mogę się zwrócić do ciebie. Powiedziała, że potraktujesz mnie uczciwie, że mi pomożesz.

- Oczywiście, Mar. O co chodzi?

- Chcę ci coś pokazać. I chcę, żebyś szczerze mi powiedział, co to według ciebie jest.

Znalazła jeszcze jedną parę gogli i podała mu.

- Oko zobaczyło coś, co nie ma żadnego sensu. A jeśli to nic nie jest, nie chcę, żeby wszyscy się ze mnie śmiali.

Oko to system komputerowy nieustannie skanujący niebo we wszystkich kierunkach i wypatrujący wszelkich zbliżających się obiektów, które mogłyby się zderzyć ze statkiem. Pod względem bezpieczeństwa był to jeden z najważniejszych elementów wyposażenia. Nawet drobne głązy, gdyby poruszały się wystarczająco szybko, mogły uszkodzić statek i doprowadzić do katastrofy.

- Pokazałaś to ojcu? - zapytał Victor.

- Oczywiście, że nie - odparła z przerażeniem w oczach.

- Dlaczego? Jest obserwatorem. Lepiej ode mnie będzie umiał zinterpretować to, co widzi Oko.

- On sądzi, że ja się nie nadaję do tej pracy, Vico. Nie ma do mnie zaufania. Chciał mieć synów, a urodziły mu się trzy córki. Tylko dlatego ja jestem jego praktykantką, a nie jakiś chłopiec, że wymusiła to na nim Concepción. Nie mogę iść do ojca z czymś, co może się okazać pomyłką. Wypominałby mi to do końca życia. Mógłby też przedstawić to Concepción jako dowód, że nie nadaję się na obserwatora.

Victor dobrze znał ojca Jandy i Edimar; dziewczynka trafnie go opisała. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale zadał pytanie:

- Dlaczego więc pracujesz z nim? Jeśli to takie trudne, może polubiłabyś inną pracę z innymi ludźmi.

Wyglądała na rozzłoszczoną.

- Bo lubię to, co robię, Vico. Bo on jest moim ojcem. I podoba mi się praca z Okiem. Jeżeli tak łatwo zmienić zajęcie, może sam idź popracuj w pralni albo w kuchni?

Uniósł ręce w geście kapitulacji.

- Przepraszam. Zapomnij, że o to zapytałem. Co zobaczyło Oko?

Była zirytowana i przez chwilę milczała, jakby się zastanawiała, czy naprawdę chce go w to mieszać. Ale potem się rozpogodziła.

- Gogle - powiedziała i nasunęła na oczy swoje. Victor nałożył gogle i wpatrzył się w pusty ekran.

- Czy mam coś widzieć?

- Jeszcze nie. Najpierw ci wyjaśnię. Ustawiłam Oko, żeby zawiadamiało mnie o każdym ruchu poza ekliptyką, nawet jeśli nie zapowiada to jeszcze zderzenia. Tam ruch pojawia się rzadziej, ale ja mam hopla na punkcie zimnych komet. Moim zdaniem dopóki nie ogrzeje ich słońce i nie zrobią im się od tego warkocze, są odjazdowe. Jeśli będę pierwszą osobą, która zauważy taką nową kometa, to może zostać nazwana moim imieniem. Wiem, to głupie.

- Wcale nie - stwierdził Victor. - Nazwanie komety własnym imieniem brzmi dość *chevere*.

- *Też* tak myślę. - W jej głosie brzmiał uśmiech, ale zaraz wróciła do tematu. - No więc Oko patrzyło poza ekliptykę i zbierało naprawdę czyste dane.

Czyste dane oznaczały, że w polu widzenia Oka unosiło się stosunkowo niewiele pyłu kosmicznego czy innych cząsteczek. Czyli Oko widziało bardzo daleko.

- Wtedy wykryło ruch i mnie zawiadomiło - rzekła Edimar. - Wywołałam obraz i otrzymałam to.

W goglach Victora pojawił się obraz przestrzeni kosmicznej. Nie odróżniał się od jakiegokolwiek innego widoku przestrzeni.

- Mam widzieć coś niezwykłego? - zapytał.

- Ruch był tutaj. - Edimar powiodła rysikiem po tablecie i na obrazie przestrzeni pojawiło się kółeczko. Następnie dziewczynka zrobiła zbliżenie, aż kółeczko wypełniło cały obraz. Victor wyteżył wzrok.

- Nadal nic nie widzę.

- Ja też nie widziałam. Tak więc to, co zobaczyło Oko, znajduje się w głębokim kosmosie. Gdybyśmy byli blisko, mielibyśmy lepszą rozdzielczość. A jeśli obiekt jest tak daleko i Oko wykryło jego ruch, to musi się on poruszać z szaleńczą prędkością. Sęk

w tym, że Oko nie dostarcza mi dość danych, żebym mogła określić trajektorię tego obiektu. Wiem tylko tyle, że jest tam szybki ruch. Choć prędkość zmniejsza się z upływem czasu. Oznacza to, że obiekt zmienia albo prędkość, albo kierunek. Zwalnia lub skręca, przez co wydaje się, że zwalnia w stosunku do nas. Tyle, że ani jedno, ani drugie nie jest zbyt prawdopodobne. Przeprowadziłam analizy oparte na kilkunastu różnych odległościach i możliwych kierunkach ruchu. Jedynym wyjaśnieniem dostarczanych mi przez Oko danych jest zwalnianie.

- Obiekt zwalnia? - upewnił się Victor. - Naturalne obiekty w przestrzeni kosmicznej nie zwalniają same z siebie, Mar.

- No właśnie. A kiedy mówię, że on porusza się szybko, Vico, mówię poważnie. To jest połowa prędkości światła. A to jego prędkość teraz, po ciągłym zwalnianiu. Obiekty międzygwiazdne nie poruszają się tak szybko, aie skręcają bez studni grawitacyjnej i nie zwalniają. Więc powiedz mi, czy będą się ze mnie przez to śmiać?

- Chyba nie - odparł Victor.

- Powinnam o tym zapomnieć?

- Edimar, moim zdaniem patrzymy na statek kosmiczny.

- Nic nie porusza się tak szybko.

- Nic, co zrobili ludzie.

Przy tych słowach Edimar wyraźnie się odprężyła, a na jej twarzy pojawił się głupawy uśmiech.

- Więc myśl, że mamy tu obcy statek, nie jest dowodem na to, że zwariowałam? Statek poruszający się z prędkością bliską prędkości światła, który przybywa do naszego układu i zwalnia?

- Albo jest to statek, albo ktoś uchylił całą masę praw fizyki. I albo to jest obcy statek, albo jakaś korporacja czy rząd eksperymentuje z techniką tak zaawansowaną, że uczyni z nich władców wszechświata.

- Więc powinnam wezwać kogoś dorosłego.

- Powinnaś zwołać Radę. Albo ja to zrobię. To nie jest po prostu ważne, to jest tak ważne, że trzeba natychmiast podjąć jakieś decyzje.

- Skąd ten pośpiech?

- Bo ten obiekt może zmierzać do Ziemi.

Rozdział 2

Lem

„Makarhu” nie został zbudowany jako statek naukowy, a już na pewno nie jako okręt wojenny. Był to statek górniczy stanowiący własność Jukę Limited, największej kosmicznej korporacji górniczej w Układzie Słonecznym. Lecz Lem Jukes - co było litościwym skrótem od Lemminkainen Joukahainen - spadkobierca fortuny Jukę Limited i kapitan statku, był gotów posłużyć się „Makarhu” w jakimkolwiek charakterze, jeśli tylko oznaczało to zmianę nieudanej misji w coś, co zarząd uzna za sukces.

Od pory snu upłynęła godzina i Lem unosił się w stanie nieważkości w pomieszczeniu obserwacyjnym, gdzie czekał na eksplozję asteroidy. Był to mały obiekt, „kamyk” nie większy od Lema, leniwie przemierzający przestrzeń w odległości pół kilometra od statku. Gdyby nie lasery, oświetlające asteroidę plamkami jasności, byłaby ona całkowicie niewidoczna na tle kosmosu nawet dla oczu uzbrojonych w specjalne wzmocnione okulary, które miał na sobie Lem.

Zdjął okulary i wyjrzał przez okno po prawej stronie. Wrota ładowni były otwarte, a laser grawitacyjny wycelowany w kamyk wędrujący po niebie. Ze swojego miejsca Lem nie mógł zobaczyć inżynierów, ale wiedział, że są na dole w laboratorium przylegającym do ładowni i przygotowują laser do testu.

Według zespołu badawczego korporacji, który go zbudował, laser grawitacyjny - lub glaser, jak go nazywano - miał

być przyszłością przemysłu wydobywczego w kosmosie, rewolucyjnym narzędziem do rozbijania skał powierzchniowych i przebijania się przez najtwardsze asteroidy. Jego zadaniem było kształtować grawitację w sposób bardzo podobny do tego, w jaki laser kształtuje światło, chociaż, jako że grawitacja nie ma charakteru odbijającego, działał według bardzo odmiennych zasad; zrozumienie ich nie leżało w zakresie wymagań stawianych komuś na stanowisku Lema. Firma wydała miliardy kredytów na stworzenie tego prototypu oraz pokaźne sumy na utrzymanie go w tajemnicy. Zadaniem Lema było nadzorowanie prób w terenie.

Misja dziecinnie prosta, gdyby laser grawitacyjny w ogóle dał się włączyć. To był pierwszy test w głębokim kosmosie, więc Lem spodziewał się opóźnień spowodowanych najwyższą ostrożnością. Zaczynało jednak wyglądać na to, jakby z urządzeniem było coś poważnie nie w porządku i wszyscy bali się mu to powiedzieć.

- Czekam, doktorze Dublin - odezwał się szczególnie przyjemnym tonem.

W jego słuchawce rozległ się męski głos.

- Jeszcze kilka chwil, panie Jukes. Prawie możemy zaczynać.

- Mogliście prawie zaczynać dziesięć minut temu. Czy przy właściwym przycisku nikt nie umieścił literki „Wł.”?

- Tak, panie Jukes. Przepraszam za opóźnienie. To już nie powinno potrwać długo.

Lem potarł czoło tuż nad oczyma, walcząc z początkami migreny. Statek już od półtora miesiąca znajdował się w pasie Kuipera, gdzie niepowodzenie nie miałyby świadków i gdzie nie było żadnego dużego obiektu, który mógłby zostać rozerwany na kawałki, gdyby reakcja wyrwała się spod kontroli. Inżynierowie ponoć byli gotowi jeszcze przed startem, więc czemu powstawały opóźnienia? Coś wyjaśniali, ale brzmiało to jak wielosylabowy bełkot. Ze względu na olbrzymie przesunięcie w czasie, z jakim odbywała się komunikacja z zarządem przebywającym na Lunie, Lem nie miał pojęcia, co myśli zarząd - czy też jego ojciec, chociaż był dość pewien, że nie panuje tam niepokohamowana radość. Jeśli chciał zachować swoją reputację i wrócić na Lunę z jakimkolwiek poczuciem godności, powinien przyspieszyć rozwój

wypadków i szybko zdobyć jakieś wyniki. Im dłuższe czekanie, tym większe napięcie oraz rozczarowanie, gdyby glaser zawiódł.

Westchnął ciężko. Problem stanowił Dublin. Był błyskotliwym inżynierem, ale fatalnym głównym inżynierem. Nie potrafił znieść myśli, że mógłby być obwiniony o jakiś błąd, więc przy najmniejszej oznace awarii przerywał testy. Tak się przejmował możliwością uszkodzenia drogiego prototypu czy przekroczenia jego możliwości - a zatem zmarnowania pieniędzy zainwestowanych przez firmę - że był sparaliżowany strachem.

Nie, Dublin musiał odejść. Był zbyt ostrożny, zbyt powolny, by podejmować ryzyko. W pewnym momencie trzeba zrobić skok, a Dublin nie umiał tego momentu rozpoznać. Lem powinien jak najszybciej wysłać do zarządu pozytywne wyniki. Jeszcze tego dnia, jeśli to możliwe. Nie potrzebował wiele. Zarządowi wystarczyły tylko dane, które będą świadczyły, że laser grawitacyjny zrobił coś, do czego został zaprojektowany. Jeśli trzeba jeszcze popracować, żeby stosowanie glaser było opłacalne, świetnie. Było powstało wrażenie, że Lem i załoga coś robią. To nie są zbyt wielkie wymagania, doktorze Dublin. Daj mi chociaż jeden na wpół udany test. Na litość, przecież laser grawitacyjny działał w laboratorium na Lunie. Nie przylecieliśmy aż tak daleko, nie wypróbowawszy go. To cholerstwo działało, zanim wyruszyliśmy!

Lem wstukał do nakładki na nadgarstku polecenie, żeby automat do napojów przyrządził mu mieszankę owocową zaprawioną czymś, co pobudzi jego energię i odpędzi ból głowy.

Sączył napój i rozmyślał o Dublinie. Nie mógł go zwolnić. Znajdowali się w kosmosie. Nie można odprawić kogoś, kto nie ma dokąd pójść - chociaż na myśl o wystrzeleniu Dublina w przestrzeń Lem uśmiechnął się radośnie. Nie, trzeba podjąć mniej drastyczne środki. Zadziałać bardziej twórczo.

Znów postukał w nakładkę i ściana po jego prawej stronie rozjarzyła się światłem. Na ściennym ekranie pojawiły się ikony i foldery; Lem mruganiem otwierał kolejne, zagłębiając się w statkowe pliki, aż znalazł dokumenty, których szukał. Pokazało się zdjęcie niemal sześćdziesięcioletniej Nigeryjki oraz spore dossier. Doktor Noloa Benyawe była jednym z inżynierów obecnych na pokładzie, a dla Jukę Limited pracowała trzydzieści lat,

czyli tyle, ile miał ich Lem, co oznaczało, że znosiła jego ojca, Ukko Jukesa, prezesa i dyrektora generalnego, tak długo jak Lem. Zupełnie jakby spotkał kogoś, kto przeżył tę samą wyczerpującą kampanię wojskową, siostrę w cierpieniu.

Nie, to zbyt ostro powiedziane. Lem nie gardził ojcem. Ojciec dokonał wielkich rzeczy, zdobył wielkie bogactwo i władzę dzięki temu, że nieustępliwie zmuszał otaczających go ludzi do wprowadzania innowacji i wyróżniania się, jednocześnie miażdżąc wszelkie przeszkody na ich drodze. Niestety, rodzinę traktował w identyczny sposób.

Czy to kolejny z twoich testów, ojciec? Dałeś mi zespół inżynierów kierowany przez ofermę o motylin sercu, żeby się przekonać, czy potrafię poradzić sobie z sytuacją i zastąpić go osobą bardziej zdecydowaną i solidniejszą? To było w stylu ojca - zastawiać pułapki na ścieżce syna, tworzyć przeszkody, które musiał przezwyciężać. Ojciec zawsze tak działał, nawet kiedy Lem był małym chłopcem. „Nie z okrucieństwa - mawiał ojciec. - Ale żeby cię czegoś nauczyć, Lemie. Wzmocnić cię. Przypomnieć ci, że jako dziecko z zamożnej rodziny nie masz przyjaciół. Ludzie będą twierdzić, że cię kochają, będą się śmiać z twoich żartów i zapraszać cię na przyjęcia, ale nie będą cię lubić. Będą lubić twoją władzę, to, kim pewnego dnia zostaniesz”. Tak ojciec pojmował wychowywanie dziecka. Na przykład rodzice nie powinni pocieszać dzieci prześladowanych przez szkolnych zabijaków. Dobrzy rodzice, jak ojciec, płacą zabijace, by dręczył ich dziecko. To je uczy trudnej prawdy o życiu. Uczy je stosowania podstępów, znajdowania sojuszników, odpłacania się silniejszym od siebie, niekoniecznie przemocą, lecz wszelką inną bronią dostępną dziecku: publicznym upokorzeniem, strachem, pogardą rówieśników, izolacją towarzyską, wszystkim, co sprawia, że zabijaka się załamie i wybuchnie płaczem.

Lem odsunął tę myśl. Ojciec nie poddaje go próbie. Stawka jest za wysoka. Nie, nie był na tyle zarozumiały, by sądzić, że ojciec naraziłby rozwój lasera grawitacyjnego na ryzyko tylko po to, by dać mu jedną ze swoich „lekcji życia”. To był problem Lema. I Lem da sobie z nim radę.

- Doktorze Dublin - powiedział do mikrofonu - kiedy mówił pan, że test zacznie się za kilka chwil, założyłem, że kilka chwil

definiuje pan tak jak ja, że to co najwyżej kilka minut. Według mojego zegarka minął kwadrans. Rozumiem, że glaser ma dla tego statku najwyższą wagę, lecz wiążą się z nim też inne sprawy, które wymagają uwagi kapitana. Chociaż bardzo lubię wpatrywać się w przestrzeń kosmiczną i zastanawiać nad znaczeniem wszechświata, szczerze mówiąc, nie mam na to czasu. Przeprowadzamy ten test czy nie?

- Cóż, sir... - Głos doktora Dublina był cichy i brzmiało w nim wahanie. - Wydaje się, że chyba napotkaliśmy przeszkodę.

Lem zamknął oczy.

- A kiedy zamierzał mnie pan o niej poinformować?

- Mielśmy nadzieję, że szybko się z nią uporamy, sir. Ale teraz nie wydaje się to prawdopodobne. Właśnie mieliśmy pana zawiadomić.

Jasne, pomyślał Lem. Wepchnął kubek do pojemnika.

- Schodzę.

Przemieścił się do rury komunikacyjnej, jednego z wielu wąskich szybów biegnących przez statek. Wciągnął się do środka i skrzyżował ręce na piersiach. Ściany szybu, podobnie jak podłoga i boczne ściany statku, wytwarzały pulsujące pole magnetyczne. Magnesy albo przyciągały, albo odpychały karwasze, które miał na przedramionach, i nagolenice, które przypiął do nóg.

- Czternaście - powiedział.

Natychmiast został wessany w dół. Kiedy przybył do laboratorium, nikt tego nie zauważył. Większość inżynierów unosiła się przed całościennym ekranem. Znajdowały się na nim niezliczone okienka z danymi, diagramami, rysunkami technicznymi, wiadomościami, bazgrołami i równaniami. Lemowi migotało w oczach od samego patrzenia na to wszystko. Inżynierowie sprzeczekali się uprzejmie o jakąś niezrozumiałą dla niego kwestię techniczną. Doktor Dublin wraz z kilkoma asystentami stał na ścianie po lewej stronie, wpatrując się w hologram lasera grawitacyjnego wielkości jednej piątej rzeczywistego urządzenia. Lema złościło, kiedy ludzie w jakimś pomieszczeniu nie zachowywali tej samej orientacji pionowej. Znajdowanie się pod kątem prostym do wszystkich innych uważał za niestosowne.

- Uwielbiam oglądać zabawy inżynierów - odezwał się na tyle głośno, by wszyscy go usłyszeli.

W laboratorium zapadła cisza. Inżynierowie odwrócili się do niego. Nie patrząc, co robi, Lem dotknął nakładki na nadgarstku i drażniący oczy ekran ścienny przygasł nieco.

Dublin zszedł ze ściany i stanął na podłodze, schylając się niezdarnie, by uregulować karwasze. Taki błyskotliwy umysł, a wdzięk ma rzepy.

- Dziękuję, że pan przyszedł, panie Jukes. Jeszcze raz przepraszam za opóźnienie. Wygląda na to, że źródłem problemu...

- Nie jestem inżynierem - przerwał mu Lem z pogodnym uśmiechem. - Wyjaśnienie problemu nie przyspieszy naprawy. Nie chcę odciągać pana od rozwiązania problemu bardziej, niż to konieczne. Chyba się pan ze mną zgodzi, że lepiej wykorzysta swój czas, rozwiązując problem?

Dublin przełknął ślinę i spróbował się uśmiechnąć.

- Och, no cóż, tak, to duża uprzejmość z pańskiej strony. Cofnął się o krok.

Lem spojrzał po twarzach otaczających go ludzi.

- Chciałbym wam wszystkim podziękować za wasz niestrudzony wysiłek - powiedział. - Zdaję sobie sprawę, że nie sypiacie, i rozumiem, że usterki i opóźnienia najbardziej irytują was. Doceniam waszą cierpliwość i wytrwałość. Ojciec zapewnił mnie, że zebrał najlepszy możliwy zespół, a wiem, że ma rację. - Lem uśmiechnął się, by pokazać, że mówi szczerze. - Zatrzymajmy się więc na chwilę i głęboko odetchnijmy. Wprawdzie jest jeszcze ranek, ale zrobmy sobie dwugodzinną przerwę. Wszyscy oprócz osób, które fizycznie pracują nad naprawą. Wielu z was powinno się przespać, inni - coś zjeść. A potem wrócimy i rozerwiemy tę asteroidę, jakbyśmy kichnęli w wilgotną chusteczkę.

Starał się nie patrzeć na Dublina, chociaż zauważył, że zrobiło to kilku inżynierów. Jeśli laser nie byłby gotowy za dwie godziny, to Dublin miał w tej chwili szansę pokazać, że ma kręgosłup. Mógłby coś powiedzieć.

W pomieszczeniu panowała cisza.

- Wspaniale - rzekł Lem. - Dwie godziny.

Odbił się od podłogi i skierował ku rurze. Zatrzymał się u jej wylotu i odwrócił, jakby uderzyła go jakaś myśl.

- A, doktor Benyawe, zechciałaby się pani spotkać ze mną w moim biurze?

Doktor Benyawe skinęła głową.

- Tak, panie Jukes.

Pięć minut później była w jego biurze, przytrzymywana przy podłodze przez nagolenice.

- Postawił mnie pan w delikatnej sytuacji, panie Jukes.

- Naprawdę? - zdziwił się Lem.

- Inni inżynierowie uznają, że wezwał mnie pan, bym opowiedziała o fiasku testu. Pomyślałam, że przyszedłam tu, by wskazywać winnych.

- To ja poprosiłem o to spotkanie.

- Założą, że bez ich wiedzy rozmawiam z panem od pewnego czasu i przekazuję panu informacje za ich plecami.

- A zatem chce pani powiedzieć, doktor Benyawe, że są urzędnikami, a nie inżynierami?

- Przede wszystkim są ludźmi, panie Jukes. Dopiero potem inżynierami. Martwię się o swoje utrzymanie.

- Jeśli nie wrócimy na Lunę, odniósłszy pełny sukces, zapewne skończą się wszystkie nasze kariery, pani doktor.

- To słuszne założenie. Ale tak jest zawsze, prawda? Poniesiesz porażkę - szukaj roboty.

- Mam jedno pytanie, doktor Benyawe. Gdyby pani kierowała zespołem, czy przeprowadziłaby już pani test?

- Chce pan wiedzieć, czy za opóźnienie winię doktora Dublina.

- Chcę wiedzieć, czy zechce pani kontynuować pracę mimo pewnego stopnia niepewności. Chcę wiedzieć, czy według pani dowiemy się więcej z niepowodzenia czy częściowego sukcesu niż z dalszego rozważania możliwości.

- Doktor Dublin uznał, że niektóre odczyty są niepokojące - rzekła Benyawe. - Pochwalam jego ostrożność. Jednak na jego miejscu przeprowadziłabym test. Konstrukcja glaseru dopuszcza margines błędu, który mieści się w otrzymywanych odczytach.

- Zatem gdyby pani kierowała tym zespołem, już mielibyśmy wyniki.

- Lasera grawitacyjnego, panie Jukes, nie można lekceważyć. Grawitacja to najpotężniejsza siła we wszechświecie.

- Sądziłem, że tą siłą jest miłość. Benyawe się uśmiechnęła.

- Bardzo się pan różni od ojca.
- Pani z nim pracuje od dawna.
- Dał mi szansę uczestniczenia w wielkich przedsięwzięciach. Oraz sprawił, że osiwałam przed pięćdziesiątką.
- Dlaczego więc ojciec nie postawił pani na czele zespołu? Ma pani o wiele większe doświadczenie niż Dublin. A także taką samą wiedzę na temat lasera grawitacyjnego.
- Dlaczego nie kieruje pan własną korporacją? Na pewno miał pan po temu wiele okazji. Przed dwudziestym rokiem życia pomógł pan wprowadzić na giełdę cztery spółki, uratował przed bankructwem dziewięć różnych oddziałów i firm. Krążą pogłoski, że stworzył pan imperium prywatnych inwestycji, które ma niewiele sobie równych. A mimo to jest pan tutaj i dowodzi wyprawą testową w pasie Kuipera. Pański ojciec nie zawsze podejmuje decyzje na podstawie życiorysów.
- Przyjąłem tę pracę, doktor Benyawe, ponieważ wierzę, że laser grawitacyjny ma przyszłość.
- Ale test rzeczywiście jest niebezpieczny. Jeśli coś pójdzie źle z takim małym obiektem jak ta asteroida, nasz statek może po prostu zniknąć.
- Chcę podejmować ryzyko. A Dublin?
- Może dostał od pańskiego ojca ściśle instrukcje, by zadbał o pański bezpieczny powrót do domu.
- Nagle zwlekanie Dublina nabrało całkiem odmiennego znaczenia.
- Więc ojciec powierzył mi kierowanie wyprawą, lecz wydał Dublinowi instrukcje, by się mną opiekował?
- Ojciec pana kocha.
- Nie na tyle, by pozwolić mi na podejmowanie własnych decyzji.
- Lem wiedział, że brzmi to, jakby marudził, ale przecież miał rację. Ojciec mu nie ufał. Po tylu latach, po wszystkim, co zrobiłem poza orbitą ojca, po wszystkich moich osiągnięciach, po tym, jak przeszedłem wszelkie jego oczekiwania, wciąż uważa mnie za niezdolnego do podejmowania decyzji, wciąż uważa mnie za słabeusza. I nie zmieni zdania, dopóki nie przejmę jego firmy. To było rozwiązanie. Lem wiedział to od dawna. Zajęcie ojcowskiego tronu było jedynym osiągnięciem, którego ojciec nie mógłby

zakwestionować. To był jedyny sposób zmuszenia go, by ujrzał w Lemie równego sobie. Dlatego Lem nie prowadził własnej korporacji. Mógłby to zrobić z łatwością. Miał kilka ofert, lecz je odrzucił. Żadna inna korporacja mu nie wystarczała. Ojciec zawsze patrzyłby na nią z góry.

Nie, Lem zamierzał przejąć na własność największe osiągnięcie ojca i zamierzał zrobić to w sposób tak przekonujący, że cały świat, nawet ojciec, uzna, że Lem na to zasłużył. Żadnego przewrotu. Żadnych sztuczek. Jaki to by miało cel? Ojciec powinien w tym uczestniczyć dobrowolnie. Powinien wiedzieć, że Lem zasłużył na to bez odrobiny jego pomocy. Inaczej zawsze byłby przekonany, że to jego osiągnięcie, a nie Lema. Nie, przejęcie firmy było jedynym sposobem zakończenia sprawy. Tylko wtedy ojciec uświadomi sobie, że nie ma już po co zastawiać kolejnych pułapek, nie ma po co prowadzić kolejnych gier czy dawać synowi nauczek. Szkoła się skończyła.

Ale jeśli Benyawe ma rację? Jeśli jedyną motywacją ojca jest miłość? To oczywiście było możliwe, chociaż myśl ta wydawała się Lemowi tak dziwna, że nie umiał się z nią oswoić. Ojciec nigdy nie był prostolinijny. Za jego motywami zawsze leżały inne motywy, a te najgłębsze zwykle były egoistyczne. Lem nie wątpił w miłość ojca. Wątpił w czystą, wydestylowaną jej formę. Czegoś takiego nigdy nie zaznał.

Uśmiechnął się do siebie. Widzisz, co ze mną robisz, ojcze? Zawsze każesz mi zgadywać. I kiedy już uważam, że cię rozgryzłem, każesz mi zastanawiać się nad tobą od nowa.

Powinien rozmówić się z Dublinem. Zwłoka wcale nie wynikała z winy inżyniera, jeśli ojciec rzeczywiście wydał mu zalecenia co do syna. Lem przeprosił Benyawe i udał się do laboratorium. Dublin w nastawni przylegającej do ładowni wodził rysikiem po hologramie glaserów. Boty w ładowni naśladowały ruchy Dublina i dokonywały precyzyjnych poprawek w glaserze. Lem obserwował z daleka, nie chcąc przeszkadzać. Najwyraźniej była to delikatna procedura. Dłonie inżyniera tańczyły wewnątrz hologramu i wśród przycisków poleceń niczym dłonie pianisty. Lem patrzył zafascynowany, czując nowy podziw dla Dublina. Inżynier znał każdą część glaserów, każdy obwód jak własną kieszeń. Ojciec nie umieścił go tu, by

poddać Lema próbie. Dublin otrzymał tę pracę, ponieważ na nią zasługiwał. Odłożył rysik, przeciągnął się i zauważył Lema.

- Nie widziałem, kiedy pan wszedł. Mam nadzieję, że nie czeka pan długo.

- Podziwiam to, czego dokonał pan przy glaserze, doktorze Dublin.

Inżynier wzruszył ramionami z zakłopotaniem.

- Sześć lat życia.

Byli sami. Lem poczuł się pewnie.

- Prosząc pana o kierowanie tym przedsięwzięciem, ojciec dał panu dowód dużego zaufania.

Dublin się uśmiechnął.

- Pański ojciec jest dla mnie wielkoduszny.

- Nie musi pan o nim dobrze mówić tylko dlatego, że jestem jego synem. Sam najlepiej wiem, że potrafi być nieco szorstki.

Dublin się roześmiał.

- Och, nie jest taki zły, jak niektórzy mówią. Ma może twardą skorupę, ale wewnątrz jest uroczym człowiekiem.

Lem musiał bardzo się starać, by zachować powagę. Uroczy? Słyszał wiele barwnych słów opisujących ojca; „uroczy” do nich nie należało. A jednak Dublin chyba mówił szczerze.

- Czy przed wyruszeniem ojciec wspominał o mnie w związku z tą misją?

- Powiedział mi, że będzie pan kapitanem statku - odparł inżynier - i że jest pan nadzwyczaj kompetentny.

Komplement od ojca? Oznaka apokalipsy. Oczywiście ojciec zapewne po prostu starał się uspokoić Dublina co do umiejętności załogi.

- Czy radził panu podejmować ze względu na mnie jakieś środki ostrożności?

- zapytał Lem. - Czy w jakikolwiek sposób dał panu do zrozumienia, że ma pan się mną opiekować? Pilnować mnie? Mieć na mnie oko?

Dublin wyglądał na zmieszanego.

- Ojcu leży na sercu pańskie dobro, panie Jukes. Nie może mu pan tego mieć za złe.

- Tak czy nie, doktorze Dublin? Czy wydał panu jakieś szczególne polecenia dotyczące mojej osoby?

Dublin był zbity z tropu. Szukał właściwych słów.

- Powiedział, że mam dopilnować, by nic się panu nie stało. Lem był wzburzony. Ojciec znów podcinał mu skrzydła. Czy nie zdawał sobie sprawy, że w ten sposób utrudnił Dublinowi decyzje? Bez względu na to, czy inżynier sobie to uświadamiał, za każdym razem, kiedy chciał włączyć glaser, wisiała nad nim groźba, że „coś się stanie Lemowi”. To oczywiste, że był ostrożny. Wszystko, co robił, niosło ze sobą możliwość wywołania gniewu dyrektora generalnego i rozczarowania go. Ale miało to też ważniejszy aspekt: czy ojciec nie zdawał sobie sprawy, że takimi instrukcjami robi z Lema dziecko? „Doktorze Dublin, proszę dopilnować, by mojemu chłopcu nic się nie stało”. Czy Dublin mógł darzyć Lema pełnym szacunkiem, jako kapitana statku, skoro kazano mu wierzyć, że Lem potrzebuje opiekuna, że trzeba go pilnować? Sugerowało to, że Lem nie potrafi zadbać o siebie. I owszem, ojciec wiedział, co robi. Wiedział, jak to umniejsza Lema w oczach Dublina. To był jego styl postępowania. Pozuje na czulego, kochającego ojca, który troszczy się o syna, lecz w rzeczywistości nadweręża zaufanie, jakie ludzie pokładają w Lemie. To było irytujące, bo nie zauważał tego nikt inny. Nikt nie znał ojca tak jak Lem. Gdyby okazał swoją złość Dublinowi albo Benyawie, powiedzieliby mu, że przesadza i że ojciec ma na względzie jego najlepsze interesy. Do diabła, ojciec zapewne sam w to wierzył. Ale Lem wiedział lepiej. Znajdujesz się w odległości ośmiu miliardów klików, ojciec, i nadal pociągasz za sznurki.

Pokręcił głową. A ja łudziłem się przez kilka chwil, że jedyną motywacją ojca mogła być miłość.

Dublin powinien odejść. A przynajmniej zostać pozbawiony możliwości podejmowania decyzji. To nie jego wina, ale Lem musi wysłać ojcu wyraźną wiadomość: nie potrzebuję opiekuna.

- Awansuję doktor Benyawie - oznajmił. - Będzie naszym dyrektorem operacji specjalnych. Zachowa pan swoją pozycję, jako główny inżynier, ale będzie pan jej podlegał. To ona teraz decyduje o kontynuowaniu testów lub ich zaprzestaniu. Proszę nie myśleć o tym jak o degradacji. Pańska praca jest bez zarzutu. Lecz opóźnienia zmuszają mnie do dokonania pewnych zmian. Zarząd na pewno się tego spodziewa.

Dublin z pewnością rozumiał, że pozbawia się go ostatecznej władzy podejmowania decyzji, lecz był też dość roztropny, by rozumieć, że jest tymczasową ofiarą walki o władzę między ojcem i synem. Albo to, albo był nad podziw potulny. Nie dyskutował.

Lem znalazł Benyawę w laboratorium, wziął ją na stronę i poinformował o awansie. Była zaskoczona.

- Dyrektor operacji specjalnych? Nie przypominam sobie takiego stanowiska.

- Właśnie je wymyśliłem - stwierdził Lem.

- Awansuje mnie pan, bo powiedziałam, że przeprowadziłabym test. Ale skąd będzie pan wiedział, że moja decyzja przeprowadzenia go wtedy, gdy inny inżynier postanowi tego nie robić, nie będzie rażącą lekkomyślnością? Z tego, co wiemy, ostrożność doktora Dublina mogła nam wszystkim ocalić życie. To potężna maszyna.

- Czytałem pani prace, doktor Benyawo, wszystkie, które były dostępne w firmie, a jest ich niemało. Podejrzewam, że gdyby pracowała pani na uczelni i mogła upubliczniać wyniki swoich badań, byłaby pani jedną z najbardziej szanowanych uczonych w swojej dziedzinie.

- Doktor Dublin cieszy się równym szacunkiem, Lemie.

- Odrzuca pani awans?

- Bynajmniej. Jestem zaszczyczona. Chcę tylko mieć pewność, że rozumie pan, iż nie przewyższam go kwalifikacjami.

- Podejmuje pani ryzyko tam, gdzie on tego nie robi - powiedział Lem i pomyślał: A, co ważniejsze, mój ojciec nie miał wpływu na pani działania. - Teraz proszę mi udowodnić, że moja decyzja jest słuszna.

* * *

Test zakończył się z chwilą rozpoczęcia. W jednej sekundzie asteroida poruszała się w przestrzeni kosmicznej. W następnej rozpadła się na kawałeczki. Największy ocalały fragment skały został pchnięty siłą wybuchu w stronę statku, ale włączył się system unikania kolizji i rozbił głaz.

Lem i Benyawę widzieli wszystko z pomieszczenia obserwacyjnego. Lem opuścił lornetkę.

- No, to było dość teatralne. Możemy uznać, że odnieśliśmy sukces?

Benyawe już stuknęła w swój panel danych, by wywołać obraz implozji asteroidy i obejrzeć materiał w zwolnionym tempie.

- Najwyraźniej nie umiemy jeszcze kontrolować glaserów w takim stopniu, w jakim byśmy chcieli - rzekła. - Pole grawitacyjne było ewidentnie za rozległe i zbyt silne. Nadal musimy dobrać ustawienia. - Spojrzała na Lema. - Dublin nie wahał się bez powodu. Glaser wytwarza pole grawitacji odśrodkowej, pole, w którym grawitacja przestaje spajać masę. Pole to rozszerza się wraz z eksplozją masy i niszczy wszystko po drodze, aż masa staje się tak rozproszona, że nie działają już wewnętrzne siły przyciągania. Musimy sobie postawić pytanie, jak daleko w stosunku do masy utrzymuje się to pole. Czy większe asteroidy wytwarzają rozleglejsze pole? I czy to pole osiągnęłoby statku? Mijmy nadzieję, że nie, w przeciwnym razie stałoby się z nami to samo, co z tym kamieniem.

- Wydawało mi się, że to pole jest nieduże - ocenił Lem.

- Przy skale tych rozmiarów - odparła Benyawe. - Ale co z większą masą? Dlatego musimy kontynuować testy, wybierając stopniowo coraz większe cele.

Lem nie chciał czekać. Już teraz chciał wysłać ojcu bardzo jasną wiadomość. Taką, która by mu pokazała, jak bardzo syn jest wolny od jego manipulacji. Jeśli ojciec sądził, że może kontrolować Lema tymi kamieniami, to Lem posunie się do przeciwnej skrajności. Od razu przejdzie do wielkiej ligi.

- W idealnym świecie powoli eksperymentowalibyśmy z coraz większymi asteroidami - powiedział. - Lecz ten test właśnie udowodnił, że Dublin okazał niepotrzebną ostrożność. Proponuję przejść od razu do skały sto razy większej od tego kamienia.

- Pański ojciec by się z tym nie zgodził.

I właśnie dlatego to zrobimy, chciał odpowiedzieć Lem, ale zamilczał.

- Ojciec powierzył mi zadanie udowodnienia, że glaser może być bezpiecznym i skutecznym narzędziem górniczym. Chce go jak najszybciej wprowadzić do użytku. Statki Jukę będą eksploatować duże skały, a nie jakieś kamienie.

Benyawe wzruszyła ramionami.

- Trzeba znać ryzyko.

- Wyraża się pani bardzo jasno. Ja znajdę następny cel, a pani przygotuje z Dublinem krótkie, choć wyczerpujące sprawozdanie dla mojego ojca i zarządu. Tylko tekst. Wideo proszę wysłać jako następną wiadomość. Chcę, żeby dobre wieści otrzymali jak najszybciej.

Lem wiedział, że wiadomości zajmujące dużo pamięci przesyłane laserem poruszają się powoli przez firmowe odbiorniki danych. Jeśli chciał coś szybko przekazać ojcu, najlepsza była krótka wiadomość tekstowa.

Wśliznął się do rury komunikacyjnej, ustawił karwa-sze i wydał magnesom polecenie, by pchnęły go do mostka. Ze wszystkich pomieszczeń znajdujących się na „Makarhu” do tego było Lemowi przyzwyczać się najtrudniej. Miało kształt walca, a załoga była rozmieszczona wzdłuż jego wewnętrznej zakrzywionej ściany, co mogło przyprawić o zawrót głowy. Kiedy wchodziło się na mostek z jednej strony, wszędzie znajdowali się ludzie - na górze, poniżej, po lewej i po prawej; wszyscy stali przy swoich stanowiskach ze stopami bezpiecznie przytrzymywanymi przy ścianie przez nagolenice. Pośrodku pomieszczenia znajdowała się kulista mapa układu - duży hologram otoczony projektorami, a w środku kuli niewielki hologram statku. Wraz z jego ruchem poruszały się otaczające go ciała niebieskie, lecz hologram statku cały czas pozostawał w centrum kuli. Lem ruszył w stronę mapy i zatrzymał się obok swojego pierwszego oficera Chubsa, Amerykanina.

- Dobry strzał - odezwał się Chubs. - Możemy oficjalnie wymazać ten kamyk z mapy układu.

- Potrzebujemy nowego celu - rzekł Lem. - Sto razy większego. Najlepiej położonego blisko i bogatego w minerały.

Chubs wyjął z przedniej kieszeni trykotu rysik.

- To proste. - Wybrał na mapie asteroidę poniżej statku i powiększył ją, by zajęła cały hologram. - Nazywa się 2002GJ166. Nie tak duża jak te z pasa asteroid, ale na tutejsze warunki jest spora.

- Jak daleko? - zapytał Lem.

- Cztery dni - odparł Chubs.

Zważywszy na to, że był to pas Kuipera i większość dużych obiektów znajdowała się zwykle w odległości kilku miesięcy od siebie, asteroida znajdowała się śmiesznie blisko.

- Brzmi idealnie - stwierdził Lem.

- Jeśli chcesz ją rozbić glaserem, to właściwie nie jest idealna - powiedział z wahaniem Chubs.

- Dlaczego?

- Stale obserwujemy ruch wokół nas - wyjaśnił Chubs. - Nasi chłopcy wiedzą, gdzie w sąsiedztwie znajdują się wszystkie inne statki górnicze. Twojemu ojcu bardzo zależało, żebyśmy przeprowadzali te próby terenowe z dala od ciekawskich oczu WU-HU, MineTech czy innego konkurencyjnego przedsiębiorstwa. Więc jeśli ktoś przebywa w pobliżu, naszą sprawą jest o tym wiedzieć. A ta asteroida, 2002GJ166, jest w tej chwili zajęta.

- Ktoś ją eksploatuje?

Chubs wykonał rysikiem kilka ruchów. Asteroida się zmniejszyła, a obok niej pojawił się hologram statku górniczego.

- Rodzina wolnych górników. Nie jest to duży klan. Tylko jeden statek, „El Cavador”. Według dokumentacji z Lunarnego Wydziału Handlu to rodzina wenezuelska. Ich kapitanem jest siedemdziesięcioczworoletnia Concepción Querales. A statek nie jest młodszy od niej. Prawdopodobnie był łatany tyle razy, że w tej chwili wygląda jak kosmiczny śmieć. Może z łatwością pomieścić sześćdziesiąt osób, ale znając wolnych górników, na pokładzie jest pewnie z dziewięćdziesiąt.

- Jeśli tam są, nie możemy przeprowadzić testu - stwierdził Lem.

- Na pewno byliby wdzięczni za nierozbicie ich w pył - zgodził się Chubs. - Ale nie spodziewaj się, że spakują się i odlecą w najbliższym czasie. Od kilku tygodni budują tam szyby górnicze. Zainwestowali w tę asteroidę dużo czasu i pieniędzy. I to im się opłaciło. Już wysłali na Lunę szybkostatkami dwa ładunki.

Szybkostatki tak naprawdę to wcale nie statki, lecz napędzane silnikami rakietowymi pociski przenoszące metale na Lunę. Wbudowane w nie transpondery stale wysyłały położenie, trajektorię i cel podróży oraz nazwisko właścicieli. Identyfikator rodziny zawsze był wbudowany w statek, żeby nie można go było porwać. Choć piraci i tak mieli małe szanse na przechwycenie

szybkostatków, bo poruszały się niewiarygodnie szybko, o wiele szybciej od jakiegokolwiek statku załogowego. W pobliżu Luny przechodziły pod kontrolę Sterowania Lunarnego, czyli STELU, który kierował je na orbitę, skąd mogły być odebrane i przekazane dalej.

- A gdybyśmy jednak zaczekali, aż odlecą, jak długo by to trwało? - zapytał Lem. - Tydzień? Rok?

- Nie wiadomo. Jukę nie przeprowadzało wielu badań skał tak daleko. Zwykle trzymamy się pasa asteroid. Nie mam pojęcia, ile metalu znaleźli. To mógłby być miesiąc. Albo osiem miesięcy.

- Jaka jest następna najbliższa asteroida? - zapytał Lem. Chubs odwrócił się do mapy i znów zaczął szukać.

- To ci się nie spodoba. Następna znajduje się w odległości czterech miesięcy i szesnastu dni. I są to cztery miesiące w niedobrym kierunku, dalej w otwartą przestrzeń. Więc byłyby to cztery miesiące w jedną stronę i cztery z powrotem do tego miejsca.

- Osiem miesięcy. O wiele za długo. Chubs wzruszył ramionami.

- To jest pas Kuipera. Przestrzeń kosmiczna i potem jeszcze więcej przestrzeni kosmicznej.

Lem wpatrzył się w mapę. Potrzebowali tej bliższej asteroidy. Im szybciej się nią zajmą, tym lepiej. Nie chciał, żeby górnicy wydobyli wszystkie metale. Celem testów było wykazanie zarządowi, że glaser jest opłacalny. Nie zamierzał tej skały tylko unicestwić. Chciał ją rozbić, zebrać wszystkie metale, jakie się da, sprzedać urobek i rzucić na stół w sali posiedzeń zarządu na Lunie wykaz dochodów.

Ale jak miał odebrać wolnym górnikom zyskowną kopalnię? Nie mógł im zapłacić, co - jako że był człowiekiem zamożnym - stanowiło jego strategię w każdym przedsięwzięciu. Wolni górnicy siedzieli na źródle swojego dochodu, prawdopodobnie długoterminowym źródle dochodu. Nie zechcą go oddać. Czyli jedynym realnym wyjściem było odebranie im go siłą.

- A gdybyśmy ich stuknęli? - zapytał Lem.

Nigdy nie był tego świadkiem, ale wiedział o takiej praktyce. Stuknięciem nazywano metodę działania różnych korporacji, chociaż żadna z nich jej nie dokumentowała. Była to forma

zajęcia cudzej działki górniczej. Statki korporacyjne podkładały się do terenu eksploatowanego przez wolnych górników i ich przepędzały. Były to skoordynowane ataki wymagające dużo sprzętu, lecz się opłacały. Wolni górnicy rzadko mieli dość sił, by się bronić, a jeśli dobrze wybrało się czas ataku, szyby już były wykopane. Tak więc wolni górnicy wykonywali większość prac, a korporacje zgarniały wszystkie korzyści. Owszem, metoda była pokrętna i Lema nie cieszył pomysł jej zastosowania, lecz ośmiomiesięczna podróż nie wchodziła w rachubę. Poza tym, jeśli krążące pogłoski były prawdziwe, ojciec przeprowadził sporo stuknięć w młodości, co pozwalało przypuszczać, że nie będzie się sprzeciwiał, jeśli i Lem się do tego weźmie - o ile sprawa nie wypłynie na światło dzienne. Chubs uniósł brew.

- Mówisz poważnie, Lemie? Chcesz ich stuknąć?

- Jeśli widzisz inne wyjście, z radością o nim usłyszę. Mnie też się to nie podoba, ale nie ma sensu ich prosić, żeby odlecieli. Nie posłuchają. A „Makarhu” da sobie z nimi radę. Ja się martwię o glaser. Nie chcę go narażać w jakiejś przepychance. Możemy ich stuknąć, nie naruszając go?

- Zależy, jak to zrobić - rzekł Chubs z namysłem. - Są przycumowani do asteroidy. Jeśli ich zaskoczymy, odetniemy cumy i uszkodzimy źródło mocy, to moglibyśmy ich odepchnąć łagodnie jak małego kotka. W takiej sytuacji będą całkowicie bezbronni. Prawdziwe zagrożenie stanowią ich rozbijacze kamyków.

„Rozbijacze kamyków” to slangowe określenie laserowej ochrony przed kolizją.

- Zaatakowalibyśmy dopiero po odcięciu im zasilania - powiedział Chubs. - Inaczej mogliby nas trafić laserami.

- A to ich nie zabije? Jeśli odetniemy im zasilanie, odetniemy system podtrzymywania życia.

- Dla niego na pewno mają pomocnicze źródło zasilania. To nie jest kłopot. Prawdziwym problemem jest dostanie się na tyle blisko, by w nich uderzyć. Mogą już wiedzieć, że tu jesteśmy. Mają skaner nieba. Jeśli ruszymy teraz w ich stronę, zauważą to. Zwłaszcza jeśli się pośpieszymy. Natychmiast wykryją ten ruch i będą mieli mnóstwo czasu na stworzenie ewentualnej obrony.

- Robiłeś to już wcześniej, Chubs. Muszą być jakieś sposoby podkradania się do asteroidy.

Chubs westchnął.

- Jest jeden, który zwykle przynosi zamierzone efekty. Nazywamy go „zielone światło, czerwone światło”. Znasz tę podwórkową zabawę?

Lem ją znał i domyślał się, co wiąże się z jej nazwą.

- Podkradniemy się, kiedy nie będą patrzeć.

- Kiedy nie będą mogli patrzeć - poprawił go Chubs. -Pamiętaj, że są zacumowani do asteroidy, więc obracają się razem z nią. Zbliżamy się do nich tylko wtedy, kiedy są po przeciwnej stronie asteroidy. Gwałtownie zwalniamy, ukrywamy ślad termiczny i gasimy wszystkie światła, zanim jeszcze wejdziemy w ich pole widzenia. Jesteśmy całkowicie niewidoczni. A gdy wraz z asteroidą odwrócą się od nas, rzucimy się naprzód. To wymaga ciągłego zatrzymywania się i ruszania za pomocą silników sterujących i hamujących, a także zużywa mnóstwo paliwa, ale jest wykonalne. No i zajęłoby sporo czasu.

- Wyznacz kurs - rzekł Lem. - I przygotuj wszystko, czego nam trzeba do stuknięcia. Jeśli wykryją nas zbyt wcześnie, chcę być w gotowości, żebyśmy mogli skoczyć do przodu i ich zaatakować.

Chubs pokręcił głową z uśmiechem, wstukując jednocześnie polecenia do nakładki na nadgarstku.

- Zaskakujesz mnie, Lemie. Uważałem cię za kogoś, kto ma wysokie zasady moralne. Wdawanie się w wojnę to chyba nie twój styl.

-Jesteśmy biznesmenami, Chubs. Wysokie zasady moralne są tam, gdzie je ustalimy.

Rozdział 3

Wit

Kapitan Wit O'Toole podjechał pod bramę główną Obozu Wojskowego Papakura w Auckland w Nowej Zelandii i pokazał żołnierzowi z wartowni swój amerykański paszport. W Papakura mieścił się miejscowy oddział Special Air Service, w skrócie NZSAS, nowozelandzka wersja służb specjalnych. Wit, oficer Policyjnego Oddziału Polowego - czyli POP-u, małej, elitarnej międzynarodowej jednostki sił pokojowych - stale poszukiwał wykwalifikowanych żołnierzy, których mógłby dołączyć do zespołu. Gdyby wytypowani przez niego kandydaci wykazali się wysoką inteligencją i umiejętnościami, gdyby zdołali zaliczyć wyjątkowy teścik, z przyjemnością powitałby ich u siebie.

Padał drobny deszcz, rozmazując obraz za przednią szybą. Żołnierz, który sprawdzał paszport, stał na deszczu, stukając palcem w arkusze danych. Znalazł zdjęcie Wita i porównał je z oryginałem. Wit uśmiechnął się do niego najprzyjaźniej, jak umiał. Drugi żołnierz obszedł samochód, prowadząc na smyczy owczarka niemieckiego, który obwąchał bagażnik i podwozie.

Wojskowi grali na zwłokę. Wit zauważył kamery umocowane nad wartownią. Niewątpliwie programy komputerowe służące do rozpoznawania twarzy sprawdzały, czy jest tym, za kogo się podawał. Miał nadzieję, że mimo zachlapanej deszczem przedniej szyby kamery uzyskały wystarczająco wyraźny obraz.

W paszporcie widniało jego pełne imię i nazwisko: DeWitt Clinton OToole, które otrzymał na cześć dalekiego przodka matki, gubernatora stanu Nowy Jork, inicjatora budowy kanału Erie. Znajdowały się tam pieczętki i wizy kilkunastu państw, chociaż żadną miarą nie stanowiły pełnego obrazu podróży Wita, reprezentowały tylko jego „oficjalne” wizyty na obcej ziemi. O wiele liczniejsze były jego nieudokumentowane wypadki do krajów na całym świecie, gdzie wraz ze swoim zespołem uderzał mocno i szybko w każdego, kto krzywdził cywilów. Na Bliskim Wschodzie, w Indonezji, Mikronezji, Afryce, Europie Wschodniej, Ameryce Środkowej i Południowej.

Żołnierz dotknął palcem komunikatora w uchu i przez chwilę słuchał, a potem oddał Witowi paszport.

- Może pan jechać, panie OToole.

Wit podziękował i usiadł wygodnie, a pojazd zajechał na parking i zatrzymał się w odpowiednim miejscu. Wit wziął kopertę z fotela obok niego, wysiadł i ruszył w kierunku muru okalającego wewnętrzny kampus. Przy bramie czekał starszy sierżant sztabowy. Miał na sobie mundur polowy i jasnobrązowy beret z wyhaftowanym emblematem NZSAS - skrzydlatym sztyletem i słowami „Śmiały wygrywa”.

- Witamy, kapitanie OToole. Starszy sierżant sztabowy Manaware. Kiepsko, że podczas pańskiej pierwszej wizyty w Auckland akurat pada.

- Nic nie szkodzi, sierżancie. Lubię deszcz. Dzięki niemu nasi wrogowie nie wychodzą na dwór i nas nie zabijają.

Manaware się roześmiał.

- Mówi pan jak prawdziwy żołnierz SEAL. Każdy pretekst jest dobry, żeby uniknąć walki.

Wit zrewanżował mu się uśmiechem. Wojskowa gadanina. Nasze siły specjalne mogą załatwić wasze siły specjalne. Wy jesteście nieudolnymi idiotami. My to prawdziwi, zahartowani wojownicy. Żołnierze rozmawiają ze sobą w ten sposób od czasu, kiedy pierwsi jaskiniowcy podnieśli na siebie kije. A jednak Manaware mówił też coś innego: kiwi się przygotowali. Zbadali przebieg służby wojskowej Wita i, co więcej, informowali go o tym. Mówili: „Obserwujemy cię tak pilnie, jak ty nas, brachu”. Witowi to nie przeszkadzało. Wolał tak. Nie znosił rozmów,

podczas których wszyscy udają, że nie wiedzą, co wiedzą pozostali. Takie jest wojsko, zwłaszcza wśród wyższych szarż. Nic nie przypomina zabawy w kotka i myszkę bardziej niż rozmowa dwóch generałów tej samej armii, z których obaj ukrywają informacje dla osobistych korzyści. To doprowadzało Wita do szału. I był to główny powód, dla którego nie zajmował miejsca wśród wysokich rangą.

Manaware zaprowadził Wita do kompleksu. Była to baza wojskowa jak każda inna. Hangary, place ćwiczeń, koszary, biura. Weszli do budynku leżącego po prawej stronie. Dwóch żołnierzy SAS zamiatało hol dużymi szczotkami. Na widok Manaware'a stanęli na baczność.

- Spocznij - powiedział starszy sierżant sztabowy, idąc w stronę schodów.

Żołnierze natychmiast wrócili do sprzątania. Wit zawsze był pod wrażeniem tego, jak SAS wpajała swoim ludziom przekonanie, że żadna praca nie hańbi; człowiekowi służącemu krajowi niestraszne są nawet najgorsze obowiązki. Odwieczny żart głosił, że podczas uroczystości kończącej dziewięć miesięcy szkolenia żołnierze SAS jedną ręką przyjmują upragniony jasnobrązowy beret, a drugą - szczotkę do zamiatania.

Manaware zaprowadził Wita do drzwi i lekko w nie zastukał.

Usłyszeli zaproszenie do środka.

Biuro pułkownika Napatu było niewielkim pomieszczeniem z nielicznymi ozdobami. Napatu uściśnął Witowi dłoń mocniej, niż można się było spodziewać po kimś w jego wieku, i poprosił gościa, by usiadł.

- Mogę panu zaproponować coś do picia, kapitanie OToole? - zapytał Manaware. - Może herbatę owocową z cytryną?

Ostatnia szpila wojskowej gadaniny. Czy nie to pijecie wy, kobiety z marynarki wojennej? Herbatę owocową z cytryną? Wit uśmiechem przyznał się do przegranej.

- Nie, dziękuję, sierżancie sztabowy. Jest pan bardzo uprzejmy.

Manaware mrugnął i wyszedł.

Pułkownik Napatu usiadł przy niskim stoliku naprzeciwko gościa.

- Słyszałem, że w Mauretanii stracił pan trzech ludzi.

- Tak jest - odparł Wit. - Dobrych ludzi. Nasz konwój został trafiony przez IB. Czołowy pojazd przyjął na siebie główny impet wybuchu. Znajdowałem się w drugim pojeździe i dlatego nic mi się nie stało.

- Improwizowany ładunek wybuchowy, broń tchórzy. Słyszałem, że jednego z rannych niósł pan cztery kilometry do miejsca ewakuacji.

- To był serdeczny przyjaciel, sir. Umarł podczas operacji. Napatu skinał głową.

- Świat to niebezpieczne miejsce, kapitanie O'Toole.

- Dlatego istnieje POP, sir. Wojna zawsze powoduje najwięcej ofiar wśród postronnych. Naszym zadaniem jest powstrzymanie chaosu, zanim więcej postronnych straci życie.

- To brzmi jak przemówienie z podręcznika, O'Toole. Recytuje to pan wszystkim dowódcom?

- Nie, sir. Po prostu tym się zajmujemy.

- Przynajmniej nie jesteście jak ta cholerna ONZ, która wysyła swoich chłopców dopiero po zakończeniu wojny.

Wit nic nie odpowiedział. Nie przyjechał tu po to, by wygłaszać poglądy polityczne czy krytykować inne siły. Przyjechał tu po ludzi. Napatu zmiłygował się i zmienił temat.

- Zapewne napotykanie duży opór cywilnych organów ochrony porządku publicznego.

- Prawie zawsze. Lecz tam, dokąd się udajemy, sir, miejscowe organy ochrony porządku publicznego zwykle stanowią tylko część problemu.

- Korupcja?

- Morderstwa. Handel narkotykami. Handel ludźmi. W takich okolicznościach lokalna policja to banda zbirów w mundurach. Do zmiany władzy w niestabilnych krajach trzeba niewiele, panie pułkowniku. Jeśli jakiś watażka pozbywa się szefa policji, to nagle wszyscy policjanci stają przed wyborem. Albo mogą złożyć przysięgę na wierność watażce i zachować odznakę oraz broń, albo mogą patrzeć, jak watażka tnie na kawałki ich żony i dzieci. Albo, co zdarza się równie często, watażka dokonuje egzekucji wszystkich funkcjonariuszy i rekrutuje do policji swoich lojalnych popleczników.

Napatu odchylił się na oparcie krzesła.

- Szef Sił Obronnych powiedział mi, że mam panu umożliwić rekrutację dowolnych żołnierzy spośród mojego personelu. Dać pełny dostęp do wszystkich naszych obiektów i oddziałów. Ma pan najwyższy certyfikat bezpieczeństwa.

- Oto oficjalny list podpisany przez szefa Sił Obronnych oraz ministra obrony.
- Wit położył na stole kopertę.

Napatu nawet na nią nie spojrział.

- Obaj wiemy, panie kapitanie, że te podpisy guzik znaczą. Mogę wymyślić najróżniejsze zasadne powody, dla których nie powinien pan zabrać żadnego z moich ludzi, a wszystkie te szychy w garniturach się ze mną zgodzą. Powody rodzinne, zdrowotne, emocjonalne. Dają panu te dokumenty, bo muszą. Inne postępowanie byłoby politycznym samobójstwem. Ale te dokumenty nie mają dla mnie najmniejszego znaczenia. Weźmie pan sobie moich chłopców tylko wtedy, jeśli ja się na to zgodzę.

Napatu miał rację. Te podpisy były formalnością. Wit w gruncie rzeczy poczuł ulgę, że pułkownik też zdaje sobie z tego sprawę. Wolał, żeby Napatu dał mu ludzi dlatego, że chciał, a nie dlatego, że ktoś go do tego zmusił.

- Czemu sądzi pan, że ktokolwiek z moich ludzi zechce zrezygnować ze swojego stanowiska i przyłączyć się do pana? - zapytał Napatu. - Czy ma pan pojęcie, panie kapitanie, że prawie niemożliwe jest się dostać do tej jednostki? Czy wie pan, co wycierpieli ci ludzie, jakie tortury przeszli, by mieć szansę noszenia jasnobrązowego beretu?

- Tak, sir. Analizowałem wasz proces selekcji i cykl szkolenia. Ci ludzie pokonują drogę do piekła i z powrotem i bardzo niewiele daje sobie radę.

- Analizował pan? - zapytał Napatu. - Z całym szacunkiem, panie kapitanie, zajrzenie do książki opisującej ten proces raczej nie da panu dokładnego pojęcia o tym, co to znaczy zostać żołnierzem SAS.

To nie mogło być trudniejsze od mojego szkolenia SEAL, pomyślał Wit, jednak nic nie powiedział. Nie zamierzał brać udziału w zawodach sikania na odległość.

Pułkownik Napatu uderzył wyprostowanym palcem w stół.

- Aby do nas wstąpić, panie kapitanie, ci ludzie ocierają się o śmierć. Zmuszamy ich do nadludzkiego wysiłku, by ich

złamać, a potem zmuszamy ich do wysiłku dwa razy większego. Podczas procesu szkolenia odpada tylu, że to cud, że w ogóle tu kogoś mamy. Ale nielicznym jakoś się udaje. Ludziom, którzy nie potrafią odpuścić. Ludziom, którzy potrafią wytrzymać każde cierpienie fizyczne, ponieść każdą ofiarę. Żołnierzem SAS nie zostaje się po to, by imponować samotnym dziewczynom w pubach, panie kapitanie. Trzeba mieć motywację twardą jak skała. Trzeba tego chcieć tak bardzo, że chęci tej nie zniweczy nawet groźba śmierci. I kiedy ci ludzie już wstąpią w nasze szeregi, wytwarza się między nimi braterstwo tak silne, że nic nie może go rozbić. A pan, zupełny obcy, sądzi, że może tu wkroczyć jak gdyby nigdy nic i przekonać ich, by porzucili wszystko, na co tak ciężko pracowali, tylko po to, by przyłączyć się do pana? Uważam to za wyjątkową arogancję.

To była standardowa reakcja, Wit spotykał się z nią za każdym razem. Bez względu na język, którym się posługiwali, czy zakątek świata, z którego pochodzili, wszyscy dowódcy jednostek sił specjalnych reagowali tak samo. Swoich żołnierzy uważali za swoich synów. I myśl, że któryś z ich synów mógłby się zastanawiać nad zmianą jednostki, była nie do zniesienia.

Lecz Wit znał żołnierzy lepiej niż Napatu. Rozumiał umysł wojownika. Najlepsi żołnierze tych elitarnych oddziałów nie wstępowali do sił specjalnych dla prestiżu albo braterstwa. Robili to, bo chcieli działać. Nie zaciągali się po to, by szkolić się przez pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku i spać na wygodnych pryczach z puchowymi poduszkami. Zaciągali się po to, żeby spać w deszczu z ręką na broni.

Musiał powiedzieć to delikatnie; dowódcy mieli kruche ego.

- Pańskie zastrzeżenia są uzasadnione, panie pułkowniku. Pańscy ludzie to wzór lojalności wobec ich kraju i jednostki. Jednakże POP oferuje im coś więcej. Działanie. Mnóstwo akcji. Ponieważ jest nas tak mało, jesteśmy rozlokowywani po całym świecie o wiele częściej niż większe oddziały, jak pański, co często wymaga zgody kongresu czy parlamentu. POP nie znajduje się na łasce polityków troszczących się o własne przetrwanie i o to, co działanie wojskowe będzie dla nich oznaczało przy urnach wyborczych. My wkraczamy wszędzie, sir.

- My także przeprowadzamy tajne misje, panie kapitanie. Chyba nie sądzi pan, że gazety piszą o wszystkich naszych operacjach.

- Wiem o pańskich działaniach, panie pułkowniku. I o tajnych misjach, i o tych, które nie docierają na pańskie biurko, ponieważ któryś z pańskich przełożonych zawetował daną operację tylko dlatego, że to nie był jego pomysł. W tym wojsku są karierowicze, panie pułkowniku, jak w każdym innym wojsku na świecie. Nie jest pan jednym z nich, lecz ma pan ich wielu nad sobą.

Pułkownik Napatu nie znalazł na to żadnej odpowiedzi. Na pewno wiedział, że wśród jego przełożonych są tacy ludzie. Cierpiał pod ich rozkazami przez całą swoją karierę. I zapewne ze złością dowiedział się, że Wit więcej od niego wie o tajnych operacjach krążących po wyższych szczeblach dowództwa.

- Oferujemy coś jeszcze - ciągnął Wit. - Uzna pan to za kolejny przejaw arogancji, ale możliwe, że POP to najbardziej elitarna jednostka bojowa na świecie. Przynajmniej na małą skalę. Nasi żołnierze rekrutują się z najlepszych jednostek specjalnych. Z rosyjskich Alf, amerykańskiej Delta Force, brytyjskiej SAS, amerykańskiej Navy SEAL, izraelskiego Shayetet 13, francuskich Zielonych Beretów. Te jednostki przyjmują tylko najlepszych żołnierzy, sir, tych, których nazywają „jednoprocentowcami”. My przyjmujemy tylko najlepszych spośród ich najlepszych. Zaliczanie się do nas to niewiarygodny zaszczyt. Żołnierze, którzy do nas wstępują, nie wyrzekają się patriotyzmu. Twierdzą nawet, że służba w naszej jednostce stanowi jeszcze większy dowód miłości ojczyzny, ponieważ reprezentuje się swój naród na skalę globalną. Niech pan zapyta samego siebie, panie pułkowniku, czy gdyby otrzymał pan możliwość reprezentowania Nowej Zelandii jako jeden z nielicznych żołnierzy doskonałych, idealny wojownik, to nie byłby pan przynajmniej zaintrygowany takim pomysłem?

- Zgodzę się, że niektórzy mogą skwapliwie skorzystać z możliwości uczestniczenia w większej liczbie akcji - rzekł Napatu - ale dlaczego mielibyśmy się pozbywać naszych najlepszych żołnierzy na rzecz innej armii znajdującej się poza naszą jurysdykcją?

- Ponieważ POP pozwala Nowej Zelandii mieć udział w globalnej stabilizacji bez martwienia się o konsekwencje polityczne, sir. Wyślijcie brygadę Nowozelandczyków do Afryki Północnej, a efekty polityczne mogą być katastrofalne. Nagle Nowa Zelandia jest tyranem dla świata. Ale wyślijcie kilku Nowozelandczyków, stanowiących część międzynarodowej jednostki wojskowej starającej się zachować prawa człowieka, a konsekwencje będą niewielkie lub żadne. Nikt nie może oskarżyć Nowej Zelandii o imperializm. Każde działanie podejmowane przez POP jest aktem globalnej dobrej woli.

- Niektórzy mówią, że POP to psy Zachodu, kapitanie OToole, że jesteście zaledwie trepami amerykańskiego wywiadu. Marionetkami CIA ładnie przebranymi za międzynarodową minikoalicję.

Wit wzruszył ramionami.

- A jeszcze inni mówią, że jesteśmy bezdusznymi mordercami dzieci, prowadzącymi osobistą wojnę aktualnej amerykańskiej administracji. To propaganda, panie pułkowniku. Obaj wiemy, kim jesteśmy i co robimy.

Napatu milczał. Wit pozwolił, by pułkownik przemyślał sprawę, chociaż wiedział, że Nowozelandczyk zmieni zdanie.

- Kogo ma pan na myśli? - zapytał w końcu Napatu.

Wit wyjął z kieszeni podręczny komputer i położył go przed sobą na stole. Rozłożył boki oraz cienki pręt na górze i włączył holo. W powietrzu nad nim pojawiła się ściana danych ze zdjęciami i dokumentami pięciu wojskowych. Wit obrócił urządzenie w stronę Napatu.

- Pragnęlibyśmy sprawdzić tych ludzi.

- Sprawdzić?

- Przeprowadzić test umiejętności, sir. Chcemy najlepszych i najbardziej chętnych kandydatów. Jeśli wszystkich pięciu przejdzie test i okaże wolę służenia w naszej jednostce, przyjmiemy wszystkich. Jeśli żaden nie zaliczy testu, podziękujemy im oraz panu za poświęcony nam czas i nie będziemy pana więcej kłopotać. Proste.

Pułkownik Napatu przejrzał nazwiska. Nie okazywał zaskoczenia, dopóki nie dotarł do ostatniego, najmłodszego kandydata. Jak wszyscy żołnierze z jednostki, zasługiwał na zaliczenie

w poczet SAS, ale w przeciwieństwie do pozostałej czwórki nie sprawdził się jeszcze w walce. W SAS służył dopiero od pięciu miesięcy i był całkiem zielony.

- Może pan wybrać sobie, kogo pan chce - rzekł Napatu. -Niektórzy to sprawdzeni wojownicy o nienagannym przebiegu służby i najwyższych ocenach. A pan wybiera tego żółtodzioba?

- Tak, sir - odparł Wit. - Porucznik Mazer Rackham bardzo nas interesuje.

* * *

Następnego dnia o świcie Wit stał w małej trawiastej dolince leżącej o dwie godziny drogi na północny wschód od Papakura. Wokół dolinki rozpościerał się gęsty Las Mataitai z wysokimi drzewami tanekaha i soczyste zielonymi paprociami. Przed Witem stało na baczność pięciu mężczyzn; patrzyli przed siebie, złożone piętami stopy rozchylili pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Mieli wojskowe bawełniane koszulki i polowe spodnie. Wit kazał im tak stać bez ruchu w porannym chłódzie przez godzinę.

Spojrzał po kolei na każdego. Wszyscy byli silni, lecz tylko dwóch miało potężną muskulaturę kulturystów. Dwaj byli przeciętnego wzrostu i przeciętnej budowy ciała, a ostatni, Maorys Mazer Rackham, był szczupły i nieco niższy.

Jednak w siłach specjalnych postura nie ma wielkiego znaczenia. Owszem, krępy tułów i duże ramiona mogą być źródłem większej siły, ale też stanowią łatwiejszy cel i komuś nimi obdarzonemu trudniej się ukryć, nie mówiąc już o zachwianiu środka ciężkości i mniejszej zwinności. Wit, który był roślejszy od nich wszystkich, wiedział to z doświadczenia. Podczas sparingów mężczyźni o połowę od niego mniejsi łamali mu nos wystarczająco wiele razy, by nabrał pewności, że więksi żołnierze niekoniecznie są lepszymi żołnierzami.

Poczuł w kieszeni wibrację podręcznego komputera, co było sygnałem, że jego ludzie zajęli pozycje. Czas na przedstawienie.

- Dzień dobry, panowie. Wiecie, kim jestem, i wiecie, dlaczego się tu znaleźliście. Dzisiaj przeprowadzimy ćwiczenie wstępne. Jeśli je zaliczycie, zakwalifikujecie się do próby. Chciałbym podkreślić, że bez względu na to, czyją przejdziecie pozytywnie,

czy nie, możecie czerpać dumę z faktu, że zostaliście do niej wybrani z całych sił obronnych Nowej Zelandii. Reprezentujecie najwyższy stopień gotowości i wyszkolenia, jesteście chlubą swojego kraju.

Żołnierze patrzyli nieruchomym wzrokiem przed siebie, nie okazując żadnych emocji.

- Kiedy tu sobie tak staliśmy, ciesząc się ślicznym rześkim porankiem - ciągnął Wit - członkowie mojego zespołu ukryli się w lesie dookoła nas. Właśnie otrzymałem potwierdzenie, że możemy zaczynać i że bardzo chcą was skompromitować. Na ziemi przed wami leżą czterdziestokilogramowe plecaki. Każdy z was zanieś jeden z nich do kryjówki położonej pięć kilometrów stąd. Współrzędne tego domu, mapa i kompas są w plecakach. Jest tu też dla każdego niewielki automatyczny karabin, z jakim prawdopodobnie nie mieliście jeszcze do czynienia. Posługuje się nim wyłącznie POP. Ma wiele nazw: Spłaszczacz, Twórca Aniołów albo - i to jest moja ulubiona nazwa - Bilet do Piekła, ponieważ wysyła wielu naszych wrogów w podróż bez powrotu do samego diabła. Oficjalnie nazywa się P87 i jeśli wstąpicie do nas, panowie, stanie się on waszym zaufanym i wielce oddanym towarzyszem, którego zawsze będziecie mieli u boku. Będziecie z nim sikać, jeść owsiankę, brać prysznic i spać. Nie myślcie o nim jak o broni, lecz jak o koźczyńce, o której istnieniu dotychczas nie wiedzieliście. W SAS uczycie się posługiwać wieloma rodzajami broni niekonwencjonalnej, lecz P87, kiedy już zapoznacie się z jego charakterystyką, może zaskoczyć nawet was.

Ale ponieważ jest to ćwiczenie, a nie prawdziwa walka, karabiny są naładowane dwudziestoma nabojami pajęczymi. - Wit uniósł w palcach czerwoną kulkę. - Naboje pajęczce nie zabijają, lecz obozwładniają. Trafiony człowiek zostaje porażony ładunkiem elektrycznym, co na długo zostaje mu w pamięci. Jeśli któryś z was ma rozrusznik serca albo jest w ciąży, powinien się wycofać.

Dwóch żołnierzy uśmiechnęło się półgębkiem.

- A, jednak nie jesteście zombi - powiedział Wit. Jeszcze raz pokazał im kulkę. - Moi ludzie są wyposażeni w takie same naboje. Jeśli zostaniecie trafieni, a wiercie mi, zauważycie to,

wasz udział w ćwiczeniu się kończy. W tym ćwiczeniu nie obowiązują zasady prowadzenia prawdziwych działań bojowych, rannych członków oddziału macie zostawić. Jeśli jeden z was padnie, reszta ma iść dalej. Waszą misją nie jest dotarcie do kryjówki. Waszą misją jest dostarczenie tam mnie. Będę grał rolę dyplomaty, którego macie chronić. Jeśli zostanę ranny, ćwiczenie się kończy. Podobnie jak moi ludzie kryjący się w lesie, mam na sobie tak zwany kombinezon tłumiący. Jeśli zostanę trafiony, przyjmie on ładunek elektryczny, a mnie się nic nie stanie. Ponieważ wszystkim wam zależy na moim osobistym bezpieczeństwie, pomyślałem, że o tym wspomnę.

Wywołało to kolejny półuśmiech paru kandydatów.

- Proszę, żebyście cały czas mieli na głowach hełmy z opuszczonymi osłonami. - Wit włożył hełm i dociągnął pasek pod brodą. - Zaczynajcie.

Żołnierze natychmiast ruszyli do działania; włożyli hełmy i otoczyli Wita, stając do niego plecami.

- Proszę uklęknąć, sir - powiedział jeden z nich. Wit przyklęknął, chowając się wewnątrz kręgu.

Mazer trzymał się z boku, teraz ładował karabiny i rzucał je żołnierzowi znajdującemu się najbliżej niego. Ten przekazał dwa karabiny koledze z lewej strony i jeden koledze z prawej, aż wszyscy stojący w kręgu byli uzbrojeni.

Zaimponowali Witowi. Cały manewr zajął im tylko parę sekund. Działali sprawnie, bez słów, jakby to zadanie ćwiczyli setki razy.

W ziemię wokół nich trafiły pociski wystrzelone z północy spośród drzew. Celowo chybiały strzały, coś na podniesienie ciśnienia.

Szorstkie dłonie poderwały Wita na nogi i wszyscy wycofali się na południe z Witem nadal pozostającym w ochronnym kręgu. Jeden z Nowozelandczyków położył osłonę ogniową, nastawiwszy swojego P87 na serie po trzy pociski. Mazer chwycił trzy plecaki i popędził za nimi. Żołnierze zajęli pozycję obronną wśród drzew i opróżnili jeden plecak. Mazer znalazł współrzędne, mapę i wytyczył na niej trasę.

Skoro poznali miejsce docelowe i poczuli się bezpieczni od ognia wroga, zaczęli dyskusję. Rozważyli wszystko. Pomiędzy

drzewami na północy od dolinki zasadził się snajper. Na trawie zostały dwa plecaki. W trzech, które mieli ze sobą, znajdowało się takie samo wyposażenie, więc w dwóch pozostałych nie spodziewali się znaleźć niczego nowego. Mieli ograniczoną ilość amunicji. W kilku miejscach las się zwężał, co stanowiło idealne miejsca na zasadzki. Mieli wodę, ale nie jedzenie. A zegar tykał.

Wit zauważył, że każdy mówił spokojnie i inteligentnie, wskazując możliwe zagrożenia czy zmiany trasy. Nikt nie usiłował mówić jednocześnie z innymi, a każdy był na tyle skromny, by rozpoznać pomysły lepsze od swoich.

Oczywiście wszyscy mieli świadomość, że Wit ich obserwuje. Wiedzieli, że to chwila równie ważna jak działania podejmowane po drodze. A mimo to było dla Wita jasne, że nikt nie stara się zrobić na nim wrażenia. Tak zostali wyszkoleni. Działali w sposób zdyscyplinowany, sprawnie, wspólnie i bez puszenia się.

- W tym ćwiczeniu jest pan także żołnierzem czy tylko dyplomata, sir? - zwrócił się do Wita Mazer Rackham. - To znaczy czy dla celów tego ćwiczenia potrafi pan strzelać z tej broni?

-Tak.

-I użyje jej pan dla swojej obrony najlepiej, jak pan potrafi? -Tak.

Mazer natychmiast podał swój karabin Witowi.

- Sir, czy jako dyplomata obeznany z takim scenariuszem ma pan jakieś informacje na temat osób pragnących wyrządzić panu krzywdę? - zapytał drugi żołnierz.

Wit się uśmiechnął. Normalni żołnierze traktowaliby go tylko jako ciepłe ciało, które muszą ciągnąć z sobą. Wyciąganie od niego informacji byłoby sprzeczne z „zasadami”. Ci byli mądrzejsi.

- Dobrze znam naszego wroga - odparł Wit. - Zarówno jego umiejętności, jak taktykę.

Wtedy posypały się pytania. Ilu ich jest? Jakie mają mocne strony? Jakiej broni używają? Gdzie mogli zająć pozycje? Jak się ze sobą komunikują?

Dwa razy się przemieszcili, by nie pozostawać długo w jednym miejscu. Kiedy wyczerpali pytania, zmodyfikowali trasę i zaczęli się szykować do drogi. Za pierwszy cel postavili sobie odzyskanie ostatnich dwóch plecaków.

Woleli nie wychodzić na otwarty teren, więc trzech żołnierzy poświęciło pół godziny na wytopienie snajpera, który ukrył się na drzewie. Nie stawiał dużego oporu. Kiedy został zauważony, dał się zastrzelić i jego kombinezon tłumiący rozjarzył się czerwienią.

Nowozelandczycy wzięli ostatnie dwa plecaki i razem z Witem ruszyli na wschód ku domowi wyznaczonemu na kryjówkę. Dwóch szło daleko z przodu, przeczesując teren. Dwaj inni osłaniali Wita w środku - jednym z nich był Mazer Rackham, teraz nieuzbrojony. Ostatni żołnierz szedł z tyłu.

W zasadzkę wpadli dwa kilometry dalej.

Dwaj Nowozelandczycy padli w drgawkach, zanim ktokolwiek zdołał odpowiedzieć ogniem. Żołnierze POP-u otaczali ich ze wszystkich stron; byli wszędzie - na drzewach, za powalonymi pniami, w wykopanych jamach.

Wit strzelił trzy razy i wśród drzew rozjarzyły się trzy kombinezony tłumiące. Kolejne dwa strzały i ucichły dwie jamy. Pozostali Nowozelandczycy wyeliminowali następnych trzech żołnierzy POP-u i odciągnęli Wita na południe. Kapitan zauważył, że Mazer Rackham odebrał broń jednemu z „zabitych”. W drzewa i podszycie wokół nich ze świstem wbijały się naboje pajęczne.

Po siedemdziesięciu metrach znaleźli się na otwartym terenie i rzucili się biegiem ku wąwozowi. Mimo ciężaru plecaków i uderzenia adrenaliny podczas strzelaniny nikt nie był zadyszany.

- Dlaczego dałeś mi swój karabin? - zapytał Wit Mazera. - Zaangażowałeś mnie w walkę. Ściągnąłeś na mnie jeszcze większy ogień, ponieważ zacząłem stanowić dla naszego wroga zagrożenie. Nie byłem już tylko celem.

- I tak by do pana strzelali, sir. Podjąłem to ryzyko po rozważeniu, co moglibyśmy zyskać, dając panu broń.

- Coście zyskali?

- Pan lepiej zna wrogów. Jest pan dobrze wyszkolonym i doświadczonym żołnierzem, więc będzie pan czujny przynajmniej tak jak ja. Zna pan także naszą amunicję lepiej ode mnie, więc lepiej ocenia prędkość lotu pocisku i inne parametry celowania. Ponadto doskonale zna pan tę broń i wszystkie jej możliwości. Ja nie. Co oznacza, że prawdopodobnie lepiej

pan strzela ode mnie. Z tego, jak pan sobie poradził, widzę, że miałem rację. Co ważniejsze, umie się pan bronić. W chaosie walki możemy nie dostrzec wszystkich zagrożeń. Jeśli coś umknie naszej uwagi, potrafi pan takie zagrożenie wyeliminować. Naszym zadaniem nie jest przeżycie, sir. Naszym zadaniem jest doprowadzić pana do bezpiecznej kryjówki. Istnieje prawdopodobieństwo, że uzbrojony dotrze pan tam nawet wtedy, gdy reszta z nas zginie.

Wit się zatrzymał.

-Stać!

Trzej żołnierze wykonali rozkaz.

- Powinniśmy iść dalej, sir - rzekł jeden z nich. - Kryjówka znajduje się w odległości zaledwie dwóch kilometrów, a nasza pozycja jest zagrożona.^k

- Nie ma żadnej kryjówki - oznajmił Wit. - Tam jest puste pole. Dotarliśmy wystarczająco daleko.

- To koniec ćwiczenia?

- Tak. Proszę ze mną, panowie.

Wit wpisał do podręcznego komputera jakieś polecenie.

Pięć minut później znaleźli się na dole wąwozu, gdzie czekało kilkunastu żołnierzy POP-u. Było tam też dwóch Nowozelandczyków postrzelonych z zasadzki, wyraźnie rozczarowanych, pewnych, że nie przeszli testu.

- Gratulacje, panowie - powiedział Wit. - Cała wasza piątka zaliczyła to wstępne ćwiczenie. Moim celem była obserwacja waszego działania, jako zespołu i się nie zawiodłem. Wasze zachowanie było tym bardziej godne podziwu, że zostaliście starannie wyselekcjonowani z różnych jednostek i nigdy przedtem nie współpracowaliście. To pozwala mi sądzić, że jeśli przejdziecie testy, z łatwością się włączycie do działań naszego zespołu. Jestem wam jednak winien ostrzeżenie. Testy są trudne. Jeśli któryś z was ma wątpliwości i wolałby się wycofać, powinien to zrobić teraz.

Nikt się nie odezwał.

- Doskonale - stwierdził Wit. - Zaczniemy, kiedy tylko się obudzicie.

Jeden z Nowozelandczyków wyglądał na zdeorientowanego.

- Obudzimy się, sir?

Pięciu żołnierzy POP-u uniosło pistolety i strzeliło do pięciu kandydatów pociskami ze środkiem uspokajającym. Nowozelandczycy przewrócili oczyma, w których malowało się zaskoczenie, i runęli na ziemię.

* * *

Ciężarówka z naczepą jechała drogą numer 1 na północny zachód do Auckland. Naczepa miała dobrą wentylację, była długa, szeroka i nosze z pięcioma śpiącymi mężczyznami mieściły się w niej z łatwością.

Wit nie lubił usypiać ludzi, a zwłaszcza wyszkolonych, sprawnych żołnierzy, dobrze służących swemu krajowi. Wiedział jednak, że to konieczne. Potrzebował ludzi, którzy wykonywali swe obowiązki z całkowitą bezwzględnością, a test, mimo że był paskudny i niehumanitarny, mierzył dokładnie to, co Wit chciał wiedzieć.

Niski Filipińczyk Calinga przeszedł się wzdłuż noszy, zatrzymując się przy każdym, by sprawdzić parametry życiowe usypionych żołnierzy. Kiedy skończył, usiadł obok Wita.

- Jak myślisz, kto przejdzie?
- Mam nadzieję, że wszyscy. Potrzebujemy znacznie więcej niż pięciu ludzi.
- Ja stawiam na Mazera Rackhama. Tego, który dał ci swój karabin.
- Oddanie broni to raczej nie jest wyróżnik superżołnierza, Calinga.
- W tych okolicznościach uznałem to za sprytne posunięcie.
- Ty kiedykolwiek oddałbyś swoją broń? Calinga wzruszył ramionami.
- To zależy. Jeśli w zamian dostałbym lepszą, potężniejszą, lepiej dostosowaną do aktualnego zadania, to zdecydowanie tak. Oddałbym to maleństwo w mgnieniu oka. I to właśnie zrobił Rackham. Oddając swoją broń, dostał w zamian większą i potężniejszą. Ciebie. Wiedział, że z tym karabinem jesteś lepszy od niego z takim samym karabinem. I to się opłaciło. Zdjąłeś kilku ludzi, łącznie ze mną. A ja nie wypadam z gry łatwo.

- Ja nie potrzebuję siebie do zdejmowania wroga. Potrzebuję ludzi, którzy potrafią to zrobić bez mojej pomocy.

- Potrzebujesz ludzi, którzy potrafią myśleć niekonwencjonalnie i działać metodami, których zwykli żołnierze nawet nie braliby pod uwagę. Oddanie ci broni wydaje mi się pomysłem spoza kanonu.

- Nie wystarczy mieć pomysły spoza kanonu - rzekł Wit. -Potrzebujemy ludzi, którzy kanon rozrywają na strzępy i palą.

- Więc powinien rozebrać twój karabin na kawałki i go podpalić?

- Nie krytykuję jego decyzji. Możliwe, że w tych okolicznościach była najmądrzejsza. Ale byłoby lepiej, gdyby zatrzymał broń i sam zdjął tych wszystkich ludzi, zamiast angażować do tego mnie. Poza tym wiedza, co i gdzie zaatakować, jest o wiele ważniejsza od wiedzy, jak to robić.

- Ale miał w sobie dość pokory, by uświadomić sobie, że nie jest tak dobry jak ty. To przecież musi się liczyć. Czytałem jego akta. Jest młody, ale ma głowę na karku.

- Każdy z tych pięciu ma głowę na karku - stwierdził Wit. -Chociaż bezgłowa armia z pewnością wzbudziłaby u wroga grozę. Jak byśmy się nazwali, Drużyna Jeźdźców Bez Głowy?

- Gildia Zgilotynowanych - podsunął Calinga.

W miarę jak się zbliżali do Auckland, zwiększał się ruch drogowy. Kiedy znaleźli się na północ od miasta, zjechali z autostrady i skręcili na zachód w stronę stoczni. Po kilku przystankach ciężarówka zaparkowała. Wit usłyszał, jak otwierają się drzwi kierowcy i pasażera, a potem uniosły się tylne drzwi naczepy. Na zewnątrz stało dwóch żołnierzy POP-u w cywilu.

Ciężarówka stała w opuszczonym magazynie na nabrzeżu. Wit wynajął go za gotówkę na miesiąc, ale nie zawracał sobie głowy żadnymi udogodnieniami. W kącie mruczało cicho kilka niewielkich generatorów, a poza tym w magazynie było pusto i cicho.

- Jak się jechało z tyłu ze sztywniakami, panie kapitanie? -zapytał z brytyjskim akcentem jeden z żołnierzy POP-u.

- Oni nie są martwi, Deen - odparł Wit. - Śpią.

- Możliwe, że kiedy się obudzą, będą żałować, że żyją - powiedział ze śmiechem Deen.

- Każdy, kto się obudzi i zobaczy twoją twarz, Deen, pomyśli, że umarł - rzekł Calinga. - I nie będzie myślał o niebie.

- Strasznie dziś dowcipkujesz, Cali - powiedział Deen i wcisnął przycisk na tyle naczepy.

Koła się rozsunęły, podwozie opuściło się na ziemię. Deen i drugi żołnierz, Averbach, Izraelczyk, wynieśli nosze na podłogę magazynu, a potem, kiedy Wit po raz ostatni sprawdzał parametry życiowe kandydatów, obaj przebrali się w pełny rynsztunek bojowy. Czarna kamizelka kuloodporna, buty, hełm, pistolety, karabiny szturmowe. Kiedy skończyli, wyglądali na niezwyciężonych.

- Gotowi? - zapytał Wit.

- Pomieszczenie jest przygotowane - odparł Averbach. - Proszę tylko powiedzieć, kto będzie pierwszy.

Wit pokazał ręką.

- Ten. Mazer Rackham.

Deen i Averbach stanęli z dwóch stron noszy i przewieźli je do biur administracji znajdujących się po przeciwnej stronie magazynu. Wit poszedł za nimi, a Calinga został przy pozostałych noszach.

Przepchnęli Mazera przez kilkoro drzwi do pomieszczenia przeznaczonego do przeprowadzania badań. Miało mniej więcej dziesięć metrów kwadratowych i kiedyś zapewne pełniło funkcję salki konferencyjnej. Nie było tu okien ani meblowania. Nagie ściany. Jedne drzwi. Wysoki sufit. Jak cela, tyle że dla pracowników biurowych.

Deen i Averbach ustawili nosze pośrodku pomieszczenia, odpięli pasy, podnieśli Mazera i delikatnie położyli go na podłodze.

Wit wyjął z torby coś w rodzaju metalowej korony i umieścił Mazerowi na głowie. Korona składała się z trzech pasków: dwa obejmowały głowę z boków, trzeci przechodził nad jej czubkiem i kończył się nad potylicą. Wit wpisał z przodu korony jakiś kod i uniósł głowę żołnierza, a wtedy dwa boczne paski wydłużyły się i połączyły z tyłu, zamykając obwód. Wit pociągnął je lekko, sprawdzając, czy przylegają ściśle. Mazer zapewne dostanie od tego migreny, ale to był najmniejszy z jego problemów. Następnie kapitan wyjął z torby zastrzyk w przylepcu. Było to nieduże kółko wielkości monety pokryte z jednej strony substancją klejącą. Wit umieścił je nad żyłami w zgięciu ręki Mazera, po czym wstał i zwrócił się do Deena i Averbacha.

- Gotowi?

Żołnierze stanęli po obu stronach drzwi. Kapitan położył na podłodze płaski holoprojektor i z jego tylnych rogów wyciągnął dwa cienkie pionowe słupki. Potem wziął torbę, wypchnął nosze na korytarz i zamknął drzwi za sobą. Szybkim krokiem poszedł do małego biura mieszczącego się trzy pokoje dalej, gdzie czekał już rozłożony identyczny holoprojektor. Ekran ukazywał Mazera Rackhama śpiącego na podłodze. Z obu stron drzwi stali Deen i Averbach z karabinami przewieszonymi przez ramię, uniemożliwiając ucieczkę.

Wit pochylił się do przodu, by jego twarz znalazła się w holo-przestrzeni. Na monitorze nad projektorem ustawionym przy Mazerze pojawił się hologram jego głowy; wyglądało to tak, jakby duch znajdujący się piętro niżej wytknął głowę przez sufit, żeby się rozejrzeć.

Kapitan wpisał polecenie do podręcznego komputera i zastrzyk w przylepcu się uaktywnił. Żyłę Mazera przebiła maleńka igła, wprowadziła do organizmu specyfik, który zneutralizował środek uspokajający. Żołnierz zamrugał i otworzył oczy. Dwie sekundy później był na nogach, spięty w przysiadzie, podpierając się dla równowagi jedną ręką. Sprawiał wrażenie słabego i bezbronnego, lecz Wit wiedział lepiej. Mazer szykował się do skoku. Przez chwilę kapitan myślał, że Mazer zaatakuje natychmiast i zakończy test. Ale wtedy Nowozelandczyk oderwał od ręki przylepiec i odrzucił go, nadal mrugając i usiłując się wybudzić do końca.

- Poruczniku Rackham, gdyby został pan kiedykolwiek schwytany, istnieje duże prawdopodobieństwo, że byłby pan torturowany w celu uzyskania informacji - odezwał się hologram Wita. - Urządzenie, które ma pan na głowie, bezpośrednio pobudza rozmaite obszary mózgu. Za jego pośrednictwem mogę sprawić, że doświadczy pan strasznego bólu, ujrzy oślepiające światło, od którego nie będzie się pan mógł odciąć, albo poczuje pan taką potrzebę oddania moczu, jakby pękał panu pęcherz. Nie jest to przyjemne. Jednakże jeśli przekaże mi pan informację, której zażądam, przerwę ból. Skomplikujmy sytuację bardziej przez stwierdzenie, że wyjawienie tej informacji prawdopodobnie narazi na szwank członków pańskiego oddziału i zapewne

doprowadzi do ich śmierci. Udajmy, że chodzi mi o imię pierwszego zwierzątka, jakie pan miał w dzieciństwie. Proszę mi je teraz podać albo ponieść konsekwencje milczenia. Mazer się uśmiechnął.

- Poważnie? Tortury? To są te wasze szczególne badania? Jestem zaskoczony, panie kapitanie. Spodziewałem się czegoś nieco bardziej nowatorskiego.

Na przedzie korony Mazera błysnęło światelko; żołnierz odrzucił głowę do tyłu, wrzasnął i padł na podłogę jak ogłuszony. Leżał, starając się odzyskać oddech.

Wit pozostał niewzruszony.

- W skali bólu od jednego do dziesięciu, Mazer, gdzie dziesięć oznacza ból największy, zaaplikowałem ci dawkę o wartości pięć. I to był tylko dwusekundowy impuls. Jeśli odmówisz współpracy, jestem gotów posunąć się do wartości o wiele większych i na znacznie dłuższy czas. A teraz proszę o imię twojego ulubieńca.

Mazer powoli dźwignął się do pozycji siedzącej. Potrząsnął głową, wstał i zaczął robić pajacyki.

- Rytmika raczej mnie nie zadowoli, Mazer. Podaj mi imię twojego zwierzątka.

Nie przerywając pajacyków, Mazer zaczął śpiewać piosenkę marszową, dość sprośną i niemądrą, której zapewne nauczył się w SAS. Wit pozwolił mu dokończyć pierwszą zwrotkę po prostu dlatego, że go rozbawiła, a potem rzucił żołnierza na kolana kolejną porcją bólu.

Nie podobało mu się to, co robił. Potrzebował jednak ludzi na tyle zaradnych, by natychmiast znaleźli wyjście z każdej sytuacji.

- Oczy cię bołą, jakbyś patrzył prosto w słońce. Mazer, zaprzestań tego bezsensownego oporu i podaj mi informację, na której mi zależy. Powiedz, co to za imię, a ja przerwę badanie.

Z zaciśniętymi powiekami i napiętymi mięśniami Mazer znów wstał i zaczął robić pajacyki, chociaż z dużo mniejszym zapalem i gorszą koordynacją.

- W porządku - rzekł Wit. - Jeszcze wrócimy do twojego ulubieńca. Spróbujmy czegoś innego. Podaj mi panińskie nazwisko swojej matki. Chyba pamiętasz panińskie nazwisko swojej matki.

Mazer odpowiedział głośnym liczeniem pajacyków.

- Zaczynam tracić cierpliwość, Mazer. To nie jest trudne. Albo podasz mi tę informację, albo cię złamię.

Maorys zaczął liczyć głośniej, krzyczał. Krzyk przerodził się we wrzask.

Mazer runął w drgawkach na ziemię; mięśnie miał napięte, plecy wygięte w łuk, palce i dłonie poskręcane, a twarz zastygła w grymasie bólu.

Wit przerwał torturę, dając mu szansę na rozprostowanie się, odprężenie. Mazer jej nie wykorzystał.

- Może sobie mówisz, że skoro obaj jesteśmy po tej samej stronie, skoro to tylko test, to nie wyrządę ci żadnej poważnej, trwałej krzywdy - rzekł Wit. - Wyciągnięcie takiego wniosku jest naturalne, ale się mylisz. Nie służę w Armii Nowozelandzkiej, żołnierzu. Nie wiąże mnie jej kodeks etyczny. Nasza armia jest wyjątkowa. Nie przejmujemy się niedopatrzzeniami. Robimy, co trzeba zrobić, bez względu na to, jak jest to bolesne i nieprzyjemne. Obejmuje to torturowanie ludzi do momentu wyrządzenia nieodwracalnych szkód neurologicznych. Gdyby przez moje majstrowanie przy twoim mózgu powstały u ciebie tiki, straciłbyś słuch, koordynację ruchów czy zostałbyś sparaliżowany, nikt nas nie tknie. Jeśli zmienię twój mózg w jajecznicę, nikt mnie nawet nie trzepnie po ręce. Nie sięga do nas wpływ tych, którzy chcieliby cię chronić. Więc dla własnego bezpieczeństwa podaj mi panieńskie nazwisko swojej matki i imię pierwszego zwierzątka, bo inaczej ćwiczenie stanie się nadzwyczaj bolesne.

To nie była prawda. POP nigdy nie torturował wroga. Nie było to konieczne. Jeśli POP chytał jeńców, byli zwykle tak przerażeni, że podawali wszelkie informacje bez żadnej zachęty. Mazer jednak tego nie wiedział, a Wit chciał w nim zaszczerpić głęboki, nękający strach.

Żołnierz nic nie powiedział.

Wit uderzył go bólem.

Mazer wzdrygnął się, a po chwili przetoczył na brzuch i usiadł. Wit zmniejszył ból i ze zdumieniem patrzył, jak Maorys chwyta oddech. Powinien leżeć na grzbiecie, niezdolny do żadnego ruchu, a on siedział, uparty jak wół.

- Jesteś gotów do współpracy, Mazer? Możemy już skończyć ćwiczenie? Znudziło mi się. Podaj mi te dane i sprawa skończona.

Mazer siedział z pochyloną głową, nieruchomy i spokojny. Zaczął poruszać ustami i Wit najpierw pomyślał, że żołnierz się złamał, że podaje informacje, ale nie ma już sił wymówić ich głośno. A potem głos powoli nabrał mocy. Wit uświadomił sobie, że słyszy język maoryski. I że słowa to nie imię ani nazwisko. To była pieśń. Wit słyszał kiedyś tradycyjny śpiew maoryskich wojowników - na wpół chrząkanie, na wpół śpiewanie, z rytmicznym przytupywaniem i strojeniem przesadnych min. Twarz Mazera ani drgnęła, lecz słowa spływały z jego ust, nabierając intensywności i siły. Wkrótce jego chrapliwy, tubalny głos wypełnił pomieszczenie.

Wit nadal wysyłał ostre impulsy bólu. Za każdym razem Mazer zwiżał się i padał w drgawkach na podłogę, przerywając pieśń. Lecz kiedy tylko impulsy słabły, siadał, pomagając sobie rękami, i znów zaczynał śpiewać. Najpierw cicho, a gdy odzyskiwał siły, coraz głośniej.

Po godzinie Wit przerwał test. Wyłączył holoprojektor i koronę Mazera i poszedł do jego pomieszczenia. Deen i Averbach zdjęli hełmy.

Mazer był na czworakach; koszulę miał wilgotną od potu, drżały mu ręce i nogi.

- Skończyliśmy, Mazer - rzekł Wit.

Wystukał polecenie na koronie, która się poluzowała i z łatwością dała się zdjąć z głowy żołnierza.

- Tak szybko? - powiedział słabym głosem Nowozelandczyk. - Zaczynało mi się podobać.

- Zajęło nam to wystarczająco dużo czasu - odparł Wit.

- Nie złamałem się, O'Toole.

- Nie złamałeś się. Doskonale.

- Naprawdę mogłeś spowodować nieodwracalne uszkodzenia neurologiczne?

- Nie. Blefowałem. To urządzenie nie uszkadza tkanek. W pewnym momencie wyłącza receptory bólu i czucia. Nie zrobiłbym ci żadnej krzywdy. Jesteś na to zbyt cennym żołnierzem. Blefowałem też, że POP nikomu nie podlega i nie ma skrupułów etycznych. To nieprawda. We wszystkich działaniach kierujemy się wolnością osobistą oraz zachowaniem praw człowieka i praw obywatelskich.

- A mimo to wasi szefowie pozwalają wam torturować potencjalnych kandydatów? Bardzo interesująca etyka.

- Nasi wrogowie to zwykle mordercy i terroryści. Zanim ulegną, często trzeba im zrobić pokaz siły i brutalności dorównujących ich sile i brutalności. Moim zadaniem jest znalezienie ludzi wiedzących, kiedy brutalność jest konieczna.

Mazer z trudem wstał, chwiejąc się nieco, lecz wkrótce się wyprostował.

- I jak? - zapytał. - Jestem kimś takim? Przeszedłem test? Jestem w pańskiej jednostce?

- Nie - odparł Wit. - Ponieważ do mojej jednostki trafiają tylko ci, którzy się wyrwą. Poddanie się torturze już oznacza jedną przegraną. Trzeba tak bardzo nie znosić przegrywania, że wolałoby się raczej zginąć podczas próby ucieczki. A potem być na tyle sprytnym, żeby uciec, nie tracąc życia. Każdy z moich żołnierzy pokonałby tych dwóch ludzi strzegących drzwi i uciekł z magazynu w trzy minuty. A ty siedziałeś tu przez godzinę.

Mazer podniósł na niego wzrok pełen zdumienia.

- Przykro mi, żołnierzu - rzekł Wit. - Oblałeś.

Rozdział 4

Rada

Na mostku „El Cavadora” zawsze panował ruch, lecz tego dnia załoga sprawiała wrażenie szczególnie zajętej. Skoro Włosi odlecieli i skończył się tydzień handlowania i ucztowania, cały statek szaleńczo starał się nadrobić stracony czas w kopalni. Trzeba było przygotować szybkostatki, zaprogramować trasy lotu, zeskanować skały i odkodować dane, obsługiwać maszyny pod ziemią - robiono jednocześnie dziesiątki planów, podejmowano dziesiątki decyzji, wydawano dziesiątki poleceń, a w środku tego wszystkiego tkwiła Concepción, która przyjmowała pytania, interpretowała dane, wydawała rozkazy i przemieszczała się od stanowiska do stanowiska ze zwinnością kobiety o połowę młodszej.

Victor i Edimar unosili się przy włączach, czekając na przerwę w chaosie, by powiadomić kapitan o wypatrzonym statku. Wyglądało na to, że taka okazja trafi im się nieprędko.

- Może powinniśmy wrócić, kiedy indziej - powiedziała Edimar. - Jest zajęta.

- Nic nie jest ważniejsze od tego, Mar - odparł Victor. - Uwierz mi, będzie zadowolona, że jej przeszkadziliśmy.

Włączył nagolenice, dotknął stopami podłogi i ruszył w stronę Concepción, która zakotwiczyła się z kilkoma członkami załogi przy holostole.

Drogę Victorowi zastąpi! Dreó, jeden z nawigatorów, rosły mężczyzna po pięćdziesiątce; zatrzymał chłopaka, kładąc mu delikatnie dłoń na piersi.

- Prrr! Dokąd to, Vico?

Victor westchnął w duchu. Dreó uważał się za zastępcę Conception, mimo że to stanowisko oficjalnie zajmował wuj Victora, Selmo. Chłopak wskazał Edimar, która pozostała przy włączu.

- Musimy natychmiast porozmawiać z Concepcjón. To pilne.

- Concepcjón nie wolno przeszkadzać - oznajmił Dreó. - Prawie dotarliśmy do bryły.

- To jest ważniejsze - rzekł Victor.

- Doprawdy? A o co chodzi?

- Jeśli pozwolisz, wolałbym jednak rozmawiać bezpośrednio z Concepcjón. To nagły przypadek.

Ruszył do przodu, lecz Dreó drugi raz go zatrzymał.

- Jaki nagły przypadek? Wyciek, pożar, odcięta kończyna, zagrożenie życia?

- Nazwijmy to bardzo wyjątkowym nagłym przypadkiem.

- Wiesz co? Pójdź z Edimar do biura i tam zaczekajcie, a ja przekażę twoją wiadomość. Concepcjón przyjdzie, jak tylko będzie mogła.

Dreó odwrócił się do swojego ekranu z mapą układu. Victor się nie poruszył. Po chwili Dreó westchnął.

- Nie poszedłeś jeszcze do biura, Vico.

- I nie pójdę, dopóki nie zobaczę, jak przekazujesz moją wiadomość albo dopóki mnie nie przepuścisz.

Dreó się zirytował.

- Sprawiasz dzisiaj same kłopoty, co?

Oczywiście nawiązywał do Jandy. Jako członek Rady na pewno wiedział wszystko. Victor nie ruszył się z miejsca i milczał.

Dreó mruknął coś, odwrócił się od swoich map i zbliżył do Concepcjón. Dotknął jej ramienia i przez chwilę rozmawiali półgłosem. Concepcjón spojrzała na Victora, potem na Edimar. Wydała Dreó krótkie polecenie, którego Victor nie dosłyszał, i ponownie skupiła uwagę na holostole.

Dreó wrócił z tryumfującym uśmiechem.

- Macie czekać w biurze, jak ci mówiłem.
- Powiedziałaś jej, że to pilne?
- Tak. - Dreó uniósł rękę i pokazał na biuro. - Idźcie już.

Victor skinął na Edimar i oboje udali się do biura. Kierowano go tam już drugi raz tego dnia - chociaż poranne spotkanie z Concepción w związku z odejściem Jandy wydawało się teraz odległym wspomnieniem.

- A jeśli okaże się, że to nic nie jest? - zapytała Edimar. - Jeśli to tylko usterka systemu? To najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. O wiele bardziej realne niż obcy statek albo tajny statek korporacyjny rozwijający prędkość bliską świetlnej.

- Zbadałaś dane kilka razy, Edimar. Jeśli się mylisz i to nic nie jest, chociaż to nieprawda, to mimo wszystko należy z tym iść do Concepción. Będzie zadowolona, że zwróciłaś na to jej uwagę. Nie skrzyczy cię za wykonywanie twojej pracy.

- Concepción może nie. Ale ojciec będzie wściekły.

- Jeszcze nie jest za późno iść najpierw do niego, Mar. Pokręciła głową.

- Nie. Robię słusznie. Najpierw Concepción.

Już o tym rozmawiali. Edimar była przekonana, że jeśli najpierw uda się do Torona, swojego ojca, to on albo zatrzyma te dane, by przejrzeć je później, albo z miejsca odrzuci całą kwestię. Victor szczerze wątpił, by Toron zrobił to w obliczu tak przytłaczających dowodów, ale Edimar był nieugięty.

- Nie znasz go, Vico.

Myliła się. Dobrze znał jej ojca. Toron był też ojcem Jandy. Lecz Victor nie zamierzał się o to sprzeczać.

Edimar była przekonana, że powiadomienie Concepción przyczyni się na dłuższą metę do powstania mniejszych tarć między nią i ojcem. Jeśli okaże się, że miała rację, to pilny charakter sytuacji mógłby usprawiedliwić pominięcie Torona i zwrócenie się bezpośrednio do Concepción. Lecz gdyby najpierw udała się do Torona i została odrzucona, czułaby moralny obowiązek obejść ojca i tak czy owak pójść do Concepción. Omawiała każdy scenariusz do znudzenia. Victor był święcie przekonany, że chodzi o obcy statek. Statek, który mógł zmierzać w stronę Ziemi. Czy w tej sytuacji należy się martwić o urażenie uczuć Torona?

- Concepción sama może odczytać te dane, Mar - powiedział Victor. - Niech je obejrzy i zadecyduje, co oznaczają.

Czekali dziesięć minut. W końcu do pomieszczenia wpłynął Selmo, wuj Victora i prawdziwy zastępca Concepción.

- Concepción was przyjmie, ale prosi o spotkanie w cieplarni.

Victorowi wydało się to dziwne. W cieplarni panowały wilgoć i ciasnota, było to fatalne miejsce na spotkanie.

- Dlaczego nie w jej biurze?

Selmo wzruszył ramionami, lecz chłopak poznał po jego minie i po sposobie, w jaki zerknął na Edimar, że wuj wie, a przynajmniej podejrzewa. A potem Victorowi przyszło do głowy, co Selmo zapewne myśli: Victor z młodszą siostrą Jandy prosi o spotkanie z Concepción kilka godzin po odlocie Jandy. A więc ma to coś wspólnego z Jandą. Czy Victor i Edimar zażądają jej powrotu? To byłoby szaleństwo. Victor nigdy nie wyjawiłby Edimar swojej miłości do Jandy, to nie do pomyślenia. Nigdy by nie usiłował sprzymierzyć się w tej sprawie z Edimar.

Lecz Selmo tego nie wiedział. Widział jedynie chłopaka ze złamanym sercem oraz zadziorną siostrzyczkę odesłanej dziewczyny i wyciągnął pochopny wniosek. Najwyraźniej Concepción myślała podobnie. Spotkanie w cieplarni oznaczało, że jest ostrożna. Jeśli to rzeczywiście dotyczyłoby Jandy, znajdą się tam z dala od oczu i uszu osób postronnych.

Victor uświadomił sobie, że tak będzie wyglądało jego życie, jeśli tu zostanie. Że każdy z członków Rady już zawsze będzie go sobie kojarzył z Jandą.

- Oko coś wykryło - rzekł chłopak. - Dlatego musimy się zobaczyć z Concepción.

Przez chwilę Selmo wyglądał na uspokojonego, dopóki nie zrozumiał pełnego znaczenia tych słów.

- O co chodzi?

- Nie jesteśmy pewni - odparł Victor. - Mamy nadzieję, że Concepción będzie wiedziała. Może nie być powodu do niepokoju. Nie mów nikomu. Chcemy po prostu mieć pewność. Dzięki za pomoc.

Odepchnął się od włazu i podążył korytarzem w stronę cieplarni.

Edimar dogoniła go i odezwała się ze złością:

- Dlaczego wygadałeś się przed Selmo? Teraz wszyscy się dowiedzą, że coś zobaczyłam.

- Selmo nic nie powie. A wszyscy i tak wkrótce się dowiedzą.

- Nie, jeśli Concepción powie, że to nic nie jest! Istnieje szansa, że się mylę, Vico. A wtedy mogłabym o wszystkim zapomnieć i nikt by nic nie wiedział. Teraz mój ojciec na pewno się dowie.

Victor przytrzymał się grodzi.

- Po pierwsze, to jest coś. Już to ustaliliśmy. Przestańmy to kwestionować. Po drugie, jeśli chcesz, żeby dorośli albo twój ojciec traktowali cię poważnie, przestań się ojcem przejmować i zacznij myśleć jak dorosła. Postaw bezpieczeństwo rodziny ponad przewidywane reakcje ojca i rób, co do ciebie należy.

Nie chciał, żeby zabrzmiało to jak przygana, ale tak mu wyszło.

- Masz rację - powiedziała Edimar. - Oczywiście masz rację. Victor poczuł wyrzuty sumienia. Położył kres błędnym

domysłom Selmo, lecz umożliwił w ten sposób Toronowi dowiedzenie się o odkryciu córki niewłaściwymi kanałami. Ale cóż mógł zrobić? Alternatywa była o wiele gorsza. Domysły Selmo czy innych, że Edimar jest w jakimś stopniu świadoma zakazanego związku Victora i Jandy albo że jest w niego zamieszana, byłyby miażdżącym ciosem dla reputacji Edimar. Victor by tego nie zniósł. Nie mógł pozwolić, by wstyd, jaki położył się cieniem na nim i na Jandzie, stał się udziałem także Edimar.

- Nie powiem już nikomu ani słowa - rzekł. - Jeśli chcesz, nie pójde nawet do cieplarni. To twoje odkrycie, nie moje.

- Nie, nie. Chcę, żebyś tam był - odpowiedziała bez wahania.

- Dobra, to ruszamy.

Cieplarnia była długim walcem o średnicy czterech metrów. Przez całą jego długość wzdłuż ścian biegły rury, w których rosły warzywa, tworząc zielony tunel. Pomidory, okra, kolendra, brukselka wychylały z otworów w rurach i falowały jak wodorosty. Była to uprawa hydroponiczna i chociaż woda z substancjami odżywczymi napełniała rury raz na pół godziny, trochę mgły zawsze wydostawało się na zewnątrz i w pomieszczeniu panowała nieprzyjemna wilgoć. Było tam też wyjątkowo jasno i kiedy Victor wraz z Edimar przebyli przedsionek i znaleźli

się w cieplarni, chłopak musiał przez chwilę przyzwyczajać wzrok do lamp. Powietrze mocno pachniało kolendrą i roztworem odżywczym.

Concepción znajdowała się głęboko w cieplarni. Czekala na nich prostopadle do ich orientacji ze stopami skierowanymi w ich stronę. Victor i Edimar zmienili orientację i ruszyli w górę. Teraz cieplarnia sprawiała wrażenie silosu i Victor zrozumiał, dlaczego Concepción woli się spotkać w takim ustawieniu. Nie będą musieli się pochylać, żeby nie zawadzać stopami i głowami o rośliny.

Kapitan unosiła się obok długiej sekcji brukselek. Rośliny były tu niższe, więc „tunel” stawał się szerszy, co dawało im trojgu więcej miejsca.

- Na pewno nie muszę wam mówić, jak bardzo jesteśmy zajęci przy kopalni - odezwała się kapitan. - Wiem też jednak, że żadne z was nie nazwałoby pilną sytuacji, która byłaby błaha.

Victor spojrzał na Edimar i czekał.

- Oko coś wykryło - rzekła dziewczynka. - Jakiś ruch w dalekiej przestrzeni. Przeglądałam dane dziesiątki razy i jedynym wyjaśnieniem, jakie przychodzi mi do głowy, jest to, że mamy do czynienia ze statkiem kosmicznym zwalniającym od niemal świetlnej prędkości.

Concepción zamrugala.

- Słucham?

- Wiem, że to nie ma sensu. Sama ledwie w to wierzę, ale o ile się nie mylę, a mogę się mylić z całą pewnością, jest tam coś, co porusza się szybciej, niż to możliwe. Zapytałam Victora, co o tym myśli, bo mnie się to wydało całkowicie bez sensu.

Victor skinął głową.

- Wygląda na coś poważnego.

- Pokazałaś to ojcu? - zapytała Concepción.

- Jeszcze nie. Dzisiaj sama obsługuję Oko. Ojciec pomaga przy szybie. Pomyśleliśmy z Victorem, że najlepiej będzie z tym przyjść prosto do pani.

Concepción popatrzyła na nich oboje, a potem wskazała gogle Edimar.

- Są tu dane?

- Tak. - Edimar podała jej gogle.

Concepción włożyła je i dociągnęła paski. Mruganiem przeglądała dane, a Victor i Edimar czekali. Po pięciu minutach kapitan zdjęła gogle.

- Kto jeszcze o tym wie?

- Nikt - powiedziała Edimar.

- Wspomniałem Selmo, że Oko coś wykryło - rzekł Victor - ale nie powiedziałem co.

Concepción skinęła głową i zwróciła się do Edimar.

- Potrafisz określić jego trajektorię?

- Jeszcze nie. Nie z tej odległości. Jest za daleko.

- Założywszy, że zmierza w naszą stronę, mogłabyś ocenić, ile czasu zajmie mu dotarcie do nas?

- Niezbyt dokładnie - odparła Edimar. - Co najmniej kilka tygodni, ale nie więcej niż kilka miesięcy. Problem w tym, że nie wiem, jak daleko jest ten statek. Wiem tylko tyle, że porusza się z prędkością zbliżoną do prędkości światła i że widzimy światło odbite od niego, które oczywiście porusza się z prędkością światła. Więc statek może się znajdować bliżej, niż sądzimy. Niczego nie wiem na pewno.

Concepción wyjęła z kieszeni na biodrze podręczny komputer i zaczęła wstukiwać do niego polecenia.

- Zwołuję pilne zebranie Rady. Spotkamy się wieczorem na mostku. Macie tam być oboje. - Schowała komputer do kieszeni - Tymczasem nie rozmawiajcie o tym z nikim oprócz Torona. Chciałabym, żeby jak najszybciej na to spojrzął. Nie chodzi o to, że wątpię w twoją interpretację danych, Edimar. Sama bym doszła do takiego wniosku. Może jednak Toron dostrzeże coś, czego my nie widzimy. Dobrze zrobiłaś, że przyszedłaś do mnie, ale mam nadzieję, że Toron dowiedzie, że się mylimy. Nie lubię niczego, czego nie rozumiem, a tego nie rozumiem wcale.

* * *

Victor zasugerował Edimar, że powinna z ojcem porozmawiać na osobności, ale uparła się, by Victor był przy tym obecny.

- Jeśli będzie ze mną ktoś jeszcze, ojciec mniej się rozczłodzi - stwierdziła.

Victorowi nie uśmiechało się spotkanie z Toronem tak szybko po odejściu Jandy. Jak on zareaguje? Czy wini Victora za to,

co się zdarzyło? Czy uważa, że chłopak powinien dostrzec, dokąd zmierza ta znajomość, i postarać się ją zakończyć? Czy żywi do niego urazę? Victor wolałby się tego nie dowiedzieć, zwłaszcza tego dnia, kiedy ból spowodowany odlotem Jandy był wciąż świeży. Ale co mógł zrobić? Ukrywać się przed Toronem? Nonsens. Prędzej czy później ich ścieżki by się przecięły; to mały statek. I tak naprawdę nie chciał się przed nim ukrywać. Chciał przeprosić, zapewnić go, że nie doszło do niczego niestosownego. Oczywiście nie zmniejszyłoby to cierpienia, może jednak przyniosłoby jemu i Toronowi nieco spokoju.

Toron w ładowni naprawiał sprzęt górniczy otrzymany od Włochów dzięki Victorowi. Nie było tajemnicą, że Toron zawsze chciał pracować z górnikami, ale biegłość w obsłudze Oka i wyszkolenie trzymały go w bocianim gnieździe. Był tak zajęty pracą, że nie zauważył nadejścia Victora i córki.

- Witaj, ojcie - odezwała się Edimar.

Toron wyglądał na zmęczonego i przygnębionego. I zaskoczonego na jej widok.

- Kto pilnuje Oka? - zapytał.

- Włączyłam automat.

- Nigdy nie powinnaś tego robić, chyba że w sytuacji awaryjnej. - Toron zerknął na Victora, którego spostrzegł dopiero teraz. Zmarszczył brwi. - O co chodzi, Mar?

- Oko coś wykryło, ojcie, poza ekliptyką w dalekiej przestrzeni.

- A co Vico ma z tym wspólnego?

- Pokazałam mu to.

- Dlaczego?

- Bo przed pokazaniem danych jakiemuś dorosłemu chciałam się upewnić, że interpretuję je prawidłowo.

- On nie jest obserwatorem. Nie potrafi odczytywać danych. Potrafię, pomyślał Victor, nic jednak nie powiedział.

- Nie jest też twoim nauczycielem, Mar. Jestem nim ja. Z pytaniami masz się zwracać tylko do mnie. Victor nie był szkolony do obsługi Oka. Zasięganie jego opinii to strata czasu.

- Czy w ogóle słyszałeś, co powiedziałam, ojcie? - zapytała Edimar lekko podniesionym głosem, czym zaskoczyła Victora. - Oko coś wykryło.

- Słyszałem doskonale. A jeśli jeszcze raz podniesiesz na mnie głos, młoda damo, skutki ci się nie spodobają. Każdy praktykant na tym statku straciłby przydział, gdyby tak się zachowywał, a ja nie zamierzam mieć do ciebie więcej cierpliwości tylko dlatego, że jesteś moją córką.

- Widać statek kosmiczny - rzekła Edimar. - Poruszający się z prędkością bliską prędkości światła.

To zastanowiło Torona. Przyjrzał się ich twarzom i zrozumiał, że młodzi mówią poważnie. Wyciągnął rękę.

- Daj mi gogle.

Dostał je i nasunął na oczy. Po minucie zaczął zadawać córce pytania, których Victor w większości nie rozumiał. Jakie algorytmy Edimar wzięła pod uwagę? Jakich pomiarów dokonało Oko? Jakich procedur użyła? Jakie zakodowane polecenia wpisała? Potem pytania Torona zaczęły brzmieć jak nagana. Próbowalaś tego i tego? Pomyślałaś o tym czy owym? Początkowo Edimar odpowiadała twierdząco. Po pewnym czasie jednak zaczęła tracić pewność siebie. Nie, tego nie próbowała. Nie, nie pomyślała, by zrobić tamto. Nie, tego scenariusza nie przeanalizowała. Pod koniec wyglądała, jakby się miała rozplakać.

Toron zdjął gogle.

- Wracaj do Oka, niedługo tam przyjdę i przyjrzymy się temu dokładnie. Jeśli się okaże, że coś w tym jest, pokażę wszystko Concepción.

Edimar spojrzała z rozpaczą na Victora, prosząc o pomoc.

- Już byliśmy u Concepción - odezwał się chłopak.

- Zanim przyszedliście do mnie?

- Uznaliśmy, że powinna to zobaczyć natychmiast - powiedziała Edimar.

- Wy? Masz na myśli siebie i Vico? To jego nie dotyczy, Mar. On wymienia żarówki i przepycha toalety. Oko to moja specjalność, nie jego, a gdy myślę, jak zareagowałaś, powiedziałbym, że także nie twoja. To ja jestem obserwatorem. Ja. Ja cię szkole w tym, jak oglądać niebo. Ja ci pomagam odszyfrować dane. I ja decyduję, czy i kiedy należy coś przedstawić kapitan Concepción.

Edimar poczerwieniała.

- Idź do Oka i czekaj na mnie - polecił Toron. - Nie prosź po drodze o pomoc. Nie pytaj przygodnych osób o opinię. Ty i ja zajmiemy się tym sami.

- To nie jej wina, że poszliśmy do Concepción - powiedział Victor. - Ja to zaproponowałem.

- A kto dał ci taką władzę? - zapytał Toron.

- Każdy, kto widzi potencjalne zagrożenie dla statku, ma obowiązek o nim zameldować - odparł Victor, cytując jedną z zasad postępowania załogi.

- Znasz wszystkie przepisy, co?

Miał na myśli endogamię. Rozmowa o obiekcie w przestrzeni kosmicznej nagle stała się, przynajmniej dla Torona, rozmową o Jandzie. Toron winił Victora. Albo nienawidził go tak mocno, że pochłaniało to wszystkie jego myśli nawet teraz, kiedy przedstawiono mu coś tak dziwnego i potencjalnie groźnego, jak obcy statek kosmiczny.

- To nie jest wina Vico, ojcie - wtrąciła się Edimar. - Poprosiłam go o pomoc. Toron nie spuszczał wzroku z chłopaka.

- Idź do Oka, Edimar. -Ale...

- Idź do Oka!

Dziewczynka się wzdrygnęła. Może bała się pięści. Odbiła się od podłogi w stronę wjazdu. Toron wpatrywał się w Victora, dopóki nie usłyszał, że wjazd się zamyka. Byli sami.

- Chcę się wyrazić bardzo jasno, Vico. Masz słuchać uważnie, bo powiem to tylko raz. Powinienem ci to powiedzieć już bardzo dawno temu. Trzymaj się z dala od moich córek. Rozumiesz? Jeśli Edimar poprosi cię o pomoc, nie zwracaj na nią uwagi. Jeśli zapyta cię o opinię, odejdz. Jeśli będzie na ciebie patrzeć z drugiego końca pomieszczenia, udawaj, że nie istnieje. Jest dla ciebie duchem. Jest niewidzialna. Czy mówię jasno? Bo wydaje mi się, że nie znasz granic, co jest stosowne, a co nie.

Pomyśl, że Victor robiłby z Jandą coś niestosownego, był rozwścieczający. Lecz insynuacja, że jego zachowanie wobec Edimar mogłoby być mniej niż honorowe, była jawną obrazą. To najplugawsze i najokrutniejsze oskarżenie, jakie mógł wysunąć

Toron, zwłaszcza wiedząc, jak bardzo winny czuje się Victor z powodu Jandy i jak bardzo go to boli.

Oczywiście Toron wiedział, że to oskarżenie jest bezpodstawne. Wiedział, że Victor tylko pomaga, że działa na rzecz rodziny. Nie dlatego naskoczył na chłopaka. Był zły, ponieważ jego najstarsza córka odeszła, a druga córka poradziła się właśnie tego człowieka, przez którego stracił pierwszą.

- Odeście Alejandry nie ma z tym nic wspólnego - powiedział Victor spokojnym tonem.

Pchnięcie w pierś było szybkie, a ponieważ Victor nie włączył nagolenic jak Toron, poleciał sześć metrów do tyłu. Walnął plecami o jeden z dużych zbiorników powietrza i w całej ładowni rozbrzmiał metaliczny odgłos tego uderzenia. Nie spowodowało to jakiegoś wielkiego bólu, ale zaskoczyło chłopaka i natychmiast podwyższyło mu ciśnienie krwi. Zmienił położenie, włączył nagolenice i stanął mocno na podłodze. Kiedy uniósł głowę, spostrzegł, że Toron jest równie zaskoczony jak on. Nie chciał pchnąć go tak mocno. Lecz zaraz groźnie wycelował palcem w Victora.

- Nigdy więcej nie wymawiaj imienia mojej córki. Wyłączył nagolenice i podbił się w górę w stronę wjazdu. Po chwili zniknął.

Victor odetchnął głęboko. Pewnie będzie miał potężnego siniaka, ale mogło być gorzej. Gdyby źle wylądował, mógł sobie coś złamać. Edimar słusznie obawiała się ojca. Victor wątpił, by Toron kiedykolwiek stosował przemoc wobec swojej rodziny -Janda na pewno by mu powiedziała, zresztą na statku nie dałoby się utrzymać tajemnicy. Jednak Toron zdecydowanie miał takie skłonności.

Victor chciał czuć gniew. Chciał, by tłący się w nim płomień wściekłości rozpalił się i kazał mu odnaleźć Torona, stanąć z nim twarzą w twarz, schwycić za ramiona i wytrząsnąć z niego dumę i złośliwość. Domagał się tego ból w plecach. Lecz cały szalejący w Victorze ogień zadusiły współczucie i wstyd.

Rada zebrała się na mostku po ułożeniu małych dzieci do łóżek. Wszyscy mieli nagolenice i schodząc się, rozmawiali

cicho, usiłując od innych dowiedzieć się czegoś o celu zebrania. Victor przyszedł wcześniej i znalazł sobie kąt, gdzie oświetlenie było słabsze, a cienie wyraźniejsze. Nie był niewidoczny, ale nie wszyscy go zauważą.

Dziwnie się czuł. Nigdy przedtem nie uczestniczył w spotkaniu Rady. Co więcej, nie miał powodu, by się tu znajdować. Statek poruszający się prawie z prędkością światła był znaleziskiem Edimar, nie jego. On nic istotnego tu nie wniesie.

Przybyli matka i ojciec. Zobaczyli Victora i zbliżyli się do niego. Matka miała zatroskaną minę.

- O co tu chodzi, Vico?

- Oko coś wykryło - odparł. - Wiem o tym tylko dlatego, że pokazała mi to Edimar. Jestem pewien, że Toron wszystko wyjaśni.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jak się czujesz?

W ten sposób pytała, jak sobie radzi z nieobecnością Jandy.

- Dobrze, matko. To był długi dzień.

Dla wszystkich innych matka była Reną. Jej klan pochodził z Argentyny i Victor widział tę rodzinę tylko raz w dzieciństwie, kiedy „El Cavador” połączył się z ich statkiem, aby egzogamić jego kuzynkę. Przeżycie to wzbudziło w nim uczucie wielkiego respektu dla matki. Opuściła tryskającą energią, kochającą rodzinę, by przejść na „El Cavadora” i poślubić ojca, co musiało wymagać wielkiej odwagi.

- Słyszałem o stabilizatorze wiertła - rzekł ojciec z uśmiechem. - Kiedy zamierzałeś mi o nim powiedzieć?

- Nie byłem pewny, czy zadziała - odparł Victor. - Będę potrzebował twojej pomocy przy poprawkach.

- Sądząc z zachwyków Marco, stabilizator chyba nie będzie wymagał ich wiele.

Ojciec miał na imię Segundo, co po hiszpańsku znaczy „drugi”. Rodzice tak go nazwali, ponieważ był ich drugim dzieckiem, i Victor zawsze uważał, że jest to odrobinę okrutne. Kto numeruje swoje dzieci? Numery są dla żywego inwentarza. Zresztą czy rodzice ojca nie zdawali sobie sprawy, że nazwanie go Segundo jest jak danie mu etykiety „drugi w kolejności”, określenie jako gorszego od pierwszego dziecka? Victor wątpił, by taki

mieli zamiar, ale trapiło go to, zwłaszcza że ojciec zawsze robił w rodzinie wszystko jako pierwszy. Zasługiwał na lepsze imię.

Wszyscy zamilkli, gdy z biura wyszła Conception, za nią Toron oraz Edimar. We trójkę zbliżyli się do holostolu i Conception odwróciła się do zgromadzonych.

- Zwołałam to zebranie, ponieważ musimy podjąć kilka ważnych decyzji.

Victor zdziwił się swobodną atmosferą, w jakiej odbywało się zebranie, i tym, że ludzie stali w niewielkich grupkach mężów, żon i przyjaciół. Nie było żadnej mównicy, wokół której można by się było skupić, żadnego młotka do uderzania w stół, żadnego rytuału, procedury czy porządku obrad. Po prostu wszyscy spotkali się w jednym miejscu.

- Całą kwestię wyjaśnią Toron i Edimar - oznajmiła Conception.

Odsunęła się, a Toron podłączył gogle do holostolu. W holo-przestrzeni pojawił się hologram obrazu, który Victor widział w bocianim gnieździe. Nie było to nic szczególnego, głównie punkciki światła przedstawiające gwiazdy.

Toron mówił krótko. Określił jedynie kontekst wyświetlanego obrazu, wyjaśnił, kiedy zostały zebrane dane i na który kwadrant nieba patrzeć. Następnie, ku zdumieniu Victora, oddał głos Edimar. Dziewczynka była wyraźnie zdenerwowana i ktoś poprosił, żeby mówiła głośniejszym głosem, bo nie wszyscy słyszą. To chyba dodało jej odwagi, bo od razu przystąpiła do rzeczy. Mówiła dziesięć minut, wyjaśniając wszystko dogłębnie. Ze szczegółami opisała procedury, za których pomocą sprawdziła dane, łącznie z wezwaniem Victora, żeby potwierdził jej początkową ocenę. Wtedy kilka osób zerknęło na chłopaka. Parę szczegółów technicznych i procedur dotyczyło tylko Oka i Edimar wiedziała, że nikt ich nie zrozumie, lecz zrezygnowanie je objaśniła, posługując się terminologią zrozumiałą dla laika. Następnie szczegółowo przedstawiła proces weryfikacji, który przeprowadziła wspólnie z ojcem, oraz tok rozumowania, który doprowadził ich do oczywistego już dla wszystkich wniosku. To obcy statek zmierzający z malejącą prędkością w stronę Układu Słonecznego. Nie, nie znamy jeszcze jego trajektorii. Nie, nie wiemy, kiedy tu dotrze. I nie, nie znamy jego zamiarów.

Kiedy skończyła, zapadła cisza. Matka i ojciec Victora z nieco pobladłymi twarzami wpatrywali się w hologram. W końcu odezwała się Concepción.

- Musimy zdecydować, co zrobimy z tą informacją.

- Czy któraś z innych rodzin coś zauważyła? - zapytał Segundo. - Słyszeliśmy coś o tym?

- Ani słowa - odparła Concepción. - W tej chwili bardzo niewiele klanów znajduje się tak daleko i mało prawdopodobne, by któryś z nich spoglądał poza ekliptykę.

- Oczywiście musimy wszystkich ostrzec - powiedziała Rena. - Powinniśmy jak najszybciej wysłać przekazy. Wszyscy muszą się o tym dowiedzieć.

- Jak już mówiłem Concepción, radziłbym postępować ostrożnie - odezwał się Toron. - Nie chcielibyśmy wywołać paniki. Zastanówmy się, co z tego wszystkiego wynika. Jeśli to obcy statek poruszający się z prędkością zbliżoną do prędkości światła, to oczywiście, że znacznie nad nami góruje pod względem technicznym. Co jeszcze potrafi? Wykrywa fale radiowe? Tego nie wiemy. Jeśli wyślemy wokoło sto ukierunkowanych laserowych przekazów, moglibyśmy zwrócić na siebie uwagę statku. Moglibyśmy sprowadzić go sobie na kark. Nie dał żadnego znaku, że wie o naszym istnieniu. Prawdopodobnie najlepiej byłoby zachować ten stan rzeczy.

- Nie możemy nic nie robić - rzekł Marco. - To może być inwazja.

- Albo statek może mieć całkowicie pokojowe zamiary -zaoponował Toron. - Tego nie wiemy. Mamy niewiele informacji. Właściwie prawie wcale. Czy to jest statek badawczy? Czy oni zamierzają wejść w wewnętrzną przestrzeń Układu Słonecznego? Czy to w ogóle jest statek załogowy? Nie mamy pojęcia. To może być statek bezzałogowy albo satelita wysłany po obrazy naszego systemu planetarnego. Jeśli to prawda, musi to być olbrzymi satelita, większy od czegokolwiek, co dotąd skonstruowali ludzie. Nie znaczy to jednak, że nie taki jest jego cel. Może mieć całkowicie pokojowe zamiary.

- Albo i nie - wtrącił Marco.

- Albo i nie - zgodził się Toron. - Tym bardziej nie powinniśmy działać pochopnie i ściągać na siebie jego uwagi. Razem

z Edimar zaczniemy go pilnie obserwować. Na bieżąco będziemy oceniać dane i natychmiast podawać do waszej wiadomości wszelkie nowe okoliczności.

- To nie wystarczy - odezwał się ojciec Victora. - Zgadza się z Marco. Ten statek może mieć pokojowe zamiary, ale nie powinniśmy tego zakładać. Powinniśmy się przygotować na najgorsze.

- Powinniśmy zachować spokój - rzekł Toron. - Proponuję podjąć działania przygotowawcze.

- Na przykład? - zapytał ojciec.

- Jeśli wyślemy przekaz szerokopasmowy, który każdy może odebrać, możemy ściągnąć na siebie piratów czy złodziei. Jeśli jednak zidentyfikujemy w sąsiedztwie kilka statków, którym ufamy, możemy wysłać ukierunkowane przekazy laserowe tylko do nich.

- Piratów nie widzieliśmy już od dłuższego czasu - odezwał się Selmo.

- To nie znaczy, że ich nie ma - powiedział Toron. - Ostrożności nigdy za wiele. Zwłaszcza w takiej nieznanej sytuacji.

- Kto jest teraz blisko nas? - zapytał Marco. Selmo podszedł do holostolu i włączył mapę układu.

- Najbliżej są Włosi. Odlecieli ledwie dziś rano. Ale szybko się poruszają. Gdybyśmy wysłali wiadomość w tej chwili, mogłaby do nich dotrzeć, ale wątpię w to.

Laserowe przekazy radiowe, czyli laselinie, należało wysyłać z wielką dokładnością. Nieruchome statki i stacje kosmiczne mogły je przyjmować dość łatwo z niedużych odległości, ponieważ nadawca znał ich dokładne położenie w przestrzeni. Lecz bardzo mało statków pozostawało naprawdę nieruchomo, szczególnie jeśli były przycumowane do asteroidy. Nawet najmniejsza zmiana pozycji sprawiała, że wiadomość nie docierała do adresata. Próba przesłania wiadomości na statek w ruchu była niemal niemożliwa. Robiono to, ale tylko wtedy, gdy statki znajdowały się niezwykle blisko siebie.

- Jeśli Włosi będą się trzymać swojego planu lotu, zwolnią za dziesięć dni - powiedział Selmo. - Podali nam punkt, do którego mamy kierować wiadomości, kiedy się zatrzymają. Gdybyśmy chcieli wtedy wysłać im laselinę, możemy to zrobić.

- Więc zasadniczo przez dziesięć dni nic nie robimy? - zapytał Marco. - Jeżeli to jest inwazja, stracimy cenny czas. A jeśli ten statek lub satelita naprawdę leci w stronę Ziemi? Dziesięć dni może wszystko zmienić.

- Nie ma nikogo bliżej? - spytał ojciec.

- Kilka dni od nas jest statek korporacyjny Jukę - rzekł Selmo. - O ile nam wiadomo, tkwią tam od jakiegoś czasu i nic nie robią. Jeżeli nie zmienili pozycji od naszego ostatniego skanu, możemy im wysłać wiadomość.

- I co byśmy im powiedzieli? - zapytał Javier, jeden z wujów Victora. - „Słuchajcie, tam jest obcy statek. Miejcie oczy szeroko otwarte”. Nie uwierzą nam.

- Nie muszą - odparł Toron. - Gdy im pokażemy, gdzie mają szukać, na porządnym skanerze nieba sami go zobaczą.

- Była mowa, że możemy wysłać wiadomość do tych, którym ufamy - powiedział Marco. - Od kiedy ufamy korporacjom?

Wśród zebranych rozległ się pomruk zgody.

- To najbliższy statek - rzekł Toron. - Dlatego zobaczą dokładnie to co my. Chcemy potwierdzić nasze dane, więc rozsądnie byłoby się z nimi porozumieć.

- Nie lubię pracować z korporacjami - stwierdził Marco.

- Ja też nie - zgodził się Toron. - Ale jeśli ten obiekt to rzeczywiście statek kosmiczny, warto powiedzieć komuś z korporacji. Oni mają o wiele lepszy system łączności niż my. Mają satelity przekaźnikowe rozsiane po całym układzie. Jeżeli trzeba ostrzec Ziemię, to ich zadanie, nie nasze.

Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza.

- Cokolwiek to jest - odezwała się Concepción - nie znajdzie się w pobliżu co najmniej przez kilka tygodni, a zapewne przez kilka miesięcy. Myślę, że propozycja Torona, by postępować ostrożnie, jest w tej chwili najmądrzejsza. Jestem równie zaniepokojona jak wy, ale zanim wyślemy ostrzeżenie, chcę się upewnić, z czym mamy do czynienia. Proponuję zawiadomić statek Jukę i za dziesięć dni wysłać tę samą wiadomość do Włochów. Jeśli będziemy to analizować we trójkę, będziemy mieli większe szanse zrozumienia problemu. Tymczasem utrzymujemy pozycję i kontynuujemy prace wydobywcze, a Toron i Edimar śledzą obiekt. Są jakieś zastrzeżenia?

- Tak - odezwał się Victor. Concepción wyglądała na zaskoczoną.

- Masz zastrzeżenia, Victorze?

Chłopak rozejrzył się po mostku. Wszyscy wpatrywali się w niego, niektórzy z irytacją. Nie jemu kwestionować posunięcia Concepción. Nawet nie powinien tu być.

- Nie chcę urazić nikogo, a już najmniej ciebie, Concepción, ale uważam, że to nie my powinniśmy podjąć tę decyzję - powiedział.

- Nie my? - zdziwił się Toron. - A kto?

- Wszyscy - odparł Victor. - To dotyczy wszystkich. To jest obcy statek kosmiczny. Nie mamy prawa wybierać, kiedy zostanie to ujawnione innym. To dotyczy całej ludzkości. Wszyscy się zgadzamy, że zasadniczo istnieją tu dwa scenariusze. Statek albo jest nastawiony pokojowo, albo nie. Jeśli jest nastawiony pokojowo, nic nie stracimy przez odcumowanie od skały i wysłanie przekazu do tylu statków i stacji, do ilu nam się uda trafić. Jeśli rzeczywiście są tu gdzieś piraci, zareagują na informację, a nie na ludzi, którzy ją podali. Powinniśmy to rozgłosić. Powinniśmy poinformować świat. Jak najszybciej dostarczyć wiadomość na Ziemię. Tam niech sami zdecydują, co robić. Jeśli zamiary tego statku nie są pokojowe, a my ostrzeżemy jak najwięcej ludzi, natychmiast zaczną się tworzyć plany obrony. Toron mówi, że wysyłając szerokopasmowy przekaz, możemy ściągnąć na siebie uwagę obcego statku i zrobić z siebie pierwszy cel. Nawet jeśli tak, to co z tego? Jest nas osiemdziesiąt siedem osób. Na Ziemi jest ponad dwanaście miliardów ludzi. Jeżeli mamy poświęcić siebie, by ocalić miliony lub miliardy innych, powinniśmy to zrobić.

- To nie takie proste - powiedział Toron. - Robisz poważne założenia na temat tego statku, a my jeszcze nie wiemy, czy to w ogóle jest statek. Nie wiemy prawie nic.

- I o to mi chodzi - rzekł Victor. - Nie jesteśmy w tej kwestii specjalistami. O wiele bardziej prawdopodobne, że ktoś inny będzie lepiej wyposażony od nas, by to zinterpretować. I kto może ocenić, że Włosi albo nawet ten statek Juke to specjaliści? Owszem, powinniśmy im powiedzieć, ale powinniśmy też powiedzieć wszystkim innym. To stwarza największe

prawdopodobieństwo, że jak najszybciej dowiemy się jak najwięcej.

Toron odwrócił się do Concepción.

- Z całym szacunkiem, właśnie dlatego zebrania Rady są przewidziane dla osób w pewnym wieku i z pewną dojrzałością. Vico ma dobre zamiary. I gdyby to był problem mechaniczny, bardzo bym sobie cenił jego opinię. Ale to nie jest problem mechaniczny. On mówi o sprawach, które nie w pełni rozumie. I w ogóle nie powinien mówić, ponieważ nie jest członkiem tej Rady.

- To prawda, że nie jestem członkiem Rady - rzekł Victor. - Jestem jednak członkiem tej rodziny. Co więcej, jestem członkiem ludzkości, której może zagrażać niebezpieczeństwo.

- Czy ty naprawdę proponujesz, żebyśmy przedłożyli bezpieczeństwo innych statków, innych rodzin, ludzi zupełnie obcych, nad nasze? - spytał Toron. - Nad bezpieczeństwo twojej matki i ojca? Twoich kuzynów i ciotek?

- Twierdzę, że ocalenie ludzkości jest ważniejsze od ocalenia tej rodziny.

- Chcesz tak szybko porzucić rodzinę? - zapytał Toron. - Cóż, mam nadzieję, że nie będę musiał walczyć o nią z tobą u boku.

Dreo skinął głową.

- Wszyscy cię doceniają, Vico, ale to jest rozmowa dorosłych.

- Co mi umyka? - zapytał Victor. - Czego nie rozumiem ze względu na mój wiek?

- Wiesz, jak to jest mieć żonę? Mieć dzieci? - rzekł Toron.

- Oczywiście, że nie.

- Zatem może zrozumiesz, dlaczego uznajemy twoją propozycję za nieco naiwną. Zdecydowanie odrzucę każdy pomysł, który naraża moją żonę i dzieci na niebezpieczeństwo. Mając do wyboru ocalenie jednej z moich córek i dziesięciu obcych osób, wybieram to pierwsze. Nawet stu osób. I tak zrobiłby każdy rodzic obecny w tym pomieszczeniu. Łatwo ci mówić o szlachetnych ofiarach, kiedy sam nie masz nic do stracenia.

- Toron ma rację - rzekł Dreo. - Przede wszystkim mamy zobowiązania wobec najbliższej rodziny. I myślimy o tym także w kategoriach dyplomatycznych. Jeśli podniesiemy alarm, a okaże się, że to nic takiego, w oczach innych rodzin wyjdziemy

na głupców. Nikt nie będzie z nami egzogamić, nikt nie będzie z nami handlować. Bez najmniejszego powodu wyrządzimy sobie nieodwracalne szkody.

- Nie proponuję, żebyśmy na całe gardło krzyczeli „Inwazja!” - powiedział Victor. - Ja tylko popieram propozycję mojej matki. Mówimy wszystkim, co wiemy, a oni przyglądają się temu tak samo jak my. Dlaczego ktoś miałby nabrać o nas gorszej opinii za podanie niezbitych dowodów? Nie musimy dzielić się naszymi przewidywaniami co do końca świata. Po prostu podamy fakty. Jeśli już, to coś takiego tylko umocni naszą pozycję wśród rodzin. Za poinformowanie ich zyskalibyśmy powszechną wdzięczność i szacunek. Rozważmy odwrotną sytuację: gdybyśmy po ataku obcego statku mieli się dowiedzieć, że inna rodzina wiedziała o jego istnieniu i nic nie zrobiła, by nas ostrzec, gardzilibyśmy nią. Obarczylibyśmy ją winą za nasze straty.

Toron zwrócił się do Concepción.

- Victor jest twoim gościem, ale monopolizuje głos.

- Nie mówił dłużej niż ty - odezwał się Segundo.

- Tak, ale ja jestem członkiem tej Rady, a on nie. Okazuje kapitan brak szacunku.

- Poprosiła o zastrzeżenia, a on grzecznie je przedstawił - stwierdziła Rena.

- Do czego nie miał prawa - nie ustępował Toron. - Rozumiem, że w twoich oczach twój syn nie może zrobić nic złego, lecz według zasad tej Rady przekroczył swoje uprawnienia.

- Tak się składa, że ja się z nim zgadzam - powiedział Marco.

- Ja też - rzekł Toron. - Wszyscy tu obecni chcą postąpić właściwie. Rzecz jasna, jeśli okaże się to konieczne, wyślemy ostrzeżenie do wszystkich. Lecz w tej chwili jest za wcześnie. Zbyt mało wiemy. A przewidywania Victora co do reakcji piratów są śmiesznie naiwne.

- Nawet nie wiemy, czy piraci w ogóle zapuszczają się tak daleko - rzekł Segundo.

- Właśnie. Nie wiemy. Dlatego powinniśmy zachowywać się rozważnie. Proponuję poddać to pod ogólne głosowanie.

- Popieram - zgodził się ojciec Victora. Concepción rozejrzała się po zebranych.

- Zastrzeżenia?

Nie było.

- Doskonale - rzekła Conception. - Kto się zgadza na natychmiastowe wysłanie przekazu szerokopasmowego?

Ręce podniosła jedna trzecia obecnych, w tym Rena, Segundo i Marco. Edimar też podniosła rękę, lecz opuściła ją pod miażdżącym wzrokiem Torona. Victor nie głosował, ponieważ nie był członkiem Rady. Conception policzyła głosy, skinęła głową i powiedziała:

- Kto uważa, że powinniśmy poinformować teraz tylko Włochów i statek Jukę?

Uniosły się ręce pozostałych, czyli większości zebranych. Toron pozwolił sobie na lekki uśmieszek tryumfu.

Victor uświadomił sobie, że nie zamierzają nic zrobić. A w każdym razie nie natychmiast i nic znaczącego, nic, co zapewniłoby im bezpieczeństwo w nadchodzących miesiącach. Zamierzali wysłać dwie wiadomości, a potem czekać i może dowiedzieć się czegoś nowego.

Nie zamierzał czekać z nimi. Nie miał wpływu na to, kiedy i jak rodzina ostrzeże innych, ale miał wpływ na funkcjonowanie statku. Mógł ulepszyć jego obronę. Do tego nie potrzebował zgody Rady.

Zebranie się kończyło, ludzie się rozchodzili.

- Próbowałeś, Vico - powiedziała matka. - Jestem z ciebie dumna.

- Dziękuję, matko. - Zwrócił się do ojca. - Najpierw powinniśmy się skupić na rozbij aczach kamyków.

- Zgoda - odparł ojciec, już wstukując polecenie do podręcznego komputera. - Obudzę Mono.

Victor wiedział, że nie będzie musiał ojcu niczego wyjaśniać. Było oczywiste, co trzeba zrobić. Musieli znaleźć sposób na takie ulepszenie rozbijaczy kamyków, by stały się mocniejsze i groźniejsze. Gdyby pomagał cały statek, robota szłaby o wiele szybciej, a tak będzie tylko ich trzech. Victor pośpiesznie opuścił mostek. Toron i inni pomyślą zapewne, że jest to reakcja nadąsanego nastolatka, który przegrał polemikę, ale Victora to nie obchodziło. Niech myślą, co chcą. On miał robotę.

Rozdział 5

Benyawe

Lem w swoim biurze przy zgaszonym świetle oglądał holograficzną symulację trafienia glaserem asteroidy 2002GJ166. To była prosta symulacja. Trwała tylko dziesięć sekund, lecz inżynierowie pracowali nad nią trzy dni. Drobiazgowo odtworzyli wszystkie szczegóły asteroidy. Posunęli się nawet do tego, że pracownicy odtworzyli też szyb, który wolni górnicy wydrążyli w skale. Pod wszystkimi względami hologram był identyczny z rzeczywistym obiektem, chociaż tysiąc razy mniejszy. Początkowo nic się nie działo. Potem asteroida trafiona glaserem eksplodowała, posyłając we wszystkich kierunkach tysiące skalnych fragmentów, co wyglądało jak rozrastająca się olbrzymia kula żwiru. Wkrótce kawałki stały się tak odległe od siebie, że kula znikła i na jej miejscu znajdowała się już tylko pusta przestrzeń kosmiczna. Symulacja zgasła. Lem odwrócił się do doktora Dublina i doktor Benyawe, którzy stali cierpliwie przy biurku, czekając na jego reakcję.

- Jest całkowicie unicestwiona - stwierdził Lem. - Jak mam eksploatować unicestwioną asteroidę?

„Makarhu” znajdował się o niecały dzień drogi od asteroidy. Od dziewięciu dni plan Chubsa „zielone światło, czerwone światło” działał bez zarzutu. Załoga „El Cavadora” pozostawała nieświadoma. Wolni górnicy nie dawali żadnych oznak, że wiedzą o zbliżającym się do nich statku. Żadnych radiowych pogroźek,

strzałów ostrzegawczych, nic. Albo nadzwyczaj dobrze grali głupich, albo czekała ich niespodzianka życia.

Teraz jednak inżynierowie mówili Lemowi za pośrednictwem holosymulacji, że to i tak nie ma znaczenia, ponieważ glaser całkowicie niszczył asteroidę i zostawiał ich z pustymi rękami.

- To nie do przyjęcia - oznajmił Lem. - Z asteroidy nic nie zostało.

- Mogliśmy się pomylić w obliczeniach - przyznał doktor Dublin. - Nigdy wcześniej nie strzelaliśmy glaserem do tak dużego obiektu. Symulacja działa tylko z danymi, jakich dostarczamy, a nie mamy ich dużo. Jest to w dużym stopniu domysł.

- Więc po co tworzyć symulację? - zapytał Lem. - Pokazujecie mi coś, co mogłoby się wydarzyć? Sam to mogę zrobić. Mam dość bogatą wyobraźnię. Proszę wybaczyć mi szczerość, doktorze Dublin, ale domysły są tu na nic. Potrzebuję faktów. A pan mi pokazuje półfakty. I, mówiąc zupełnie szczerze, nie te półfakty, które chcę widzieć. Glaser jest narzędziem górniczym. Zajmujemy się wydobywaniem minerałów. Pan mi pokazuje strzelanie do rzutków. Nie obchodzi mnie, czy rozwali pan asteroidę, ale wysyłanie milionów kawałków we wszystkich kierunkach nic nie da. Górnicy nie mogą cały dzień uganiać się za fragmentami skał. Glaser ma pomóc w procesie wydobywczym, a nie go utrudniać. Mogę tolerować takie działanie przy kamkach, ale nie przy dużych skałach. Zarządowi nie o to chodzi.

- Nie chcesz domysłów, Lemie, ale my głównie nimi dysponujemy - odparła Benyawe. - Nie przeprowadziliśmy wystarczającej liczby prób praktycznych, by móc z wysoką dokładnością przewidzieć, co się stanie. Dlatego ta misja miała w planach przeprowadzanie wielu prób na coraz większych asteroidach.

Lem pokręcił głową.

- Pierwotny plan upadł. Jest już siedem tygodni opóźnienia. Teraz mamy nowy plan, który wcielamy w życie od dziewięciu dni. Zgadza się, że nasz pierwotny plan był idealny, ale okoliczności się zmieniły.

- Zatem możemy pokazać ci jedynie możliwości, nic ostatecznego - powiedziała Benyawe. - Rzeczywiste dane będziemy mieli, kiedy rozsadzimy prawdziwą asteroidę. Spróbujemy

zminimalizować pole grawitacyjne, co być może zmniejszy eksplozję, lecz nie potrafimy przewidzieć, jak daleko rozciągnie się to pole.

Lem potarł oczy. Był wykończony. Te dziewięć dni nie należały do najprzyjemniejszych. A kolejna runda „gadki o danych” wcale nie pomagała. Część problemu stanowiło oświecenie - czy też raczej jego brak. Kiedy wyruszyli w stronę asteroidy, zgodnie z instrukcjami Chubsa Lem zarządził zaciemnienie. Oznaczało to wyłączenie wszystkich zewnętrznych i większości wewnętrznych świateł, by statek był niewidzialny dla wrażliwego na światło skanera nieba „El Cavadora”. Lem spodziewał się, że będzie to spore wyzwanie. Trzeba było się przyzwyczaić do poruszania się po statku w niemal całkowitej ciemności. Nie spodziewał się natomiast, że wszyscy popadną w ponury, drażliwy nastrój. Zwykle słyszał w pomieszczeniach statku śmiech i przyjacielskie rozmowy. Ostatnio pomieszczenia były równie ciche jak ciemne.

Jeszcze bardziej denerwujące było ciągle zatrzymywanie się i ruszanie. Aby się podkraść, „Makarhu” tkwił w bezruchu, kiedy znajdował się naprzeciwko strony asteroidy, gdzie zacumował „El Cavador”, lecz gdy tylko jednostka górników zniknęła z jego pola widzenia, wyrwał do przodu. Zatrzymywał się. Ruszał. Zatrzymywał się. Ruszał. Właściwie uniemożliwiała to sen. Lem cały czas był zmęczony i niespokojny.

- Ma pani rację - przyznał. - Proszę o niemożliwe. Proszę o informację, co się stanie, nie pozwalając na zgromadzenie danych potrzebnych do sformułowania odpowiedzi. To nie w porządku. Zdaję sobie z tego sprawę. Jest już jednak jedenasta godzina, a my mamy tylko jedną próbę. Zróbmy co w naszej mocy, żeby się powiodła.

Dublin zaczął zbierać swoje rzeczy.

- Zobaczymy, co da się zrobić, panie Jukes.

- Pokładam w panu pełne zaufanie - rzekł Lem.

Dublin odepchnął się w stronę wyjścia, lecz Benyawe nie ruszyła się z miejsca.

- Mogę coś powiedzieć, Lemie? - zapytała.

- Co tylko pani chce, doktor Benyawe. Nie pozwoli mi to zasnąć.

- Od czasu wyruszenia w stronę tej asteroidy milczałam, ale jeśli nie powiem czegoś teraz, zanim tam dotrzemy, rozczaruję samą siebie.

Lem wiedział, dokąd to zmierza. Tak jak się spodziewał, decyzja stuknięcia wolnych górników nie spodobała się inżynierom. Ich świat był czarno-biały. Eksperyment się powiódł albo nie. Dane były dobre albo nie. Prototyp działał albo nie. Pomysł szarej przestrzeni, gdzie pod pewnymi warunkami można zaakceptować przejęcie kopalni siłą, był dla inżyniera trudny do przełknięcia. Wszyscy wiedzieli, że firma Jukę Limited jest uwikłana w podejrzaną praktykę, ale o wiele łatwiej przemykać na coś takiego oko w bezpiecznych i przytulnych pomieszczeniach własnego laboratorium na Lunie. Tu, w dalekim kosmosie, twarda prawda biła po oczach.

Lem uniósł dłoń.

- Jeśli zamierza mi pani powiedzieć, że stuknięcie tych wolnych górników jest moralnie naganne, proszę zaoszczędzić sobie wysiłku. Też tak uważam.

-Tak?

- Zdecydowanie. Zasadniczo to jest oszustwo. Oraz zastraszanie. Nie mówiąc już o tym, że jest to nadzwyczaj niebezpieczne.

- Więc dlaczego to robimy?

- Ponieważ alternatywą jest ośmiomiesięczna podróż tam i z powrotem. Jeśli zapuścimy się tak daleko, poważnie nadszarpniemy zapasy paliwa. Poza tym nie mamy gwarancji, że ta dalsza asteroida nie będzie zajęta. Może cumuje do niej cała flota wolnych górników?

- To nie są nasze jedyne możliwości - rzekła Benyawe. - Moglibyśmy kontynuować misję zgodnie z planem. Nie jest na to za późno. Szukamy coraz większych kamyków i na bieżąco dopasowujemy glaser. Wolni górnicy nie dotykają kamyków. Nie byłoby kwestii.

- I tak musimy kiedyś się zająć dużą asteroidą - rzekł Lem. - Jedynie przeskakujemy pewien etap. Wielka szkoda, że trzeba odpędzić wolnych górników, ale w takim świecie żyjemy. Chubs zapewnia, że da się to zrobić przy minimalnych uszkodzeniach struktury ich statku i nie wyrządzając krzywdy załodze.

- To nie jest w porządku. Zabieramy coś, co należy do nich.

- Technicznie, pani doktor, nie należy do nich. Nie mają aktu własności. Żadnego prawa do tej asteroidy. Jest tak samo nasza jak ich. Proszę zapytać OHIBK-ę.

Lem nie był całkowicie pewien, czy ma rację. Możliwe, że Organizacja Handlu i Bezpieczeństwa Kosmicznego, międzynarodowa organizacja nadzorująca przemysł wydobywczy w przestrzeni kosmicznej, poparłaby w tej sprawie Benyawe. Ale skoro Lem nie znał szczegółowo tych przepisów, to był prawie pewny, że ona też ich nie zna. Jeśli będzie pewny siebie, Benyawe nie zacznie oponować.

- Ale oni dotarli tam pierwsi - stwierdziła. - To musi mieć jakieś znaczenie.

- Miało. Wydobyli dwa szybkostatki metalu. Nie pozbawiamy ich środków do życia, pani doktor. Biorąc pod uwagę to, ile już wyciągnęli z tego szybu, zapewne i tak już kończą wydobywanie. My ich tylko odsyłamy nieco za wcześnie.

Uśmiechnęła się z wyrzutem.

- Nie wiemy, czy kończą wydobywanie, Lemie. To bezpodstawne spekulacje pozwalające nam spać spokojnie.

- Ma pani rację. Nie zmienia to jednak naszej sytuacji. Jeśli w ciągu następnych kilku godzin nie pojawi się tu jakaś duża asteroida, realizujemy plan.

- A zatem chciałabym, by w oficjalnych zapisach statku zanotowano, że sprzeciwiam się temu działaniu.

Zaskoczyła Lema.

- Podchodzi pani do tego tak stanowczo?

- Tak. I nie ja jedna. Wielu inżynierów czuje się z tym nieswojo, nie tylko dlatego, że wygląda to na kradzież. Boją się o życie. Co będzie, jeśli ci wolni górnicy mają lepszą obronę i sprzęt, niż nam się wydaje? Jesteśmy naukowcami, a nie żołnierzami.

- Zapewniam panią, że stuknięcie garstki pożeraczy kamyków to najbezpieczniejsza rzecz na świecie.

- Nie używaj tej nazwy. Uważam ją za obraźliwą. To są ludzie.

- Pożeracze kamyków. Wysysacze skał. Popielnicy. Ryjówki. Kopaki. Śmieciarze. Te słowa istnieją, doktor Benyawe, ponieważ ten rodzaj ludzi prowadzi nie całkiem cywilizowane życie. Żenią się ze swoimi siostrami. Nie mają żadnego wykształcenia.

Ich dzieci nie umieją chodzić. Ich nogi to same kości i ścięgna, ponieważ nie wykształcają im się mięśnie. Zupełnie jakby stawali się całkowicie odmiennym gatunkiem.

- Nie wszyscy są tacy. Mówi pan o odosobnionych wypadkach.

- Oglądała pani demaskatorskie publikacje, pani doktor? Widziała pani filmy dokumentalne o tych ludziach? Robi się od tego niedobrze.

- To pogoń za sensacją, Lemie, wiesz o tym. Przeważająca większość wolnych górników to inteligentne, ciężko pracujące rodziny, które kochają swoje dzieci i przestrzegają prawa kosmicznego. A my chcemy odebrać im środki utrzymania.

- I zapewnić je sobie. W takim świecie teraz żyjemy, pani doktor. Nie znajdujemy się w laboratorium na Lunie, tylko na pograniczu. Tu nie wszystko jest krystalicznie czyste. Czy pozwolimy sobie na niepowodzenie, żeby grupa wolnych górników mogła wydoić do cna jakąś asteroidę? Nie. Zajmiemy ją. Czy podoba mi się to wyjście? Nie, ale ci wolni górnicy już się z tym stykali. Taki jest ich świat. Najprawdopodobniej oni też stukają statki. Kto może powiedzieć, że nie stuknęli kogoś, żeby zająć tę asteroidę?

- Kolejne bezpodstawne spekulacje.

- Ja tu maluję pewien obraz, pani Benyawe. Przypominam, że tu, w dalekim kosmosie, obowiązują inne zasady. Mnie się też one nie podobają. Owszem, ci wolni górnicy mają zobowiązania wobec swojej rodziny, ale my też je mamy.

Benyawe zmarszczyła brwi.

- Wobec zarządu, tak? Wobec naszych udziałowców? Bądź poważny, Lemie. Nie można ich porównywać z rodziną.

- To, że ci ludzie są ze sobą spokrewnieni, nie sprawia, że ich sprawa jest słuszniejsza od naszej. Uzyskali z tej skały dwa szybkoatki metalu. Nic im nie będzie.

Zadzwoił holoeckran Lema, sygnalizował prośbę o przyjęcie wiadomości. Lem machnął dłonią przez holoprzestrzeń i po chwili pojawił się w niej Chubs.

- Mamy problem. Stuknięcie tego statku będzie trudniejsze, niż sądziliśmy. Możesz przyjść na mostek?

Lem natychmiast opuścił biuro. Nie chciał, żeby Benyawe podążyła za nim, lecz albo nie odczytała języka jego ciała, albo

postanowiła nie zważać na to. Udała się razem z nim korytarzem do rury komunikacyjnej. Odwrócił się do niej.

- Jeśli napisze pani oficjalny sprzeciw, podpiszę go i umieszczę w komputerach statku. A teraz pozwoli pani, ale mam coś do załatwienia na mostku.

- Chciałabym pójść z tobą.

To nie był dobry pomysł. Inżynierowie nigdy nie pojawiali się na mostku, a to nie była dobra pora na precedens, zwłaszcza że pani doktor tak stanowczo opowiadała się przeciwko stuknięciu.

- To nie jest sprawa dla inżynierów.

- Nie jestem jakimś tam inżynierem, Lemie. Jestem z twojego mianowania dyrektorem operacji specjalnych. Moim zdaniem stuknięcie statku zdecydowanie zalicza się do operacji specjalnych.

Lem nagle zrozumiał, dlaczego ojciec powierzył to stanowisko Dublinowi. Ludzie pokroju Dublina nigdy niczego nie kwestionują. Jeśli nie zgadzają się z przełożonymi, sznurują usta i nie wychylają się z szeregu. Nie czyni to z nich lepszych przywódców, ale z pewnością ułatwia zadanie nadzorowi. Benyawe była osobą całkowicie innego pokroju. Nie miała genu zachowania milczenia. Ale przecież dlatego ją awansował! Chciał szczerego doradztwa.

- Może pani pójść ze mną, ale nie pozwalam wygłaszać przeciwnych niż moje opinii przy innych.

- Ja nie wygłaszam przeciwnych niż twoje opinii.

- Właśnie pani to robi.

- Ja się stanowczo nie zgadzam. To jest różnica.

- Świetnie. Proszę zatem tego nie robić. Chodzi mi o to, że przy sterze jestem dowódcą. Może pani zadawać pytania. Może pani wypowiadać uwagi. Ale jeśli nie spodoba się pani coś, co powiem, proszę zachować to dla siebie, dopóki nie będziemy sami.

- Zgoda.

Na mostku był wyświetlony duży hologram „El Cavadora”. Zupełnie nie przypominał pierwotnego hologramu statku, który widział Lem - wtedy był to trójwymiarowy obraz z zasobów komputera, przedstawiający dany model. Teraz „Makarhu”

znajdował się na tyle blisko asteroidy, że dało się sporządzić skany o wysokiej rozdzielczości i Lem nie wierzył własnym oczom.

- To wygląda jak czołg - powiedział.

- Cały ranek przepuszczaliśmy skany przez komputery - rzekł Chubs. - Nigdy nie widziałem czegoś takiego, a w każdym razie nie na statku wolnych górników. Na całej powierzchni przyspawali płyty pancerne. Poza tym nigdy nie widziałem tyle oryginalnej techniki na jednym statku. Spójrz na te wystające elementy tu, tu i tu. To wysoka technika.

- Jaka? - zapytał Lem.

- Nie wiemy - odparł Chubs. - Te skrzynki mogą być roz-bijaczami kamyków. Nasze komputery nic z tego nie rozumieją. Większość tych urządzeń wygląda, jakby były zbudowane ze złomu. Komputery wciąż rozpoznają poszczególne części maszyn, ale użyte w dziwnych połączeniach, więc nie mamy pojęcia, do czego to wszystko tak naprawdę służy. Kimkolwiek są ci ludzie, są albo umysłowo chorzy, albo genialni.

- Wolałbym raczej, żeby byli umysłowo chorzy - stwierdził Lem.

- Ja też - przytaknął Chubs. - Nie podoba mi się, że mają urządzenia, których przeznaczenia nie rozumiemy. Działa mi to na nerwy. Ale nie to jest najgorsze.

Zerknął niespokojnie na Benyawę.

- W porządku, pani Benyawe jest tu na moje zaproszenie - rzekł Lem i uśmiechnął się do niej.

Sprawił wrażenie nonszalanckiego, chociaż w rzeczywistości odczuwał lekką panikę, widząc opancerzonego „El Cavadora”. Nie powinien był przyprowadzać Benyawę.

Chubs odwrócił się do hologramu i wstukał polecenie. Kilkanaście lin łączących „El Cavadora” z powierzchnią asteroidy zaśniło na żółto.

- Oto zła wiadomość. Do asteroidy są przycumowani dwunastoma linami. To trzy razy więcej niż normalnie.

- O czym to świadczy? - zapytał Lem. - Dostrzegli nas? Dodali więcej lin, żeby przyciągnąć się bliżej powierzchni?

- W żadnym razie - odparł Chubs. - Nie wozi się ze sobą tyle lin. Pewnie zawsze tak cumują.

- Może ktoś ich kiedyś stuknął - wtrąciła Benyawe. - A teraz używają więcej lin, żeby zniechęcić do tego innych.

- Tak właśnie pomyślałem - rzekł Chubs. - Sądząc po wyglądzie ich statku i liczbie cum, można powiedzieć, że ci ludzie zetknęli się już z piratami i złodziejami działek.

- Oraz przedstawicielami korporacji - dorzuciła Benyawe. Lem posłał jej ostrzegawcze spojrzenie, lecz pani doktor

stała przodem do hologramu i tego nie widziała.

- A po drugie, niepokoi mnie duża aktywność, którą wykryliśmy na zewnątrz ich statku - powiedział Chubs.

- Jaka aktywność? - zapytał Lem.

- Spacery w przestrzeni. I to częste. Niektóre mają na celu położenie kolejnych płyt pancernych. Inne - prace nad systemem unikania kolizji. Są bardzo, bardzo aktywni. Nie widzieliśmy więcej niż trzech czy czterech ludzi naraz, ale wygląda to tak, jakby szykowali się na wojnę.

- Najwyraźniej nas wykryli - stwierdził Lem. - Tworzą ochronę przed naszym atakiem.

- Nie jestem taki pewien. Jest tam tylko trzech czy czterech gości. Gdyby górnicy wpadli w przedbitewną panikę, wyprowadziliby na zewnątrz całą załogę. Do czegoś takiego zaangażowaliby wszystkich wolnych ludzi.

- Może to są ich wszyscy wolni ludzie - powiedziała Benyawe. - Może zostało im tylko trzech czy czterech. Może mają jakąś epidemię czy co.

- Ależ tam są aktywni inni ludzie - odparł Chubs. - Widzieliśmy ich. Podczas gdy ci wzmacniają statek, trzydzieści osób pracuje w kopalni. Zasadniczo życie u nich toczy się jak zwykle.

Lem wzruszył ramionami.

- Jeśli się zastanowić, nie ma w tym nic dziwnego. Zobaczyli, że się zbliżamy, i starają się wydobyć jak najwięcej przed naszym przybyciem. Ja bym tak zrobił.

- Istnieje też możliwość, że o nas nie wiedzą, a wzmacnianie statku to po prostu zadanie tych trzech czy czterech gości - wysunęła przypuszczenie Benyawe. - Ta jednostka ma dobre osłony. Takiego stanu nie osiąga się z dnia na dzień. Na całym opancerzeniu widać ślady ognia i wgniecenia, co może sugerować, że statek nosi je od dawna.

- Może - mruknął Chubs. - Może to także znaczyć, że płyty już były osmalone, kiedy je zakładali.

- Mało prawdopodobne - zaproponowała Benyawe. - Niektóre z tych wgnieć i śladów ciągną się przez kilka płyt. Ten statek był w akcji. Może oni nie szykują się do wojny z nami. Może toczą spór z jakąś inną rodziną albo w okolicy znajduje się statek złodziei.

- W okolicy nie ma nikogo innego - stwierdził Chubs. Benyawe wzruszyła ramionami.

- Więc może przygotowują się do wyruszenia w półroczną podróż, u której celu znajduje się ich wróg. Kto wie?

- Mam już dość domysłów jak na jeden dzień - oznajmił Lem. - Chcę odpowiedzi. Jaki to ma wpływ na stuknięcie? Przeprowadzamy je czy nie?

- Największy problem stanowią cumy - powiedział Chubs. - Jest ich bardzo dużo. Musielibyśmy wszystkie poprzecinać. Laserami? To uciążliwa robota. I trwałaby o wiele za długo. Stuknięcie musi trwać bardzo krótko. Najwyżej dwie minuty. To daje mniejszą szansę na odwet. Proponuję przeciąć cumy w inny sposób.

- W jaki? - zapytał Lem.

Chubs wstukał kolejne polecenia do hologramu i obraz „El Cavadora” zniknął. Zastąpił go hologram asteroidy ze statkiem jako niewielkim obiektem zakotwiczonym na powierzchni.

- Wylądujemy tutaj, po niewidocznej stronie - rzekł Chubs.

Lem patrzył, jak hologramowy „Makarhu” zbliża się do przeciwnej strony asteroidy i ląduje tuż pod linią horyzontu „El Cavadora”, ale w odległości dogodnej do ataku.

- W tym momencie jeszcze nas nie widzą - objaśniał Chubs. -Czekamy tu cztery godziny od początku ich pory snu, żeby wszyscy mocno zasnęli. A potem wysyłamy dwanaście przecinaków.

Automatyczne przecinaki były niewielkimi wybuchowymi robotami w kształcie dysków. Korporacje używały ich do prac wydobywczych - wysyłały je do wąskich szybów, by rozbijały duże bryły skał.

- Tutaj jest grzbiet skalny - ciągnął Chubs, zaznaczając odpowiedni fragment na hologramie asteroidy. - Ciągnie się od miejsca naszego lądowania i kończy sto metrów przed „El

Cavadorem". Niezauważeni przemieścimy się wzdłuż tego grzbietu wahadłowcem. Zatrzymamy się na skraju otwartego terenu. Tam zrzucamy przecinaki. Nasz pilot kieruje każdy z nich do innej cumy, a my je odpalamy wszystkie naraz. Wtedy zaczyna się atak. Po przecięciu cum zbliżamy się statkiem i niszczymy laserami ich rozbijacze kamyków oraz zasilanie. W tym momencie jest po wszystkim. Możemy ich odepchnąć bez najmniejszego kłopotu. Góra półtorej minuty.

Lem przez chwilę wpatrywał się w hologram.

- Zrzucamy przecinaki? Możesz je wysłać tak daleko z taką dokładnością?

- Przecinaki są wyposażone w minikamery. Mamy bardzo dobrego pilota.

Możemy nimi sterować bardzo precyzyjnie.

- A „El Cavador” nie wykryje ruchu? Nie zobaczą zbliżających się przecinaków?

- Ich system unikania kolizji nie monitoruje powierzchni asteroidy. Nie może tego robić. Cały dzień po powierzchni chodzą górnicy. Wierz mi, to ostatnie miejsce, skąd spodziewaliby się ataku.

Lemowi to się nie podobało. To miała być czysta operacja. Mieli nadlecieć, unieszkodliwić laserem kilka urządzeń na powierzchni kadłuba, odepchnąć statek i tyle. Proste. Żadnych przecinaków. Żadnych wybuchów. Żadnego podkradania się w wahadłowcu. A teraz powstało zbyt wiele zmiennych.

Jeden z załogantów opuścił swoje stanowisko i wylądował obok Lema.

- Obrót asteroidy usuwa ich z pola naszego widzenia, sir. Możemy zaczynać, kiedy tylko będzie pan gotów.

To miał być ostatni skok. Znajdowali się już blisko. Wylądują na skale za kilka godzin. Lem popatrzył na Benyawę, która miała twarz nieruchomą jak maska. Wydawała się spokojna, lecz on wiedział, że jest zła. Nowy rozwój wypadków nie podoba się jej bardziej niż jemu.

- Co powiesz, Lemie? - zapytał Chubs. - Jeszcze możemy zrezygnować.

Dziewięć dni, pomyślał Lem. Lecieliśmy tu dziewięć dni. Asteroida jest tuż przed nami. Co ty byś zrobił, ojcze? Odleciałbyś i rozwalił jeszcze kilka kamyków? Lecił osiem miesięcy

do innej asteroidy? Czy strząsnął ze skały tych wysysaczy żwiru? Lem niemal czuł przy sobie obecność ojca, zagląającego mu przez ramię, kręcącego głową z rozczarowaniem. „Dlaczego w ogóle musisz się nad tym zastanawiać, Lemie? - zapytałby ojciec. - Jesteś mężczyzną czy dzieckiem?”.

Lem odwrócił się do Chubsa.

- Posadź nas.

Rozdział 6

Marco

Na powierzchni „El Cavadora” Victor za pomocą ręcznej wiertarki przymocowywał do kadłuba jeden z rozbijaczy kamyków. Obok niego Mono przytrzymywał RK na miejscu linami. Kilka dni wcześniej zabrali laser do ładowni, żeby wprowadzić modyfikacje. Teraz instalowali go na poszyciu.

Czy ich wysiłki się na coś przydadzą? Jeśli obca jednostka okaże się wrogo nastawiona, nie zdołają jej powstrzymać. Poruszała się niemal z prędkością światła, co wymagało niewyobrażalnej ilości energii i zaawansowania w technice znacznie przekraczającego wszelkie ludzkie osiągnięcia. Jaką bronią dysponują budowniczowie tego statku kosmicznego? Niewyobrażalną.

Victor umieścił w wiertarce kolejną śrubę i przeszedł do następnego otworu. Zauważył, że RK jest nieco przesunięty w stosunku do miejsca, w którym powinien się znajdować. Podniósł wzrok i zobaczył, że Mono zasnął. Lina odpłynęła leniwie od rozwartych dłoni chłopca, ręce unosiły się bezwładnie u jego boków. Dobrze, że magnesy w butach przytrzymały go przy kadłubie.

- Mono! - krzyknął Victor ostrym tonem.

Pomocnik szeroko otworzył oczy, nagle czujny. Chwycił linę i naciągnął.

- Przepraszam. Nie śpię.

- Śpisz. Jesteś wykończony. I wcale cię nie winię. Wymagałem dzisiaj od ciebie o wiele za dużo.

- Nie, nie. Nic mi nie jest, naprawdę. Już dobrze.

Mono zamrugał i energicznie potrząsnął głową, by znów nie zasnąć.

- Jeszcze trzy śruby - powiedział Victor. - Potem wracamy. Pora snu trwa już od godziny. Powinieneś być zapięty w hamaku.

- Nic mi nie jest - powtórzył Mono, chociaż Victor-zdawał sobie sprawę, że jeśli pozwoli mu milczeć przez pięć sekund, chłopiec znów zaśnie.

Na wewnętrznej stronie osłony hełmu Victora pojawiła się wiadomość od matki. „Już późno, Vico. Przyprowadź Mono do środka. Jego mama się martwi”.

Zakończyli instalację, zebrali narzędzia i pośpieszyli do służby. W środku powitała ich matka z pojemnikami chili i dwiema gorącymi arepami owiniętymi szmatką. Victor wy dostał się ze swojego skafandra ciśnieniowego i pociągnął przez słomkę pierwszy łyk chili. Było gorące i pikantne, z papryką drobno posiekaną, tak jak lubił.

- Jak zwykle idealne - powiedział. Matka zmarszczyła brwi.

- Nie ugłaskasz mnie komplementami. Napytałeś sobie biedy. Mono od godziny powinien być w łóżku.

- Nie jestem zmęczony - powiedział Mono, chociaż z trudem otwierał oczy. Matka się uśmiechnęła.

- Nie, jesteś żwawy jak zając. - Spojrzała surowo na syna. - Nie odpoczywasz i nie jesz, jak ci kazałam, Vico. Potrzebujesz w nocy ośmiu godzin snu. Podobnie jak Mono. On ma dziewięć lat.

- Dziewięć i trzy czwarte - sprostował Mono. - Niedługo moje urodziny.

- Masz rację, Patita - zgodził się Victor. - Przepraszam. Matka zmrużyła oczy. Zawsze robiła taką podejrzliwą minę, kiedy Victor używał przezwiska, które wymyślił dla niej w dzieciństwie.

- Czy ty w ogóle zeszłej nocy położyłeś się spać? Rano nie było cię w hamaku.

Victor ugryzł kęs arepy. Była gorąca i posmarowana masłem.

- Spałem kilka godzin w warsztacie. Matka westchnęła i spojrzała na Mono.

- A ty, Monito? Uczysz się od mojego syna czegokolwiek poza buntem i nieposłuszeństwem?

Mono miał usta pełne arepy. Odpowiedział coś niezrozumiale.

- Mówi, że śpi jak dziecko - wspomógł go Victor. - Osiem godzin.

Mono uśmiechnął się i skinął głową, że tłumaczenie było poprawne.

- Przynajmniej jeden z was dba o siebie - westchnęła matka. Tak naprawdę się nie gniewała. Wiedziała, że trzeba wykonać tę pracę. Tyle że jej się to nie podobało.

- Ojca powinnaś objechać - stwierdził Victor. - Śpi mniej ode mnie.

- O, nie martw się. Dużo już dzisiaj ode mnie usłyszał.

Od zebrania Rady wszyscy gorączkowo pracowali, a ojciec najwięcej ze wszystkich.

- Włosi już niedługo dostaną laselinę - powiedziała matka.

- Nadal ani słowa ze statku Jukę? - zapytał Victor. Pokręciła głową.

- Powinniśmy już otrzymać jakąś odpowiedź, przynajmniej potwierdzenie otrzymania wiadomości, a wciąż cisza. Selmo uważa, że wycofali się przed otrzymaniem przekazu. Nie widać już ich na naszych skanach.

- A może dostali wiadomość i czym prędzej wrócili na Lunę, ratując życie - wysunął przypuszczenie Mono.

- To by oznaczało, że nasza wiadomość jednak do kogoś dotarła - rzekła matka.

- Trzeba było powiedzieć wszystkim - rzekł Victor. - Trzeba było powiedzieć całemu światu dziesięć dni temu.

Matka skinęła głową i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Obiecuj mi, że będziesz więcej spał.

- Tylko jeśli obiecasz, że będziesz częściej robić to chili.

- Tak - wtrącił się Mono, mlaskając. - *Sabroso*. Pyszne. Zapiszczał podręczny komputer Victora, po czym dał się słyszeć głos ojca.

- Przydałaby się nam z Marco twoja pomoc, Vico. Jeśli skończyliście z tym rozbijaczem kamyków, poślij Mono do łóżka i przyjdź do nas.

Ostatnio po pracy w kopalni Marco pomagał ojcu na zewnątrz statku przy montażu osłon.

- Jestem z matką, która cię słyszy - odparł Victor. - Krzywo na mnie patrzy.

- Nie chcę zostawiać na noc niedokończonej instalacji, a te twoje nowe części są nieco kapryśne. Przekaż matce, że jesteś mi potrzebny.

- Przekaż swojemu ojcu, że narobił sobie kłopotów - mruknęła matka.

- Mówi, że bardzo cię kocha - rzekł Victor.

Matka przewróciła oczyma i chłopak już wiedział, że nie napotka oporu z jej strony. -Idę.

- Mogę iść z tobą? - zapytał Mono.

- Nie ma mowy - stwierdziła Rena. - Obiecałam twojej matce, że natychmiast udasz się do hamaka.

Mono chciał dyskutować, ale zorientował się, że nie ma żartów. Zgarbił się i odepchnął w stronę włazu. Kiedy zniknął, matka położyła dłoń na ramieniu Victora.

- Uważaj, bardzo cię proszę. Kiedy jesteśmy zmęczeni, popełniamy błędy. A na zewnątrz nie można popełniać błędów. Nawet małych.

- Będę uważał.

Pięć minut później znajdował się na zewnątrz statku z ojcem i Marco. Lina ubezpieczająca ciągnęła się za nim do ładowni.

- Ponownie załadowaliśmy program, ale się nie włącza - powiedział ojciec, wskazując nowo zainstalowany RK.

Posługując się wyświetlaczem wewnątrzhełmowym, Victor wmrugał się do komputera statku, żeby wykryć problem. Nie był programistą, ale nauczył się kodowania na tyle, by w razie potrzeby wprowadzić do kodu potrzebne modyfikacje. Zanim znalazł usterkę, ulepszył program i uruchomił RK, minęła godzina. Marco i ojciec przyśrubowywali do kadłuba jedną z nowych płyt pancernych. Metal użyty do jej wykonania pochodził bezpośrednio z szybu, gdzie specjalnie zmodyfikowano piece do wytopu.

Przez statek przetoczyła się burzliwa dyskusja nad użyciem tego metalu; niektórzy domagali się, żeby wysłać go na Lunę z pozostałymi minerałami, co zwiększy dochody. W końcu jednak Conception poparła ojca i piec cały czas wytwarzały dodatkowe płyty.

Victor pomagał ojcu i Marco. Nie słyszał wiertła, które trzymał w dłoni, ale wiedział, że wewnątrz statku słychać wibracje. Większość załogi spała, więc był pewien, że jeśli hałasem ich obudzi, otrzyma wiadomość, żeby przerwali pracę. Minęły dwie godziny, a na wyświetlaczu nie pojawiła się żadna wiadomość. Aby przyspieszyć upływ czasu, Marco z początku opowiadał stare historyjki górnicze, tak śmieszne, że Victora i ojca bolały brzuchy ze śmiechu. Pierwszy raz od odejścia Jandy chłopak miał poczucie normalności w kontaktach z jakimś dorosłym, oczywiście oprócz ojca i matki.

W końcu jednak historyjki się skończyły i pracowali w ciszy. Oczywiście mogli skończyć w każdej chwili; ojciec i Marco zaczęli instalować płyty tylko dlatego, żeby mieć zajęcie, kiedy Victor pracował nad RK. Po jego uruchomieniu właściwie nie mieli już powodu do przybywania na zewnątrz statku o tak późnej porze. Victor wstał, żeby zaproponować koniec pracy, i wtedy na powierzchni asteroidy uchwycił kątem oka jakiś ruch. Zmrużył oczy, usiłując dostrzec coś w ciemności. Wywołał mrugnięciem funkcję powiększenia i skierował wzrok na miejsce zamocowania jednej z cum. W czerni trudno było dostrzec szczegóły, ale wyglądało to tak, jakby coś się przyczepiło do liny.

- Ojcie, chyba coś jest na...

W dole przy asteroidzie pojawiło się dwanaście jednoczesnych oślepiających błysków. Victor instynktownie zamknął oczy i poczuł, że statek lekko drgnął pod jego stopami.

- Co to było? - zapytał Marco.

Victor otworzył oczy i wśród jasnych punkcików powidoków zobaczył, że wszystkie dwanaście cum jest przeciętych. Statek dryfował.

- To atak! - zawołał ojciec. - Złapcie się czegoś!

Pierwszy laser trafił RK niecałe dwa metry od Victora, odcinając urządzenie od podstawy. Jego wewnętrzny mechanizm eksplodował i rozbijacz wystrzelił w próżnię niczym rakietą, strącając Marco z powierzchni statku.

- Padnij! - krzyknął ojciec.

Chłopak uaktywnił magnesy w rękawicach i pasie i przywarł brzuchem do kadłuba. Piszczął alarm na wyświetlaczu. Pewnie włączył go ojciec. Wycie syreny rozlegało się w całym statku, budząc załogę.

Kolejne strzały z lasera trafiały w czujniki i urządzenia. Jeden rozbłysnął daleko po lewej stronie Victora; chłopak z przerażeniem patrzył na zniszczenie nadajnika laselinii. Laser odciął cały mechanizm, zostawiając tylko podstawę i kilka spalonych obwodów. Statek był pozbawiony podstawowego narzędzia komunikacji dalekiego zasięgu.

Następne promienie lasera przebiegły po powierzchni statku na prawo od Victora, odcinając całe oprzyrządowanie na swej drodze. Victor zamknął oczy, z drżeniem oczekując nieuniknionego, lecz lasery go nie tknęły. Chwilę później alarm ucichł, a wyświetlacz wewnątrzhełmowy zgasł. Nie miał zasilania. Kombinezon się wyłączył. Czy laser przeciął linę ubezpieczającą? Nie, zniknęły także światła zewnętrzne „El Cavadora”, lasery zapewne trafiły w główne generatory. Victor nie miał świeżego powietrza. Nie miał ogrzewania. Spróbował się poruszyć i obrót jego ciała sprawił, że oddalił się od kadłuba. Brak zasilania oznaczał brak magnesów. Zorientował się poniewczasie, że nic go nie przytrzymuje przy statku. Orał dłonią po gładkiej powierzchni, rozpaczliwie usiłując się czegoś złapać. Ojciec miał otwarte usta, lecz jego krzyku nie było słychać. Jedną rękę miał wyciągniętą, a drugą trzymał się uchwyty wbudowanego w kadłub. Victor sięgnął do ręki ojca, lecz znajdowała się ponad metr poza zasięgiem.

Promień lasera odciął kolejny czujnik.

Victor odwrócił głowę, gorączkowo rozglądając się po niebie.

I wtedy go zobaczył.

Najpierw była to czerń na niebie w miejscu, gdzie powinny się znajdować gwiazdy. Potem ta czerń się zbliżyła i Victor dostrzegł szczegóły. To był statek korporacyjny. Statek Juke.

Oślepiając rozbłysły reflektory. Victor uniósł rękę, by osłonić zmrużone oczy. Statek zbliżył się w ciemności i teraz atakował z włączonymi reflektorami. Nie zwalniał. Zamierzał staranować „El Cavadora”.

Victor spojrzał znowu na ojca, który wciąż usiłował podać mu rękę. Chłopak rozciągnął się, napiął palce... Statek uderzył.

Ojciec błyskawicznie się oddalił.

Victor walnął w coś twardego i całe powietrze uszło mu z płuc. Wirował w przestrzeni obolały, zdezorientowany. Zobaczył oddalającego się „El Cavadora” oraz napinającą się linę ubezpieczającą. Nie mógł oddychać. Płuca wołały o powietrze. Nagle pojął, że mocne szarpnięcie może wyrwać linę z kombinezonu. Sięgnął do tyłu i chwycił ją w chwili, gdy się napięła. Znow koziółkował, wleczony za statkiem jak ryba na wędce.

Wtem jego płuca się rozszerzyły bolesnym, palącym w piersiach oddechem. Kombinezon był zimny.

- Ojcie!

Nie usłyszał odpowiedzi. Nadal nie miał zasilania.

„El Cavador” dryfował niezdarnie, przechylony na bok jak łódź przewrócona przez bezlitosny prąd. Dwanaście przeciętych lin wisiało wokół statku. Dwa kolejne strzały z lasera trafiły w kadłub, ale Victor nie widział, co zostało uszkodzone. Nadal wirował oszołomiony, bezwładny. Wszystko działo się za szybko.

Zobaczył, że statek korporacyjny włącza silniki hamujące, zwalnia i zatrzymuje się tam, gdzie niedawno cumował „El Cavador”. Victor uświadomił sobie, że celem ataku była asteroida. Dranie stuknęli ich.

Victor usiłował zapanować nad ruchem wirowym swego ciała. „El Cavador” nadal dryfował. Lina ubezpieczająca wciąż była napięta. A więc Victor oddalił się o czterdzieści metrów od statku. Pociągnął za linę i zatrzymał wirowanie. Zobaczył ojca przywartego do kadłuba.

W hełmie rozległa się syrena, rozbłysnął wyświetlacz. W kombinezonie włączyły się generatory pomocnicze.

- Victorze! - To był głos ojca. - Tu jestem!

Już przyciskał guzik napędu na kciuku i pędził w stronę statku.

- Jesteś ranny? - zapytał ojciec.

Victor zobaczył, jak ojciec odrywa się od statku i leci w jego stronę. Chłopak zrobił obszerny ruch ręką. Nie była złamana, przynajmniej tak mu się wydawało.

- Nie, nic mi nie jest.

Obaj szybko się zbliżali. Jednocześnie zwolnili przyciski napędu, ale i tak się zderzyli i przywarli do siebie. Ojciec przyjrzał się uważnie hełmowi syna, szukając pęknięć.

- Nie jesteś ranny? Nie ma wycieku?

- Nie. - Victor nigdy nie widział ojca tak roztrzęsionego. -A ty?

- W porządku. Pomóż mi wciągnąć Marco do środka. Nie odpowiada.

Lina ubezpieczająca ich towarzysza zahaczyła o podpórę cumowniczą. Dotarli do niego i przymocowali się do statku. Marco nie reagował. Odwrócili go. Oczy miał zamknięte. Hełm był pęknięty, ale nie wyglądało, by uchodziło z niego powietrze.

- Chyba nie oddycha - rzekł ojciec. Spojrzał w górę, zastanawiając się, co robić, a potem podjął decyzję. - Otwórz właz ładowni. Kiedy tylko znajdziemy się z Marco w środku, jak najszybciej wciągnij nasze liny, żeby zlikwidować ich luz. Potem sam wejdź i zamknij właz. Rozumiesz?

- Tak jest.

Ojciec ustawił się za Marco i objął go jedną ręką na wysokości mostka, a drugą w pasie.

- Ruszaj, Victorze.

Chłopak nacisnął guzik napędu do oporu i pomknął do włazu służby prowadzącej do ładowni. Zewnętrzne światła alarmowe obracały się, oblewając cały statek ruchomą czerwienią. Wszędzie było widać uszkodzenia, ślady ognia. Victor otworzył właz i odsunął się na bok. Ojciec wraz z bezwładnym Marco wleciał do statku. Victor też znalazł się w środku i zaczął czym prędzej wciągać węże. Po chwili dołączył do niego ojciec. W końcu wciągnęli wszystko, Victor zamknął właz i do służby zaczęło napływać powietrze.

- Pomóż mi przymocować go do podłogi - poprosił ojciec. Wszędzie wokół nich unosiły się zwoje liny ubezpieczających.

Victor rozepchnął je, robiąc wolne miejsce. Wcisnął przycisk na pasie Marco, by włączyć magnes, i wraz z ojcem opuścił wuja na

podłogę. Ojciec go przytwierdził pasami mocującymi. Wtedy już śluza prawie całkowicie napełniła się powietrzem.

- Kiedy tylko parametry będą w normie, delikatnie zdejmij mu hełm - polecił ojciec. - Nie szarp nim. Musimy uważać na szyję.

Spojrzał na licznik czasu umieszczony na ścianie. Do osiągnięcia pełnej wartości ciśnienia brakowało jeszcze dwudziestu sekund.

- Wystarczy. Zaczynaj.

Zaczął zdejmować swój hełm, a Victor delikatnie zwolnił zaczepy hełmu Marco. Kiedy wreszcie go zdjął, rozległ się brzęczyk oznaczający normalne ciśnienie i światelko nad wyjściem do ładowni zmieniło się na zielone.

Ojciec szukał pulsu na szyi Marco.

- Wezwij przez komputer podręczny Isabellę. Niech zaraz tu przyjdzie. Powiedz jej, że nie mogę znaleźć pulsu i że Marco nie oddycha.

Victor już zdjął swój hełm. Wpisywał kod trzęsącymi się rękoma. Marco umierał. A może już umarł. Ojciec delikatnie odchylił jego głowę i zaczął mu robić sztuczne oddychanie metodą usta-usta.

- Isabella nie odpowiada - rzekł Victor.

- Zapewne już udziela ludziom pomocy albo zdąża do fugi. Znajdź ją i zaraz tu sprowadź. Jeśli ma ze sobą sprzęt, niech go przyniesie. Idź.

Victor w mgnieniu oka odczepił swój wąż i opuścił śluzę, a potem popłynął przez ładownię. Wewnątrz statku głośno wyła syrena i paliło się tylko oświetlenie awaryjne, pozostawiając sporą część pomieszczeń w ciemności. W ładowni nie było nikogo, lecz Victor znalazł mnóstwo ludzi w korytarzu, głównym ciągu komunikacyjnym statku. Wszyscy mieli nałożone maski tlenowe i spokojnie, tak jak zostali wyszkoleni, zmierzali w stronę fugi. Niemowlęta i małe dzieci płakały, rodzice tulili je do piersi i pocieszali. Wszyscy wyglądali na zaniepokojonych, ale nikt nie wpadł w panikę. Większość ludzi miała nagolenice i zachowywała postawę wyprostowaną, tylko kilka osób unosiło się w stanie nieważkości jak Victor, powoli poruszając się z tłumem.

Chłopak rozejrzał się po twarzach, lecz nie zauważył Isabelli. Znał ją, zapewne będzie jedną z ostatnich udających się

do fugi. Jako wyszkolona pielęgniarka będzie pomagać każdemu, kto ucierpiał podczas kolizji, oraz pilnować, by wszyscy dotarli na miejsce zbiórki. Na „El Cavadorze” pełniła funkcję lekarza i w ciągu ostatnich lat przeprowadziła nawet kilka operacji, chociaż tylko w sytuacjach zagrożenia życia.

Victor ujrzał Edimar i ją zawołał. Dziewczynka przepchnęła się do niego przez tłum. Maskę zakrywała jej całą twarz.

- Co się stało? Dlaczego jesteś w skafandrze? Byłeś na zewnątrz? Gdzie twoja maska?

- Widziałas Isabellę? Edimar pokazała za siebie.

- Pomagała Abuelicie. Dlaczego jej szukasz? Kto jest ranny? Co się stało?

Victor nie miał czasu na odpowiedź. Już się oddalał, przepychając się pod prąd między ludźmi i podciągając się na poręcz. Edimar wołała za nim, ale nie zawrócił. Kilka potrąconych osób krzyknęło coś do niego, lecz nie zważał na nic. Marco umiera. Nie oddycha. Liczy się każda sekunda.

Im dalej zagłębiał się w korytarz, tym mniej gęsty był tłum. Victor poruszał się szybciej. Dotarł do Abuelity, swojej prababki, której pomagali iść jego dwaj wujowie.

- Gdzie Isabella?

Pokazali za siebie. Victor pognął do przodu. Teraz spotykał niewiele osób. A jeśli Isabella weszła do czyjegoś pokoju, żeby służyć tam pomocą? Albo jeśli udała się do fugi inną drogą i Victor się z nią rozminął?

Zobaczył ją w głębi korytarza. Kuzynce Victora, Nanity, zawieszała rękę na temblaku.

- Isabello!

Podniosła wzrok. Victor złapał poręcz na ścianie, by się zatrzymać.

- Marco nie oddycha. Chwyciła swoją torbę.

- Gdzie jest?

Victor odwrócił się i odepchnął w drugą stronę.

- W służbie przy ładowni.

- Był na zewnątrz?

- Kiedy zaatakowali ci z korporacji, mocowaliśmy płyty.

- Z korporacji?

Po drodze opowiedział jej, co się stało. Musiał przekrzykiwać jęk syreny. Tłumu już nie było, większość ludzi znalazła się w fudze. Kiedy dotarli do ładowni, Isabella przeszła przez właz pierwsza. Przeplłynęli do śluzy. Może Marco już nic nie jest, pomyślał Victor. Może ojciec go odratował. Dotrzemy do nich, a Marco będzie siedział i kaszłał, obolały, ale żywy, podziękuje ojcu i mnie za pomoc, a potem wszyscy udamy się do fugi i będziemy się śmiać, że napędził nam takiego stracha.

Ale Marco nie odzyskał przytomności. Nic się nie zmieniło. Ojciec nadal robił mu sztuczne oddychanie. Zobaczył ich i się odsunął, robiąc miejsce Isabelli. Wyglądał na wycieńczonego, przestraszonego i brakło mu tchu.

- Na nic nie reaguje - powiedział.

Isabella podciągnęła nagolenice na kolana, uklękła na podłodze obok Marco i otworzyła torbę.

- Pomóżcie zdjąć mu kombinezon, muszę mieć dostęp do klatki piersiowej.

Zacząła nożyczkami ciąć kombinezon. Kiedy doszła do podkoszulka, Victor i jego ojciec rozdierali materiał. Chłopak wpatrywał się w pierś Marco, zaklinając w duchu, by uniosła się, by się poruszyła, by dała świadectwo, że wuj żyje. Była nieruchoma.

Isabella przyłożyła do niej czujniki i nasunęła na usta Marco rurkę. Respirator zadziałał i pierś reanimowanego zaczęła się unosić i opadać. Victora wcale to nie uspokoiło. Całą pracę wykonywało urządzenie. Isabella wyjęła z torby strzykawkę, odgryzła nasadkę igły, wypłuła ją i wbiła igłę w ramię Marco. Włączyła drugie urządzenie i Victor usłyszał ciągle buczenie towarzyszące pojawieniu się płaskiego wykresu. Serce Marco nie biło. Isabella przyłożyła do jego piersi krążek, przycisnęła dźwignię i ciało Marco się wzdrygnęło. Przez moment Victor myślał, że Isabella go ożywiła, że Marco odzyskuje przytomność. Mylił się. Ciało wuja znów znieruchomiało. Isabella zaaplikowała mu wstrząs jeszcze trzy razy. Cztery. Linia wciąż była płaska.

Isabella sprawiała wrażenie zagubionej. Wyjęła z torby czytnik kości, umieściła na piersi Marco i na ekranie pojawił się zarys szkieletu. Powoli przesunęła czytnik na szyję i trzymała

tam dłuższy czas, pochylając się nad nim. W końcu zrezygnowana podniosła wzrok.

- Ma złamany kark. Przecięty rdzeń kręgowy. Przykro mi. Dla Victora słowa te brzmiały głucho, jakby słyszał je we śnie. Isabella mówiła, że Marco nie żyje, że nie może zrobić już nic więcej. Czemu się poddaje?

Marco nie może być martwy! Jeszcze kilka chwil wcześniej pracowali razem i śmiali się z jego zabawnych historyjek.

Ojciec cicho wzywał kogoś do służby przez swój podręczny komputer.

- Musi być coś, co możemy zrobić - odezwał się Victor.

- Nic się nie da zrobić - powiedziała Isabella i wyjęła rurkę z ust Marco.

- A więc tak po prostu się poddajemy?

- Już nie żył, kiedy go tu przynieśliście. Przykro mi. Victor był jak sparaliżowany. Mrowiło go w palcach. Marco nie żyje. Nie żyje. Dlaczego ci z korporacji nas zaatakowali? To nie pas asteroid, tylko pas Kuipera. Rodzina opuściła pas asteroid z tego właśnie powodu - by znaleźć się jak najdalej od korporacji.

W jaki sposób zbliżyli się bez naszej wiedzy?

Victor uświadomił sobie, że Marco miał rodzinę. Żonę Gabi i trzy córki - jedna, Chenchu, była o rok młodsza od Victora.

Ojciec odłączył linę ubezpieczającą od swojego kombinezonu i przemieścił się do drzwi prowadzących do ładowni.

- Chodźmy, Vico.

- Chcesz odejść?

- Mamy robotę.

Mówił o statku. Victor widział uszkodzenia. Generator mocy został usmażony. Czujniki odcięte. Podobnie jak RK. A generatory pomocnicze nie wystarczą na długo. Jeśli rodzina ma przeżyć, Victor i ojciec muszą szybko dokonać dużych napraw.

- Zaraz tu będą Gabi i Lizbet - poinformował ojciec Isabellę. - Zostałbym, ale Concepción chce nas natychmiast widzieć na mostku.

Lizbet, czyli matka Marco. Wciąż była bardzo z nim związana.

- Idźcie. Zaczekam tu na nie.

Ojciec już odpływał. Victor podążył za nim. Po chwili znaleźli się w opustoszałym korytarzu. Ojciec wybrał boczne przejście do mostka. Zanim Victor skręcił za nim, spojrzał w przeciwnym kierunku, tam gdzie znajdowała się fuga, i zobaczył w oddali dwie kobiety zmierzające do ładowni. Gabi i Lizbet. Żona i matka. Nawet z tej odległości widział panikę i przerażenie malujące się na ich twarzach.

Ruszył za ojcem krętymi przejściami statku. Przybyli na mostek i Victor z zaskoczeniem zobaczył, że jest tu mnóstwo ludzi zajętych pracą. Niektórzy rozwijali przewody i ustawiali światła. Inni znajdowali się przy swoich stanowiskach i mówili coś do mikrofonów lub wstukiwali polecenia. Concepción spostrzegła ojca i natychmiast do niego podpłynęła. Z wyrazu jej twarzy Victor poznał, że wie o śmierci Marco. Zapewne powiadomił ją ojciec.

- Są już z nim Gabi i Lizbet - powiedział. Concepción skinęła głową.
- Czy któryś z was jest ranny?
- Statek korporacyjny uderzył Victora.
- Nic mi nie jest - stwierdził chłopak. Kapitan miała zatroskaną minę.
- Na pewno? Będę cię potrzebować, Victorze, jak nigdy przedtem.
- Nic mi nie jest - powtórzył, chociaż wcale się tak nie czuł. Marco nie żył.

Statek został uszkodzony, być może nieodwracalnie.

- Chodźcie ze mną - poleciła Concepción, odwróciła się i podpłynęła z powrotem do holostolu.

Znajdował się tam Selmo, który patrzył na duży holograficzny schemat statku. Kilkanaście migających czerwonych punktów oznaczało miejsca uszkodzeń.

- Generator prądu oczywiście nie działa - stwierdził. - Jeszcze nie wiemy, jak bardzo został uszkodzony. To nasze priorytetowe zadanie. Generatory zapasowe działają, ale dostarczają jedynie pięćdziesiąt procent codziennie zużywanej mocy. Będziemy więc musieli ją racjonować i wyłączyć pewne światła oraz urządzenia, bez których możemy się obejść. Większość mocy trzeba skierować do wentylatorów i grzejników. Wolę pracować po ciemku, niż zamarznąć na śmierć.

- Zajmiemy się głównym generatorem - powiedział ojciec.
- A co z reaktorami?
- Nic się im nie stało - stwierdził Selmo. - Więc silnikom też nie. Ci z korporacji wiedzieli, co robią. Pokonali nas, ale pozostawili nam możliwość jak najszybszej ucieczki.
- I właśnie to zamierzamy uczynić - rzekła Concepción.
- Wyniesiemy się stąd, kiedy tylko rozeznamy się w sytuacji i wyznaczymy kurs. Nie możemy się równać ze statkiem tej wielkości i tak dobrze uzbrojonym. Wiem, że niektórzy z was chcieliby go w tej chwili unicestwić, ale to nie wchodzi w rachubę. Nie jesteśmy w stanie tego zrobić i nie zamierzamy narazić nikogo więcej na naszym statku. Ta asteroida nie jest warta, by za nią ginąć. Uciekamy.
- Nie kwestionuję tej decyzji - rzekł ojciec. - Ale spróbujmy zebrać jak najwięcej części i czujników, które zostały odcięte od statku i unoszą się w przestrzeni. Zwłaszcza lasery są cenne, ich nie można zastąpić niczym innym. Nie chcę kusić losu i zirytować tych z korporacji kręceniem się w miejscu, lecz zanim stąd odlecimy, zbierzmy jak najwięcej części.
- Zgoda - powiedziała Concepción. - Selmo, kiedy tylko skończymy tutaj, opracuj z Segundo i Victorem plan szybkiego zebrania sprzętu.
Selmo skinął głową.
- Pomogą górnicy. Mam trzydziestu ludzi, którzy już pytają, co mogą zrobić.
- Co jeszcze uległo uszkodzeniu? - zapytał ojciec. Selmo westchnął.
- Oba wiertła laserowe. Zostały odcięte od statku, a potem pokrojone na kawałki. Żadną miarą nie da się ich naprawić. Już mam wideo z ataku. Wiertła są stracone. Sam zobacz.
Wpisał na stole parę poleceń i w holoprzestrzeni pojawił się filmik przedstawiający kadłub statku. Para świateł bezpieczeństwa oświetlała stare wiertło laserowe ze stabilizatorem Victora. Selmo przewinął obraz do miejsca, gdzie lasery robiły z wiertła sieczkę. Światło było tak ostre i wszystko działo się tak szybko, że Selmo cofnął zapis i pokazał ten fragment jeszcze raz w zwolnionym tempie. Victora ogarnęła rozpacz. Zniknęły wszystkie modyfikacje i ulepszenia wiertła, które tworzył w głowie i rzadko

zapisywał. Teraz to były bezwartościowe śmieci. Co gorsza, wiertła stanowiły najważniejsze elementy wyposażenia statku, dzięki nim rodzina zarabiała na życie. A teraz ich nie było.

Ojciec milczał. Rozumiał konsekwencje. Jak teraz wydobywać minerały? Skąd brać pieniądze na potrzebne zapasy czy części zamienne? Jak pracować w dalekim kosmosie bez dobrych wiertel?

- Co jeszcze? - zapytał ojciec.

- Zniknęły także cztery z naszych RK - odparł Selmo. - Zostały tylko dwa. I tu znów ci z korporacji wiedzieli, co robią. Zostawili nam po jednym RK z każdej strony statku, czyli zdołamy stąd odlecieć i obronić się przed większością kolizji, ale nie możemy wziąć odwetu i zaatakować ich statku. Jedyńm plusem jest to, że nie poszatkowali rozbijaczy na kawałki, tylko po prostu je odcięli. Dają nam do zrozumienia, że możemy je zebrać i naprawić gdzieś indziej.

- Jak miło z ich strony - zauważył ojciec. - Przypomnij mi, żebyim im wysłał kwiaty. Co jeszcze?

- Kolejną wielką stratą jest łączność. Przepadł nadajnik laselinii. Nie możemy wezwać pomocy, nawet gdybyśmy chcieli.

- A także nie możemy nikogo ostrzec - rzekł Victor.

- To prawda - zgodził się Selmo - ale teraz to nasz najmniejszy problem.

- A co z lodem? - zapytał ojciec. - Jak stoimy z powietrzem i paliwem?

Selmo się uśmiechnął.

- To jasny promyk w tym wszystkim. Magazyn jest w dziewięćdziesięciu pięciu procentach pełen lodu. Zebraliśmy go, kiedy tylko dotarliśmy do asteroidy. Tak więc mamy paliwo i tlen na jakiś czas. To nam pozwoli dolecieć, gdziekolwiek zechcemy, w ciągu jakichś pięciu czy sześciu miesięcy.

Przynajmniej tego Victor wysłuchał z ulgą. Łód oznaczał życie. Reaktory topiły go i oddzielały wodór od tlenu. Wodoru używali jako paliwa. Tlenem oddychali.

Selmo przeciągnął rysikiem w holoprzestrzeni i obrócił schemat.

- Chcecie usłyszeć więcej dobrych wiadomości? Inne systemy podtrzymywania życia są nieuszkodzone. Oczyszczalnie wody działają. Pompy powietrza też. Ci ludzie cele wybrali starannie.

- Jakież przecieki? - zapytał Segundo.

- Żadnych nie wykryliśmy. W tej chwili przeprowadzamy dla pewności jeszcze jeden przegląd, ale wygląda na to, że kadłub nie jest naruszony. Mieliśmy szczęście. Uderzenie nie było tak mocne, a ich lasery nie starały się przebić powłoki. No i pomogło opancerzenie.

- Kim oni są? - zapytał Segundo. - Dlaczego nie widzieliśmy, jak się zbliżają? Selmo westchnął.

- To moja wina. To jest ten statek korporacyjny, do którego dziesięć dni temu wysłaliśmy laselinę. Powinienem zacząć coś podejrzewać, kiedy przestali się pokazywać na skanach. Założyłem, że polecili gdzieś dalej. Nie przyszło mi do głowy, że się podkradają.

- To nie jest niczyja wina - powiedziała Concepción. - Znali możliwości naszych skanerów i je wykorzystali. Koniec, kropka.

- Skoro dostali naszą wiadomość, dlaczego nas zaatakowali? - zapytał Segundo.

- Zrobiliśmy z Selmo obliczenia - odparła Concepción. - Kiedy wysłaliśmy laselinę, oni już do nas lecieli. Nie otrzymali wiadomości. Rozminęli się z nią. To nie ma nic wspólnego z laseliną. Po prostu chcieli zdobyć asteroidę.

Do holostolu podszedł Dreó.

- Mam ich sieć. Powiedz tylko słowo, a się podłączam. Segundo odwrócił się do Concepción.

- Wystrzeliliśmy niuchacza? - zapytał.

Niuchacze to były nieduże hakerskie satelity wysyłane w celach szpiegowskich ze statku na statek. Żeby zadziałać, musiały się znajdować w zasięgu sieci statku, a zarazem na tyle daleko, by nie uaktywnić RK szpiegowanego statku. Zwykle zbliżały się najwyżej na pięćdziesiąt metrów. Trudne było podłączenie się do sieci statku, zwłaszcza jeśli to był statek korporacyjny. Korporacje miały całe armie programistów i specjalistów zajmujących się wyłącznie wymyślaniem obrony przed niuchaczami. Większości rodzin nawet się nie śniło włamanie do sieci

korporacji. Lecz większość rodzin nie miała Dreó, który potrafił się wkręcić do każdej sieci.

- Wystrzeliliśmy go, tuż zanim przyszlście na mostek - wyjaśniła Concepción. - Chcę wiedzieć, kto nas stuknął.

- A jeśli wykryją, że wężymy wokół nich? To mogłoby wywołać kolejny atak - zauważył Segundo.

- Nie dowiedzą się - zapewnił Dreó. - Podjąłem wszelkie środki ostrożności.

- Bez obrazy, ale jesteś tego pewien? Siedzimy tu od trzech lat. Kto wie, jakie teraz mają programy czyszczące? Może opracowali nowe sposoby wykrycia nas, o których nic nie wiemy. Czy takie ryzyko jesteśmy gotowi podjąć? Oni są z korporacji. Co jeszcze chcemy wiedzieć?

- Nie ma powodu, żeby lecieli do pasa Kuipera, kiedy jest tyle asteroid gotowych do wzięcia w pasie A - rzekła Concepción. - Jeśli teraz przenoszą się tutaj, będą chciały o tym wiedzieć inne rodziny. To dotyczy wszystkich klanów. Od dłuższego czasu żyjemy w pokoju. Jeśli korporacje zaczynają wkraczać w naszą przestrzeń, musimy tę informację rozpowszechnić. Dreó zapewnia mnie, że pozostaniemy niewidzialni.

- No to może skoro już się tam dostaniemy, zainstalujmy jakiegoś wirusa i uszkodzmy ich system? - zaproponował Victor.

- My wcale nie zamierzamy ich atakować - odrzekła Concepción. - Ja chcę informacji, nie zemsty.

Victor rozejrzał się po twarzach osób otaczających stół i spostrzegł, że nie wszyscy podzielają tę opinię.

- Jeśli możesz, Dreó, wywołaj ich sieć nad holostolem - poleciła Concepción.

Dreó wrócił do swojego stanowiska i schemat statku zniknął, zastąpiony przez ciąg trójwymiarowych ikon wirujących w holo-przestrzeni: dziennik lotu, inżynieria, laselinę, próby w terenie, Lem, doktor Benyawe...

- Daj mi manifest. Kto jest ich kapitanem?

Pojawiły się zdjęcia oraz holowideo przystojnego mężczyzny po trzydziestce. Concepción wybrała okienko z danymi obok jednego ze zdjęć i powiększyła je.

- Lem Jukes - odczytała.

- Jukes? To jakiś krewny właściciela? - zapytał Segundo.

- Syn Ukko - odparła Concepción.
- Niech mnie diabli - odezwał się Selmo. - Niedaleko pada jabłko od jabłoni.
- Skopiuj jak najwięcej tych danych. Chcę poznać ich zamiary. Potem zbierzmy kilka czujników i wynośmy się stąd, zanim pan Lem Jukes postanowi znów do kogoś strzelić. Będę z Gabi i Lizbet, a potem udam się do fugi i wygłoszę mowę do rodziny.

- Concepción odwróciła się do ojca Victora. - Nie traćcie czasu i energii na coś, czego nie da się naprawić. Razem z Selmo ustalcie, co możemy zrobić. Najpierw zasilanie, potem łączność.

- A co z tym statkiem kosmicznym? - zapytał Victor.

- A co z nim? Selmo ma rację. W tej chwili nie jesteśmy w stanie się nim zająć. Nie możemy też przekazać tego, czego się dowiedzieliśmy. Dopóki nie przywrócimy łączności, zachowujemy milczenie.

- Nie uda nam się odzyskać wszystkiego - stwierdził ojciec.

- Będziemy potrzebować części i zapasów.

- Najbliższa stacja wagowa znajduje się w odległości czterech miesięcy. Pomocy możemy się spodziewać tylko od Włochów. Otrzymali naszą wiadomość i obserwują niebo. Jeśli się pośpieszymy, może dotrzemy do nich, zanim wyruszą dalej. Na pewno mają mnóstwo zapasów, które by się nam przydały.

Victor spojrział na ojca i domyślił się, że obaj myślą o tym samym. Gonienie Włochów było ryzykowne. Nie mieli możliwości wysłania do nich prośby, żeby nie ruszali się z miejsca i czekali. Gdyby „El Cavador” nie zastał Włochów w spodziewanym miejscu, statek znalazłby się w poważnych tarapatach.

Concepción opuściła mostek.

Victor odwrócił się do hologramu. Niektóre z fotografii Lema Jukesa zostały zrobione do dokumentów tożsamości: ujęcie en face, ujęcie z profilu. Inne jednak zostały zaczerpnięte z archiwum statku: Lem stojący wraz z ojcem podczas jakiejś uroczystości zapewne przed odlotem statku; bardziej upozowane zdjęcie, wyraźnie zrobione dla prasy, przedstawiające Lema na mostku, pochylającego się nad jakimś hologramem i pokazującego w dal. Było też krótkie holowideo. Trwało kilkanaście sekund i odtwarzało się w pętli. Lem siedział przy stole na jakimś przyjęciu, które się już skończyło. Puste kieliszki do wina, wymyślne

sztuńce, na talerzyku kawałek na wpół zjedzonego ciastka. Obrazowi nie towarzyszył dźwięk, lecz było widać, że Lem coś opowiada, podkreślając swoje słowa gestykulacją i czarującym uśmiechem. Siedzące obok dwie piękne kobiety chłoneły każde jego słowo. Opowieść dobiegała końca i wszyscy przy stole wybuchali śmiechem. Następnie wideo zaczynało się od początku.

Victor obejrzał je drugi raz i tym razem wyobrażał sobie, co mówi Lem. „Przecinamy ich cumy. A na zewnątrz statku znajdowało się trzech ludzi. Diabli wiedzą, co tam robili. Więc powiedziałem mojemu pilotowi, żeby przyspieszył, mocno ich uderzył i strącił RK, przy którym stali. No i proszę, rozbijacz walnął jednego z tych wysysaczy żwiru między oczy”.

Śmiech dookoła stołu.

Ojciec rozmawiał z Selmo. Victor patrzył na śmiejących się ludzi.

Ten człowiek zabił Marco, pomyślał. Lem Jukes, syn Ukko Jukesa, dziedzic fortuny złodziei i morderców, zabił Marco.

Concepción chciała, by skupili się na zasilaniu i łączności. Świetnie. Victor tak robi. Ale zamierzał także przebudować jeden z RK; będzie to specjalne urządzenie, na tyle mocne, by mogło zetrzeć z twarzy Lema Jukesa ten głupi uśmiech.

Rozdział 7

Indie

Kapitan Wit OToole prawie cały czas podróży przesiedział w kabinie z pilotem. Ośmioma pasażerami samolotu byli najnowsi rekruci Wita, żołnierze wybrani z jednostek sił specjalnych w Nowej Zelandii, Afryce Południowej, Hiszpanii, Rosji i Korei Południowej. W najbardziej optymistycznej wersji Wit liczył na znalezienie sześciu ludzi. Powrót do domu z ośmioma był jak wcześniejsza Gwiazdka.

Żołnierze ci nie znali się przed lotem, więc natychmiast po starcie z prywatnego lotniska w Mumbaju Wit celowo zostawił ich samych. Gdyby siedział z nimi, zdaliby się na niego jako na przełożonego oficera i czekali, by rozpoczął rozmowę. Teraz, kiedy pozostała godzina drogi od strefy zrzutu, wrócił do kabiny pasażerskiej. Słyszał śmiech i rozmowy, jakby siedzieli tam starzy przyjaciele.

Pierwszymi cechami, jakich szukał Wit u ewentualnych rekrutów, były towarzyskość i życzliwość. Tysiące żołnierzy umieją celnie strzelać i zażarcie walczyć, lecz mało jest takich, którzy potrafią szybko zdobyć zaufanie obcych. Było to szczególnie ważne w POP-ie, jako że żołnierze tej jednostki wkraczali do akcji, by pomóc cywilom brutalnie traktowanym nierzadko przez własne wojsko czy rząd. POP musiał zdobyć zaufanie tych, którzy nie ufali nikomu, kto nosił mundur. Ci rekruci mieli to coś.

Wit wszedł do kabiny. Koreańczyk, porucznik Yoo Chiwon, zerwał się na nogi, stanął na baczność i zaszalutował. Pozostali szybko poszli za jego przykładem.

- Spocznij - powiedział Wit. Żołnierze usiedli.

- Doceniam gest, panowie, ale to nie jest armia Korei Południowej, rosyjska ani żadna inna. To jest POP. My kierujemy się inną etykietą. Powinniście mi szalutować tylko w oficjalnych okolicznościach, a te zdarzają się rzadko. Okażecie mi o wiele większy szacunek w terenie, gdy natychmiast wykonacie rozkaz. Jeśli chcecie, nawet nie musicie się do mnie zwracać oficjalnie. Reaguję na „Wit”, „OToole” albo „panie kapitanie”. A skoro już mówimy o szarży, to, jak wszyscy niewątpliwie zauważyliście z insygniów na mundurach i po wzajemnym przedstawieniu się sobie, nie jestem jedynym kapitanem w tym samolocie. Mamy wśród nas kilku kapitanów, poruczników i podoficerów. Stopnie te zdobyliście zasłużenie, lecz są to stopnie z innej armii. Nie jesteście już kapitanami czy porucznikami. Wszyscy jesteście równi. Jeśli zechcecie zwracać się do siebie nawzajem oficjalnie, róbcie to per „żołnierzu”. Żołnierzu Chiwon. Żołnierzu Bogdanowicz. Żołnierzu Mabuzza. Ja mam szarżę, ponieważ służę tu już od pewnego czasu i jeśli coś idzie nie tak, moi przełożeni muszą mieć na kogo zrzucić winę.

Rekruci uśmiechnęli się ze zrozumieniem.

- Są jeszcze inne drobne kwestie etykiety, ale zajmijmy się nimi później. W tej chwili mamy ważniejsze sprawy. Pod siedzeniami znajdziecie maski ze stu procentowym tlenem. Radzę zacząć nim oddychać.

Cała ósemka sięgnęła po maski i je nałożyła. Wit też nałożył swoją i mówił dalej przez nadajnik u jej podstawy.

- Jako że wszyscy macie wyszkolenie w skokach z dużej wysokości, nie muszę wam tłumaczyć znaczenia pozbycia się całego azotu z krwiobiegu przed skokiem.

Żołnierze spojrzeli po sobie. Jak dotąd Wit nie powiedział im, dokąd lecą ani co będą robić po przybyciu na miejsce. Poleciał im jedynie stawić się w mundurach w wyznaczonym hangarze na wojskowym lotnisku w Mumbaju. Miał tam na nich czekać samolot.

- Owszem, niedługo skoczmy z dużej wysokości. Przez następne kilka miesięcy waszym nowym domem będzie ośrodek szkoleniowy w dolinie Parvati u podnóża Himalajów w północ-nych Indiach. W tych dwóch szafkach znajduje się wasz pozostały sprzęt. Stare mundury zostawcie tutaj. Nie będą wam potrzebne. Reprezentują wasze dawne życie. Teraz jesteście ludźmi POP-u. Radzę się przebierać szybko.

Żołnierze wstali, otworzyli szafki i zaczęli rozdzielać sprzęt. Jak przewidział Wit, działali spokojnie i okazywali tyle troski innym, co sobie. Zdjęli mundury i położyli je tam, gdzie pokazał Wit. Mógł poprosić, żeby przyszli ubrani po cywilnemu, lecz rytualne odrzucenie dawnych związków pomagało uświadomić ludziom ich nową lojalność.

Wit włożył kombinezon tłumiący, a następnie kombinezon do skoków, gruby, ogrzewany, wyposażony w najnowsze czujniki biometryczne i inne udogodnienia. W torbach umieścił kilka egzotycznych przedmiotów, bo chciał zobaczyć reakcje rekrutów. Na przykład koreańskiego wysokościomierza nie znał nikt prócz Chiwona. To były najlepsze wysokościomierze na świecie, lecz posługiwała się nimi wyłącznie armia Korei. Wit z zadowoleniem patrzył, jak Chiwon szybko pokazuje innym sposób przymocowania tego urządzenia do nadgarstka i podłączenia do kombinezonu. ARS - automat rozwijający spadochron - był modelem rosyjskim. Bogdanowicz wyjaśnił pozostałym działanie automatu oraz czego mają się spodziewać na swoich wyświetlaczach wewnątrzhełmowych tuż przed jego aktywacją.

Wit postawił na stole holoprojektor i poprosił żołnierzy, żeby podeszli bliżej. Pojawił się hologram dużego kompleksu wojskowego z koszarami, salami treningowymi i innymi budynkami. Całość otaczał dobrze ufortyfikowany mur.

- To jeden z obozów szkoleniowych indyjskich Para-Commandos, jednej z najbardziej elitarnych jednostek sił specjalnych na świecie - wyjaśnił Wit. - Żołnierze PC to twardzi, dobrze wyposażeni i doskonale wyszkoleni ludzie. W tej chwili przechodzi tu szkolenie trzystu siedmiu komandosów. Dowodzi nimi major Khudabadi Ketkar, naprawdę sprawny żołnierz. Przez następne siedem tygodni będziemy się szkolić z jego ludźmi. Na początek major Ketkar zaproponował podchody, grę w zdobycie flagi.

Trzydziestu żołnierzy POP-u przeciwko trzystu siedmiu żołnierzom PC. Przegrani będą sprzątać latryny i kantinę przez cały okres szkolenia. Przyjąłem to wyzwanie. Nie dla nagrody - i tak będziemy sprzątać latryny i kantinę. Zgodziłem się, ponieważ jest to okazja pokazania znajdującym się już tu innym ludziom POP-u, że przyprowadziłem im ośmiu żołnierzy godnych zaliczenia w ich szeregi. Nasza dziewiątka zdobędzie flagę. Rekruci się uśmiechali.

- Wiemy, że flaga znajduje się w biurze Ketkara.

Wit dotknął hologramu i na jednym z budynków pokazała się mrugająca czerwona plamka; potem przeciągnął ręką przez hologram i powiększył budynek. Zniknęły ściany, a budynek zmienił się w trójwymiarowy schemat ukazujący cztery kondygnacje biur. Dach patrolowało dwudziestu żołnierzy. Kolejnych dziesięciu patrolowało korytarze. Czterdziestu innych otaczało budynek, obstawiony ponadto pojazdami bojowymi.

- To jest obraz na żywo. Niemal jedna trzecia sił Ketkara strzeże flagi. Wszyscy ci żołnierze mają na sobie kombinezony tłumiące podobne do waszych. Ich broń, podobnie jak wasza, jest załadowana nabojami pajęczymi. Jeśli ich traficie, zeszytnieją. Wypadają z akcji. Jednakże stan każdego kombinezonu zostaje przekazany do wszystkich innych kombinezonów. Innymi słowy, jeśli któryś z ich ludzi zostanie powalony, reszta dowie się o tym w mgnieniu oka. Będą wiedzieli, kiedy i gdzie atakujemy. - Wit znowu przeciągnął ręką przez hologram i obraz budynku przeszedł płynnie w obraz całego kompleksu. - Tutaj, tutaj i tutaj są wieże strażnicze. Na każdej stoi snajper. Tu jest brama frontowa. Do kompleksu prowadzi jedna droga. Jak widzicie, jest dobrze broniona. Tutaj na południu płynie rzeka Parvati. Ma bystry nurt, zwłaszcza teraz, na wiosnę. Topniejące śniegi i woda z lodowców spływająca z gór podnosi jej poziom o kilka metrów. Nasz obóz leży tutaj, cztery kilometry na południe. To rozległa, otwarta polana z kilkoma namiotami. Broni tam naszej flagi dwudziestu jeden żołnierzy POP-u, czyli reszta naszego oddziału. Z powietrza wygląda to na najgorzej broniony kawałek terenu w okolicy, lecz nasi chłopcy przygotowali kilka niespodzianek. Liczą, że przyniesiemy im flagę wroga. Obiecałem im to. - Wyprostował się i spojrzał na twarze rekrutów. - Do strefy

zrzutu dotrzemy za dwadzieścia dziewięć minut. Powiedzcie mi, jak to zrobimy.

Żołnierze zrozumieli. Nie było planu. Na wymyślenie go mieli dwadzieścia dziewięć minut. Pomysły pojawiły się szybko, a Witowi podobało się to, co usłyszał.

* * *

Rozwarły się drzwi w tylnej części samolotu i Wit skoczył pierwszy. Zapadła już noc, lecz widział pod sobą krzywiznę Ziemi. Znajdowali się na wysokości zaledwie dziesięciu i pół kilometra, ale spadając, mieli wrażenie przebywania w przestrzeni kosmicznej.

Na południowym zachodzie jarzyły się światła Bhunter i łańcuszek wiejskich świateł ciągnący się ku północnemu wschodowi wzdłuż doliny Kullu i rzeki Beas. Na wschodzie lśniły światła Manikaranu, niewielkiego świętego miasta, gdzie według hindu-istów Manu odtworzył życie po wielkiej powodzi. Kompleks PC znajdował się między nimi po północnej stronie rzeki Parvati.

Wit ułożył ciało do pikowania i prędkościomierz na jego wyświetlaczu pokazał trzysta czterdzieści kilometrów na godzinę.

Wyświetlacz pokazywał także temperaturę powietrza, tętno, poziom adrenaliny oraz położenie ośmiu rekrutów utrzymujących za nim tę samą prędkość. Uzgodnili, że wylądują na dachu budynku Ketkara - z powietrza mogli łatwo zdjąć tamtejszych dwudziestu strażników. Wyzwaniem było dokonanie tego bez alarmowania innych.

Hiszpan Lobo, specjalista komputerowy, zajął pozycję obok Wita. Plan zakładał, że zmusi się indyjską sieć do pokazywania powalonych komandosów jako całych i zdrowych. Jednakże rekruci mieli wejść w jej zasięg dopiero na wysokości tysiąca siedmiuset metrów, co dawało Lobo jedynie kilka sekund na dostanie się do sieci i zrobienie swojego, zanim Wit i pozostali zaczną zdejmować strażników na dachu.

- Gotowy, Lobo? - zapytał Wit, spadając przez ławicę chmur.

- Oczywiście, sir, bo mrugałem jak szalony, ale jestem gotowy. - Kiedy tylko wszyscy w samolocie zaakceptowali pomysł Lobo, Hiszpan się wycofał i za pomocą swojego wyświetlacza

zaczął wymrukiwać program. - Wysmażyłem też drobne sprzężenie zwrotne dla odbiorników radiowych komandosów, żeby zamaskować ewentualne odgłosy naszego lądowania.

- Dobra robota.

Wyświetlacz wewnątrzhelmowy Wita zapiszczał, co oznaczało, że należy już zwolnić. Wit ułożył się na płask, stawiając opór pędowi powietrza. Lobo wystrzelił do przodu. Kompleks szybko się zbliżał. Teren poza ogrodzeniem omiatały reflektory punktowe. Wit widział już pojazdy i wieże strażnicze. Dolina była stroma i wąska, a jej zbocza gęsto porastała roślinność. Rzeka Parvati stanowiła cienką białą linię biegnącą na południowy zachód. Najbliższa wioska leżała dziesięć kilometrów stąd.

Wyświetlacz znów zapiszczał i Wit rozpostarł skrzydła hamujące; pasy materiału w jego kombinezonie jeszcze bardziej spowalniały opadanie.

Daleko pod nim otworzył się spadochron Lobo.

Wit spadał jeszcze trzy sekundy, a potem otworzył swój i wycelował broń. Teraz znajdował się obok Lobo i trzech innych spadochroniarzy. Mieli być pierwszą falą. Następna piątka wyląduje zaraz po nich. Wyświetlacz Wita zrobił zbliżenie dachu i pokazał dwadzieścia punktów ciepłych. Wit odznaczył mrugnięciami pięciu żołnierzy, których zamierzał zdjąć; widział na swoim wyświetlaczu żołnierzy wybranych przez innych członków zespołu.

- Teraz, Lobo - powiedział.

Odpowiedź Hiszpana był niemal natychmiastowa.

- Droga wolna.

Tłumik na karabinie Wita wyciszył odgłos strzałów; pięciu wybranych przez niego komandosów zostało trafionych, ich kombinezony zeszytywniały i poczerwieniały. Wit wylądował i odłączył spadochron. Nikt do niego nie strzelał. Inni strażnicy z dachu zostali zdjęci. Chwycił spadochron i upchnął go pod jednym z czerwonych komandosów. Usłyszał stłumione protesty dobiegające spod hełmu, więc przyłożył palec do własnej osłony zakrywającej mu usta, dając żołnierzowi do zrozumienia, żeby był cicho.

Na dachu wylądowało pozostałych pięciu rekrutów i zaczęło chować spadochrony. Lobo klęczał przy jednym z powalonych komandosów i podłączał do jego hełmu przewód. To tylko

kwestia czasu, zanim ludzie na ziemi i w wieżach sprawdzą, co się dzieje z tymi na dachu. Jeśli odpowiedzią będzie cisza, poznają, że na dachu coś się stało. Lobo wgrywał wszystkie sygnały, jakie otrzymywali i wysyłali tej nocy strażnicy. Resztę miał zrobić program obróbki głosów.

- Status, Lobo? - zapytał Wit.

Usta Lobo poruszyły się za osłoną hełmu i po krótkim opóźnieniu Wit usłyszał jego słowa we własnym hełmie. Tyle że nie był to głos Lobo. Był głębszy i miał indyjski akcent, niewątpliwie identyczny z akcentem powalonego komandosa.

- Wszystko gotowe, panie kapitanie. Jeśli zapytają o status, powiem, że na dachu wszystko gra.

- Ruszamy - powiedział Wit i poprowadził swoich ludzi do wyjścia na dach. Zeszli schodami, przebyli krótki korytarz i znaleźli się na drugim piętrze, zdejmując po drodze czterech kolejnych strażników. Użyli do tego nakładek pajęczych, niedużych magnetycznych krążków, które dla człowieka w kombinezonie tłumiącym stanowiły odpowiednik śmiertelnej rany zadanej nożem. Kombinezon po przyściśnięciu takiej nakładki robił się czerwony. To o wiele cichsze od strzału z karabinu.

Wejście do biura Ketkara blokowało czterech wartowników oraz barykada z worków z piaskiem. Nowozelandczyk, oficer SAS, którego Wit nazywał Sosną, zabrał powalonemu strażnikowi sprzęt i broń i ruszył środkiem korytarza w stronę barykady. Światła się nie paliły i w ciemności było widać tylko sylwetkę Sosny. Wartownicy pomylili go z kimś innym i błąd odkryli dopiero wtedy, kiedy znajdował się tuż przy nich. Padły cztery strzały i korytarz był czysty.

Gdy Wit wszedł do biura, major Khudabadi Ketkar siedział za biurkiem w kombinezonie tłumiącym i z uśmiechem na twarzy. Wstał i wyciągnął rękę.

- Kapitanie O'Toole, chyba nie powinienem być zaskoczony. Witam. Widzę, że przyprowadził pan ośmiu swoich najlepszych ludzi.

- Wszyscy moi ludzie są najlepsi, sir. Miło mi pana znów widzieć. Mam nadzieję, że pani Ketkar ma się dobrze.

- Gdacze nade mną jak wystraszona kura, ale już się do tego przyzwyczaiłem. Koniecznie chce wiedzieć, kiedy znów pan

przyjdzie na kolację. Nazywa pana „tym przystojnym Amerykaninem”. Udaję, że nie jestem zazdrosny. - Spojrzał za Wita, zobaczył czterech wartowników powalonych przy barykadzie i ponownie się uśmiechnął. - To są czterej wyżsi oficerowie. Obawiam się, że po dzisiejszej nocy nie będą pana lubić, panie kapitanie.

- Niewielu ludzi mnie lubi, sir. Ryzyko zawodowe.

- Mam nadzieję, że zanim zrobił im pan wstyd przed ich dowódcą, zaciekle się bronili.

- Tak, sir. To dobrzy żołnierze. Trudno było zdobyć ich posterunek.

- To zabawne - odparł z uśmiechem Ketkar. - Nie słyszałem nawet szarpaniny. - Podniósł z biurka starannie złożoną flagę i podał Witowi. - Ale musi mi pan powiedzieć, jak to zostało zrobione.

- Skok z dużej wysokości z otwarciem spadochronu na bardzo niskiej wysokości, sir.

Ketkar zmarszczył brwi.

- Atak z powietrza? To nie jest złamanie zasad?

- Nie miałem świadomości, że w naszej grze obowiązują jakiekolwiek zasady, sir.

Major wybuchnął śmiechem.

- Chyba nie obowiązują. To jednak gorzka ironia. Żołnierze Para-Commando są spadochroniarzami. Można by pomyśleć, że będą spoglądać w niebo. - Westchnął. - Cóż, należy się panu uznanie, że doszedł pan tak daleko, panie kapitanie. Lecz musi pan przecież zdawać sobie sprawę, że ucieczka jest niemożliwa. Teren otoczyli moi ludzie. Nigdy pana stąd nie wypuszczą.

- Z całym szacunkiem, sir, sędzę, że nas wypuszczą. Otworzą nam główną bramę.

Ketkar wyglądał na rozbawionego.

- A dlaczego mieliby to zrobić?

- Bo pan ich o to poprosi, sir.

- Proszę wybaczyć, panie kapitanie, lecz nasza przyjaźń ma pewne granice. Nie zrobię nic podobnego.

- Nie, sir. Ja to zrobię za pana. Teraz mamy już wystarczająco dużo próbek pańskiego głosu. Jesteś gotowy, Lobo?

- Może pan zaczynać, sir - odparł Lobo.

Wit zaczął mówić, lecz z głośnika na biurku Ketkara wydobył się głos majora. Mówił do wszystkich żołnierzy PC.

- Panowie, tu major Ketkar. Właśnie otrzymałem osobiste gratulacje od kapitana Wita OToole'a z powodu naszego zwycięstwa. Wielu z was wie, lecz niektórzy mogą nie mieć tych informacji, że przed naszymi głównymi siłami wysłałem nieduży oddział uderzeniowy i poprosiłem o zachowanie ścisłej ciszy radiowej. Podczas gdy nasze główne siły ścierają się z żołnierzami POP-u w ich obozie, jednostka uderzeniowa przekradła się do kwatery kapitana OToole'a i zabrała stamtąd flagę. Teraz bez żadnych strat wraca do bazy. Zamierzam wraz ze starszymi oficerami powitać przed bramą tych komandosów jak bohaterów. Liczę, że kiedy znajdą się na terenie kompleksu, zrobicie to samo. Nasi przyjaciele z POP-u dzielnie walczyli, lecz pokazaliśmy tym zadufanym w sobie draniom, kto jest prawdziwymi żołnierzami.

Z zewnątrz dobiegły radosne okrzyki i oklaski. Major Ketkar już się nie uśmiechał.

- Cóż, tego się nie spodziewałem.

- Proszę mi wybaczyć, sir. Mam nadzieję, że nie zepsuje to nam przyszłych planów kolacyjnych - powiedział Wit i pełnym szacunku ruchem przycisnął na środku piersi Ketkara nakładkę pajęczą.

* * *

Na dole w garażu Lobo czekał z dwoma samochodami. Wit i jego ludzie wsiedli. Wszyscy mieli teraz na głowach czerwone berety indyjskich komandosów. Z odległości i po ciemku mogli uchodzić za wyższych oficerów, ale gdyby ktokolwiek im się przyjrzał z bliska, podstęp by się wydał.

- Dajcie przedstawienie - polecił Wit. - Nie żałujcie klaksonów.

Trzech żołnierzy miało małe indyjskie flagi na patyczkach, które wzięli z biurka Ketkara. Wytknęli je przez uchylone okna i machali uroczyście. Lobo wyjechał z garażu, a za nim Bogdanowicz, który prowadził drugie auto. Gdy oba samochody odjechały trochę od budynku, Lobo zaczął trąbić krótkimi seriami. Żołnierze Para-Commando, którzy jeszcze znajdowali się daleko, wznosili radosne okrzyki i wymachiwali bronią nad głowami.

- Otwierają bramę - rzekł Wit. - Nie śpiesz się, Lobo. Utrzymuj normalną prędkość. Wieziesz majora.

- Tak jest.

Żołnierze opuszczali bezpieczną barykadę i z krzykiem biegli w stronę samochodów. Wit odchylił się w fotelu, ukrywając twarz w mroku. Żołnierze wciąż znajdowali się w odległości trzydziestu metrów, lecz przy autach mogli się znaleźć w ciągu kilku sekund.

- Normalna prędkość - powtórzył Wit. - Powoli i spokojnie. Strażnicy wyszli z wartowni i stanęli na baczność. Wielkie wrota się rozsunęły. Samochód Wita dojechał do bramy. Rozemocjonowani żołnierze podbiegli do drugiego pojazdu i zaczęli z radości walić w bagażnik. Jeden ze stojących na baczność wartowników opuścił wzrok na samochód Wita, zmartwiało, sekundę później zaczął wrzeszczeć i sięgnął po broń. Wszystko wzięli diabli.

- Do dechy, Lobo! - polecił Wit.

Lobo wcisnął pedał gazu. Za nimi Bogdanowicz zrobił to samo. Świętowanie zmieniło się we wściekłą przepychankę. Żołnierze usiłowali wspiąć się na drugi samochód. Od szyb odbijały się pociski pajęczce. Bogdanowicz gwałtownie skręcił i przyśpieszył. Napastnicy odpadli od samochodu.

- Blokada drogowa - stwierdził Lobo.

Przed nim na drodze stały dwa pojazdy i kilku komandosów z wycelowaną bronią.

Na tylnym siedzeniu obok Wita siedział Chi-won.

- Teraz my - rzekł Wit.

- Z przyjemnością, sir.

Koreańczyk nie potrzebował wyjaśnienia. Obaj jednocześnie opuścili szyby, wystawili na zewnątrz lufy karabinów i zaczęli strzelać. Kombinezony komandosów błyskały czerwienią i sztywniały.

Lobo przyśpieszył.

- Przebijam się.

- Tylko nikogo nie przejedź - ostrzegł Wit.

Lobo uderzył pierwszy pojazd akurat pod takim kątem, żeby go odepchnąć i utorować drogę. Zazgrzytał metal. Rozbiło się szkło. Zawirowały opony. Lobo wcisnął pedał gazu do oporu, samochód zachwiał się i po chwili byli wolni. Drugi samochód

pędził tuż za nimi. Strzały dobiegające z tyłu były teraz rzadsze, ale Wit wiedział, że to jeszcze nie koniec, między nimi a obozem POP-u wciąż znajdowało się dwustu ludzi.

Przejechali jeszcze sto metrów, pokonując dwa zakręty, zatrzymali się i wszyscy wysiedli.

Z lasu wyszli dwaj żołnierze POP-u. Deen, Brytyjczyk, i Averbach, Izraelczyk.

- Dobry wieczór, panie kapitanie - odezwał się Deen. - Myśleliśmy, że się pan już nie pojawi. - Spojrzał na rekrutów. - To nowe żółtodzioby? Miło was poznać, chłopcy. Nazywam się Deen. Czyj jest ten szalony pomysł? Podoba mi się.

- Przedstawicie się sobie później - rzekł Wit. - Wy dwaj zaraz będziecie mieli na ogonach trochę rozzłoszczonych komandosów. Za jakieś dziesięć sekund dopadną was wszystkie pojazdy, jakie mają w bazie.

Deen lekceważąco wzruszył ramionami i usiadł za kierownicą pierwszego samochodu. Averbach wskoczył do drugiego.

- Dokąd jadę, panie kapitanie? - zapytał Deen.

- Dokąd chcesz. Zrób sobie wycieczkę w teren. Tylko daj im zajęcie.

Deen strącił z przedniego fotela odłamki szkła.

- Widzę, że nie przejmujemy się lakierem.

- Postaraj się nie skasować wozu.

Deen podkręcił obroty i z uśmiechem przyłożył dłoń do ucha.

- Słucham, panie kapitanie? Nie usłyszałem ostatniego zdania.

Roześmiał się i odjechał. Averbach ruszył tuż za nim.

Wit dawał im najwyżej półtora kilometra. Potem dopadną ich komandosi. Podczas prawdziwej operacji nigdy nie poświęciłby w taki sposób dwóch ludzi, ale Deen i Averbach powiedzieli, że nie mają nic przeciwko temu. Jeśli będą mogli zniszczyć dwa samochody, to zgodzili się na pocisk pajęczy w pierś.

Wit pędził z rekrutami w dół zalesionego stoku. Odrzucili czerwone berety i włożyli własne hełmy. Wyświetlacz Wita obudził się do życia i zalał go informacjami: temperatura, odległość do rzeki, przewidywana głębokość wody oparta na ilości śniegu i opadów deszczu na tym terenie tej zimy. Po kombinezonie i hełmie siekły go gałęzie. Flagę miał w kieszeni na plecach.

Wybiegli spomiędzy drzew. Kładka przerzucona przez rzekę była stara i rozpadała się, spora część barierki odpadła dawno temu. Rzeką płynęła sześć metrów pod kładką. Wit nie zwolnił kroku. Z wyświetlacza odczytał, że po prawej stronie woda prawdopodobnie jest głębsza. Zeskoczył z kładki, wpadł do rzeki i poszedł pod wodę. Wyporność kombinezonu tłumiącego wyniosła go na powierzchnię i popłynął z prądem w dół rzeki. Wyświetlacz pokazał temperaturę wody i pozycje jego ludzi. Cała ósemka unosiła się na wodzie. Prąd był miejscami stosunkowo spokojny, gdzie indziej szalał. Dwa razy widzieli duże grupy komandosów podążających w stronę bazy. Żaden z hinduskich żołnierzy nie patrzył na rzekę. A nawet gdyby patrzył, w ciemności nic by nie zobaczył.

Ostatni kilometr był nieciekawym. Rzeką się uspokoiła i Wit podpłynął do przeciwnego brzegu. Kombinezony nasiąknięte wodą były ciężkie, ale szli szybko i do obozu dotarli po dziesięciu minutach. Wit nie był zaskoczony na widok wszystkich pozostałych żołnierzy POP-u i około sześćdziesięciu komandosów zebranych w białym wokół ogniska. Z boku leżała duża sterta kombinezonów tłumiących. Większość była czerwona i sztywna, lecz wiele wciąż nadawało się do użytku. Żołnierze rozmawiali, grali w karty. Czterech śpiewało sprośną pijacką piosenkę, budząc zachwyt słuchaczy. Nikt nie zauważył Wita i rekrutów, którzy przyglądali się zabawie z jednego z namiotów.

Polecenia Wita dla żołnierzy pozostających w obozie były jasne. Nie pozwolić komandosom zdobyć flagi, ale i nie dać im odczuć, że są fajtlapami. Okazać pokorę. Ci ludzie są sprzymierzeńcami, a nie wrogami.

Nieopodal na skrzynkach i skrzyniach siedziało pięciu mężczyzn grających w ganjifa. Calinga, Filipińczyk z POP-u, z radosnym okrzykiem odłożył trzymane w ręce okrągłe karty, a pozostali gracze jęknęli. Pasek na jego nadgarstku błysnął zielenią; Calinga przeprosił kolegów i z uśmiechem podszedł do Wita.

- Dobry wieczór, panie kapitanie - powiedział półgłosem. - Zakładam, że dobrze panu poszło. To są nowicjusze? Witajcie w POP-ie, panowie.

Ośmiu rekrutów skinęło głowami na powitanie.

- Jak stoimy? - zapytał Wit.

Calinga wzruszył ramionami.

- Kiedy zastrzeliliśmy wszystkich, powiedzieliśmy im, że głupio tak leżeć w trawie sztywno jak deska, dopóki gra się nie skończy. Więc pierwsi zdjęliśmy kombinezony, by nie pomyśleli, że z nich drwimy, a potem otworzyliśmy przenośne lodówki z napojami witaminowymi. Obawiam się, że komandos mieli nadzieję na wódkę, ale udatnie okazywali wdzięczność.

- Straciliśmy jakichś ludzi?

- Pod koniec ostatniego ataku, kiedy nikt nie patrzył, strzeliłem do Toejacka i Kimble'a. Uznałem, że powinniśmy mieć chociaż kilku rannych. Gdybyśmy na końcu wszyscy stali, wyglądałoby to na napawanie się zwycięstwem.

- Dobra robota - pochwalił Wit. Wydostał się ze swojego kombinezonu i strzelił do niego z własnej broni. Kombinezon zeszywniał i poczerwieniał. - Zdejmijcie kombinezony i zastrzelcie je - polecił rekrutom.

Posłuchali go bez wahania.

- Teraz położymy je na stertę wraz z innymi - powiedział kapitan. - Bądźcie wyczerpani. Nie udawajcie, po prostu okażcie, jak jesteście zmęczeni.

Miał kolkę, ale zamiast stłumić ból, jak normalnie by zrobił, pozwolił sobie na grymas. Cisnął kombinezon na stertę. Zobaczyli go żołnierze otaczający ognisko i wszyscy ucichli. Rekruci dorzucili swoje kombinezony. Wyglądali na wykończonych, chociaż chwilę wcześniej nie byli nawet zadyszani.

- Żołnierze mojego oddziału wiedzą, że nie lubię ponosić porażek - powiedział Wit.

Obóz ucichł.

- Założyłem, że z łatwością wygramy w tym ćwiczeniu, lecz dowiedziałem się dzisiejszej nocy, że wy, komandos PC, jesteście twardsi, niż się spodziewałem. Wszyscy oberwaliśmy. Przez następne kilka tygodni wiele się nauczymy od siebie nawzajem i dzięki temu staniemy się lepszymi żołnierzami i lepszymi ludźmi.

Wit zamilkł, bo ciemność rozciąły reflektory i do obozu wjechał niewielki konwój samochodów. Z jednego wysiadł major Ketkar. Miał na sobie mundur polowy i nie wyglądał na zadowolonego.

- Baa-czość! - wrzasnął Wit.

Wszyscy stanęli na baczność, łącznie z Witem, który zasalutował majorowi, mimo że formalnie rzecz biorąc, nie było to konieczne.

Majorowi prawie udało się ukryć zaskoczenie. Obrzucił spojrzeniem ludzi, przenośne lodówki, kiełbaski i stertę kombinezonów tłumiących. Następnie odezwał się głośno, żeby wszyscy go usłyszeli.

- Kapitan Wit O'Toole mnie zapewnił, że następne siedem tygodni szkolenia będzie najbardziej wyczerpujące, bolesne i ambitne w całym waszym życiu. Po dzisiejszym ćwiczeniu wierzę mu. Ponieważ to wasza ostatnia noc przed rozpoczęciem tego piekielnego szkolenia, rano zapomnę, że widziałem setkę ludzi w bieliźnie, stojących wokół ogniska niczym horda jaskiniowców. - Uśmiechnął się.

- Wybaczcie, że nie zdejmę munduru.

Żołnierze się roześmieli.

- Spocznij.

Ludzie wrócili do swoich drinków i rozmów.

- Jest mi pan winien dwa nowe auta, panie kapitanie - rzekł Ketkar do Wita.

- Ich koszt zostanie panu zwrócony, sir. Proszę mi wybaczyć, jeśli posunęliśmy się w tej grze za daleko.

- Oraz koszt naprawy jednej z moich ciężarówek, która okazała się kiepską blokadą drogową.

- Też go pokryjemy, sir.

- Nic podobnego. - Ketkar machnął ręką. - Nie zapłaci też pan za auta. Nie chcę wyjaśniać naszemu kwatermistrzowi, że POP zrobił z nas idiotów. Wypełnię formularz wypadku.

- Myśmy nie wygrali, sir - stwierdził Wit. Sięgnął do swojego czerwonego kombinezonu, wyjął z kieszeni na plecach flagę i podał ją Ketkarowi. - Nasze kombinezony zostały trafione. Zostaliśmy wyłączeni z ćwiczenia.

Major przyglądał mu się podejrzliwie.

- A gdybym zapytał moich ludzi, który z nich zdjął słynnego Wita O'Toole'a, to ktoś by wystąpił z szeregu?

- Strzelało do nas wielu, sir. Pod koniec zapanował chaos. Ketkar z uśmiechem pokiwał głową.

- Tak. I jakoś mimo usztywnionych kombinezonów udało się wam dotrzeć do obozu. Jestem pod wielkim wrażeniem.

Wit wskazał maszt, gdzie na wietrze trzepotał czerwony kawałek materiału udający flagę.

- Ma pan w swoich samochodach ludzi, którzy wciąż znajdują się w grze, sir. Jeśli zechciałby pan zdjąć naszą flagę, nie napotka pan żadnego oporu. Wszyscy zostaliśmy wyeliminowani z walki.

- Chyba najlepiej będzie, jeśli uznamy to za remis.

- Dobry pomysł, sir.

Ketkar zasalutował, wsiadł do auta i konwój odjechał. Kiedy tylko zniknął z pola widzenia, z lasu wyszli Deen i Averbach w sprawnych kombinezonach.

- Myślałem, że będziecie naszpikowani pociskami pajęczymi - powiedział Wit.

Deen zrobił obrażoną minę.

- Trochę wiary, panie kapitanie. Averbach i ja nie poddajemy się tak łatwo.

- Chyba nie chcę wiedzieć, co zrobiliście z samochodami. Deen klepnął go po ramieniu i wyjął sobie napój z lodówki.

- Nic takiego, czego nie zdoła naprawić dobry mechanik. Razem z Averbachem podeszli do sterty kombinezonów i dorzucili do niej swoje.

- Muszę przyznać, że nie tego się spodziewałem, sir - odezwał się ktoś.

Wit się odwrócił. Obok niego stał Lobo w przemoczonej bieliźnie, z napojem witaminowym w dłoni, i wpatrywał się w ogień.

- Czy szkolenie będzie tak wyczerpujące, jak mówił major Ketkar? - zapytał Lobo.

- Teraz jesteś w POP-ie, Lobo. Nie powinienem musieć odpowiadać na to pytanie.

Rozdział 8

Glaser

Ciasne i ciemne archiwum na „Makarhu” było wypełnione rzędami migających systemów komputerowych i szumiących serwerów. Lem unosił się w półmroku pod ścianą z holoprojektorem podłączonym do jednego z wejść serwera. W przestrzeni nad projektorem odtwarzało się wideo ataku na „El Cavadora”. Widać było laser przecinający rozbijacz kamyków zamontowany na kadłubie. Na oczach Lema odcięte urządzenie oddaliło się ruchem wirowym i uderzyło jednego z górników pracujących w przestrzeni. Lem przeciągnął ręką po zapisie, by zatrzymać projekcję, a potem, poruszając palcami w odpowiedniej kolejności, przewinął wideo i odtworzył je znowu w zwolnionym tempie. Nie miał pewności, ale wyglądało na to, że zabił tego człowieka.

Stuknięcie „El Cavadora” okazało się o wiele gwałtowniejszą akcją, niż się spodziewał. Mówienie o przecinaniu laserami czujników i innego wyposażenia to jedno, a zupełnie czym innym było oglądanie tego własnymi oczyma - cały atak został nagrany przez kilka kamer i wyświetlony w dużej holoprzestrzeni na mostku.

Nie, nie wolno używać słowa „atak”. Brzmi obciążająco i może spowodować oskarżenie. Oznacza postępowanie naganne i sprawia, że w sieciach pojawia się nagłówki w stylu „Lem Jukes atakuje wolnych górników” czy „Dziedzic fortuny Jukesów atakuje rodziny z dziećmi”. Nie, „atak” to słowo o wiele zbyt agresywne. Przedstawia bardzo nieprecyzyjny obraz wydarzeń.

Sugeruje złe zamiary i automatycznie stawia ludzi w fałszywym świetle. Dobro przeciwko złu. Czarne przeciwko białemu. A w tym scenariuszu nie było postaci dobrych i złych. Były dwie strony zainteresowane tą samą asteroidą, która, niech wykażą to zapisy, przede wszystkim legalnie nie należała do nikogo. Lem nie odbierał czegoś wolnym górnikom, ponieważ to w ogóle do nich nie należało. Gdyby mieli jakiś akt własności albo dokument sprzedaży, określający ich jako właścicieli rzeczzonego obiektu, wtedy, owszem, Lem nie miałby racji. Lecz przeprowadzenie manewru mającego na celu odpędzenie kogoś od asteroidy, do której ten ktoś nie miał żadnego prawa, wcale nie było zbrodnią.

Manewr. Tak, Lemowi to słowo podobało się o wiele bardziej.

RK na wideo znów oddalił się ruchem wirowym od lasera i uderzył tego człowieka. Lem zatrzymał obraz w tym momencie. Szyja uderzonego górnika była nienaturalnie wykrzywiona na bok. Lem nigdy przedtem nie widział skrzywionego karku, lecz był dość pewien, że właśnie patrzy na coś takiego.

- Panie Jukes?

Odwrócił się gwałtownie. Przy końcu pomieszczenia unosił się w kombinezonie do snu archiwista, Belg Podolski. Co on tu robi? Powinien spać. Minęło już kilka godzin pory snu. Lem poczuł panikę, chociaż bardzo starał się to ukryć.

- Zaskoczyłeś mnie - powiedział z uśmiechem i wyłączył holoprojektor.

Archiwista wpatrywał się w niego w milczeniu. Minęło kilka chwil.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem. Przyszedłem, żeby przejrzeć kilka plików - wyjaśnił Lem.

- System powiadamia mnie, jeśli ktoś wchodzi do plików rdzenia bez mojego kodu autoryzacji - rzekł Podolski. - To środek ostrożności na wypadek włamania.

- Aha. - Lem o tym nie miał pojęcia, bo inaczej wymyśliłby jakiś sposób obejścia tego kodu. Parsknął śmiechem. - Ależ jestem głupi. Przepraszam. Gdybym wiedział, zgłosiłbym się do ciebie w godzinach pracy. Przykro mi, że cię obudziłem.

- Przecież pan wie, że do każdego pliku, jaki mamy w archiwum, może pan wejść z osobistego terminalu u pana w pokoju.

Oczywiście, że Lem o tym wiedział. Nie był idiotą. Nie chciał jednak, by na statku powstał zapis, że pliki te zostały przesłane do jego pokoju - albo do jakiegoś innego terminalu na statku. Nie chciał też tylko obejrzeć tych plików; chciał skasować jedyne ich egzemplarze istniejące tu, na głównych serwerach.

- Miałem coś do załatwienia w komorze górniczej - powiedział. - Zajrzałem tu przy okazji. Nie przewidziałem, że wywołam zamieszanie.

Nie było to najlepsze kłamstwo, lecz wypowiedział je dość przekonująco. No i było wiarygodne. Komora górnicza znajdowała się blisko archiwum, a od stuknięcia górnicy pracowali tam po godzinach, przygotowując się do kolejnego testu. Obecność Lema w takim miejscu byłaby czymś naturalnym.

Podolski skinął głową.

- Czy mogę panu pomóc coś znaleźć, sir?

- Jesteś bardzo uprzejmy, ale nie. Już kończę. Dziękuję. Podolski znów skinął głową, niepewny, co ma robić. Nastąpiła niezręczna cisza.

- No tak. Gdyby pan czegoś potrzebował, moja kajuta jest zaraz za tym włazem.

Lem ostentacyjnie wyciągnął szyję i spojrzał na właz, mimo że dokładnie wiedział, gdzie on jest.

- Dziękuję. Gdybym czegoś potrzebował, dam ci znać.

Zaczekał, aż właz się zamknie za Podolskim, i zaczął szybko kasować pliki, nie oglądając ich nawet. Wcześniej, kiedy postanowił pozbyć się zapisów ze stuknięcia, zastanawiał się nad powierzeniem tego zadania Podolskiemu, który oczywiście lepiej znał się na serwerach. Lecz zaraz sobie uświadomił, jak byłby potem niespokojny: zawsze by się obawiał, że archiwista zrobił sobie kopię tych plików, by go w przyszłości szantażować. Zdarzało się, że niektórzy pracownicy ojca próbowali czegoś takiego - zawsze źle się to dla nich kończyło, lecz doświadczenia te bardzo ojca wyczerpywały. Poza tym takie polecenie tylko by wzbudziło w archiwście podejrzenia, a większość załogi, łącznie z Podolskim, nadal nie wiedziała, co się stało podczas stuknięcia. O incydencie z wolnym górnikiem wiedziało tylko kilku zaufanych starszych oficerów i Lem uznał, że najlepiej utrzymać taki stan rzeczy.

Kiedy skończył kasowanie, sprawdził serwery kilka razy, by mieć pewność, że niczego nie przeoczył. Następnie uruchomił program kasujący wszelkie zapisy kasowania. Ostatnim krokiem było załatanie dziur. Teraz w zapisach wideo pojawiły się luki, więc Lem wypełnił je przypadkowymi obrazami kosmosu, które już się znajdowały w archiwum.

Włożył holoprojektor do kieszeni i przemieścił się do wyjścia. Miał nadzieję, że kasując pliki, skasuje także poczucie winy, które dręczyło go od stuknięcia, lecz opuszczając archiwum, czuł się tak samo niespokojny jak przedtem. Uświadomił sobie, że nie powinien oglądać tego wideo, bo wtedy mógłby wierzyć, że ten człowiek nie odniósł poważnych obrażeń. Mógłby sobie wmówić, że obrażenia nie są trwałe.

Dlaczego ci wolni górnicy wyszli na zewnątrz? - zastanawiał się. Była pora snu. Nie wychodzi się na spacerów kosmicznych w porze snu. To lekkomyślność. W gruncie rzeczy, jeśli ten wolny górnik został sparaliżowany lub stracił życie, sam jest sobie winien. No, może nie całkiem sam, ale część winy go obciąża.

Poza tym nikogo nie skrzywdziłem celowo. Nawet nie wiedziałem, że ci ludzie tam są. Kiedy zaczął się atak - nie, manewr

- wolni górnicy pracowali po przeciwnej stronie „El Cavado-ra”, byli niewidoczni. A kiedy statek ich wykrył, „Makarhu” już znajdował się w ruchu, sekwencja strzałów z lasera już została zainicjowana. Nie zdołałbym tego powstrzymać. A w każdym razie nie bez trudu. To po prostu przypadek, że pierwszym celem był RK znajdujący się w pobliżu tych trzech górników.

I jeśli spojrzał na fakty w ten sposób, jeśli podzielił winę na części, to jedna z nich obciążała wolnego górnika, inna obciążała komputer, jeszcze inna wiązała się z przypadkiem i tylko drobna część obciążała jego. A nawet ta drobna część nie w całości. Przecież działali zespołowo. To prawda, że załoga wykonywała jego rozkazy, ale mogła wysunąć zastrzeżenia, mogła się nie zgodzić.

Ktoś się nie zgodził, przypomniał sobie Lem. Benyawe. Zgłosiła formalne zastrzeżenie. Czy to też skasował? Zapewne.

Z archiwum udał się do komory górniczej, żeby uwiarygodnić swoje kłamstwo. Nie spodziewał się, by Podolski to sprawdził - archiwista nie miał żadnych powodów, by mu nie wierzyć. Ale

gdyby wspomniał komuś w rozmowie, że Lem był w komorze? Nie, lepiej działać ostrożnie.

Komora górnicza była dużym pomieszczeniem do przechowywania wszelkiego sprzętu górniczego i służącego do pozyskiwania metali. Zwykle na statku tej wielkości pracowało czterdziestu do pięćdziesięciu górników oraz dwadzieścia do dwudziestu pięciu PB - czyli przenośnych buldożerów, dużych maszyn w formie zewnętrznego szkieletu, które wkładali na siebie korporacyjni górnicy do oczyszczania kopalnianych szybów i wyciągania na górę brył z minerałami. Ponieważ „Makarhu” był teraz statkiem badawczym, ekipa górnicza składała się zaledwie z dziesięciu członków, a ich jedynym zadaniem podczas tej podróży było po przeprowadzeniu prób zbieranie fragmentów skał do analizy. Górnicy zamierzali użyć do tego zgarniarek, czyli koparek na długich wysięgnikach, które można wysunąć ze statku i chwycić skały w przestrzeni. Ponieważ jednak inżynierowie przeprowadzili tylko jeden test glaserów i nawet nie raczyli zebrać uzyskanych w nim fragmentów skał, górnicy umierali z nudów. Lem nieco temu zaradził tydzień wcześniej, kiedy powiedział im o swoim zamiarze zebrania z asteroidy tyle minerałów, ile zmieści się na statku. Wymagało to modyfikacji sprzętu, lecz ludzie tak byli spragnieni jakiegoś zadania, że chętnie przyjęli to wyzwanie. Lem mógł powiedzieć, że ich odwiedził, by sprawdzić postęp prac.

W komorze zastał pięciu górników, w tym ich szefa, który przytwierdził się do jednej ze zgarniarek i spawał do niej duże metalowe płyty.

- Co za niespodzianka, panie Jukes - powiedział szef górników, podnosząc osłonę twarzy i gasząc płomień. - Wczesna pora dla pana, prawda?

- Nie mogłem zasnąć. W jakim stopniu sprzęt jest gotowy? Szef czule poklepał zgarniarkę.

- Dobrze nam idzie. Przygotowaliśmy dwie zgarniarki. Kiedy włączymy glaser, będą gotowe dwie następne.

Lem postanowił odczekać z włączaniem glaserów cały tydzień od przybycia do asteroidy. Niech „El Cavador” odleci na odległość, z której jego załoga nie będzie widziała testu. Lem mógł wysadzić kamyk, nie wzbudzając niczyjej ciekawości, lecz gdyby

ktoś zobaczył, jak unicestwia taką dużą asteroidę, poznałby, że firma Juke wynalazła rewolucyjną technologię - a ojciec wołał to utrzymać w tajemnicy.

- Zmieniliśmy zgarniarki w potężne magnesy, sir - wyjaśnił szef górników. - Jeśli inżynierowie mówią prawdę, glaser rozniesie skałę w pył. Aby więc oddzielić detrytus od minerałów, wystarczy pomachać w tej chmurze magnesem, który przyciągnie fragmenty metalu. Następnie umieszczamy ładunek zgarniarki w piecu, wyłączamy magnesy, zrzucamy metal i powtarzamy wszystko od początku. W krótkim czasie będzie pan miał stertę pięknie ułożonych metalowych walców, sir.

- Ile czasu potrwa zebranie metalu? Szef wzruszył ramionami.

- To zależy od wielkości chmury pyłu i ilości minerałów. Może tydzień, a może dwa miesiące. Tak naprawdę decyzja należy do pana, sir, my będziemy produkować walce tak długo, jak pan zechce.

Lem podziękował, wrócił do swojej kajuty i zapiął się w hamaku. Chociaż do końca pory snu pozostały jeszcze dwie godziny, wiedział, że nie zaśnie; obraz przekrzywionej szyi wolnego górnika był zbyt świeży w jego pamięci. Mógł skasować pliki i zatrzeć swoje ślady, lecz własnej pamięci nie mógł skasować. Leżał w ciszy. Wiedział, że łudzi się myślą, że to ktoś inny ponosi odpowiedzialność za to, co się stało. To była jego zbrodnia, jego dzieło. I nic tego faktu nie zmieni.

* * *

Tydzień po stuknięciu Lem był w pomieszczeniu obserwacyjnym z Dublinem i Benyawę, gotów do włączenia glasera. Patrzył przez okno na asteroidę.

- Na pewno odległość jest wystarczająca?

- Bez wątplenia, panie Jukes - odparł Dublin. - Cały tydzień robiliśmy obliczenia. Sam je przejrzałem. Pole grawitacyjne nas nie dosięgnie. Już znajdujemy się kilka kilometrów dalej, niż trzeba. Podjąłem wszelkie środki ostrożności.

Lem skinął głową, chociaż czuł się trochę nieswojo. Kiedy glaser trafi asteroidę, wytworzy pole grawitacji odśrodkowej. Im większy trafiony obiekt, tym większe pole grawitacji.

- Moim zdaniem nie możemy się znaleźć za daleko - stwierdził Lem. - Czy nadal trafimy w asteroidę, jeśli cofniemy się, powiedzmy, jeszcze pięć kilometrów?

- Powinno się nam udać - powiedział Dublin. - Ale to przesada.

- Wolę przesadzać, niż dać się zabić - stwierdził Lem. Dotknął swojego holoprojektora, wywołując obraz Chubsa. -Cofnij nas jeszcze o pięć kilometrów.

- Tak jest.

- I podaj mi ostatnie odczyty skanów okolicy. Muszę być pewny, że nie ma w pobliżu statków, które mogłyby zobaczyć, co tu zaraz zrobimy.

- Spokojnie, nikogo tu nie ma. Najbliżej był „El Cavador”, ale już dawno zniknął. Nie wykrywają go już nawet nasze skanery.

- Dobrze. To zaczynajmy. Wysłać czujniki.

- Wysłać czujniki - rozkazał Chubs.

Lem patrzył przez okno na czujniki oddalające się od statku w rozbłysku napędu. Ich zadaniem była rejestracja wszystkich aspektów wybuchu do dalszej analizy. Za każdym rozwijała się długa lina.

- Czujniki są na pozycjach - zameldował Chubs.

- Uruchomić laser - rozkazał Lem. -Tak jest.

Lem wyłączył holoprojektor i czekał w milczeniu. Po chwili się zaczęło. Asteroida wybuchła wielkimi kawałami skał, które zaraz eksplodowały mniejszymi kawałkami, rozpryskującymi się na zewnątrz rosnącą kulą zniszczenia. Duże fragmenty wciąż wybuchały i stawały się coraz mniejsze, chmura gęstniała, rozszerzała się, rosła z niewiarygodną prędkością. Była już cztery razy większa od asteroidy. Pięć razy. Sześć.

- Hm... - mruknął Dublin. Osiem razy.

- Może byłoby rozsądne... - zaczęła Benyawe niepewnie.

- Odrzucić czujniki! - wrzasnął Lem do mikrofonu. - Uruchomić silniki hamujące! Maksymalna moc. Cofnąć nas!

Czujniki zostały odcięte. Statek gwałtownie się cofnął. Lem, Dublin i Benyawe zostali rzućni na okno. Chmura się rozrastała. Lem odepchnął się od szkła i patrzył, jak kula ogarnia czujniki,

które przed chwilą odrzucił. Natychmiast eksplodowały coraz mniejszymi kawałkami. Potężna kula pyłu, skał i żwiru rozszerzała się coraz bardziej. Dotarła do miejsca, gdzie niedawno znajdował się statek, i dalej się rozprzestrzeniała, jednak już coraz rzadsza.

Wreszcie się zatrzymała. Częstki były tak małe i znajdowały się tak daleko od siebie, że pole grawitacyjne zbyt osłabło, by się utrzymać, i rozproszyło się w nicość. Wszystko się uspokoiło. Lemowi serce waliło jak młotem. Gdyby nie wydał tego rozkazu natychmiast, gdyby czekał, aż decyzję podejmie Dublin, pole dotarłoby do statku i wszyscy zostaliby rozdarci na strzępy.

Odwrócił się z wściekłością do Dublina.

- Pan chyba powiedział, że nic nam nie grozi.

- Tak sądziłem - wyjąkał inżynier. - Obliczenia przeprowadzało kilka osób.

- Wasze obliczenia to są siki! Niemal nas zabiliście!

- Przepraszam... Nie wiem, jak mogliśmy się tak pomylić.

- Benyawe mówiła, że nie potrafimy przewidzieć pola grawitacyjnego. Teraz widzę, że powinienem słuchać jej, a nie pana. Może pan odejść, doktorze Dublin.

Dublin poczerwieniał z zażenowania. Lem odprowadził go wzrokiem, a potem zwrócił się do Benyawe.

- Już po wszystkim? Nic nam nie grozi? Stukała w swój holoprojektor.

- Na to wygląda. Nasze czujniki nie są tak dobre jak te, które odrzuciliśmy, ale wydaje się, że pole zniknęło. Jednak zanim udzielę ostatecznej odpowiedzi, chciałabym przeprowadzić głębszą analizę. - Spojrzała na Lema i powiedziała drżącym głosem:

- Gdyby nie zareagował pan tak szybko...

- Zatrzymać silniki hamujące - rozkazał Lem do mikrofonu. Statek zwolnił. Lem odepchnął się od szkła i spojrzał na potężną chmurę pyłu, która kiedyś była asteroidą.

- Nie może pan za to winić Dublina - odezwała się Benyawe.

- Nie całkowicie.

-Tak?

- Gdybyśmy przeprowadzili więcej testów na kamykach, co było w planie tej misji, Dublin miałby więcej danych i otrzymałby dokładniejsze wyniki.

- A więc to moja wina?
- Postąpił pan wbrew jego i moim radom i wybrał pan asteroidę sto razy większą, niż byliśmy na to gotowi. Wskazywanie palcem wyłącznie Dublina wydaje mi się hipokryzją.

Lem się uśmiechnął.

- Teraz rozumiem, dlaczego utrzymała się pani przy moim ojcu tak długo, doktor Benyawe. Nie boi się pani mówić tego, co myśli. Ojciec to szanuje.

- Nie, Lemie. Utrzymałam się przy twoim ojcu tak długo, bo zawsze mam rację.

* * *

Przez kilka następnych dni Lem spał źle. W jego snach pole grawitacyjne pożerało wszystko wokół niego: meble, jego terminal, łóżko, nogi, człowieka ze skrzyconym karkiem; wszystko to raz po raz eksplodowało, aż zostawał tylko pył. Brał tabletki nasenne, ale nie blokowały snów. Kazał inżynierom zrobić analizę chmury pyłu, by zyskać pewność, że pole grawitacyjne rzeczywiście się rozproszyło - nie chciał zacząć zbierania minerałów, nie wiedząc, czy jest to bezpieczne. Odpowiedź dostał rankiem piątego dnia, kiedy był sam w swojej kajucie.

- Pole zniknęło - oznajmiła Benyawe unosząca się w holo-przestrzeni nad terminalem Lema. - Zbudowaliśmy ze starych części czujnik i wysłaliśmy go w chmurę. Nie eksplodował ani nie zarejestrował żadnych zmian grawitacji. Możemy zacząć zbierać metalowy pył, kiedy tylko wydasz polecenie.

- Chcę obejrzeć dane z czujnika.

- Nie wiedziałam, że potrafisz odczytywać ten rodzaj danych.

- Nie potrafię. Ale gdy je zobaczę, poczuje się lepiej. Benyawe wzruszyła ramionami i zniknęła. Chwilę później na holowyświetlaczu Lema pojawiło się kilka kolumn danych. Liczby te nic mu nie mówiły, lecz był zadowolony, że jest ich tak dużo. Dużo danych oznaczało rozstrzygające wnioski. Odprężył się nieco, wymazał dane i wpisał polecenie. Na holowyświetlaczu pojawił się szef górników.

- Dzień dobry, panie Jukes.

- Dostaliśmy zielone światło - rzekł Lem. - Za godzinę wejdziemy w chmurę pyłu.

- Doskonale. Zgarniarki są gotowe. Kiedy sprowadzimy pył na statek, zaczniemy robić walce.

Lem zakończył rozmowę. Unosił się obok swojego terminalu, po raz pierwszy od wielu tygodni czując spokój. Zaryzykował, owszem, lecz teraz nareszcie się to opłaci. Założył ręce za głowę i zaczął się zastanawiać, jaki metal znajdują. Żelazo? Kobalt? Wrócił do terminalu i obejrzał aktualne ceny minerałów. Pochodziły co najmniej sprzed miesiąca, ale jeśli na rynku nie doszło do jakiejś dramatycznej zmiany, powinny być raczej bliskie prawdy. Właśnie miał obrócić jeden z wykresów i przeanalizować dane, lecz diagramy nagle zniknęły.

Ich miejsce zajął hologram starej kobiety.

- Panie Jukes, nazywam się Concepción Querales i jestem kapitanem statku „El Cavador”, na który przeprowadził pan nieuzasadniony atak.

Lem zamarł. To jakiś żart? Jakim sposobem niezapowiedziana wiadomość trafiła do jego osobistego terminalu? Czy „El Cavador” wysłał im laselinę? Kto na to zezwolił?

- Zaprogramowałam tę wiadomość tak, by odtworzyła się długo po naszym odlocie - ciągnęła Concepción. - Wolałabym rozmawiać z panem bezpośrednio, lecz pańskie irracjonalne i barbarzyńskie zachowanie świadczy, że nie jest pan człowiekiem, z którym mogę prowadzić choćby namiastkę normalnej rozmowy.

Lem wcisnął przycisk na klawiaturze, by zatrzymać wiadomość, lecz terminal nie zareagował.

- Nie możecie nas teraz zaatakować ani wyśledzić. Znajdujemy się już daleko poza waszym zasięgiem. Podjęłam ryzyko i zostawiłam tę wiadomość, ponieważ chciałam pana poinformować, że zabił pan człowieka.

Lem przestał uderzać w klawisze i zapatrzył się w hologram.

- Wątpię, czy się pan tym przejmie. Wątpię, czy fakt ten wywoła u pana bezsenność. Zginął jeden z naszych najlepszych ludzi, mój bratanek. Był to człowiek przyzwoity, miał dzieci i kochającą żonę. Kierując się arogancją i oczywistym brakiem poszanowania ludzkiego życia, pan mu to wszystko odebrał. - Głos jej drżał nieco, lecz kryła się w nim stal. - Wątpię, czy jest pan człowiekiem wierzącym, panie Jukes. A jeśli nawet, to modli

się pan zapewne do bogów o tak okrutnym sercu, że cieszę się, że ich nie znam. Moja wiara uczy mnie przebaczać winowajcom siedem razy po siedemdziesiąt. Obawiam się, że sprowadził pan potępienie i na siebie, i na mnie, panie Jukes, ponieważ nie widzę możliwości wybaczenia panu w tym czy w następnym życiu.

Hologram zniknął, wróciły wykresy cen minerałów. Lem wcisnął kilka przycisków i stwierdził, że znów panuje nad komputerem. Myśli mu wirowały. Umieścili plik w systemie statku. Przeniknęli przez ścianę zaporową statku i umieścili swój plik. U diabła, jak to zrobili?

Znalazł mikrofon i wezwał do swojej kajuty Podolskiego. Archiwista pojawił się po kilku minutach z niepewną miną. Lem nałożył nagolenice i chodził po pomieszczeniu.

- Włamali się do nas - rzekł. - „El Cavador” wszedł do naszego systemu. Zechcesz mi powiedzieć, jak to się stało?

Podolski był zdezorientowany.

- Włamali się? Nie sądzę, sir.

- Właśnie obejrzałem na moim wyświetlaczu hologram od dowódczyni tego statku. Przecież nie postradałem zmysłów. Weszli do naszego systemu.

- Obejrzał pan hologram, sir?

- Głuchy jesteś? Umieścili cholerne holo na moim osobistym terminalu. Jeżeli to jakiś żart, chcę wiedzieć czyj i chcę tego kogoś wyrzucić ze statku. Rozumiesz?

Podolski się zaniepokoił.

- Zapewniam, że oprócz pana i mnie nikt na tym statku nie może wejść do pańskiego terminalu, a ja bym nigdy nie pozwolił sobie na taki żart, sir.

Lem mu wierzył. To nie był żart. To nie mógł być żart. Bardzo mało osób wiedziało, że podczas stuknięcia w ogóle ktoś ucierpiał.

- Sądziłem, że nasza ściana zaporowa jest nie do pokonania.

- Bo taka jest, sir. To najlepszy projekt w firmie. Na tym statku mamy zastrzeżoną, opatentowaną technologię, sir. Zastosowano wszystkie poziomy zabezpieczeń. Nikt się nie może tu dostać.

- Cóż, oni się dostali. A ja chcę wiedzieć jak. Podolski podszedł do holowyświetlacza Lema.

- Mogę obejrzeć ten plik, sir?

- Odtworzył się automatycznie. Nie wiem, gdzie się znajduje.

Podolski postukał w wyświetlacz. Lem poczuł przypływ paniki. Nie chciał, żeby archiwista zobaczył ten plik. Nie chciał, żeby ktokolwiek go oglądał.

- Widzę, gdzie się coś znajdowało - rzekł Podolski - ale skasowało się automatycznie po odtworzeniu.

- Wiesz? Weszli do naszego systemu.

Podolski zaczął bardzo szybko mrugać; na wyświetlaczu otwierały się i zamykały kolejne okna. Wpisywał hasła, otwierał ekrany i ikony, których Lem nigdy przedtem nie widział. Przewijał długie listy pozornie przypadkowych liczb i kodów. Pracował tak w milczeniu kilka minut, przebiegając oczyma holoprze-strzeń. Lem bezskutecznie usiłował dotrzymać mu kroku.

Najpierw pomyślał o laserze grawitacyjnym.

Czy wolni górnicy go widzieli? Zdobyli jego schemat? Chodziło im o te pliki? Jeśli tak, jeśli je widzieli, jeśli tajemnica glaserza została złamana, to Lem jest skończony. Ojciec i zarząd nigdy mu tego nie wybaczą. To byłby miażdżący cios dla firmy. I co z nagraniami stuknięcia, plikami, które skasował? Czy „El Cavador” je widział?

Podolski nagle przestał pisać i wbił spojrzenie w dziesiątki rozmaitych okien i wersów kodu wyświetlanych w holoprzestrzeni.

- O! - powiedział.

- Co takiego? Co znaczy „o”? Co zobaczyłeś? - zapytał Lem.

- Co czterdzieści pięć minut system robi kopię zapasową, sir. Taka jest procedura. Ale wygląda, jakby system niedawno zrobił dodatkową kopię zapasową.

- Dodatkowa kopia zapasowa? Co chcesz powiedzieć?

- Nie mam pewności, sir, ale to chyba znaczy, że niektóre nasze pliki zostały skopiowane w obcym miejscu - odparł Podolski, odwracając się do Lema.

- W obcym miejscu? Co? Na przykład w niuchaczu? Kiedy? Kiedy dokładnie to się stało?

Podolski znów coś wpisał na klawiaturze.

- Dokładnie dwadzieścia trzy minuty po stuknięciu „El Cava-dora”, sir.

Rozdział 9

Zwiadowca

Tydzień po ataku statku korporacji Victor naprawiał w maszynowni generator. Przyszedł tam do niego ojciec.

- Ile jeszcze czasu zajmie ci uruchomienie go? - zapytał.

- Dzień. Może mniej. Mono naprawia teraz w warsztacie ostatnie obwody. Dodaję kilka nowych wirników. Jeśli nie wydarzy się żadna awaria, powinniśmy szybko skończyć. A czemu? Co się stało?

- Lepiej chodź ze mną.

Segundo nie czekał ani chwili. Po prostu odwrócił się i opuścił maszynownię. Victor wyczuł niecierpliwość ojca, szybko odłożył narzędzia i dogonił go w korytarzu. Obaj mieli na sobie nagolenice i szli długimi, posuwistymi krokami.

- Wykryliśmy Włochów? - domyślił się Victor. - O to chodzi? Statek pędził w kierunku pozycji Włochów albo raczej

w stronę pozycji, co do której wszyscy mieli nadzieję, że okaże się pozycją Włochów. Bez łączności „El Cavadora” nie mógł wysłać prośby o potwierdzenie, czy wciąż się tam znajdują. Istniała spora szansa, że po przybyciu na miejsce załoga „El Cavadora” zastanie tam tylko pustą przestrzeń kosmiczną.

- Nie mam pojęcia - odparł ojciec. - Ale to chyba nic dobrego. Kilka minut temu Concepción zapytała mnie, czy RK są gotowe.

- Dlaczego miałyby cię to niepokoić? Z sześciu rozbijaczy działają dwa. To wcale nie stanowi odpowiedniego systemu

unikania kolizji. Może mamy przed sobą pole rumoszu. Może Concepción chce mieć pewność, że w nic nie uderzymy.

- Może. Ale to chyba coś innego. Chodzi mi o sposób, w jaki zapytała. Jakby była zaniepokojona, a nawet przestraszona.

Przestraszona? Concepción? Victor nie potrafił sobie tego wyobrazić.

- Czego miałyby się obawiać? Innego statku korporacyjnego? Tego statku gwiazdowego?

- Jego chyba nie. Toron i Edimar powiedzieli, że spotkamy się z nim najwcześniej za kilka tygodni, a najpewniej za kilka miesięcy. To musi być coś innego.

Po ataku korporacji Victor podzielił się z ojcem naprawami. Razem z Mono skupił się wyłącznie na generatorze, a ojciec poświęcił całą uwagę czujnikom odciętych od statku. Górnikom udało się wyłowić z przestrzeni kilka z nich, lecz wielu najważniejszych urządzeń, w tym nadajnika laselinii, nie odnaleźli.

Ojciec nawet nie zastukał do biura, wszedł od razu. Concepción razem z Toronem stała przy biurku i patrzyła na mapę kwadrantu przestrzeni kosmicznej.

- Zamknijcie drzwi - poleciła, gdy weszli.

Victor spojrzał na Torona, ale nie potrafił nic wyczytać z jego twarzy.

- Na pozycji Włochów znajdują się jakieś statki - rzekła Concepción. - Jesteśmy na tyle blisko, by Oko mogło je wykryć. Nie możemy potwierdzić ich tożsamości, dane nie są najwyraźniejsze, ale te, którymi dysponujemy, sugerują, że to jednak Włosi.

- To dobra wiadomość - powiedział ojciec. - Rozpaczliwie potrzebujemy pomocy przy naprawach.

- I nowego nadajnika laselinii - dodał Victor.

- Nawet jeśli Włosi nie mają zapasowego nadajnika, to jestem pewna, że pozwolą nam skorzystać ze swojego. Ale nie dlatego was tutaj poprosiłam. Edimar i Toron wykryli coś jeszcze.

- Drugi statek? - zapytał Victor.

- Nie wiemy, co to jest - rzekł Toron. - Ale moim zdaniem to nie jest statek. - Poruszył rysikiem w holoprzestrzeni i w jej górnym rogu pojawił się punkcik. - Tu jest statek albo to, co uważamy za statek. - Przesunął rysik i po przeciwnej stronie holoprzestrzeni pojawił się drugi punkcik. - Tu są Włosi. - Następny

ruch rysika i między dwoma pierwszymi punkcikami, lecz stosunkowo blisko Włochów, pojawił się trzeci. - A tu wielki znak zapytania. Nie wiemy, co to jest. Wiemy, że jest małe, najwyżej wielkości „El Cavadora”, ale prawdopodobnie mniejsze. Dlatego zobaczyliśmy to dopiero teraz.

- Myślicie, że jest związane z tym obcym statkiem? - zapytał Victor.

- Możliwe. Edimar jest bardziej pewna ode mnie, ale śledziliśmy jego trajektorię kilka godzin i wygląda na to, że obiekt przybył z kierunku, gdzie znajduje się ten drugi statek.

- Może to statek rodzinny albo klanowy, którego ką zblizania się sprawia wrażenie, jakby nadlatywał od tego wielkiego statku - rzekł ojciec Victora. - Spójrzcie na odległości między tymi dwiema niewiadomymi. To dużo przestrzeni. Czemu łączycie je ze sobą?

- Powiedziałam to samo - stwierdziła Concepción. - Ale Toron mnie przekonał.

- Ten obiekt jest o wiele za szybki na statek zbudowany przez ludzi. Namierzaliśmy go w kilku punktach. Porusza się z prędkością przekraczającą co najmniej pięćdziesiąt razy nasze największe prędkości.

Victor się zdziwił. Było mnóstwo statków o wiele szybszych od „El Cavadora”, ale pięćdziesiąt razy szybszych? To niesłychane.

- Może to kometa? - zapytał ojciec. - Albo jakiś inny obiekt naturalny?

Toron pokręcił głową.

- To nie jest kometa. Oko z łatwością rozpoznaje komety. To coś innego. Sztuczny obiekt. Zostawia ślad termiczny.

- Statek zwiadowczy - podsunął Victor. - Ze statku kosmicznego. Ci obcy wysłali zwiadowcę, żeby zapoznał się z okolicą. Dla nich to nowy teren i są ostrożni.

- Możliwe - rzekł Toron. - Ale to by nas stawiało w bardzo niepewnej sytuacji. Załóżmy, że to jest rzeczywiście statek zwiadowczy. Dlaczego zatem kieruje się prosto na Włochów?

- Może potrafi wykrywać formy życia - powiedział Victor.

- Z takiej odległości? - zapytał ojciec. - Wątpię. Ale to chyba możliwe. Skoro niemal osiąga prędkość światła, to co jeszcze

potrafi? Bardziej prawdopodobne jest to, że podobnie jak Oko potrafi wykrywać ruch.

- Włosi się nie poruszają - stwierdził Victor. - Co najmniej od dziesięciu dni stoją w miejscu. Gdyby zwiadowcę przyciągał ruch, leciałby do nas, a nie do nich, bo my się poruszamy. Może znalazł częstotliwość radiową Włochów. Radio to technika. Radio oznacza inteligentne życie. Gdybym w innym układzie planetarnym odebrał fale radiowe, zdecydowanie chciałbym to sprawdzić. Włosi posługują się radiem cały czas. Mają cztery statki. W ten sposób się komunikują.

- A nasze radio nie działa - zauważył ojciec. - Wciąż jeszcze pracuję nad nim.

- Skończ naprawę, lecz niczego nie wysyłaj - zdecydowała Concepción. - Nawet nie rób prób. Zachowamy milczenie, dopóki się nie dowiemy, z czym mamy do czynienia. - Odwróciła się do Torona. - Jak daleko jesteśmy od Włochów?

- Trzy dni.

- A kiedy dotrze do nich ten statek zwiadowczy?

- Już zwalnia. Najprawdopodobniej za półtora dnia, jeśli nie wcześniej. Dotrze do nich długo przed nami.

Victorowi nagle zrobiło się słabo. W stronę Włochów, w stronę Alejandry zmierzał statek, prawdopodobnie statek obcych.

Przez ostatni tydzień starał się nie myśleć o tym, że „El Cavador” leci w stronę Jandy, lecz nie mógł. Zastanawiał się, do którego statku przycumuje „El Cavador”. Czy do „Vesuvio”, statku Jandy? Wydawało się to prawdopodobne; „Vesuvio” był największy spośród nich i było najbardziej prawdopodobne, że na jego pokładzie znajdują się części, których potrzebuje „El Cavador”. A jeśli te dwa statki rzeczywiście się połączą, to czy Janda wejdzie na „El Cavadora”, żeby odwiedzić rodzinę? I czy chciałaby się też zobaczyć z nim?

Odganiał te myśli od siebie i jeszcze bardziej skupiał się na naprawach.

A teraz Toron mówił, że Jandzie może grozić niebezpieczeństwo.

- Biorąc pod uwagę niepewność tej sytuacji, musimy rozważyć najgorszy scenariusz. To mogłby być atak na Włochów. Nie mamy na to żadnych dowodów, ale tylko głupcy by nie wzięli tego pod uwagę. A jeśli tak się stanie, to co mamy robić?

- Lecimy do nich jak najszybciej - rzekł Victor. - I co potem? - zapytał Toron.
- Pomagamy. Walczymy. Cokolwiek trzeba.
- Z dwoma RK? - zapytał pogardliwie Toron. - One ledwie wystarczą do uniknięcia kolizji. Żadną miarą nie moglibyśmy się bronić.
- Tego nie wiemy - powiedział chłopak. - Nie mamy pojęcia o uzbrojeniu tego statku. Dwa RK mogłyby aż nadto wystarczyć, by go zniszczyć.
- Albo i nie. Mogłyby tylko pogorszyć sytuację. Chcesz podjąć takie ryzyko?
- Oczywiście.
Toron wyrzucił ręce w górę, a potem zwrócił się do Concepción.
- Jeśli przyjdzie do walki, nie jesteśmy w stanie wziąć w niej udziału. Nie działa nawet nasz główny generator. Wszystko funkcjonuje dzięki generatorom pomocniczym, które ledwie produkują dość energii dla systemu podtrzymania życia. Wygasiliśmy połowę światła, więc potykamy się w półmroku. Temperatura na pokładzie spadła o dziesięć stopni, bo nie mamy dość mocy dla grzejników. Nie mamy łączności. Do statusu statku unieruchomionego brakuje nam jednego stopnia. Sami nie dajemy sobie rady, a rozważamy przystąpienie do walki? Korporacja po prostu nas załatwiła. Niczego się nie nauczyliśmy?
- To było coś innego - zaproponował Victor. - Zaskoczyli nas.
- Jasne, dopilnuję, żeby obcy przestrzegali rycerskich zasad walki i podczas ataku traktowali nas uczciwie - zadrwił Toron i znowu zwrócił się do Concepción. - Nie jesteśmy w stanie obronić się sami, a co dopiero innych. Rozsądniejsze byłoby zwolnić i odczytywać dane dostarczane przez Oko. Zaczekajmy i zobaczmy, co się stanie, kiedy ten statek dotrze do Włochów.
- Mamy nic nie robić?! - wykrzyknął Victor. Nie wierzył własnym uszom. - Mamy beczynnie patrzeć, jak zwiadowca ich atakuje?
- Nie wiemy, czy to statek zwiadowczy i czy zamierza atakować - rzekł Toron. - I nie będziemy beczynni. Będziemy zbierać informacje, które są nam potrzebne do wyboru najbezpieczniejszego sposobu postępowania.

Victor pokazał na punkcik w holoprzestrzeni.

- Na jednym z tych statków znajduje się twoja córka.

- A na tym moja żona i druga córka. Myślisz, że nie wiem, że tam jest Alejandra? Myślisz, że o tym zapomniałem? Zupełnie dobrze sobie radzę ze śledzeniem miejsc pobytu mojej córki, wielkie dzięki.

- Ciszej mówcie - przerwała im Concepción. - Te ściany nie są dźwiękoszczelne. I uspokójcie się. Wszyscy tu jesteśmy dorośli.

- On nie - powiedział Toron, wskazując Victora. Concepción nie zwróciła na niego uwagi.

- Toron przejawia uzasadniony niepokój, Victorze. Mamy wiele pytań, a odpowiedzialność każe chronić naszą załogę.

- Tak, ale zgadzam się z Vico - rzekł ojciec. - Nie możemy siedzieć i czekać na rozwój wypadków. Gdybyśmy to my znajdowali się tam, a Włosi tutaj, chcielibyśmy, żeby byli z nami, wspierali nas. Proponuję tam lecieć. Mogą nas potrzebować w krytycznej chwili.

- Każdy z tych statków jest szybszy i lepiej wyposażony od naszego - powiedział Toron. - I jest ich cztery. Jeśli włączylibyśmy się do walki, nasz udział byłby minimalny i spóźniony o półtora dnia. Czy naprawdę chcemy zaryzykować wszystko dla czegoś takiego?

- Mamy lepsze osłony od nich - wtrącił chłopak. - To mogłoby się okazać kluczowe.

- I znów opierasz założenia na ludzkiej technice. Kto może przewidzieć, czy ten statek zwiadowczy lub cokolwiek to jest nie ma брони, która może przebić każdy pancierz?

- A gdzie była ta twoja wyobraźnia, kiedy chciałem wszystkich ostrzec? - zapytał Victor. - Przedtem odrzucałeś każdą sugestię, że ten obiekt może być niebezpieczny. Teraz sprawiasz wrażenie przekonanego, że jest zaprogramowany do zabijania.

- Tak jak poprzednio, zachęcam do ostrożności - odparł Toron. - I nie muszę ci się tłumaczyć.

- Dosyć - powiedziała Concepción. - Sprzeczka niczego nie rozwiąże. W gruncie rzeczy skoro ten statek potrafi się poruszać z prędkością pięćdziesiąt razy większą od naszej, to jeśli wywiąże się walka, i tak będziemy w niej uczestniczyć. Ten statek

z łatwością mógłby nas dogonić, nawet jeśli teraz zawrócilibyśmy i zaczęli uciekać. Owszem, możliwe, że nie wie o naszej obecności, ale uważam to za nieprawdopodobne. Należy założyć, że potrafi wszystko to, co my i dużo więcej. - Zwróciła się do ojca Victora.

- Segundo, powiedziałeś, że niektóre RK są gotowe do instalacji.

- Naprawiliśmy trzy z czterech. Do ostatniego potrzebne są części i nie możemy ich zastąpić żadną prowizorką. Planowaliśmy zainstalować te trzy, kiedy tylko dotrzemy do Włochów. Przy obecnej prędkości nie możemy wyjść na zewnątrz.

Concepción spojrzała na Victora.

- A generator?

- Potrzebuję najwyżej jednego dnia. Concepción skinęła głową.

- Nasze działania wobec tego statku zwiadowczego wymagają decyzji Rady. Natychmiast zwołam zebranie. Segundo, zajmij się wszelkimi koniecznymi naprawami. Dopilnuję, żeby twoje poglądy zostały przedstawione Radzie. Toron zaprezentuje dane przekazane przez Oko, a ja zaproponuję zmniejszenie prędkości i instalację naprawionych RK. Potem przyśpieszymy i jak najszybciej dotrzemy do Włochów. Powinniśmy być ostrożni, ale według mnie należy przygotować się na najgorsze i mieć nadzieję na najlepsze.

Narada się skończyła. Victor i jego ojciec ruszyli do maszynowni.

- Toron nie jest twoim wrogiem - tłumaczył ojciec po drodze.

- Może sprawiać wrażenie bezdusznego, ale on naprawdę kocha Alejandrę. Dla niej albo dla tej rodziny zrobiłby wszystko. Lecz jeśli ma wybierać między nimi, zawsze wybierze rodzinę i jest to słuszny wybór.

- To dlaczego zgodziłeś się ze mną?

- Bo gdybyś ty był u Włochów, poleciałbym po ciebie bez wahania. Gdybym musiał, poleciałbym bez żadnych RK i bez generatora, nawet jeśli oznaczałoby to zagrożenie dla wszystkich na pokładzie. To nie jest racjonalne, ale tak bym zrobił.

- W takim razie cieszę się, że to ty jesteś moim ojcem, a nie Toron.

- On nie jest tchórzem, Vico. Jego propozycja, by się tu zatrzymać i poczekać, może się wydawać tchórzliwa, ale taka

nie jest. Znam Torona od dawna. Nie kieruje się instynktem samozachowawczym. Zależy mu na Edimar i Loli, jego żonie, na Concepción, na twojej matce, na mnie i na wszystkich na pokładzie. Nawet na tobie.

- Myślę, że wolałby mnie raczej widzieć wyrzuconego w kosmos.

- Kocha Alejandrę tak samo jak ja ciebie, synu. Gdyby mógł się z nią zamienić miejscami, zrobiłby to w jednej chwili. Jego gotowość oddania jej ślepemu losowi, by ochronić resztę załogi, w moim pojęciu dowodzi większej odwagi niż moja. To jest mądrzejszy wybór. Włosi nie są bezbronni. Poradzą sobie. Trzymanie się na odległość i dbanie o własne bezpieczeństwo jest racjonalne. Dzięki takim ludziom jak Toron ta rodzina wciąż żyje, Vico. Gdybym ja tu rządził, wszyscy zginęlibyśmy już dawno temu. - Segundo położył rękę na ramieniu syna. - Obawiam się, że uczyniłem cię zbyt podobnym do siebie, nierozważnym i upartym. Nigdy w swojej sprawie, lecz dla tych, których kochasz. To dobra cecha. Lecz pewnego dnia może ty będziesz rządził tą rodziną, Vico, a jeśli to nastąpi, będziesz musiał mieć w sobie i coś z Torona.

Victor chciał mu wtedy powiedzieć: „Odchodzę, ojcze. Nie wiem jak. Nie wiem kiedy. Ale nigdy nie będę przewodził tej rodzinie, ponieważ nie mogę zostać. Nie mogę tu sprowadzić żony. Nie mogę tu wychowywać dzieci. Wszystko, co widzę dookoła, przypomina mi o Jandzie”.

Lecz nie powiedział nic. Rodzina go teraz potrzebowała. Jak w ogóle mógł myśleć o odejściu? To było samolubne. A jednak bez względu na to, jak bardzo starał się odciąć od przeszłości, od wspomnień o Jandzie, nie potrafił tego zrobić. Na zawsze była związana z „El Cavadorem” i nic nie mogło tego zmienić, żadne wydarzenie, żaden statek kosmiczny ani atak korporacji. Ojciec oddalił się, zanim Victor znalazł odwagę, by coś powiedzieć. Chłopak zdjął nagolenice i wpłynął do maszynowni. Zastał tam Mono, który wymieniał przepalone obwody.

- Mamy dzień na uruchomienie tego wszystkiego, Mono.

- Powodzenia. To złom. Powinien znaleźć się na złomowisku czterysta lat temu.

- Czterysta lat temu nie było lotów kosmicznych. Poza tym nie mamy wyboru.

Opowiedział Mono o statku zwiadowczym. Prawdopodobnie powinien zachować to w tajemnicy, ale wkrótce miała się o wszystkim dowiedzieć Rada i potem będzie już wiedział cały statek. Z początku Victor się martwił, że ta wiadomość przestraszy Mono. Ku jego zaskoczeniu odniosła skutek wręcz odwrotny i Mono tym bardziej pragnął uruchomić generator.

Pracowali długo po rozpoczęciu pory snu. Kiedy skończyli dwie godziny później, byli wycieńczeni i brudni.

- Włącz go, Mono.

Victor na wszelki wypadek przygotował gaśnicę, a chłopiec włączył prąd. W ciągu ostatnich paru dni kilka razy próbowali uruchomić generator, lecz żadna próba się nie powiodła: odzywało się stukanie, zapalały się części, strzelały iskry. Kilka razy wyłączali prąd zaraz po włączeniu. Teraz jednak generator powoli obudził się do życia. Zamigotał i włączył się ekran do odczytu danych. Silnik zaszumiał, po chwili szum nabrał mocy. Turbiny ruszyły i zawirowały. Żadnego stukania. Żadnych iskier. Żadnego zgrzytu metalu.

Minęło dziesięć sekund. Piętnaście. Ryk turbin narastał. Victor z głośno bijącym sercem obserwował liczby pojawiające się na ekranie. Turbiny osiągnęły moc sześćdziesięciu procent. Siedemdziesięciu. Osiemdziesięciu pięciu. Teraz już wyły, jakby chciały rozsadzić maszynownię. A potem doszły do dziewięćdziesięciu pięciu procent. Victor spojrzał na Mono i zobaczył, że chłopiec się śmieje; nie słyszał tego śmiechu przez ryk generatora, ale ten widok i nagłe uwolnienie całego nagromadzonego napięcia sprawiły, że też się roześmiał. Śmiał się tak długo, że z oczu pociekły mu łzy.

* * *

Victor ubrany w skafander ciśnieniowy czekał w śluzie, żeby statek się zatrzymał. Obok niego stał ojciec i dziesięciu górników; wszyscy patrzyli na potężne wrota. Pośród nich unosiły się trzy naprawione RK, utrzymywane w miejscu za pomocą lin. Victor słyszał, jak na zewnątrz pracują silniki hamujące. Po chwili zgasły i w jego hełmie rozległ się głos Concepción:

- W porządku, panowie. Postarajmy się sprawić szybko. Rada przyjęła zalecenie Concepción: „El Cavador” miał się całkowicie zatrzymać, Victor wraz z ojcem zainstalują

naprawione RK, a następnie statek ruszy pełną mocą do Włochów, wciąż odległych o jeden dzień. Decyzja ta nie została podjęta z łatwością. Matka przekazała Victorowi po fakcie, że głosowanie poprzedziła zażarta dyskusja; wielu ludzi wzięło stronę Torona i opowiedziało się za najwyższą ostrożnością, czyli natychmiastowym zatrzymaniem się i obserwacją przybycia statku zwiadowczego do Włochów z bezpiecznej odległości. Opcja kontynuowania lotu natychmiast po dokonaniu napraw wygrała minimalną większością głosów.

Victor wstukał polecenie do panelu na ścianie śluzy. Rozległ się krótki sygnał ostrzegawczy, a następnie komputerowy głos informujący, że za chwilę otworzą się szerokie wrota ładowni. Ten sam głos odliczył od dziesięciu do zera, wtedy wrota odblokowały się i rozsunęły. Całe powietrze ze śluzy zostało wyssane na zewnątrz i przed górnikami rozciągnęła się gwiaździsta czerń pasa Kuipera.

Natychmiast uaktywnił się wyświetlacz wewnętrznej kabinowej Victora. Na zewnątrz panowała temperatura minus dwieście siedemdziesiąt stopni Celsjusza, lecz zadziałał mechanizm ogrzewający kombinezon. Inne okna z danymi informowały Victora o poziomie tlenu, tętnie, wilgotności panującej w kombinezonie i o parametrach życiowych pozostałych członków grupy. Pojawiła się notatka od matki: „Kiedy wrócisz, będzie na ciebie czekało chili. Uważaj na siebie. Miej oko na ojca. Kocham cię, Patita”.

Segundo wyprowadził grupę na zewnątrz. Ludzie powoli wychodzili na kadłub w butach z magnesami, ciągnąc za sobą pozbawione wagi rozbijacze kamyków. Kiedy wszyscy wyszli ze śluzy, Segundo poprowadził ich do miejsca, gdzie został odcięty jeden z RK. Victor zrobił nowe gniazda do sieci komputerowej i zasilania; teraz zainstalował jedno z nich, a górnicy przytwierdzili do kadłuba nowe płyty montażowe. Następnie Victor wywiercił w nich otwory na śruby i cofnął się, by ojciec wraz z górnikami umieścili nowy RK, wtedy zamocował śruby i podłączył urządzenie do gniazda. Wydał mruganiem potrzebne komendy, by załadować program do lasera i ponownie włączyć go do systemu unikania kolizji.

Dwie godziny później, kiedy skończyli instalować ostatni z trzech laserów, ojciec poprosił ich, by zebrali się w kręgu.

Victor wiedział, że nadejdzie ta chwila. Gabi, żona Marco, poprosiła ojca, by zgodnie ze zwyczajem rozsypał prochy jej męża.

Victor i dziesięciu górników utworzyli w milczeniu krąg i w nabożnym skupieniu złożyli przed sobą dłonie. Ojciec wyjął z torby na biodrze pojemnik i powiedział:

- Jesteśmy gotowi.

Po chwili ciszy odezwał się głos Concepción:

- Jesteśmy na linii, Segundo. Gabi, Lizbet, dziewczynki i ja.

Victor wyobraził sobie rodzinę Marco zebraną wokół któregoś terminalu na mostku. Załoga na pewno zrobiła im miejsce; stała w milczeniu z boku z pochylonymi głowami.

Ojciec przeżegnał się, położył dłoń na pokrywce pojemnika i powiedział:

- *Vaya a Dios, nuestro hermano, y al cielo mas alld de este.* Idź do Boga, nasz bracie, i do nieba poza tym niebem. - Odkręcił pokrywkę i delikatnie potrząsnął pojemnikiem.

Popiół wydobył się chmurą i oddalił od statku, nie rozpraszając się. Ludzie stojący w kręgu powoli przyklękli, przeżegnali się i potórzyli:

- *Vaya a Dios, nuestro hermano, y al cielo mas alld de este.* Klęczeli tak w milczeniu, póki rodzina na mostku nie pożegnała się ze zmarłym.

- *Vaya a Dios, Papito* - powiedziała jedenastoletnia Daniella.

- *Vaya a Dios, Papd* - powtórzyła szesnastoletnia Chench.

Głosy drżały im z emocji i Victor nie mógł tego znieść. Mrugnięciem ściszył głos rozbrzmiewający w hełmie. Nie chciał słyszeć, jak Gabi żegna się z mężem ani jak żegna się z ojcem czteroletnia Alexandria, która prawdopodobnie za rok nie będzie go już pamiętać. Marco zasługiwał na możliwość wychowania swoich córek. A Gabi, owdowiała i załamana, zasługiwała na starość z takim człowiekiem. Wszystko przepadło, bo szczęście tej rodziny zniszczył Lem Jukes.

Victor patrzył na oddalające się prochy, zaskoczony, że z tak wielkiego człowieka może tak mało pozostać.

* * *

Tego wieczoru Victor z ojcem zdemontowali kilka holo-wyświetlaczy, by zdobyć potrzebne części, i naprawili radio.

Zanieśli je do kwatery, którą Concepción dzieliła z trzema innymi wdowami. Kapitan kazała się obudzić, kiedy tylko skończą, i we trójkę zanieśli radio do jednego z obszerniejszych magazynów.

- Sprawdziliście wszystkie częstotliwości? - zapytała Concepción po zamknięciu wjazdu.

- Tylko dwie - odparł ojciec. - Wystarczy, żeby sprawdzić, czy działa.

Kapitan przez podręczny komputer wezwała do magazynu Selmo. Przybył jeszcze zaspany i od razu wziął się do pracy. Wszyscy siedzieli w milczeniu, a on sprawdzał każdą częstotliwość, szukając rozmów. Raz usłyszeli kilka cichych trzasków i urywków mowy, ale przekaz był tak fragmentaryczny, że nic nie zrozumieli.

- Włosi? - zapytała Concepción.

- Możliwe - rzekł Selmo. - Trudno powiedzieć. Sądziłem, że skoro znajdujemy się tak blisko, odbiór będzie lepszy. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że to tylko bzdurki z jakiegoś odległego miejsca.

- Zatem Włosi milczą?

- To dziwne, że nic nie słyszymy - odezwał się Victor. - Mają cztery nadajniki. Powinni ze sobą rozmawiać. Nadal jesteśmy dość daleko, ale nie na tyle, żebyśmy nic nie wyłapali. - Zwrócił się do Concepción. - Kiedy statek zwiadowczy przybył na ich pozycję?

- Osiemnaście godzin temu.

- I nikt jej od tego czasu nie opuścił? - zapytał ojciec.

- Według Oka nie.

- Może statek zwiadowczy wytwarza zakłócenia - podsunął Victor.

- Może - zgodziła się kapitan.

- A może nie nadają, bo nie mogą - powiedział Selmo.

Na chwilę zamilkli. Victor myślał o tym samym. Wszyscy o tym myśleli. Albo coś się stało z wszystkimi czterema nadajnikami Włochów, albo coś się stało z Włochami.

- Kiedy dotrzemy na ich pozycję? - spytała kapitan.

- Za dwanaście godzin - odparł Selmo. Concepción chwilę się zastanawiała.

- Wciąż mamy czas, żeby zawrócić i uciec - rzekł ojciec. - Ja tego nie doradzam. Po prostu mówię, że jeśli teraz zaczniemy zwalniać, moglibyśmy się zatrzymać i zmienić kurs.

- Nie zatrzymujemy się - oznajmiła kapitan. - Wszyscy idziemy się trochę przespać. Zwłaszcza ty i Victor. Nie spaliście od dwóch dni. Selmo, niech ci, którzy pracują dzisiaj na mostku, posprawdzają częstotliwości. Nie mają nadawać, tylko słuchać. Obudźcie mnie, jeśli coś się zmieni.

* * *

Alejandra unosiła się w korytarzu. Miała na sobie białą suknię z cienkiego materiału, ale nie tak cienkiego, żeby Victor coś przez niego widział. Jej rozpuszczone włosy falowały. Pomyślał, że dziwnie ją oglądać w takim stroju. Janda nie miała żadnych sukienek - a już na pewno takich białych, nieskazitelnych i pasujących na nią tak, jakby były uszyte specjalnie dla niej. Janda, jaką znał, nosiła postrzępione i znoszone kombinezony i swetry po innych dziewczynach. Nigdy nie tak nowego, czystego ani kobiecego.

Nigdy też nie rozpuszczała włosów, a w każdym razie nie w korytarzu, gdzie wszyscy mogliby je zobaczyć. Victor widział jej rozpuszczone włosy, kiedy przyszedł do kwatery jej rodziny i zastał uchylone drzwi. W środku matka zaplatała Jandzie warkocz. Victor był zaskoczony, że włosy dziewczyny są takie długie i gęste. Oddalił się natychmiast, zanim ktokolwiek go zobaczył; czuł się niezręcznie, jakby zobaczył coś, czego nie powinien oglądać żaden chłopiec.

Lecz widząc ją teraz, nie miał takich uczuć. Tak powinny wyglądać jej włosy i suknia, tak miał ją oglądać.

Janda uśmiechnęła się do niego i Victor poczuł natychmiastową ulgę. Martwił się, że statek zwiadowczy coś jej zrobił, jakoś ją skrzywdził, a ona tu była. Miał tyle pytań. Co to był za statek zwiadowczy? Czy znalazła wśród Włochów przyjaciół? Czy zauważyła jakichś ewentualnych zalotników, spośród których mogłaby pewnego dnia wybrać męża? Ucieszyło go, że może zastanawiać się nad tym ostatnim pytaniem bez poczucia winy czy straty. Oznaczało to, że już przeboleł rozłąkę, że Janda wciąż jest przyjaciółką, a nie dziewczyną, w której się zakochał. Oznaczało to, że mogą się widywać.

Zaprosiła gestem, żeby podążył za nią, a potem odwróciła się i odepchnęła bosymi stopami. Przemierzali statek. Korytarze były puste. Nie odzywali się. Nie musieli. Jeszcze nie. Byli ze sobą i na razie to im wystarczyło. Często się oglądała i uśmiechała, widząc, że Victor wciąż za nią podąża.

Śluza była otwarta. Wrota ładowni też. Wyłączyli światła. Wszędzie były gwiazdy, milczące i malutkie. Zatrzymali się. Gwiazda za Jandą poruszyła się i zaczęła przemieszczać po niebie w jej kierunku, jakby dziewczyna ją przyciągała, jakby wołała ją do domu. Gwiazda dotarła do Jandy i zniknęła. Inne gwiazdy poszły w jej ślady, najpierw powoli, a potem wszystkie naraz. Janda chyba ich nie zauważała. Wciąż wpatrywała się w Victora.

Wplótł palce w jej włosy. Objęła go w pasie i przyciągnęła do siebie. Miała ciepłe usta.

Ktoś potrząsnął Victorem i go obudził. Chłopak leżał w swoim hamaku. Pochylał się nad nim ojciec.

- Statek zwiadowczy zniknął.

Victor natychmiast wyskoczył z hamaka i razem z ojcem udał się na mostek. Toron wodził rysikiem w holoprzestrzeni nad stołem, rysując linię w poprzek mapy.

- Odleciał dziesięć godzin temu - mówił. - Nie wiedzieliśmy o tym, ponieważ Oko dostarcza nam teraz mętne dane.

- Dlaczego? - zapytała Concepción. Toron wzruszył ramionami.

- Może natrafiliśmy na jakiś pył. Nie wiem. Wiemy tylko tyle, że nie mamy z tego obszaru czystych danych. Kapsuła teraz zmierza w tym kierunku, oddala się od nas, a to dobrze.

- Jaka kapsuła? - zapytał Victor.

- Tak z Edimar nazywamy statek zwiadowczy - wyjaśnił Toron. - Ma kształt, jakiego nie widzieliśmy nigdy przedtem. Bardzo gładki, bardzo aerodynamiczny.

- Są jakieś wieści od Włochów? - zapytał ojciec.

- Nadał nic - odparł Selmo. - Radio milczy.

Było wiele powodów, dla których dane Oka mogły być niewyraźne - każda przeszkoda znajdująca się w przestrzeni, choćby nie wiadomo jak mała, mogła je zniekształcić. Lecz wszystkie powody, o których myślał Victor, wszystkie powody, które wziął

już pod uwagę Toron, wydawały się nieprawdopodobne - prócz jednego. Nie było pyłu między pozycjami „El Cavadora” i Włochów. Pył znajdował się na pozycji Włochów. Tam, gdzie przedtem znajdowały się cztery potężne statki, teraz znajdowało się coś innego, coś, co Oku trudno było zinterpretować, bo nie zgadzało się z żadnym projektem statku znajdującym się w bazie danych Oka. Przemieszczający się pył, wirujące szczątki, nierozpoznawalne grudki stali. Victor nie chciał w to wierzyć. To była zbyt mroczna możliwość. Włochom nic się nie stało. Jandzie też się nic nie stało. Cały „El Cavador” to kupa złomu. Dlaczego mieliby wierzyć Oku? To była jeszcze jedna część statku składającego się z popsutych części i zdezelowanych urządzeń. Mętne dane nic nie znaczyły.

Lecieli jeszcze osiem godzin, ale zanim przybyli na miejsce, Victor wiedział, co tam zastaną. Szczątki czterech statków tworzyły smugę osmalonych śmieci rozrzuconych na szerokość co najmniej dziesięciu kilometrów.

Rozdział 10

Szczątki

Victor szybko podpłynął do szafek w ładowni. Wylądował, otworzył swoją, chwycił skafander ciśnieniowy i zaczął go prędko wkładać. Wszędzie wokół niego uwijali się górnicy - wkładali skafandry, chwyтали sprzęt: haki do wciągarek, zwinięte liny, torby medyczne, hydrauliczny rozszerzacz i nożyce. Victorowi myśli wirowały w głowie. Włosi są martwi. Kapsuła zaatakowała i Włosi są martwi. Janda... Nie, o tym nie chciał myśleć. Nawet nie będzie rozważał takiej możliwości. Ona nie jest martwa. Organizują ekipę poszukiwawczą. Będą szukać ocalałych. Są tam duże fragmenty statków. W niektórych ludzie na pewno przeżyli. Janda tam jest. Może wstrząśnięta, nawet przerażona, wycieńczona, ale żywa.

Kiedy odleciała kapsuła? Osiemnaście godzin temu? To za długo, by przetrwać bez tlenu. Jeśli są rozbitkowie, to muszą mieć maski i mnóstwo zapasowych pojemników z tlenem. Większość takich pojemników starczy na czterdzieści pięć minut, ale może Włosi mieli większe. To możliwe. Poza tym powietrze jest w każdym pomieszczeniu, w którym przetrwali ludzie. A oni na pewno szczelnie je zamknęli. Zamknęli się w jakimś nierozhermetyzowanym pomieszczeniu i czekają na ratunek. Włosi są sprytni. Na pewno przeprowadzali ćwiczenia na takie okazje. Na pewno wszędzie na statku mają sprzęt ratunkowy. Byli przygotowani. Mieli duży zapas pojemników z tlenem i masek. Dla dorosłych i dla dzieci.

Powietrze to niejedyny problem. Potrzebowali ogrzewania. Bez grzejników na akumulatory, kostek grzewczych czy innych źródeł ciepła rozbitkowie zamarzliby na śmierć. To nie potrwałoby długo. W kosmosie zimno jest bezwzględne. Victor się denerwował. Było zbyt wiele zmiennych. Jeśli rozbitkowie są w szczelnym pomieszczeniu, jeśli mają maski i zapasowe pojemniki z tlenem i źródło ciepła, może jest jakaś szansa.

Ktoś gwałtownie otworzył szafkę obok Victora. Jego ojciec. Chwycił swój skafander ciśnieniowy i zaczął pośpiesznie go wkładać.

- Jakie szanse ma człowiek po osiemnastu godzinach? - zapytał Victor. - Pytam poważnie.

- To mogło się zdarzyć więcej niż osiemnaście godzin temu. Kapsuła tkwiła tu dwanaście godzin. Mogła zaatakować natychmiast po przybyciu, a nie tuż przed odlotem. Wtedy byłoby trzydzieści godzin.

Victor już wcześniej się nad tym zastanawiał, ale trzydzieści godzin to za długo. Takie założenie radykalnie obniżało prawdopodobieństwo odnalezienia kogokolwiek żywego, a on nie zamierzał dopuścić takiej możliwości. Poza tym i tak nie wydawało się to prawdopodobne. Po co kapsuła miałaby tam pozostawać po ataku? Szukać oznak życia? Żeby się upewnić, że wykonała zadanie? Nie, bardziej przekonujące jest to, że próbowała nawiązać łączność, obserwować albo skanować. A kiedy próby się skończyły lub nie powiodły, zaatakowała i uciekła.

Ojciec zamknął szafkę i odwrócił się do Victora.

- Jesteś pewien, że dasz radę, Vico?

Victor zrozumiał, o co pyta go ojciec. Tam są martwi. Kobiety. Dzieci. To będzie okropne.

- Nigdy nie widziałeś czegoś takiego. I wolałbym, żebyś nigdy czegoś takiego nie oglądał. To gorsze, niż potrafisz sobie wyobrazić.

- Mogę ci pomóc, ojciec. W sposób, w jaki nie potrafi żaden z tych górników. Segundo zawahał się, lecz po chwili skinął głową.

- Jeśli się rozmyślisz, jeśli będziesz chciał wrócić, nikt nie będzie ci tego miał za złe.

- Wrócę na statek z tobą i z ocalonymi rozbitkami.

Ojciec ponownie skinął głową.

Z wejścia do śluzy spokojnie wykrzykiwał rozkazy Bahzfm, który zastąpił Marco jako szef górników.

- Wewnątrz śluzy niech dwie osoby sprawdzą wasz kombinezon i linę ubezpieczającą. Dwie osoby. Od stóp do głów. Każdy szew. Nie śpieszcie się. Szczątki na zewnątrz są poszarpane i ostre, mogą przebić wasze kombinezony albo węże. Niech luz węża będzie jak najmniejszy. Trzymajcie się swojego partnera. Segundo, ty i Vico będziecie pracować piłami.

Victor wyjął z boksu ze sprzętem dwie piły obrotowe. Poza statkiem były to niebezpieczne narzędzia, ponieważ łatwo mogły przeciąć kombinezon albo linę, lecz ostrza miały dobre osłony, a on i ojciec byli doświadczonymi mechanikami. Zaniósł piły do śluzy.

Z korytarza przypłynął Toron, przemieścił się do śluzy i zatrzymał przy Bahzfnie.

- Idę z wami.

- To zajęcie dla tych, którzy odbyli wiele spacerów w przestrzeni. Przykro mi.

- Umiem to robić.

- Nie masz wystarczającej liczby godzin. Gdyby przestrzeń była czysta, nie miałbym nic przeciwko temu, ale tu jest dużo szczątków. Wszystko może się zdarzyć.

- Tam jest moja córka. Bahzfm się zawahał.

- Została jedna lina ubezpieczająca - rzekł Toron. - Właśnie policzyłem. Macie miejsce dla jeszcze jednej osoby.

- Może pójść ze mną i z Vico - odezwał się ojciec. - Przy pracy będziemy potrzebowali kogoś do trzymania lin z dala od ostrzy.

Bahzfm był niezdecydowany.

- Nie masz kombinezonu, Toronie.

- Może włożyć kombinezon Marco - rzekł Victor. - Są mniej więcej tego samego wzrostu.

Bahzfm westchnął.

- Pośpieszcie się. Za dwie minuty zamykam włącz.

Toron podziękował Segundo i Victorowi skinieniem głowy, a potem szybko włożył kombinezon Marco.

Wpłynęli do śluzy i Bahzfm zamknął za nimi właz. Wszyscy rozwinęli węże z wieszaków rozmieszczonych wzdłuż ścian, przytwierdzili je na plecach swoich partnerów, a potem nałożyli hełmy. Bahzfm wstukał zezwolenie i kombinezon Victora napełnił się świeżym powietrzem. Sprawdzili sobie nawzajem kombinezony i liny ubezpieczające. Bahzfm wstukał kolejne polecenie i wtedy ożył wyświetlacz wewnątrzhełmowy Victora. Pojawił się na nim bezpośredni obraz pobojuwiska, przekazywany za pośrednictwem kamer statku. Ciemność rozcinały reflektory „El Cavadora”; zatrzymały się na chwilę na jakimś fragmencie włoskiego statku, jakby się nad nim zastanawiając i oceniając po jego rozmiarze i kształcie, czy może stanowić schronienie dla rozbitków. Światła przesunęły się dalej. Victora ogarnęło przynębenie. Tyle tych szczątków. Tyle zniszczenia. Jak ma odnaleźć Jandę?

Wkrótce potem pojawiły się pierwsze ciała. Dwa. Mężczyźni. Reflektory zatrzymały się na nich, lecz na szczęście znajdowali się na tyle daleko, że Victor nie rozróżniał ich twarzy. Światła przesunęły się dalej.

Kilka minut później „El Cavadora” znalazł duży fragment złomu. Uruchomiły się silniki hamujące i statek się zatrzymał.

- Uwaga - odezwał się Bahzfm. - Otwieramy wrota. Najpierw wychodzą Chepe i Pitoso. Przeprowadzą szybki skan. Reszta czeka. Jeśli coś wykryją, wchodzimy do akcji.

Otworzyły się szerokie wrota i zapis wideo stał się rzeczywistością. Pogiecie dźwigary, przerwany kanał kablowy, poskręcane rury, rozerwana pianka izolacyjna, zgniecione płyty pokładu i poszycia. Fragment statku został oderwany od kadłuba, a nie czysto odcięty laserem. Victor szukał znaków na poszyciu, które mogłyby świadczyć, że to „Vesuvio”, statek Jandy, lecz żadnych nie było. Bahzfm wydał rozkaz; w jednej chwili Chepe i Pitoso znaleźli się na zewnątrz i szybko popłynęli w stronę fragmentu.

Zbliżyli się do niego od strony zewnętrznej części, gdzie powierzchnia była gładsza i znajdowało się mniej wystających elementów, które mogłyby zawadzić o ich kombinezony lub je rozciąć. Znajdowało się tam kilka okien i Chepe zbliżył się najpierw do nich, kierując do środka światła hełmu. Kilka pierwszych okien szybko minęły, zatrzymali się przy czwartym.

- W środku są ludzie - powiedział Chepe. - Chyba nie żyją. Niektórzy mają maski, ale wyglądają, jakby umarli z niedotlenienia. Musieli jednak przeżyć atak. Widzę, że w pomieszczeniu są ustawione awaryjne grzejniki. Nie dotarliśmy na czas.

- Czy jest z nimi Alejandra? - zapytał Toron. - Widzisz Alejandrę?

- Przez maski trudno rozpoznać twarze. Wielu jest odwróconych w drugą stronę. Poza tym okno jest małe. Nie widzę całego pomieszczenia, zwłaszcza za załomami ścian.

- Może jeszcze żyją. Może są nieprzytomni. Może zdołamy ich ocucić.

Na linii odezwał się kobiecy głos.

- Chepe, tu Isabella. Jestem na mostku. Prześlij obraz z helmu.

Na wyświetlaczu Victora pojawił się obraz z helmu Che-pe'a. Teraz wszyscy widzieli to, co on. W ciemnej przestrzeni unosiły się ciała. Pomieszczenie wyglądało jak sala w koszarach: znajdowały się tam hamaki i skrytki na rzeczy osobiste. Świeące pałeczki dawały nieco światła, lecz prawie już nie świeciły. Światła helmu Chepe'a oświetliły kilka twarzy i Victor od razu się zorientował, że tych ludzi nie da się ocucić. Patrzyli w nicłość otwartymi oczyma. Mężczyźni. Kobiety. Małe dziecko. Victor rozpoznał kilka osób, bo Włosi spędzili z jego załogą cały tydzień. Doskonale pamiętał, że podczas jednego z bankietów na „El Cavadorze” ta kobieta trzymała niemowlę, teraz dziecka koło niej nie było. A jeden z mężczyzn podczas tego samego bankietu śpiewał piosenkę, która wszystkich rozśmieszyła.

- Zastukaj we właz - powiedziała Isabella. - Zobacz, czy ktoś zareaguje. Szukaj ruchu.

Chepe wyjął z torby klucz i mocno nim uderzył we właz. Victor pilnie obserwował. Światła z helmu omiotły pomieszczenie, zatrzymując się na każdej osobie. Chepe znów zastukał. Trzeci raz. Czwarty. Nikt się nie poruszył.

Nie było wśród nich Jandy. Mimo że kilka osób było odwróconych i Victor nie widział ich twarzy, Jandę na pewno by rozpoznał.

- Moglibyśmy ustawić na włazie bańkę i wysłać Chepe'a do środka, żeby sprawdził parametry życiowe tych ludzi - mówiła

Isabella do kogoś na „El Cavadorze”. - Ale to potrwa, a w tej chwili liczy się każda sekunda.

Bańka to była nieduża nadmuchiwana kopuła, którą można było hermetycznie zamknąć nad włazem zewnętrznym. Gdyby Chepe znalazł się w bańce, mógłby otworzyć właz i wejść do środka, nie narażając pomieszczenia na rozhermetyzowanie. Było to dość niebezpieczne, ponieważ wejście do bańki wymagało chwilowego odłączenia węża i przyłączenia go do zaworu umieszczonego na bańce, od którego biegł wewnątrz drugi wąż, przywracający powietrze i zasilanie w kombinezonie. Nawet chwilowe odłączenie węża stanowiło ryzyko.

- Moim zdaniem jest wysoce nieprawdopodobne, żebyśmy znaleźli tam kogokolwiek żywego - powiedziała Isabella. - Proponuję szukać oznak życia gdzieś indziej.

- Zgoda. Wracajcie na statek. Ruszamy dalej - rzekła Conception.

- Tak po prostu odlatujemy? - zapytał Toron.

- Nic nie możemy dla nich zrobić, a może są inni, do których uda nam się dotrzeć na czas.

Wtedy Victor zrozumiał, że jest źle. Ci ludzie przeżyli atak. Wszystkie warunki, które uważał za kluczowe dla przeżycia, zostały spełnione. A mimo to umarli. Wyobraził sobie, jak kulą się wokół grzejnika, tulą do siebie i pocieszają nawzajem. Jak długo żyli? Dwanaście godzin? Piętnaście? Czy wiedzieli, że „El Cavador” nadlatuje? Czy wierzyli, że nadciąga ratunek? Czy może myśleli, że są zupełnie sami, i czekali na nieuniknione?

Zobaczył, że ojciec w geście pocieszenia położył Toronowi rękę na ramieniu. Toron był blady, co dawało się zauważyć nawet w nikłym świetle ładowni.

- Mieli maski i grzejniki - powiedział ojciec. - To dobry znak, Toronie. To znaczy, że mają sprzęt.

- Dużo im nie pomógł - odparł Toron.

Chepe i Pitoso wrócili do służby i statek ruszył dalej. Wrota pozostały otwarte. Zatrzymali się jeszcze dwa razy, a Chepe i Pitoso dwa razy lecieli na poszukiwania. Jeden z wraków był pusty. W drugim znajdowała się olbrzymia dziura, którą zobaczyli dopiero z bliska. Nie było tam żadnych rozbitków.

Statek podjął patrołowanie obszaru zniszczenia. Mijali kolejne ciała. W większości byli to mężczyźni, ale zdarzały się kobiety. Oraz dzieci. Jedno strasznie poparzone. Victor się odwrócił.

Raz zwłoki znalazły się niepokojąco blisko otwartej śluzy i przepłynęły tuż przed nimi. Mężczyzna. Miał, co najwyżej dwadzieścia lat. Jeśli nie był jeszcze żonaty, mógłby ubiegać się o rękę Jandy. Przez jedną straszną chwilę Victor myślał, że ciało wpłynie do środka. Ale statek się nie zatrzymywał i ominął zwłoki.

Nikt się nie odzywał. Kilku górników oglądało się ukradkiem na Torona, żeby zobaczyć, jak to znosi. Na ich twarzach malowało się współczucie. Kiedy minuty rozciągnęły się w godzinę, Victor zaczął tracić nadzieję. Uszkodzenia były zbyt wielkie. Przybyli za późno. Dziewiętnaście godzin to o wiele za dużo. Może gdyby nie zatrzymali się, żeby zainstalować rozbijacze kamyków albo rozrzucić prochy Marco, gdyby przyśpieszyli, zamiast zwolnić...

Nie mogliby przybyć przed atakiem. Nawet gdyby się śpieszyli i nie zwalniali. I co by to dało, gdyby się tu znaleźli wcześniej? Też by zginęli.

Zrównali się z dużym fragmentem zniszczonego statku, największym, jaki dotychczas widzieli. Włączyły się silniki hamujące „El Cavadora”. Victor nie potrafił sobie wyobrazić, że wewnątrz jest ktoś żywy. Poskręcana była cała konstrukcja, nie tylko jej końce. Ponadto żadna z powierzchni nie miała poszycia, co świadczyło, że całość pochodzi głęboko z wnętrza statku.

Podejście było trudne. Ze wszystkich stron chaotycznie wystawały ostre, powyginane dźwigary oraz inne części konstrukcji, całość wyglądała jak zgnieciona puszka naszpikowana żelaznymi cierniami. Chepe i Pitoso spłynęli ostrożnie w dół i okrążyli wrak z pewnej odległości.

- Widzę włącz - powiedział Chepe. - Jest z jednej płyty i nie ma okienka.

- Możesz się do niego zbliżyć na tyle, żeby postukać? - zapytał Bahzfm.

Victor obserwował podejście Chepe'a poprzez jego kamerę. Górnik powoli podpłynął do włączu, trzymając się z dala od poszarpanych dźwigarów.

- Pilnuj jego liny, Pitoso - polecił Bahzfm.

Chepe osiadł na kadłubie przy włazie.

- Ściana wokół włazu jest gładka - relacjonował. - Jeśli będzie trzeba, możemy zainstalować bańkę. - Postukał we właz, a potem przycisnął dłoń do metalu. Gdyby ktoś w środku zastukał w odpowiedzi, Chepe by go nie usłyszał, ale poczułby drgania. Odczekał całą minutę i znów zastukał. - Nic nie czuję.

Bryła dryfowała i obracała się. Jeden z dźwigarów zbliżał się do węża Chepe'a.

- Wycofaj się - polecił mu Bahzfm. - Ten wrak wiruje.

Chepe i Pitoso odepchnęli się od ściany i odpłynęli na niedużą odległość. W polu widzenia ludzi zgromadzonych w śluzie ukazała się niewidoczna przedtem przeciwna strona wraku - płatanina poskręcanych ceowników i zwichrowanej konstrukcji pozginanych i zgniecionych dźwigarów. Za tą siecią zniekształconego metalu znajdował się korytarz, głęboki może na dziesięć metrów, podobny do płytkiej jaskini z na wpół zgniecionym wejściem. Victor zrobił zbliżenie i usiłował dojrzeć, co jest na końcu korytarza.

Zobaczył migotanie światła. Ruch. Korytarz kończył się włazem z okrągłym okienkiem pośrodku. I w tym okienku coś świeciło. Świecąca pałeczka. Ktoś nią machał.

- Tam ktoś jest! - wrzasnął Victor i nim ktokolwiek się zorientował, co robi, przepchnął się do krawędzi śluzy i wyskoczył w przestrzeń.

- Vico, zaczekaj! - krzyknął Bahzfm.

Lecz Victor się nie zatrzymał. Zobaczył tam kogoś. Kogoś żywego.

- Ktoś tam jest!

Wcisnął guzik na kciuku i przemieścił się w stronę wejścia do korytarza. Uchylił się w lewo przed wystającym dźwigarem, a potem w prawo przed kolejnym.

- Zwolnij - powiedział ojciec.

Victor obrócił się, wystawił do przodu nogi i zwolnił. Wylądował umiejętnie na poskręcanych belkach, które zasłaniały wejście do korytarza, a potem postąpił w bok, przykucnął i zajrzał w głąb przez otwór w metalowej sieci, jakby zaglądał do studni. Teraz widział go wyraźnie. Mężczyzna. Okienko we włazie było mniejsze od jego twarzy, lecz człowiek ten wyraźnie żył

i wyglądał na zdesperowanego. Nie miał na twarzy maski, co oznaczało, że albo w ogóle jej nie miał, albo skończył się tlen w pojemnikach. Victor zrobił zbliżenie, włączył nagrywanie i mrugnięciem wydał polecenie wysłania obrazu do wszystkich.

Wywołał natychmiastową reakcję. Bahzfm zaczął wydawać rozkazy.

- Zamocować liny do wraku. Przycumujcie go do nas i unieruchomcie. Nie chcę, żeby wirował. Segundo, ty i Vico odetnijcie złom przy wejściu. Drugich nożyc niech ktoś użyje przy włączu, który znalazł Chepe. Może uda nam się dotrzeć do rozbitków tamtędy. Chepe i Pitoso, okrążcie wrak jeszcze raz i poszukajcie innej drogi do środka. Nando, trzymaj się Segundo i Vico z tabliczką i markerem do komunikowania się z ludźmi w środku. Chcę wiedzieć, ilu przeżyło i w jakim są stanie.

Przy Victorze wylądowali ostrożnie jego ojciec i Toron z piłami i nożycami hydraulicznymi.

- Pewnie usłyszał stukanie Chepe'a - powiedział chłopak. - Mogą być tam inni.

- A my ich wydostaniemy - rzekł ojciec, podając mu piłę. - Spróbuj tym. Jeśli będą problemy, użyj nożyc. Najpierw odetnijmy te dźwigary. - Pokazał belki, przed którymi uchylał się Victor. - Potrzebujemy swobodnego dojścia.

Victor chciał coś powiedzieć mężczyźnie przy włączu. „Jesteśmy tu. Wydostaniemy was stamtąd. Będziecie żyć”. Ale nikt nie mógł się jeszcze przedostać do włączu. Ojciec zajął się dźwigarem po lewej, a Victor - po prawej. Włączył piłę. Zawirowało ostrze.

- Czyste cięcia, jak najbliżej podstawy - poinstruował go ojciec. - Nie śpiesz się.

Ostrze Victora wgryzło się w metal. Nic nie słyszał, ale piłą wibrowała mu w dłoniach. Dziewiętnaście godzin. Ktoś wytrwał dziewiętnaście godzin. Wyglądało, że jest tam dużo miejsca. W środku musiało być więcej ludzi. Może to jest ich wersja fugi, miejsce zbiórki w wypadku zagrożenia. Może udało się tam wiele osób. Miał wrażenie, że ostrze obraca się powoli. Oswobodził je i wyłączył piłę.

- Podaj mi nożyce - poprosił Torona.

Wsunął ostrza na wolne miejsce i włączył hydraulikę. Nożyce działały znacznie szybciej. Z łatwością przegryzały belkę, otwierając się i zamykając jak paszcza wygłodniałego zwierzęcia.

Bahzfm wydawał kolejne polecenia; wysłał na dół następnych dwóch górników z hydraulicznym rozszerzaczem.

Nożyce przecięły ostatnie kilka centymetrów i dźwigar pękł.

- Ostrożnie - powiedział ojciec. - Odepchnij go powoli i nie dotykaj poszarpanej krawędzi.

Ich rękawice miały zewnętrzną warstwę z materiału skóropodobnego i były tak skonstruowane, żeby wytrzymywały intensywne używanie i otarcia, lecz Victor i tak pracował bardzo uważnie. Belka odpłynęła. Nando był na dole przy pajęczynie metalu zasłaniającej wejście do korytarza i pisał coś rysikiem na tabliczce świetlnej. Odwrócił ją w stronę rozbitka, który po chwili przytknął do szkła dziewięć palców. Była to odpowiedź na pytanie „Ilu ludzi?”.

- Dziewięć osób - powiedział Nando.

- Nie odrywaj wzroku od tego, co robisz, Vico. Uważaj -napomniiał syna Segundo.

Victor odwrócił się od wjazdu. Ojciec miał rację. Nie mógł ciąć i jednocześnie obserwować Nando, czy tego człowieka przy wjeździe. Skupił się na przecinanej belce i poprowadził nożyce przez metal. Dziewięć osób. Mało. Włosi mieli prawie trzystu ludzi.

- Piszę palcem na szkle - poinformował Nando. - Po jednej literze. Rusza się powoli. Wydaje się ledwie żywy. Mówi, że potrzebują powietrza.

- Oprócz tego wjazdu, w który stukaliśmy, nie widzę żadnego innego wejścia - powiedział Chepe. - Obejrzeliśmy cały wrak.

- Zapytaj go, czy jest tam Alejandra - poprosił Toron.

- Najpierw zapytaj, czy zdoła dotrzeć do tego zewnętrznego wjazdu - wtrącił się Bahzfm. - Może uda nam się objąć go tunelem cumowniczym. Wtedy by otworzyli wjazd i przepłynęli prosto do nas.

Victor ciął metal, a Nando pisał. Spod nożyc spadały skrawki poskręcanych grodzi i fragmenty okładzin pokładu.

- Kręci głową, że nie - powiedział Nando. - Nie mogą dotrzeć do wjazdu.

- Dlaczego? - zapytał Bahzfm. - Bo zamknęli się w hermetycznym pomieszczeniu czy po prostu nie ma tam żadnego połączenia?

- Nie zmieszczę tego wszystkiego na tabliczce.
- Wymyśl jakiś sposób, żeby o to zapytać.

Nando pisał. Victor pozwolił sobie na zerknięcie w głąb korytarza. Człowiek przy oknie wyglądał na śpiącego. Oczy mu się zamykały.

- On traci przytomność - powiedział Victor.
- Tnij, Vico. Nie rozpraszaaj się.

Chłopak wrócił do pracy. Ciął wściekle, odpychał odcięte kawałki, usiłując zrobić przejście.

- Znów pisze na szkle. S... Z... Y...
- Szyba? - podsunął Bahzfm.
- Szybciej - domyślił się Chepe. - Mówi, żebyśmy się pośpieszyli. Nie mają powietrza. Odpływa. Tracimy go.

- Musimy w tej chwili dostarczyć im powietrze! - zawołał Toron.
- Chepe, razem z Pitoso zamontujcie bańkę nad tamtym włazem - polecił Bahzfm. - Weźcie dziewięć masek i pojemniki z tlenem. Macie znaleźć inną drogę do tych ludzi i jak najszybciej dostarczyć im powietrze.

Victor walczył z grubym dźwigarem. Wciąż było tyle do przecięcia, tyle pracy. Nie zdążymy, uświadomił sobie. Mamy dziewięć osób w odległości zaledwie kilkudziesięciu centymetrów i nie dotrzemy do nich na czas.

* * *

Chepe wystrzelił z wraku w górę, obracając się tak, że jego wąż z łatwością omijał wystające elementy konstrukcji. Ochrona węża była najważniejszym czynnikiem spaceru w przestrzeni kosmicznej, a zwykle zapominali o niej nowicjusze. Wszystkim zawsze tak bardzo się śpieszyło, że żalowali czasu na oglądanie się do tyłu. A to był błąd. Jeśli chciało się uniknąć rozdarć, zagięć i węzłów, trzeba było „nie spuszczać węża z myśli”, jak brzmiało powiedzenie.

Właz znajdował się z przeciwnej strony wraku, więc Chepe popłynął prosto w górę na wysokość równą, co najmniej dwukrotnej odległości do włazu i zaczął schodzić w dół, poruszając się jak zwykle po łuku. Większość nowicjuszy zakłada, że najlepszą drogą między dwoma punktami jest linia prosta, lecz Chepe

wiedział lepiej. Najlepsze są wysokie łuki. Unika się wtedy przeszkód, o które może zahaczyć lina ubezpieczająca.

Obok Chepe'a pojawił się Pitoso; poruszał się po równoległym łuku, a ich liny ciągnęły się za nimi niczym paraboliczny ogon. Zbliżywszy się do poszarpanego metalu otaczającego właz, zwolnili w tej samej chwili. Kiedy tylko wylądowali, Pitoso wyjął z torby sflaczałą bańkę, a Chepe pomógł mu rozpostrzeć ją nad włazem. Przybył tam też jeszcze jeden górnik, Bulo, z torbą pełną masek i pojemników z tlenem, które Chepe wsunął pod bańkę. Następnie sięgnął do tyłu i odłączył linę ubezpieczającą. Jego kombinezon się wyłączył. Zamilkł komunikator. Zniknął wyświetlacz wewnątrzhełmowy. Chepe wszedł pod materiał bańki, znalazł linkę wyzwalającą i szarpnął. Bańka rozděła się w przezroczystą kopułę, która przywarła szczelnie do kadłuba z Chepe i maskami w środku. Pitoso podłączył wąż kolegi do zewnętrznego zaworu na bańce, a Chepe podłączył wewnętrzny wąż do swojego kombinezonu. Wróciło zasilanie, razem z nim świeże powietrze i ciepło.

- Jestem gotowy - oznajmił Chepe.

- Ruszaj - polecił Bahzfm.

Chepe zdjął z włazu osłonę awaryjną, by dostać się do ręcznego zamka kołowego, chwycił za koło i chciał je przekręcić. Początkowo się z nim mocował, ale nagle koło się poluzowało i potem już kręciło się łatwo. W końcu zamek odskoczył i Chepe powoli uniósł klapę. Nie poczuł pędu powietrza, ale jeszcze sprawdził czujniki na nadgarstku.

- Za włazem nie ma powietrza. Wewnątrz musi być jakiś przeciek.

- No to nie potrzebujemy bańki - stwierdził Bahzfm. - Zdejmijcie ją.

Chepe znalazł zawór zwalniający i pociągnął za rączkę. Z bańki zeszło powietrze i górnik przytwierdził sobie linę do pleców kombinezonu. Pomieszczenie, do którego prowadził właz, było ciemne i zagracone unoszącymi się różnymi szczątkami. Chepe wpłynął do środka, wzmocnił światło reflektora umieszczonego na hełmie i zobaczył...

Twarz martwego mężczyzny kilka centymetrów od swojej twarzy. Rzucił się do tyłu. W ostrym świetle twarz była wychudła

i blada. Zmarły miał zamknięte oczy, półotwarte usta, w pasie przewiązany był fartuchem. Miał ponad pięćdziesiąt lat. I nie miał maski.

- Odepchnij go na bok - poradził Pitoso, który wpłynął przez właz. - Musi ich być tu więcej.

Chepe oparł się stopami o ścianę i pchnięciem w pierś posłał martwego w ciemność.

Pito wysunął się do przodu, rozgarniając różne przedmioty unoszące się w próżni.

- To kuchnia - powiedział.

Pomieszczenie było duże, miało dwadzieścia metrów na dwadzieścia. Teraz jednak ledwie przypominało kuchnię. Wszystkie ściany były lekko pochylone, skrzyżowane w wyniku ataku w jedną stronę, przez co tworzyły dziwne kąty i rzucały dziwne cienie. Podłoga to lekko się wznosiła, to opadała. Garnki, żywność, sprzęty kuchenne unosiły się wokół. Ze ścian sterczały przewody, rury, wsporniki.

- Znajdźmy jakąś inną drogę do rozbitków - rzekł Pitoso. Poruszali się ostrożnie, powoli, lekko dotykając przycisków napędu. Po drodze odgarniali na boki sztucce, pojemniki z produktami sypkimi, jakieś pudełka. Z prawej podpłynęło jeszcze jedno ciało. Kobieta w fartuchu.

- Widzę właz - powiedział Pitoso.

Chepe spojrzął za wyciągniętą ręką kolegi i zmartwiał. Rzeczywiście mieli przed sobą właz, lecz nie można było tam dotrzeć. Cała podłoga została rozdarta i wygięta do góry, pokrzywione wsporniki i płyty blokowały dolną część wjazdu. On sam wyglądał na nieuszkodzony, lecz dotarcie do niego i zrobienie ścieżki szerokiej na tyle, by dało się go otworzyć, zajęłoby kilka godzin, jeśli nie cały dzień. Jednak większy problem stanowiła powgniatana w wielu miejscach ściana wokół wjazdu.

- Nie dostaniemy się tędy do ludzi - stwierdził Chepe. - Nie ma mowy, żebyśmy mogli zainstalować bańkę nad tym włazem, nawet jeśli wytniemy wszystkie zniszczone elementy. Spójrz na tę ścianę.

Pitoso powiódł reflektorem wzdłuż krawędzi wjazdu.

- No to musimy znaleźć inną drogę.

Nie było jej. Okrążyli całe pomieszczenie. Znaleźli magazyny i jeszcze jeden włącz, ale prowadził na korytarz, którego ściany były całkowicie zgniecione, a poza nimi i tak znajdowała się próżnia kosmiczna.

- Nic nie mamy - powiedział Chepe. - Do rozbitków można dotrzeć jedynie zablokowanym korytarzem, w którym pracują Vico i Segundo.

- A więc mamy kłopot, bo nawet jeśli uda się dostarczyć im powietrze, nie ma jak tych ludzi stamtąd wydobyć - rzekł Pitoso.

- Cofnijcie się - polecił Victor. - Odcinamy ostatnie kawałki. Nando i Toron cofnęli się od przejścia, a Victor z ojcem odcięli ostatnie fragmenty dźwigarów. Można było się dostać do korytarza, lecz nie oznaczało to jeszcze końca prac. Wejście wciąż było za wąskie, by ktokolwiek się tamtędy przecisnął do włączu; kiedy ten fragment statku odrywał się od reszty, jego ściany zostały zgniecione.

- Dajcie tu rozszerzacz - powiedział Bahzn. - Trzeba poszerzyć to wejście, ile się tylko da.

Victor i jego ojciec ustąpili miejsca górnikom, którzy umieścili końce rozszerzacza na przeciwległych ścianach wejścia i uruchomili hydraulikę. Po kilku minutach, które wydawały się wiecznością, można było się dostać do korytarza. Victor nawet nie czekał, żeby górnicy zabrali rozszerzacz. Zanurkował pod nim i popłynął do włączu.

Przez okienko widział ludzi. Ci, którzy się poruszali, wyglądali, jakby zaraz mieli zasnąć.

- Widzisz innych? - zapytał ojciec, zatrzymując się za Vic-torem.

- Widzisz Alejandrę? - zapytał Toron.

- Nie. Ale nie widzę wszystkich. Niektórzy żyją. Ledwie. - Odwrócił się do ojca. - Musimy im natychmiast dostarczyć powietrze.

-Jak?

Wzdłuż ściany biegło kilka rur. Victor zidentyfikował je po kształcie i typie. Słodka woda. Ścieki. Prąd. Powietrze. Rura doprowadzająca powietrze przechodziła przez ścianę obok włączu.

Po drugiej stronie znajdował się zawór. Gdy korytarz się rozhermetyzował, układ awaryjny na pewno automatycznie go zamknął, żeby powietrze z pomieszczenia nie uchodziło przez rurę przeciętą na korytarzu.

- Jeśli ktoś w środku otworzy zawór powietrza, możemy podłączyć jeden z naszych węży do rury i przesłać im świeże powietrze.

- Odłączyć czyjegoś węża? - zapytał ojciec.

- Inaczej oni umrą - odparł Victor. - Kiedy przecinaliśmy ten złom, oglądałem przekaz z kamery Chepe'a. Nie można się do nich dostać żadną inną drogą.

- On ma rację - powiedział Bahzín. - Jeśli nie dostarczymy im powietrza, umrą. Ale nie chciałbym przecinać czyjegoś węża.

- Masz lepszy pomysł? Słuchamy - rzekł Victor.

- Nie mam.

Victor spojrzał na ojca.

- Pora na decyzję. Ojciec się wahał.

- Dobrze, ale użyjemy mojego węża.

Toron zaglądał do pomieszczenia przez szybkę we włączniku.

- Odsuń się, Toronie. - Victor odepchnął go i zajrzał przez okienko. - Proszę. Po drugiej stronie. Po prawej. Jest jeszcze jeden zawór. To znaczy, że znajduje się tam jeszcze jedna rura. Trzeba napęłnić to pomieszczenie powietrzem. Dwie liny będą musiały wpompować sto razy tyle, ile dostarczają nam teraz. Weź Nando i poszukajcie rury prowadzącej do tamtego zaworu. Zostaw tabliczkę świetlną. My z Toronem zajmujemy się tą rurą.

Ojciec zajrzał przez okienko, spostrzegł zawór i ocenił, gdzie po drugiej stronie wraku może znajdować się odpowiednia rura. Odwrócił się do Victora.

- Nie podoba mi się to.

- Mnie też. Ale raczej nie mamy czasu, żeby to omówić, prawda?

Ojciec westchnął.

- Bądź ostrożny.

Oddalił się razem z Nando. Victor podał Toronowi klucz francuski, który wyjął ze swojej torby.

- Uderz we właz. Zwróć na siebie czyjaś uwagę. Muszą otworzyć ten zawór.
Toron zaczął walić kluczem w metal. Victor piłą przeciął rurę i odgiął ją od ściany.

- Wraca - powiedział Toron. - Ten sam rozbitek, co przedtem. Wrócił. Ale wygląda jak nieprzytomny.

- Anoksja. Brak tlenu. Dezorientacja. Upośledzenie myślenia. Pisz na tabliczce. Każ mu otworzyć zawór. Uderzaj we właz, żeby nie zasnął.

- Nie mogę walić i jednocześnie pisać.

Victor wziął od niego klucz i uderzył we właz. Toron uniósł zapisaną tabliczkę.

- Otwórz zawór - powiedział.

Mężczyzna przeczytał słowa i zmarszczył brwi.

- Nie rozumie - stwierdził Toron.

- Pokaż mu ręką, gdzie jest zawór.

- Nie widzę go.

- Jest po prawej stronie wjazdu. Po naszej prawej. Po jego lewej. Wtopiony w ścianę.

- Tam - powiedział Toron, pokazując kierunek. - Popatrz tam. Widzisz zawór?

Mężczyzna podążył wzrokiem za palcem Torona, lecz zaraz zamrugął, zdezorientowany, jakby pękła ostatnia nić zrozumienia. Nie potrafił skupić wzroku.

Toron uderzył pięścią we właz.

- Otwórz ten cholerny zawór!

Mężczyzna potrząsnął głową i znów zamrugął. A potem doszedł do siebie, jakby w jego mózgu zaskoczyło jakieś połączenie, i zobaczył zawór. Sięgnął po coś poza polem widzenia ratowników.

- Zrobi to - powiedział Toron.

- Zakryj dłonią koniec tej rury, żeby, jeśli otworzy zawór, zanim będziemy gotowi, nie uciekło ani trochę ich powietrza.

Toron przycisnął dłoń do otworu.

- Bahzfmie, jak tylko Toron ci powie, zwiększ do maksimum ilość powietrza dostarczaną moim węzem, daj tyle tlenu, ile da się wpompować.

- Jesteśmy gotowi - odparł Bahzfm. - Ale zdajesz sobie sprawę, że odcinasz sobie powietrze?

Victor uruchomił pilę.

- Nic mi nie będzie. Już to robiłem.

To była tylko częściowa prawda. Podczas ataku statku korporacji stracił zasilanie, ale nigdy nie stracił całego węża. Nie przytrafiło się to nikomu. A w każdym razie nikomu, kto by to przeżył i później o tym opowiedział.

- Użyj mojego węża - powiedział Toron i sięgnął do tyłu, by go odłączyć, lecz Victor był szybszy; trzymał już dłoń na zatrasku własnego skafandra.

Przycisnął go i odczepił wąż. Zawór bezpieczeństwa zamknął się, żeby kombinezon nie stracił powietrza jak balon. Wyłączyło się zasilanie. Zgasł wyświetlacz. Zamilkły rozmowy. Victor słyszał teraz tylko własny oddech. Pociągnął wąż do przodu i przeciął go, przyciskając do piły. Odrzucił odciętą głowicę i mocno chwycił obiema rękami wąż ciągnący się do statku. Wewnątrz węża biegło kilka przewodów. Victor nożem rozciął osłonę wzdłuż, uważając, by nie zahaczyć o przewód powietrza, a następnie ściągnął osłonę w dół i uwolnił go spod innych węży, dostarczających ciepło, prąd i łączność. Wyjął z torby dwa zaciski szersze od węża z powietrzem i nasunął na niego. Potem skinął na Torona, by zabrał rękę. Przyłożył wąż do rury, szybko dopasował zaciski i dał Toronowi znak, by przekazał polecenie rozbitkowi.

Wąż zesztyniał pod wpływem zwiększonego ciśnienia. Tylko czy powietrze przedostawało się do rozbitków, czy zatrzymywał je zawór? Czy ten człowiek go otworzył, a jeśli tak, to czy do końca? Victor zajrzał przez okienko. Zobaczył, że kilka osób się poruszyło, jakby usłyszały świst powietrza.

- Chyba działa - powiedział Victor, ale oczywiście nikt go nie usłyszał.

Wtedy zdał sobie sprawę, że zmarzły mu dłonie i stopy. Osłona hełmu zachodziła mgłą. Powietrze w kombinezonie było nieświeże. Poczuł nacisk na plecach i kombinezon ożył. Do środka wlało się powietrze. Zrobiło się cieplej. Zamigotał wyświetlacz. Tylko że to nie był jego wyświetlacz. Wszystkie okienka z danymi znajdowały się w niewłaściwych miejscach. Odwrócił się i ujrzał

za sobą Torona; to on dał Victorowi swój wąż. Rozległ się głos Bahzfma:

- Powietrze płynie do pomieszczenia, Victorze. Zawór jest otwarty. Dobra robota.

- Victorze, ojciec przygotował drugi wąż - powiedział Nando. - Wyślij kogoś na drugą stronę, żeby otworzył ten zawór.

Chłopak odwrócił się do okienka. Kilka osób zebrało dość sił, by zgromadzić się przy włączu, i oddychało świeżym powietrzem. Victor napisał coś na tabliczce, a potem uderzył we włącz. Do okienka podeszła młoda kobieta, przeczytała tekst i skinęła ze zrozumieniem głową. Popatrzyła tam, gdzie pokazywał Victor, zobaczyła zawór i ponownie skinęła głową. Sprawiała wrażenie pozbawionej życia, ale odepchnęła się od podłogi i popłynęła do przeciwległej ściany. Położyła dłoń na zaworze i obróciła ją. Mimo słabości nie poddawała się i zawór w końcu ustąpił. Wpadające przez niego powietrze przegarnęło na bok jej włosy. Kobieta odetchnęła głęboko, zamknawszy na chwilę oczy, a potem schowała twarz w dłoniach i wybuchła szlochem. Czy płakała z ulgi, że przeżyła, czy z żalu nad tymi, którym się to nie udało?

- Toron będzie się dzielił z tobą swoim węzem, dopóki obaj nie znajdziecie się z powrotem na statku - rzekł Bahzf. - Masz się znaleźć w śluzie. Na zewnątrz nie może przebywać nikt bez liny ubezpieczającej.

- Jak wydostaniemy tych ludzi? - zapytał Victor.

- Zastanawiamy się nad tym. Tunel cumowniczy jest za szeroki, nie zmieści się w korytarzu. Czy twoim zdaniem moglibyśmy przymocować do niego bańkę? Włożylibyśmy do niej kombinezony. Wtedy ci ludzie otworzą włącz, ubiorą się i do nas przylecą.

Victor przyjrzał się ścianie wokół włączu.

- Tu jest za wąsko. A nawet gdybyśmy użyli rozszerzacza, ściana jest zbyt uszkodzona, żeby utrzymać szczelność. A gdybyśmy wciągnęli ten wrak do śluzy? Wypełnimy ją powietrzem, a oni otworzą włącz i wyjdą.

- Wrak jest o wiele za duży - odparł Bahz.

- No to potnijmy go jednym z RK. Odetnijmy wszystkie rozhermetyzowane pomieszczenia i zachowajmy tylko to

z rozbitkami. Jeśli odetniemy wystarczająco dużo, może uda się go wcisnąć do śluzy.

- Cięcia laserem wokół tych ludzi? - odezwała się Conception. - To bardzo niebezpieczne.

- Bulo ma wprawę - rzekł Victor. - Gdyby chciał, mógłby wypisać na kamyku swoje imię.

- Mogę to zrobić - wtrącił się Bulo, który wszystko słyszał. - Jeśli statek będzie w bezruchu i przymocujemy wrak w taki sposób, żeby się nie poruszał, z łatwością odetnę niepotrzebne części.

- Jak myślisz, Segundo? - zapytała Concepción.

- Nie widzę lepszego wyjścia. Lecz przymocowywanie, odcinanie, wciąganie do śluzy zajmie mnóstwo czasu. Co najmniej pięć godzin. A może być więcej rozbitków potrzebujących natychmiastowej pomocy. W ten sposób właściwie kończylibyśmy poszukiwania.

Victor obserwował Torona, który tkwił przy włączu z tabliczką świetlną. Napisał coś, czego chłopak nie widział, i pokazał mężczyźnie po drugiej stronie okienka. Ten przeczytał tekst i pokręcił głową. Toron wypuścił tabliczkę z ręki i odwrócił się od włączu. Tabliczka odpłynęła i Victor zobaczył jedno słowo: „Alejandra?”.

Rozdział 11

Szybkostatek

Przed opuszczeniem wraku Victor z powrotem podłączył wąż do kombinezonu Torona, który nie sprzeciwiał się ani nie odgrywał bohatera. Rozumiał, że jeśli obaj mają dotrzeć bezpiecznie do śluzy, muszą się wężem dzielić. Podziękował Victorowi kiwnięciem głowy, ale było widać, że myśli o czymś innym. Zniknęła nadzieja na odnalezienie Jandy żywej i na twarzy Torona malowała się rozpacz.

Ponieważ dzielili się liną ubezpieczającą, nie mogli się komunikować i Victor przyjął to niemal z ulgą. Co miałby powiedzieć? „To moja wina, że Janda się tu znalazła. To moja wina, że zginęła”. I taka była prawda. Gdyby nie Victor, Rada nie odesłałaby Jandy ze statku. Dziewczyna byłaby na „El Cavadorze”. Cała i zdrowa.

Wypłynął z korytarza wraku, a Toron podążył za nim. Jako że Victor nie mógłby wezwać pomocy, gdyby jej potrzebował, rozsądne było puścić go przodem, żeby Toron go widział. Większość poszarpanego metalu otaczającego wejście do korytarza została usunięta, ale Victor zdziwił się, że tyle go jeszcze zostało. Wpływając tu tak szybko, postąpił niebezpiecznie i lekkomyślnie. Myślał jednak wtedy o Jandzie. Trzymał się nadziei, że dziewczyna żyje i czeka tu na ratunek. Teraz wiedział, że nie czekała.

Poczuł na ramieniu dłoń. Toron już podłączał węża do jego kombinezonu. Wyglądał na wzburzonego. Rzucił się w stronę

statku, a Victor podążył za nim. W jego hełmie rozbrzmiewały rozmowy.

- Nie mamy wyboru, Toronie - mówił Bahzn.
- Tu nie Toron, tylko Victor. Właśnie dał mi swój wąż. Co się dzieje?
- Sprzeciwia się zawieszeniu poszukiwań następnych rozbitków - wyjaśnił ojciec.
- Mówi, że może tu jeszcze być wielu ludzi czekających na ratunek.
- Ma rację - stwierdził Victor. - To możliwe.
- Nieprawdopodobne - rzekł Bahzn.
- Ale możliwe - powiedział ojciec.

Toron wylądował w śluzie, Victor tuż za nim. Ojciec i Nando też się do niej zbliżali; też dzielili się jednym węzem. W śluzie wrzało. Zespół górników obsługiwał wielkie wciągarki, nawijając liny, które już zostały przymocowane do wraku. Chodziło o doprowadzenie go blisko RK, żeby cięcia były niezwykle precyzyjne.

Statek miał ograniczoną liczbę dłuższych lin ubezpieczających, lecz na ścianie wisiało kilka krótkich do pracy w śluzie. Toron chwycił jedną z nich, podłączył do kombinezonu i zbliżył się do Bahzma.

- Chcę wyjść na zewnątrz. Nie zostanę tu na czas oswabadzania tych ludzi. Chcę szukać, choćbym miał to robić sam.

- Nie możesz opuścić statku bez węża.
- Mogę podłączyć do wtyczki węża regulator awaryjny i podpiąć pojemniki z powietrzem. Już tak bywało. To mi da wystarczającą ilość powietrza.
- A co z ogrzewaniem? Zamarzniesz na śmierć.
- Wezmę akumulator. Da mi dość ciepła i prądu na kilka godzin.

Bahzn pokręcił głową.

- Nie mogę ci na to pozwolić.
- Tam jest moja córka. Zapewne martwa, ale może jeszcze żyje. I dopóki istnieje szansa, że odnajdę ją żywą, dopóki istnieje choć cień takiej szansy, dopóty nie będę tu siedział bezczynnie. Jeśli chcecie zostać i pomóc tym ludziom, świetnie. To wasz wybór. Gdyby to zależało ode mnie, odciąlibyśmy ich i poszukali Alejandry.

- Nie mówisz tego poważnie.
- Gdyby to była twoja córka, zrobiłbyś tak samo. Podszedł do nich Segundo.
- Zastanów się, Toronie. Wszyscy kochamy Alejandrę. Wszyscy chcemy nadal jej szukać, ale musimy przestrzegać zasad bezpieczeństwa. Jeśli zabierzesz się do tego pochopnie, istnieje duże prawdopodobieństwo, że zginiesz. Pomyśl o Loli. Nie może stracić córki i męża.

- Nie mów tak, jakby Alejandra już nie żyła. Nie wiemy tego.
- W porządku, zostawmy rodzinę i pomyślmy o tym praktycznie. Nie dasz rady wziąć tyle sprzętu. Potrzebowałbyś kilkunastu pojemników z powietrzem. I dodatkowych pakietów napędowych. Akumulatora, żebyś miał ciepło i zasilanie. No i sprzętu ratowniczego. Rozszerzacza, nożyc, piły, bańki. Zamierzasz wziąć to wszystko?

- Jeśli będę musiał.
- Nie dasz rady. To za dużo dla jednej osoby. Za dużo dla pięciu osób. A co byś zrobił, gdybyś kogoś znalazł? Nie dasz rady nikogo sprowadzić na statek.

- Mogłbym utrzymywać go przy życiu, aż byście po nas przylecieli.
Bahznn westchnął.
- Nikt z nas nie chce opóźniać poszukiwań, Toronie. Nie możemy jednak opuścić tych rozbitków. Kiedy tylko odetniemy złom i wciągniemy ich do środka, zaczniemy szukać dalej.

- To potrwa długie godziny. Tych ludzi dzieliło od śmierci parę minut. Dotarliśmy do nich w ostatniej chwili. Jeśli jest więcej rozbitków, nie przeżyją kolejnych pięciu godzin.

Bahznn i ojciec wymienili spojrzenia. Było oczywiste, że szanse znalezienia kolejnych rozbitków maleją z każdą minutą. Segundo westchnął.

- To nic by nie pomogło, Toronie. Spójrz na te dryfujące szczątki statku. Ciągają się całymi kilometrami we wszystkich kierunkach. Nie da się zbadać tak wielkiego obszaru w kombinezonie z napędem.

- Mogłby wziąć szybkostatek - podsunął Victor. Wszyscy odwrócili się do chłopaka, który całej rozmowie przysłuchiwał się z boku.

- Szybkośćatki służą do przewożenia ładunków - powiedział Bahzfm. - Nie są przystosowane do przewożenia ludzi.

- To nie znaczy, że człowiek nie może wejść do środka. Byłoby tam dużo miejsca na sprzęt ratowniczy, pojemniki z powietrzem i akumulatory.

Bahzfm pokręcił głową.

- Nic by z tego nie wyszło. Szybkośćatki są zaprogramowane do bezpośredniego lotu na Lunę.

- Wszystkie szybkośćatki mają dwa programy - sprostował Victor. - My używamy tylko tego, który kieruje je na Lunę i zawiaduje rakietami, programu do lotu dalekiego zasięgu. Jest drugi program, STELU, czyli Sterowanie Lunarne. Kiedy szybkośćatek dociera na Lunę, STELU wyłącza pierwszy program i ostrożnie prowadzi szybkośćatek do portu. Korzysta z lekkiego układu napędowego i akumulatora. Nie obsługuje rakiet. Nie używaliśmy go wcześniej, bo nie było takiej potrzeby.

- Nie używaliśmy go, bo nie potrafimy go uruchomić - rzekł Bahzfm.

- Ja potrafię. Kilka razy naprawiałem szybkośćatki. Grzebałem w ich oprogramowaniu. Możemy też sterować szybkośćatkiem ręcznie.

Bahzim znów pokręcił głową.

- Akumulatory nie mają dużej pojemności. Są przeznaczone do wprowadzenia statku do portu, do krótkiego lotu, a nie do patrolowania chmury szczątków. Jeśli akumulator się wyczerpie, nie będziesz mógł włączyć silników hamujących. Polecisz w niebyt. Poza tym Toron nie umie kierować szybkośćatkiem.

- Nie musi - powiedział Victor. - Ja pokieruję. Wszyscy zwrócili spojrzenia na niego.

- To nietrudne. Wręcz proste. Ojcie, wiesz, że potrafię to zrobić. Widziałeś, jak majstrowałem przy programie. Nawet nie musiałbym opuszczać szybkośćatku. Wychodząc na zewnątrz, żeby sprawdzić jakiś wrak, Toron miałby na sobie uprząż połączoną ze statkiem. Nie byłby sam, byłby połączony z kimś, kto może wrócić z nim na „El Cavadora”, gdyby coś poszło źle. Akumulator to też nie problem. Umiem monitorować zapas energii, nie zużyję całej i zostawię tyle, by się zatrzymać i wrócić na statek. Potrafię to zrobić.

Mężczyźni patrzyli po sobie. W końcu odezwał się Segundo:

- Nie mogę ci pozwolić, Vico. To zbyt niebezpieczne. Jeśli ktoś ma polecieć tym szybkostatkiem, ja to zrobię.

- Znam program lepiej od ciebie, ojcie. To nie twoja wina. Nie miałeś powodu zajmować się czymś, czego nie używamy. Ja się tym bawiłem z ciekawości. Będzie o wiele bezpieczniej, jeśli ja polecę.

- Przykro mi - rzekł Bahzim. - Nie wątpię w twoje umiejętności, Vico, ale nigdy tego nie ćwiczyliśmy. A w tej chwili moim zadaniem jest ochrona naszej rodziny.

- Alejandra też należy do rodziny. Tak jak Faron. Odlecieli z Włochami, ale nadal są naszymi bliskimi krewnymi.

Bahzim zamyślił się głęboko. Spojrzał na ojca, który wyraźnie wciąż był niepewny.

- Przynajmniej pozwólcie mu spróbować - prosił Toron. - Pozwólcie mu pokazać, że umie latać szybkostatkiem. Albo niech spróbuje to zrobić Segundo. My trzej nic już nie zdołamy zrobić dla odnalezionych rozbitków. W tej chwili górnicy mają tam zajęcie. Jeśli Victor twierdzi, że to jest możliwe i bezpieczne, nie możesz mi odbierać szansy uratowania córki.

- Słuchasz tego, Concepción? - zapytał Bahzim.

- Każdego słowa - odpowiedziała kapitan, która wciąż znajdowała się na mostku. - Nie mogę uchylić decyzji Segundo. To on decyduje, czy Victor poleci. Ale jeśli istnieje sposób na znalezienie jeszcze jakichś rozbitków, powinniśmy go wypróbować.

Ojciec Victora zastanawiał się dłuższą chwilę.

- Dwa warunki - powiedział wreszcie. - Pokaż mi, że potrafisz tym latać. I ja lecę z tobą.

* * *

Szybkostatki dokowały w tylnej ładowni. Victor i Toron wyprowadzili jeden na zewnątrz i chłopak ulokował się w miejscu, które miało służyć za kabinę pilota. Podłączył swój komputer podręczny do komputera statku i znalazł program Sterowanie Lunarne. Ponieważ szybkostatek był automatyczny, nie było żadnych przyrządów pilotażowych i Victor opracował metodę podawania odpowiednich komend bezpośrednio do programu

przez wpisywanie ich do komputera podręcznego. To będzie powolny i niepewny sposób manewrowania statkiem, ponieważ mógł wpisywać tylko jedno polecenie naraz i nie pozwalało to na szybkie reakcje - Victor nie mógł robić uników, nurkować czy wirować jak podczas poruszania się w kombinezonie z napędem. To będzie bardziej jak lot transportowcem, który powoli zakręca i powoli zwalnia.

Mimo to był dość pewien, że poprowadzi szybkostatek z wystarczającą precyzją, by dotrzeć, do co większych fragmentów zniszczonych statków. Chętnie by zainstalował osłony przeciw promieniowaniu słonecznemu i fotele z pasami bezpieczeństwa, ale na to nie miał czasu. Przypiąwszy się do konstrukcji, natychmiast odłączył linę ubezpieczającą, zastąpił ją regulatorem powietrza i pojemnikiem z tlenem. Trudniejsze było dostarczenie zasilania do kombinezonu. Przymocował taśmą jeden z mniejszych akumulatorów do paska i podłączył jego wyjścia bezpośrednio do kombinezonu. Wyświetlacz okazał się zauważalnie ciemniejszy, lecz było wystarczająco ciepło i działało radio. Kiedy Toron zobaczył, że Victor jest gotowy, wrócił do służby z jego odłączoną liną ubezpieczającą.

Wtedy Victor sobie uświadomił, jak bardzo jest samotny. Fizycznie nic go nie łączyło z „El Cavadorem”. Jeszcze niedawno przeciął własny wąż, by uratować rozbitków, lecz tak naprawdę nie ponosił wtedy żadnego ryzyka. Tuż obok znajdował się Toron - połączenie z „El Cavadorem” było na wyciągnięcie ręki. Teraz po raz pierwszy w życiu Victor nie miał statku macierzystego w bezpośrednim zasięgu.

Zaczął wpisywać polecenie ruszenia do przodu, ale przyszło mu do głowy, że program STELU jest przewidziany dla szybko-statku z pełnym ładunkiem, co oznacza o wiele większą masę. Gdyby wpisał to polecenie, silniki rakietowe przeniosłyby go w niebyt. Pokręcił głową, zły na siebie za taką nieostrożność, a potem poprawił program i wpisał pierwsze polecenie. Ku jego wielkiej uldze szybkostatek delikatnie ruszył. Victor zatoczył obszerną pętlę i wrócił do służby z nadzieją, że wykazał się niejaką sprawnością pilotażu.

Do szybkostatku podpłynęli ojciec, Bahzfm i Toron obładowani większymi akumulatorami i sprzętem ratowniczym. Czyli

zgodzili się wypróbować pomysł Victora. Ojciec połączył swój hełm z hełmem syna przewodem audio, a Bahzfm umocował sprzęt w ładowni. Następnie Victor podłączył prowizorycznie przenośne źródła zasilania do kombinezonów ojca i Torona. Byli gotowi.

- Widziałem lepsze latanie, Vico - powiedział Bahzfm - ale to, co pokazałeś, dla naszych celów wystarczy. - Położył dłoń na zapasowych pojemnikach z powietrzem. - Powietrza jest na osiem godzin, ale macie wrócić za trzy. Im mniej spędzicie tu czasu, tym lepiej. Szczątki dryfują. Ten statek jest mały. Nie wytrzyma kolizji. Omijajcie wraki z daleka. Łączność... Conception wciąż utrzymuje ciszę radiową, na wypadek gdyby kapsuła wykrywała fale radiowe. Porozumiewajcie się ze sobą na audio, ale radio też macie. Użyjcie go w sytuacji zagrożenia. Najważniejsze jest wasze bezpieczeństwo. Nie ryzykujcie. Jeśli choć jeden z was się nie zgodzi, że coś jest bezpieczne, nie róbcie tego. Nawet gdyby kosztowało to życie jakiegoś rozbitka. Macie tu wrócić żywi.

Bahzfm po raz ostatni sprawdził wszystkie przewody, pojemniki i wyposażenie, pożegnał się, życząc załodze powodzenia, i wrócił do służby.

- Dziękuję, że mi towarzyszycie - powiedział Toron.

- Możliwe, że nikogo nie znajdziemy.

- Ale będziemy próbować. Nie potrafiłbym dalej żyć, gdybym nie zrobił przynajmniej tego.

- Ruszaj, Vico - rzekł ojciec. - Delikatnie i powoli. Victor wpisał polecenie i statek skierował się w stronę, którą wskazywał dziób „El Cavadora”. Po pewnym czasie Toron zauważył duży fragment zniszczonego statku dryfujący kilka kilometrów pod nimi. Victor wprowadził polecenia, które, jak miał nadzieję, powinny ustawić szybkość obok niego. Musiał jednak ocenić odległość i kąt podejścia na oko i pierwsza próba była całkowicie nieudana; znaleźli się tak daleko od wraku, że nie sięgnęłyby do niego liny ubezpieczające. Przeprosił, zatoczył koło i spróbował podejść drugi raz. Tym razem włączył silniki hamujące za późno i przeleciał poza wrak.

- Mówiłeś, że umiesz tym latać - niecierpliwił się Toron.

- Bardzo się stara - odparował Segundo. - Nie robił tego nikt przedtem.

Victor wprowadził jeszcze jedną serię poleceń i tym razem znaleźli się dziesięć metrów od odsłoniętego włazu.

- Sprawdzimy go z Toronem - powiedział ojciec do Victora. - Ty pilnuj, żeby statek się z czymś nie zderzył. Nie dopuść do kolizji, bo wpadniemy w kłopoty.

Odłączył przewód audio, którym był połączony z Victorem, i popłynął do wraku, biorąc ze sobą sprzęt. Toron podążył za nim i kiedy tylko wylądował, rozpostarli nad włazem bańkę, odłączyli swoje węże, weszli ze sprzętem pod powłokę i pociągnęli za linkę wyzwalającą. Bańka napompowała się i szczelnie przywarła do poszycia, a właz dał się otworzyć z łatwością. Ojciec z Toronem wpłynęli do środka i zniknęli Victorowi z oczu.

Minęło pięć minut. Potem dziesięć. Po kwadransie Victor zaczął się martwić. Po dwudziestu pięciu minutach niemal wpadł w panikę. Coś się stało. Nie powinno to trwać tak długo.

Przez chwilę zastanawiał się nad wywołaniem ojca przez radio, chociaż prawdopodobnie by naraził rodzinę na niebezpieczeństwo, ale nie zrobił tego. Ojciec prosił, żeby czekał, więc będzie czekał. I się modlił.

* * *

Edimar znajdowała się w bocianim gnieździe „El Cavadora” i starała się nie wybuchnąć płaczem. Przez jej gogle płynął strumień danych z Oka w takich ilościach, że była nimi przytłoczona. Kolumna za kolumną nieustannie przesuwających się cyfr, z których wszystkie, oznaczone jako „Bardzo pilne”, domagały się natychmiastowej analizy.

Problem stwarzały szczątki włoskich statków. Wokół „El Cavadora” znajdowały się tysiące ich fragmentów, a ponieważ dryfowały w przestrzeni i znajdowały się stosunkowo blisko, Oko błędnie uznawało każdy, choćby najmniejszy, za zagrożenie. A kiedy już jakiś obiekt został tak sklasyfikowany, program wymagał od Oka, by śledziło jego ruchy. Teraz Oko śledziło tysiące obiektów jednocześnie i wysyłało wszystkie dane lawiną informacji bezpośrednio do gogli Edimar.

Było tego za dużo. I, co gorsza, dane były niedokładne. Z tysięcy obiektów uznawanych przez Oko za zagrożenie tylko garstka była rzeczywiście niebezpieczna. W konsekwencji

prawdziwe zagrożenia, obiekty, które Edimar powinna śledzić, ginęły w morzu niepotrzebnych ostrzeżeń.

Dziewczynka otworzyła mrugnięciem linię na mostek do Concepción.

- Nie dam rady - powiedziała. - Potrzebuję pomocy.

- Co się stało? - zapytała Concepción.

- Jest tego za dużo. Nie dam rady przetworzyć wszystkich danych, które wysyła mi Oko. Musisz sprowadzić tu mojego ojca. Nie potrafię przegryzać się przez informacje tak szybko jak on. Jestem za powolna.

- Twój ojciec poleciał szybkostatkiem szukać innych rozbitków.

- Nie wiedziałam, że umiemy latać szybkostatkami.

- Victor najwyraźniej umie. Powiedz, czego ci trzeba.

- Czterech klonów mojego ojca.

Najszybciej, jak tylko się dało, Edimar wyjaśniła, w jaki sposób Oko daje jej za dużo informacji, nie pozwalając wykryć bezpośrednich zagrożeń.

- Wysyłam do ciebie Dreó - zdecydowała Concepción. - On spróbuje wprowadzić poprawki do oprogramowania Oka. Przyjdą też Rena i Mono, możesz ich wykorzystać wedle swego uznania. Tymczasem przy każdym oknie postawię obserwatorów, żeby wypatrywali dryfujących szczątków. Nie martw się. Znajdziemy rozwiązanie.

- Dziękuję. - Edimar się rozłączyła.

Tak jej ulżyło, że nie mogła już dłużej powstrzymać łez. Zdjęła gogle, zakryła twarz dłońmi i się rozszlochała. Częściowo z powodu Oka i całej tej głupiej frustracji, która się z jego powodu nagromadziła, lecz płakała głównie na myśl o Alejandrze. Jandicie. Siostrze. Najlepszej przyjaciółce. Jedynej osobie, z którą mogła rozmawiać o porywczosci ojca, o noszeniu stanika czy o tym, jak to będzie pewnego dnia zostać egzogamioną, o sprawach, o których krępowała się rozmawiać z matką. A teraz Alejandra jest gdzieś w kosmosie. Może nie żyje. I Edimar już nigdy z nią nie porozmawia.

Z rury prowadzącej do bocianiego gniazda dobiegł hałas, więc Edimar szybko wytarła oczy i kilka razy głęboko odetchnęła.

Do pomieszczenia wpłynęły trzy osoby i na ich widok uspokoiła się jeszcze bardziej.

- Chcę zobaczyć kod - poprosił Dreó. Edimar podała mu gogle.

- Oznacza każdy kawałek złomu jako zagrożenie kolizją. Trzeba ustawić parametry, dzięki którym pokażą się tylko obiekty znajdujące się naprawdę zbyt blisko, ale nie umiem tego zrobić.

Dreo nałożył gogle.

- Wystarczy napisać prosty skrypt. Toron cię tego nie nauczył?

- On to na pewno umie, ale nie chce, żebym majstrowała przy oprogramowaniu.

- Więc czemu zostawia cię samą? Wszystkich nas naraża na niebezpieczeństwo. To świadczy o braku odpowiedzialności. A tak w ogóle ile ty masz lat?

Rena objęła Edimar ramieniem.

- Dreó, zajmij się Okiem, a Mono i ja porozmawiamy z Edimar.

- Nie daj jej całego chili - powiedział Dreó. Rena miała w ręku pojemnik z ogrzewaczem. - Mnie też by się trochę przydało. Na mostku nic nie jedliśmy.

- Ustaw Oko, Dreó, i nie marudź, to zrobię ci całą porcję. Dreó uśmiechnął się szeroko.

- Będę milczał jak przestrzeń kosmiczna.

Rena wzięła Edimar za rękę i przeszła z nią oraz z Mono w drugi koniec pomieszczenia.

- Czy mój ojciec naprawdę poleciał szybkostatkiem z Vico? - zapytała dziewczynka.

- Tak. I z moim mężem. Szukają kolejnych rozbitków. Edimar pochyliła głowę.

- Nikogo nie znajdują. Upłynęło za dużo czasu.

- Tego nie wiemy. Kiedy tu dotarliśmy, nie spodziewaliśmy się, że kogoś uratujemy, a jak dotąd znaleźliśmy dziewięć osób.

- Jeśli ktokolwiek potrafi odszukać następnych rozbitków, to tylko Vico - odezwał się Mono. - Może nawet znajdzie Alejandrę.

Rena zeszytywniała lekko i zerknęła na Edimar.

- Wszyscy mamy taką nadzieję, Mono - powiedziała. - Wszyscy się o to modlimy.

Edimar chciała, żeby niewinny optymizm chłopca dodał jej otuchy, ale zdawała sobie sprawę, że te poszukiwania nie mają sensu. Widziała też, że Rena uważa tak samo, jedynie udaje ze względu na nią.

- To dla ciebie. - Rena podała dziewczynce pojemnik z chili. - Chyba już ostygło na tyle, żeby dało się zjeść. Pewnie umierasz z głodu.

Zdjęła przykrywkę ze słomki i do Edimar dotarł aromat fasoli, mięsa i kolendry. Dziewczynka nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna.

- Dziękuję.

- Ja też to czuję, wiesz? - odezwał się Dreó. - Przez ciebie trudno mi się skupić.

Edimar wessała parę łyków ciepłej, pikantnej potrawy. Znow zebrało się jej na płacz. W tej chwili Rena tak bardzo przypominała jej Alejandrę. Edimar wiedziała, że to głupota nawet o tym myśleć - Rena mogłaby być matką Jandity - ale okazała jej troskę dokładnie tak, jak zrobiłaby to siostra.

- Jakie parametry mam umieścić w programie? - zapytał Dreó.

- Szkoda, że nie ma tu ojca. On by to wiedział lepiej ode mnie.

- Ale go tu nie ma. Ty musisz zdecydować. Edimar chwilę się zastanawiała.

- Zaznacz wszystkie szczątki, które znajdują się od dwustu metrów do dziesięciu kilometrów od nas. To powinno wykasować większość obiektów śledzonych przez Oko, a niestanowiących dla nas żadnego zagrożenia. Wyjątkiem powinien być szybkostatek, musimy go śledzić dalej.

- Nie wiem, który z tych obiektów jest szybkostatką. Nie mogę go wydzielić.

Edimar nałożyła gogle i szybko znalazła szybkostatek.

- Ten - powiedziała, przesuwając odpowiednią ikonę na monitor Dreó.

- Dobra. Szybkostatek jest na liście obiektów do obserwacji. Co jeszcze?

- Teraz patrzymy głównie na obiekty znajdujące się w odległości do dwustu metrów od nas. Oraz na wszystko, co można dostrzec poza chmurą szczątków.

- To nadal ponad osiemset obiektów.
- O te małe nie musimy się martwić - powiedziała Edimar.
- One nie uszkodzą statku. Natomiast musimy śledzić te duże. Wykasuj wszystkie o długości mniejszej niż dwa metry. To usunie z listy wszystkie małe szczątki i ciała.

Przypomniała sobie, że rozmowie przysłuchuje się Mono. Zdjęła gogle i zerknęła na niego.

- Wiem, co to jest ciało - powiedział chłopiec. - Nie musisz mówić inaczej niż zwykle ze względu na mnie.

- No to mamy pięćdziesiąt trzy obiekty - podsumował Dreó.

- O wiele mniej niż na początku.

- Możesz je ustawić w kolejności od najważniejszych do najmniej ważnych, biorąc pod uwagę ich odległość od statku?

- Zrobione.

Edimar poprawiła gogle i uśmiechnęła się na widok listy. Teraz dane były o wiele łatwiejsze do analizy. Mogła sobie dać radę bez pomocy ojca. Zaczęła od góry i przejrzała listę do samego dołu. Ostatni obiekt sprawił, że zamarła. Znajdował się w odległości zaledwie kilku tysięcy kilometrów i zmierzał w stronę „El Cavadora” z niewiarygodną prędkością.

- Co się stało? - zapytała Rena.

- Kapsuła wraca - odpowiedziała Edimar.

Rozdział 12

Technika

Kapitan Wit O'Toole szedł przez las pod osłoną nocy. Kroki stawiał miękko i cicho, lekko przygięty dla obniżenia środka ciężkości. Niósł na ramieniu karabin szturmowy P87; był w hełmie, który całkowicie okrywał jego głowę i twarz metalem odpornym na wybuchy, i w kombinezonie z lekkiego materiału w barwach ochronnych odpowiednich do działań nocnych. Dotrzymywało mu kroku sześciu identycznie wyposażonych żołnierzy POP-u. Wspinali się na zbocze doliny Parvati w północnych Indiach, lawirując między sosnami i jodłami cicho jak wiatr.

Wyświetlacz wewnątrzhełmowy Wita pokazywał widok terenu przed nim w zakresie stu osiemdziesięciu stopni. Obraz był tak jasny, jakby świeciło słońce, i ukazywał wszystkie szczegóły. Dalszą pomocą służył komputer, który zaznaczał wszystkie przeszkody na drodze: korzeń, nisko zwisającą gałąź, zagłębienie terenu.

- Sto metrów do celu - odezwał się komputer kobiecym głosem.
- Stop - powiedział Wit.

Sześciu żołnierzy zatrzymało się, ustawiło plecami do siebie, tworząc ciasny krąg; przyklękawszy na jedno kolano, unieśli karabiny, dając sobie osłonę ze wszystkich stron. Był to prosty ruch taktyczny, lecz został wykonany szybko i w ciszy, bez wahania, z płynnością wyćwiczonego tańca.

- Znajdujemy się sto metrów od celu - oznajmił Wit. - Co teraz?
- Ocena zagrożenia - rzekł Bogdanowicz.
- W jaki sposób?
- Dane z satelity - odpowiedział Lobo. - Podłączę nas.

Na wyświetlaczu Wita wyskoczyło okienko pokazujące widok na ich pozycję ściągnięty z satelity. Wit wydał mrugnięciem komendę i obraz z satelity przesunął się w górę nad wierzchołkami drzew w kierunku, w którym udawał się oddział. Drzewa się skończyły i w polu widzenia ukazała się rozległa łąka. Pośrodku stał betonowy piętrowy budynek wyglądający niemal jak bunkier, wybudowany przez indyjską armię w celach ćwiczebnych. Wokół krążyło kilku uzbrojonych wartowników.

- Jaki piękny górski kurort - ocenił Sosna.
- W prospekcie pisali o pięciu gwiazdkach - dorzucił Lobo.

Celem tej nocnej misji było odbicie zakładnika. W rolę zagranicznego dyplomaty przetrzymywanego przez islamskich ekstremistów wcielił się Calinga. Ekstremistami byli żołnierze POP-u i indyjscy komandosi, którzy choć raz chcieli zagrać tych złych.

Była to dziesiąta codzienna próba terenowa i Wit nie zamierzał zmniejszyć tempa.

Wymyślał rozmaite scenariusze: akcje ratunkowe, ochrona uchodźców, działania wojenne w mieście, rozbiórka budynków, tłumienie rewolt - a każdy miał własny kontekst kulturowy, rozgrywał się na innym terenie i z innymi wrogami. Jednego dnia Wit mówił żołnierzom, że zostają zrzućeni do suchej górskiej doliny w Tadżykistanie. Następnego dnia skakali na plażę na Nowej Gwinei, mając w zasięgu wzroku tylko dżunglę.

Chodziło o przygotowanie się na różne ewentualności i różnych wrogów.

- Widzę na terenie pięciu wartowników - powiedział Chi-won. - Ale są też zapewne inni, których nam satelita nie pokazuje. Proponuję od tej chwili ufać podglądowi termicznemu.

Mówił o przełączeniu kamer w hełmach na wykrywanie śladów cieplnych.

- Zgoda - rzekł Wit. - Co dalej?
- W środku też są wrogowie - odezwał się Sosna. - Potrzebujemy planu budynku.
- Ściągam - powiedział Lobo.

Na wyświetlaczu Wita pojawił się trójwymiarowy schemat.

- Gdybyście mieli zakładników, gdzie byście ich trzymali? - zapytał Wit.

- Z dala od okien - odparł Chi-won. - Terrorysty lubią trzymać zakładników blisko siebie, a boją się snajperów. Najlepszy jest pokój pośrodku budynku, prawdopodobnie na pierwszym piętrze, ponieważ nie ma tu piwnicy ani strychu. A klatki schodowej można łatwo bronić. Gdybym chciał ukryć zakładnika, zrobiłbym to tutaj.

Na jednym z pomieszczeń na planie Wita pojawił się migający punkt.

- Jakies inne pomysły? - zapytał kapitan.

Żołnierze omówili pokrótce inne możliwości, ale wszyscy się zgodzili, że ocena Chi-wona jest zapewne trafna.

- Co teraz? - zapytał Wit.

- Moglibyśmy wysłać podglądacza i zbadać wnętrze - podsunął Sosna.

Podglądacze były niewielkimi, niemal bezgłośnymi zdalnie sterowanymi samolocikami z zainstalowanym radarem przenikającym ściany. Wystarczyło posadzić takie urządzenie na dachu lub na murze, a ono wykrywało każdy ruch po drugiej stronie.

Wit nie miał zastrzeżeń. Sosna wyjął z plecaka samolocik i pokierował nim między drzewami za pomocą swojego wyświetlacza. Wszyscy oglądali obraz przesyłany przez podglądacz, który najpierw leciał wysoko nad łąką, aż osiadł na dachu budynku. Trzy minuty później potwierdził się domysł Chi-wona: zakładnik rzeczywiście był przetrzymywany na pierwszym piętrze w pokoju pośrodku budynku.

- Sosna, idziesz na przedzie - powiedział Wit. - Od tej chwili jestem trepem. Ty dowodzisz.

Sosna zareagował bez wahania, wydając każdemu rozkazy. Jego polecenia były jasne, drobiazgowo i inteligentne, jakby planował swoje postępowanie od wielu miesięcy.

Ruszyli szybko pod górę z bronią utrzymaną w pogotowiu, rozchodząc się wachlarzem, by wyjść na łąkę pod różnymi kątami. Dzięki termowizji wykryli trzech wartowników chowających się w lesie i z łatwością ich zdjeli. Karabiny P87 strzelały niemal bezgłośnie i trzech wrogowie upadli na ziemię w sztywnych kombinezonach.

Żołnierze POP-u przyczaili się w mroku na granicy drzew. Wartownicy na łące nie zauważyli, że ich koledzy zostali wyeliminowani, i spokojnie patrolowali dalej. Jeden z nich zbliżył się na parę kroków do kryjówki, więc Chiwon wyskoczył spośród zarośli i trafił go nakładką pajęczą. Kombinezon zeszywniał i Chiwon bez trudu wciągnął wartownika w mrok lasu.

Czterech załatwionych.

- Otwarty teren między nami a budynkiem jest za duży - stwierdził Sosna. - Resztę wystrzelamy.

Przedłużyli lufy karabinów i dopasowali broń do ognia na większą odległość. Wit przyłożył karabin do ramienia i mruganiem wydał polecenie, by ramiona i górna część pleców jego kombinezonu zeszywniała. Utrudniało to ruchy rąk i sprawiało, że górna część jego ciała zachowywała się jak trójnóg, co bardzo zwiększało celność jego strzałów. Następnie komputer zaświetlił na wyświetlaczu Wita wszystkie cele. W sumie siedmiu wartowników, po jednym dla każdego.

Przy celach pojawiały się kolejno imiona żołnierzy, którzy wybrali je dla siebie. Wit poczekał i przypisał sobie ostatni.

Sosna wydał rozkaz. Wszyscy strzelili i siedmiu wartowników padło na ziemię.

Potem to była kwestia wykonywania poleceń Sosny. Ruszyli do ataku i wpadli do budynku. Wrogowie znajdowali się dokładnie tam, gdzie wskazał komputer. Podglądacz ostrzegał ich, ilekroć ktoś ruszał w ich stronę z jakiegś innej części budynku, dzięki czemu żołnierze POP-u mieli mnóstwo czasu, by się ukryć albo zając pozycję dogodną do zneutralizowania wroga.

Wit trafiał za każdym razem, wspinając się po schodach tuż za pozostałymi i przechodząc nad ciałami „poległych”. W pokoju czekał na nich Calinga. Ostatni wartownik, który traktował swoją rolę terrorysty dość poważnie, próbował posłużyć się zakładnikiem jak tarczą. Nacierający żołnierze POP-u jednocześnie otworzyli ogień i pięć naboju pajęczych trafiło w hełm terrorysty niemal w tym samym miejscu. Żołnierz w sztywnym kombinezonie wypuścił Calingę. Nawet nie upadł na podłogę, co przewidywały zasady gry. To był koniec akcji.

- Najwyższy czas - odezwał się Calinga. - To żadna przyjemność być zakładnikiem. Nie mam broni, a oni nie chcieli mi dać nic do czytania.

Wyszli na zewnątrz, gdzie Wit zakończył ćwiczenie. Wydał mrugnięciem polecenie odblokowujące kombinezony i kazał wszystkim, zarówno żołnierzom POP-u, jak „terrorystom”, zgromadzić się na łące w celu omówienia akcji. Ludzie usiedli w szerokim kręgu w blasku księżyca.

- Czego się nauczyliśmy? - zapytał Wit.

- Że Calinga jest okropnym zakładnikiem - odpowiedział Deen, który grał terrorystę. - Cały czas jęczał. Mieliśmy ochotę go zabić, żeby się wreszcie zamknął. Wszyscy się roześmieli.

- Sam się chciałem zabić - rzekł Calinga. - Wynudziłem się przy nich jak diabli.

- A wiecie, czego ja się dowiedziałem? - odezwał się Wit, kiedy umilkły śmiechy. - Siedmiu żołnierzy POP-u pokonało dwudziestu czterech tak samo wyszkolonych komandosów. Dlaczego? Ponieważ jesteśmy lepszymi żołnierzami? Ponieważ jesteśmy bystrzejsi? Szybsi? Nie. Wygraliśmy z dwóch powodów. Po pierwsze, byliście niedbali. Nie kryliście się należycie. Powystrzelanie was było zbyt łatwe.

- Zachowywaliśmy się prawdziwie - powiedział Deen. - Terrorysty zawsze są niedbali.

- Nie zachowujcie się prawdziwie. Dajcie mi siebie, jednych z najlepiej wyszkolonych, najinteligentniejszych żołnierzy, jakich znam. Bądźcie bezlitośni. Nie chcę realizmu. Chcę czegoś gorszego. Chcę czegoś sto razy trudniejszego od realizmu. Róbcie wszystko, co w waszej mocy, by nas zlikwidować. W ten sposób, kiedy kule będą prawdziwe, kiedy stawką będzie nasze życie, wypełnimy nasz obowiązek z precyzją. Nigdy nie przegramy. Kiedy zbliżaliśmy się do budynku, nie powinienem niczego widzieć. Powinniście byli być całkowicie niewidzialni dla mnie i dla satelity. Powinniście byli nas zabić, zanim wyszliśmy spośród drzew. Dlaczego tego nie zrobiliście?

- Był pan z nowymi - odparł Deen. - Chcieliśmy im trochę ułatwić zadanie.

- Sądysz, że powinienem ich trzymać za rączkę? Sądysz, że nie są na tyle dobrzy albo doświadczeni, by cię pokonać, kiedy jesteś w najwyższej formie? Jeśli tak, to kiedy jutro to powtórzymy, spotka cię największa niespodzianka w życiu. Od tej chwili nie oszczędzamy przeciwnika. Jeśli przegracie, to dlatego, że spieprzyliście sprawę i zostaliście pokonani, a nie dlatego, że pozwoliliście wygrać innym.

- Ja próbowałem - odezwał się jeden z wartowników. - Chi-won wyskoczył z krzaków tak szybko, że o mało co się nie zlałem w spodnie.

Żołnierze znowu się roześmieli.

- Świetnie - powiedział Wit. - Cieszę się, że się jednak nie zlałeś. Gdyby tak się stało, w kombinezonie mogłoby dojść do zwarcia i byś porządnie oberwał prądem.

- Byłaby wędzona kiełbasa - zakpił Deen, wywołując kolejny wybuch śmiechu.

- Od tej chwili działacie tak, jakby stawką było wasze życie. Żadnego oszczędzania wroga. Żadnego udawania, że jest gorszy albo mniej inteligentny od was. A to przypomina mi o drugiej przyczynie waszej porażki. My z POP-u mieliśmy lepszy sprzęt. Wróg miał starsze karabiny, żadnego wsparcia komputerowego, żadnych satelitów, podglądaczy, termowizji. To była wojna na technikę i my ją wygraliśmy dzięki wyposażeniu. Sosna, gdybym ci zabrał cały sprzęt, dałbyś radę odbić zakładnika?

- Chyba nie, sir.

- Dlaczego?

- Byłbym jak nieuzbrojony.

- A więc jesteś skutecznym żołnierzem tylko wtedy, gdy dam ci lepszy sprzęt?

Sosna się zawahał.

- Nie, sir. Lecz wtedy jest trudniej. Gdybym był nieuzbrojony, powaliłbym wartownika i odebrał mu broń. Wtedy mógłbym wystrzelać pozostałych.

- A gdybyś nie umiał obsługiwać cudzej broni? Gdybyś jej nie znał, nie widział nigdy przedtem?

- Byłaby bieda, sir.

- A więc poddałbyś się?

- Nie, sir. Musiałbym opracować sposób pokonania wroga z wykorzystaniem tego, co mam pod ręką.

- Na przykład?

- Na przykład w lesie mógłbym zaopatrzyć się we włócznie. Deen się roześmiał.

- Włócznie? Przeciwno czterem uzbrojonym obrońcom?

- Czy to ci się wydaje nieprawdopodobne, Deen? – zapytał Wit.

Deen spostrzegł, że nikt inny się nie śmieje.

- Proszę mi wybaczyć, sir, ale to brzmi odrobinę nierealnie, prawda?

Wit patrzył na niego długie dziesięć sekund.

- Jesteś żołnierzem POP-u, Deen?

- Tak, sir. Do szpiku kości. Całkowicie.

- A zatem spodziewam się, że zdejmiesz dwudziestu czterech uzbrojonych ludzi, posługując się tylko włócznią. Spodziewam się, że zdejmiesz tysiąc ludzi, mając do dyspozycji wykałaczkę. Żołnierzami POP-u stajemy się dopiero wtedy, gdy umiemy nago zaatakować w pełni uzbrojonego wroga i go zabić.

Deen pokornie skinął głową.

- Tak jest, sir.

Wit zwrócił się do pozostałych.

- Za bardzo polegamy na naszym wyposażeniu. Kto powiedział, że zawsze będziemy mieli przewagę techniczną? A gdyby wróg miał umiejętności i broń znacznie przewyższającą nasze umiejętności i sprzęt? Czy się poddamy? - Zaczekał na odpowiedź. - Pytam, czy się poddamy?

- Nie, sir! - krzyknęli żołnierze chórem.

- To nieuniknione, panowie. Prędzej czy później staniemy przed wrogiem, którego technika będzie lepsza od naszej. Albo który wymyśli, jak całkowicie zneutralizować naszą technikę. Broń, łączność, GPS, zdalnie sterowane samoloty, karabiny, materiały wybuchowe, wszystko. Znajdźmy sposób walki z nim bez względu na to, co zrobi i jak to będzie trudne. - Przerwał i podjął decyzję. - Od tej chwili będziemy się także szkolić w przeprowadzaniu akcji bez techniki. A potem będziemy się szkolić w misjach bez użycia prochu. A potem w takich misjach, w których wróg zawsze nas widzi. Zawsze będziemy w bardzo

niekorzystnej sytuacji. Nadeszła pora, żebyśmy sobie przypomnieli, co czyni z nas komandosów i żołnierzy POP-u. Nie układy scalone w naszych karabinach, lecz szare komórki między naszymi uszami. Wróg może mieć więcej broni, ale nigdy nie będzie bardziej przebiegły. - Zwrócił się do sześciu żołnierzy, z którymi zajął budynek. - Panowie, zostawcie tu swoje karabiny i wyposażenie. Weźcie tylko woreczek z nakładkami pajęczymi. Posłużą wam jako włócznie. Włóżcie kombinezony tłumiące, ale bez hełmów. Pójdźcie na wzgórza, nie dalej niż trzy kilometry. Za dwie godziny zacznie na was polować dwudziestu czterech żołnierzy wyposażonych we wszelki sprzęt techniczny, jaki mamy do dyspozycji. Zabiją was, jeśli wy nie zabijecie ich wcześniej.

Sześciu żołnierzy POP-u wstało i zaczęło zdejmować z siebie sprzęt.

- Deen, chciałbym, żebyś poszedł z nimi - ciągnął Wit. - Ty może wątpisz w swoje umiejętności, aleja nie. Zapoluję na ciebie osobiście. Zdejmij mnie, zanim cię znajdę.

Deen wstał z uśmiechem, zadowolony z okazji do rehabilitacji.

- Dziękuję, sir.

Żołnierze popędzili do lasu. Deen pobiegł za nimi, przeskoczył zarośla na skraju drzew i zniknął pod ich osłoną.

Rozdział 13

Pliki

Lem przeglądał w ładowni sprawozdania z wydobycia minerałów i bardzo się starał wyglądać na zadowolonego. Szef ekipy czekał na pochwałę. Sądząc ze sprawozdań, istotnie zasługiwał na wielkie pochwały. Liczby były imponujące. Zgarniarki dostarczały tyle metalu z chmury pyłu, że ludzie nie nadążali z przetapianiem go w walce. Żelazonikiel, kobalt, magnez, wszystkie metale przynoszące dużo pieniędzy. Mieli ich już tysiące ton. To przekraczało wszelkie nadzieje Lema. Lecz w tej chwili tak go dręczyły myśli o plikach wykradzionych z komputera statku, że nie potrafił się cieszyć z dobrych wiadomości.

- Trudno w to uwierzyć, prawda? - powiedział szef ekipy. - Pracuję w tej branży dwadzieścia lat, panie Jukes, i nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Nigdy tak szybko nie zgarnąłem tylu ferromagnetyków.

Ferromagnetyki były najcenniejszymi metalami wydobywanymi z asteroid.

- Rozumiem, że zgarniarki dobrze pracują?

- To jest jak trałowanie ryb, panie Jukes. Wysuwamy magnetyczne zgarniarki, przeprowadzamy statek w przód i w tył przez chmurę pyłu, a kiedy wciągamy zgarniarki do środka, roi się w nich od cząsteczek ferro. Moja cała kariera zawodowa polegała na wydobywaniu metalu metodą wysadzania skał i kopania, a glaser stawia to wszystko na głowie. Teraz rozbijamy skałę

w pył, machamy magnesami w chmurze i minerały same do nas przychodzą.

- Tak, tak. To robi wrażenie.

- I wybraliśmy odpowiednią asteroidę. Nic dziwnego, że ci wolni górnicy rozbili tam obóz. Ta skała to była żyła macierzysta. Wszelkie rodzaje cennych metali, i to w dużych ilościach. Górnicy oglądają tak dobrą skałę raz na kilka lat. Muszę przyznać, że wybrał pan do wysadzenia doskonałą asteroidę.

Lem słuchał nieuważnie.

- Tak, wspaniale. Cóż, niech pan się dalej dobrze spisuje. Czy czegoś panu trzeba?

- Więcej ludzi. To jest statek badawczy, więc brakuje mi rąk do pracy.

- Ilu ludzi pan potrzebuje?

- Jeszcze dziesięciu zdziałałoby cuda.

- Każę Chubsowi przysłać paru na dół.

- Dziękuję, panie Jukes. - Szef ekipy zdjął czapkę i z pełną wahania miną podrapał się po głowie. - Na pewno nie chce pan załadować kilku szybkostatków? Zbierzemy znacznie większy urobek, jeśli wyślemy trochę walców prosto na Lunę.

- Nie - powiedział Lem. - Nie chcę wysyłać niczego, co by dotarło na miejsce przed nami. Wyruszymy w drogę powrotną, kiedy tylko zapełnimy ładownie.

Szef wzruszył ramionami.

- Szkoda zostawiać taką chmurę, skoro jest tu tyle metalu do wzięcia. Na statku mamy tylko cztery ładownie i wkrótce je wypełnimy. Owszem, to duży ładunek. Ale gdybyśmy wykorzystali szybkostatki, moglibyśmy go podwoić. A tak przeciekną nam przez palce dużo pieniędzy.

- Doceniam pańskie poświęcenie dla wyników finansowych firmy i w każdych innych okolicznościach zgodziłbym się z panem. Nie chcę jednak, żeby mój ojciec albo zarząd wiedział, że mamy pełne ładownie. Chciałbym naszym powrotem zrobić wszystkim niespodziankę.

Szef mrugnął.

- Sprytnie, panie Jukes. Garnitury na pewno będą zaskoczone. Kiedy wszystko się skończy, pewnie dadzą nam wszystkim porządną premię.

Lem wiedział, że szef ekipy bada grunt, i go nie zawiódł.

- Jeśli oni nie dadzą panu premii, ja dam. Spisał się pan nadzwyczaj dobrze. Szef ekipy się rozpromienił.

- Dziękuję, panie Jukes.

Wyglądał, jakby chciał mówić dalej, lecz Lem nie dał mu tej szansy. Odwrócił się i odpłynął w stronę rury komunikacyjnej. Owszem, zarząd będzie zaskoczony. Będzie zaskoczony jeszcze bardziej, kiedy Lem oznajmi jego członkom, że pliki są zagrożone i że plany glaserów prawdopodobnie znajdują się w rękach wolnych górników albo że ci sami wolni górnicy prawdopodobnie mają obciążające wideo, na którym widać, jak statek firmy Jukę zabija człowieka, wideo, które najprawdopodobniej doprowadzi do procesu sądowego będącego koszmarem dla wizerunku korporacji.

Lem wyobrażał sobie reakcję zarządu. Doskonała misja, Lemie. Dobra robota. Fatalnie, że zabiłeś człowieka i że przez ciebie straciliśmy miliardy kredytów na badania i rozwój oraz całą przyszłość firmy. Fatalnie, że zrobiłeś z siebie osła. Gdyby nie to drobne potknięcie, można by powiedzieć, że misja odniosła olbrzymi sukces. Trzymaliśmy dla ciebie miejsce w sali posiedzeń zarządu, ale... widzisz, mamy surową politykę niezatrudniania idiotów. Zamiast ciebie będzie musiał dostać to miejsce jakiś tchórzliwy drań po dobrym uniwersytecie. Tak nam przykro. Na pewno to rozumiesz.

Lem dotarł do rury i kazał dostarczyć się na mostek.

Ci ludzie splamili moją reputację, pomyślał. Ci cholerni wolni górnicy splamili moją reputację. Dziękuję, Concepción Querales. Dziękuję, że ostatnie dwa lata mojego życia spuściłaś w wychodku. Nie, nie tylko ostatnie dwa lata, ale całe moje życie, wszystko, na co pracowałem. To unieważni wszystkie moje poprzednie osiągnięcia. Będę miał zrujnowaną opinię. I nie tylko opinię. Ja będę zrujnowany. Firma nie tylko pozwie mnie do sądu, ale odbierze mi wszystko, co mam, a nie jest to mała suma. Zakwalifikują tę wpadkę, jako rażące zaniedbanie i upieką mnie żywcem. A ojciec nie zrobi nic, żeby temu zapobiec. Przymknie oczy i uzna to za kolejną „lekcję życia” dla syna. Sam się w to wpakowałeś, Lemie. Sam się z tego wygrzeb.

Nie, muszę to naprawić. Zarząd nie dowie się nigdy. Zanim dotrzemy do Luny, wszystko będzie załatwione. W tej chwili wolni górnicy znajdują się poza zasięgiem, ale na pewno istnieje rozwiązanie, nawet jeśli w tej chwili nie wiem jakie.

Dotarł na mostek i odciągnął Chubsa do jednego z pomieszczeń konferencyjnych. Chubs unosił się przy wejściu, lecz Lem miał ochotę pochodzić. Włączył nagolenice i karwasze i zaczął chodzić tam i z powrotem przed oknem, za którym rozciągała się gęsta chmura pyłu i rozgwieżdżona czerń przestrzeni kosmicznej.

- Mamy problem - zaczął. - I to taki, który wolałbym trzymać w tajemnicy.

- W porządku.

- Kiedy stuknęliśmy wolnych górników, na kadłubie ich statku znajdowało się trzech ludzi. Jednego z nich uderzył odcięty przez nas czujnik.

- Pamiętam - powiedział Chubs. - Paskudnie to wyglądało.

- No tak, „paskudnie” to łagodne określenie. Ten człowiek nie żyje. Zabiliśmy go.

Lem nieco zaakcentował słowo „zabiliśmy” w nadziei rozłożenia winy na więcej osób. Chubs zmarszczył brwi.

- Jakim cudem możesz to wiedzieć?

Lem powiedział mu o wiadomości od Concepción. Chubs gwizdnął.

- Podolski o tym wie?

- Wezwałem go do mojej kajuty, a on sprawdził system. Jesteś gotów na ubaw? Ściągnęli nasze pliki. Nie tylko włamali się i zostawili wiadomość, ale zabrali też nasze pliki. Wszystko.

Chubs zaklął pod nosem.

- Mamy co do tego pewność? Podolski potwierdził?

- Posłużyli się niuchaczem. Wetknęli tu swoje noski bez naszej wiedzy i wszystko skopiowali. Podolski pokazał mi zapisy. Załatwili nas.

Chubs znów zaklął.

- Niedobrze, Lemie.

- Schematy glasera. Wszystkie nasze badania. Dzienniki inżynierów. No i moja ulubiona nowina - całe nagranie stuknięcia.

Chubs przestał trzeć oczy i spojrzał na Lema.

- Tak - powiedział Lem. - Mają wideo, na którym widać, jak zabijamy jednego z członków ich załogi. Wiesz, co zrobiłaby z tym prasa? Co zrobiłyby z tym sądy?

- To był wypadek. Nie celowaliśmy w tego gościa. Nawet nie wiedzieliśmy, że tam jest.

- Prokuratorów to nie będzie obchodziło. Poza tym na wideo tak to nie wygląda. Sam obejrzałem nagranie. W zwolnionym tempie. Wygląda to tak, jakbyśmy go namierzali. Nazwą to niezaprzeczalnym faktem. A kiedy to zrobią, korporacja obetnie nam nogi. Nas też pozwą. Jeśli czegoś z tym nie zrobimy, ty, ja i wszyscy na tym statku są *malja*. Ugotowani. Koniec gry.

- Okradli nas - zauważył Chubs. - To się powinno liczyć. Ukradli tajemnice korporacji.

- To nam nie przysporzy współczucia. Myślisz, że ludzie będą się litować nad największą, najbogatszą korporacją świata? Akurat! Biedna firma Jukę Limited. Ci tłuści, chciwi dyrektorzy dostaną w tym roku tylko sto miliardów kredytów premii zamiast stu dwudziestu miliardów. Jaka szkoda. Nie, nikogo to nie będzie obchodzić. Media będą miały używanie. Biedacy i klasa średnia będą tańczyć na ulicach. Są szczęśliwi, kiedy inni spadają do ich poziomu.

- Trzeba to naprawić - powiedział Chubs.

- Jak? Nie możemy ich namierzyć. Już pytałem nawigatora. Dawno stamtąd odlecieli. Szukać ich? Nie ma gwarancji, że znajdziemy. Zapewne nic by z tego nie wyszło.

- Nie musimy ich znaleźć. Musimy wiedzieć, dokąd lecą, i znaleźć się tam przed nimi.

- Nie wiemy, dokąd lecą. Jakoś nie zostawili nam adresu.

- Ale wiemy, dokąd w końcu dotrą. Jediną placówką tak daleko w kosmosie jest Stacja Wagowa Cztery. Wszystkie rodziny i klany udają się tam po zaopatrzenie. „El Cavador” kierował się na zewnątrz, więc najwyraźniej jeszcze nie wiedzą, co jest w naszych plikach. Kiedy tylko zorientują się, co mają, popędzą do Stacji Wagowej Cztery i spróbują sprzedać plany na czarnym rynku.

- Mogą zawrócić do wnętrza układu - powiedział Lem. -Może uznają, że lepszą cenę dostaną bliżej domu.

Chubs pokręcił głową.

- Ci ludzie tak nie myślą. Nie podejmują takiego ryzyka. Większość z nich udaje się w głęboki kosmos, by uciec przed kłopotami. Kiedy spróbują sprzedać plany, posłużą się zaufanym źródłem, kimś, komu ufają, z których usług korzystają często. To dla nich ważniejsze od uzyskania lepszej ceny. Nie poleciliby na Marsa czy do pasa asteroid. Po pierwsze, bo za daleko, a po drugie, bo będą chcieli trzymać się jak najdalej od korporacji. Wzięli coś, co należy do nas, i wiedzą, że będziemy chcieli to odzyskać. Uwierz mi, będą ostrożni. Polecą do Stacji Wagowej Cztery.

- Świetnie, ale jak odzyskamy dane?

- Tak samo jak oni ukradli je nam. Włamiemy się do ich komputera. I przy okazji wszystko im wykasujemy z serwerów na wszelki wypadek.

- Mogli skopiować dane na dysk przenośny czy coś w tym rodzaju.

Chubs pokręcił głową.

- Rodziny używają komputerów podręcznych. Starych modeli. Jeśli będą chcieli przerzucić tę informację, posłużą się nimi. Ale komputery podręczne są podłączone do głównych serwerów statku. Kiedy wykasujemy serwery, wykasujemy też komputery podręczne.

- Ten plan nie jest bez zarzutu - orzekł Lem. - W dalszym ciągu mogą przechowywać dane gdzie indziej.

- Wątpię. Cóż, nigdy nie będziemy mieli stu procent pewności. Atak na ich serwery jest najlepszym wyjściem.

Lem zastanawiał się nad tym przez chwilę i znalazł jeden szkopuł.

- To się nie uda. Jeśli polecimy do Stacji Wagowej Cztery, zauważą nas. Zobaczą statek. To nie jest bardzo duża placówka. Domyślą się, że na nich czekamy, i zwięją.

- Nie zobaczą nas, bo naszego statku tam nie będzie. Zanim „El Cavadór” przybędzie do stacji, my już będziemy lecieć w stronę Luny.

- No to jak wyczyścimy ich system?

- Zostawimy Podolskiego. I tak on jedyny spośród nas potrafi to zrobić. Wysadzimy go na Stacji Wagowej Cztery i każemy tam zostać do przybycia „El Cavadóra”, co może trwać kilka miesięcy.

A my nie możemy sterczeć tam tak długo bez wzbudzania podejrzeń. Ale Podolski i kilku ochroniarzy wtopi się w przebywających na stacji. Ubierzemy ich jak wolnych górników. Przybywa „El Cavador”. Podolski go czyści. A potem wraz z ochroniarzami wskakuje na następny frachtowiec do Luny. Proste.

- Podolski się na to nie zgodzi - stwierdził Lem. - W gruncie rzeczy skazujemy go na zesłanie. Zrobi z tego aferę w korporacji.

- Nie, nie robi. Wystarczy go przekonać, że cała ta sytuacja wynika z jego winy. Nie robi nam przysługi. To my mu ją robimy.

* * *

Wezwali Podolskiego do sali konferencyjnej i kazali stanąć przy końcu holostolu. Lem zrobił poważną, pełną rozczarowania minę, a Chubs stał w kącie z rękami założonymi na piersi. Zmarszczył brwi i grał złego glinę. Chcieli od razu zaniepokoić archiwistę i po wyrazie jego twarzy Lem widział, że im się udało.

- Właśnie poinformowałem o naszym dylemacie Chubsa - zaczął. - Staralem się to utrzymać w tajemnicy, ale nie mogę dłużej. Musimy się zająć tą sprawą.

Podolski przestąpił z nogi na nogę.

- Jaką sprawą, sir?

- Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówimy - włączył się Chubs. - „El Cavador” zgarnął nasze pliki na twojej zmianie. To miała być najmocniejsza ściana zaporowa w Układzie Słonecznym, a banda ciemnych wysysaczy żwiru weszła tu bez żadnych trudności i nas wyczyściła. Spieprzyłeś sprawę, Podolski, i niech mnie diabli, jeśli wezmę na siebie winę za twój błąd.

Lem pomyślał, że Chubs mocno przesadza - wskazywał palcem, krzyczał, a nawet poczerwieniał ze złości, co według Lema wywierało duże wrażenie; ktoś, kto na zawołanie potrafi to robić, powinien występować w teatrze. Ale najwyraźniej odniósł pożądany efekt. Podolski cofnął się o krok i uniósł ręce w geście kapitulacji.

- Chwileczkę. Nie możecie obwiniać mnie.

- Nie możemy? - zapytał Chubs. - To kto jest odpowiedzialny? Kucharze? Woźni? A może myślisz, że winę ponosi pan Jukes? To chcesz powiedzieć?

- Nie, nie, oczywiście, że nie.

- Ściana zaporowa to twój teren. Za to firma ci płaci. Twoim zadaniem jest zabezpieczenie tego statku, jakby to był bank. Może zapomniałeś, co na nim mamy. Może po prostu umknęło twojej pamięci, że na naszych serwerach mamy plany, notatki i wyniki badań lasera grawitacyjnego, najbardziej kosztownego prototypu, jaki ta firma kiedykolwiek zbudowała. Zapomniałeś o tym, Podolski?

- Nie, sir.

- Nie? - Chubs udał zaskoczenie. - A to dziwne. To mi się nie mieści w głowie. Bo nie potrafię dociec, dlaczego ktoś miałby pozwolić grupie niewykształconych wolnych górników ukraść nam te informacje, skoro wiedział, jak są cenne.

- Nie wiem, jak to się stało. Nikt przedtem się do nas nie włamał. Nie można do nas przeniknąć.

- Widzisz? - powiedział Chubs, zwracając się do Lema. - Posłuchaj go. „Nie można do nas przeniknąć”. On nawet nie przyznaje, że do tego doszło. Wszystkiemu zaprzecza. Nie zamierza nic z tym zrobić. Musimy iść z tym do twojego ojca. Ukko powinien o tym usłyszeć osobiście. Podobnie zarząd. Podolski nie zamierza tego naprawić.

Lem zbliżył się do Chubsa i zaczął mówić ciszej, chociaż na tyle głośno, by Podolski go słyszał.

- Nie możemy iść do ojca. On ma zero tolerancji dla takich błędów. Zwłaszcza, kiedy zostało zainwestowanych tak dużo pieniędzy i zasobów firmy. On by Podolskiego powiesił. Zniszczyłby go. Może nawet pozwał. Podolskiego na to nie stać.

- Nie mamy wyboru - powiedział Chubs.

- Chwileczkę - odezwał się archiwista. - W sumie nie tylko ja pisałem program zabezpieczający. Pomogłem, owszem, ale na Lunie pracuje nad nim ponad dwustu programistów. Nie mogę być kozłem ofiarnym. To nie była moja wina.

Chubs spojrzał na niego z pogardą.

- Tak, Podolski, powiemy to Ukko Jukesowi. Wyjaśnimy mu, że nie można winić człowieka kierującego tym wszystkim. On jest niewinny. Czy chociaż zauważył ten atak? Nie, musiał poczekać, aż mu to ktoś wytknie. Czy potem zrobił cokolwiek, żeby naprawić swoje niedopatrzenie? Nie, siedział z założonymi rękami. Jestem pewien, że te argumenty ułagodzą pana Ukko Jukesa, który oczyści pana z całej winy.

Podolski się nad tym zastanowił.

- Dobrze. Nie ma potrzeby iść z tym do Ukko. Mogę to naprawić. Słowo. Proszę. Dajcie mi szansę.

- A co mógłbyś zrobić? - zapytał Lem.

- Dowieźcie mnie blisko „El Cavadora”. Ja się włamię do nich. To będzie łatwe. Zabezpieczenia wolnych górników są śmieszne. Mógłbym się dostać do środka i wyczyścić im system, a oni by nawet nie wiedzieli, że ich odwiedziłem.

Lem wyraźnie się odprężył, uśmiechnął i zwrócił do Chubsa.

- Proszę. Zadowolony? Mówiłem ci, że Podolski się przyzna. Problem rozwiązany.

- To nie takie proste - powiedział Chubs, kręcąc głową. - Nie wiemy, gdzie jest „El Cavador”. Nie możemy ich namierzyć.

Lem zmarszczył brwi, dając do zrozumienia, że stracił nadzieję.

- No tak. To jest problem - westchnął. - A więc nic nie da się zrobić.

Podolski był zdesperowany.

- Moglibyśmy popytać, zwrócić się po informacje do któregoś z innych klanów czy rodzin. Ktoś musi wiedzieć, gdzie oni są.

Chubs spojrzał na niego z politowaniem.

- Sądzisz, że wolni górnicy podadzą jakieś informacje korporacji? Oni nas nienawidzą. Nigdy by nie zdradzili kogoś ze swoich. I kogo mielibyśmy pytać? W pobliżu ani żywej duszy.

Lemowi oczy rozbłysły, jakby właśnie przyszedł mu do głowy jakiś pomysł.

- Stacja Wagowa Cztery. „El Cavador” będzie potrzebował zaopatrzenia. Polecimy tam i zaczekamy na nich.

- Zobaczą statek - powiedział Chubs. - Nie zatrzymają się. To na nic.

- Zostawcie mnie tam - zaproponował Podolski. - Ja zostanę, a wy się oddalicie. Wyczyszczę ich system, oni odlecą, wezwę was i zabierzecie mnie na pokład.

Chubs pokręcił głową.

- Takie statki mają niewiarygodnie precyzyjne skanery przestrzeni. Zobaczyliby nas z daleka. Mogłoby się to udać tylko wtedy, gdyby byli przekonani, że wracamy na Lunę.

Podolski się zastanowił, wpatrując się z napięciem w holo-stół. W końcu podniósł wzrok.

- A więc zrobimy tak. Wysadzicie mnie na Stacji Wagowej Cztery z podstawowym wyposażeniem i pieniędzmi. Potem skierujecie się na Lunę. Ja na nich zaczekam, wyczyszczę im system, a potem kupię sobie bilet na frachtowiec.

Lem i Chubs spojrzeli na siebie.

- Wiesz co? - powiedział Chubs. - To mogłoby się udać.

Rozdział 14

Kapsuła

Concepción stała przy holostole na mostku i patrzyła, jak jeden z RK przecina wrak włoskiego statku. Górnicy znajdujący się na zewnątrz przekazywali obraz na żywo do holoprzestrzeni przed jej oczyma. Wokół zgromadził się cały personel mostka. Ludzie mieli twarze ściągnięte ze zmartwienia. Concepción starała się sprawiać wrażenie spokojnej i opanowanej. Zmniejszanie wraku laserem było niezmiernie ryzykowne; gdyby wrak choćby odrobinę się przesunął lub obrócił, laser mógłby zawadzić o pomieszczenie z rozbitkami, przebijając szczelne dotąd ściany i w ciągu paru chwil zabijając wszystkich czekających za nimi ludzi.

To byłaby okrutna śmierć, pomyślała z drżeniem serca. Tym straszniejsza, że rozbitkowie uwierzyli, że zostaną uratowani. Napęliśmy ich serca nadzieją, a zaraz potem wszystko chrzanimy i zadajemy im śmierć potworniejszą niż wszystko, czego by zaznali, gdybyśmy się w ogóle nie pojawili.

Ale nie, wrak się nie przesunie, powiedziała sobie Concepción. Górnicy przedsięwzięli wszelkie środki ostrożności. Przygotowali cumy i dwa długie wsporniki sięgające od „El Cavadora” do wraku, które utrzymywały go w miejscu i nie pozwalały na zderzenie ze statkiem. Było to niebezpieczne, owszem, lecz robili wszystko, by rozbitków ocalić.

Laser skończył cięcie. Oswobodzona część wraku oddzieliła się i odpłynęła. Załoga na mostku odetchnęła głośno, kilka osób klaskało. Concepción nie zareagowała. Praca długo jeszcze nie będzie zakończona, lepiej nie cieszyć się przedwcześnie. Niebezpieczeństwo nie zostało jeszcze zażegnane. To, co zniszczyło włoskie statki, wciąż przemierzało przestrzeń kosmiczną.

Promień lasera zgasł. Górnicy włączyli wciągarki i skrócili liny mocujące wrak, by obrócić go pod innym kątem i przygotować do następnego cięcia. Nie śpieszyli się, ponieważ był niestabilny, były do niego podłączone węże i miał w środku ludzi. Obracali go powoli, uważając, by nie szarpnąć żadnej z lin. Concepción uświadomiła sobie, jak żmudny i długi będzie to proces: cięcie i obracanie, cięcie i obracanie, aż otrzymają konstrukcję na tyle małą, by zmieściła się w śluzie.

Z ulgą myślała o tym, że Victor, Segundo i Toron kontynuują poszukiwania. Prace z laserem nie powstrzymały akcji ratunkowej.

Oczywiście wysłanie szybkościanki nie uspokoiło jej całkowicie. W innych warunkach nie podjęłaby takiego ryzyka, zwłaszcza z udziałem jedynych dwóch mechaników w załodze. Gdyby coś im się stało, kto utrzymywałby statek w dobrym stanie technicznym? Nie Mono. Był zbyt młody, zbyt niedoświadczony. Ledwie nauczył się podstaw. Powinnam się nad tym zastanowić, nim zezwoliłam na tę misję, pomyślała. To nie było rozsądne. Ale co mogłam zrobić? Tylko Victor potrafi latać szybkościanką, a Segundo nie puściłby go, gdyby sam z nim nie leciał.

Laser znów zaczął ciąć.

Concepción patrzyła przez chwilę, a potem zawibrował jej komputer podręczny. Przyłożyła go do ucha i przyjęła połączenie. W głosie Edimar brzmiała panika.

- Wracaj! Ta kapsuła wraca! Jest już blisko i porusza się szybko. Dotrze do chmury pyłu za około dwadzieścia osiem minut.

Concepción rzuciła się do holostolu i przeciągnęła ręką przez holoprzestrzeń. Obrazy wideo zniknęły.

- Pokaż mi.

Ludzie wokół wzdrygnęli się, wyczuwając jej niepokój. W holoprzestrzeni pojawiła się mapa układu z punktami światła. Jeden był oznaczony jako „El Cavador”. Inne,

mniejsze, w bezpośrednim sąsiedztwie, przedstawiały szczątki włoskich statków. Concepción nie zwracała na nie uwagi i skupiła się na samotnym, odległym punkciku. Na jej oczach z punkciku położonego daleko w holoprzestrzeni komputer wygenerował trajektorię statku i doprowadził ją prosto do „El Cavadora”.

Załoga wpatrywała się w hologram. Każdy rozumiał, co to znaczy.

- Ile mamy czasu? - zapytał Selmo.

- Niecałe dwadzieścia osiem minut - odparła Concepción.

- Wszyscy na stanowiska! Ruszać się! - rozkazał Selmo. Ludzie posłuchali. Z korytarza wpłynął Dreó wracający z bocianiego gniazda.

- Edimar, obserwuj jego lot - powiedziała Concepción do komputera podręcznego. - W razie zmiany prędkości albo trajektorii zawiadom mnie natychmiast. - Zakończyła połączenie i odwróciła się do Dreó i Selmo. - Jakie mamy możliwości?

- Trudno powiedzieć - rzekł ten drugi. - Nie wiemy, z czym mamy do czynienia. Prawie nic nie wiemy o tej kapsule.

- Wiemy, że zniszczyła Włochów, jeden z najlepiej chronionych klanów - stwierdził Dreó. - Wiemy, że śmierć Włochów nie była przypadkowa. Kapsuła zniszczyła cztery statki, nie jeden. Tego nie można uznać za wynik błędu. Ona je starła w proch. To było zaplanowane zabójstwo.

- Zgoda - przytaknął Selmo. - Ale nie wiemy, czy nas też uważa za zagrożenie.

- Kieruje się prosto na nas. Nie po to, by zagrać w karty. Prawdopodobnie myśli, że stanowimy część flotyli Włochów. A z jakiegoś powodu uznała ich za zagrożenie. Nie wiemy dlaczego, ale możemy założyć, że Włosi jej nie sprowokowali. To byłoby głupie. Włosi nie sprowadziliby na siebie niebezpieczeństwa. Rozegraliby to ostrożnie. Czyli to coś zabiło ich na oślep. Ale moim zdaniem nawet nie musimy sobie odpowiadać na to pytanie. W tej chwili przyczyna nie jest ważna. Musimy wiedzieć, jak to się stało. W jaki sposób kapsuła starła ich w proch? Jakie możliwości ma jej broń? Czy może zaatakować z dużej odległości? Czy jesteśmy już w jej zasięgu? Zwróćmy uwagę na te szczątki. Krawędzie nie są proste. To nie wygląda na dzieło lasera. To

wygląda, jakby coś rozerwało te statki na strzępy. Jak to się stało? I, co ważniejsze, jak się mamy przed tym bronić?

- Może nie mamy jak - rzekł Selmo. - Jeśli kapsuła nie zniszczyła Włochów niewiarygodnie szybko, odpowiedzieliby ogniem. Użyliby wszelkiej broni, jaką mieli. A mimo to ich broń, znacznie silniejsza od naszej, najwyraźniej nie odniosła dużego lub żadnego skutku. Jak mamy się obronić, skoro Włochom się to nie udało?

- Co więc proponujesz? - zapytał Dreó. - Nie możemy uciec. Kapsuła jest za szybka. Z łatwością nas dogoni. Poza tym ucieczka tylko utrudnia obronę albo trafienie wroga laserami.

- Jeśli kapsuła widzi w nas wrogów, bo według niej jesteśmy jakoś powiązani z Włochami, to powinniśmy wyjść z tej chmury. Jeśli oddalimy się z tego miejsca, kapsuła może nie będzie nas kojarzyć z flotyllą Włochów i da nam spokój.

- Jeśli wyjdziemy z chmury, odsłonimy się - powiedziała Concepción. - W tej chwili najlepszą naszą obroną są te szczątki. Dają osłonę i prawdopodobnie oszukują czujniki kapsuły.

- Jeśli ona w ogóle ma jakieś czujniki - powiedział Dreó.

- Masz rację. Potrzebujemy informacji na temat kapsuły, a mogą nam ich dostarczyć jedynie ci rozbitkowie.

Concepción wstukała do komputera podręcznego polecenie i wywołała Bahzima, który kierował akcją ratowniczą. Opisała mu sytuację i zapytała, czy jest jakaś możliwość rozmowy z rozbitkami.

- Jedynym sposobem komunikacji z nimi jest pisanie na tabliczce świetlnej - odrzekł. - My piszemy, a oni udzielają prostych odpowiedzi przez kiwanie głową albo pisanie słów po jednej literze na okienku we włazie.

- Nie mamy na to czasu - stwierdził Dreó. - A rozbitkowie zmniejszają naszą zdolność manewrów. Połączeni z dużym fragmentem wraku nie będziemy mogli szybko się poruszać po tym obszarze. Przykro mi to mówić, ale musimy się zastanowić nad odcięciem ich.

- Nie ma mowy - rzekła Concepción.

- Potem po nich wrócimy.

- Nie przeżyją bez nas - zauważył Selmo. - Dostarczamy im tlen.

- Zastanów się. To jest dziewięć obcych osób. Czy chcemy zaryzykować wszystko dla obcych?

- To nie są obcy - rzekła Concepción. - W chwili, kiedy zaczęliśmy im pomagać, stali się częścią tej załogi. Koniec dyskusji. Selmo, każ górnikom zdjąć wsporniki i przyciągnąć linami wrak bliżej. To da nam większą sprawność manewrową. Dreó, skontaktuj się z szybkostatkiem. Niech Victor, Segundo i Toron natychmiast wracają.

Dreó się zawahał, jakby dalej chciał dyskutować, a potem udał się na swoje stanowisko.

Concepción zwróciła się do Selmo.

- Musimy zająć lepszą pozycję obronną. Chcę się schować za jakimś dużym wrakiem, jeśli da się taki znaleźć. I obsadź nasze pięć rozbijaczy kamyków najlepszymi ludźmi.

- To może nie wystarczyć.

- Będzie musiało - ucięła dyskusję Concepción.

* * *

Victor unosił się w szybkostatku, obserwując duży, poskręcany kawał złomu obok siebie. Ojciec i Toron wlecieli do środka przed godziną i Victor był bliski polecenia do wraku, by sprawdzić, co się dzieje. Właśnie kiedy zaczął rozwijać linę, która posłużyłaby mu jako prowizoryczne zabezpieczenie, w radiu zatrzeszczał głos.

- Szybkostatek, tu „El Cavador”. Słyszycie nas? Victorze, Toronie, Segundo, jeśli nas słyszycie, odpowiedzcie.

Victor upuścił linę. „El Cavador” posługiwał się radiem. Co to oznacza? Albo statek uznał, że kapsuły nie przyciągnęło radio, albo kapsuła nie stanowi już zagrożenia. W hełmie Victora rozległ się inny głos.

- „El Cavador”, tu Segundo, słyszymy was. Odbiór. Victor się uspokoił. Ojciec nie sprawiał wrażenia rannego.

- Tu Toron - odezwał się trzeci głos. - I Victor. Też tu jestem. Odbiór.

- Natychmiast wracajcie na statek - rozkazał Dreó. - Kapsuła leci do nas.

Ułga, jaką odczuł Victor, słysząc głos ojca, natychmiast zniknęła. Nie byli przygotowani na kapsułę; mieli raptem pięć

rozbijaczy kamyków. Włosi mieli aż dwadzieścia pięć, a kapsuła ich sprzątnęła. Ojciec zaczął zadawać pytania i Dreó podzielił się z nim swoją wiedzą.

- Nie możemy wrócić natychmiast - rzekł Segundo. - Wciąż jestem z Toronem w jednym z wraków. Do szybkostatku dotrzemy za dziesięć minut. Nie wrócimy do was na czas. Nie czekajcie. Jeśli musicie, uciekajcie lub zmieńcie miejsce postoju. Dogonimy was później, jeśli damy radę.

- Concepción się to nie spodoba - powiedział Dreó.

- Nie ma wyboru - odparł ojciec.

„El Cavadór” się wyłączył. Victor włączył swój nadajnik. Jeśli statek przerwał ciszę radiową, to on nie musi już jej przestrzegać.

- Co się stało, ojczu?

W głosie Segundo brzmiała powaga.

- Pierwszego znaleźliśmy Faroną. Martwego. W tym wraku było dużo ludzi, Vico. Nikt nie przeżył. Aby dotrzeć na tył wraku, musieliśmy wyciąć sobie drogę. Wiedzieliśmy, że to trochę potrwa, ale postanowiliśmy to zrobić. Nie opłacało się.

Victor milczał. Faron. Martwy. Tu, wewnątrz wraku. Czyli to „Vesuvio”, statek Jandy; jeśli mają ją gdzieś znaleźć, to zapewne tutaj. Faron trzymałby się blisko niej, chroniłby ją. A mimo to ojciec i Toron jej nie znaleźli; gdyby było inaczej, ojciec by powiedział.

Victor uświadomił sobie, że jej nie znajdą. Nigdy. To było nieprawdopodobne od początku, ale Victor trzymał się nadziei. Teraz ta szansa zniknęła. Alejandra nie żyje. Znalezienie dziewięciu rozbitków stanowiło cud.

Z włazu wyłonili się ojciec i Toron. Zwinęli bańkę i wrócili do szybkostatku. Toron sprawiał wrażenie nieobecnego. Doszedł do tego samego wniosku co Victor: Janda nie żyje.

Przez radio rozległ się głos Concepción.

- Przemieściliśmy się na bardziej obronną pozycję, ale jeśli macie dość powietrza, nie wracajcie. Kapsuła już tu prawie jest i będziecie bezpieczniejsi tam, gdzie jesteście. Udało nam się nawiązać łączność z rozbitkami i nieco się dowiedzieliśmy, co nam zagraża. Uważają, że kapsułę przyciąga ciepło. Zatrzymała się przy nich i przez kilka godzin nie działo się nic. Włosi

usiłowali nawiązać łączność, ale kapsuła nie odpowiadała. Nagle, bez żadnego powodu podleciała do rufy jednego ze statków, przywarła do niego chwytakami i zaczęła badać silnik długimi, cienkimi wiertłami, prawie jak igłami. Według rozbitków wiertła weszły do środka jak gorący nóż w masło, prawie w ogóle nie napotykając oporu. Statek wybuchł od środka, dlatego szczątki wyglądają jak rozdarte. Kapsuła nie została uszkodzona w żaden widoczny sposób. Nic się nie stało nawet tym igłowym wiertłom. Pozostałe statki uruchomiły lasery, lecz kapsuła przemieściła się szybko do silników drugiego statku i powtórzyła swoje działanie. Otrzymała kilka bezpośrednich trafień, ale jej kadłub jest niewrażliwy na lasery. Możliwe, że nas nie zaatakuję, ale jeśli będzie inaczej, zniszczymy ją. Bahzfm ma na zewnątrz zespół górników z odpowiednimi narzędziami. Jeśli kapsuła wyląduje na naszych silnikach, rozerwiemy ją na strzępy.

- Miała jakąś inną broń? - zapytał ojciec.

- Jeśli tak, to Włosi jej nie wykryli. Tylko te igłowe wiertła. Jest też o wiele mniejsza, niż sądziliśmy. Chyba cztery razy mniejsza od „El Cavadora”. Włosi sądzą, że jest zaprojektowana do wchodzenia w atmosferę, chociaż, sądząc po wyglądzie silników i kadłuba, prawdopodobnie w warunkach niezbyt dużej grawitacji. Mogłaby wylądować, powiedzmy, na Ziemi i ją opuścić, ale na Jowiszu miałyby kłopoty. To są jednak tylko domysły, i to niekoniecznie przydatne.

- Wszystko jest przydatne - stwierdził ojciec.

Szybko poinformował kapitan, że znaleźli ciało Farona i innych, lecz ani jednego żywego człowieka.

- Przykro mi słyszeć, że nikt nie przeżył. Kiedy zniszczymy kapsułę i przeprowadzimy naprawy, jeśli będą potrzebne, wznowimy poszukiwania. Tymczasem utrzymujcie swoją pozycję. Jeśli potem nie dostaniecie od nas wiadomości, wracajcie na „El Cavadora”. Może nie będziemy w stanie skontaktować się z wami, a prawdopodobnie będziecie potrzebni do pomocy przy naprawach. - Concepción przerwała na chwilę. - *Que Dios les proteja*. Niech Bóg ma was w swojej opiece.

- *Y ustedes tambien*. I ciebie też - powiedział ojciec. Radio zamilkło i przez chwilę nikt się nie odzywał.

- Uważa, że nie przeżyją ataku, prawda? - zapytał Victor.

- Chyba tak - odpowiedział ojciec. - I ma po temu wszelkie powody. Włosi starali się go powstrzymać i im się nie udało. Kapsuła zniszczyła wszystkie cztery statki, a walczyli rozpaczliwie do końca.

- „El Cavador” nie ma szans - rzekł Toron. - Kapsuła dostała laserem. Bezpośrednie trafienia. I nic. Nie możemy pozwolić, żeby dosięgła statku.

- Co proponujesz? - zapytał ojciec.

- Bahzfm wyprowadził na zewnątrz zespół z narzędziami. Takie same narzędzia mamy tutaj. Rozszerzacz, nożyce, zamrażacz. Jesteśmy bliżej kapsuły od nich. Nadleci z tego kierunku. Kiedy nas minie, zaatakujemy od tyłu. Będziemy musieli podejść nieco z boku, żeby uniknąć jej silników, ale wejdziemy na kadłub, jakoś się przymocujemy i zniszczymy wszystko, co się rusza. Może uda nam się unieruchomić te chwytaki czy igłowe wiertła. Wtedy kapsuła nie wyrzuci nikomu żadnych szkód.

- Będzie w ruchu - rzekł ojciec. - Możemy się rozminąć. -Zwrócił się do Victora. - Dopiero co nauczyłeś się tym latać. Dasz radę to zrobić? Możemy trafić w kapsułę?

Victor zamrugał. Chcieli zaatakować kapsułę. Sami. Sprzętem ratowniczym.

- Musiałbym wprowadzić kilka poprawek do programu, żeby dodać nam napędu. Ale nie będę miał systemu naprowadzania. To jak strzelanie z łuku, a strzałą będziemy my. Jeśli dobrze namierzę kapsułę i właściwie ocenię naszą prędkość, może się nam udać. Lecz muszę się opierać głównie na domysłach. Wyzwaniem będzie przymocowanie się do kadłuba, kiedy już do niego dotrzemy. Jak się zacumujemy? Musimy się go trzymać na tyle długo, żeby wyjść z narzędziami z szybkostatku.

- Zostaw to mnie - rzekł ojciec. - Ty się martw ustawieniem nas na pozycji do ataku. - Włączył radio. - „El Cavador”, tu Segundo. Podajcie mi trajektorię, prędkość i dokładne położenie kapsuły w stosunku do naszej obecnej pozycji.

- Co planujecie? - zapytała Concepción.

- Mały sabotaż. Może uda nam się ją trochę uszkodzić, zanim dotrze do was. I nie sprzeczasz się z nami. Wiesz, że to ma sens pod względem taktycznym i my to zrobimy bez względu na to,

czy się zgodzisz. A będziemy mieli większą szansę powodzenia, jeśli nam pomożecie.

- Selmo poda wam współrzędne - odpowiedziała po chwili. - Bądź ostrożny, Segundo. Potrzebuję moich dwóch najlepszych mechaników i obserwatora nieba żywych.

- Potrzebujesz wszystkich na pokładzie „El Cavadora” żywych - odparł ojciec.

Selmo podał współrzędne. Te liczby dla Victora znaczyły niewiele, lecz dla Torona, obserwatora nieba, współrzędne były drugim językiem, którym płynnie się posługiwał. Nawet bez przyrządów, patrząc jedynie na otaczające ich gwiazdy, Toron dokładnie wiedział, skąd przybędzie kapsuła. Podał wskazówki Victorowi, który przeleciał przez chmurę szczątków, skręcając kilka razy, aż Toron uznał, że znajdują się na właściwej pozycji. Victor uruchomił silniki hamujące i ustawił się w plamie cienia za dużym fragmentem zniszczonego statku.

- Przeleci właśnie tędy. - Toron machnięciem ręki pokazał im przewidywaną trajektorię.

Victor obrócił statek dziobem w odpowiednim kierunku. Toron wypatrywał kapsuły z wyświetlaczem wewnątrzhełmowym nastawionym na największe zbliżenie. Ojciec gorączkowo pracował za Victorem, przygotowując haki do lin. Odcinał pręty ze ścian szybkośćstatku i je zaginał.

Kilka minut później Toron dostrzegł kapsułę.

- Tam! - Pokazał ręką.

Victor wyteżył wzrok i zrobił zbliżenie. Początkowo nic nie zobaczył. Pole widzenia zasłaniały mu szczątki, a przenikający przez nie blask słońca był przytłumiony i przemieszany z długimi cieniami, które utrzymywały większość najbliższego otoczenia niemal w ciemności.

I wtedy ją ujrzał. A przynajmniej uchwycił jakiś ruch w oddali, za rozrzuconymi szczątkami.

Nagle pole widzenia się oczyściło i ukazała się cała kapsuła. Victor zmartwiał. To był statek, owszem, ale z wysuniętymi chwytakami i igłowymi wiertłami przypominał owada o gładkim pancerzu. Nie był to wytwór człowieka. Cokolwiek go pilotowało, nie mogło być człowiekiem. Nie miał kształtu przeznaczonego dla ludzi. Wydawał się zbyt wąski. I co to jest tam, na dziobie?

Napęd? Po raz pierwszy za swojej pamięci Victor napotkał nierozwiązywalny problem mechaniczny. Zwykle patrzył na inne statki i z samego ich kształtu, rozmieszczenia czujników i silników wiedział, w jaki sposób latają i działają. Jeśli przyglądał im się wystarczająco długo, potrafił zrozumieć zasady funkcjonowania nawet tych statków, o których nie czytał i których projekty były mu całkowicie nieznane.

Z wyjątkiem tego. Gdyby nie widział, jak kapsuła leci przed nimi w przestrzeni kosmicznej, gdyby widział tylko jej obraz w sieciach, nie uwierzyłby, że to w ogóle jest statek. Nie uwierzyłby, że istnieje.

Uświadomił sobie, że „El Cavador” jej nie powstrzyma. Conception nie jest na to przygotowana. Nikt nie jest przygotowany na coś takiego.

- Co to za diabelstwo? - zapytał Toron.

- Nieważne - odparł ojciec. - Nie musimy rozumieć. Musimy ją zatrzymać. Sprawdźcie uprząż. Liny mają być dobrze zabezpieczone. Jeśli nie będziecie przywiązani i się obsuniecie, zginiecie. Użyjcie magnesów na rękach i butach. Przypnijcie drugą parę magnesów do kolan. Przyłgnijcie do kadłuba na płask. Nie chodźcie, tylko pełzajcie. Toronie, kiedy tylko wylądujemy, wyjmij narzędzia. Najpierw zajmijmy się igłowymi wiertłami i chwytakami. - Ojciec sięgnął do hełmu i włączył kamerę. Zamierzał wszystko nagrać. - Potrafisz to zrobić, Vico. Zaczekaj, aż kapsuła nas minie. Potem zrównaj się z nią i wyląduj na powierzchni kadłuba.

Tak, pomyślał Victor. Wyląduj na jej powierzchni. Jakie to proste. Po prostu posadź szybko statek - który nie jest przeznaczony do pilotowania, w ogóle nie jest przeznaczony do przewozu ludzi i ma tylko podstawowe przyrządy pilotażowe - na poruszającym się obcym celu. Łatwe.

Obserwował zbliżającą się kapsułę. Zwolniła i zanurzyła się w chmurę szczątków, a mimo to wciąż poruszała się szybciej, niż Victor uważał za bezpieczne. Pomyślał, że musi być niewiarygodnie zwrotna. I właśnie, kiedy się nad tym zastanawiał, kapsuła z nieludzką zwinnością zrobiła unik, omijając kawał złomu, a następnie wróciła na poprzedni kurs. Jak owad latający, który z łatwością pomyka nagle w bok i zaraz wraca w to samo

miejsce. Jak on ma wylądować na czymś, co potrafi tak szybko zmieniać kierunek?

Minęło dziesięć sekund. Kapsuła zbliżała się i rosła w oczach. Przez straszną chwilę Victor myślał, że zmierza wprost na nich, że zobaczyła, jak się poruszają między szczątkami, i postanowiła ich zaatakować. Ale nie, powoli zaczęła zbaczać. Znajdowali się obok jej trajektorii, nie na niej.

W końcu kapsuła minęła ich w odległości niecałych stu metrów, zgrabna, gładka i szybka.

Victor przeciągnął po ekranie swojego komputera podręcznego palcem w dół i ruszyli. Wcześniej zaprojektował tarczę umożliwiającą zwiększanie napędu przez przeciąganie palcem po ekranie, lecz kiedy tylko statek wystartował, Victor zrozumiał, że źle ocenił jego możliwości. Przyśpieszali zbyt szybko. Zamierzał zacząć powoli i przyśpieszyć na końcu, lecz było już za późno. W ostatnich chwilach tuż przed uderzeniem będzie musiał polegać na silnikach hamujących.

Szybkostatek nie mierzył w kapsułę, lecz w punkt przestrzeni przed nią, gdzie według obliczeń oba statki miały się spotkać. Victor wiedział, że musi być bardzo dokładny. Gdyby się spóźnił, dostaną się pod tylne silniki kapsuły i spłoną w emitowanej przez nie wysokiej temperaturze czy promieniowaniu. Gdyby przybył na miejsce za wcześnie, znajdą się na drodze kapsuły, która ich zmiażdży podczas kolizji. Musiał trafić w jej kadłub. I to nie pod zbyt ostrym kątem, bo tylko się od niej odbiją albo, co gorsza, zderzą z nią i zginą na miejscu.

Kapsuła znajdowała się nieco z przodu po prawej stronie. Uświadomił sobie, że poruszają się za szybko i że minie cel.

- Będziemy manewrować - powiedział. - Złapcie się czegoś.

Włączył silniki hamujące na ćwierć mocy. Nagłe zwolnienie sprawiło, że poczuł nacisk pasów bezpieczeństwa. A kiedy uznał, że zwolnili już wystarczająco, zgasił silniki hamujące, włączył napęd i znów rzucił szybkostatek do przodu. Odczekał chwilę i wyłączył napęd. Teraz dryfowali szybko, zbliżając się do kapsuły.

Jeszcze trzy sekundy. Dwie. Jedna.

Uderzenie było mocne i Victorem szarpnęło w pasach. Znów włączył napęd, żeby się nie odbić, ale już czuł, że statek

skręca. Zobaczył przelatującego obok ojca i przez moment myślał, że ojciec siłą bezwładności został wyrzucony ze statku. Lecz nie, wystartował do przodu, wykorzystując prędkość i siłę uderzenia do wydostania się z szybkozatku, i rzucił się na kapsułę. Rozwijały się za nim dwie liny, a w uniesionej ręce trzymał hak. Uderzył o powierzchnię kapsuły i zaczepił hak o podstawę jednego z długich chwytaków. Zarzuciło go i gdyby nie lina przymocowana do uprzęży, która napięła się i gwałtownie przyciągnęła go z powrotem do kadłuba, odleciałby w przestrzeń kosmiczną.

Teraz napięła się lina przymocowana do haka i szybkozatek wrócił do kapsuły jak wahadło, mocno uderzając w jej bok. Przez chwilę Victor był oszołomiony i zdezorientowany, a potem wyrwał się z pasów i wypełził na zewnątrz. Z ulgą poczuł, jak buty z magnesami przywierają do kadłuba. Toron znajdował się tuż za nim; w dłoniach trzymał ochraniacze z magnesami, co ułatwiało mu pełzanie, a na plecach miał przymocowane dwie pary nożyc hydraulicznych.

Victor chwycił zamrażacz i podpełzł do przodu. Toron był tuż obok. Nad ich głowami śmignęły jakieś kawałki złomu. Dotarli do ojca. Toron podał mu jedną parę nożyc; Segundo natychmiast włączył hydraulikę. Zamierzali usunąć wiertła, ale przymocowany do chwytaka ojciec zajął się najpierw nim. Zęby nożyc zahaczyły o metal, lecz się w niego nie wgryzły. Spróbował jeszcze raz, ustawiając zęby pod innym kątem - znów bez efektu.

- Nie mogę się przebić. Ten metal jest nie do ruszenia.

- To co robimy? - zapytał Toron.

- Vico, przyłóż zamrażacz do podstawy chwytaka. Odbierzemy mu ciepło. Kiedy zamarznie, stanie się kruchy.

Victor szybko zaczepił pazur zamrażacza o cienki chwytak, a potem obserwował licznik pokazujący szybki spadek temperatury metalu.

Po dziesięciu sekundach ojciec powiedział:

- Wystarczy. Zabierz go.

Victor odłączył pazur. Ojciec natychmiast znalazł się z nożycami przy zamrożonym miejscu. Tym razem się przebiły. Metal popękał, rozszedł się i rozsypał. Chwytak oddzielił się od kapsuły i unosił obok nich, lecz ojciec zaraz go odepchnął.

Jeden chwytak zlikwidowany. Zostały jeszcze trzy. Oraz wiertła.

- Ten następny - zarządził Segundo i wskazał chwytak oddalony o dwa metry na prawo. Victor zaczął pełznąć ku niemu za ojcem; po gładkiej powierzchni przesuwając kolana uzbrojone w magnesy. Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Zatrzymał się, odwrócił w stronę dziobu i zobaczył otwierający się właz. Wyłoniła się z niego postać w skafandrze ciśnieniowym i hełmie. To nie był człowiek. Stwór wielkości trzech czwartych człowieka miał dwie pary rąk i jedną parę nóg. Błyskawicznie zaczął przesuwać się w stronę intruzów, trzymając się powierzchni wszystkimi sześcioma kończynami. Ciągnął się za nim wąż dostarczający powietrze.

Victor nie mógł się poruszyć. Zesztywniał ze strachu.

Stwór zatrzymał się, unióśł głowę. Wtedy Victor zobaczył jego twarz. To właściwie nie był owad - miał skórę, futro i mięśnie. Ale był podobny do mrówki. Duże czarne oczy. Małe usta ze szczypcami i wyrostkami przypominającymi zęby. Dwa sterczące czułki zaginające się w dół nad twarzą.

- *Son hormigas*. To są mrówki - powiedział Toron.

Stwór poruszył głową, rozglądając się. Zobaczywszy, że Victor ma największe i może najgroźniejsze narzędzie, wystrzelił ku niemu z uniesioną pierwszą parą rąk.

Victor wrzasnął. Ręce już miały go schwycić, lecz w głowę hormigi uderzył tępy koniec nożyc i napastnik się przewrócił.

- Pomóż ojcu! - krzyknął Toron. - Ja go powstrzymam. Stwór ześliznął się po kadłubie, a potem odpadł od kapsuły.

Zaczął wirować, lecz jego wąż napiął się i utrzymał go; kiedy tylko hormiga się otrząsnął, wspiał się po wężu, jakby to był słup, i wrócił na kapsułę. Toron pośpieszył do węża i przeciął go szybkim ruchem nożyc. Na zewnątrz wydostało się powietrze, a stwór rzucił się na górniką i przygniótł go do kadłuba. Victor chciał pomóc, ale ojciec był szybszy.

- Zaczep zamrażacz o ten chwytak! - krzyknął, pełznąć ku walczącemu. - Już!

Chłopak zaczepił pazur o podstawę chwytaka. Nastawił moc na maksimum i wyciągnął tyle ciepła, ile się dało. Obejrzał się na ojca i Torona i zobaczył, że stwór zniknął, strącony z kapsuły.

Toron leżał na plecach z magnesami przekreconymi w zgięciu kolan. Ojciec klęczał nad nim i zaciskał mu kombinezon na brzuchu.

- Pomóż mi - stęknął.

Chłopak zbliżył się i od razu zobaczył, że Toron jest ciężko ranny. Przód kombinezonu miał rozerwany i zakrwawiony. Ojciec rozpaczliwie usiłował złączyć poszarpane krawędzie. Toron kaszłał krwią.

- Co mam robić? - zapytał Victor.

- Musimy uszczelnić kombinezon. Pośpiesz się. Victor poszukał w torbie u pasa taśmy.

Każdy kombinezon miał system bezpieczeństwa na wypadek przebicia powłoki: wewnątrz zaciskały się pasy i wypełniały się pianką uszczelniającą pierścienie, które odcinały przebity obszar i nie dopuszczały do wycieku tlenu. Bez tych awaryjnych uszczelnaczy człowiek szybko tracił całe powietrze i umierał w ciągu najwyżej trzydziestu sekund. Kłopot w tym, że uszczelnienia nigdy nie były idealne. Powietrze uchodziło czasem szybko, czasem powoli, ale zawsze znajdowało sobie ujście. Uszczelniacze miały dać człowiekowi najwyżej kilka dodatkowych minut, żeby zdążył dotrzeć do statku, zanim się udusi lub zanim zaczną wrzeć jego płyny ustrojowe. Taśma mogła zakleić niewielkie przebicie, ale była mało skuteczna przy tak dużym rozdarcu.

Victor znalazł taśmę i nacisnął znajdujący się z boku szpulki mechanizm, który wysuwał odcinek metrowej długości.

- Przyłóż ją tutaj, gdzie trzymam palce - powiedział ojciec. - Prędej!

Kombinezon był przesiąknięty krwią i taśma się nie kleiła.

- Najpierw musimy zatrzymać krwawienie - stwierdził chłopak. - Zastosować ucisk na ranę.

- On traci powietrze.

- Jeśli uszczelnimy rozdarcie, wykrwawi się na śmierć. Victor poczuł na ręce czyjaś dłoń. To była dłoń Torona, który patrzył na niego.

- Znajdź moją córkę. Szukaj. Spraw, żebym nie umarł na próżno.

- Nie umrzesz. Dostarczymy cię na statek - powiedział Victor, chociaż wiedział, że to nieprawda.

Toron usiłował się uśmiechnąć.

- Nie sędzę.

- Połóż dłoń na ranie i trzymaj ją tam - powiedział ojciec do Victora. - Spróbuję uszczelnić kombinezon nad twoją dłonią.

Toron odwrócił głowę do ojca.

- Zawsze coś naprawiasz, co, kuzynie? Ale to leży poza twoimi umiejętnościami. - Znów zakaszłał i się skrzywił, a potem syknął z bólu. Ojciec trzymał go za rękę. Ból minął i kiedy Toron znów się odezwał, głos miał zduszony i słaby. - Ocal statek. Ocal Lolę i Edimar. Obiecuj mi to.

- Obiecuję.

- Byłem surowy dla Edimar. Byłem niedobrym ojcem.

- Przestań mówić - powiedział łagodnie ojciec. Toron znów się skrzywił.

Ojciec podał Victorowi nożyce.

- Odetnij chwytak.

Victor się zawahał. Nie chciał odchodzić od Torona.

- Teraz, Vico.

Victor popęzł po kadłubie kapsuły. Odciągnął pazur zamrażacza. Metal był popękany i kruchy. Victor włączył nożyce i drugi chwytak poszedł w ślady pierwszego.

- Nie przerywaj. Teraz zlikwiduj jedno z wiertł. Bez względu na to, co się stanie, pracuj dalej. Odłam ich jak najwięcej.

Z włazu wyłoniła się kolejna postać. Ojciec miał w ręku drugą parę nożyc. Rzucił się na stwora, wciąż pochylony, dźgając nożycami. Victor dotarł do wiertła. Było węższe od chwytaka. Zaczepił pazur i czekał, aż zamrażacz zrobi swoje. Zerknął w bok i zobaczył, że ojciec walczy ze stworem. Atakował go nożycami, lecz obcy z łatwością blokował uderzenia. Jeśli Victor nie pomoże, wkrótce zyska przewagę.

Chłopak spojrzał na liczniki zamrażacza. Gotowe. Szybko zdjął pazur z wiertła i przeciął je nożycami. Kiedy odpadło, odepchnął je dalej od siebie i znów rzucił okiem na ojca. Stwór wisiał nieruchomo w przestrzeni na końcu swojego węża, okaleczony nożycami. Ojciec podpełzł do przodu i przeciął wąż, odcinając stwora od statku.

- Nie jesteś ranny? - zapytał Victor.

- Nie. Rób swoje - odpowiedział zadyszany ojciec.

Victor podpełzł do następnego wiertła, zamroził je, odciął i odepchnął.

Zbliżali się do „El Cavadora”. Victor widział go w oddali. Ojciec zaglądał przez właz do środka kapsuły. Otwór był niewielki, zbyt wąski na jego ramiona.

- Tam jest jeszcze jeden.

Sięgnął nożycami do wnętrza. Wywiązała się zacięta walka. Ramiona ojca podrygiwały w prawo i w lewo. Stwór miał niewiarygodną siłę, wydawało się, że magnesy nie wytrzymają i Segun-do zostanie wyrzucony w przestrzeń.

W końcu przestał się miotać. Odetchnął, odkaslnął i powiedział ze zmęczeniem:

- Nie żyje. - Poświecił do otworu. - To kabina pilota. Nie widzę żadnego innego wejścia oprócz tego włazu. Żadnych drzwi. Ci trzej to chyba była cała załoga.

Victor podpełzł bliżej.

- Musimy zatrzymać kapsułę. Widzisz jakieś przyrządy?

- Widzę mnóstwo dźwigni i tarcz. I kilka ekranów, ale widać na nich tylko obrazy. Nie ma danych. Żadnego pisma, symboli, instrukcji, nic, co sugerowałoby pomiary, współrzędne albo kierunki. Nie mam pojęcia, jak to zatrzymać.

Chłopak zajrzał do kabiny. Stwór przecięty na pół unosił się bezwładny i ociekający jakimś płynem. Victor odwrócił wzrok; zalała go nagle fala mdłości. Poświecił na konsolę, która stanowiła pierścień wokół przedniego okna naszpikowany dziesiątkami dźwigni i włączników.

- Powiększmy ten otwór - powiedział. - Zamrozę go. Będę przesuwiał zamrażacz wokół włazu, a ty tnij za mną.

Ścisnął wewnętrzny pierścień włazu pazurem zamrażacza, następnie powoli przesunął go wzdłuż obwodu, a ojciec rozcinał metal. Pracowali szybko. Kiedy skończyli, otwór był wystarczająco szeroki, by zmieścić się w nim człowiek. Victor odepchnął stwora zamrażaczem i spłynął do konsoli. Dźwignie były różnych rozmiarów i kształtów, lecz nic nie sugerowało ich przeznaczenia. Żadnych oznaczeń, słów, cyfr, nic. Na pewno niektóre obsługiwały wiertła i chwytaki, a inne silniki. Ale które? Victor rozejrzał się, szukając wskazówek. Pomieszczenie było duże i wypełniał je rozmaity sprzęt, jakieś

długie rury z mętnymi gazami i dziwne rośliny. Na ekranach widniały obrazy Drogi Mlecznej, Układu Słonecznego i lekko zamazanej planety.

- To Ziemia - powiedział ojciec. Victor też tak myślał.

- Ale nie ma danych. Żadnych podpisów, żadnych oznaczeń. Tylko obrazy. Nagrywasz to wszystko?

- Staram się.

Chłopak z powrotem skupił uwagę na konsoli. Jak rozpoznać przeznaczenie którejkolwiek z dźwigni? Zdał sobie sprawę, że to na nic.

- Kłopoty - powiedział ojciec, pokazując palcem za okno. Victor wyjrzał na zewnątrz. Kapsuła zmierzała w stronę

dużego fragmentu statku znajdującego się w odległości kilku kilometrów.

- Nie umiemy jej zatrzymać - rzekł ojciec. - Musimy się ewakuować.

- Daj mi chwilę - poprosił Victor i sięgnął do jednej z dźwigni. Pociągnął ją do siebie i do przodu wysunął się jeden z chwytaków.

- Nie mamy czasu, Vico.

- Trzeba uratować kapsułę, ojciec. Tu mogą być informacje. Szczątki się przybliżały. Kapsuła miała się z nimi zderzyć lada moment. Victor przyglądał się dźwigniom. Trzy były podobne do tej, którą przed chwilą pociągnął. Zapewne obsługiwały chwytaki; nie interesowały go.

- Uciekajmy - powiedział ojciec.

Victor poruszył inną dźwignię i statek lekko przyspieszył.

- Prrr! - krzyknął Segundo.

Victor poruszył dźwignię w przeciwną stronę i statek zwolnił, lecz niewystarczająco.

- Pociągnij dalej.

- Dalej już się nie da.

Prawie zrównali się z bryłą złomu. Była co najmniej cztery razy większa od kapsuły; ze wszystkich stron sterczały z niej poskręcane wsporniki i pogięte płyty. Ojciec chwycił Victora za rękę.

- Rusz się! Już!

Victor wypełził na kadłub, ojciec tuż za nim. Okrył ich cień rzucany przez wrak. Od uderzenia dzieliło ich kilka sekund.

- Skaczemy! - krzyknął ojciec. - Odczep swoją linę. Victor zaczął się mocować z karabinkiem na swojej uprzęży.

Palce mu się ślizgały i nie mógł go odpiąć. Trzask! Ojciec przeciął linę nożycami.

- Ruszaj!

Odbili się w górę. Victor obejrzał się. Kapsuła uderzyła we wrak. Sterczące z niego wsporniki przebiły okno kabiny. Szkło rozprysło się i odpłynęło migotliwie w przestrzeń kosmiczną. Szybkostatek - wciąż przycumowany do kapsuły - pomknął do przodu, obracając się niezdarnie, zderzył się ze złomem i odbił od niego. Pył i drobne szczątki rozprzestrzeniły się we wszystkich kierunkach.

- „El Cavador”, „El Cavador”! - wywoływał ojciec. - Czy mnie słyszycie? Odbiór.

Rozbite statki pod nimi stawały się coraz mniejsze. Victor i Segundo wciąż płynęli w górę dzięki mocnemu odbiciu. Nie byli do niczego przywiązani, w rękach nie mieli nic, czym mogliby zatrzymać ruch. Wystartowali pod nieco odmiennymi kątami i teraz odległość między nimi rosła z każdą sekundą. Jeśli statek macierzysty natychmiast ich nie przejmie, będą tak lecieć bez końca.

- „El Cavador”, czy mnie słyszycie?

Na linii rozległ się trzask, a potem głos Concepción.

- Widzimy was. Lecimy po was.

Victor obejrzał się i zobaczył statek wylaniający się zza chmury szczątków.

- Najpierw weźcie na pokład Vico.

- Bierzemy was obu - odparła Concepción.

Victor odwrócił głowę do ojca, który z każdą chwilą robił się coraz mniejszy.

- Toron nie przeżył - rzekł ojciec.

- Wiemy.

Statek zatrzymał się obok Victora. Ze śluzy wyskoczył górnik z węzem i chwycił chłopaka. To był Bahzfm.

- Mam cię, Vico!

Victor przywarł do niego. Bahzfm włączył napęd i zawrócił w stronę „El Cavadora”. Dalej inny górnik dogonił Segundo.

Victor, dopiero, kiedy był pewny, że ojciec jest bezpieczny, spojrzał w dół. Wraki wraz z Toronem już zniknęły wśród pyłu i innych szczątków.

Rozdział 15

Ostrzeżenia

Dwa dni później Victor przyszedł na zebranie Rady zwołane w fudze. Poszukiwania kolejnych rozbitków okazały się bezskuteczne. Miał nadzieję, że dołączy do ratowników i odnajdzie Jandę, ale Concepción poprosiła, by wraz z ojcem spróbowali odzyskać z wraków jakieś części zapasowe. To także nie gwarantowało powodzenia, ale gdyby Victorowi i Segundo udało się znaleźć dość części, by zbudować nadajnik laserowy, mogliby przywrócić statkowi łączność dalekiego zasięgu. Ojciec uprzedził, że to jak szukanie igieł w stogu siana, który został rozrzucony po olbrzymiej łące, ale się zgodził. Kiedy wrócili z Victorem bez niczego, Concepción zwołała zebranie Rady.

Pojawiło się na nim dziewięcioro włoskich rozbitków Stali z boku zbici w gromadkę; na ich twarzach wciąż malowały się siady przeżytej grozy. Żaden nie został poważnie ranny w ataku kapsuły, lecz wszyscy sprawiali wrażenie załamanych. Kilka tygodni wcześniej, kiedy Włosi cumowali do „El Cavadora” byli pełni radości życia. Teraz, milczący, smutni i znękani, wyglądali jak duchy. Przez ostatnie dwa dni cierpliwie czekali na powrót grupy poszukiwawczej i jakiejkolwiek informacji o bliskich. Oba dni przyniosły rozczarowanie.

- Kończę poszukiwanie rozbitków - oznajmiła Concepción. Sprzeciwił się temu Jeppe, starszy Włoch, który stał się przedstawicielem ocalonych.

- Muszą być jeszcze miejsca, których nie przeszukaliśmy.
- Nie ma. Wiem, że to bardzo bolesne, ale wszyscy musimy zaakceptować fakty i stąd odlecieć.

- A co z ciałami? Nie możemy ich tam zostawić.

- Możemy i zostawimy - powiedziała Concepción. - Bezpieczne sprowadzenie ich na statek trwałoby wiele tygodni, a już przebywamy tu za długo. W innych okolicznościach przyznałabym ci rację, ale to nie są normalne okoliczności. Musimy się stąd ruszyć. Przypominam, że wśród zabitych jest troje członków mojej rodziny. Wszyscy ponieśliśmy ofiary.

Z załogi „El Cavadora” zginęli Toron, Faron i Janda. Górnicy nie odnaleźli jej ciała, a po zakończeniu poszukiwań nie odnajdzie go już nikt inny. Victor przywołał w pamięci obraz umierającego Torona, błagającego go, by znalazł Alejandrę.

- Naszym głównym zadaniem teraz jest ostrzeżenie Ziemi, Luny i wszystkich, którzy znajdują się w pasach asteroid, przed statkiem zbliżającym się niemal z prędkością światła - ciągnęła Concepción. - Kapsuła stanowi niepodważalny dowód, że statek jest obcy i że kierujący nim gatunek ma złe zamiary. Nie mamy nadajnika laserowego, więc nie zdołamy ostrzeżenia wysłać natychmiast. Radio działa, ale wątpię, czy bez laselinii uda nam się wysłać ukierunkowaną wiadomość na taką odległość. Proponuję wyznaczyć kurs na Stację Wagową Cztery i wzywać ją po drodze. Oni wyślą ostrzeżenie laselinia.

- Zgoda - rzekł Dreó. - Ale wysłanie takiego ostrzeżenia nie załatwia sprawy. Nie możemy liczyć, że nasza wiadomość dotrze do celu. Nadal znajdujemy się bardzo daleko od Ziemi. Każda wiadomość, którą wyślemy w tym kierunku, musi przejść po drodze przez wiele rąk i stacji przekaznikowych. Jeśli wiadomość nie zostaje przekazana, jeśli zatrzymuje się gdzieś w tym łańcuchu, ginie na zawsze. To się ciągle zdarza. Wiesz, jak działają stacje przekaznikowe. Priorytet mają korporacje i płatne konta. Ich wiadomości są przekazywane najpierw. Komputery robią to automatycznie. My jesteśmy wolnymi górnikami, szumowinami kosmosu, niedouczone robotami. Pracownicy stacji będą odsuwać nasze wiadomości na bok do wysłania wtedy, gdy znajdzie się miejsce na serwerze.

- Oznaczmy wiadomość jako pilną - powiedziała Concepción. - Nadamy jej wysoki priorytet.

- Oczywiście - zgodził się Dreó. - Ale to jest nadużywane. Niektóre klany oznaczają wszystkie swoje wiadomości, jako pilne w nadziei, że zostaną szybko wysłane. Kiedy pracowałem dla korporacji, cały czas miałem do czynienia z tymi stacjami. Jako pilne jest oznaczanych siedemdziesiąt do osiemdziesięciu procent otrzymywanych przez nie codziennie laselinii, chociaż większość z nich wcale nie jest pilna ani ważna. Słowo „pilne” nic nie znaczy.

- Mamy mnóstwo dowodów - odezwał się Segundo. - Zapis z kamery w hełmie pokazuje, że w kapsule był obraz Ziemi. Oko przekazało nam dane wskazujące, że statek zmierza w jej kierunku. Mamy relacje świadków, że kapsuła zaatakowała bez powodu. Mamy nawet samych hormigów na wideo. Nikt nie może tego obalić.

- Owszem, ale nikt tego nie zobaczy, dopóki nie otworzy wiadomości - odparł Dreó. - A stacje przekaźnikowe tego nie robią. Nawet gdyby jakimś cudem ktoś przeczytał naszą wiadomość, mógłby zlekceważyć dowody, jako mistyfikację albo efekt awarii naszego sprzętu. Jeśli tak pomyśli, nie tylko jej nie przekaże dalej, ale ją skasuje.

- W twoich ustach brzmi to beznadziejnie - odezwała się matka Victora.

- Jestem realistą - stwierdził Dreó. - Mówię wam, jak działa ten system.

- Zaangażujemy w to inne klany i rodziny - zaproponował Segundo. - Powiemy im, gdzie mają patrzeć w dalekim kosmosie, co zresztą powinniśmy zrobić dawno temu. Kto ma skaner nieba tak dobry, jak nasze Oko, wykryje statek i wyśle na Ziemię wiadomość ostrzegawczą. Jeśli stworzymy falę ostrzeżeń, jeśli narobimy dość hałasu, coś się przedostanie.

- Zapewne - zgodził się Dreó. - Ile mamy czasu, zanim statek dotrze do pasa Kuipera? Pół roku? Rok?

- Edimar poinformuje nas o jego trajektorii i pozycji - powiedziała Concepción.

Ludzie się rozstąpili i przepuścili dziewczynkę. Victor zobaczył ją po raz pierwszy od śmierci Torona. Sprawiała wrażenie wyczerpanej. Współczuł jej z całego serca. W ostatnich dniach straciła siostrę i ojca. A teraz, po jego śmierci, dźwigała

przytłaczającą odpowiedzialność idącą w parze z pełnieniem funkcji jedyne go obserwatora nieba w rodzinie. Twarz miała bez wyrazu i Victor wiedział, że Edimar jak zawsze ukrywa ból, chowa wszystko w sobie, zamyka się przed innymi.

- Wiemy teraz ze sporą pewnością, że trajektoria statku styka się z Ziemią - zaczęła. - W każdej chwili statek mógłby zmienić prędkość, ale uwzględniając jego obecny stopień hamowania, można ocenić, że przybędzie na Ziemię za nieco ponad rok.

Wśród członków Rady rozległ się pomruk niepokoju.

- Jeśli chodzi o pas Kuipera, mamy oczywiście o wiele mniej czasu - mówiła dalej Edimar. - Analizowałam dane wiele razy i wygląda na to, że statek znajdzie się stosunkowo blisko nas za niecałe cztery miesiące.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Zrobiło się głośno, zapanował chaos.

- Proszę o spokój! - odezwała się Concepción. - Dajcie Edimar skończyć.

Rozmowy ucichły.

- W takim czasie nie dotrzemy nawet do Stacji Wagowej Cztery - rzekł ktoś spod ściany.

- Masz rację - przytaknęła Edimar. - Przeprowadziłam obliczenia. Obcy statek prawdopodobnie minie stację, zanim tam dolecimy.

- Minie? - zapytał Dreó. - Chcesz powiedzieć, że przeleci blisko niej?

- Nie zderzą się. Ryzyko jest bardzo niewielkie. Stacja Wagowa Cztery znajdzie się sto tysięcy kilometrów od trajektorii statku. To powinna być bezpieczna odległość.

- W warunkach kosmicznych to wcale nie jest daleko - powiedziała matka Victora. - To tylko jedna czwarta odległości Ziemi od Księżyca. Niepokojąco blisko. Musimy ruszać w tej chwili, by ostrzec stację jak najszybciej.

- Nasze ostrzeżenie jednak musi być bardzo jasne - rzekł Dreó. - O kapsule wiemy dużo, ale o statku mniej. Czy wiemy chociaż, jaki jest duży?

- Dokładnie rozmiarów nie znamy - odparła Edimar. - Zmierza w naszą stronę, więc nie widzimy jego długości, tylko dziób. Ale nawet on jest duży. Ma średnicę, co najmniej kilometra.

Tym razem oszołomieni zebrani zareagowali milczeniem. Victor pomyślał, że Edimar się przejęczyła. Kilometr? I to jest szerokość statku, a nie długość! Tu musi być błąd.

- Kto chce, może sprawdzić moje obliczenia - powiedziała Edimar. - Mam nadzieję, że udowodni mi pomyłkę. Ale nie znajdzie. Sama w to nie uwierzyłam, dopóki nie sprawdziłam piąty raz. Ten statek jest wielki.

I pełen stworów jak te, które zabiły Jandę, Torona i Włochów, pomyślał Victor. Ile ich może się zmieścić w statku tej wielkości? Tysiące? Dziesiątki tysięcy? A co z kapsułami i innymi uzbrojonymi statkami? Ile kapsuł można wcisnąć do statku o średnicy kilometra?

Uświadomił sobie, że wysłanie laselinii nie wystarczy. Dreó miał rację. Ostrzeżenie może nie trafić do adresata, a wtedy Ziemia zostanie zaskoczona. Potrzebujemy planu awaryjnego, pomyślał. Potrzebujemy sposobu na jak najszybsze dostarczenie dowodów na Ziemię, i to do właściwych rąk. Żadnych opóźnień, żadnych pośredników przetrzymujących czy kasujących wiadomości. Potrzebujemy kogoś na Ziemi, kto przedstawi dowody przywódcom politycznym, agencjom rządowym. Tylko w ten sposób ostrzeżenie będzie skuteczne.

W tej chwili zrozumiał, co musi zrobić.

- Szybkostatek - powiedział. Wszyscy odwrócili się do niego.

- Musimy wysłać na Lunę szybkostatek. Laselinia to jeden sposób wysłania ostrzeżenia, ale nie powinien być jedyny. Jeśli Dreó ma rację, wiadomość może się nie przedrzeć. Nie wolno nam tak ryzykować. Musimy mieć drugi sposób ostrzeżenia Ziemi.

- Co sugerujesz? - zapytała Concepción. - Mamy umieścić wszystkie dowody w sześcianie z danymi i wysłać go szybkostat-kiem na Lunę?

- Jeśli po prostu umieścimy sześcian na statku, prawdopodobnie nikt go nie zauważy. Wszystkie szybkostatki wędrują bezpośrednio do portu minerałów. Nie przechodzą przez ludzkie ręce. A nawet gdyby ktoś zauważył sześcian, to nie możemy mieć pewności, że ta osoba go przekaże we właściwe ręce. Proponuję wysłać sześcian z opiekunem. Ktoś poleci w szybkostatku na Lunę

z wszystkimi dowodami, a potem zdobędzie miejsce w jakimś statku lecącym na Ziemię i dostarczy je jakimś decydem. Wszyscy wpatrywali się w niego w milczeniu.

- Chyba nie mówisz poważnie - odezwał się Selmo.

- Victorze, akcja ratownicza szybkostatkiem o napędzie przystosowanym do cumowania to jedno - powiedziała Concepción. - Podróż szybkostatkiem na Lunę to zupełnie co innego. Te pojazdy nie są zaprojektowane do przewozu pasażerów.

- Mogę wbudować fotel oraz przykryć kabinę osłonami niedopuszczającymi promieniowania kosmicznego i słonecznego. Ładownia z powodzeniem pomieści akumulatory i duży pojemnik z powietrzem. A kombinezony są zaprojektowane do przyjmowania pożywienia i usuwania odchodów. To tylko kwestia zgromadzenia potrzebnych zapasów.

- Ta podróż potrwa pół roku - powiedział Selmo. - Proponujesz, żeby ktoś leciał szybkostatkiem pół roku?

- Pół roku leci pełny ładunek walców. Szybkostatek z samym pasażerem i jego wyposażeniem będzie leciał dłużej. Nie da się tak szybko przyspieszać i hamować. Za duże przeciążenia. To raczej zajęłoby około siedmiu miesięcy.

- Chcesz przypiąć kogoś pasami między dwiema rakietami dalekiego zasięgu i wystrzelić go jak kulę armatnią na Lunę? - zapytał Selmo. - Kto byłby wystarczająco szalony, by polecieć?

- Ja - odparł Victor.

Zapanowało milczenie. Wszyscy patrzyli na Victora. Nikt się nie poruszył. Ku zaskoczeniu chłopaka jego matka nie wyglądała na zaniepokojoną, jakby spodziewała się tej chwili, jakby cały czas wiedziała, że Victor zaproponuje coś takiego, mimo że ten pomysł przyszedł mu do głowy dopiero teraz. Nic jej nie mówił o swojej potrzebie opuszczenia statku, o tym, jak miłość do Jandy uniemożliwia mu pozostanie na „El Cavadorze”. Lecz sądząc po wyrazie twarzy matki, ona o tym wiedziała.

Później na osobności ją przeprosił, że zapowiedział swoje odejście bez porozumienia z nią czy ojcem. Lecz nawet gdyby wpadł na ten pomysł wcześniej, nie wspominałby o nim rodzicom. Nie dlatego, że ich nie szanował albo sądził, że mogliby się sprzeciwić, ale oznaczałoby to przyznanie się, że chce ich opuścić, czym na pewno złamałby im serca.

Czy jednak zrobienie tego teraz, przy wszystkich, gdzie matka i ojciec nie mogli zakwestionować jego decyzji, nie było bardziej okrutne? Nie. Ponieważ teraz mogli odsunąć emocje na bok. Teraz, w trakcie zebrania Rady, łatwiej było myśleć o większej potrzebie.

- Wiem, że to jest niebezpieczne - powiedział. - Wiem, że wygląda na niemożliwe do zrealizowania. Ale czy nie jesteśmy moralnie do tego zobligowani? Nie możemy polegać na jednym sposobie ostrzeżenia, zwłaszcza tak niepewnym jak laselinia wysłana na Ziemię. Potrzebujemy czegoś w rezerwie. Wiem, są liczne zastrzeżenia. Nie będę miał nagolenic, fugi ani sztucznej grawitacji. Więc będzie kłopot z atrofią mięśni, gęstością kości i objętością krwi. Ale jeśli ktoś ma przedsięwziąć taką podróż i poddać ciało takiemu obciążeniu, to tym kimś powinienem być ja. Jestem młody. Zdrowy. Poza tym urodziłem się w kosmosie. Mam przewagę nad tymi z was, którzy urodzili się na Ziemi, bo wasze ciała musiały się przystosować. Co ważniejsze, jeśli coś się stanie rakietom czy osłonom, mogę je naprawić. Nikt nie zna szybkostatków lepiej ode mnie.

- Nie możemy sobie pozwolić na odejście Vico - powiedział Dreco. - Jest zbyt cennym mechanikiem.

- Nie możemy sobie pozwolić na to, żebym nie odszedł. Wszystko, czego się dotąd dowiedzieliśmy o tym obcym statku, sugeruje, że stanowi on zagrożenie dla ludzkości. To jest sprawa większa od „El Cavadora”, większa od nas wszystkich. Ojciec zna nasz statek lepiej ode mnie. Jeśli coś się popsuje, on to naprawi. Pomoże mu Mono. Jest mały, ale dużo potrafi. Już nie możemy myśleć o tym, co jest najkorzystniejsze dla nas. Tu chodzi o Ziemię, o dom.

Nigdy przedtem nie nazywał Ziemi domem. Nikt tego nie robił, nawet ci, którzy się na niej urodzili. Ich domem był „El Cavador”. Domem był pas Kuipera. Nikt jednak nie zaprotestował. Wszyscy się zgadzali, że są winni lojalność Ziemi.

- On ma rację - stwierdziła Concepción. - Jeśli potrafi udowodnić, że lot szybkostatkiem jest możliwy, powinniśmy się zgodzić na jego plan. Proponuję natychmiast wyruszyć do Stacji Wagowej Cztery. Victor przygotuje jeden z szybkostatków. Kiedy będzie gotowy, zwolnimy na tyle, by go wypuścić. Jeśli ktoś ma zastrzeżenia lub lepszy pomysł, niech zgłosi je teraz.

Załoga milczała. Ojciec położył dłoń na ramieniu Victora.

- A zatem do roboty - rzekła kapitan.

* * *

Victor pracował w ładowni nad szybkostatkiem dwa tygodnie. Najtrudniej było zbudować osłony. Martwił się, że mogą je przeniknąć promienie kosmiczne i wejść w reakcję z metalem, tworząc radioaktywne neutrony, więc osłony powinny być jak najgrubsze. Na ścianach kabiny zainstalował zbiorniki z wodą, by stworzyć jeszcze jedną warstwę ochronną. A potem spakował sprzęt do wykrywania promieniowania oraz dodatkowe płyty i narzędzia na wypadek, gdyby musiał w drodze robić jakieś poprawki.

Mono oczywiście pomagał przy spawaniu czy cięciu, cały czas prosząc, by go zabrał.

- A jeśli coś ci się stanie? - zapytał pewnego ranka. - Jeśli coś się stanie z twoim kombinezonem? Możesz potrzebować kogoś do pomocy.

- Nie przychodzi mi na myśl nikt, kogo wołałbym mieć u boku bardziej od ciebie, Mono - powiedział Victor. - Ale nie możesz lecieć ze mną. To zbyt niebezpieczne.

- Dlaczego to jest zbyt niebezpieczne dla mnie, nie aż tak niebezpieczne dla ciebie?

- Jest niebezpieczne dla mnie. Ale ja jestem większy. Moje ciało potrafi znieść więcej niedogodności.

- Jestem twardy - rzekł Mono z urazą w głosie. - Potrafię znosić niedogodności.

- To nie ma nic wspólnego z byciem twardzielem. Tu chodzi bardziej o wielkość ciała i jego strukturę. Nic nie poradzisz na to, że jesteś mały. Masz tylko dziewięć lat. I wierz mi, to nie jest ciekawa podróż. Będzie nadzwyczaj nudna. Wiesz, jakie to uczucie, kiedy jest się uziemionym w swoim pokoju na cały dzień?

- To okrutna i niezwykła kara.

- Słusznie. Spróbuj to robić przez jakieś dwieście dwadzieścia dni. Żadnych przyjęć urodzinowych. Żadnego Bożego Narodzenia. Zabaw z kolegami. Czasu spędzanego z rodzicami. Przyjemnych napraw statku. Żadnego zwiedzania. Żadnych deserów, ciastek ani innych przysmaków. Ja nawet nie będę żuł

mojego jedzenia, tylko wysysał witaminową papkę przez słomkę w hełmie. Mono się skrzywił.

- Ohyda. Nie znoszę tego świństwa.

- Ja też. A będę je jadł codziennie przez siedem miesięcy. Bez przypraw, bez rozsmarowywania na chlebie, żeby było znośniejsze, bez mieszania ze słodką owsianką, tylko sama papka bez smaku. Poza tym będę musiał mieć cewnik i jeszcze jeden przyrząd, który jest tak obrzydliwy, że nawet nie zamierzam ci wyjaśnić, co to takiego ani jak działa. Powiem ci tylko, że nie będzie to przyjemne. Moje kości zrobią się cienkie i łamliwe. Osłabną mi mięśnie. Zwiększą się odległości między moimi kręgami, a dyski napęcznieją od płynu, wywołując bóle pleców. Zapewne zmniejszy się objętość mojej krwi; może wraz z osłabieniem kości wapń osadzi się w nerkach, co może doprowadzić do powstania kamieni. Nie mówię już o ewentualnej impotencji wywołanej promieniowaniem.

- Co to jest impotencja?

- To znaczy, że nie będę mógł mieć dzieci. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Dlatego mam osłony i zbiorniki z wodą. Ale to nie będzie bal.

- Ty byłąś ze mną. To byłoby świetne. Victor uśmiechnął się.

- Uwierz mi, Mono, miałbyś mnie dosyć. Ja sam będę miał siebie dosyć.

Mono się rozplakał.

- Nie chcę, żebyś leciał, Vico. Nie chcę, żebyś zachorował. Victor odłożył narzędzia i podpłynął do chłopca.

- Hej, małpeczko, nic mi nie będzie. Wszystko wyolbrzymiam. Isabella ma dla mnie rozmaite tabletki, które będę zażywał cały czas. Nie rozchoruję się. Kiedy dolecę na miejsce, będę musiał spędzić trochę czasu na siłowni, żeby poprawić umięśnienie, ale nic mi nie będzie.

- A jeśli dopadną cię *hormigast*

- Nie dopadną mnie. Nie dopadną nikogo z nas. Dlatego śpieszymy się, żeby wszystkich ostrzec, żeby nic nikomu się nie stało.

Victor chciałby na pocieszenie powiedzieć chłopcu, że niedługo wróci i że kiedy to wszystko się skończy, znowu będą pracować razem.

Lecz nic nie powiedział, ponieważ wiedział, że to nieprawda. Nie wróci. Może nigdy.

- Mono, jesteś potrzebny na „El Cavadorze”. Potrzebuje cię mój ojciec. Pomożesz mu przy wszystkich precyzyjnych pracach. Sam nie zdoła wszystkiego zrobić. Słuchaj go. To najlepszy mechanik w pasie. Nauczy cię o tym statku o wiele więcej niż ja.

- Nie chcę, żeby mnie uczył ktoś inny. Chcę być twoim praktykantem.

Mono objął Victora i rozplakał mu się na ramieniu.

Przez kilka następnych dni ojciec spędzał cały czas w ładowni, pomagając Victorowi i Mono w ostatecznym przygotowaniu statku. Matka też znajdowała preteksty, by tam się pojawiać - wprowadzała drobne udogodnienia do szybkostatku, żeby stał się jak najwygodniejszy. Ojciec sprawdził robotę Victora i delikatnie wskazał kilka niedociągnięć. Razem wybrali odpowiednie narzędzia i przystąpili do pracy. Przypomniało to Victorowi lata, które spędził, jako praktykant u boku ojca, podążając za nim po statku i podając narzędzia. Uważał wtedy, że ojciec jest wszechmocny, że nie ma we wszechświecie urządzenia, którego nie umiałby naprawić. I nawet teraz, kiedy był starszy, a słabości ojca wyraźnie widoczne, nadal go podziwiał - nie tylko za umiejętność naprawiania wszystkiego, lecz głównie za jego zdolność kochania, chęć poniesienia każdej ofiary dla Victora, matki i rodziny. Ojciec i matka ponosili największą ofiarę swojego życia. Mimo że odejście Victora było dla nich bolesne, godzili się na to, bo wiedzieli, że gdyby został, jego ból byłby większy.

Victor wyruszył następnego ranka. Odprowadzała go prawie cała rodzina. Po drobiazgowym przeglądzie ojca szybkostatek czekał gotowy w służbie. Wszystkie zapasy zostały załadowane i przymocowane. Zmodyfikowany skafander, który przygotowało kilka kobiet według wskazówek Isabelli i Concepción, okazał się bardzo wygodny, a cewnik oraz inne niewygodne urządzenia łatwe w obsłudze.

Isabella uścisnęła Victora i kazała mu obiecać, że będzie zażywał tabletki i stosował się do ułożonej przez nią diety. Chłopak trzymał hełm pod pachą i Bahzfm oraz inni górnicy stukali w niego na szczęście. Objęła go Edimar.

- Dotrzyj bezpiecznie na Ziemię, Vico. Kiedy ludzie zabiją wszystkich hormigów, chcę wiedzieć, że to ty im kazałeś to zrobić.

Potem podeszła Concepción.

- Sześcian z danymi znajduje się na statku. Nie pozwól, by cię lekceważono, bo jesteś młody. Mimo że masz przekonujące dowody, trudno ci będzie znaleźć kogoś, kto cię wysłucha. Jesteś wolnym górnikiem. Urodziłeś się w przestrzeni kosmicznej. Na Lunie to dwa argumenty przeciwko tobie. Nie poddawaj się. Znajdź kogoś godnego zaufania i zdaj się na instynkt.

- Zrobię co w mojej mocy - rzekł Victor.

Matka przy pożegnaniu dała mu niedużą kartę z danymi do komputera podręcznego.

- To od ojca i ode mnie. Obejrzyj dopiero po miesiącu.

- Obiecuję.

- Kocham cię, Vico. Gdybyś nie był taki mądry i zaradny, umierałabym ze strachu. Ale jeśli ktokolwiek jest w stanie to zrobić, to tym kimś jesteś ty.

- Też cię kocham, matko.

Ojciec oplótł go długimi, potężnymi ramionami.

- Jestem z ciebie dumny. Nie ryzykuj. Musisz żywy wylądować na Ziemi. Bądź sprytny. Ilekroć będziesz musiał podjąć decyzję, zapytaj siebie, co zrobiłaby twoja matka, i zrób właśnie to. Z tego, co wiem, jeszcze nie popełniła żadnego błędu.

Victora objęły drobne ręce i z dołu popatrzył na niego Mono.

- Zaczekam tu na ciebie, Vico. Kiedy wrócisz, będę znał statek lepiej niż ty.

Victor zmierzwił chłopcu włosy.

- Nie wątpię, małpeczko.

Potem już nie zwlekał. Wszedł do śluzy i usadowił się w kabinie. Dwaj górnicy w skafandrach zdjęli uprząż przytrzymującą szybkość, otworzyli śluzę i wypchnęli go na zewnątrz.

Panowała cisza. Przed zapięciem pasów Victor pozwolił sobie na ostatnie spojrzenie na „El Cavadora”. Śluza była już zamknięta. Na jego oczach statek zaczął powoli przyspieszać w drodze do Stacji Wagowej Cztery.

Był sam. Kartę z danymi od matki wsunął do szczeliny znajdującej się z boku komputera podręcznego. Na ekranie pojawiła się ikona, ale w nią nie kliknął. Dwa razy sprawdził węże

i przyłączenia. Sprawdził licznikiem Geigera poziom promieniowania i nie znalazł, chociaż na tym etapie podróży tego się spodziewał. Odłożył licznik i zapiał pasy. Żelowa wyściółka fotela była gruba i plastyczna. Po włączeniu rakiet będzie w nią wciśnięty jak pięść w ciasto. Poklikał i znalazł w komputerze podręcznym program startu na Lunę. Niezliczone razy patrzył, jak górnicy uruchamiają go przy wysyłce walców. Rakiety przyspieszą szybko, o wiele szybciej, niż może to znieść człowiek. Victor sprawdził poziomy ludzkiej wytrzymałości i zmienił program tak, by zmniejszyć przyspieszenie i przeciążenie. Kiedy trzymał palce nad przyciskiem startu, zadał sobie pytanie, czy ograniczył siłę rakiet w wystarczającym stopniu. Powinien jak najszybciej osiągnąć prędkość podrózną, ale powinien też być ostrożny. Nie szkolił się do takich lotów. Jego ciało nie było do tego przygotowane. Obniżył jeszcze trochę ustawienia przyspieszenia, tak na wszelki wypadek, a potem nacisnął guzik.

Program się uruchomił. Rakiety buchnęły ogniem. Statek powoli ruszył do przodu, a gdy rakiety się rozgrzały, wystartował. Victor poczuł, że jest wgniatany w fotel, i od razu zrozumiał, że się przeliczył. Powinien jeszcze bardziej obniżyć ustawienia. Twarz mu zwiórczała. Ciało nabrało wagi. Chciał sięgnąć po komputer, lecz nie mógł ruszyć ręką. Zaczęło mu się zawężać pole widzenia, zaciskała się tchawica. Umierał. Podróż trwa dwie minuty, a on umiera. Zastanawiał się, czy po tym życiu zobaczy się z Jandą. Matka wierzyła w takie rzeczy, ale Victor nie był tego taki pewien. Oczywiście miał na to nadzieję. Niczego nie pragnął bardziej, niż jeszcze raz zobaczyć Jandę. Tylko nie teraz. Jeszcze nie.

Poczuł pustkę w głowie.

A potem nastąpiła czerń.

Ocknął się jakiś czas później w stanie nieważkości. Statek poruszał się z niewiarygodną prędkością, ale już nie przyspieszał. Siła g nie rosła; to była prędkość podrózna. Victor pokręcił głową i zamrugnął. Głupio się czuł z powodu tego błędu. Nie wróżyło to sukcesu podróży. Prawie się zabił na samym początku. Świetnie.

Znów zamrugał. Nie miał już wrażenia, że oczy wwiercają mu się w tył czaszki. Oddychał swobodnie. Był odrętwiały, jakby wszystkie mięśnie ścierpły mu z braku krążenia. Głowa pulsowała migreną. Mdlilo go.

Potrzebuję zabezpieczenia, uświadomił sobie. Będę musiał przyspieszać i hamować, nie mogę ryzykować ponownej utraty przytomności. Pomyślał o czujnikach biometrycznych rozmieszczonych na jego ciele i zadał sobie pytanie, dlaczego nie pomyślał o połączeniu ich z funkcjonowaniem statku. To było głupie przeoczenie. Szybko przygotował na podręcznym komputerze prosty program, który miał wymusić procedurę hamowania, gdyby jego puls i ciśnienie krwi spadły poniżej pewnego poziomu. Następnie opracował program, który miał mu co pewien czas zadawać pytania, może kazać odczytać jakąś liczbę czy przepisać słowo. Gdyby nie zdołał tego zrobić, gdyby z jakiegoś powodu stracił władze umysłowe, statek zwalniałby do chwili, kiedy Victor przyszedłby do siebie.

A jeśli nie przyjdę do siebie? - pomyślał. A jeśli umrę? Wtedy statek będzie zwalniał, zostanie tu na zawsze i nie dotrze na Lunę. Tak być nie może. Lepiej niech dolecę na Lunę jako trup z sześciannem z danymi. Zmienił program tak, że gdyby serce nie wykazywało aktywności przez dwadzieścia cztery godziny, rakiety miały przyspieszyć do maksimum i jak najszybciej dostarczyć na Lunę jego ciało oraz, co ważniejsze, sześciann z danymi.

W ciągu następnych kilku tygodni co pewien czas przyspieszał i zwalniał, żeby przyzwyczaić organizm do powstających wtedy sił, za każdym razem nieco zwiększając tempo przyspieszania i hamowania. Często tracił przytomność, ale statek reagował dobrze i za każdym razem hamował, dzięki czemu Victor szybko ją odzyskiwał. W końcu potrafił zachować przytomność przez dwie godziny szybkiego przyspieszania. Potem trzy godziny. A potem cztery.

Pod innymi względami nie szło mu tak dobrze. Jedzenie stało się przykrym obowiązkiem. Zakładał, że z czasem smak witaminowej papki stanie się znośny. Pomylił się. Z każdym posiłkiem papka stawała się coraz bardziej wstrętna i zmuszał się do jedzenia, powstrzymując odruch wymiotny.

Zbawienny okazał się jeden z pomysłów ojca, dzięki któremu Victor wziął ze sobą kąpiel. Co pewien czas nadmuchiwał ją na płaskiej powierzchni wewnątrz szybostatku, znajdując się w środku. Wtedy mógł na krótko wyjść ze skafandra i oczyścić jego rurki, wyszczotkować zęby, umyć się gąbką i wykonać inne czynności higieniczne.

Największym wyzwaniem podczas podróży, jeszcze trudniejszym do zniesienia niż fizyczny stres związany z jedzeniem czy ciasnotą statku, była nuda. Victor założył, że załadowane do podręcznego komputera książki, nagrania muzyczne, filmy, gry i łamigłówki wystarczą, by pobudzać jego umysł przez siedem miesięcy, ale tu też się mylił. Po kilku dniach patrzenia na ekran nadwerżył sobie wzrok, a wkrótce nawet słuchanie stało się nużące. Kiedy kończył się pierwszy miesiąc podróży, Victor stale wracał myślami do wiadomości od matki. Zastanawiał się nad wcześniejszym jej otwarciem - czy w sumie sprawiłoby to jakąś różnicę? - ale zawsze rezygnował z tego pomysłu. Przecież obiecał, że obejrzy nagranie dopiero po miesiącu.

Tak bardzo pragnął zaznać odmiany, tak rozpaczliwie chciał przerwać monotonię, że w noc poprzedzającą datę otwarcia wiadomości prawie nie spał. W końcu się zdrzemnął, a kiedy się obudził, kliknął ikonę. Ojciec zainstalował do podręcznego komputera holoprojektor i w holoprzestrzeni pojawiła się matka. Victor uniósł komputer i obrócił go tak, by patrzyła prosto na niego. Poczuł się bardziej samotny i odcięty od świata niż kiedykolwiek przedtem. Miał przed sobą jeszcze sześć miesięcy podróży, a już jej nie mógł znieść.

- Od twojego wyruszenia minął miesiąc - powiedziała matka - i prawdopodobnie marzysz już, żeby to się skończyło. Wytrzymaj, Viquito. Ilekroć poczujesz się samotny, obejrzyj tę wiadomość. Wiedz, że twój ojciec i ja myślimy o tobie i modlimy się o twój bezpieczny powrót. Jesteśmy z ciebie dumni i wiemy, że nic ci się nie stanie.

Matka przerwała, bo zaczął jej się łamać głos. Po chwili opanowała emocje.

- Ale nie dlatego nagraliśmy tę wiadomość. Jesteś moim jedynym dzieckiem, Vico, światłem mojego życia. To, co zamierzam powiedzieć, mówię, bo cię kocham i chcę dla ciebie jak

najlepiej. Nie wracaj. Nie wracaj na „El Cavadora”. Pod fotelem znajdziesz dysk z kodami dostępu do konta, które z ojcem założyliśmy dla ciebie. Suma na koncie jest niewielka, ale to wszystko, co mamy. Concepción dołożyła wszystkie swoje oszczędności. Użyj tych pieniędzy, żeby zapisać się na uniwersytet na Ziemi, kiedy już dostarczysz ostrzeżenie. Twoje zdolności są zbyt cenne, żeby się marnowały w pasie, Vico. Możesz dokonać wielkich rzeczy, ale nie tu, nie z nami. - Matka teraz płakała. - Zawsze będę cię kochać. Przynieś nam chlubę.

Wiadomość się skończyła. Matka zniknęła.

Wypuszczali go. Dawali mu wolną drogę. Zastanawiał się, co będzie robił i dokąd się uda po dostarczeniu ostrzeżenia, i teraz otrzymał odpowiedź. Poczucie osamotnienia go opuściło. Czuł się odnowiony, zdecydowany. Wytrzyma sześć miesięcy. Zrobi to dla matki, ojca i dla Ziemi.

Rozdział 16

Stacja Wagowa Cztery

Lem stał na mostku przy oknie, kiedy Stacja Wagowa Cztery wreszcie ukazała się w polu widzenia. Najpierw stanowiła tylko odległy punkcik w przestrzeni, nieodróżnialny od niezliczonych gwiazd, lecz nawigator zapewnił, że to rzeczywiście jest ta placówka, i Lem ogłosił to załodze. Odpowiedziały mu gwizdy i brawa, a kilka osób znajdujących się najbliżej klepnęło go po plecach, jakby to on zbudował stację osobiście.

Nie miał nic przeciwko tym objawom uznania. Kilka miesięcy wcześniej powiedział załodze, że zatrzymają się tutaj, by uzupełnić zapasy i rozprostować nogi. Od tego czasu załoganci odnosili się do niego ciepło. Nagle przestał być synem szefa. Stał się jednym z nich.

Co prawda zapasy i zejście z pokładu nie stanowiły prawdziwego powodu wizyty na stacji, lecz nie musiał im o tym mówić. Prawdziwą przyczyną postoju było zostawienie Podolskiego, żeby mógł wyczyścić komputery „El Cavadora”. Ale w gruncie rzeczy wszyscy zasłużyli na chwilę wytchnienia.

- Chubsie, pokaż obraz Stacji Wagowej Cztery w holoprzestrzeni - polecił Lem. - Chcę zobaczyć, jakie czekają nas atrakcje.

W pasie asteroid stacje wagowe były olbrzymimi przedsiębiorstwami oferującymi górnikom chcącym uciec od monotonii statków rozrywkę wszelkiego typu. Kasyna, kina, restauracje.

Jedna w pobliżu Jowisza miała nawet niewielką arenę sportową do rozgrywania zawodów w zapasach w stanie nieważkości czy innych wyglupów. Tak więc kiedy pojawił się hologram, oklaski umilkły. Gwizdy się urwały.

Stacja Wagowa Cztery była zlepkiem starych statków górniczych i fragmentów wycofanych z eksploatacji stacji kosmicznych, połączonych na chybił trafił rurami i tunelami. Nie miała symetrii, planu, głównego miejsca cumowania. Wycofane ze służby statki były dodawane do niej w ciągu wielu lat w sposób przypadkowy, tam gdzie było wolne miejsce. Zupełnie jakby ktoś zwinął kosmiczne złomowisko w kulę i ozdobił ją kilkoma neonami. To nie był wyczekiwany przez załogę port; to było wysypisko śmieci.

- No cóż - powiedział Lem. - Nie wiem, co jest brzydsze, stacja wagowa wolnych górników czy ich kobiety.

Nie było to szczególnie zabawne, lecz miał nadzieję, że wywoła chociaż uprzejmy chichot. Reakcją było milczenie i spojrzenia bez wyrazu.

Pora zmienić nastrój.

- Dobra wiadomość jest taka, że wasz pobyt na tej rozkosznej oazie w pasie Kuipera odbywa się na mój koszt - rzekł z uśmiechem. - Stawiam napoje, jedzenie i rozrywki. Uważajcie to za wczesną premię od Jukę Limited.

Ludzie znów zaczęli klaskać i gwizdać. Lem czuł zadowolenie, że pomyślał o tym zawczasu. Będzie musiał sprzedać ładunek walców, by to wszystko opłacić, ale i tak potrzebował gotówki na wydatki związane z pobytem archiwisty na stacji i jego późniejszym lotem do domu, a nie chciał korzystać w tym celu z żadnego rachunku korporacji. Danie każdemu premii było kosztowną, chociaż skuteczną przykrywką wręczenia pieniędzy Podolskiemu.

Lem rozkazał zacumować statek w doku położonym w pobliżu wielkiego składu. Wolni górnicy, którzy nie używali szybko-statków, wyładowywali tutaj i sprzedawali stacji minerały albo walce po cenach niższych niż rynkowe. Następnie stacja wagowa wysyłała to wszystko z zyskiem szybko-statkami na Lunę. Większość rodzin i klanów o ustalonej pozycji miała własny system szybko-statków i wykorzystywała stację tylko jako źródło

zapasów. Lecz nowicjusze i początkujący bez pełnego wyposażenia nadal sprzedawali urobek tutaj.

Lem i Chubs wyszli ze służby statku do tunelu. Czekał na nich człowiek w brudnym kombinezonie i nagolenicach nie do pary. W ręku trzymał holoprojektor, który wyglądał tak, jakby kilka razy ktoś użył go jako młotka. Ciepłe powietrze śmierdziało skalnym pyłem, olejem maszynowym i ludzkim potem.

- Nazywam się Staggar, jestem tu brygadzystą. A wy jesteście Jukies, co? Nieczęsto się tu widuje takich jak wy. Większość korporacji trzyma się pasa A.

- Badamy grunt - powiedział Lem. - Jest tu mnóstwo skał. Staggar roześmiał się, ukazując zniszczone zęby.

- Raczej kul śnieżnych. Można coś znaleźć, jak się przebije przez zamarznąłą wodę i amoniak. Poza tym to ziemia niczyja.

- Ty tu jesteś. Pewnie interesy dobrze ci idą.

- Interesy nikomu tu dobrze nie idą. Kiedyś ta stacja kwitła, ale mnóstwo klanów się stąd wyniosło. Radzimy sobie z trudem, jak wszyscy inni.

- Dokąd odchodzą klany? - zapytał Lem. - Sądziłem, że to górniczy raj.

- Bynajmniej. Większość klanów czmycha do układu wewnętrznego, do pasa A. Nie wytrzymują tej przestrzeni albo zimna. Rozumiem, że jesteście pierwszy raz w dalekim kosmosie.

- To nie jest daleki kosmos, to tylko pas Kuipera - powiedział Lem.

Staggar uśmiechnął się drwiąco.

- Tylko pas Kuipera? W twoich ustach to brzmi jak jakiś kurort. Masz tu domek letniskowy, co, Jukie?

- Chcielibyśmy sprzedać trochę walców. Za gotówkę. Z kim moglibyśmy o tym porozmawiać?

- Ze mną - odparł Staggar. - Ale muszę was ostrzec, że tu nie dostaniecie takich cen jak gdzie indziej. Musimy brać poprawkę na odległość. To jest zewnętrzna granica. Na pewno to rozumiecie.

Rozumiem, że jesteś oszustem, pomyślał Lem, ale powiedział:

- Jesteśmy gotowi negocjować.

- Nie obiecuję jednak, że coś kupimy. To zależy od tego, co sprzedajecie. Mnóstwo ludzi próbuje nam tu wcisnąć płonną skałę.

Jeśli wy też, nie marnujcie mojego czasu. Nie chcemy bezwartościowego gówna. Może na takich zadufkach jak wy robimy wrażenie głupków, ale głupi nie jesteśmy i warto, żebyście o tym pamiętali.

- Na mnie robisz wrażenie bystrego biznesmena - skłamał Lem. - Nawet by mi się nie śniło cię oszukać. Przekonasz się, że nasze walce są wysokiej jakości.

Skinął na Chubsa, który podał próbkę w kształcie pałeczki. Brygadzysta podszedł chwiejnie do skanera umieszczonego na ścianie - jego nagolenice miały chyba różną polaryzację, dlatego chodził dziwnym krokiem - i wsunął pałeczkę do odpowiedniego otworu. Kiedy otrzymał odczyt, starał się udawać obojętność.

- Twój skaner nie kłamie - powiedział Lem. - To najczystszy żelazonikiel, jaki widziałeś od dłuższego czasu.

Brygadzysta wzruszył ramionami.

- Niezły, ale nic szczególnego.

- Jesteś więc zainteresowany czy nie?

Staggar wyjął próbkę ze skanera i odwrócił się do nich z uśmiechem.

- To zależy. Widzisz, mam takie swędzące miejsce w mózgu, które nie daje mi spokoju. Dlaczego jacyś Jukies chcieliby tu sprzedać walce? Macie własny skład w pobliżu Jowisza.

- Jowisz jest daleko, a ja chcę dać załodze chwilę wytchnienia - stwierdził Lem. - Cała gotówka, którą dostaniemy, zostanie zapewne na tej stacji. Z mojego punktu widzenia każdy z nas wygrywa.

Staggar uśmiechał się coraz szerzej.

- Ależ z ciebie hojny kapitan. - Zaczął wprawnie obracać próbkę w palcach. - Robisz to z dobroci serca, tak? Wyprawiasz chłopcom i dziewczętom na pokładzie ostatnią imprezę przed powrotem do domu?

Lemowi nie podobał się kierunek, w którym zmierzała rozmowa.

- Krótko mówiąc, tak. Brygadzysta się roześmiał.

- Uprzedzałem, że nie jestem głupi, panie Zadufek. Po pierwsze, człowiek z korporacji nigdy nie mówi tego, co myśli, a po drugie, korporacje nigdy nie idą załogom na rękę, chyba że mają w tym jakiś interes.

- Sądzisz, że mam jakieś pokrętne motyw. - Lem udawał rozbawienie. - Nie przyszło ci do głowy, że ja też mogę potrzebować chwili wytchnienia?

Staggar pokręcił głową.

- Nie, sądzę, że nie chcecie tego księgować, prawda? Nie chcecie, żeby stary Ukko Jukes się dowiedział, że zbieracie trochę śmietanki dla siebie. Sprzedajecie metale po cichu, co? Potem możecie mówić tym sztywniakom z korporacji, że nie wydobyliście tyle, na ile mieliście nadzieję. I jeśli o nich chodzi, to wszystko, co tu sprzedacie, nigdy nie istniało, a wy zasilacie gotówką swoje prywatne rachunki bankowe. Nie urodziłem się na asteroidzie, chłopcy. Potrafię rozpoznać prywatę.

- Zawsze tak robisz interesy? Obrażając swoich klientów?

- Nie będziemy robić żadnych interesów, dopóki się nie zrozumiemy. Wy, z korporacji, musicie mieć żelazne jaja, żeby się tu pokazywać. To nie jest siedziba fanklubu korporacji. Wielu ludzi nie bardzo się ucieszy na wasz widok.

- Nie przylecieliśmy tu, żeby zawierać przyjaźnie - odparł Lem. - Przylecieliśmy, żeby sprzedać kilka walców i trochę się rozerwać. Wątpię, czy tutejsi handlowcy będą mieli coś przeciwko przyjmowaniu naszych pieniędzy.

- Moich pieniędzy, chcesz powiedzieć.

- Ile za walec?

- Nie odpowiem, dopóki nie będziesz miał rachunku. - Staggar wpisał do holoprojektora jakiś tekst. - Na kogo mam go otworzyć?

Lem i Chubs wymienili spojrzenia.

- Wolelibyśmy uniknąć zostawiania śladów - przyznał Lem.

- Nie wątpię, ale nie mogę nic kupić bez dokumentacji. Wy, chłopcy, możecie skubać swojego szefa, aleja mojego nie mogę. Albo będziecie mieli rachunek, albo nici z handlu.

- Umieść moje nazwisko. Chubs Zimmons. Staggar spojrzał na Lema.

- Nie twoje nazwisko? Po tych wymyślnych ciuchach i tym, jak mówisz, domyśliłem się, że to ty jesteś kapitanem.

- Moje nazwisko - powtórzył Chubs. Brygadzysta wzruszył ramionami.

- Jak chcecie. - Napisał coś jeszcze i nie podnosząc wzroku, zapytał: - A tak z ciekawości, to gdzie znaleźliście ten żelazo-nikiel, chłopcy?

- Wolelibyśmy nie mówić - odparł Lem. - Tajemnica zawodowa. Na pewno rozumiesz.

Staggar się uśmiechnął.

- Tak myślałem. Ile tego chcecie sprzedać?

- Zależy od ceny.

- Zapłacę wam od wagi, nie od walca.

- Ile? - zapytał Chubs.

Staggar podał cenę, a Chubs wybuchnął gniewem.

- Oburzające! To jest warte dwadzieścia razy tyle. Brygadzysta wzruszył ramionami.

- Decydujcie się.

Chubs odwrócił się do Lema.

- On nas chce obrabować.

- Taka jest cena w gotówce. Jeśli wymienicie na żywność albo paliwo, mógłbym wam dać trochę więcej.

- Trochę więcej?! - powtórzył Chubs ze złością. - Jeśli myślisz, że się zgodzimy, to zwariowałeś!

- Wy przysłuchajcie się do mnie. Ja wam podaję moją cenę. Nie podoba się wam, idźcie gdzie indziej.

- Ma rację - powiedział Lem. - Trzeba było polecieć na Jowisza. Chodźmy, marnujemy czas.

Ruszył w stronę statku.

Chubs zmrużył oczy i spojrzał na Staggar z góry.

- Tak, widzę, że macie tu duży ruch, można wypuścić z rąk taką dużą dostawę. Przecież nie potrzebujesz pieniędzy. - Odwrócił się i podążył za Lemem w stronę statku.

Kiedy Staggar krzyknął do nich, Lem miał już dłoń na zamku służby.

- Czekajcie! Mam inną cenę na wypadek, gdybyście się okazali uparci i wkurzający.

- A jaka to cena? - zapytał Lem. Staggar wymienił sumę.

- Daj dwa razy tyle i umowa stoi - rzucił Lem.

- Dwa razy!

- I tak zarobisz majątek.

Staggar spojrzał na niego spode łba.

- Wy z korporacji wszyscy jesteście tacy sami. Pewne siebie zbiry.

- Jako że padło to z ust innego zbira, uznam to za komplement - stwierdził młody Jukes.

* * *

Lem polecił starszym oficerom wydzielić gotówkę załodze. Nie było tego dużo, ale aż nadto na dwudniowy urlop. Ze względu na niską cenę, jaką uzyskał za walce, musiał sprzedać ich więcej, lecz tym się nie martwił. Nadal miał dość metali, by zrobić wrażenie na zarządzie.

Stacja wagowa w środku okazała się atrakcyjniejsza niż z zewnątrz. Lem dziwił się, jak wielu mieszka tu ludzi; zgadywał, że jest ich kilkuset, w tym dzieci, matki z niemowlętami, a nawet kilka psów, co go szczególnie bawiło, bo nauczyły się skakać od ściany do ściany w stanie nieważkości. Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuł się jak w domu. Źle się czuł w przestrzeni kosmicznej. Jego żywiołem było miasto pełne pulsującej energii i stale zmieniających się widoków, dźwięków i zapachów.

Na targu handlarze głośno zachwalali swój towar, chcąc sprzedać rozmaite narzędzia górnicze i bezwartościowe świecidełka. Lem z Chubsem znaleźli kobietę sprzedającą odzież roboczą. Kupili prawie wszystko, co miała. Możliwe, że Podolski i jego dwaj ochroniarze będą przebywać na stacji jakiś czas; Lem uznał, że powinni się wtopić między jej mieszkańców i ubierać się jak wolni górnicy. Nie wiedział, czy te spodnie i bluzy będą dobrze pasować, ale to nie miało znaczenia, bo nikt na stacji nie przejmował się modą, a wszystkie ubrania i tak były workowate.

Dał kobiecie, przy której kręcił się mały chłopczyk, duży napiwek, by dostarczyła zakupy na statek; niemal rozplakała się z wdzięczności i pocałowała Lema w rękę. Widział, że jest biedna, a dziecko głodne, więc dał jej jeszcze jeden banknot o dużym nominale.

- Mięknieś? - zapytał Chubs.

- Te ubrania wyglądają, jakby sama je uszyła - powiedział Lem, wzruszając ramionami. - Za taką pracę powinno się dobrze płacić.

Chubs miał inne zdanie.

Potem znaleźli szewca. Lem ocenił na oko numery butów Podolskiego i jego ochroniarzy. Twardo się targował o cenę. Kiedy wyszli z zakupami, Chubs skomentował złośliwie:

- Chyba chciałeś odbić sobie za uprzejmość wobec tamtej kobiety. Dałeś szewcowi popalić.

- Usiłował nas oszukać.

- Pewnie moglibyśmy wrócić i znaleźć tę szwaczkę. Twój ojciec byłby zachwycony, gdybyś wrócił do domu z narzeczoną.

Lem się roześmiał.

- Tak, ojcu spodobałaby się uboga wolna górniczka jako synowa. Zwłaszcza taka z dzieckiem. Byłby wniebowzięty.

Znaleźli się w rejonie knajp, gdzie zaatakowały ich różnorodne zapachy: ciastek, makaronów, pieczywa, zup, a nawet pieczonego mięsa, chociaż mięso miało tu niebotyczne ceny. Natknęli się na Benyawę i we trójkę zajęli stojące miejsca przy ladzie w tajskiej restauracji. Zdaniem Lema nie była wystarczająco duża, by zasługiwać na miano restauracji - mogła pomieścić najwyższej sześć osób - ale mu się podobała.

Pod koniec posiłku Chubs uniósł swoją butelkę.

- Za naszego kapitana, pana Lema Jukesa, który uratował naszą misję i przy okazji osiągnął duży zysk.

Benyawę uniosła butelkę i przyłączyła się do toastu, choć nie wydawała się nim szczególnie zachwycona.

- Nie powinniście tego robić - rzekł Lem. - Prawdziwe podziękowania należą się uroczej doktor Benyawie, która nieustraszenie przygotowywała laser i z wielką pewnością siebie prowadziła próby. Bez jej intelektu, wytrwałości i cierpliwości do porywczego kapitana wciąż zestrzeliwalibyśmy kamyki.

- Za panią doktor - powiedział Chubs. Benyawę uśmiechnęła się do Lema.

- Wznoszenie toastu na moją cześć wcale nie sprawia, że jesteś choć trochę bardziej znośny.

- Oczywiście. Sam ledwie siebie znoszę.

- I dobrze byłoby pamiętać, że nasza misja zakończy się dopiero wtedy, gdy wrócimy na Lunę - ciągnęła Benyawę. - Mamy kilka miesięcy opóźnienia, a w zarządzie jest wiele osób, które na pewno spisały tę misję na straty jako katastrofalną klępkę.

Chubs przestał się uśmiechać.

- Nie próbuję zepsuć naszego wieczoru - powiedziała Benyawe. - Ja tylko przypominam, że nadal jesteście bardzo daleko od domu.

- Nie można zaprzeczyć - zgodził się Lem. - Może świętujemy nieco za wcześnie. - Znów uniósł butelkę. - Ale wznoszę toast na cześć doktor Benyawe za to, że tak mądrze nam doradza i doskonale psuje zabawę.

- Racja! - Chubs też uniósł butelkę. Benyawe uniosła swoją i się uśmiechnęła.

- Lem Jukes! - rozległo się od drzwi.

W progu stało czterech mężczyzn. Byli brudni i bardzo nie-przyjaźni.

- A więc to pan jest Lem Jukes - powiedział najroślejszy. - Sam pan Lem Jukes. Syn wielkiego Ukko Jukesa, najbogatszego człowieka w Układzie Słonecznym. Właściwie znajdujemy się w obecności osoby królewskiej krwi.

- Mogę coś dla ciebie zrobić, przyjacielu? - spytał Lem. Zapytany wszedł do środka, schylając głowę w wejściu.

- Nazywam się Werbatow, panie Jukes. I nie jesteśmy przyjaciółmi, wprost przeciwnie.

- O co ma pan do mnie żal?

- Cztery lata temu należeliśmy do klanu, który pracował w pasie asteroid. To było w sumie dziewięć rodzin. Statek firmy Jukę zajął naszą asteroidę i uszkodził nasz statek. Rodzina musiała się rozdzielić. Każdy z nas poszedł w swoją stronę; pracowaliśmy na każdym statku, który chciał nas przyjąć. Tak jak ja to widzę, Jukę Limited wisi nam odszkodowanie. Wartość naszego statku i to piekło, które przechodzimy od tamtej pory.

Nastąpiła cisza. Lem zerknął na Chubsa i zaczął mówić, starannie dobierając słowa:

- Postąpiono wobec pana niesprawiedliwie. Przykro mi z tego powodu. Ale pańskie pretensje nie powinny być kierowane do mnie. To nie my zajęliśmy waszą asteroidę i nie my uszkodziliśmy wasz statek.

- Nie szkodzi - odparł Werbatow. - Ty jesteś z Jukę Limited. Jesteś synem prezesa. Reprezentujesz firmę.

- Firmę reprezentują nasi prawnicy. Ja jestem nisko w hierarchii. Jeśli nie zgadza się pan z tym, jak został pan potraktowany, proponuję udać się do sądu.

Werbатов roześmiał się szyderczo.

- Ma pan na myśli sądy w pobliżu Marsa albo Luny? Miliardy klików stąd? Nie, dzięki. Wolę załatwić sprawę poza sądem. I nie dam sobie wmówić, że nie ma pan gotówki. Wiem z dobrego źródła, że właśnie dostał pan trochę pieniędzy, a na statku wiezie spory ładunek.

- Rozumiem, że przyjaźni się pan ze Staggarem - domyślił się Lem. - Jaka macie umowę? - zapytał Lem. - Odzyskuje pan dla niego jego pieniądze, a on daje panu działkę? To zaskakujące, panie Werbatow. Nie wygląda mi pan na kogoś, kto cokolwiek oddaje.

Werbатов prychnął śmiechem.

- Jestem aż tak przewidywalny, panie Jukes?

- W istocie.

- Niech pan zapłaci nam to, co nam się słuszenie należy.

- To nie są moje pieniądze. Należą do Jukę Limited.

- A firma jest nam je winna.

- Proszę napisać skargę - odezwał się Chubs. - Dopilnujemy, żeby dotarła do odpowiednich osób.

- Zapłaci pan to, co się nam słuszenie należy, panie Jukes, albo będziemy zmuszeni przeprowadzić więcej rozmów z pańską załogą.

Do środka wszedł jeden z ludzi Werbatowa, ciągnąc za sobą nieważkie ciało doktora Dublina. Dublin miał zakrwawioną i spuchniętą twarz, ale żył. Sprawiał wrażenie oszołomionego, nieświadomego otoczenia.

- Richard! - wykrzyknęła Benyawe i chciała do niego podejść, ale Chubs chwycił ją za rękę.

- Doktor Dublin okazał się dość gadatliwy - rzekł Werbatow. - Powiedział nam o tym laserze grawitacyjnym, który macie na statku. Mówi, że zmienia skały w pył. Bardzo ciekawe. Wygląda to na całkowicie nowy sposób wydobywania minerałów. Moim braciom i mnie bardzo by się spodobał taki prezent. Jeśli doktor Dublin mówił prawdę, a podejrzewam, że tak, zważywszy, że podczas mówienia złamał sobie kilka palców, to powinno pokryć nasze straty.

Lem nic na to nie odpowiedział.

Werbатов spojrzał z góry na Dublina i poklepał go po głowie, delikatnie popychając jego unoszące się w powietrzu ciało w stronę podłogi.

- Jeśli nie dojdziemy do porozumienia, panie Jukes, doktor Dublin może przypadkiem złamać sobie też nogi.

Strzałka trafiła Werbatowa w szyję i przez chwilę Lem nie wiedział, co się dzieje. Rozległa się seria trzasków i towarzysze Werbatowa kolejno podrygiwali, trafiani strzałkami w pierś, twarz czy szyję. Chubs z bronią w ręku odbił się od stołu w stronę drzwi i wyrzwał na zewnątrz, zataczając bronią łuk w poszukiwaniu gapiów. Werbatow zamrugał i zamknął oczy. Ramiona mu opadły, lecz w zerowej grawitacji nagolenice utrzymywały go w pionie. Chubs wrócił do niego i z bliska strzelił mu w szyję jeszcze trzema strzałkami.

- Co robisz? - zapytał Lem.

- To, co mi kazano.

Chubs chwycił Dublina i ruszył z nim do wyjścia. Musiał odepchnąć Werbatowa, którego stopy pozostały w miejscu, lecz tors się odchylił, umożliwiając przeciągnięcie Dublina przez drzwi. Lem i Benyawe także wyszli.

Ludzie Werbatowa stali bez ruchu z opuszczonymi ramionami i zamkniętymi oczyma. Chubs dotknął ich szyi z wyraźną nadzieją, że nie wyczuje pulsu.

- Zabił ich pan - stwierdziła Benyawe.

- Może mi pani podziękować później - powiedział Chubs, stukając zawzięcie w klawiaturę swojego podręcznego komputera. - Właśnie wysłałem pilny rozkaz do wszystkich członków załogi znajdujących się na stacji, żeby natychmiast wracali na statek.

Komputer, który Lem nosił na biodrze, wibrowaniem zasygnalizował otrzymanie wiadomości.

Chubs szybko wyciągnął z ciał wszystkie strzałki i schował je w niewielkim pojemniku.

- Zabił ich pan - powtórzyła Benyawe.

Zbliżył się do nich wstrząśnięty właściciel restauracji. Chubs instynktownie uniósł broń. Benyawe weszła między niego i restauratora.

- Dosyć. Nie zabijamy niewinnych.

Chubs wzruszył ramionami i odwrócił się do Lema.

- Musimy iść. Poprowadzę was. Ty i Benyawe pociągniecie Dublina. W pozycji pionowej, jeśli dacie radę. Nie za szybko. Nie chcemy zwracać na siebie uwagi.

Schował broń do kieszeni i ruszył szybkim krokiem przez tunele. Mijali niewielkie puby, budki, sklepy oraz ulicznych sprzedawców. Wszędzie ścigali na siebie spojrzenia - zakrwawiona twarz Dublina rzucała się w oczy - ale ludzie ustępowali im z drogi. W pobliżu statku zaczęli do nich dołączać członkowie załogi. Wkrótce szli dużą grupą.

Nie napotkali oporu aż do tunelu cumowniczego. Tu stał Staggar z czterema ludźmi. Przez ramię miał przewieszoną strzelbę na strzałki.

- Po co ten pośpiech, panie Jukes? - zagadnął. - Tak szybko pan od...

Dostał strzałką w pierś, zamknął oczy, strzelba wypadła mu z ręki i zawisła w powietrzu.

Ludzie towarzyszący Staggarowi sięgnęli pod płaszcze, lecz zanim zdążyli wydobyć jakąś broń, w ich piersiach, szyjach i twarzach utkwiły liczne strzałki. W ciągu kilku sekund wszyscy znieruchomieli.

Lem nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Wokół niego stało siedmiu czy ośmiu załogantów z bronią w ręku.

- Wszystkie strzałki mają wrócić do was - powiedział do nich Chubs. - Żadnych śladów.

- Tak jest, sir.

Załoganci wyciągnęli strzałki z ciał zabitych. Lem patrzył na to ze zdumieniem. Na ich twarzach nie malował się szok ani panika. Jakby załoga szkoliła się do takich sytuacji.

Benyawe dogoniła Chubsa, który już zdążał do statku.

- Nie może pan tak po prostu strzelać do ludzi i spodziewać się, że nie poniesie żadnych konsekwencji!

- Konsekwencje pozostania tu byłyby o wiele gorsze - odparł Chubs.

- Będą nas szukać. Chubs się zatrzymał.

- Kto? Policja? To jest stacja wagowa, pani doktor. Wybijając zbirów i przestępców, którzy dyrygowali tu wszystkimi

właścicielami magazynów i sprzedawcami świecidełek, przysłużyliśmy się im jak nikt inny. - Wskazał zabitych. - To są źli ludzie. Prawdopodobnie mordercy. Widziała pani, jak zareagował właściciel restauracji na widok Werbatowa? Był śmiertelnie przerażony. Tu się coś działo. Jutro restaurator i jego kumple z magazynów będą nam stawiać pomnik wdzięczności. Jeśli chce pani tu zostać i poczekać na ochronę stacji, by złożyć formalne przeprosiny, proszę bardzo. Ale statek odlatuje za sześć minut i proponuję, żeby pani weszła na pokład.

Chubs podszedł do skanera, którego używał wcześniej Staggar, i powiedział do swojego podręcznego komputera:

- Podolski, wysiadaj.

Po kilku chwilach archiwista wyszedł ze statku w ubraniu wolnego górnika, które kupił dla niego Lem.

- Wykasuj nasze istnienie - polecił Chubs, pokazując na skaner. - Wszelkie ślady tego statku i naszych odwiedzin w tej stacji mają zostać wymazane.

Podolski był zaniepokojony. Zauważył martwych ludzi na końcu tunelu cumowniczego.

- Co się dzieje? Co im się stało?

- Nie musisz się tym kłopotać. Rób swoje.

Podolski rzucił się do skanera i zaczął stukać w klawiaturę. Chubs odwrócił się do Lema.

- Wybacz, jeśli przekraczam moje uprawnienia. Ty powinienesz wydawać te rozkazy, nie ja.

Lem spojrzał na niego, jakby widział go po raz pierwszy w życiu.

- Jesteś dla mojego ojca kimś więcej niż załogantem, prawda?

Chubs wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Można tak powiedzieć.

- Ojciec wysłał cię na tę misję, żebyś mnie chronił. Żebym nie dał się zabić.

- Zasadniczo tak. Lem skinął głową.

- Dobrze. Rób to dalej.

Odwrócił się do załogi i podniósł głos, żeby wszyscy go usłyszeli.

- Przepraszam. Nasz pobyt na stacji został skrócony. Ale szczerze mówiąc, jeśli wasz dzień na tym wysypisku był w połowie tak nieprzyjemny jak mój, to powrót na statek wydaje się chyba dobrym pomysłem.

Otworzył służę. Najpierw weszło dwóch ludzi, ostrożnie eskortując doktora Dublina. Za nimi ruszyła reszta załogi.

Podolski skończył zmieniać zapisy i odwrócił się do Chubsa.

- Skaner jest czysty. Nigdy nas tu nie było.

Ze statku wyszło dwóch załogantów ubranych jak wolni górnicy.

- Pozwoliłem sobie wybrać naszych dwóch najlepszych ludzi - oznajmił Chubs.

- Dobrze - odparł Lem. Podolski był przerażony.

- Zastanawiałem się nad tą naszą umową - powiedział. - I już mi się ona nie podoba. Tu nie jest bezpiecznie.

Chubs klepnął go przyjaźnie w ramię.

- Nic ci nie będzie. Mangler i Wain zapewnią ci bezpieczeństwo.

Lem przyjrzał się im. Stali obojętnie jak żołnierze. Nie, nie Jak żołnierze"; to byli żołnierze. Ojciec załadował ten statek ochroniarzami, a Lem nawet o tym nie wiedział.

- Nie możecie mnie tu zostawić - rzekł Podolski. - A jeśli ci ludzie uznają, że ja jestem za to odpowiedzialny? Jeśli się dowiedzą, że pracuję dla korporacji?

Chubs i Lem dołączyli w służbie do Benyawie.

- Nic ci nie będzie - powtórzył Chubs. - Pomyśl o tym jak o wakacjach.

Archiwista wykrzyczał coś w odpowiedzi, ale wrota służby już się zamknęły. Lem obserwował go przez okienko. Podolski wrzeszczał coś wściekle. Za nim stali nieruchomo dwaj ochroniarze. Dalej w tunelu stali zabici z butami przytwierdzonymi do podłogi i ramionami unoszącymi się swobodnie w powietrzu.

- Dlaczego zostawiamy tu trzy osoby z załogi? - zdziwiła się Benyawie.

- Nie domyśla się pani? - zapytał Chubs. - Chcieli zostać.

* * *

Edimar płynęła korytarzem na „El Cavadorze”, nie patrząc na nikogo. Wszędzie wokół znajdowali się ludzie, którzy zajmowali się swoimi sprawami, potrącali ją, śpieszyli się, ale udawała, że ich nie zauważa. Nie mogła znieść widoku ich twarzy. Wśród nich na pewno było kilka osób, które wciąż patrzyły na nią tak, jakby była dzieckiem. Od śmierci ojca i Alejandry minęło kilka miesięcy, a mimo to w rodzinie zawsze znalazł się ktoś, kto rzucał jej pełne litości spojrzenie, jakby mówił: „Biedactwo! Ojciec i siostra nie żyją. Biedne, biedne dziecko”.

Nie jestem dzieckiem! - chciała im wykrzyczeć. Nie potrzebuję waszej litości. Nie chcę waszego współczucia. Przestańcie twierdzić, że „wiecie”, przez co przechodzę, albo że „wiecie”, jakie to uczucie, albo że „wiecie”, jak mi musi być ciężko. Nic nie wiecie. Czy to wasz ojciec został rozszarpany przez hormigę, a potem wykrwawił się na śmierć? Czy to wasza siostra została prawdopodobnie rozerwana na kawałki, czy to waszej siostrze zabrakło powietrza? Nie. Więc przestańcie udawać, że jesteście jakąś krynicą emocjonalnej mądrości, która rozumie żal i gniew innych. Bo nie rozumiecie. Nic nie wiecie o mnie. I jeśli o mnie chodzi, możecie wskoczyć do czarnej dziury.

Naprawdę nie znosiła współczujących spojrzeń i smutnych westchnień, które ludzie wydawali na jej widok, jakby jej los był teraz beznadziejny, jakby miała resztę życia spędzić na pławieniu się w niedoli.

Najbardziej się wściekła w chwili, kiedy ciotka Henrika powiedziała: „Już dobrze, Edimar. Możesz płakać”. Jakby Edimar potrzebowała pozwolenia. Jakby tylko czekała, aż jakiś dorosły da jej znak, by uwolniła tłumione emocje. Och, dzięki, ciociu. Ładnie z twojej strony, że dajesz mi prawo do płaczu i upokorzenia się, żeby udowodnić tobie i twoim zadzierającym nosa, plotkującym siostram, że naprawdę jestem smutna. Jesteś zadowolona, ciociu? Popatrz, tu jest łza, która spadła z mojego oka. Rozgłoś to. Edimar jest smutna.

Słowa ciotki były tak bolesne, poniżające i aroganckie, że Edimar rzeczywiście niemal się rozplakała przed wszystkimi. Czuła, że znalazła się nad przepaścią, w którą mogłaby ją

zepchnąć najmniejsza zmiana rytmu oddechu czy najmniejsze ściśnięcie gardła.

Na szczęście cudownym wysiłkiem woli zachowała kamienną twarz i nie okazała, jak nią wstrząsnęły słowa ciotki Henriki. Czemu ludzie są tak pozbawieni serca, tak bezmyślni i okrutni, chociaż starają się pomóc?

Było to szczególnie rozwścieczające, ponieważ Edimar płakała. Codziennie. Czasami całą godzinę. Zawsze samotnie w ciemności bocianiego gniazda, gdzie nikt nie mógł zobaczyć jej łez.

Lecz jeśli się nie płakało przy wszystkich, jeśli nie demonstrowało się swojej żałoby i nie szlochało przed całym światem, to różne osoby jak ciotka Henrika były zawiedzione.

Edimar skręciła za róg, odepchnęła się od ściany i popłynęła korytarzem. Wiedziała, że nie powinna być tak drażliwa. Nikt nie udawał współczucia. Wszyscy życzyli jej jak najlepiej. Nawet ciotka Henrika na swój przykry, protekcyjny sposób. Problem w tym, że najwięcej mówiły osoby, które powinny milczeć. Dlatego Edimar czuła wdzięczność do Segundo, Reny i Concepción, którzy nie traktowali jej jak małego dziecka ani nawet nie poruszali tematu śmierci ojca i Alejandry, lecz po prostu pytali o jej pracę i mówili o swojej. Edimar chciała być traktowana jak ktoś, kto potrafi udźwignąć swoją sytuację. Niech tacy jak ciotka Henrika nie oczekują, że będzie się zachowywać jak smutny, roztrzęsiony worek.

Przed jadalnią czekał na nią Dreó. Umówili się tam przed pójściem ze sprawozdaniem do biura Concepción. Po śmierci Torona Concepción poprosiła Dreó, żeby pomagał przy Oku, kiedy tylko Edimar będzie tego potrzebowała, a Dreó, jako dowódca z powołania, cieszył się tą nową władzą. Edimar nie potrzebowała pomocy, a już na pewno jej nie chciała, ale Dreó i tak się wtrącał. Ze względu na przyzwoitość nie mógł odwiedzać jej w bocianim gnieździe bez drugiej dorosłej osoby i dzięki tej zasadzie na szczęście rzadko się tam pojawiał. Tak było najlepiej. Prawie nic nie wiedział o działaniu Oka ani nie umiał interpretować danych. Rozumiał system operacyjny i nic więcej. Ale wiedza o działaniu piecyka nie oznacza umiejętności upieczenia sufletu.

- Przyniosłaś swój holoprojektor? - zapytał Dreo.

A więc znów zamierzał traktować ją jak dziecko. Zachowała obojętność i pokazała mu urządzenie, które trzymała w ręce.

- Dobrze. Jest na nim prezentacja?

Czy on naprawdę uważa ją za idiotkę? Czy jest taki protekcyjny wobec wszystkich?

- Możesz ją obejrzeć - powiedziała Edimar. Machnął ręką.

- Jeśli są jakieś niedociągnięcia, omówię je. Chodźmy. Odwrócił się i ruszył w stronę mostka, oczekując, że Edimar podąży za nim.

Jak ładnie z twojej strony, pomyślała. Omówisz moje niedociągnięcia. Jakim jesteś wspaniałym członkiem zespołu, Dreo. Dobrze, że mamy twój wielki intelekt, który wybawi nas od mojej błędnej prezentacji.

Westchnęła. Znów zachowuję się jak smarkacz. No to co, że Dreo jest taki denerwujący? Że przypisuje sobie wszystkie zasługi? Możliwe, że zbliża się koniec świata. Są ważniejsze sprawy niż moje zranione uczucia.

Dotarli do biura Concepcjón. Kapitan nie była sama - towarzyszyli jej Segundo, Bahzfm i Selmo.

- Zaprosiłam kilku członków Rady. Chcę poznać ich zdanie. Mam nadzieję, że wam to nie przeszkadza.

- Wcale nie - odparł Dreo. - Tak nawet wolimy.

Edimar irytowało, że Dreo mówi za nią. Oczywiście miał rację; im więcej osób się nad tym zastanawiało, tym lepiej. Lecz Edimar mu tego wcześniej nie powiedziała, a on nie zapytał jej o zdanie.

- Wiemy już, jak wygląda statek hormigów - rzekł Dreo. - Jest na tyle blisko i porusza się na tyle powoli, by Oko mogło stworzyć dokładny obraz. Pozwolę Edimar przedstawić prezentację, a w razie konieczności służę wyjaśnieniami.

Och, pozwoli mi przedstawić prezentację! - pomyślała Edimar. Jak miło. Jakby mógł przedstawić ją sam, ale ustępował dziecku. Jakby lepiej znał materiał, kiedy w gruncie rzeczy ją wykonałam dziewięćdziesiąt pięć procent pracy. I służę wyjaśnieniami! Jakimi wyjaśnieniami? Co wie o statku, czego nie wiem ja?

Nie okazała irytacji. Zajęła się instalacją holoprojektora na biurku Concepción, wyciągnęła anteny i włączyła go. Pojawił się komputerowy obraz statku hormigów.

Zapadła cisza. Jak się spodziewała Edimar, członkowie Rady byli skonsternowani. Statek nie przypominał niczego, co kiedykolwiek wymyślili ludzie. Miał kształt pękatej łyzy; był gładki jak szkło i skierowany ostrym końcem w stronę, w którą się poruszał. Przy dziobie znajdował się szeroki otwór otaczający czubek.

- Aby dać pojęcie skali wielkości, tak wyglądałby obok niego „El Cavador” - powiedziała Edimar.

Przy statku hormigów pojawił się odpowiedni obraz. Wyglądał jak winogrono przy melonie.

- Jak taki duży statek może się poruszać tak szybko? - zapytał Bahzfm.

- On nawet nie jest podobny do statku - rzekł Selmo. - Jest okrągły. Nie ma góry ani dołu. Raczej przypomina satelitę.

- Za duży na satelitę - stwierdził Segundo. - Poza tym wiemy, że z jego wnętrza wyleciała kapsuła. Jak opuściła statek przy tak wielkiej prędkości? I zupełnie nie widzę otworów wejściowych czy wyjściowych.

- A ten szeroki kolisty otwór z przodu? - zapytał Bahzfm. Segundo pokręcił głową.

- Gdybym musiał się domyślać, powiedziałbym, że to napęd taranowy. Victor podejrzewał, że miała go kapsuła, a to wygląda na podobny projekt. Statek zgarnia atomy wodoru, które przy prędkości bliskiej prędkości światła emitowałyby promieniowanie gamma, a rakiety wyrzucają tę plazmę z tyłu, uzyskując ciąg. Byłby to genialny system napędu, ponieważ statek miałby nieograniczoną ilość paliwa i im szybciej by się poruszał, tym więcej by zbierał wodoru, a zatem wytwarzałby tym większe przyspieszenie i ciąg.

- Napęd ze zgarniania - powiedziała Concepción.

- Czy to w ogóle możliwe? - zapytał Bahzfm.

- Teoretycznie tak - odparł Segundo. - Ale działałoby tylko na statku zbudowanym w kosmosie i mającym odbywać podróże międzygwiazdne. Takiego napędu nie można użyć do wyjścia z atmosfery planety. Powstaje za wielka siła g. Śmierć na miejscu.

Lecz w próżni można by przyspieszać szybko i bezpiecznie. Nie nazwałbym tego jednak czystą formą napędu, bo produkowałaby olbrzymie promieniowanie. Lepiej byłoby za takim statkiem nie lecieć. Nawet w dużej odległości. Jeśli napędza go plazma emitująca promieniowanie gamma, prawdopodobnie zakłócałyby urządzenia elektroniczne i czujniki nawet z odległości, powiedzmy, miliona kilometrów. Zbyt długie utrzymywanie się w polu wyrzucanej plazmy skutkowałoby rozdarciem poszycia statku. Przy mniejszych odległościach można by otrzymać śmiertelną dawkę promieniowania, a w bezpośredniej bliskości ten statek z tyłu natychmiast by wybuchł.

- Urocze - powiedział Selmo.

- A ja nie rozumiem, jak oni widzą, dokąd lecą - rzekł Bah-zmi. - Nie ma tu żadnych okien czy czujników. Powierzchnia jest całkowicie gładka.

- Tak tylko wygląda - rzekła Edimar. - Przy bliższym przyjrzeniu się widać łączenia, wklęsnięcia i fałdy. Jak te koła. - Wpisała polecenie i na statku pojawiły się cztery potężne koła usytuowane obok siebie wokół szerszego końca ły. - Nie wiemy, co to jest. Może drzwi. Albo mniejsze statki, które mogą się odłączyć. Czymkolwiek są, są ogromne.

- Cały statek jest niewyobrażalnie wielki - zauważył Bahzim. - Jaką ma ochronę przed zderzeniami? Bez dobrego systemu RK asteroidy starłyby go na miazgę. A spójrzcie, żadnych rozbijaczy kamyków, żadnej broni.

- Ja też nie mogłam się dopatrzeć żadnej broni - przyznała Edimar. - Ale on ma system RK. Widziałam go. Każdy obiekt znajdujący się na kursie kolizyjnym zostaje zniszczony. Asteroidy, kamyki, komety. Wszystkie zamienia w parę lasery umieszczone na powierzchni statku.

- Na powierzchni? Gdzie? - zapytał Bahzfm.

- W tym sęk. Gdziekolwiek. Statek może strzelać z każdego miejsca na powierzchni. Zupełnie jakby cały był bronią.

- Jak to możliwe? Lasery muszą skądś wychodzić. Edimar wzruszyła ramionami.

- Może ma na kadłubie tysiące otworków, które się otwierają i uwalniają lasery. Może jest jakiś układ pod powierzchnią, który je uruchamia. Jakkolwiek to działa, jest potężniejsze

od wszystkiego, co mają ludzie, ponieważ ten statek może strzelać ze wszystkich laserów jednocześnie. Zamiast wytwarzać jeden promień z dwóch dział, jak robimy to my dla uniknięcia zderzenia, *hormigas* mogą postawić całą ścianę laserowego ognia.

Przez chwilę trwała cisza.

- To nie podnosi na duchu - stwierdziła Concepción.

- Nic w tym wszystkim nie podnosi na duchu - rzekł Selmo.

- Czy wiemy, z czego składają się promienie ich laserów? -zapytał Segundo.

- Nie - odparła Edimar. - Ale nie sądzę, żeby to były fotony. Ich promienie mogą dochodzić do średnicy jednego metra i zachowują się inaczej niż promienie naszych laserów. Jeśli masz rację z napędem taranowym, jeśli używają do napędzania statku plazmy emitującej promieniowanie gamma, można chyba założyć, że jako broni też używają spójnej wiązki takich promieni. No, bo dlaczegoż by nie? Jeśli potrafią okiełznać plazmę jako źródło napędu, to i jako środek obrony też.

- Broń i napęd z tej samej substancji... to na pewno jest ekonomiczne - powiedziała Concepción.

- Plazma wydzielająca promieniowanie gamma? Przy czymś takim nasze RK są jak dziecinna zabawka - stwierdził Selmo.

- Skład promieniowania laserowego to czysta spekulacja - rzekł Dreó. - Natomiast wiemy, że ich lasery strzelają tylko do obiektów znajdujących się na kursie kolizyjnym. *Hormigas* nie rozwalają wszystkiego w zasięgu wzroku. Pod tym względem stosują te same zasady, co inne statki. Jeśli dany obiekt nie grozi zderzeniem, nie zwracają na niego uwagi.

- To dla nas dobra wiadomość - powiedziała Edimar. - Poruszamy się w tym samym kierunku obok trajektorii tego statku. Nie znajdujemy się na kursie kolizyjnym. Kiedy statek będzie nas mijał, nie powinien zwrócić na nas uwagi.

- Chyba że rozwała wszystkie statki w zasięgu wzroku -powiedział Bahzfm. - To, że nie rozwalił grupy skał, nie oznacza, że nie będzie strzelał do nas. Co o nim wiemy? Może jego misją jest zniszczenie wszystkich ludzkich statków, jakie zobaczy. Nie zostawił Włochów w spokoju, a oni też nie znajdowali się na kursie kolizyjnym.

- Ominie nas z daleka - zauważył Dreó. - Poruszamy się równolegle do jego trajektorii, lecz w bardzo dużej odległości. Nigdy nie strzelał do niczego, co znajdowałyby się tak daleko.

- A więc minie nas, zanim dotrzemy do Stacji Wagowej Cztery? - zapytała Concepción.

- Tak - odpowiedział Edimar. - Co oczywiście oznacza, że minie stację, zanim dotrzemy do niej my, chociaż niedużo wcześniej od nas.

Concepción odwróciła się do Segundo.

- Są jakieś postępy z radiem?

Od kilku tygodni usiłowali bez powodzenia skontaktować się ze stacją.

- Radio działa tylko na krótkie dystanse. Wysyłamy wiadomości do stacji, ale słyszymy tylko zakłócenia.

- Może *hormigas* zagłuszają radio - podsunął Bahzfm. Segundo wzruszył ramionami.

- Czy oni w ogóle wiedzą, co to jest radio? Może mają zupełnie inny system łączności. Albo problemem może być promieniowanie wydzielane przez ich statek. Może w jakiś sposób zakłóca transmisję. Nawet przy tej odległości.

- A więc stacja wciąż nie wie o zbliżaniu się statku? - zapytał Bahzfm.

- Nie, chyba że sama go wykryła - odpowiedział Segundo. - Co jest możliwe, chociaż wątpię. Statek nie kieruje się bezpośrednio na nich, minie stację w odległości stu tysięcy kilometrów, więc komputery prawdopodobnie ich nie ostrzegą. A wiecie, jacy ludzie obsługują u nich mostek. To są przepracowani dokerzy, nie specjaliści. Jeśli nie ma zagrożenia zderzeniem, co ich to obchodzi? Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że stacja jest całkowicie nieświadoma niebezpieczeństwa.

- Sądząc z wcześniejszego zachowania *hormigów*, statek prawdopodobnie da stacji spokój i ją ominie - rzekł Dreó. - My tam dotrzemy następnego dnia i będziemy mogli skorzystać z nadajnika laselinii.

Concepción pochyliła się i wpatrzyła w statek widoczny w holoprzestrzeni.

- W imieniu wszystkich przebywających na stacji modłę się do Boga, żebyś miał rację.

* * *

Władze znalazły Podolskiego, gdy ukrywał się w małym wynajętym pokoju przylegającym do knajpy specjalizującej się w kluskach. Nie odpowiedział na stukanie, więc policjanci wyważyli drzwi kopniakiem. Archiwista kulił się w najdalszym kącie i od razu poznał, że to nie są prawdziwi funkcjonariusze policji. Byli ubrani podobnie do tych, których Chubs i inni członkowie załogi statku zabili przy tunelu cumowniczym.

- Proszę, proszę - powiedział rosy mężczyzna stojący na przedzie. Miał europejski akcent, którego Podolski nie potrafił umiejscowić. - Trudno cię znaleźć, przyjacielu. Musiałem zapytać trzech ludzi, zanim cię namierzyliśmy. - Roześmiał się. - To był żart, przyjacielu. No, daj spokój. Nie trzeba płakać. Chcemy Ci tylko zadać kilka pytań.

Podolski wytarł oczy. Płakał? Nie zauważył. Gdzie są Mangler i Wain? Mieli go ochraniać. Mieli stać tuż za drzwiami.

- Kim jesteście?

- Utrzymujemy tu spokój. A ponieważ niedawno spokój ten został zakłócony, naszym pierwszym pytaniem jest: kim są ci nowi ludzie na stacji? Może mają jakieś informacje na ten temat. Kapujesz? Logiczna robota detektywistyczna.

- Nic nie wiem.

Stróż porządku uśmiechnął się dobrotliwie.

- Ależ przyjacielu, nie bądź taki skromny. Na pewno wiesz mnóstwo rzeczy. Takich jak na przykład twoje nazwisko. No więc jak się nazywasz?

- Gunther Podolski.

- Podolski - powtórzył wielkolud. - Widzisz? Masz informacje. A na jakim statku przyleciałeś?

- Gdzie są moi przyjaciele? - Podolski zdobył się wreszcie na odwagę. - Ci, którzy byli na zewnątrz.

- Twoi przyjaciele współpracują. Zadajemy im pytania, a oni chętnie na nie odpowiadają. Ty też powinieneś. W ten sposób wszystkim będzie łatwiej.

Podolski milczał.

Wielkolud otworzył jego torbę przymocowaną do stołu. W środku znajdowały się rozmaite holoprojektory oraz sprzęt

potrzebny do uzyskania dostępu do komputerów „El Cavadora” i skasowania ich zawartości.

- Nie podróżuje pan z małym bagażem, co, panie Podolski? Ma pan wymyślne urządzenia, wszystkie lśniące i nowe. Można by pomyśleć, że to sprzęt korporacji.

Podolski milczał.

- Nie będę pana okłamywał, panie Podolski, to oznacza dla pana złe wieści. - Wielkolud uniósł torbę. - To są obciążające dowody. Dwa dni temu został obrabowany i zamordowany jeden z szanowanych przedsiębiorców tej stacji oraz kilku jego pracowników, a przez tę torbę pan staje się głównym podejrzanym. Osobiście nie przepadałem za tym człowiekiem, ale był jednym z naszych obywateli i, co ważniejsze, był mi winien sporo pieniędzy. I nagle znajduję pana, panie Podolski, z tym sprzętem do obrabowywania ludzi.

- To nie służy do tego.

- Tak? Ma pan zatem inne plany? Niech mnie pan oświeci. Podolski milczał. Stróż porządku westchnął.

- Nie współpracuje pan. Nie jestem prawnikiem, ale to czyni pana winnym. - Zbliżył się o krok. - Jeśli ma pan pieniądze pana Staggar, sprawę można by dość łatwo rozwiązać.

- Nie mam jego pieniędzy. Nie wiem, o kim pan mówi.

- Może nie zna pan jego nazwiska, ale zna pan osobę. Odświeżę panu pamięć. Trup. Tunel cumowniczy. Brzydki jak kamień, prawdopodobnie od ciosów w twarz zbieranych przez wiele lat za upór podobny do pańskiego.

Nagle wielkolud zacisnął dłoń na szyi Podolskiego.

- To nie są trudne pytania, panie Podolski. Staram się być rozsądny, a pan nie idzie mi na rękę. Więc wyrażę się jaśniej. Pan mi da pieniądze odebrane panu Staggarowi, a ja zaniedbam papierkowe sprawy i zapomnę o naszej rozmowie. Wydaje mi się to rozsądną propozycją. Co pan na to?

Podolskiemu przed oczyma latały ciemne plamy. Jego płuca domagały się powietrza. Usiłował powiedzieć: „Nie mogę panu dać tego, czego nie mam”, lecz udało mu się wychrypieć jedynie „Nie mogę”.

Stróż porządku uznał to za opór i cisnął archiwistę przed siebie.

Podolski leciał. Nic nie ważył. Przefrunął przez drzwi na targ, uderzając po drodze ramieniem o framugę. Usłyszał trzask łamanej kości, bezwładnie się obrócił. Ludzie krzyczeli i uskakiwali. Zawadził w locie o coś jeszcze - nie wiedział, o co - a potem uderzył w opancerzoną szklaną ścianę po drugiej stronie targu i odbił się od niej. Wielkolud schwycił go, z powrotem pchnął twarzą na ścianę. Coś mówił, ale archiwista go nie rozumiał. Wszystkie dźwięki były stłumione i odległe.

Za szkłem widniała przestrzeń kosmiczna, czarna, milcząca i usiana gwiazdami. Podolski chciał powiedzieć temu bandycie, że ma pieniądze na transport na Lunę i może mu je dać. Było mu już wszystko jedno. Lecz nie mógł wymówić ani słowa.

On mnie zabije, pomyślał. Umrę tu samotnie, osiem miliardów klików od domu.

W oddali coś błysnęło.

Niebo nie było już czarne. Było pełne pędzącego do przodu zielonego ognia. I w tej mikrosekundzie, zanim ogień ten pochłoniął wszystko i spalił świat, Podolski uświadomił sobie, że śmierć jednak nadchodzi, chociaż pod inną postacią, niż się spodziewał. Okazało się też, że nie umrze samotnie. Czy życie nie jest pełne niespodzianek?

Rozdział 17

Sprzymierzeńcy

Mimo że był środek pory snu, kapitan zwołała zebranie Rady. Dorośli przybyli na mostek zaspani, rozczochrani i zaniepokojeni.

- Stacja Wagowa Cztery została zniszczona - powiedziała Concepción. - Właśnie przed chwilą otrzymaliśmy dane z Oka.

Ludzie w jednej chwili rozbudzili się całkowicie.

- Kiedy statek hormigów mijał stację, uwolnił potężny ładunek ze swojej broni - ciągnęła kapitan. - Stacja pociemniała. Nie ma tam światła ani energii. Główna konstrukcja jest nietknięta, lecz kilka fragmentów się odłamało. Nie mamy żadnego kontaktu ze stacją, więc nie możemy określić, czy ktoś przeżył. Usiłujemy się z nimi skontaktować już od dłuższego czasu, ale bez rezultatu. Segundo uważa, że tą bronią mogła być plazma emitująca promieniowanie gamma. Jeśli to prawda, stacja prawdopodobnie otrzymała śmiertelną dawkę promieniowania.

- Ilu ludzi? - zapytała Rena.

- Nie wiemy. Co najmniej kilkuset.

Jedna z uratowanych Włoszek, Mariana, która straciła męża i czworo dzieci, rozplakała się. Rena objęła ją pocieszająco.

- Sądziłem, że statek hormigów znajdował się w pewnej odległości od stacji - rzekł Segundo.

- Owszem. Dlatego podejrzewamy, że to nie musiał być atak taktyczny - powiedziała Concepción.

- To nie był atak? - zapytał Bahzfm. - Więc co? Wypadek?

- Wyjaśni to Edimar.

Edimar wystąpiła do przodu i w holoprzestrzeni wyświetliła komputerowy obraz statku hormigów.

- To nie był wypadek - zaczęła. - *Hormigas* świadomie użyli broni. Lecz opierając się na danych uzyskanych od Oka, nie możemy z całą pewnością stwierdzić, że ich celem była stacja.

- A cóż innego mogło być? - zapytała Rena. - Jeśli trafili w stację skupioną wiązką promieniowania, to chyba w nią celowali?

- I o to chodzi - powiedziała Edimar. - Statek nie wyemitował skupionej wiązki. On wystrzelił we wszystkich kierunkach naraz.

Przyciskiem znajdującym się na holostole uruchomiła symulację. Ze wszystkich stron statku hormigów wystrzeliła plazma emitująca promieniowanie gamma i zaczęła się rozprzestrzeniać; w pewnym momencie statek przerwał emisję i ściana zniszczenia stała się olbrzymim, szybko rozrastającym się pierścieniem.

- Statek hormigów nie strzelił do stacji wagowej - stwierdziła Edimar. - On strzelił do wszystkiego.

Odtwarzana w pętli symulacja znów zaczęła się od początku.

- Jeśli wystrzelił we wszystkich kierunkach naraz i ma duży zasięg, to dlaczego nie zostaliśmy trafieni? - zapytała Rena.

- Ponieważ znajdujemy się dalej - odparła Concepción. - Daleko za statkiem. Ponad dwa miliony kilometrów. Prawdopodobnie dociera do nas nieco promieniowania, ale po drodze znacznie się ono rozprasza. Nie jest go tyle, by mogło nam zaszkodzić. Mieliśmy szczęście.

- Nie wiem, czy można to nazwać szczęściem. To oznacza, że broń tego statku jest o wiele potężniejsza, niż sądziliśmy.

- Chyba to nie jest broń - odezwał się Segundo. - A przynajmniej statek nie użył tego promieniowania jako broni.

- Co chcesz powiedzieć? - zapytała Concepción.

- Jeśli zasysa atomy wodoru przy prędkości bliskiej prędkości światła i wchłania całe to promieniowanie, musi się go jakoś pozbywać, zwłaszcza gdy usiłuje zwolnić. Nie chce wyrzucić go z tyłu, jak robi normalnie, bo w ten sposób zyskałby potężną siłę ciągu, a nie chce przyspieszać, tylko zwolnić. Więc musi się pozbywać nagromadzonego promieniowania w jakiś inny sposób.

- A jeśli jego broń i paliwo to ta sama substancja, jak podejrzewamy... - powiedziała kapitan.

- Wtedy broń stanowi środek uwolnienia tego nadmiaru - dokończył Segundo.

- Zauważmy, że broń wystrzeliła we wszystkich kierunkach w tej samej chwili, uwalniając wszędzie tę samą ilość plazmy. To logiczne, bo gdyby statek pozbył się plazmy tylko z jednej strony albo w jednym miejscu uwolnił jej więcej, a w drugim mniej, wytworzyłby się ciąg z tej strony i zmienił kurs statku. A kurs jest wytyczony.

- Więc Stację Wagową Cztery zniszczyły spaliny statku? - zapytał Selmo.

- Można to tak nazwać - odparł Segundo. - To wada ich broni. Statek stale pobiera wodór. I kiedy zwalnia, jest to problem, ponieważ pozbyć się jego nadmiaru mogą tylko za pomocą broni. Więc strzelają we wszystkich kierunkach, a jeśli coś się znajduje w pobliżu - trudno, ma pecha.

- To skrajna nieodpowiedzialność - stwierdził Bahzfm. - Jeśli ma się taki system, trzeba pilnować, żeby nic nie znajdowało się w pobliżu.

- Jak widać, hormigów nie obchodzi, co może ulec zniszczeniu - rzekł Segundo.

- Więc stacja znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie? - zapytała Rena.

- Nie - odparła Concepción. - Stacja została zniszczona przez bezmyślny gatunek, który nie ma szacunku dla ludzkiego życia.

Wśród zebranych zapadło milczenie.

- Co zrobimy? - odezwał się wreszcie Segundo.

- Podjęłam decyzję - oznajmiła Concepción. - Tylko dlatego, że trzeba natychmiast coś postanowić. Jeśli uważacie, że się mylę, za późno na jej zmianę. Ale nie sądzę, żebym się myliła. Poleciałam Selmo, by nie zwalniał. Nie kierujemy się do Stacji Wagowej Cztery, lecz zamierzamy przechwycić ten statek i go zniszczyć.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Concepción uniosła ręce, by ich uciszyć, lecz harmider nie ustawał.

- Cisza! - zagrzmiął głos Segundo. Głosy zamarły.

- Dziękuję - powiedziała Concepción. - Wiem, że moja propozycja jest nadzwyczaj niebezpieczna, ale rozważmy naszą

sytuację. O ile wiemy, nikt inny nie ma świadomości, że ten statek zmierza ku Ziemi. Nikt inny nie wie, że zabił setki ludzi albo że ma broń na tyle potężną, by unicestwić wszystko, co znajduje się w odległości stu tysięcy kilometrów lub większej; albo że lecące w nim stwory za nic mają ludzkie życie i atakują bez żadnego powodu. Wiemy to tylko my. I w tej chwili nie możemy wysłać ostrzeżenia. Stacja Wagowa Cztery nie istnieje. Możemy mieć nadzieję, że Victor dotrze do Luny i ostrzeże Ziemię, ale ma on jeszcze przed sobą kilka miesięcy podróży. W tym czasie *hormigas* pokonają daleką drogę. I jeśli im na to pozwolimy, jeśli nie zrobimy nic, zginie jeszcze więcej ludzi.

- Jakim sposobem mamy go zatrzymać? - zapytał Dreó. - Nie dałaby rady go zatrzymać cała armada okrętów wojennych. Uważałaś, że zaatakowanie kapsuły jest niemożliwe? To będzie tysiąc razy gorsze.

- Nie musimy go niszczyć. Wystarczy uszkodzić. To da Ziemi więcej czasu na zaplanowanie obrony.

- A jak go uszkodzić? Mamy pięć RK. Pięć. Zapomnieliśmy, jak wielki jest ten statek? Pięć RK może nie wyrządzić mu żadnych szkód.

- Nie wiem, jak mielibyśmy to zrobić - rzekła Concepción. - Ale niezrobienie niczego nie wchodzi w rachubę. Jeśli odpuścimy sobie, zginie wiele rodzin, a może nawet całe klany.

- Bez urazy, lecz to nie nasz problem. My swoje zrobiliśmy. Zniszczyliśmy kapsułę. Uratowaliśmy dziewięć osób. Wysłaliśmy Victora na Lunę. Straciliśmy Torona, Alejandrę i Farona. Ponieśliśmy dość ofiar. Zrobiliśmy, co do nas należało. Twoja propozycja doprowadzi do naszej śmierci. To już nie jest nasza sprawa. Jest za duża, byśmy ją rozwiązali.

- Zgadzam się z Concepción - odezwała się Edimar. - Jeśli możemy spróbować go zatrzymać, powinniśmy to zrobić.

- Oczywiście, że ty się zgadzasz - rzekł Dreó. - Straciłaś połowę rodziny. Jesteś zła. A ja chciałbym żyć. Poza tym właśnie ustaliliśmy, że oni mają broń, która potrafi zniszczyć wszystko dookoła. Jak moglibyśmy się zbliżyć do tego statku na tyle, by go zaatakować?

- Nie myśl o tym jak o broni, tylko jak o spalinach - powiedział Segundo.

- Co za różnica? Jeśli je wyrzucą, zginiemy.

- To jest różnica. Bo jeśli statek dopiero co uwolnił potężną ilość spalin, przez jakiś czas nie będzie ich uwalniał. Jeśli zamierzamy uderzyć, to teraz.

- Chyba nie mówisz poważnie! - Dreó spojrzał po zgromadzonych. - Czy tylko ja uważam to za szaleństwo? A co z dziećmi? Czy ich życie też chcemy zaryzykować?

- Nie musimy robić tego samotnie - rzekła Concepción. - Przed nami są inne statki. Jeśli zdołamy się z nimi skontaktować, może zwerbujemy je do pomocy. Umieścimy dzieci na innym statku, który nie weźmie udziału w walce.

- Nie jesteśmy okrętem wojennym. To nie nasza walka.

- To jest nasza walka. To zdecydowanie jest nasza walka. Ten statek zagraża całej ludzkości. Jeśli wszyscy powiecie, że się mylę, jeśli wszyscy się nie zgodzicie, to zatrzymam „El Cavado-ra”. W przeciwnym wypadku zaatakujemy hormigów.

- Jak przy zakłóceniach w łączności możemy zwerbować kogoś do pomocy? - zapytała Rena.

- Radio działa na odległość do kilkuset kilometrów - rzekł Segundo. - Nie dochodzą tylko wiadomości dalekiego zasięgu. Jeśli zbliżymy się do innego statku, będziemy mogli przekazać wiadomość szerokopasmową. Holo do holo.

- Kto mógłby nam pomóc? - zapytał Bahzfm.

- W grę wchodzi jedynie statki górnicze, które już poruszają się w tamtym kierunku z dużą prędkością - odparła kapitan. - Nie ma czasu, żeby inne statki zmieniły kurs i przyspieszyły do naszej prędkości. Selmo, jakie jednostki znajdują się przed nami?

Selmo przeciągnął dłonią przez holoprzestrzeń i wywołał dane z Oka.

- Jest dziesięć statków, ale tylko dwa dorównują nam prędkością i poruszają się w odpowiednim kierunku.

- Dwa? - powtórzył Bahzfm. - To niedużo jak na atak, szczególnie że jeden z nich ma wziąć na pokład kobiety i dzieci.

- Co to za statki? - zapytała Concepción.

- Jeden to statek WU-HU, klasa D, koparka wiertłowa. Mniej więcej o połowę mniejszy od nas. Nie bardzo nadaje się do walki.

WU-HU była chińską korporacją górniczą rywalizującą z Jukę Limited, chociaż w porównaniu z nią w ogóle się nie

liczyła. Ludzie z WU-HU trzymali się swojego towarzystwa i nie uciekali się do zajmowania cudzych działek górniczych czy zastraszania klanów. W ogóle szanowali wolnych górników. Concepción była niemal pewna, że ich kapitan pomoże.

- A drugi statek? - zapytała.

Selmo spojrzał na dane i zmarszczył brwi.

- Zdecydowanie nadaje się do walki. Jest świetnie chroniony. Ma mnóstwo broni. Mocny kadłub. Ale niech mnie diabli, jeśli chcemy, żeby nam pomógł.

Concepción od razu wiedziała, co to za statek.

- Dowodzi nim Lem Jukes - powiedział Selmo.

* * *

Lem chwycił pudełko z posiłkiem i zbliżył się do Benyawe już jedzącej przy jednej z lad.

- Chciałbym, żeby się pani zajęła pewnym projektem, doktor Benyawe - powiedział. - Da to pani zajęcie w drodze do domu.

- Nie kręcimy w laboratorium młynka palcami. My tam pracujemy.

Uśmiechnął się.

- To oczywiście stanowiłoby dodatkowy obowiązek.

- A jeśli odmówię? Zostawisz mnie na następnym postoju jak Podolskiego?

- Podolski miał specjalne zadanie i został otoczony dobrą opieką. Ma transport na Lunę. Nie zostawiliśmy go. To był jego pomysł.

- Chyba o tym zapomniał, kiedy odlatywaliśmy. Nie wyglądał na zadowolonego, że zostaje.

- Przybycie do stacji wagowej było błędem. Biorę za to pełną odpowiedzialność. Nie miałem pojęcia, że roi się tam od przestępców. Podjęliśmy zdecydowane działanie i chyba nikt nie może robić nam zarzutów, skoro zrobiliśmy to w samoobronie. Jak się czuje doktor Dublin?

- Wraca do zdrowia. Lekarze złożyli mu palce. Jest w gipsie i zażywa leki.

- Dobrze.

Lem pociągnął pętelkę na pudełku z posiłkiem, w wyniku czego jedzenie podpłynęło ku gorze pojemnika i mógł je wyssać przez słomkę.

- Czy zabiliśmy tych ludzi, ponieważ wiedzieli o glaserze? -zapytała doktor Benyawe.

Westchnął.

- Chubs i jego zespół ochroniarzy działali według poleceń mojego ojca, ocalili nam życie. I nie, nie zabili tych ludzi, by chronić sekrety korporacji. Groziło nam niebezpieczeństwo. Pani również. A teraz proszę przestać o tym myśleć i skupić się na czymś innym.

- Na twoim projekcie.

- Zgadzam się, że zajmowanie się grawitacją to przyszłość firmy, lecz nie w jej obecnym kształcie i nie pod postacią glasera. Jest zbyt niestabilny. Pole grawitacyjne powstające w wyniku jego działania jest zbyt nieprzewidywalne.

- Od dwóch lat pracujemy po szesnaście godzin na dobę, niemal ginimy podczas prezentacji tego urządzenia, a ty nagle tracisz zainteresowanie?

- Przeciwnie. Jestem bardzo zainteresowany. Ale chyba zgodzi się pani, że nasz obecny model wymaga nieco pracy. Ja jedynie podsuwam propozycję ulepszeń. Jeśli to pomysł do niczego, proszę mi o tym powiedzieć. Pani jest inżynierem, nie ja.

- Co to za pomysł?

- Po przeciwnych stronach asteroidy można umieścić dwa urządzenia podobne do naszego glasera połączone ze sobą jak bolas. Jak nauszniki. Działają według tej samej zasady, lecz ich pola grawitacyjne ścierają się ze sobą, więc asteroida i tak zostaje rozerwana na kawałki przez fluktuujące siły, lecz pole grawitacyjne nie rozrasta się do niestabilnych wielkości. Jest o wiele bardziej ograniczone. Skąła zostaje zmiażdżona na pył, ale nikt nie ginie.

- Ciekawe - powiedziała Benyawe. - Każę zespołowi się tym zająć. Badania będę nadzorować osobiście.

Zaskoczyła Lema. Spodziewał się uprzejmego, choć nieco protekcyjnego wykładu o tym, że pomysł jest ciekawy, lecz zbyt niepraktyczny, słownego poklepania po głowie, odpowiadającego sugestii, by zostawił te sprawy dorosłym. No bo jak mógł być na tyle bezczelny, by pomyśleć o czymś, o czym nie pomyśleli naukowcy? To były najbardziej błyskotliwe umysły w swoich dziedzinach. On nie był naukowcem, nie był wybitnym fizykiem,

a mimo to Benyawe podjęła jego pomysł. A może tylko chciała go ugłaskać? Nie. To naprawdę dobry pomysł. Obiecujący. Przecież tak właśnie robią przedsiębiorcy. Mają pomysły i zwracają się do ludzi, którzy potrafią je urzeczywistnić. Tak robił ojciec.

Lem wyszedł z jadalni sprężystym krokiem, co w stanie nieważkości było dość łatwe. Wszystko w końcu się układało. Jako prezent dla zarządu miał cztery ładownie prawie pełne walców. Przeprowadził udane testy glaser. Podolski załatwił problem z „El Cavadorem”. A teraz, jeśli Benyawe i jej zespół rozwiną podsunęty pomysł, być może Lem wróci na Lunę z planami glaser następnej generacji, który będzie w dużej mierze jego zasługą.

Owszem, przechodził trudny okres, lecz kryzysy już miał za sobą. Popatrzył na swoje odbicie w metalicznej lśniącej kolumnie. Nie golił się od dwóch dni, ale podobą mu się taka szczecina. Wyglądał zawadiacko, jego znajome by omdlewały z zachwyty. Wyprostował ramiona i sprawdził profil. To była twarz przywódcy, twarz żądająca posłuszeństwa. Za to mógł podziękować ojcu.

Poprawił kurtkę, sprawdził profil z drugiej strony i ruszył dalej. Po kilku krokach napotkał jakąś załogantkę - chyba pracowała w kuchni. Uśmiechnął się swoim najpiękniejszym uśmiechem, a ona się zarumieniła. A więc nadal miał to w sobie. Po niemal dwóch latach od wypadnięcia z gry nie stracił atrakcyjności.

Przemieścił się rurą do swej kajuty i zastanowił się, do kogo powinien zadzwonić po powrocie na Ziemię. Wcale nie było za wcześnie, żeby o tym myśleć. Gdyby osiągnął bardziej eksponowaną pozycję w firmie, jak się tego spodziewał, przydałoby się mieć u boku jakąś kobietę. Niekoniecznie żonę, ale kogoś, kto mógłby mu towarzyszyć na korporacyjnych imprezach i czarować członków zarządu.

Włączył muzykę, zdjął nagolenice i karwasze i podpłynął do terminalu komputerowego. Na jego liście kontaktów nie brakło pięknych kobiet; zajmowały się biznesem, medycyną, nauką, rozrywką, była wśród nich też nawet duńska hrabina, chociaż w końcu okazała się dość pochłonięta sobą. Klikał w ich zdjęcia i uśmiechał się do wspomnień. Wiele tych znajomości dotrwało

do trzeciej albo czwartej randki, rzadko dłużej. Lem zbyt dużo podróżował i za ciężko pracował.

Zauważył, że ostatnią znajomą wpisał ponad dwa lata temu, ale tego się spodziewał; przebywał w kosmosie. Inne wpisy pochodziły sprzed siedmiu czy ośmiu lat, i to go zaskoczyło. Upłynęło już tyle czasu? Co gorsza, nie utrzymywał kontaktów z żadną z tych kobiet, chociaż wszystkim to obiecywał. Nagle uświadomił sobie, jak niemądrze zabrzmiałaby próba kontaktu po powrocie. Hej, pamiętasz mnie? Byliśmy na kolacji siedem lat temu, ja byłem czarujący, a potem nie zadzwoniłem. Mam po ciebie przyjechać o ósmej?

Ale klasa. Lem spojrzał na swoje odbicie na ekranie terminalu. Łudził się i wiedział o tym. Odepchnął się od biurka, znalazł golarkę i się ogolił.

Kiedy osuszał ręcznikiem twarz, w holoprzestrzeni nad biurkiem wyskoczyło powiadomienie. Przeciągnął przez nie ręką, zezwalając na odtworzenie wiadomości. W holoprzestrzeni pojawił się Chubs.

- Na częstotliwości awaryjnej otrzymujemy szerokopasmowy przekaz radiowy. I nie uwierzysz od kogo.

- Od kogoś, kogo znamy?

- Od „El Cavadora”.

Lem zamarł. „El Cavador”? Jak to możliwe?

- Myślałem, że radio nie działa, że są zakłócenia. Od wielu dni nie otrzymali żadnej wiadomości.

- Zakłócenia mają wpływ głównie na transmisje dalekiego zasięgu - rzekł Chubs. - Jeśli transmisja pochodzi z niedaleka i jest wystarczająco silna, trafia do adresata.

- Jak blisko jest „El Cavador”?

- Dzień za nami. Leci z tą samą prędkością.

Lem zaklął pod nosem. Jeden dzień. Praktycznie już ich mają. No po prostu idealnie.

- Jest gorzej, niż myślisz. Proszę o ciebie osobiście.

Lem zamknął oczy. Wszystko znów się rozsypywało. Podolski na pewno nie zdążył wyczyścić ich komputerów. Było na to za wcześnie. Wolni górnicy go śledzili. Odczytali pliki i teraz wracają, by podać cenę za ich zwrot.

- Co mam im powiedzieć? - zapytał Chubs.

Przez chwilę Lem zastanawiał się nad odrzuceniem przekazu. Jeśli nie zareaguje, może odleć. Ale nie, jeśli ich zamiarem było wymuszenie, to tylko udadzą się gdzieś indziej i tam sprzedadzą dane, a to byłoby gorzej.

- Połącz. Masz to oglądać i nagrać. Tylko ty.

- Zrozumiałem.

Chubs zniknął, a jego miejsce w holoprzestrzeni zajęła kobieta. Wyglądała tak samo jak przed kilkoma miesiącami: stara, władcza. Sprawiała wrażenie, jakby była ze stali.

Lem poprawił kołnierzyk i wsunął twarz do holoprzestrzeni, żeby kapitan też mogła go widzieć. Rozmowa będzie się odbywała z opóźnieniem, a jego długość będzie zależała od odległości między statkami.

Pierwsza odezwała się stara kobieta.

- Panie Jukes, miałam nadzieję, że nasze ścieżki już nigdy się nie przetną, lecz wymagają tego okoliczności. Jestem Concepción Querales, kapitan „El Cavadora”. Kontaktujemy się z panem, gdyż potrzebujemy pańskiej pomocy. Stacja Wagowa Cztery została zniszczona. Aby udowodnić to panu i pańskiej załodze, wysyłam wszystkie pliki, jakie mam.

Lem milczał. Nie musiał wydawać żadnego polecenia, Chubs natychmiast zacznie te pliki przeszukiwać. Stacja Wagowa Cztery zniszczona? Niemożliwe. Byli tam niecały tydzień wcześniej. Ci wysysacze kamieni coś knują.

- Wszystko, co zamierzam panu powiedzieć, będzie się panu wydawało nedorzeczne i niewątpliwie pomyśli pan, że to z naszej strony jakiś wybieg mający na celu zemstę - powiedziała Concepción, jakby czytała w jego myślach. - Zapewniam, że tak nie jest. Kontaktuję się z panem, panie Jukes, gdyż rozpaczliwie potrzebujemy pomocy. W Układzie Słonecznym pojawił się obcy statek. Wśród danych, które panu przesłałam, jest jego trajektoria i współrzędne. Ten statek już ponosi odpowiedzialność za śmierć około sześciuset ludzi, w tym wszystkich znajdujących się na pokładzie Stacji Wagowej Cztery, oraz trojga członków mojej załogi. Wśród danych znajduje się wideo przedstawiające osobniki obcego gatunku. To nie jest żart, panie Jukes, a ja nie kontaktowałabym się z panem, gdybyśmy nie znajdowali się w wielkiej potrzebie. Przesyłam współrzędne miejsca spotkania.

Statek WU-HU znajdujący się w tej okolicy zgodził się dołączyć do naszego ataku na obcy statek. Akcję przeprowadzimy za sześć dni. Mamy nadzieję, że pan też nas wesprze. Obcy statek nadal hamuje. Jeśli wszyscy przyśpieszymy i lekko zmienimy kurs, będziemy mogli go przechwycić i ocalić niezliczonych ludzi, może nawet Ziemię. Daję panu i pańskiej załodze trzy godziny na obejrzenie naszych danych i odpowiedź. Proszę o potwierdzenie otrzymania wiadomości i zamiaru udzielenia odpowiedzi. Lem usiłował nie okazać zaskoczenia.

- Wiadomość otrzymana. Odpowiemy. Bez odbioru. Wysunął twarz z holoprzestrzeni. Niemal natychmiast pojawił się w niej Chubs.

- Mamy ich pliki. Myślałem, że mogą być zarażone wirusem, ale są czyste. Nawigator sprawdził współrzędne, które podała dla tego statku.

-I...?

Chubs pokręcił głową.

- Lepiej tu przyjdź. Tam coś jest. Coś niepodobne do niczego, co kiedykolwiek widziałem.

Dwie godziny spędzili na sprawdzaniu danych z „El Cavadora”. Kiedy skończyli, poszli do Benyawe. Znaleźli ją w pracowni inżynierskiej, gdzie wraz z sześcioma innymi inżynierami rysowała na ścianie plany glaserów według pomysłu Lema.

- Panie Jukes, właśnie omawiamy ten pański projekt w kształcie bolas. Czy mógłby pan wyjaśnić inżynierom to, co wcześniej wyjaśnił pan mnie?

- Kiedy indziej - odparł Lem. Dotknął przycisku, likwidując plany. - Jeśli pozwolicie, musimy porozmawiać z doktor Benyawe na osobności w pilnej sprawie.

Pokazał na drzwi. Zaskoczeni inżynierowie spojrzeli po sobie, po czym szybko zebrali swoje rzeczy i wyszli. Chubs zablokował zamek.

- Intrygujesz mnie - powiedziała Benyawe z niepokojem. Lem odtworzył najpierw holowiadomość od Concepción.

Następnie rzucił na ścianę nagrania wideo z „El Cavadora”. Benyawe oglądała wszystko w milczeniu, bez reakcji, jak

obiektywny naukowiec. Nawet nie podskoczyła tak jak Lem, kiedy na powierzchni kapsuły pojawili się *hormigas*. Po pokazie zadała kilka szczegółowych pytań, a Chubs odpowiedział na nie, wyświetlając na ścianie pozostałe dane z „El Cavadora”. Benyawe czytała je, przełączając okna, sprawdzając obliczenia i współrzędne.

Kiedy skończyła, odwróciła się do Lema.

- Nie możemy nazywać ich *hormigas*. To po hiszpańsku „mrówki”. Społeczność naukowa nigdy się nie zgodzi na klasyfikację w żywym języku. To musi być łacina. Formidzi. Tak ja bym zaleciła.

Lem zamrugął.

- A kogo obchodzi, jak ich nazwiemy? Właśnie pokazałem pani cholerny obcy gatunek, pani Benyawe. Co za różnica, jak się nazywa?

- Bardzo duża. To największe odkrycie naukowe w naszej historii. Odpowiada na najbardziej podstawowe pytanie naukowe: czy jesteśmy sami we wszechświecie? Jak widać, odpowiedź jest przecząca. Co więcej, nie jesteśmy też gatunkiem najbardziej zaawansowanym technicznie, co, jak podejrzewam, zaboli wszystkich ludzi.

- Nie interesuje mnie nauka, pani doktor - powiedział Lem. - Pani naukowy umysł jest zapewne wniebowzięty tym odkryciem, ale mój umysł, mój logiczny, praktyczny umysł sika w swoje umysłowe spodnie. Ku Ziemi pędzi obcy statek dysponujący niewyobrażalną siłą ognia i zapewne mający złe zamiary. Jeśli istnieje jakakolwiek szansa, że to mistyfikacja, a Chubs i ja jesteśmy łatwowiernymi idiotami, proszę mi to powiedzieć teraz.

- Nie - odparła Benyawe. - To jest prawda. Dowody są niepodważalne.

- Nie ma pani najmniejszej wątpliwości? - zapytał Chubs.

- Najmniejszej. Musimy natychmiast przekazać tę informację na Ziemię.

- Nie możemy - powiedział Chubs. - Łączność dalekiego zasięgu nie działa z powodu zakłóceń.

- Nawet laselinia?

- Nadajnik nie działa. „El Cavador” sądzi, że oczyszczenie obcego statku mogło uszkodzić zewnętrzne czujniki w zasięgu

nawet miliona kilometrów. Od pewnego czasu nie próbowaliśmy wysłać laselinii, dlatego nie zauważyliśmy tego problemu wcześniej.

- Teraz wie pani to co my - powiedział Lem. - Jak mamy odpowiedzieć „El Cavadorowi”? Znam już zdanie Chubsa. Teraz chcę poznać zdanie pani.

Benyawe wyglądała na zaskoczoną tym pytaniem.

- Oczywiście będziemy walczyć. Staniemy u ich boku i damy im wszystko, co mamy. Musimy zatrzymać ten obcy statek, Lemie. Zniszczyć go, jeśli zdołamy, chociaż podejrzewam, że kapitan Querales ma rację. Możemy mieć co najwyżej nadzieję, że go uszkodzimy. Ale jeśli chodzi o naszą odpowiedź, musi to być głośne, absolutne „tak”. „Makarhu” włączy się do walki.

Lem skinął głową.

- Myślałem, że to pani powie.

- Nie zgadzasz się? Czy mój głos jest odmienny od waszych?

- Nie. Decyzja jest jednomyślna. Zaatakujemy tych drani.

Rozdział 18

Formidzi

W holoprzestrzeni przed Concepción unosiły się głowy Lema Jukesa i kapitana Doashanga z korporacji WU-HU. Ich statki znajdowały się jeszcze kilka dni od punktu przechwycenia statku Formidów, lecz były już na tyle blisko siebie, by można było przeprowadzić trójstronną konferencję bez większych zakłóceń. Mimo że Concepción czuła się wyczerpana i cierpiała z powodu nasilenia artretyzmu, przybrała uprzejmy wyraz twarzy i wsunęła ją do holoprzestrzeni. Niech zobaczą moje oczy i poznają, że jako rodzina ich nie zawieziemy.

Nastąpiły prezentacje. Doashang sprawiał wrażenie nadzwyczaj kompetentnego kapitana. Lem Jukes przypominał swojego ojca, to znaczy był pewny siebie w urzekający, a zarazem odpychający sposób. Gdyby Concepción miała zgadywać, powiedziałyby, że ledwo przekroczył trzydziestkę. Właściwie to było dziecko. Miał dwa razy mniej lat od niej. Ależ ona jest stara. W jego wieku wciąż przebywała na Ziemi i pracowała w bodedze ojca w Barinitas w Wenezueli, przekonana, że będzie tak tkwiła w upale i kurzu do końca życia i sprzedawała zimne piwo słodowe wracającym z pola rolnikom.

Bardzo się myliła.

Po dokonaniu prezentacji Lem od razu zagłębił się w taktykę. Zaskoczył Concepción tak szybką reakcją na prośbę o pomoc; założyła, że napędza go jego duch zdobywcy, potrzeba

podporządkowywania sobie innych i terroryzowania ich. Teraz jednak, kiedy podsuwał pomysły i okazywał troskę o bezpieczeństwo także pozostałych statków, a nie tylko swojego, pomyślała, że może chęć pomocy Lema bierze się ze szczerego pragnienia ochrony Ziemi. To ją uspokoiło. Egoistyczne motywy prowadzą do zdrady podczas walki, a jeśli chcieli mieć nadzieję na przeżycie, muszą bezgranicznie ufać sobie nawzajem.

- Skoro Włosi bezpośrednio trafili kapsułę i nie wyrządzili jej widocznych szkód, to możemy zakładać, że główny statek ma takie same osłony - powiedział Lem.

- Nie wygramy tego starcia laserami - stwierdziła Concepción. - Formidzi dowiedzą się o naszym istnieniu w chwili, kiedy otworzymy ogień. I wtedy będziemy mieli kłopoty. Mogliby wyrzucić promieniowanie, jak zrobili to w pobliżu Stacji Wagowej Cztery, a my nawet nie wiedzielibyśmy, co nas trafiło.

- To jak ich zaatakujemy? - zapytał Doashang.

- Włosi nie zdołali uszkodzić kapsuły ogniem laserowym, lecz kilku moich ludzi wylądowało na niej i zniszczyło jej czujniki i wyposażenie.

- Na powierzchni statku Formidów nie ma czujników ani wyposażenia - zauważył Lem. - Jest gładka. Nie ma czego atakować. Poza tym statek porusza się z prędkością stu tysięcy kilometrów na godzinę. Chce pani umieścić ludzi na jego powierzchni przy tej prędkości?

- Tak. Jedyną znaną nam metodą przebicia ich osłon jest znalezienie się na powierzchni kadłuba. Wiemy, że powierzchnia kapsuły była magnetyczna, więc istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że powierzchnia głównego statku też taka jest. Nasi ludzie wyposażeni w magnesy mogliby po niej pełzać i umieszczać materiały wybuchowe. Moglibyśmy je zaopatrzyć w mechanizmy zegarowe z opóźnieniem wystarczającym do sprowadzenia ludzi na statki i oddalenie się na bezpieczną odległość. Jeśli będzie nam sprzyjać szczęście, Formidzi nawet się nie zorientują, że ich odwiedziliśmy.

- Dzięki temu unikamy walki - stwierdził Doashang. - Podoba mi się to.

- A jeśli poszycie jest tak mocne, że materiały wybuchowe go nie uszkodzą? - zapytał Lem. - Nie wiemy, z jakiego materiału

jest zrobiony ten statek. Może być odporny na wszelkie ataki. Poszycie może mieć dziesięć metrów grubości.

- W takim wypadku nie uda nam się ich powstrzymać żadną miarą - powiedziała Concepción. - Ale nie dowiemy się tego, jeśli przynajmniej nie spróbujemy zaatakować. I jeśli poszycia nie da się przebić, to dowiemy się czegoś cennego. Taka informacja przyda się tym, którzy będą walczyć z Formidami po nas.

- Zakładam, że ma pani materiały wybuchowe - powiedział Lem.

- Zakładam, że wszyscy je mamy - rzekła Concepción. - Nie używa ich pan czasami do rozbicia powierzchni asteroidy albo otwarcia szybu?

- Będę musiał sprawdzić u naszego kwatermistrza.

- Nie jesteście wyposażeni? - zdziwiła się Concepción. - Nasz teren wydobywania przejęliście siłą. Założyłam, że chcieliście go zdobyć dla celów wydobywczych. Co chcieliście tam robić, jeśli nie wydobywać minerały?

Zapadło niezręczne milczenie. Doashang wodził wzrokiem od jednego do drugiego.

- Sprawdzę u naszego kwatermistrza - powtórzył Lem.

- Koniecznie. Bo im więcej materiałów wybuchowych użyjemy, tym większe wyrządzimy szkody.

- Jak by się to odbyło? - zapytał Doashang. - W jaki sposób bezpiecznie umieścimy ludzi na powierzchni statku?

- Z cum zrobimy liny ślizgowe - wyjaśniła Concepción. - Zaopatrzymy je w kotwice magnetyczne i wystrzelimy w stronę kadłuba. Kiedy będą zamocowane, nasi górnicy podepną się do lin i polecą na powierzchnię statku, używając napędu skafandrów. Nie będą mogli używać lin ubezpieczających, bo nie możemy tak bardzo się zbliżyć do statku Formidów. Będą jednak mieli pojemniki z tlenem i akumulatory. Przypną materiały wybuchowe, podpełzną z powrotem do cum i albo przylecą do nas, albo wciągniemy ich wciągarką.

- Dużo możliwości, że coś zawiedzie - zauważył Doashang. - A jeśli uderzenie magnetycznej kotwicy zaalarmuje Formidów? Albo jeśli powierzchnia statku potrafi wykrywać ruch?

- To jest możliwe, choć nieprawdopodobne. Podczas ataku na kapsułę Formidzi pojawili się dopiero wtedy, gdy uszkodziliśmy

ich sprzęt. Zanim zareagowali, spędziliśmy kilka minut na ich kadłubie.

Concepción zamilkła, dając pozostałym czas na rozważenie jej słów.

- Nie mam lepszego pomysłu - odezwał się w końcu Doashang. - I zgadzam się, że najlepiej jest działać ukradkiem. Nasz statek nie dysponuje jednak wciągarką. Nie moglibyśmy więc pomóc przy cumach.

- Właściwie miałam zaproponować, żeby wasz statek w ogóle nie brał udziału w akcji.

- Dlaczego? - zapytał Lem.

- Ktoś musi się trzymać z tyłu. Posiadane przez nas informacje są zbyt cenne, by miały zginąć razem z nami. Wysłaliśmy jednego z naszych załogantów z dużą ich częścią na Lunę, ale nie wiemy, czy dotrze tam żywy albo czy ktokolwiek potraktuje go poważnie. Jeśli ten atak się nie powiedzie, ktoś musi przekazać na Ziemię wszystko, co wiemy. Proponuję, żeby to był pański statek, kapitanie Doashang. Może pan wszystko rejestrować z odległości. Na wypadek gdyby coś się nam stało, chcielibyśmy przed akcją przenieść wszystkie kobiety i dzieci z naszego statku na pański.

- Zgadzam się - rzekł Lem. - Pański statek jest najmniejszy i ma najsłabsze osłony, kapitanie Doashang. Jeśli ktoś ma się trzymać z tyłu, powinien to być pan.

Doashang westchnął.

- Nie podoba mi się rola obserwatora, ale to prawda, że cała nasza wiedza musi zostać przekazana na Ziemię. Jeśli mam wziąć na pokład wasze dzieci i osoby niebiorące udziału w akcji, musimy połączyć statki w locie z dużą prędkością, co jest niebezpieczne. Nie możemy zwolnić, bo nie dogonimy statku Formidów.

- Będziemy musieli zaufać naszym komputerom i pilotom - stwierdziła Concepción. - Rozkażę mojej załodze natychmiast rozpocząć przygotowania.

* * *

O oznaczonej porze Rena udała się do włazu, do którego przycumował chiński statek. Wzięła ze sobą tylko małą torbę z jedną zmianą ubrania. Obok niej siedł Segundo, obejmował ją

ramieniem. Wokół panował rozgardiasz - płakały niemowlęta, matki je uciszały, a w powietrzu polatywały małe dzieci wbrew surowym nakazom rodziców, by zachowywały się cicho i nigdzie się nie oddalały. Płakało też kilka kobiet, zwłaszcza młode matki i żony, które tuliły się do mężów zostających na pokładzie. Rena postanowiła nie płakać. Płacz oznaczał przyznanie, że może się zdarzyć coś strasznego, że to może być ostateczne rozstanie, a ona nie chciała w to wierzyć.

Rozległ się brzęczyk ostrzegający o zbliżającym się obiekcie. Rena się wzdrygnęła. To statek WU-HU przygotowywał się do cumowania. Przestraszone dzieci wpadały w ramiona rodziców, a wszyscy obserwowali właz na końcu korytarza. Właz był zrobiony z litej stali i nie miał okienka, lecz Rena wpatrywała się w niego, jakby widziała za nim zbliżający się statek.

Segundo sięgnął do swojego podręcznego komputera i wyłączył alarm. Na korytarzu znów zagościła cisza.

- Kiedy zacumują, może nastąpić wstrząs - rozległ się donośny głos Segundo.
- Niech wszyscy zbliżą się do ścian i czegoś się chwycą.

Rodzice natychmiast przyciągnęli do siebie dzieci, podpłynęli do którejś ze ścian i przywarli do rur czy specjalnych uchwytów. Segundo i Rena przemieścili się do kąta.

- Takie cumowanie jest idiotycznie niebezpieczne - powiedziała cicho Rena kolejny już raz.

- Jest konieczne - odparł Segundo.

- Nie jest konieczne. Powinniśmy zostać na statku. A przynajmniej ja powinnam zostać. Nie ma powodu, żebym się przesiadała. Nie mam małych dzieci. Powinnam zostać z tobą. Na tamtym statku będę bezużyteczna.

- Nieprawda - powiedział Segundo. - Potrafisz pocieszać innych. Te kobiety potrzebują cię teraz bardzo. Możesz im dać oparcie.

- Mogę też dać oparcie tobie. Uśmiechnął się.

- I zawsze będziesz je dawać. Ale nie możesz tego przejść u mojego boku. Nie będzie mnie na statku.

Odwróciła głowę. Nie chciała, by mówił o ataku. Znała szczegóły; Segundo opowiedział jej o planie i o ryzyku, jakie podejmie,

ale nie chciała o tym myśleć. Myślenie o tym oznaczało wyobrażanie sobie wszystkiego, co mogłoby pójść źle.

Segundo znów ją objął. Odwróciła się do niego zobaczyła, że mąż łagodnie się do niej uśmiecha. Takim uśmiechem przyznawał jej rację. Tyle że Rena nie mogła zostać na statku. Wywołałoby to panikę. Inne kobiety też chciałyby zostać, a te z małymi dziećmi, które pragnęłyby zostać z mężami, byłyby rozdarte w duszy. Odejście zaczęłoby nagle wyglądać jak porzucenie, a nie wykonanie rozkazu.

I wtedy Rena poczuła się bezpiecznie. Mimo cumowania, mimo hormigów czy Formidów, czy jak tam teraz się nazywali, czuła się w uścisku tego ramienia bezpiecznie. Chciała się sprzeczać i znowu wyłożyć swoje zastrzeżenia, ale mąż uśmiechem wypalił w niej całą wolę walki.

Kiedy statek WU-HU zacumował, „El Cavador” gwałtownie się zatrzęsł i kilka osób krzyknęło. Zamigotały światła. Rena przyłożyła dłoń do ust, tłumiąc własny krzyk. A potem było po wszystkim. Statek się ustabilizował i przez chwilę panowała cisza. Z drugiej strony włazu dobiegały stłumione odgłosy uszczelniania śluzu i napełniania jej powietrzem.

Światelko nad włazem zmieniło kolor z czerwonego na zielony, rozległy się dwa ostre stuknięcia. Bahzfm otworzył właz, przez który przepłynął Azjata. Po jego mundurze było widać, że to kapitan, więc Concepción zbliżyła się i go przywitała. Rena nie słyszała, co mówili. Po chwili Concepción zwróciła się do wszystkich oczekujących.

- Kapitan Doashang wiele ryzykował, cumując do nas. Doceniamy jego uprzejmość i to, że przyjmuje was na swój statek. Proszę was, byście okazywali mu taką samą grzeczność, jaką zawsze okazywaliście mnie. A teraz ustawcie się gęsiego i nie zatrzymujcie się.

Ludzie znajdujący się najbliżej włazu zaczęli zbierać swoje rzeczy i zmierzać do śluzu.

Rena poczuła nagle przyływ paniki. To się działo. Już szli. Nie pożegnała się. Odbyło się to za szybko. Odwróciła się do Segundo. Patrzył na nią z góry. Położył jej ręce na ramionach i znów uśmiechnął się tym rozbrajającym uśmiechem, który przesłaniał całe otoczenie i uciszał cały świat.

Ludzie wokół nich ustawiali się w kolejce.

Rena nie zwracała na nich uwagi. Chciała mężowi tyle powiedzieć - nie było to nic, co nie zostało już powiedziane każdego dnia ich wspólnego życia, nic, czego już nie wiedział. Ale i tak chciała to powiedzieć. A mimo to „kocham” nagle wydało się takim małym słowem. Ona nie czuła do Segundo miłości, lecz znacznie więcej, choć nie umiała tego ująć w słowa.

Wsunął coś do jej dłoni. Spojrzała w dół. Dwa listy w zaklejonych kopertach. Na jednej widniało jej imię. Druga była dla Victora. Natychmiast zwilgotniały jej oczy. Nie, nie weźmie żadnych listów. List piszą mężowie do żon, kiedy myślą, że nie wrócą. A on wróci. To nie było pożegnanie. Nawet nie chciała o tym myśleć. Pokręciła głową, wepchnęła mu listy z powrotem do ręki i zamknęła na nich jego palce.

- Możesz mi to przeczytać, kiedy będzie po wszystkim. A pewnego dnia możesz dać ten list naszemu synowi.

Uśmiechnął się, ale wyglądał na lekko urażonego.

- Zrobię ci kolację - powiedziała, ocierając oczy. - A potem wciśniemy się do hamaka i przeczytasz mi każde słowo. Nic nie uczyni mnie szczęśliwszą.

- Nie jesteś ciekawa, co tam jest napisane? Dotknęła dłonią jego policzka.

- Ja już wiem, co tam jest napisane, *mi cielo*. I czuję to samo. Skinął głową. Schował listy do kieszeni kurtki.

- Ale ja wybiorę hamak. Bardzo mały hamak. Może być nam ciasno. Będziesz musiała bardzo się przytulić.

Mocno go objęła, mocząc mu koszulę łzami.

Kolejka się posuwała. Połowa czekających już opuściła statek.

- Lepiej idź.

Odchrząknęła i zapanowała nad wyrazem twarzy. Nie powinna tak płakać. Odetchnęła głęboko i wytarła oczy. To absurdałne. Reagowała zbyt mocno. Wszystko będzie dobrze. Segundo podniósł torbę i podał żonie ramię.

- Sama mogę nieść moją torbę, głuptasie - powiedziała. - Nic nie waży.

- Nigdy nie odmawiaj mężczyźnie sposobności do okazania rycerskości.

Wzruszyła ramionami na znak, że mu ustępuje, a potem wzięła go pod rękę i pozwoliła się odprowadzić.

Przy włączu oddał jej torbę. Kolejka nie zatrzymała się ani razu. I już Rena przechodziła przez włącz; nie było czasu, żeby się zatrzymać. Obejrzała się i zanim musiała skrócić za róg, jeszcze raz zobaczyła męża. Ktoś ujął ją za rękę i delikatnie pociągnął na statek WU-HU. Była to młoda, piękna Chinka.

- *Hudnying*. Witaj.

- Dziękuję - odpowiedziała Rena.

Światła na chińskim statku świeciły jaśniej, niż była przyzwyczajona. Statek był lśniący i nowoczesny, pełen udogodnień technicznych, zupełnie niepodobny do „El Cavadora”. Podeszła do gromadki matek z dziećmi i tam, gdzie było to potrzebne, zaczęła rozdzielać słowa pocieszenia i uściski.

Włącz zamknięto. Statki się rozdzieliły. Załoga zaprowadziła Renę i pozostałe kobiety do ich kajut. Pomieszczenia były niewielkie, ale każdy dostał hamak, a poza tym to miało trwać tylko parę dni. Rena chciała postawić bagaż w przeznaczonych dla niego przegródce i zobaczyła, że torba jest otwarta. Dziwne. Była pewna, że ją zamknęła. Zajrzała do środka i znalazła dwie zaklejone koperty. Jedną zaadresowaną do siebie, a drugą do Victora.

* * *

Mono nie zamierzał wsiąść na statek WU-HU. Przybył do włączu z matką i wszystkimi innymi kobietami z dziećmi, ale to, że ma dziewięć lat, jest nieduży i formalnie jest dzieckiem, nie znaczyło, że nie może pomóc na „El Cavadorze”. Czy Victor mu nie kazał pomagać Segundo? Jeśli statek będzie wymagał napraw, kto pomoże Segundo przy precyzyjnych pracach? Nie, on zostaje. Ma obowiązki. Tylko że był jeden problem. Matka. Trzymała jego dłoń jak w imadle. Mono będzie musiał skłamać. A nie znosił kłamać, zwłaszcza matce.

Patrzył na otwierający się włącz i wpływającego do „El Cavadora” kapitana WU-HU, który chwilę porozmawiał z Concepción. Potem Concepción wygłosiła mowę. Okażcie kapitanowi szacunek. Bądźcie grzeczni. Ple, ple, ple. Dorośli zawsze tak gadają.

Oczywiście, że wszyscy będą grzeczni. Będziemy na cudzym statku. Zasady zachowania gościa. Wszyscy to wiedzą.

Tyle że Mono tam nie będzie. Zostanie tutaj. Nagle zobaczył, że matka płacze. Nie otwarcie, nie wielkimi łzami, jakie wylewały dziewczynki w jego wieku, żeby zaraz do nich przybiegł ktoś dorosły, ale prawdziwymi, cichymi łzami.

Uściskał jej rękę i powiedział łagodnie:

- Wszystko będzie dobrze.

Wytarła twarz, uśmiechnęła się i przykucnęła, żeby ich oczy znalazły się na jednym poziomie.

- Oczywiście, Monito. Mama jest buczącym buczkiem.

Tak nazywała siebie samą, ilekroć syn przyłapał ją na płakaniu. Mono wiedział, że jest już za duży na takie dziecinne słowa, ale one zawsze pomagały matce się uspokoić, kiedy je wypowiadała, więc się nie oburzył.

Inne kobiety tuliły się do mężów i żegnały z nimi. Matka nie miała męża. Kiedy Mono był za mały, by to pamiętać, ojciec zachorował, a na pokładzie nie było potrzebnego leku.

Matka zebrała rzeczy i ustawiła się w kolejce, wciąż wycierając twarz. Jak mógł ją teraz zostawić? Będzie przerażona, kiedy odkryje, że nie ma go na statku. To złamie jej serce. Będzie wściekła.

Ale mówiła mu, że on jest mężczyzną w rodzinie. Nazywała go swoim małym obrońcą. Zawsze w słodki sposób, owszem, zawsze w sposób sugerujący, że tak naprawdę nie mówi poważnie. Ale czy nie była to prawda? Przecież był mężczyzną w rodzinie. Był jej obrońcą. I gdyby mógł jej to udowodnić, może by tak bardzo nie płakała. Może przestałaby być smutna.

- Chcę iść na przód kolejki z Zapą - powiedział. Zapatón albo Duże Buty, chłopiec w wieku Mono, był jego najlepszym przyjacielem, jeśli nie liczyć Victora, matki czy Segundo.

- Zostań ze mną, Monito.

- Proszę. Chcę zobaczyć chiński statek w środku.

- Za chwilę się tam znajdziemy.

- Ale ojciec Zapy dał mu podręczny komputer z tłumaczem chińskiego, żebyśmy mogli przywitać się z załogą po chińsku.

To było kłamstwo. W dodatku podłe. Mono wiedział, że jeśli wspomni o ojcu innego dziecka, jeśli sprawi wrażenie, że jest w gorszej niż inni sytuacji, bo nie ma ojca, to matka ustąpi.

Westchnęła z irytacją.

- Tylko żebym cię widziała.

Mono nie czekał, by zmieniła zdanie. Wybił się w górę, złapał uchwyt, przekręcił się, odbił ponownie i wylądował obok Zapy, który pociągał nosem i ocierał oczy.

- Dlaczego płaczesz?

- Mój *papito* zostaje.

Zapa miał sześcioro braci i siostr; wszyscy znajdowali się w kolejce przed nim, podobnie jak jego matka.

- Udawaj, że wszedłem na statek razem z tobą - powiedział Mono.

Zapa wytarł nos rękawem. -Co?

- Nie wsiadam na statek WU-HU, ale musisz udawać, że wsiadłem.

- Nie wsiadasz?!

- Posłuchaj. Kiedy przyjdzie mnie szukać matka, powiedz jej, że jestem w łazience.

- W jakiej łazience?

- W łazience na statku WU-HU.

- Ale mówiłeś, że nie wsiadasz na statek WU-HU.

- Mnie nie będzie w tej łazience, tępaku. Ukryję się tu, na „El Cavadorze”.

Zapa szeroko otworzył oczy.

- Głupi jesteś? Ściągniesz na mnie kłopoty.

- Muszę tu zostać i pomóc. Po prostu powiedz mojej matce, że wziąłem komputer z tłumaczem do łazienki, żeby się uczyć chińskiego.

Zapa się skrzywił.

- Mówisz bzdury, Mono. *Estd tostao*.

- Po prostu jej to powiedz.

Dotarli do wjazdu. Mono się obejrzał. Matka z kimś rozmawiała, była odwrócona. Wystąpił z kolejki i schował się za jakimiś skrzyniami, a Zapa i jego rodzina przeszli przez wjazd. Mono

pozostał w swej kryjówce jeszcze długo po zamknięciu włazu i odlocie statku WU-HU.

* * *

Lem wywołał w holoprzestrzeni nad swoim biurkiem obraz statku Formidów i powiększył go do maksimum. Obok niego unosili się Benyawe i Chubs.

- Dlaczego nie możemy do niego strzelić z glaser? - zapytał Lem. - Dlaczego nie możemy rozbić Formidów w drobny mak i mieć to z głowy? Żadnego dolatywania na powierzchnię statku i umieszczania na niej materiałów wybuchowych. Używamy glaser i zmieniamy ten statek w pył.

- To by się nie udało - rzekła Benyawe. - Statek Formidów jest za duży i ma za dużą gęstość. Glaser nie został zaprojektowany do tego typu masy. Został zaprojektowany do skał.

- Asteroidy są wypełnione metalami o dużej gęstości - zauważył Lem. - Jeśli chodzi o strukturę, to właściwie jest to samo.

- Nie zapominajmy, co się stało ostatnim razem, kiedy uruchomiliśmy glaser. Jest zbyt niestabilny. Nie mamy pojęcia, jaki typ pola grawitacyjnego by powstał. Nie możemy także zakładać, że do konstrukcji tego statku zostały użyte metale, które znajdujemy w asteroidach. Formidzi mogą stosować stopy, jakich nigdy nie widzieliśmy. Wiemy tylko tyle, że powierzchnia tego statku jest odporna na zderzenia i wysoką radiację przy prędkości bliskiej prędkości światła, co oznacza, że jest niebywale mocna. O wiele twardsza od jakiejkolwiek asteroidy.

- Skoro tak, co działają materiały wybuchowe? - zapytał Lem.

- To, w jaki sposób statek zareaguje na wybuchy, dużo nam powie o wytrzymałości kadłuba. Ale nie tylko dlatego kwestionuję użycie glaser. Weź pod uwagę naszą prędkość. Poruszamy się z szybkością stu dziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę. Glaser nie został zbudowany do takich warunków. Gdybyśmy go wysunęli ze statku, żeby strzelić, prawdopodobnie zostałby przez coś uderzony i rozdarty na strzępy. Nawet jakieś drobne cząstki mogłyby go zniszczyć. Został zaprojektowany do użycia w bezruchu. Nasze skafandry kosmiczne mają grube osłony. Glaser ich nie ma.

-No to je zbudujmy. Jesteście inżynierami. Wymyślcie coś.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. To wymagałoby czasu, którego nie mamy, i surowców, których być może nie mamy.

- Mamy cztery ładownie pełne metalowych walców. Są tu wszelkie materiały, jakich potrzebujecie.

- Tak, co wymagałoby wytopiania, kształtowania i konstruowania - rzekła Benyawe. - Jesteśmy inżynierami, Lemie. My rysujemy plany. Buduje według nich ktoś inny.

- Wolni górnicy potrafią budować silniki z kosmicznego złomu i kleju. Chyba my zdołamy zbudować osłonę dla glasera.

- Nie jestem wolnym górnikiem. Chciałabym posiadać ich umiejętności. Przepytajmy załogę, może znajdziemy ludzi, którzy by potrafili to zrobić, ale glaser nawet z osłoną nie jest skutecznym rozwiązaniem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jedynie zwróci uwagę Formidów na naszą obecność i przypieczeruje nasz los. Nic nie osiągniemy, a oni zamienią nas w pył, zanim się zorientujemy, co się dzieje.

- Czemu pani jest taką pesymistką?

- Prosiłeś o opinię naukową, więc ci ją przedstawiam. Ty jesteś kapitanem. To ty będziesz decydował, nie ja. Ja ci tylko opisuję okoliczności, żebyś mógł podjąć przemyślaną decyzję.

Lem westchnął.

- Wiem. Zachowuję się jak smarkacz. To dobra rada. Przekażę „El Cavadorowi” wiadomość, że mamy materiały wybuchowe.

Wyprosił grzecznie swoich gości, umieścił twarz w holoprzestrzeni i wywołał „El Cavadora”. Po chwili pojawiła się Concepción.

- Możemy dać dwudziestu pięciu ludzi - rzekł Lem. - Nie mamy pełnej załogi, więc daję wszystkich, których mogę. I mamy materiały wybuchowe.

- Dziękuję.

Czekał, żeby powiedziała coś jeszcze, lecz milczała.

- A teraz z innej beczki, pani kapitan. Kiedy ostatnio się spotkaliśmy, ściągnęliście z mojego statku pliki.

- Kiedy ostatnio się spotkaliśmy, zabiliście jednego z moich ludzi, uszkodziliście mój statek i naraziliście na niebezpieczeństwo życie wszystkich członków mojej rodziny, łącznie z kobietami i dziećmi.

Musiał starannie wyważyć odpowiedź. Kapitan zapewne tę transmisję zapisywała i nie mógł powiedzieć niczego, co mogłoby zostać użyte przeciwko niemu w sądzie. Przeprosiny oznaczałyby przyznanie się do winy, podobnie jak stwierdzenie, że nie miał zamiaru nikomu zadać obrażeń. Najlepiej było w ogóle unikać takich wypowiedzi. Zapewne uznałaby, że są nieszczerze, chyba żeby się załamał i rozszlochał jak skruszony pokutnik. Lepiej pominąć tę kwestię.

- Ściągnięcie naszych plików stanowi kradzież.
- Zabicie mojego bratanka stanowi morderstwo.

Lem pohamował westchnienie. Chciał powiedzieć coś w rodzaju „Niech pani da spokój, pani kapitan. Musimy się licytować, kto jest bardziej winny? Poza tym to było nieumyślne spowodowanie śmierci, nie morderstwo, a gdyby do akcji wkroczyli prawnicy korporacji Jukę, oskarżenie byłoby o wiele łagodniejsze”. Powiedział jednak:

- Jakże ma pani zamiary wobec tych danych?

Jeśli zamierzała go szantażować, chciał mieć to z głowy. Jeśli chciała to sprzedać konkurencji, mógłby ją od tego odwieść. Był gotowy sięgnąć do własnych zasobów.

- Chcieliśmy się dowiedzieć, kto jest kapitanem waszego statku, kto jest na tyle okrutny, żeby zrobić coś takiego.

- Tak, ale jakie macie zamiary teraz? Wyglądała na zdezorientowaną.

- A czego się pan spodziewa? Że wykorzystamy wasze korporacyjne tajemnice przeciwko panu, że sprzedamy je na czarnym rynku, skontaktujemy się z kimś z waszej konkurencji?

- Tak.

Roześmiała się.

- Nie jesteśmy tacy jak ty, Lemie. Chociaż może trudno ci w to uwierzyć, są we wszechświecie uczciwi ludzie, którzy nie knują przeciwko innym dla zysku. Od czasu ściągnięcia waszych danych w ogóle się nimi nie interesowałam. Byliśmy zajęci utrzymywaniem się przy życiu. Jeśli chciałbyś, żebym je wykasowała z naszego systemu, chętnie to zrobię. Mnie się na nic nie przydadzą.

- W tej chwili? - Lem nie wierzył własnym uszom. - Wymaże je pani natychmiast?

- Wydam rozkaz, kiedy tylko zakończymy tę rozmowę.

- Skąd mam wiedzieć, że pani nie kłamie? Skąd mam wiedzieć, że pani ich nie zachowa albo nie sprzeda?

Pokręciła głową z politowaniem.

- Nie będziesz tego wiedział, Lemie. Będziesz musiał zaufać mojemu słowu. - Poruszyła się, jakby chciała zakończyć połączenie, ale się rozmyśliła. - A tak nawiasem mówiąc, wysłaliśmy do was laselinę, by ostrzec przed statkiem Formidów. Ale ponieważ zmieniliście pozycję, by przeprowadzić ten niczym niesprowokowany atak na nas, nie otrzymaliście tej wiadomości. Szkoda. W przeciwnym wypadku może nie zabilibyście mojego bratanka i nie zniszczylibyście naszego laserowego nadajnika. Co oznacza, że już dawno temu moglibyśmy ostrzec Stację Wagową Cztery i wszystkich innych. Jeśli masz chociaż odrobinę duszy, Lemie, to podejrzewam, że wiedza o konsekwencjach twojej decyzji, świadomość, jak szkodliwy jest twój egoizm, nie pozwoli ci zasnąć w nocy bardziej niż strata twoich cennych korporacyjnych plików.

Jej twarz zniknęła, co kończyło transmisję. Jak ona śmie! - pomyślał Lem. Jak ona śmie winić mnie za zniszczenie Stacji Wagowej Cztery! Odepchnął się od biurka. Wolni górnicy. Brudni śmieciarze. Nie powinien był wspominać o tych plikach. Teraz kapitan będzie podejrzewać, że mają wielką wartość. Prawdopodobnie właśnie kontaktuje się ze statkiem WU-HU, żeby je sprzedać.

Nie. Wiedział, że to nieprawda. Ona je kasuje. Nie kłamała. Czy rzeczywiście wysłała mu laselinę, ostrzegając przed Formidami? A może to jakiś wybieg, żeby poczuł się winny? Co powiedział kiedyś ojciec? „Najwspanialszą bronią jest poczucie winy, ponieważ mierzy prosto w serce, a rany rzadko się goją”.

Nie, Concepción Querales była zupełnie niepodobna do ojca. Ojciec mógł starać się obarczyć Lema winą dla jakiejś osobistej korzyści, ale coś mówiło Lemowi, że Concepción tak nie gra. Oszukiwanie, dominacja i pokrętna manipulacja ludzkimi uczuciami nie leżały w naturze starszej pani.

* * *

Mono stał w ładowni, pocierając mały palec i żałując, że nie znajduje się milion klików dalej.

- Co ty sobie wyobrażasz? - pytała wzburzona Concepción. - Złamałeś bezpośredni rozkaz i przeraziłeś swoją matkę.

Mono czuł się bardzo malutki. Wszyscy mężczyźni, którzy zostali na pokładzie, podobnie jak Concepción patrzyli na niego z wściekłością. Nawet Segundo, który nigdy się nie złościł, wyglądał teraz tak, jakby chciał go sprać na kwaśne jabłko. Mono przeklął się w myślach. Powinien trochę lepiej przemyśleć swój plan. To oczywiste, że matka wreszcie się domyśli, że nie ma go na statku WU-HU. Prędzej czy później uświadomi sobie, że Zapa kłamie. Przyjaciół nie mógł bez końca udawać, że Mono jest w łazience. Ale Mono nie wybiegał myślami tak daleko w przód. Nie zastanawiał się, co będzie potem. Według Concepción matka we łzach udała się do kapitana statku WU-HU, a on natychmiast skontaktował się przez radio z „El Cavadorem”. Potem Concepción powiedziała przez głośniki na cały statek, że Mono ma się natychmiast stawić w ładowni.

- Co masz na swoją obronę? - zapytała teraz.

- Chciałem pomóc. Jestem dobry w precyzyjnych pracach. Tak powiedział Vico. Mógłbym się przydać.

Concepción potarła oczy.

- Co robimy? - zaczął rozważać Segundo. - Nie zalecałbym ponownego cumowania. Statek WU-HU mocno w nas uderzył. Uszkodził nieco strukturę, to nic poważnego, ale obszar wokół wjazdu cumowniczego jest osłabiony. Jeśli nie musimy, nie ryzykowałbym kolejnego cumowania przy dużej prędkości.

- Postawiłeś nas w bardzo trudnej sytuacji, Mono - rzekła Concepción. - Sądziłam, że Vico wyszkolił cię lepiej.

To przesądziło sprawę. Mógł znieść gniewne spojrzenia dwudziestu mężczyzn, mógł znieść ostrą reprimendę, ale myśl, że rozczaruje Vico, że Vico by się to nie podobało, była nie do zniesienia. Chłopiec wybuchnął płaczem.

- Nie mów mu! Proszę, nie mów Vico!

Ku zaskoczeniu Mono panowała cisza. Nikt na niego nie krzyczał. Nikt nie powiedział, że nie może być już praktykantem. Po prostu patrzyli, jak płacze. Wreszcie odezwała się Concepción i tym razem mówiła już spokojnie.

- Od tej pory, Mono, kiedy wydam ci jakieś polecenie albo kiedy matka wyda ci jakieś polecenie, masz je wykonać. Czy wyrażam się jasno?

Kiwnął głową.

- Chcę usłyszeć twoją odpowiedź.

- Tak, proszę pani.

- Doceniam twoją chęć pomocy, ale okłamywanie matki i namawianie innych do kłamstwa jest niezgodne z naszymi zasadami. Jesteśmy rodziną.

Chciał jej powiedzieć, że został właśnie dla rodziny i że dla rodziny skłamał, ale uznał, że to w niczym nie pomoże.

Kazała mu odejść na bok, żeby mężczyźni mogli sprawdzić sprzęt. Hełmy, skafandry, pakiety napędowe, magnesy, radia do hełmów. Mono stał w kącie, czuł się głupio i był na siebie zły. Nie chciał, żeby tak wyszło, nie chciał przerazić matki ani nikomu robić kłopotu, a najwyraźniej do niczego się tu nie przyda.

Segundo przygotował stół warsztatowy, by montować tunery i magnesy do materiałów wybuchowych. Nie uzbrajał ich - to było zadanie dla ludzi biorących udział w akcji, oni na statku Formidów przymocują krążki wybuchowe do ładunków, żeby uniknąć niebezpieczeństwa przedwczesnego wybuchu. Segundo poprosił o pomoc w składaniu timerów czterech górników, ale szybko stało się jasne, że to nie praca dla nich; nie znali się na przewodach i układach scalonych. Wreszcie po czterdziestu pięciu minutach Segundo podziękował im i przywołał Mono. - Nie myśl, że ci się upiekło - powiedział. Mono zachowywał obojętny wyraz twarzy i nic nie mówił. Martwił się, że mogłby powiedzieć coś niewłaściwego albo uśmiechnąć się w niewłaściwym momencie i rozzłościć Segundo, a tym samym zaprzepaścić szansę pomocy.

Składanie timerów to pestka. Razem z Vico robili podobne rzeczy dziesiątki razy. To była kwestia przycięcia i podłączenia przewodów oraz kilku dotknięć lutownicą pistoletową. Krążki magnetyczne były nieco trudniejsze i Mono w końcu zmienił projekt Segundo. Zamiast umieszczenia magnesów pod materiałem wybuchowym, co osłabiłoby szkody wyrządzone kadłubowi podczas wybuchu, Mono umieścił mniejsze magnesy wokół krawędzi krążka i zwiększył ich moc drugim akumulatorem. To naprawdę nie było nic nowatorskiego. Mono tylko skopiował pomysł Vico zastosowany przy naprawie którejś z pomp wodnych. Lecz

Segundo, który w milczeniu obserwował pracującego chłopca, wziął do ręki skończony krążek i skinął głową.

- Coś takiego mógłby zrobić Vico.

To była większa pochwała, niż Mono mógł się spodziewać, i chociaż pomyślał, że może sobie napytać biedy, nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

* * *

Segundo umocował hełm i wszedł do śluzy. Znajdowali się w odległości kilku minut od statku Formidów. W ciągu minionych dni wielokrotnie ćwiczyli swoje manewry - jako kadłuba statku Formidów używali ściany ładowni, a atrapy ładunków wybuchowych zakładali tyle razy, że mogliby to zrobić przez sen, jednak wśród milczących mężczyzn w służbie panowało napięcie.

Bahzfm polecił im dwa razy sprawdzić nawzajem swój sprzęt. Następnie Concepción zebrała ich w kręgu na modlitwę. Prosiła o ochronę, łaskę i opiekę boskiej ręki nad kobietami i dziećmi. Kiedy zabrzmiało „amen”, Segundo się przeżegnał i pomodlił się w milczeniu za Renę i Victora.

Potem wszystko potoczyło się szybko. Bahzfm polecił im zapiąć karabinki uprząży na cumie, która miała być wystrzelona na powierzchnię statku. Segundo ustawił się na początku, żeby być pierwszym na statku Formidów. Wielu młodych pilnie go obserwowało i uznał, że powinien dawać im przykład do naśladowania. Concepción przypięła się pasami do fotela wciągarki. Po ustawieniu ładunków wybuchowych miała wciągnąć wszystkich na statek. Segundo nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział ją w skafandrze i hełmie.

- Pamiętajcie, że wasze skafandry nie zostały zaprojektowane do spacerów w przestrzeni kosmicznej przy tej prędkości - powiedziała kapitan. - Ochronią was przed zderzeniami z pyłem kosmicznym, ale wszystko inne rozetnie je jak odłamki pocisku. Więc im mniej czasu spędzicie na zewnątrz, tym lepiej. To znaczy, że macie się uwijać. Ustawcie ładunki, wepnijcie się z powrotem do cumy, a ja was wciągnę z powrotem. Nic trudnego.

Jasne, pomyślał Segundo. Nic trudnego. Trzeba tylko odbyć spacer w przestrzeni kosmicznej przy szaleńczej prędkości,

trzymać się magnesów i rozwalić obcy statek pięćdziesiąt razy większy od naszego. Łatwizna.

Włączył swój wyświetlacz wewnątrzhełmowy i na osłonie hełmu wyskoczyły okna z danymi. Przerzucił mruganiem kilka katalogów, aż odnalazł fotografię - nieupozowane zdjęcie jego, Reny i synka na jakimś rodzinnym spotkaniu sprzed kilku lat. Uśmiechnął się na widok małego Vico. Ten chłopczyk tak szybko dorósł. Segundo przestał się uśmiechać i zadał sobie pytanie, gdzie w tej chwili jest Victor, od kilku miesięcy pędzący w stronę Luny i powoli tracący zdrowie.

Na wyświetlaczu pojawił się obraz rejestrowany z wnętrza hełmu Lema Jukesa.

- Jesteśmy na pozycji - powiedział Lem. - Czekamy na sygnał.

„Makarhu” zbliżał się do statku Formidów z przeciwnej strony i Lem, tak jak Concepción, obsługiwał wciągarkę na swoim statku. Według planu Lem miał wystrzelić swoją cumę w tej samej chwili co „El Cavador”. Potem oba statki miały wysłać swoich ludzi.

- Otwieramy wrota - rzekła Concepción.

Wrota śluzu powietrznej otworzyły się szeroko. Segundo ze zdumieniem i przerażeniem patrzył na statek, który znajdował się ponad sto metrów od „El Cavadora”, a mimo to wypełniał całe światło wrót. Segundo widział wizerunki i modele tego statku, ale do tej pory nie pojmował jego ogromu. Był większy od jakiegokolwiek konstrukcji, jaką widział, gładki, jednolity. Wcale nie wyglądał jak coś, co zostało skonstruowane. Sprawiał wrażenie olbrzymiej kropli czerwonej farby spadającej z nieba na Ziemię. Segundo był zaskoczony tym kolorem, chociaż nie wiedział dlaczego. Czego się spodziewał? Groźnej czerni?

Uświadomił sobie, że ich przeciwnikami nie są prymitywne istoty. To prawdziwe potwory, najgorszy koszmar z dzieciennych snów. Potwory, które potrafią przełamać każdą obronę. Zdał sobie sprawę, że do tej pory zaprzeczał rzeczywistości. Widział kapsułę, widział technikę Formidów, lecz uparta część jego mózgu, mózgu gatunku dominującego, nie chciała wierzyć, że istota tak przerażająca i podobna do mrówki.

może być inteligentniejsza od ludzi. Tutaj miał na to dowód. Cały kilometr dowodu.

- Jest pani pewna, że chcecie kontynuować? - zapytał Lem.

- Widzicie to co my?

- Widzimy - przytaknęła Concepción. - I jestem bardziej pewna niż kiedykolwiek. Nie możemy pozwolić, żeby dotarli do Ziemi.

- Ma pani rację. Ale nie podoba mi się to.

Segundo się z nim zgadzał. Jak zatrzymać ten potworny statek? Bo musiał zostać zatrzymany.

- „Makarhu”, jesteście gotowi do wystrzelenia cumy? - zapytała Concepción.

- „Makarhu” gotów - odpowiedział męski głos.

- Odliczam. Cztery. Trzy. Dwa. Jeden. Cuma wystrzelona. Na końcu cumy był przymocowany duży okrągły magnes.

Segundo patrzył za rozwijającą się liną. Wydawało się, że leci bez końca, aż wreszcie uderzyła w kadłub i mocno do niego przywarła. Concepción włączyła wciągarkę i zlikwidowała luz. Cuma była napięta.

- Ruszać, ruszać! - krzyczał Bahzfm.

Segundo odepchnął się i przycisnął kciukiem włącznik na pakiecie napędowym. Pomknął w stronę statku, w pełni zdając sobie sprawę, że porusza się w jego stronę z prędkością stu dziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę. Mógłby go zabić najmniejszy skalny odłamek i ta myśl sprawiła, że mocniej nacisnął przycisk. Statek Formidów zbliżał się błyskawicznie. Na wyświetlaczu zamigotało ostrzeżenie o zbliżającej się kolizji i nakaz zmniejszenia prędkości. Segundo go zignorował. Powinien wylądować jak najprędzej, bo inaczej opóźni innych. Trzydzieści metrów. Dwadzieścia. Nacisnął drugi przycisk i silniki hamujące umieszczone na jego udach i piersi szybko zmniejszyły prędkość schodzenia. Dwie sekundy później ugiął nogi i wylądował.

Magnes przy butach na szczęście przywarły do powierzchni. W lewej ręce Segundo już trzymał okrągły magnes z uchwytem. Pochylił się i przyłożył magnes do kadłuba, stabilizując w ten sposób tułów, a drugą ręką odpiął karabinek od cumy

- zrobił to jednym płynnym ruchem, tak jak trenowali.

Usunął się na prawo, robiąc miejsce następnym. Po chwili wylądowali Chepe, Pitoso, Buló, Nando i pozostali. Bahzfm był ostatni. Segundo spojrział przed siebie - załoga Lema Jukesa spływała po linie ze statku korporacji jakieś trzysta metrów dalej. Nawet z dużej odległości było widać, że skafandry i sprzęt tych ludzi są o wiele lepsze od czegokolwiek, czym dysponowała załoga „El Cavadora”.

- Rozproście się - polecił Bahzfm. - Wróćcie do cumy za dwanaście minut.

Segundo pełził na czworakach, trzymając się jak najbliżej kadłuba. Chciał się oddalić od innych, ponieważ chodziło o to, by rozmieścić ładunki wybuchowe jak najdalej od siebie i w ten sposób wyrządzić jak najwięcej szkód. Magnesy bezpiecznie utrzymywały go na powierzchni statku, lecz były nieporęczne i trudne do przesuwania. Musiał mocno napinać każdą nogę, by na chwilę przewyciężyć przyciąganie, unieść magnes i przenieść go do przodu. To było męczące i o wiele trudniejsze niż podczas prób. Po dwudziestu metrach paliły go uda i brakło mu tchu.

Teraz widział, że powierzchnia statku nie jest gładka. Przez całą jego długość biegły rzędy tysięcy zamkniętych otworów, co przypominało zasiane pole. Tyle że każdy otwór był wielkości jego hełmu; jeśli któryś się otworzy, to będzie znaczyło uaktywnienie broni. Segundo starał się ich nie naciskać ze strachu, że magnesy mogłyby coś włączyć i je pootwierać. To było jak czołganie się przez pole minowe.

Wreszcie zatrzymał się i rozejrzał. Ludzie z obu statków rozproszyli się po powierzchni. Niektórzy mocowali ładunki wybuchowe, inni jeszcze pełzli. Kilka ładunków było już ustawionych; migały na nich zielone lampki oznaczające, że są uzbrojone. Segundo wyjął pierwszy ładunek z torby i położył go delikatnie, po czym wsunął do szczeliny krążek wybuchowy i nastawił timer na trzy godziny.

Wszyscy się zgodzili, że podczas tej fazy operacji zachowają ciszę radiową, żeby mogli bez przeszkód skupić się na umieszczaniu ładunków. Lecz nagle rozległy się krzyki. Segundo uniósł głowę i zobaczył, że jeden z ładunków wybuchł przedwcześnie,

robiąc wyrwę w kadłubie i wyrzucając w próżnię jakieś szczątki. W słuchawkach słyszał rozgorączkowane głosy.

- Co się stało?
- Pitoso nie żyje!
- Wybuchło tuż pod nim!
- Co robimy?
- Wracamy do cumy. Natychmiast!

Segundo zostawił ładunek mrugający zielonią i ruszył w stronę cumy odległej o co najmniej trzydzieści metrów, co oznaczało dobre pięć minut mozolnego pełzania. Zdał sobie sprawę, że im się nie uda. Nawet gdyby wrócili do liny, a potem na „El Cavadora”, nie odlecą wystarczająco szybko. Cała operacja polegała na tym, że mieli dostać się na obcy statek i wrócić, a potem oddalić się na bezpieczną odległość, zanim Formidzi ich wykryją. Teraz to już się nie uda. Formidzi wiedzieli, że na statku są ludzie.

Pełził szybko, nie starając się już omijać otworów. Palily go uda. Bolały ramiona. Pot zalewał mu oczy. Przed sobą miał miejsce, w którym doszło do wybuchu - żeby dotrzeć do cumy, musiał je obejść. Kiedy się do niego zbliżył, pokonując krzywiznę statku, zobaczył, że wyrwa ma metr szerokości i rozciąga się między dwoma rzędami otworów. Zajrzał do środka, ale zobaczył tylko ciemność.

- Chodźmy! - krzyczał Bahzfm. - Prędej!

Segundo wyjął dwa ostatnie ładunki, umieścił je na powierzchni statku jeden obok drugiego i szybko wsunął do nich kążki. Podniósł wzrok i zobaczył, że dwóch ludzi już dotarło do liny. Wpięli karabinki do liny i ruszyli w górę, do „El Cava-dora”.

Zaczął ustawiać timery ładunków. Chwilę później Chepe krzyknął przez radio:

- Tam coś się rusza! Coś wychodzi z dziury!

Segundo podniósł wzrok. Chepe podszedł wcześniej do krawędzi otworu, lecz teraz się cofał. Na powierzchnię kadłuba wypełzło dwóch Formidów w skafandrach; poruszali się szybko, jak owady, z tupotem wielu nóg. Za nimi pojawiło się dwóch następnych. A potem jeszcze trzech. Kilku z nich trzymało grube płyty. Inni mieli narzędzia o dziwnych kształtach.

To ekipa remontowa, uświadomił sobie Segundo. Myśla, że coś uderzyło w statek, i wyszli, żeby naprawić uszkodzenie. Nie mają pojęcia, że tu jesteśmy.

Formidzi zatrzymali się w pewnej odległości, przyglądając się ludziom, jakby obecność obcych bardziej ich intrygowała, niż im zagrażała. A potem jeden spojrzał prosto na Segundo i ich zachowanie błyskawicznie się zmieniło. Wszyscy jednocześnie zwrócili głowę w jego stronę, a ich beznamiętne, a mimo to przerażające twarze stały się jeszcze mroczniejsze i groźniejsze. Zupełnie jakby go poznali.

Dwaj upuścili swoje narzędzia i rzucili się w jego stronę. Segundo mocno zacisnął dłonie na trzymany magnesach, odciągnął kolana od powierzchni statku i kiedy zaatakował go pierwszy Formida, gwałtownie wyrzucił nogi do przodu. Poczuł, że jego buty wbijają się w pierś obcego, łamią mu kości. Formida otworzył z bólu usta i odpadł od statku.

- Pomóżcie mu! - ktoś krzyczał.

Zaatakował drugi Formida. Segundo nie zdążył podkurczyć nóg. Poczuł jedno, drugie kopnięcie w brzuch. Przeszył go ból. Formidzi byli drobni, lecz mieli siłę istot trzykrotnie większych. Segundo zamachnął się magnesem i trafił Formidę w hełm. Obcy cofnął się kilka kroków, rozstawił nogi do pozycji bojowej i obnażył ociekający śluzem pysk i zęby. Segundo niemal słyszał jego syk.

Za nim widział innych ludzi zmagających się z Formidami. Dwaj odpadli od statku, spleceni z wrogiem. Byli straceni. Segundo słyszał ich krzyki, ale w żaden sposób nie mógł im pomóc.

Formida znów zaatakował, lecz teraz Segundo był gotowy. Znowu magnesem trafił w hełm. Formida zachwiał się, usiłował czegoś uchwycić; Segundo wykorzystał tę chwilę i ścisnął go nogami w pasie niczym kleszczami. Obcy wierzgnął, ale był zwrócony w nieodpowiednim kierunku. Segundo raz po raz z całej siły walił magnesem, aż rozłupał hełm. Wtedy odrzucił Formidę kopniakiem i stwór popłynął w górę, wymachując sześcioma kończynami. Wąż dostarczający mu powietrze napiął się, Formida wciąż się szamotał.

Segundo ruszył w stronę cumy. Na całej powierzchni statku ludzie odpierali ataki Formidów i uciekali. Dwóch ludzi

korporacji odpadło od statku. Potem jeszcze jeden. A potem ktoś z „El Cavadora” - Segundo nie rozpoznał kto.

Po lewej stronie jakiś Formida pochylał się nad ładunkiem wybuchowym i ze zdziwieniem go szturchał. Ładunek wybuchł, na chwilę oślepiając Segundo. Obcy wyparował, a w kadłubie pojawiła się kolejna dziura.

Formidzi natychmiast zmienili taktykę. Przestali walczyć z ludźmi, popędzili do najbliższych ładunków i zaczęli je odrzucać w przestrzeń kosmiczną.

- Odrywają ładunki - odezwał się Bahzfm.

Blisko Segundo obcy oderwał jeden z ładunków. Segundo ruszył w jego stronę, lecz Formida był szybszy i odrzucił ładunek daleko od statku. Segundo uderzył go magnesem; stwór przyjął cios, ale nie wdał się w walkę, tylko sięgnął do magnesów człowieka, rozpaczliwie starając się oderwać go od statku.

Nagle Segundo zaczęło ciągnąć i szarpać więcej rąk. Zaroilo się wokół niego od Formidów. Zdał sobie sprawę, że ci nowi nie są w skafandrach. Na nogach mieli buty trzymające się kadłuba, a ich owadzie usta zakrywały nieduże, ciasno przylegające maski, ale poza tym nie byli niczym chronieni.

Zaatakowali brutalnie, usiłując pozbawić go magnesów w rękach i przy kolanach. Kopał, szamotał się i walczył, lecz bez skutku. Odebrali mu jeden magnes. Potem drugi. Potem stracił przyczepność ostatni magnes przy kolanie i Segundo nagle znalazł się nad powierzchnią statku. Atakujący nie puścili go, żeby się uratować, lecz nadal go szarpali i bili. Ten, który trzymał się powierzchni, pchnął raz i to wystarczyło. Segundo odpłynął od statku, wciąż wściekle machając rękami i nogami, usiłując wyrwać się obcym.

Jeden z Formidów bez hełmu zdjął maskę i ukąsił go w łydkę, przegryzając materiał skafandra. Pianka znajdująca się wewnątrz skafandra wypełniła rozdarcia, likwidując wyciek, lecz Segundo ledwie to czuł przez piekący, przeszywający ból. Wrzasnął na wpół z bólu, na wpół z wściekłości, ale jeśli ktoś go nawet usłyszał, to nie odpowiedział.

* * *

Lem przywarł do ściany ładowni i z przerażeniem patrzył, jak jego ludzie rozpaczliwie pełzną po powierzchni statku,

usiłując dotrzeć do cumy. Chubs czekał przy wciągarni na rozkaz wciągnięcia liny. Lem zrobił zbliżenie. Z dziur po wybuchach rojnie wybiegali obcy bez skafandrów i pędzili do ludzi. Kiedy do któregoś docierali, wyrwali mu magnesy i razem z nim odrywali się od statku.

Nawet nie zadają sobie trudu włożenia skafandrów, zauważył Lem. Zabijają się, żeby oderwać nas od statku. Gina i wcale się tym nie przejmują.

Przełączył widok na podstawę cumy, gdzie wpinał się do niej jeden z załogantów „Makarhu”. Już miał odbić się od statku, kiedy dwóch Formidów chwyciło go i ściągnęło w dół. Wił się i walczył, lecz obcy mieli niewiarygodną siłę.

Lem wyciągnął rękę.

- Chubsie, daj mi swoją broń.

- Z tej odległości nie trafisz.

- Daj mi swoją broń.

Chubs posłuchał. To była nieduża i niepozorna broń z krótką lufą i małymi nabojami ze strzałkami. Lem trzymał ją ostrożnie, pamiętając, jak śmiertelność okazała się na Stacji Wagowej Cztery. Wzmocnił chwyt, rozstawił szerzej nogi uzbrojone w magnesy i wyprostował rękę, celując w obcych walczących z jego człowiekiem. Walka była jednak zażarta i Lem zrozumiał, że strzał jest bardzo ryzykowny. Nie był pewien, czy nawet z bliska zdołałby trafić w Formidę, a nie w człowieka. Zaklął pod nosem i wycelował broń w jedną z dwóch dziur, z których Formidzi nadal wybiegali, jakby wylewał się strumień. Wielu z nich wypadło w próżnię przestrzeni kosmicznej tylko z cienką maską - a niektórzy nawet bez takiego zabezpieczenia. To było samobójstwo! Nie można przeżyć w próżni dłużej niż dwadzieścia sekund. Może nawet mniej. Czy wiedzieli, że zabijają samych siebie? A jeśli tak, to jaki przywódca wymaga takiej lojalności i jak ją egzekwuje?

Lem nacisnął spust. Strzałka poleciała w stronę dziury, ale wkrótce stała się zbyt mała, by można było ją śledzić. Opuścił broń; to naprawdę nie miało sensu.

Spojrzał na podstawę cumy. Dwaj Formidzi zniknęli, a człowiek, który wpiął się do liny, wyglądał na martwego. Jego ciało, zgięte w dziwnej pozycji, zwisało bezwładnie w uprzęży.

Do cumy dotarto dwóch kolejnych ludzi z korporacji. Jeden z nich odpiął martwego kolegę i odepchnął go w przestrzeń kosmiczną. Kiedy wpięli się do liny, pojawiło się obok nich jeszcze dwóch ludzi. Zamiast spokojnie piąć się do góry, natychmiast zaczęli walczyć między sobą o najwyższe miejsce. Widząc śpieszących ku nim trzech Formidów, Lem uświadomił sobie, że ta walka ich zgubi.

- Wciągnij linę - rozkazał.

Uratowanie czterech ludzi było lepsze od nieuratowania nikogo.

Chubs wyłączył magnes przytwierdzający cumę do kadłuba statku i włączył wciągarkę. Cuma zaczęła się oddalać od statku, lecz trzech obcych zdołało chwycić ludzi za nogi i wspiać się do góry. Teraz na końcu liny miało się, walczyło, kopało, wirowało siedem istot.

Wciągarka pracowała szybciej. Jeden z Formidów przeszedł po splątanej masie ciał i wspinał się po linie prosto do Lema.

Lem strzelił, ale zapewne chybił, bo obcy wciąż się zbliżał.

- Odcinam cumę - powiedział Chubs.

- Nie! - krzyknął Lem. - Są na niej ludzie!

Formida pomykał po linie szybko, nie odrywając wzroku od oczu Lema. Czterdzieści metrów. Potem trzydzieści.

- Dostanie się na statek.

- Wciągaj cumę! To rozkaz.

Lem widział, że Formida mocno zaciska usta, żeby jak najdłużej utrzymać się przy życiu w próżni. Odpadnij, pomyślał. No, otwórz usta i umrzyj.

Strzelił jeszcze raz i tym razem widział, że strzałka chybiła celu. Ludzie na cumie nadal walczyli z dwoma stworami, krzycząc i błagając Lema, by szybciej wciągał linę.

Wspinający się Formida miał do Lema dziesięć metrów. Pięć.

Cuma oderwała się od wciągarki, przecięta przez Chubsa, i wrota ładowni zamknęły się ze świstem. Lem widział w okienku, że obcy z impetem wpadł na statek i odbił się od zamkniętych wrót, na próżno szukając kończynami jakiegoś punktu zaczepienia. Ludzie wpięci do cumy błagali, by ich nie zostawiać. Chubs wystukał na nakładce na nadgarstku polecenie odcinające ich od łączności radiowej.

Lem chwycił go za przód skafandra i pchnął plecami na ścianę.

- Wydałem ci rozkaz!

- A twój ojciec wydał mi inny. Mam cię chronić za wszelką cenę. Jego słowo przebija twoje. - Chubs połączył się z mostkiem. - Odejdź od statku Formidów na największą możliwą odległość. Już!

- Nie możemy zostawić „El Cavadora” - powiedział Lem.

- Formidzi wysyłają swoich bez skafandrów i powietrza, więc usmażą ich laserami, jeśli tylko będą mogli w ten sposób załatwić nas.

- Zabiłeś naszych ludzi!

- Ocaliłem ci życie, Lemie. Jesteś moim podwójnym dłużnikiem.

Mono unosił się przy oknie bocianiego gniazda z twarzą przyciśniętą do szyby i drżącymi ustami. Widział wszystko: ludzi odpadających od ogromnego czerwonego statku; obcych odrywających ładunki wybuchowe; rój Formidów wydobywających się z dziur, by walczyć, kopać, gryźć. Byli gorsi od potworów, jakie sobie kiedykolwiek wyobrażał, tym straszniejsi, że otworzył kanał radiowy w terminalu Edimar i wszystko słyszał. Gorączkowe krzyki. Wrzaski. Polecenie Concepción, by wszyscy jak najszybciej wracali do cumy. Chciał wyłączyć radio, ale był zbyt przerażony, by się ruszyć.

Nie powinien zostawiać matki samej. Był głupi. To są sprawy dorosłych. Nie powinien tu być. Pomógł, owszem, i odegrał ważną rolę, ale teraz już go to nie obchodziło. Gdyby tylko mógł się znaleźć z matką na statku WU-HU, cofnąłby czas i nie odegrałby żadnej ważnej roli.

Dlaczego ją okłamał? Kochał ją, a jego ostatnim czynem w jej oczach było kłamstwo. Teraz zginie. Wiedział to. Słyszał wszystko, co przez ostatnie dni mówili między sobą dorośli, choć rozmawiali cicho: nie będą mieli żadnych szans, jeśli Formidzi ich odkryją.

Przepraszam, mamó!

Wstydził się swojej głupoty, a także swego strachu. Vico by się nie bał. Vico by się nie wahał. On byłby na dole z innymi,

on by walczył. Myśl o Vico dodała Mono odwagi. Przepłynął przez pomieszczenie do radia i wyłączył je. Zapanowała cisza. Odetchnął głęboko. Poczuł, że to go uspokaja, więc wziął jeszcze jeden głęboki, uspokajający oddech, jak uczyła go matka, kiedy płakał tak bardzo, że dostawał czkawki. „Spokojnie - mówiła, delikatnie biorąc go w ramiona. - Bo inaczej zrobi ci się niedobrze, Monito. Oddychaj głęboko”. A potem przeczesywała mu palcami włosy i nuciła do ucha, aż odzyskiwał panowanie nad sobą.

Teraz, w bocianim gnieździe, też to podziałało. Usta przestały mu drżeć, rozluźnił mięśnie. Za oknem nadal toczyła się walka, ale tu Mono był niemal spokojny.

Na statku Formidów powstał otwór i wysunął się jakiś duży mechanizm. Mono nawet się nie domyślał, do czego on służy albo jak działa. Vico by to wiedział. Vico zawsze wiedział, jak daną rzecz naprawić albo do czego ona służy.

Mechanizm obrócił się i wycelował swoje liczne drążki w „El Cavadora”. Błysnęło światło i z drążków wystrzeliła ściana gorących, promieniejących kuleczek plazmy, pędząc w stronę Mono jak dziesięć tysięcy kulek światła.

Segundo koziołkował w przestrzeni kosmicznej, rozpaczliwie walcząc z dwoma obcymi. Jeden z nich wdrapał mu się na plecy, otworzył pysk i odchylił głowę do tyłu, zamierzając ukąsić. Segundo włączył kciukiem napęd i uderzył w napastnika podmuchem sprężonego powietrza, co go zaskoczyło i odrzuciło w przestrzeń.

Ostatni Formida gryzł, kopał, szarpał. Segundo obrócił go, chwycił pod szczęką i skręcał mu głowę, aż usłyszał, że coś pęka. Formida znieruchomiał. Segundo puścił go i włączył napęd, żeby się od niego oddalić. Oddychał z trudem. Brakowało mu powietrza. Krwawił. Skafander miał porwany. Na wyświetlaczu pojawiło się kilka alarmów. Jeden pokazywał zarys skafandra upstrzonego błyskającymi punktami, każdy oznaczał rozdarcie. Największe było na nodze, gdzie wgryzł się Formida. System awaryjny mocno zacisnął pasek na udzie, zatrzymując wyciek powietrza, ale nie było to rozwiązanie na długo. Segundo poszukał w torbie

taśmy awaryjnej. Wyciągnął jeden pasek i umieścił go w poprzek syczącej dziurki na ręce. Dotknął palcem mechanizmu, żeby uwolnić następny pasek. A potem jeszcze jeden. Palce w rękawicy były grube i niezdarne, lepiły się do pasków. Dwa razy musiał odrzucić pozaginane, poskręcane kawałki taśmy, co go złościło, bo wiedział, że będzie potrzebował ich wiele. Zakleił tyle dziur, ile zdołał, i taśma się skończyła. Wciąż jeszcze kombinezon był nieszczelny, nic wielkiego, małeńkie rozcięcia, ale na wyświetlaczu szalał alarm.

Segundo uciszył go mrugnięciem. Komputer zapytał, czy jest pewien rozkazu, ponieważ uszkodzenie skafandra zagrażające życiu wciąż nie zostało naprawione. Segundo potwierdził mrugnięciem i zapadła cisza.

Rozpaczliwie potrzebował powietrza. Miał w torbie pojemnik z dodatkowym kwadrantem tlenu, ale przy nieszczelnym kombinezonie starczy może na pięć minut. Wyrzucił pusty pojemnik i przykręcił zapasowy. Do hełmu wlał się chłodny tlen. Trzeba się nim cieszyć, póki się da.

Odwrocił się w stronę statków i zobaczył tylko pustą przestrzeń kosmiczną. Wiedział, że nadal porusza się z niewiarygodną prędkością w tym kierunku, ale nigdy już ich nie ujrzy. Statek WU-HU na pewno minął go dawno temu, podążając za statkiem Formidów i wszystko rejestrując. Nie mogli go widzieć. Był pyłkiem w morzu czerni.

Rena...

Była bezpieczna. Jest wśród ludzi. Będą się nawzajem pocieszać, wzmacniać. Przeżyją. Chciał, by wiedziała, że myślał o niej w ostatniej chwili i że nie umarł w bólu. No, niezupełnie, bo rana w nodze piekła żywym ogniem. Inni cierpieli o wiele bardziej. Skupił wzrok na punkcie w przestrzeni, gdzie powinien się znajdować statek WU-HU, i polecił wyświetlaczowi przekazać pozostałą energię do nadajnika, by wzmocnić jego sygnał.

- Reno, nie wiem, czy to otrzymasz, ale mam nieszczelny skafander i tracę powietrze. Nawet gdyby statek WU-HU zwolnił w tej chwili, a ty byś dokładnie wiedziała, gdzie jestem, i tak nie dotarlibyście do mnie na czas. Więc się nie zatrzymujcie. Lećcie dalej. Nie wiem, czy „El Cavador” się wydostał, ale chyba nie. Powiedz Abbi, że Mono żałował, że ją okłamał. Powiedz jej, że

ją kocha. Powiedz, że bez niego nie moglibyśmy tego zrobić. To jest prawda.

Kobiety będą szukać przywódczyni, Reno, kogoś, kto im pomoże przez to przejść. Nie bądź skromna. Oboje wiemy, że chciałyby, byś nimi pokierowała. Pracuj z kapitanem. Robi na mnie wrażenie dobrego człowieka. Nie śpieszcie się na Ziemię. Nie wiem, co z tego wyjdzie, ale wołałbym, żebyście trzymali się od tego z daleka i przeżyli. Zrób to dla mnie, *mi amor*. Przepraszam, że nie znajdziemy się w jednym hamaku, kiedy przeczytasz mój list, ale wiedz, że liczy się dla mnie każde zawarte w nim słowo. *Te amo, Rena. Para sempre jamds, te amo*.

Powietrze w helmie stawało się coraz rzadsze. Nie chciał, żeby słyszała, jak się dusi. Wyłączył nadajnik. Wyłączył wyświetlacz. Rozluźnił się. Marzył, był niehumanie zmęczony. Wokół świeciły gwiazdy. Niektóre jasno, inne słabo, lecz były najbardziej niezmiennymi rzeczami w życiu. Uśmiechnął się do nich szczęśliwy, że umiera wśród przyjaciół.

Rozdział 19

Zakłócenia

Rena słuchała transmisji na mostku statku WU-HU. Wciąż było słychać trzaski zakłóceń, a na kilka sekund głos Segundo zupełnie zanikł. Rena jednak знаła męża na tyle, by wypełnić luki.

Kapitan Doashang przeproszał, że nie uzyskali kompletnego przekazu, lecz sygnał zakłóciły emisje z obcego statku. Zapewnił Renę, że po otrzymaniu sygnału ich statek zwolnił, lecz niestety nie dało się zlokalizować Segundo ani żadnego z innych ludzi.

- Dziękuję, że próbowaliście - powiedziała Rena. - Jestem wdzięczna, że zechciał pan odtworzyć ten zapis. To wiele dla mnie znaczy.

- Pozwoliliśmy sobie sporządzić dla pani kopię - rzekł Doashang i podał jej mały dysk pamięci. - Uznaliśmy, że zechce to pani zachować w osobistym archiwum.

Szałę przeważył ten akt życzliwości. Rena załamała się i rozplakała, zakrywając twarz dłońmi. Jedna z załogantek objęła ją delikatnie ramieniem i ten gest pocieszenia przywrócił Renie siłę. Wyprostowała się i wytarła oczy.

- Proszę mi wybaczyć - zwróciła się do kapitana.

- Nie ma czego wybaczać, pani Delgado. Składam pani najszczerze kondolencje. Wyznaczę spośród mojej załogi doradców do pomocy pani i osób z pani statku.

- To wielka uprzejmość. Dziękuję.

- Przygotowałem kilka oświadczeń dla pani ludzi w celu wyjaśnienia wydarzeń bitwy. Myślę, że trzeba opisać odwagę, jaką wykazali się ich mężowie i ojcowie.

Doashang poprosił kobiety i dzieci, by na czas ataku zostały w swych kajutach, żeby jego załoga mogła wykonywać swoje obowiązki bez przeszkód. Rena została wywołana z kajuty ledwie kilka minut wcześniej i była jedyną osobą z „El Cavadora”, która wiedziała, że statek został zniszczony.

- Wszyscy bardzo chętnie wysłuchają informacji - powiedziała. - Dziękuję.

- Chcę postępować wobec rodzin jak najbardziej delikatnie, pani Delgado. A skoro już panią poznałem i wysłuchałem przekazu pani męża, zastanawiam się, czy sprawozdanie z bitwy nie powinno być przekazane przez panią.

- Przeze mnie?!

- Jeśli się pani zgodzi, będę pani towarzyszył. Lecz pani zna te rodziny, lepiej niech taką wiadomość przekaże przyjaciel, a nie ktoś obcy.

Rena dopiero po chwili odzyskała głos.

- Z całym szacunkiem, panie kapitanie, ale nie wiem, czy pozwoli mi na to mój stan emocjonalny.

Skinął głową.

- Oczywiście. Moja prośba była nietaktowna, zwłaszcza w pani sytuacji. Proszę o wybaczenie.

Rena jednak przemyślała propozycję kapitana. Gdyby mogła wybrać osobę, która miałaby przekazać jej tak druzgocącą wiadomość, chciałaby, żeby to był ktoś, kogo kocha, przyjaciel, nawet ktoś współcierpiący, ktoś, kto mógłby ją wziąć w ramiona i zapłakać razem z nią.

- Zastanowiłam się, panie kapitanie. Spotkam się z każdą rodziną osobno. Ale najpierw sama muszę usłyszeć pełny raport.

Pokazał jej wszystko. Obejrzała przekazy wideo i wysłuchała transmisji. Zawrzała z oburzenia, kiedy statek Lema Jukesa wycofał się i uciekł. A gdy „El Cavador” się rozpadł, pękło jej serce. Jej dom, jedyny świat, jaki знаła, przestał istnieć.

Dlaczego Concepción nie przesiadła się razem z nią? Rena nalegała, żeby kapitan dołączyła do nich na statku WU-HU, żeby wykonała własny rozkaz, według którego „El Cavadora” miały

opuścić wszystkie kobiety i dzieci. Lecz Concepción zbyła to śmiechem. „Stare uparte kobiety są wyjątkiem” - powiedziała wtedy.

A teraz nie żyje. Wszyscy zginęli. Bahzfm, Chepe, Pitoso, Mono... kuzyni, bracia, siostrzeńcy i bratankowie, wujowie. Połowa z wszystkich, których знаła i kochała. A także mężczyzna, którego kochała bardziej niż ich wszystkich.

Zapisy wideo się skończyły. Wiedziała wszystko, co powinna wiedzieć. Miała proste plecy i suche oczy.

- Chodźmy, panie kapitanie. Mamy robotę.

* * *

Rena spotykała się z każdą kobietą z „El Cavadora”. Kapitan Doashang przy każdej rozmowie był obecny. Wszystkim obiecał opiekę i bezpieczny transport do pasa asteroid. Na statku trzeba będzie racjonować żywność - korporacja nie planowała zabrania tylu pasażerów - ale nikt z załogi nie miał dostawać ani grama więcej jedzenia niż pozostali. Dzieci nie będą głodne. Kobiety szlochały ze smutku, ale dziękowały, a jedna nawet pocałowała go w rękę.

Potem kapitan rzekł do Reny:

- Moi starsi oficerowie i ja oddamy nasze kajuty rodzinom, które nie mają jeszcze pomieszczeń.

- To nie jest konieczne, panie kapitanie.

- Ja też mam dzieci, pani Delgado. Przed nami długa podróż do pasa asteroid. Im wygodniej będzie dzieciom, tym przyjemniejszy dla nas wszystkich będzie lot. Skinęła głową.

- To prawda. Zajmę się tym. Dziękuję. A także, za pańskim pozwoleniem, pragnę zorganizować grupę roboczą. Nie chcemy być ciężarem. Bylibyśmy wdzięczni za zgodę na pomoc w utrzymaniu statku.

- Zezwalam. Proszę ustalić szczegóły z którymś z moich oficerów.

Jego nakładka na nadgarstku zawibrowała.

- Przepraszam panią.

Pośpieszył na mostek. Przy monitorach czekał na niego pierwszy oficer Wenchin.

- Znaleźliśmy Formidę dryfującego w przestrzeni - powiedział. - Jest zapewne martwy. Nie ma na sobie skafandra. Wysłałem na zewnątrz zespół, żeby go sprawdził.

Na monitorach było widać, jak pięciu ludzi w skafandrach korporacji WU-HU otacza Formidę. Przymocowali do jego ciała rozmaite urządzenia, lecz trzymali się na odległość.

- Nie mógł przeżyć w próżni tak długo - stwierdził Doashang. - Zwiążcie mu kończyny i włóżcie go do worka. Traktujcie go tak, jakby stanowił najwyższe zagrożenie biologiczne. Niech ci, którzy wyszli w przestrzeń, odkażą skafandry. A potem przekazcie Formidę do zbadania doktorowi Ji. Im więcej informacji o obcych będziemy mogli wysłać na Ziemię, tym lepiej.

- Tak jest.

Kapitan Doashang zwrócił się do oficera łączności.

- Udało się skontaktować z Lemem Jukesem?

- Nie. Statek Formidów wytwarza rozmaite rodzaje zakłóceń. Powoduje zaburzenia, które randomizują informacje cyfrowe. Otrzymuję transmisje, lecz z o wiele mniejszą prędkością. Bit na sekundę zamiast biliona bitów. Co oznacza, że zasadniczo nic do mnie nie dociera. Za mało, by cokolwiek odszyfrować. W ogóle nie możemy wysłać ani otrzymywać wiadomości dalekiego zasięgu. Ani w formie ukierunkowanych laselinii, ani przekazów szerokopasmowych.

- To nie do przyjęcia. Muszę wysłać ostrzeżenie do pasa asteroid.

- Nie wiem, co powiedzieć. Działa jedynie łączność na bliskie odległości. A zboczyliśmy z głównego szlaku, żeby podążać za Formidami, więc w tym rejonie nie napotkamy żadnego statku. Moglibyśmy przyspieszyć, wrócić do głównych tras i poczekać, aż ktoś zbliży się na tyle, by odebrać nasz sygnał. Ale moglibyśmy czekać bardzo długo. I nie mamy możliwości stwierdzenia, czy w tamtym kwadrancie już nie ma zakłóceń. Jeśli są, to z kimkolwiek się skontaktujemy, on też nie będzie mógł nawiązać łączności dalekiego zasięgu. Najpewniejszym sposobem jest osobiste dostarczenie wiadomości do pasa asteroid.

- To kilkumiesięczna podróż. Oficer bezradnie rozłożył ręce.

- To nie jest idealne wyjście, ale innego nie mamy.

- Czy statek Formidów używa radia? Jak oni w ogóle wysyłają wiadomości?
- O ile potrafimy to stwierdzić, milczą. Nawet kiedy znajdowaliśmy się blisko, nie wychwyciłem nic.

Kapitan Doashang zwrócił się do Wenchina.

- Proszę wyznaczyć kurs na najbliższą stację w pasie asteroid przy najwyższej prędkości, na jaką pozwalają nasze zapasy paliwa.

- A co z Lemem Jukesem? - zapytał Wenchin.

- Jest poza zasięgiem, a poza tym wątpię, by obchodziło go, co się z nami stało. Porzucił własnych ludzi. Nie będzie się przejmował nami. Prawdopodobnie także zmierza w stronę pasa.

Wenchin przekazał rozkaz dalej i statek przyspieszył.

Doashang został na mostku do czasu, kiedy kilka godzin później doktor Ji wezwał go do sekcji medycznej. Lekarz był wstrząśnięty i blady.

- Nie była to chyba najprzyjemniejsza sekcja zwłok, jaką pan przeprowadził w życiu - rzekł Doashang.

- Oględnie mówiąc.

Stali przed dużym oknem pomieszczenia, w którym zespół techników badał Formidę i wszystko rejestrował.

- Co to za gatunek?

- Są półkręgowcami, jako że mają pojedynczy kręgosłup, ale wyraźnie wyewoluowali z form o szkieletcie zewnętrznym.

- Co to znaczy?

- Rozwinęli się ze stworzeń bardzo podobnych do mrówek, lecz dawno się już pożegnali z mrówkowatością.

- A więc nie są owadami?

- Pochodzą od istot podobnych do owadów. Nastąpiły pewne zmiany ewolucyjne. Na przykład są ciepłokrwisci. Regulują temperaturę ciała przez osłanianie się i pocenie w sposób bardzo podobny do naszego. Mają kościec wewnętrzny, mięśnie, skórę i futro. Większość ich narządów stanowi dla mnie zagadkę, chociaż wszystko udokumentowaliśmy. Oczywiście mają sześć kończyn. Muskulatura środkowej pary pozwala przypuszczać, że są w stanie udźwignąć spory ciężar. Stawy mają nadzwyczaj giętkie, bardziej od ludzkich. I bardzo rozwinięte mięśnie grzbietowe, co sugeruje, że dysponują olbrzymią siłą.

- Już widzieliśmy tego dowody. Chcę wiedzieć, jak można ich zabić.

- Nie są niezniszczalni, choć niezwykle odporni. Jednak bardziej od ich fizyczności przeraża mnie to, co widzieliśmy na zapisach. Byli gotowi natychmiast oddać życie, by odeprzeć każdy atak. Żadnego wahania. Żadnej próby chronienia siebie. Tylko nieokiełznana zwierzęca dzikość i całkowite, nieugięte oddanie. To nie są stworzenia tylko bardziej zaawansowane technicznie, panie kapitanie. To jest gatunek, który się nie podda, dopóki nie zostanie zniszczony ostatni jego przedstawiciel.

- Tę przysługę chętnie im wyświadczymy, panie doktorze.

* * *

W pomieszczeniu inżynierów, które zostało przekształcone w centrum dowodzenia, Lem przyglądał się notatkom na otaczających go ekranach ściennych. Były tam szkice anatomiczne Formidów, szkice ich statku wraz z różnymi teoriami inżynierskimi na temat jego działania, zdjęcia i analizy broni, która zniszczyła „El Cavadora”, mapa pokazująca trajektorię statku Formidów oraz liczne inne notki, listy, pomysły i teorie.

- Mamy tyle informacji, których tak rozpaczliwie potrzebuje Ziemia, i nic nie możemy z nimi zrobić - powiedział Lem. Odwrócił się do Chubsa, Benyawe i doktora Dublina, który jeszcze miał dłonie w gipsie. - Jeśli nie przekazemy ich na Ziemię, są bezwartościowe.

- Jesteśmy na łasce naszego radia - stwierdził Chubs. - Nie możemy nic zrobić, dopóki nie wydostaniemy się z obszaru zakłóceń.

Przez kilka tygodni od ataku zakłócenia wytwarzane przez statek Formidów uniemożliwiały łączność dalekiego zasięgu. Lem rozkazał oficerom łączności nieustanne nadawanie w pętli informacji o Formidach - współrzędnych statku, jego trajektorii, rozmiarów i prędkości - ale o ile mogli to ocenić, nic się nie przedostawało przez zakłócenia. Żadna transmisja nie przychodziła. „Makarhu” dzień w dzień bez przerwy wykrzykiwał ostrzeżenie, lecz nikt nie słyszał ani słowa.

- To jak mamy obejść te zakłócenia? - zapytał Lem.

- Nie wiemy, jak daleko sięgają - odparł Chubs. - W tej chwili znajdujemy się cztery miliony kilometrów od trajektorii statków

Formidów. Może oddalić się jeszcze bardziej, ale nie wiadomo, jak daleko musielibyśmy odlecieć. Dziesięć milionów? Dwadzieścia? Sto? Poza tym jeśli oddalimy się od statku, to nie będziemy mogli go śledzić. Jest tak daleko przed nami, że czasem znika z naszych skanerów na kilka dni. Trzymamy się poza zasięgiem jego broni, ale jeżeli choć trochę zmienimy obecny kurs lub prędkość, całkowicie go zgubimy. Zresztą możemy nie dotrzeć do końca obszaru zakłóceń przed dotarciem Formidów do Ziemi.

- Nie chcę stracić ich z oczu - powiedział Lem. - Ale jeśli nie zrobimy czegoś, co zlikwiduje te zakłócenia, Ziemia nie zostanie ostrzeżona. Będzie nieprzygotowana na atak.

- Właściwie nie wiemy, czy Formidzi zamierzają atakować - zauważył Dublin. - Podejrzewamy to, ale nie możemy mieć pewności, co zrobią, kiedy dotrą do Ziemi.

- Nie lecą tam po to, żeby pożyczyć szklankę cukru - rzekł Chubs. - Widziałeś, co zrobili z „El Cavadorem”.

Lem wzdrygnął się w duchu. Nie z jego winy „El Cavador” został zniszczony - powinni się wycofać tak jak on. Wciąż jednak nie mógł pozbyć się upartej myśli, że powinien był zrobić więcej. Nie wiedział, co by to miało być; tak naprawdę nic nie mógł zrobić. Nie dało się uratować ludzi, którzy utknęli na statku Formidów. Ci na „El Cavadorze” powinni to zrozumieć. Ale nie, Concepción trzymała się niemądrej, zgubnej zasady niezostawiania swoich. Lem był zwolennikiem ratowania ludzi, to jasne. Ale skoro było wiadomo, że uratować się ich nie da, jaki sens miało pozostawianie na miejscu? Pod wpływem chwili zbeształ Chubsa za wydanie rozkazu do odlotu, lecz teraz dostrzegał mądrość tej decyzji. Zostając, by uratować swoich ludzi, „El Cavador” doprowadził tylko do swojego zniszczenia.

To byli wolni górnicy. Szanował ich odwagę. Uważał jednak, że zaniedbywanie własnego bezpieczeństwa na rzecz rodziny nie dowodzi szlachetności, lecz braku odpowiedzialności.

I jeszcze coś. Starał się o tym nie myśleć, bo czuł się przez to bezduszny, ale sama kwestia od tego nie znikała: zniszczenie „El Cavadora” oznaczało zniszczenie skopiowanych plików. Concepción obiecała, że je skasuje, lecz wtedy miał wątpliwości. Istniała niewielka, bardzo niewielka możliwość, że któraś z kobiet zabrała kopię plików na statek WU-HU, ale one martwią

się teraz o zapewnienie ochrony dzieciom i o przeżycie. Raczej nie myślą o spaleniu Lema Jukesa na prawniczym stosie. Był wolny. Pliki zniknęły.

- Chodzi mi o to - mówił Dublin - że jeszcze nie wiemy, dlaczego zmierzają w stronę Ziemi. Czego chcą? Naszych surowców? Nawiązać kontakt? Badać nas?

- Nie szukają kontaktu - stwierdził Lem. - Ich kapsuła bez ostrzeżenia zniszczyła włoskich wolnych górników.

- Tak, ale dopiero po dwunastu godzinach przebywania wśród ich statków. Może cały ten czas próbowała się z nimi skontaktować.

Lem pokręcił głową.

- Concepción wszystko nam powiedziała. Włosi nie odebrali niczego, co przypominałoby jakąś wiadomość wysłaną przez kapsułę.

- Może mają nieznaną nam metodę komunikacji - powiedział Dublin. - Może starali się nawiązać łączność, ale ludzie nie dysponują techniką do odbioru ich transmisji.

- Zabili Włochów - wtrącił się Chubs. - Nie zabija się kogoś, kto nie odpowiada na przywitanie.

- Staram się patrzeć na to z naukowego punktu widzenia.

- Nie ma znaczenia, czy starali się nawiązać łączność, czy nie. Chcieli nas zabić. Oglądałeś zapisy wideo? Widziałeś twarz tego Formidy wspinającego się po cumie? On nie przybywał, żeby się nam przedstawić. On chciał urwać Lemowi głowę.

Dublin uniósł dłonie w geście kapitulacji.

- Ja ich nie bronię. Przypominam tylko, że wywodzą się z całkowicie odmiennej struktury społecznej, cechującej się całkowicie odmiennymi zachowaniami i wartościami.

- Jeszcze nie omówiliśmy pewnej teorii - odezwała się Benyawe. - A jeśli to statek kolonizacyjny?

- Kolonizacyjny? - powtórzył Chubs. - Niemożliwe. Planeta jest zajęta. Jest nasza. Nie ma wolnych miejsc.

- Może ich to nie obchodzi - rzekła Benyawe. - Może pochodzą z cywilizacji, w której obcy dzielą się planetami.

- A może zamierzają przejąć ją dla siebie - powiedział Lem. Przyjrzał się schematowi anatomii Formidy. - Cały czas zakładamy, że uważają nas za równych sobie. A jeśli myślą o nas tak samo, jak my myślimy o muchach albo królikach? Gdy chcemy

zbudować dom i okazuje się, że na działce mieszka rodzina królików, wcale nie uważamy, że działka należy do nich. Strzelamy do królików albo je przeganiamy.

- Na Ziemi jest dwanaście miliardów ludzi - powiedział Chubs. - Miasta, przemysł i technika. To coś więcej niż królicza rodzina.

- Świetnie. Wybierz jakieś inne zwierzę. Na przykład dżdżownice. Ile ich jest na działce budowlanej? Kilka tysięcy? Dziesiątki tysięcy? A co z mrówkami? Milion? Mają swoje kolonie i domy, ale co nas to obchodzi? Wyrównujemy teren i budujemy się. Chodzi mi o to, że Formidzi mogą nie uważać, że ta planeta jest nasza. My tam tylko przypadkiem żyjemy. Może uważają, że mogą ją sobie wziąć.

- Jest dziura w tej teorii - rzekł Dublin. - Zakłócenia. Jeśli Formidzi nie uważają nas za równych sobie albo przynajmniej za znajdujących się blisko nich w hierarchii gatunków, to dlaczego osłaniają się zakłóceniami? Opracowali sposób na uniknięcie wykrycia przez nas. To znaczy, że uważają nas za zagrożenie.

- Zakłócenia nie muszą być celowe - powiedział Lem. -Może to tylko produkt uboczny ich układu napędowego. Może oni nie mają pojęcia, że uniemożliwiają nam korzystanie z radia. Owszem, działa to na ich korzyść, ale nie znaczy to, że chcieli, by tak się stało.

- Jeśli to prawda, Ziemia znajduje się w większym niebezpieczeństwie, niż sądziliśmy - stwierdziła Benyawe. - Jeśli Formidzi nic nie robią, by osłonić swoje przybycie, jeśli nie przywiązują wagi do tego, czy ich zauważymy, czy nie, to w ogóle nie uważają nas za zagrożenie. Są pewni, że mogą nas zniszczyć, i nie ma znaczenia, czy wiemy, że się zbliżają.

Im dłużej rozmawiali, tym Lemowi mniej się podobało to, co słyszał.

- No więc co robimy? - zapytał. - Nie możemy się z nikim skontaktować. Nie możemy wyprzedzić ani nawet dogonić statku Formidów.

- Ale my zdecydowanie nie chcemy go dogonić - powiedział Chubs.

Benyawe myślała intensywnie.

- Ja widzę dwa wyjścia. Możemy zaryzykować i zboczyć z kursu, żeby poszukać miejsca wolnego od zakłóceń. Albo

możemy nadal śledzić statek, zbierać informacje i mieć nadzieję, że zwolni na tyle, byśmy mogli go wyprzedzić i przybyć na Ziemię pierwsi.

- To także ryzyko - powiedział Lem.

- Nie ma prostej odpowiedzi.

- Głosuję na wyjście B - rzekł Dublin. - To nas przybliży do Ziemi. Ona jest celem naszej podróży.

- Zgadza się - poparła go Benyawe. - Może uda nam się dowiedzieć czegoś jeszcze o Formidach, na przykład jaki mają słaby punkt. To byłoby dla Ziemi najcenniejsze. Jeśli spuścimy statek z oka, stracimy tę szansę.

- Formidzi zostawiają za sobą szlak zniszczenia - dodał Chubs. - Ludzie mogą potrzebować pomocy. Proponuję zostać na kursie.

- Dziwna filozofia jak na pana, zważywszy, że sam zostawił pan za sobą niezły szlak zniszczenia - zauważyła Benyawe.

- Zawsze po to, by nas chronić - odparł z irytacją Chubs. Na ekranie ściennym pojawił się nawigator z mostka.

- Sir, czujniki wskazują, że statek Formidów znowu uwolnił plazmę.

- Natychmiast zwolnić! - rozkazał Lem. - Nie chcę wlecieć w promieniowanie gamma.

Statek wyrzucił plazmę już drugi raz po bitwie z „El Cavadorem”.

Nawigator wykonał poza ekranem kilka ruchów dłońmi, po czym pojawił się znowu.

- Hamowanie rozpoczęte, sir.

- Czy w pobliżu Formidów znajdowały się jakieś inne statki, którym mogłaby zaszkodzić plazma?

- Nie wiem, sir. Wykrywamy ich statek z tej odległości tylko ze względu na jego rozmiar. Nasze czujniki nie pokazują niczego mniejszego.

- Nie przerywajcie obserwacji. Daj mi znać, gdybyśmy znaleźli cokolwiek, co mogło się zetknąć z tą plazmą.

- Tak jest.

Nawigator zniknął. Benyawe podeszła do mapy układu rozciągającej się na jednej ze ścian. Przestrzeń przecinała linia

przedstawiająca trajektorię Formidów. Benyawe dotknęła rozmaitych miejsc na tej linii, zostawiając tam mrugające plamki.

- Pierwszy wyrzut plazmy nastąpił tu, w pobliżu Stacji Wagowej Cztery. Kolejny tutaj, z grubsza sześć j.a. dalej. Teraz mieliśmy trzeci wyrzut, w przybliżeniu sześć j.a. po drugim.

- A więc wyrzucają plazmę co sześć j.a. - stwierdził Dublin.

- Co oznacza, że możemy z grubsza określić miejsce, w którym prawdopodobnie nastąpi kolejny wyrzut. - Benyawe dotknęła palcem linii w kilku miejscach co sześć j.a., zostawiając następne plamki. Kiedy dotarła do wewnętrznego pasa, plamka pojawiła się w pobliżu asteroidy.

- Co to za asteroida? - zapytał Lem.

Benyawe powiększyła ją do rozmiaru ekranu. Wyglądała jak kość dla psa: cienki trzon w środku z dwoma guzami na końcach.

- Nazywa się Kleopatra. Klasa M. Długość dwieście siedemnaście kilometrów.

Benyawe przeciągnęła palcem po ekranie i obróciła asteroidę, ukazując jej przeciwną stronę. Na powierzchni jednego z guzów widniała grupka światła.

- Co to jest? - zapytał Lem. - Proszę to powiększyć.

Na powiększeniu widać było olbrzymi kompleks górniczy o średnicy co najmniej pięciu kilometrów. Budynki, huty, koparki. Miasteczko przemysłowe.

- To obiekt korporacji Jukę - powiedziała Benyawe.

- Nasz? Nigdy o nim nie słyszałem.

- Twój ojciec ma w całym pasie asteroid ponad sto takich obiektów - wyjaśnił Chubs. - Budując coś takiego, zajmujemy całą asteroidę. Wbijamy w ziemię flagę i każemy konkurencji się wycofać. To bardzo sprytne. Taka ilość żelaza jest warta fortunę.

- Gdy Formidzi wyrzucą plazmę w pobliżu Kleopatry, to nawet jeśli znajdzie się ona po przeciwnej stronie asteroidy, ci ludzie nie będą mieli szans - stwierdził Dublin.

- Ilu tam pracuje? - zapytał Lem.

Benyawe stuknęła palcem w kompleks, otworzyła okno z danymi i zaczęła czytać. Po chwili odwróciła się z niepokojem w oczach.

- Ilu? - powtórzył Lem.

- Ponad siedem tysięcy.

Rozdział 20

Samotność

Początkowo Victor niewiele sobie robił z bólu w plecach. Jego mięśnie ulegały atrofii, kości słabły, więc tępych bólów należało się spodziewać. Już pięć miesięcy podróżował szybkością i było coraz gorzej. Miał wrażenie, jakby ktoś wbijał w niego nóż i przekręcał w ranie. Ból napływał falami i nie ustawał bez względu na pozycję, jaką przybierał chłopak. Potem rozszerzył się na bok i krocze. A potem w moczu pojawiła się krew i Victor zrozumiał, że znalazł się w tarapatach.

Objawy wskazywały na kamienie nerkowe. Z kości uwalniał się wapń i odkładał się w nerkach. Trudno było spać. Victor czuł niepokój, było mu niedobrze i martwił się, że zwymiotuje w hełmie. Pił dużo wody, ale to nie pomagało. Wziął ze sobą kilka łagodnych leków przeciwbólowych, lecz zużył je kilka miesięcy wcześniej, by przetrwać parę dni migren. Teraz kłął na siebie. W porównaniu z tym bólem migreny były delikatnym pocałunkiem w policzek.

Po trzech dniach zaczął się martwić, że kamień może być za duży, by go wydalić, i zastanawiał się, co się wtedy stanie. Czy rozwinie się infekcja? Czy mógłby od niej umrzeć? Czy Ziemia nie otrzyma ostrzeżenia z powodu głupiej bryłki skryształizowanego wapnia?

Wydalił kamień czwartego dnia, a ból był tak przeszywający, że Victor myślał, że naprawdę umiera. Kiedy było już po wszystkim, wyczerpany natychmiast zasnął.

Przez kilka następnych tygodni nadal pił dużo wody, ale nie zapobiegł rozwojowi kamieni. W sumie wydalili cztery. Żaden nie powodował takiego bólu jak pierwszy, ale Victor zrobił się niespokojny. Teraz miał dotkliwą świadomość, że stan jego zdrowia się pogarsza. Najbardziej martwił się o gęstość kości. Czy kiedy stanie na Lunie, jego nogi złamią się pod ciężarem ciała? Siła ciężenia na Lunie stanowiła tylko ułamek ciężenia ziemskiego, ale może i tak kości nie wytrzymają? No i kwestia braku apetytu. Czy był niedożywiony? I co z jego sercem? Też słabło. Czy przestanie pracować, zanim Victor dotrze do Księżyca? A co z promieniowaniem? Czy osłony działają? Powinien je wzmocnić. Powinien dołożyć na zewnątrz jeszcze jedną warstwę płyt. Był pewien, że w przeciwnym razie dostanie raka.

Wpisał do podręcznego komputera polecenia mające zapoczątkować hamowanie. Statek od kilku miesięcy poruszał się ze stałą, dużą prędkością i spacer w przestrzeni kosmicznej byłby niezmiernie ryzykowny. Człowiek wystawiał się wtedy na promieniowanie gamma i narażał na uderzenia mikrometeoroidów. Zetknięcie z maleńką cząstką skalną byłoby dla niego prawdopodobnie śmiertelne. Victor nie mógł podejmować takiego ryzyka, nie przy takiej stawce. Bezpieczniej wyhamować i wtedy naprawić osłony. Wydłuży to znacznie podróż, ale uznał, że zainstalowanie dodatkowych osłon jest warte opóźnienia.

Hamowanie zajęło statkowi niemal dwa dni. Victor nie chciał się śpieszyć i niepotrzebnie obciążać swojego osłabionego ciała, więc zwalniał stopniowo. Wreszcie przykręcił na plecach skafandra pojemnik z tlenem, zapiął w talii pas z narzędziami, otworzył właz i wypełził na zewnątrz. Używając uchwyty wbudowanych w kadłub, podciągnął się ku rufie, żeby sprawdzić zamontowane tam płyty. Ręka obsunęła mu się z uchwytu i chcąc się ustabilizować, instynktownie sięgnął do liny ubezpieczającej przypiętej do uprzęży na piersi. Liny nie było.

W pośpiechu zapomniał przyczepić się do statku.

Rozpaczliwie orał palcami po kadłubie, usiłując się czegoś chwycić, ale poruszał się już w stronę rufy i właśnie minął ostatni uchwyt. Duże rękawice ślizgały się nieporadnie po metalowej powierzchni. Krzyczał ochryple głosem łamiącym się

od długiego nieużywania. Obsuwał się po kadłubie. Nie miał się czego chwycić. Czekala go śmierć.

Przed sobą zobaczył jakąś rurkę, niewielki kawałek metalu na tylnej krawędzi statku. Za nią rozpościerała się przestrzeń kosmiczna. Jeśli nie złapie się tej rurki, zginie. Będzie dryfował, aż skończy mu się powietrze. Zbliżył się do rurki i zanim do niej dotarł, zrozumiał, że nie uda mu się jej chwycić. Była tuż poza zasięgiem jego palców.

Jednym szybkim ruchem z pasa z narzędziami wyciągnął długi klucz francuski i w ostatniej chwili zahaczył nim o rurkę. Zatrzymał się. Serce mu waliło i ciężko oddychał. Klucz ledwie się trzymał rurki i łatwo mógł się ześliznąć. Victor delikatnie przyciągnął się do statku.

Klucz się obsunął, ale chłopak poruszał się teraz we właściwym kierunku. Powoli podpłynął do kabiny, wszedł do środka i przypiął do upręży linę ubezpieczającą. Sklął się za głupotę. Odbił taką podróż, ryzykował życie, wioząc informacje mające uratować cały świat, i niemal wszystko zaprzepaścił, bo zapomniał przypiąć do upręży jeden metalowy karabinek. Wspaniale, Victorze. Jesteś prawdziwym geniuszem.

Wyszedł z powrotem na zewnątrz, sprawdził płyty, stwierdził, że wszystko jest w porządku, ale i tak postanowił zainstalować zapasowe osłony. Wewnątrz statku na nic się nie przydawały. Poza tym potrzebował tej pracy. Musiał się czymś zająć. Od kiedy został praktykantem u ojca, codziennie coś budował i konstruował, a przez minione pięć miesięcy oddawał się otepiającemu nieróbstwu.

Kiedy skończył instalację płyt, dodatkowo wzmocnił ich połączenia, żeby na pewno się trzymały. Wiedział, że gra na zwłokę. Połączeniom nic nie brakowało. Po prostu nie chciał wracać do kabiny.

W końcu jednak wrócił. Zanim zamknął właz, przez chwilę jeszcze spoglądał w rozciągającą się nad nim przestrzeń kosmiczną. Znajdował się zaledwie dwa miesiące od Luny. Wytrzyma. Zamknął właz i zaczął przyśpieszać. Komputer uwzględnił opóźnienie i odpowiednio zmienił trajektorię oraz czas przybycia, który teraz przypadał trzy tygodnie później od pierwotnej daty. Trzy tygodnie. O wiele dłużej, niż Victor się spodziewał, lecz co

się stało, to się nie odstanie. Westchnął i znieruchomiał w fotelu, a szybkość nabrała prędkości.

* * *

Miesiąc później Victora ogarnęło poczucie beznadziei. Był pewien, że zboczył z kursu. Albo że komputer ma usterkę. Albo że kończy mu się powietrze. Przyląpywał się na wpatrywaniu w przestrzeń. Nie czuł smaku posiłków. Może proteiny rozpadły się pod wpływem promieniowania tak bardzo, że jedzenie straciło smak. Tak czy owak nie miał apetytu. Schudł. Jego nadgarstki i kostki sprawiały wrażenie cienkich i łamliwych. Wziął ze sobą gumowe pasy, od wyruszenia w podróż ćwiczył codziennie z religijnym zapalem. Teraz zarzucił ćwiczenia. Po co sobie zawracać głowę? Nic nie dawały. Jego kości już przypominały kruche gałązki. Przez kilka miesięcy walczył z bezsennością. Teraz spał chyba cały czas. Od wielu dni nie dotykał podręcznego komputera. Miał pozaczynane książki i układanki. Nie obchodziło go to.

Jakaś ręka potrząsała nim delikatnie, budząc go ze snu. Ujrzał obok siebie Alejandrę w nieskazitelnej, wyprasowanej białej sukni. Uśmiechnęła się do niego i zaplotła ręce na piersiach.

- Tracisz rozum, Vico. Jesteś psychologicznie *fiuto*. Jesteś tu uwięziony tak długo i masz tak nieuregulowany sen, że jesteś przy zdrowych zmysłach tylko wtedy, gdy śnisz.

- Ja śnię?

Odezwał się głosem tak chrapliwym i słabym, że go to zaskoczyło. Rozejrzał się. Wydawało się, że wszystko jest w normie. Wskaźniki. Wyposażenie. Zbiorniki z powietrzem.

- Nie znajdziesz różowych słoni, jeśli ich szukasz - powiedziała Alejandra. - Ja tu jestem. To powinno być dla ciebie wystarczającym dowodem. - Usiadła przed nim z nogami skromnie zgiętymi na bok. - Przestałeś ćwiczyć i jeść. Patrzyłeś na siebie? Jesteś wyniszczony.

- Nie mam lusterka.

- I tak pewnie jest lepiej. Rozbiłbyś je. Poza tym trzeba ci obciąć włosy.

- Tracę zmysły, prawda?

Odliczała kolejno jego problemy na palcach.

- Ostry niepokój. Depresja. Zaniedbujesz jedzenie i ćwiczenia, które utrzymują cię przy życiu. Całkowicie rozregulowałeś sobie sen. Nie potrafisz logicznie myśleć i rozmawiasz z nieżyjącą osobą.

- To bardzo dobry wybór nieżyjącej osoby. Powinienem zdobyć za to kilka punktów.

Przewróciła oczami.

- Isabella dała ci tabletki na wyregulowanie snu. Dlaczego przestałeś je zażywać?

- Nie lubię brać tabletek. Lubię nad wszystkim panować.

- Teraz nie panujesz nad niczym. I to jest problem, Vico Loco. Nie jesteś sobą. Jeśli nie będziesz uważał, po przybyciu na Lunę zamkną cię w pokoju bez klamek. Nie będzie trzeba wiele, by ich przekonać. Od razu pomyślą, że jesteś szalony, skoro przyleciałeś z pasa Kuipera w szybkostatku. Kiedy tylko zaczniesz nadawać o obcych, ich podejrzenia się potwierdzą. Musisz stanowić wzorzec zdrowia umysłowego, Vico. Nie pomoże ci w tym taki wygląd.

- Ty natomiast wyglądasz wręcz przeciwnie. Nigdy ci nie mówiłem, jaka jesteś piękna. Nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, żeby ci to powiedzieć, ale to prawda.

- W tej chwili rozmawiamy o tobie.

- A szkoda. Ty jesteś o wiele bardziej interesująca. Uśmiechnęła się i nic nie powiedziała.

- Odesłano cię ze względu na mnie, Jando. Gdybym wiedział, że do tego dojdzie, wszystko bym zmienił.

- Jak? Udając, że nie jesteś moim przyjacielem? Unikając mnie? Zachowując się w mojej obecności oficjalnie i traktując mnie jak zwykłą znajomą? To byłoby gorsze.

- To nie są twoje myśli. To są moje myśli przeniesione na ciebie. Ty mówisz tylko to, co ci dyktuje mój umysł.

- Ale ty znałeś moje myśli, Vico. Zawsze je znałeś. Tylko dlatego nie wiedziałeś, że cię kocham, bo sama tego nie wiedziałam. Ale cię kochałam.

- Nie używaj czasu przeszłego. To znaczy, że wszystko się skończyło.

Zbudził się. Sam. Rozejrzał się wokół. Wskaźniki. Wyposażenie. Zbiorniki z powietrzem. Zmusił się do jedzenia. Napił

się wody i przyjął witaminy. Zrobił ćwiczenia i z przerażeniem przekonał się, jaki jest słaby. Sprawdził dane. Miał siedem tygodni na powrót do zdrowia. Napił się jeszcze wody i zrobił kolejną porcję ćwiczeń.

* * *

Wokół Luny panował duży ruch, lecz program STELU zamontowany w szybkostatku Victora przejął sterowanie na długo przed dotarciem do kłębowiska statków. Były tu frachtowce statki kurierskie, statki pasażerskie kursujące na Ziemię i z powrotem, nowsze górnicze statki korporacyjne, z których większość zdobił emblemat firmy Jukę Limited.

Szybkostatek zwolnił przed wieloma godzinami; znalazłszy się tak blisko celu podróży, Victor uznał prędkość przybijania programu STELU za niezdolność małą. Wkrótce wokół mego zaczęły się gromadzić inne szybkostatki nadlatujące ze wszystkich stron; były kierowane do tego samego celu, ale Victor nie miał pojęcia, co nim jest.

Widział Ziemię, lecz był wielce rozczarowany, ponieważ spodziewał się, że będzie znacznie bliżej. Na jej powierzchni panowała noc i pod warstwą atmosfery błyskały miliony światełek. Nikt z tych ludzi nie wie, co się do nich zbliża, pomyślał. A może wiedzą. Może informacja się przedostała. Miał nadzieję, że to prawda. To by oznaczało, że ludzie mieli więcej czasu na przygotowanie do obrony.

Osiedla mieszkalne i tereny przemysłowe stanowiły małą część powierzchni Księżyca. Victor widział zdjęcia, ale robiono je z kosmosu, więc spodziewał się niewielkiej placówki. Kiedy Księżyc się obrócił pod zbliżającymi się szybkostatkami i wyłoniło się miasto Imbrium, Victor w niemym podziwieniu patrzył na fabryki, huty, olbrzymie kompleksy przemysłowe z taką liczbą świateł, rur i budynków, że sprawiały wrażenie samodzielnych miast. A potem pojawiło się właściwe Imbrium. Budynki, światła i przykryte szkłem pasáže. To była największa struktura zbudowana przez człowieka, jaką widział.

Czuł, że jego ciało staje się cięższe. Chwytała go grawitacja. Otaczające go, załadowane walcami szybkostatki utworzyły szereg. Chłopak sięgnął wzrokiem do jego początku i spostrzegł, że

program STELU prowadzi statki do potężnego kompleksu poza miastem.

Nagle jego szybkostatek zmienił kurs i opuścił się do hangaru, który miał dach na wysokości co najmniej stu metrów. Silniki zgasły. Szybkostatek wpłynął do środka. Wszędzie znajdowały się szybkostatki w rozmaitych stadiach napraw, lecz nigdzie nie było widać żadnych robotników. Statek chwyciły automatyczne wysięgniki; pasy bezpieczeństwa wpiły się w rzucone siłą bezwładności ciało Victora. Chłopakowi zabrakło tchu z bólu - był pewien, że pękło mu kilka żeber. Odkasznął, usiłując odzyskać oddech. Statek obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i teraz celował dziobem w górę. Victor leżał na plecach. Wysięgniki uniosły statek i podwiesiły go dziesięć metrów nad podłożem na długiej szynie, z której zwieszały się trzymane za dzioby inne szybkostatki.

Zapadła cisza. Statek kołysał się lekko. Victor nigdy przedtem nie zaznał tego dziwnego uczucia, wywołanego przez siłę ciężenia. Czekał, lecz nikt po niego nie przyszedł. Rozpiął pasy bezpieczeństwa, krzywiąc się z bólu w piersiach. Miał bardzo ciężkie ciało. Wygramolił się z fotela i wyjrzał przez okno. Znajdował się za wysoko nad podłożem. Nie ufał sile swoich nóg, nie wolno mu skoczyć w warunkach nawet częściowej grawitacji. Rozejrzał się po hangarze, szukając ludzi. Nikogo tam nie było. Wszystko obsługiwały roboty. Nagle na szynę przed nim wśliznął się szybkostatek i pchnął go dalej, częściowo zasłaniając mu widok. Automatyczne wysięgniki wykonywały swoją pracę. Victor uznał, że musi się stamtąd wydostać.

Spróbował otworzyć właz. Nie udało mu się. Ten drugi szybkostatek znajdował się za blisko. Włączył radio i wybrał częstotliwość na chybił trafił.

- Dzień dobry! Czy ktoś mnie słyszy?

I znów przeraził go dźwięk własnego głosu, a raczej chrapliwego szeptu. Nikt nie odpowiedział. Słyszał jedynie trzaski. Spróbował innej częstotliwości. Nadał nic. Potem spróbował jeszcze innej i usłyszał rozmowy, a raczej niezrozumiałe ciągi liczb i danych.

- Dzień dobry! Czy ktoś mnie słyszy? - powtórzył. Głosy na chwilę ucichły.

- Kto mówi?
- Victor Delgado. Jestem wolnym górnikiem z pasa Kuipera. Utknąłem w jakimś magazynie.
- Opuść tę częstotliwość.
- Proszę. Potrzebuję pomocy. Mam informacje, które muszą dotrzeć na Ziemię.
- Sanjay, mam na częstotliwości kogoś, kto nie chce się wyłączyć.
- Nie wiem, kim jesteś, stary, ale to jest częstotliwość zastrzeżona. Spadaj, nim każę cię wyrzucić - odezwał się inny głos, głębszy, rozkazujący, z nieznanym Victorowi akcentem.
- Proszę. Muszę porozmawiać z kimś z kierownictwa. Całej Ziemi grozi niebezpieczeństwo.

Słowa te brzmiały banalnie nawet dla niego.

- Niebezpieczeństwo grozi tobie, stary. Marcusie, namierz sygnał i znajdź tego żartownisia. Ma zniknąć z mojej częstotliwości.

Victor nie wyłączył się, ale nic już nie mówił. Niech go namierzą. Niech go znajdą.

Godzinę później pojawił się policyjny pojazd. Wsiadł z niego funkcjonariusz w skafandrze i hełmie i znudzony zaczął przy świetle latarki przeszukiwać hangar.

Victor uderzył w ścianę statku jednym ze swoich narzędzi, lecz mężczyzna go nie usłyszał. Chłopak zszedł na rufę statku, która znajdowała się teraz na dole. Włączył piłę i zaczął rozcinać ścianę, zasypując wnętrze statku rozżarzonymi drobinkami metalu. Przycisnął mocniej, uważając, by nie uszkodzić skafandra. Piła przeszła na wylot. Żar posypał się na podłogę magazynu. Policjant to zobaczył.

Zanim pojawił się ktoś, kto umiał obsłużyć mechanizm i zdjął szybkostatek z szyny, minęła kolejna godzina. Kiedy ludzie wyjęli Victora ze środka i postavili go na ziemi, nogi całkowicie odmówiły mu posłuszeństwa. Chłopak runął na ziemię. Usiłował podeprzeć się rękami, ale i to mu nie wyszło. Leżał więc bez ruchu, a funkcjonariusz podłączył do jego skafandra przewód audio.

- Muszę zobaczyć jakiś dowód tożsamości - powiedział.
- Nie mam. Jestem wolnym górnikiem.
- Urodzony w kosmosie, co? Niech zgadnę, nie masz też pewnie pozwolenia na wejście do portu?

- Przyleciałem tu z pasa Kuipera.
- Szybkostatkiem? Jasne - powiedział z rozbawieniem funkcjonariusz.
- Nie wierzy mi pan? Proszę sprawdzić komputer. Policjant puścił to mimo uszu, wstukując coś do swojej nakładki.
- A więc żadnych zezwoleń, żadnych dokumentów, kodów podejścia, nic.
- Muszę pomówić z kimś z kierownictwa.
- Musisz pomówić z prawnikiem, synu kosmosu.

Zaniesiono go do pojazdu i umieszczono w skrzyni na ładunek. Victor czuł się całkowicie bezradny - i pomyśleć, że to była tylko jedna szóstka ziemskiego ciążenia.

Policjant zawiózł go do ośrodka medycznego. Pielęgniarki położyły Victora na noszach, podłączyły do kroplówki i podały dziesięć różnych szczepionek. Kiedy skończyły, wszedł funkcjonariusz w mundurze innego koloru i cienkimi paskami przymocował nadgarstki Victora do noszy. Dopiero, kiedy zaczął recytować listę praw, Victor się zorientował, że został aresztowany.

Rozdział 21

Imala

Imala Bootstamp nie starała się doprowadzić do zwolnienia nikogo z Lunarnego Wydziału Handlu, ale kiedy już do tego doszło, czuła się fantastycznie. Winowajcą był jeden z zadzierających nosa wysokich urzędników, starszy rewident księgowy z piątego piętra, który pracował dla LWH od ponad trzydziestu lat. Imala, ledwie młodszy pomocnik rewidenta księgowego, znajdowała się tak nisko w hierarchii agencji, że skłonienie kogoś z przełożonych, by choćby spojrzał na to, co znalazła, zajęło jej miesiąc.

Próbowała pójść z tym do Pendergrassa, swojego bezpośredniego przełożonego, zboczonego idioty, który wędrował wzrokiem do jej piersi za każdym razem, kiedy była zmuszona coś mu przedłożyć. Wtedy powiedział jej tylko:

- Zejdź ze ścieżki wojennej, Imalo. Odłóż tomahawk i skup się na pracy.

Och, jaki dowcipny. Czemu robi aluzje do mojego indiańskiego pochodzenia?

Sądziła, że świat wyrósł już z obelg rasowych - ona w każdym razie nigdy się z nimi nie zetknęła, a dorastała w Arizonie. No ale nie знаła też nikogo takiego jak Pendergrass, który nazywał jej boks wigwamem, a ilekroć mijali się w pokoju rekreacyjnym, układał usta w kształt litery „o” i uderzał w nie palcami. Już dawno temu mogłaby złożyć skargę w wydziale kadr,

ale tamtejsza lalunia wyznaczona do obsługi ich piętra sypiała z Pendergrassem. Poza tym Imala nie chciała, żeby ktoś walczył za nią. Kiedy poczuje, że musi „wkroczyć na wojenną ścieżkę”, będzie wymachiwać własnym tomahawkiem.

Nie mogła też iść do szefa Pendergrassa. Było to popycha-dło i potakiwacz, który głową tak głęboko tkwił w dupie swojego szefa, że za czapkę miał nerkę. Imala otrzymałaby od niego jedynie ładny, protekcyjny wykład o wadze respektowania hierarchii władzy. Nerkowa Czapka poszedłby do Pendergrassa i natarł mu uszu za to, że nie trzyma swojej Apaczki krótko. A Pendergrass urządziłby jej piekło.

Zrobiła więc coś lekko nieetycznego, ale koniecznego: posługując się kłamstwem, dostała się do gabinetu dyrektora.

- Jest pani umówiona z dyrektorem Gardoną? - zapytała sekretarka, nie podnosząc oczu znad monitora.

- Tak - odparła Imala. - Karen O'Hara, czasopismo „Finanse Kosmiczne”. Mam przeprowadzić obszerny wywiad.

Czuła się idiotycznie z włosami ułożonymi w kok i ubrana w modny żakiet i spodnie - które na tę okazję wypożyczyła - ale musiała wyglądać jak dziennikarka. Nie martwiła się, że sekretarka ją rozpozna. Agencja zatrudniała setki ludzi, a wyrobnicy z drugiego piętra, gdzie pracowała Imala, nie zaglądali na pięte. Nawet nie używali tych samych drzwi wejściowych do budynku. Zupełnie jakby to były dwa sąsiednie kraje, których granic nikt nie przekraczał.

Tydzień wcześniej Imala próbowała umówić się z dyrektorem jako ona, ale kiedy tylko sekretarka dowiedziała się, że ma do czynienia z młodszym pomocnikiem rewidenta księgowego, odesłała ją do jej przełożonych i odłożyła słuchawkę. Imali nie udało się też przesłać e-maila ani dodzwonić. Wszystkie wiadomości dla dyrektora były sprawdzane i jakiekolwiek próby skontaktowania się z nim zostały zablokowane. Za kogo on się ma? To jest Lunarny Wydział Handlu, a nie cholerny Biały Dom!

Tak więc musiała się przebrać i skłamać, żeby uzyskać audiencję u kogoś, kto mógłby ją potraktować poważnie.

- Tędy proszę. - Sekretarka przeprowadziła Imalę przez dwoje drzwi, które wymagały identyfikacji holograficznej.

Te zabezpieczenia zdenerwowały Imalę i dziewczyna zaczęła się zastanawiać, czy to był dobry pomysł. A jeśli dyrektor nie uzna jej informacji za wystarczająco ważną, by przymknąć oczy na nieszablonowy sposób dotarcia do niego? Albo jeśli się pomyliła co do danych? Nie, tego była pewna. Przekroczyła próg, a sekretarka wróciła do swojego pokoju.

Dyrektor Gardona stał przy swojej stacji roboczej i poruszał rysikiem w holoprzestrzeni, przeglądając dokumenty tak szybko, że chyba ich nie czytał. Miał siwe włosy, był wysportowany i przystojny. Imala uznała, że jest lekko po sześćdziesiątce. Jego garnitur prawdopodobnie kosztował więcej, niż wynosiły jej trzymiesięczne pobory.

- Proszę wejść, panno Bootstamp - odezwał się. - Bardzo chcę panią poznać.

A więc wiedział, kim ona jest. Imala nie umiała jeszcze powiedzieć, czy to dobrze, czy źle.

Włożył rysik do kieszeni i odwrócił się do niej z uśmiechem.

- Ale najpierw proszę mi powiedzieć, czy Karen O'Hara jest prawdziwą dziennikarką z „Finansów Kosmicznych”, czy wyciągnęła pani to nazwisko z kapelusza?

- Prawdziwą, sir. Na wszelki wypadek, gdyby chciał ją pan sprawdzić w sieciach.

- Jakbym miał czas na takie sprawdzanie.

Wskazał jej fotel, który wyglądał jak pusta kula z odciętą ćwiartką z przodu. W niewielkiej grawitacji były to wspaniałe meble i Imala usadowiła się w nim z przyjemnością. Gardona zajął fotel naprzeciwko niej.

- Dlaczego zgodził się pan mnie przyjąć, skoro pan wie, kim jestem?

Gardona rozłożył ręce w geście niewinności.

- Dlaczego miałbym nie chcieć spotkać się z jedną z moich pracownic? I to jeszcze, jak mi mówią, tak dobrą?

Albo kłamał, albo obserwowali ją jacyś ludzie, o których nic nie wiedziała. Pendergrass i Nerkowa Czapka raczej wyrwaliby sobie paznokcie, niż wystawili jej pozytywną opinię.

- Przepraszam za ten niemądry podstęp, sir, ale nie zdołałam do pana dotrzeć tradycyjną drogą.

- Jestem zajęтым człowiekiem, Imalo. Moja sekretarka chroni mój czas.

A więc wiedział też, że wcześniej starała się do niego dotrzeć. Roześmiał się.
- Udać dziennikarkę. Do tego trzeba odwagi, Imało. Odwagi albo głupoty, nie jestem pewien.

- Może obu, sir.

- I to pod pretekstem przeprowadzenia obszernego wywiadu. - Pogroził jej palcem. - Widzę, że odwołujesz się do mojego narcyzmu.

- Wydawało mi się, że to najbardziej wiarygodna bajeczka, sir.

- Cóż, pochlebia mi, że uznajesz mnie za osobę wystarczająco ważną, żebym zasługiwał na duży wywiad w tak prestiżowym czasopiśmie. A więc zwróciłaś na siebie moją uwagę. Zamieniam się w słuch.

Od razu przystąpiła do rzeczy.

- Mam dowody, że Gregory Seabright, jeden z naszych starszych rewidentów księgowych, od niemal dwunastu lat lekceważy, a w wielu wypadkach ukrywa fałszywe sprawozdania finansowe Jukę Limited.

- Znam Grega, Imało. Znam go od czasów studiów. To bardzo poważne oskarżenie.

- To nie wszystko, sir. Mam także dowody, że niewielka jednostka zależna od Jukę Limited wypłaciła panu Seabrightowi ponad cztery miliony kredytów.

Gardona przez chwilę milczał. Nadal się uśmiechał, lecz oczy miał poważne.

- Gdyby zarzut był prawdziwy, w co wątpię, Imało, to nie wyobrażam sobie, żeby Greg był na tyle tęp, by zapisywać takie wpłaty do pliku albo ich jakoś nie ukryć. Jest jednym z naszych najlepszych rewidentów. Na pewno zatarłby ślady.

- On je zatarł, sir. Przykrył je tyloma warstwami, że poskładanie wszystkiego zajęło mi dwa miesiące. Musiałam węszyć i kopać w miejscach normalnie dla mnie niedostępnych. Aby powiązać pana Seabrighta z tymi wpłatami, musiałam śledzić bardzo długi wątek, ale jeśli oskarżyciele będą wystarczająco cierpliwi, mogą dla nich połączyć te punkty.

- Oskarżyciele?

- Oczywiście. Statki Jukę Limited rok w rok przekraczały ograniczenia wagowe dla przeładunków bez uiszczania

wymaganych opłat i kar. Mówimy o setkach milionów kredytów. Korporacja Jukę płaciła mu, żeby przymykał oczy i sprzyjał nielegalnym praktykom podatkowym i celnym.

- I możesz to wszystko udowodnić?

Uniosła sześcian z danymi.

- Ponad trzy tysiące dokumentów.

- Rozumiem. A kiedy to wszystko badałaś i zbierałaś?

- Po godzinach. Natknęłam się na to tylko dlatego, że przeglądałam stare pliki, chcąc się zapoznać z niektórymi z naszych większych rachunków.

- Zaniepokoiłaś mnie, Imalo. Kto jeszcze wie o tym?

- Tylko mój bezpośredni przełożony Richard Pendergrass.

- Rozumiem. Cóż, będę musiał się natychmiast tym zająć. Jeśli to prawda, reputacja naszej agencji legnie w gruzach. Prosiłbym cię, żebyś do czasu przeprowadzenia wewnętrznego śledztwa trzymała to w tajemnicy.

Zaczął się podnosić.

- Jeszcze jedno, panie Gardona. Jukę Limited ma u nas największy rachunek. Jedna osoba nie mogłaby ukrywać takich machinacji przez długi czas. Nie mogę tego udowodnić ponad wszelką wątpliwość, ale są tu nazwiska sześciu innych osób, które podejrzewam o uczestnictwo w tych praktykach.

Dyrektor wziął sześcian.

- Mam nadzieję, że się mylisz, Imalo. Dziękuję, że zwróciłaś na to moją uwagę.

Wyszła z gabinetu, a późnym popołudniem następnego dnia rozeszły się wieści, że Gregory Seabright został zwolniony. Nie zawieszony. Nie wysłany na urlop. Zwolniony.

Imala stała w swoim boksie - który był mniejszy od większości lodówek i czasami równie zimny, ponieważ znajdował się bezpośrednio pod jednym z wylotów klimatyzacji - i czuła się znakomicie. Zmierzyła się z olbrzymem, rozkręciła procę i trafiła go w środek czoła. Gregory Seabright, brudny chciwiec, został powalony. I nie tylko Seabright, ale także Ukko Jukes, najbogatszy człowiek w Układzie Słonecznym. Albo, jak Imala wiedziała aż nadto dobrze, jeden z największych żyjących oszustów. Nawet Ukko Jukes nie mógł ujść przed sprawiedliwością.

Uderzyła dłonią w blat biurka. To dopiero jest audyt! Gdyby tylko mógł ją teraz zobaczyć ojciec...

- Audyt? - powtórzył, kiedy usłyszał o jej planach dalszej edukacji. - Audyt? - Wymawiał to słowo tak, jakby zostawiało mu w ustach kwaśny posmak. - To gorsze niż księgowość, Imalo. Nawet nie liczysz fasolek. Sprawdzasz, czy ktoś inny policzył fasolki. To najbardziej bezsensowny zawód, jaki można sobie wybrać. Jesteś na to za bystra. Możesz robić wszystko. Nie marnuj życia na sprawdzanie tych, którzy liczą fasolki.

Ach, jak się mylił! Dzięki audytom wszystko działa. Bez audytu tkwilibyśmy w finansowym barbarzyństwie. Rynki by się załamały. Banki upadły. Zawaliłby się cały system.

Ale ojcu nie zdołała tego wyjaśnić. Wyrzucił ręce w górę i złorzeczył. Natomiast przyłapanie oszusta, wsadzenie złoczyńcy do więzienia - o, to mógł zrozumieć.

Kiedy zaoszczędzi dosyć kredytów, żeby wysłać na Ziemię holo, kiedy zaangażują się lunami oskarżyciele i zwiedzą się o sprawie media, będzie mogła skontaktować się z domem i powiedzieć: „Widzisz, ojczu? Twoja córeczka mierzy się z Ukko Jukesem. Wystarczy ci?”.

Nad ścianką boksu ukazała się głowa Pendergrassa.

- Słyszałaś o Seabrighcie?

- Tak, słyszałam.

- Masz z tym coś wspólnego? Tylko wzruszyła ramionami.

- No, Imalo. Mówiłaś mi, że to naciągacz. Nie sądziłem, że to możliwe. Myślałem, że polujesz na czarownice. Wiesz, młoda, świeżo po szkole, gotowa zmierzyć się z całym światem. Wszystkie te idealistyczne bzdury. Czasami trafiają tu tacy ludzie.

Milczała.

- Chyba się myliłem. Powinienem był cię wysłuchać. Mój błąd.

Uniosła brew.

- Czyżbyś przyznawał, że nie miałeś racji?

- Od czegoś trzeba zacząć.

Uśmiechnął się i chociaż raz nie patrzył na jej piersi.

- Na zgodę chcę ci postawić lunch.

Aha, pomyślała Imala. A więc do tego to zmierza. Zapewne wyczuł, o czym myśli.

- To nie jest randka, Imalo. W restauracji spotkamy się z Hanixą. Będziemy tam we troje.

Nic nie mogło być mniej apetyczne niż dzielenie stolika z Pendergrassem i jego małą latawicą z kadr, ale Imala nie zamierzała odrzucać gałązki oliwnej. Chwyciła płaszcz i wyszła za szefem z budynku.

Pierwsze czerwone światelko zapaliło się jej na widok czekającego przy krawężniku czarnego samochodu. Pendergrass otworzył drzwi dla pasażera, nadal zachowując się nadzwyczaj życzliwie, i Imala wsiadła do środka, chociaż w głowie rozdzwoniły jej się dzwonki alarmowe.

Kiedy drzwi się zamknęły, a Pendergrass został na chodniku, Imala uświadomiła sobie, że popełniła błąd. Naprzeciwnie niej siedział mężczyzna; twarz miał ukrytą w cieniu, lecz Imala wiedziała, kto to jest.

- Witaj, Imalo. Nazywam się Ukko Jukes.

Samochód oddalił się od krawężnika i wjechał na tor. Dokądkolwiek jechali, Ukko już wcześniej zaprogramował trasę. Imala zastanawiała się nad zaryzykowaniem ucieczki w biegu. Lecz nagle przyśpieszyli, a poza tym domyśliła się, że Ukko pewnie zablokował drzwi.

- Zabije mnie pan? - spytała.

Zaskoczył ją - roześmiał się swobodnym śmiechem z głębi brzucha.

- Jesteś bezpośrednia. Uspokój się, moja droga. Nie jestem złoczyńcą, za jakiego mnie uważasz.

- To kto nim jest? Gregory Seabright? Zmarszczył brwi.

- Dziś rano skontaktował się ze mną dyrektor Gardona i poinformował mnie o śledztwie. Byłem tak samo rozczarowany i wstrząśnięty jak on. Właściwie byłem wściekły. Jeśli okaże się to prawdą, to znaczy, że w mojej firmie są ludzie, którzy myślą, że mogą mnie okradać.

- A więc nie miał pan o tym pojęcia? - zapytała z nieskrywanym sarkazmem.

Ukko zrobił urażoną minę.

- Najmniejszego. Sądziś, że jestem na tyle głupi, by robić takie oszczędności? Ja jestem biznesmenem, Imalo. Niektórzy powiedzieliby nawet, że bardzo bystrym. Myślisz, że obchodziłbym przepisy i ryzykował utratę licencji przewozowych, które miesięcznie przynoszą mi kilka milionów? Nie jestem głupcem, Imalo. Nawet gdybym był trójgłowym potworem, za jakiego mnie masz, nie jestem aż takim kretyńcem, żeby dla marnych kilkuset milionów kredytów ryzykować istnienie firmy i szarganie jej dobrego imienia przez międzynarodowych oskarżycieli.

- Mówi pan tak, jakby to nie było dużo pieniędzy.

- Wiesz, ile jestem wart, Imalo? Masz pojęcie, ile pieniędzy wytworzyła moja korporacja w czasie, kiedy tu rozmawiamy?

- Mogę się założyć, że dużo kobiet pan podrywa na tę gadkę. Znow się roześmiał.

- Wierz mi, to, co moi ludzie ukrywali z pomocą Gregory'ego Seabrighta, to kropla w moim wiadrze.

Przesadzał. Imala dość dobrze wiedziała, ile jest wart. Nie widziała wszystkich plików, więc nie mogła mieć całkowitej pewności. Wiedziała jednak dosyć, by podejrzewać, że pieniądze, które pomagał ukrywać Seabright, to nie były drobniaki. Poza tym Seabright to tylko jedna osoba. Była prawie pewna, że Jukes napełniał kieszenie wielu ludziom w agencji. Seabright był po prostu na tyle nieostrożny, żeby dać się złapać.

- A więc porwał mnie pan, żeby mnie przekonać o swojej niewinności?

- Porwał? Wielkie nieba, Imalo! Masz skłonności do dramatyzowania, prawda? Nie, jedziesz na umówiony lunch. Pragnę złożyć ci propozycję.

- Jeżeli chce mi pan zaproponować zapłatę za milczenie, to proszę sobie nie zadawać trudu.

Parsknął śmiechem i pokręcił głową.

- Słowo daję, chyba nigdy nie spotkałem kogoś, kto ma o mnie takie złe zdanie. Powinienem częściej przebywać w twoim towarzystwie, żeby zachować skromność.

Założyła ramiona na piersi i nic nie powiedziała.

- Chcę ci zaproponować pracę, Imalo. Jesteś jeszcze młoda i brak ci doświadczenia, więc nie jest to jakieś wyższe stanowisko. Ale wyraźnie pracujesz z pasją i jesteś w tym bardzo dobra.

Odkryłaś bałagan w LWH, którego przez wiele lat nie widział nikt inny.

- Inni rewidenty patrzą na sumy. Ja patrzę na wszystkie liczby.

- Właśnie. Patrzysz na wszystkie liczby. Tego potrzebuję, Imalo. Kogoś, kto patrzy tam, gdzie nie patrzą inni. W mojej firmie są ludzie, którzy mnie oszukali, i chcę wiedzieć, kto to jest. Nie wiem, komu mogę ufać. Potrzebuję kogoś bez zarzutu, kto będzie podlegał bezpośrednio mnie.

- Nie potrzebuje mnie pan - odparła Imala. - Większość plików, które znalazłam, wskazuje na ludzi z pańskiego personelu. Każdy, kto bierze udział w tym śledztwie, może podjąć te wątki i podać panu listę nazwisk.

- Tak, ale jak duży jest ten problem? Znalazłaś wszystkie pliki? Odsłoniłaś wszystko, co było ukryte? Obawiam się, że to większa sprawa, niż sądzimy. Ci ludzie są rewidentami, Imalo. Umieją ukryć swoje przestępstwa. Chcę wiedzieć, kto to jest. -Twarz mu pociemniała i nagle wyglądał jak człowiek znany jej z pogłosek. - Nikomu nie wolno mnie okradać, Imalo. Nikomu.

Czy naprawdę nie wiedział, co się dzieje? Czy rzeczywiście jest niewinny? Nie mogła zaprzeczyć, że to możliwe. On ma setki tysięcy pracowników. Nie może znać działań każdego z nich. A dowody, które znalazła, w żaden sposób nie wskazywały bezpośrednio na Ukko.

- Oboje wiemy, że nikt w sektorze prywatnym nawet nie zerknie na twoje CV, dopóki nie przepracujesz w LWH pięciu lat, Imalo. Znam biurokrację, z którą masz do czynienia. Wiem, że na pewno jej nie znosisz. A tam jesteś jak długo? Pół roku?

Siedem miesięcy i trzynaście dni, pomyślała Imala. Wystarczająco długo, by zrozumieć, że uwielbia tę pracę i nie cierpi tych ludzi.

- Nie przyszło panu do głowy, że zatrudnienie mnie pociągnęłoby za sobą konflikt interesów, jeśli chodzi o mające się rozpocząć dochodzenie? Żadną miarą nie mogę przyjąć tej propozycji, panie Jukes.

- Nie powiedziałem, jaką dostawałabyś pensję.

- To nie ma znaczenia. Rzuciłoby to cień na śledztwo. Wyglądałoby na pieniądze za milczenie.

Powiedział, ile wynosiłaby jej pensja.

Mnóstwo pieniędzy, chociaż nie tak dużo, żeby wyglądało na łapówkę. Prawdopodobnie suma, jaką otrzymywali w sektorze prywatnym ludzie mający kilka lat doświadczenia więcej od niej. A czy nie udowodniła, że jest co najmniej równie kompetentna jak oni? To była dokładnie taka pensja, na jaką we własnym mniemaniu zasługiwała. Wahala się przez chwilę. Większy dochód oznaczał, że mogłaby się wyprowadzić z mieszkania wielkości szafy i zacząć spłacać studenckie pożyczki. A może nawet wysłać pieniądze do domu.

Nie! O czym ona myśli?! Ukko ją kupuje. Tak jak kupił Seabrighta i Pendergrassa. Jak mogła zapomnieć o Pendergrassie? Ten gad wrzucił ją do jaskini lwa.

- Proszę zatrzymać samochód - powiedziała.
- Mam rozumieć, że odrzucasz moją propozycję?
- Może pan rozumieć, że jak najbardziej i że może pan ją sobie wsadzić w swój pomarszczony biały tyłek. Nie kupi mnie pan. Zachował obojętną minę.
- Popęlniasz błąd, Imalo. Daję ci szansę.
- Odsuwa mnie pan od śledztwa. Sprząta pan. Zmusza mnie pan do odejścia, a pańskie sługusy w LWH wyciszą dochodzenie. Ciepło?

Ukko strzepnął dłonią i samochód stanął przy krawężniku. Drzwi od strony Imali się otworzyły.

- Miłego lunchu, Imalo. Mam nadzieję, że następnym razem, kiedy ktoś ci po prostu proponuje to, na co zasługujesz, okażesz mu więcej szacunku.

Wystawiła już nogę za drzwi.

- 1 jeszcze jedno - dodał. - Darmowa porada. Poznaj ludzi, zanim spiszesz ich na straty jako niegodziwych łajdaków. Szybko oceniasz, Imalo. I nie zawsze masz rację.

Wysiadła. Drzwi się zamknęły. Samochód włączył się do ruchu i zniknął.

Rozejrzała się. Znajdowała się w Dzielnicy Francuskiej, ekskluzywnej części miasta z uroczymi sklepikami, w których można było kupić czekoladki, perfumy i absurdalnie drogie ubrania. Wszystkie ulice w mieście przykrywały kopulaste osłony chroniące przed promieniowaniem słonecznym i utrzymujące

powietrze oraz ciepło, ale tylko w Dzielnicy Francuskiej kopuły były pomalowane na jasnoniebieski kolor ziemskiego nieba upstrzonego białym puchem chmur. Imali się to nie podobało. Było sztuczne i fałszywe - jak wszyscy, z którymi pracowała w LWH.

Po drugiej stronie ulicy zobaczyła restaurację. Przy stoliku na zewnątrz siedział Pendergrass ze swoją przygłupią jędzą. Jedli makaron z na wpół zapieczętowanymi pojemnikami. Pendergrass zobaczył ją, uśmiechnął się i zrobił zapraszający gest. Imala odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę biura. Była pewna, że gdyby podeszła do szefa, rozsmarowałaby mu makaron po twarzy.

* * *

Powrót do LWH zajął Imali dobrze ponad godzinę, a i to po zdjęciu nagolenic i sadzeniu księżycowymi suszami w mniejszej grawitacji. Ludzie patrzyli na nią z pogardą, ponieważ w Dzielnicy Francuskiej było to niemodne, lecz Imala się tym nie przejmowała. To jest Księżyc, ludzie. Pogódźcie się z tym.

W holoprzestrzeni w jej boksie czekała wiadomość: „Przyjdź do mojego biura. Pokój 414”.

Imala sprawdziła w książce agencji, zaniepokojona, że to pokój któregoś ze wskazanych przez nią rewidentów. Z ulgą zobaczyła, że zajmował go nieznany jej starszy rewident Fareed Bakarzaï. Jednak była nieufna. Wezwanie do biura kogoś obcego tak szybko po spotkaniu z Gardoną i Ukko Jukesem? To nie mógł być przypadek.

Udała się rurą na czwarte piętro i zastukała do odpowiednich drzwi.

- Proszę.

Biuro Fareeda Bakarzaïa stanowiło zorganizowaną katastrofę. Wszędzie piętrzyły się sterty płytek, pudełek i teczek przymocowanych do podłogi długimi pasami. Na półkach stały szeregi starych książek z opłatami i kodami celnymi, chociaż straciły aktualność lata wcześniej, jeśli nie dziesięciolecia. To był największy zbiór papieru, jaki Imala widziała od przybycia na Lunę.

Fareed wyłączył holoprzestrzeń i odwrócił się do dziewczyny. Miał mniej więcej tyle samo lat co dyrektor Gardona, lecz nie był

do niego podobny. Przypominał Imali kilku profesorów z uniwersytetu stanowego w Arizonie: rozpinany sweter, broda, lekko zaniedbany wygląd; kogoś takiego można spotkać w sklepie ze starociami.

- Witam panią - powiedział, wyciągając rękę. - Prawdopodobnie pani tego nie wie, ale to ja sprowadziłem panią na Lunę. Przeczytałem pani pracę na temat rozbieżności w handlu żelazem i uznałem ją miejscami za naiwną, lecz w większości wypadków za nader trafną. Bardzo celne spostrzeżenia jak na studentkę. Kazałem kadrom trochę pogrzebać. Kiedy okazało się, że złożyła pani podanie, poleciłem je wyciągnąć ze śmieci.

Imali na chwilę odjęło mowę. Nie miała o tym pojęcia.

- Nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję, sir. Pogroził jej palcem.

- Nie „sir”, tylko „Fareedzie”. - Wskazał bałagan panujący w pokoju. - Zaproponowałbym, żeby pani usiadła, ale nie ma gdzie, a na tej wysokości i tak prawie nic nie ważymy.

Rozejrzała się w milczeniu.

- Zastanawia się pani, dlaczego tu panią poprosiłem. Będę szczery. Nie są to dobre wieści. - Przerwał na chwilę i westchnął. - Zasadniczo jakieś pół godziny temu została pani zwolniona.

-Co?!

Uniósł rękę.

- Zanim się pani rozzłości i powie coś, czego mogłaby żałować, proszę mnie wysłuchać. Nie jest pani zwolniona. Zwołano zebranie kierownictwa i ja o panią zawalczyłem.

- Chwileczkę. Nie zostałam wyrzucona?

- Została pani. Namówiłem ich, żeby panią zatrzymali, chociaż nie na dawnym stanowisku. To nie wchodziło w rachubę. Dostaje pani nowe zadanie.

- Dlaczego w ogóle zostałam zwolniona?

Kiedy tylko zadała to pytanie, domyśliła się odpowiedzi. Ukko. Odmówiła mu godzinę wcześniej i Ukko natychmiast wysłał holo do swojego człowieka w agencji.

- Czy dyrektor Gardona jest człowiekiem Ukko Jukesa? O to chodzi?

- Uważaj, co mówisz. Te ściany są cienkie. Było kilka ważnych powodów twojego zwolnienia.

Z wściekłością zaplotła ramiona na piersi.

- Na przykład?

- Udawałaś dziennikarkę i okłamałaś współpracownika, naruszając kodeks etyczny agencji.

- Okłamałam sekretarkę! I zrobiłam to w interesie agencji. Inaczej Gardona by mnie nie przyjął.

- Węszyłaś także w plikach agencji, do czego nie byłaś upoważniona.

- Prowadziłam dochodzenie w sprawie nielegalnych praktyk. Nie mogłam iść do Seabrighta i poprosić o dostęp do jego plików.

- W takich sprawach trzeba podążać utartymi kanałami, Imalo. Zlekceważyłaś je i bawiłaś się w szeryfa.

Nie wierzyła własnym uszom. Ona tu robi coś, czego nie ma odwagi - i rozumu - zrobić nikt inny w agencji, a oni ją szkalują.

- Do kogo miałam iść? Do Pendergrassa? Poszłam do niego. Zbył mnie. Fareed wydawał się zaskoczony.

- Kiedy to było?

- Miesiąc temu.

- Masz na to jakieś dokumenty? E-maile? Hologramy? Usiłowała sobie przypomnieć.

- Nie. Poprosiłam go na stronę i pokazałam mu wszystko osobiście.

Fareed był rozczarowany. Wzruszył ramionami. - I tak prawdopodobnie by powiedział, że uznał cię za osobę nadgorliwą, i przyznałby się do popełnienia błędu.

- Tak właśnie powiedział. Tuż zanim wyprowadził mnie na zewnątrz i wsadził do samochodu Ukko Jukesa.

Fareed był zaskoczony.

- Kiedy?

- Godzinę temu. W czasie przerwy na lunch.

- Rozumiem. - Fareed przez chwilę chodził po zagrożonym pokoju, myśląc intensywnie. - Nie mogę ci dać dawnego stanowiska, Imalo. Nawet wiedząc, że poszłaś do Pendergrassa. Zespół kierowniczy był niezłomny.

- To oczywiste. Siedzą w kieszeni u Jukesa. Starają się zamknąć mi usta i zatuszować skandal z Seabrightem.

- Już jest tuszowany. Jukes zgodził się zapłacić wszystkie zaległe podatki i cła, a także kary. Zarówno agencja, jak Jukes

przeprowadzą własne wewnętrzne śledztwa i na tym sprawa się skończy.

- Pan żartuje. Powinniśmy to przedstawić prokuraturze. Fareed pokręcił głową.

- Nic z tego, Imalo. Oni to ukryją.

- No to pójde do prasy. Powiem każdemu, kto będzie chciał słuchać.

- Nikt nie zechce. Działają tu siły o wiele większe, niż sądzisz. Mówił jej, że Ukko płacił też mediom, że cokolwiek robi,

Jukes to utraci. Nie do wiary. Ten człowiek wszystkich terroryzuje? Nawet Fareed - choć wydawał się dość przyzwoitym gościem - chodził na pasku Ukko tylko dlatego, że znajdował się w systemie kontrolowanym przez niego.

- Umieściłem cię na cle. Nie jest to prestiżowe stanowisko, ale będziesz pracować z ludźmi. To ci się przyda.

- Co takiego?!

- Jesteś trochę nieokrzesana, Imalo. Od czasu przyścia do agencji z nikim się nie zaprzyjaźniłaś. Wszystkimi pogardzasz.

- Nieprawda.

- Wymień jedną osobę ze swojego wydziału, z którą się przyjaźnisz.

- Wszyscy włożą w tyłek Pendergrassowi. Nie obchodzi ich praca. Ciągłe robia błędy.

- Skąd wiesz, że robia błędy?

- Bo sprawdzam ich pracę. Jest niechlujna.

- Tak. Z pewnością wszyscy są ci wdzięczni, że ty, młodszy pomocnik, szukasz błędów w ich pracy.

- Pendergrass na pewno. Fareed westchnął.

- Sprawa załatwiona, Imalo. Kiedy ci goście z góry chcieli cię wsadzić na prom lecący na Ziemię, nadstawiłem za ciebie karku. Chociaż udawaj wdzięczność i przyjmij tę pracę. Kto wie, może za kilka lat będę mógł ci pomóc przejść do jakiejś prywatnej firmy.

Nie wiedziała, czy ma walić pięścią w ścianę, czy płakać. Za kilka lat? To jest jego prezent dla niej? Przysługa? Chciała odmówić. Chciała zamknąć mu usta w taki sam sposób, w jaki odrzuciła propozycję Ukko. Ale co to jej da? W momencie

unieważnienia umowy o pracę człowiek zniknął. Gdyby wyszła stąd bez zatrudnienia, zostałaby bez zwłoki wysłana na Ziemię. I co wtedy? Miałaby wrócić do Arizony i powiedzieć ojcu, że miał rację? Nie, za nic!

- Jakże audyty przeprowadzałabym na ciele?
- Nie będziesz rewidentem. Będziesz konsultantką.
- Konsultantką? Nie mam odpowiedniego wykształcenia.
- Pokaż im, jaka jesteś mądra i miła, a z pewnością dadzą ci bardziej odpowiedzialne zadania.

Podał jej napęd z danymi.

- Co to?
- Twój pierwszy przypadek. Wolny górnik, który tydzień temu przybył tu szybkostatkiem z pasa Kuipera. Bez dokumentów. Bez zezwoleń. Zajmij się tym.
- Jak? Nie mam pojęcia, co z tym robić.
- Znasz prawo celne, Imalo. Znasz przepisy. Reszta to robota papierkowa. Jeśli czasami się uśmiechniesz, to możesz nawet być w tym dobra.

Wyszła z biura otępiała. Przyleciała na Lunę, ponieważ wierzyła, że może zrobić coś ważnego, coś sensownego. A teraz została przesunięta do wyjaśniania drobnych naruszeń prawa celnego. Pendergrass miał rację. Wkroczyła na ścieżkę wojenną i zaczęła walkę, której nie miała szans wygrać.

Nie wróciła do swojego biurka. Nie było tam nic, czego by potrzebowała.

Zatrzymała się w holu i podłączyła napęd z danymi do nakładki na nadgarstku. Znajdował się na nim jeden plik. Skąpe akta Victora Delgado. Powiedziały jej niewiele poza tym, że od chwili przybycia Delgado prosi o rozmowę z kimś z kierownictwa. Rozbawiło ją to. Przykro mi, Victorze. Utknąłeś z wpisanym na czarną listę byłym młodszym pomocnikiem rewidenta. Chyba nie ma nikogo odleglejszego od kierownictwa niż ja.

Rozdział 22

POP

Kapitan Wit O'Toole siedział w fotelu pasażera śmigłowca szturmowego Air Shark. Z wioski Pakuli leżącej w środku indonezyjskiej wyspy Sulawesi leciał na południe. Śmigłowiec opuścił rzeczną dolinę i znalazł się nad wzgórzami. Wśród gęstych lasów tropikalnych pojawiały się niewielkie, odosobnione rodzinne gospodarstwa, proste drewniane domy i pola kukurydzy albo kawy. W miarę jak wzgórza stawały się coraz wyższe i śmigłowiec się wznosił, w polu widzenia zaczęły się ukazywać tarasowate pola ryżowe jak zielone schody. Gdyby nie płonące wioski i ciała zabitych gnijące w słońcu, Wit mógłby pomyśleć, że to raj.

W Indonezji toczyły się jednocześnie dwie wojny domowe. Rząd Sulawesi walczył w górach z ekstremistyczną grupą islamską Remeseh, a rząd Nowej Gwinei zwalczał miejscowych powstańców na tej wyspie. W ogniu walk znaleźli się cywile i sytuacja stawała się na tyle krwawa, że rozwinięty świat prawie zaczynał się nią przejmować. Wystarczy podać wiadomość, że islamscy bojownicy spalili małą górską kaplicę wraz z zamkniętymi w niej parafianami, a dziennikarze nagle zaczęli się przejmować sprawą.

Wit chciał, by tę wojnę nagłośniono. Mieszkańcy Indonezji potrzebowali pomocy - większej pomocy, niż mogli zapewnić żołnierze POP-u. Jeśli zbrodnia popełniona na chrześcijanach

zwróci oczy świata na los Sulawesi, to może ci spaleni żywem ludzcie nie zginęli na próżno.

- Filmuj wszystko - rzekł do Calingi, który siedział w fotelu pilota. - Ale rób to dyskretnie, niech ludzie nie widzą, że filmujesz.

Calinga skinął głową. Rozumiał.

Kamery na hełmach i kombinezonach były małe i dobrze ukryte. Wieśniacy ich nie zauważą - zapewne i tak nigdy w życiu nie widzieli takiego sprzętu. Wit bardziej się przejmował tym, czy on i Calinga zdobędą właściwe ujęcia. Dymiące ciała. Jakaś zwęglona dziecięca zabawka. Wieśniaczki oplakujące zabitych. Media były wygłodniałe takiej grozy i jeśli Wit ją dostarczy, może zapoczątkuje ciąg wydarzeń, które poskutkują pomocą dla Indonezyjczyków.

Ale byłoby to przedsięwzięcie zakrojone na kilka miesięcy. Wojna z apatią toczyła się o wiele wolniej niż prawdziwe wojny prowadzone w terenie. Aby ktoś dysponujący władzą podjął konkretne działanie, wielu obywateli i grup obrony praw człowieka musiałyby obejrzeć filmy, odpowiednio się rozzłościć i złożyć odpowiednią liczbę skarg do prawodawców. Nie będzie to łatwe. Jeśli wskaźniki gospodarcze znowu spadną albo jakiś polityk czy celebryta wywoła skandal seksualny, media tym się zajmą i z pomocy dla Indonezji będą nici.

Filmowanie to jednak cel trzeciorzędny. Głównym zadaniem Wita było odzyskać ciało jednego z żołnierzy, który zginął podczas ataku. Potem miał się zająć członkami Remesehu winnymi podpalenia kaplicy: albo ich aresztować, co nigdy nie było wyjściem idealnym, albo ich zdjąć, co nigdy nie wyglądało ładnie.

Dostrzegł słupy dymu na długo przed dotarciem do wioski Toro. Kaplica na pewno była już teraz tylko tłą się kupą zgliszcz, lecz terroryści podłożyli ogień w innych miejscach, a wiatr przeniósł płomienie na obszary trawiaste.

Calinga posadził śmigłowiec w wiosce nieco na południe od spalonej kaplicy. Zebrały się tam setki wieśniaków, ale zostawili śmigłowcowi mnóstwo miejsca i odwracali głowy od podmuchów wywołanych przez łopaty śmigła. Wit i Calinga wysiedli w pełnym rynsztunku bojowym. Wieśniacy wiedzieli, co to jest POP i jaką daje ochronę. Niektórzy wzniesli radosne okrzyki.

Inni otwarcie płakali, składając przed sobą dłonie. Jeszcze inni, a zwłaszcza dzieci, obścapiли żołnierzy, gestami zapraszając, by podążyli za nimi pod górę do kaplicy. Wszyscy mówili naraz po indonezyjsku i Wit wychwytywał tylko strzępy zdań. Mówili, że jego człowiek nie żyje.

Kilka tygodni wcześniej wysłał Rosjanina Bogdanowicza z ostatniej grupy rekrutów wraz z Averbachem, bardziej doświadczonym członkiem POP-u, by chronili wioskę przed atakami, które Remeseh przeprowadzał w górach. Na południe od wioski wywiązała się strzelanina między Remesehem a grupą rolników i Wit rozkazał obu żołnierzom tam się udać.

Bogdanowicz odmówił opuszczenia wioski, bo obawiał się, że strzelanina stanowi przykrywkę dla skoordynowanego ataku na nią, więc Averbach udał się na południe sam. Kiedy wrócił, kaplica płonęła, a Bogdanowicz był martwy.

Wit dotarł do kaplicy i zastał Averbacha przy wynoszeniu zwłok. Kilka z nich leżało już na ziemi przykrytych prześcieradłami. Wieśniacy z lamentem, płaczem i wznoszeniem rąk do nieba identyfikowali ciała.

Byli też inni zabici. Około dziesięciu. Wszyscy leżeli w kałużach własnej krwi. Kobiety i dzieci rzucały w trupy kamieniami, pluły, przeklinały i krzyczały przez łzy. Wyglądało na to, że Bogdanowicz nie zginął bez walki.

Przy jednym z ciał, zawiniętym w okrwawione prześcieradła i obsypanym płatkami kwiatów, klęczała starsza kobieta. Wieśniacy powiedzieli Witowi to, co już wcześniej podejrzewał. To był Bogdanowicz.

Averbach zawrócił do kaplicy po kolejne ciała. Twarz miał pokrytą potem i sadzą. Wit i Calinga naciągnęli lateksowe rękawiczki i dołączyli do niego. Bez słowa delikatnie pomogli mu podnieść z popiołów zwłoki i położyć je na prześcieradło, na którym wynieśli je na ulicę. To była makabryczna, przerażająca praca. Belki i popioły jeszcze się żarzyły. Powietrze było gęste od zapachu zwęglonych ludzkich zwłok. Wit musiał się bardzo starać, by opanować mdłości i zachować pełen szacunek i spokój.

Kiedy skończyli, obok siebie leżało dwadzieścia sześć zwęglonych ciał; niektórych nie dało się rozpoznać. Wiele z nich to były dzieci. Opodal płonęło ognisko. Wieśniacy zebrali martwych

bojowników Remesehu na stertę i ją podpaliło. Przy Bogdanowiczu klęczało teraz kilka modlących się starszych kobiet.

Wit zapytał swoim łamanym indonezyjskim jednego z rolników, czy ktokolwiek w wiosce widział, w którą stronę uciekli napastnicy. Odpowiedziało wielu mężczyzn. Wszyscy pokazywali na południe.

- Zostawię tu z wami jednego z moich ludzi - rzekł po indonezyjsku. - Będzie was chronił. Jest takim dobrym żołnierzem jak Bogdanowicz, jeśli nie lepszym.

Zareagowali krzykiem:

- Nikt nie jest lepszy! Nikt nie jest odważniejszy! Gdyby nie on, wszyscy byśmy zginęli!

Wit przyniósł ze śmigłowca nosze i razem z Calingą zapięli Bogdanowicza w worku na zwłoki. Nie rozwijali prześcieradeł. Umieścili ciało w śmigłowcu, Wit usiadł w fotelu pilota, a Averbach obok niego. Calinga został.

Kiedy znaleźli się w powietrzu, Averbach powiedział:

- To moja wina. Bog się tu zadomowił. Zakochał się w miejscowej dziewczynie. Do niczego między nimi nie doszło. Nigdy nie byli sami. Ale zauważyłem ukradkowe spojrzenia, jakie mu posyłała. On też je zauważył i chyba nie miał nic przeciwko. Nigdy o tym nie mówił, ale ja powinienem był powiedzieć tobie. Powinniśmy byli go stąd zabrać. Ta sytuacja wpłynęła negatywnie na jego zdolność osądu.

- Tego się domyślałem. - Wit pokiwał głową. - Sprzeciwienie się rozkazowi było niepodobne do Bogdanowicza.

- Wieśniacy mówili, że gdyby nie ta kaplica, Bog zdjąłby wszystkich z Remesehu. W środku znajdowała się ta dziewczyna. Kiedy islamiści zamknęli drzwi na kłódkę i podłożyli ogień, Bog rzucił się na ratunek. Starał się kryć, ale to była zasadzka. Czekano na niego trzech snajperów. Spalili kaplicę nie po to, żeby zabić chrześcijan, ale żeby wywabić Bogdanowicza. - Averbach pokręcił głową. - Powinienem być razem z nim. Mógłbym zdjąć snajperów.

- Wysłałem cię na południe. Wykonałeś rozkaz. Tak jak powinien.

W gęstwinie dżungli nie wypatrzyli bojowników Remesehu. Po godzinie poszukiwań zawrócili do Pakuli i oddali ciało

Bogdanowicza ekipie medycznej, która miała je przygotować do transportu do Rosji.

Jeszcze jeden stracony, pomyślał Wit. W Indonezji to już czterech. O czterech za dużo.

Przydaliby mu się hinduscy komandosi; byli znakomitymi tropicielami. Chętnie by się włączyli do działań, ale władze Indii nie chciały angażować wojska w konflikt indonezyjski.

Potrzebuję więcej ludzi, pomyślał Wit. Powinienem był przyjąć tego maoryskiego drania, Mazera Rackhama. To byłaby robota w sam raz dla niego.

Wysłał oddział żołnierzy do dżungli na południe od wioski Toro, ale nie spodziewał się, że coś znajdą. Terrorysty dawno już zniknęli - zapewne jeszcze na długo przedtem, nim Wit dotarł do wioski.

Wrócił do swojego namiotu i włączył terminal. Calinga zebrał wszystkie filmy zarejestrowane w wiosce i wysłał je do skrzynki Wita. Kapitan przejrzał te materiały wraz ze swoimi i zmontował trzyminutowe wideo pokazujące grozę i cierpienie w Toro. Nie stosował autocenzury. Pokazał wszystko. Ciała. Oplakiwanie zabitych. Popioły. Nie dołożył muzyki. Nie musiał dorabiać sensacyjnej atmosfery. Suche wideo przemówi za siebie. Nadał plikowi nazwę „Ofiary Remesehu”, dopisał datę i miejsce. Następnie przesłał film do sieci i czekał. Następnego ranka kilka organizacji informacyjnych ściągnęło wideo, ale go nie wykorzystały.

Najwięcej uwagi w sieciach przyciągały niewyjaśnione zakłócenia łączności w przestrzeni kosmicznej. Naukowcy na Ziemi i Lunie twierdzili, że powoduje je wzrost promieniowania kosmicznego, chociaż nikt nie umiał określić jego źródła. W gruncie rzeczy wyglądało na to, że zakłócenia pochodzą ze wszystkich stron naraz, co podnosiło szum tła do wartości krzyku i uniemożliwiało łączność w przestrzeni kosmicznej. Ceniony astronom krążył między telewizjami i bez końca paplał o niewyjaśnionych eksplozjach promieniowania gamma. Zawieszono wiele lotów handlowych i pasażerskich między Luną i Ziemią, a przedstawiciele kosmicznego przemysłu wydobywczego wydawali oficjalne oświadczenia dla prasy, w których zapewniali rodziny korporacyjnych górników, że ich firmy robią wszystko

co w ich mocy, by zapewnić swoim pracownikom bezpieczeństwo i określić źródło problemu.

Wit najpierw pomyślał o terrorystach. Byłby to genialny sposób na sparaliżowanie handlu i zniszczenie gospodarki, zwłaszcza w krajach uzależnionych od handlu kosmicznego. Jednak odrzucił tę myśl. Nie umiał sobie wyobrazić grupy terrorystycznej dysponującej wystarczającym potencjałem naukowym i odpowiednimi zasobami, by mogła skonstruować urządzenie wytwarzające aż tak silne zakłócenia, nie mówiąc już o umieszczeniu go w kosmosie.

Co więcej, zakłócenia coraz bardziej narastały, czyli urządzenie zagłuszające w przestrzeni kosmicznej albo zwiększało moc, albo zbliżało się do Ziemi.

Na stronie z wiadomościami pojawił się nagłówek: „Zwariowani sieciarze przypisują zakłócenia obcym”.

Wit kliknął link i przeczytał artykuł. Reporter wyśmiewał około setki filmików, które ostatnio pojawiły się w sieciach i których autorzy twierdzili, że zakłócenia powodują obcy. Wit obejrzał kilka. Wiele przedstawiało tylko gadające głowy, w większości zwolenników teorii spiskowych, popisujących się pseudonaukowością i robiących mętne aluzje do rządowych prób tuszowania faktów. Inne były dość zabawne. Mieściły się w kategoriach od idiotycznych przez komiczne po żałosne. Wierszyki, piosenki, nawet przedstawienie lalkowe. Większość wideo miała zerową wartość produkcyjną, lecz kilka zostało zrobionych przy użyciu wszelkich środków filmowej magii; pokazały stworzenia i środowiska tak realistycznie, że Wit musiał je obejrzeć dwa lub trzy razy, by doszukać się jakichś niedoskonałości dyskwalifikujących ich autentyczność.

Komentarze do filmików nie odbiegały od ogólnego poziomu. Wyrażały nienawiść, szyderstwo, stanowiły okrutne ataki osobiste. Czasami, zwłaszcza w odniesieniu do filmików, w których obcy zostali przedstawieni dość wiarygodnie, komentarze były bardziej pochlebne: Dobra robota! Wyglądało na prawdziwe. Prawie mnie nabraliście. Złazłem się w spodnie!

Wit wiedział, że te dziełka są fałszywe. Jednak pomyślał: A jeśli te zakłócenia radiowe naprawdę wywołują obcy? A jeśli zwolennicy teorii spiskowych mają rację? A jeśli w tej chwili

do Ziemi zbliża się armia obcych? To naciągany pomysł, owszem, ale to jest możliwe. A gdyby to była prawda, oddziały POP-u byłyby nieprzygotowane. Nie mógł do tego dopuścić. Musi przygotować swoich żołnierzy na taką ewentualność. Będą drwić, nawet się z niego śmiać, lecz on zna swoje obowiązki. Ale jak się szkoli żołnierzy do walki z wrogiem, którego się nie rozumie? Jak się ich przygotowuje na całkowicie nieprzewidzianą sytuację? Czy ci obcy będą wrogo nastawieni? Żadną miarą nie można się tego dowiedzieć zawczasu, a potem będzie za późno. Nie, jedyne szkolenie, jakie mógł zapewnić swoim ludziom, to nauka analizowania przed podjęciem działania w nieznanej sytuacji. We wszystkich wypadkach muszą zakładać wrogie zamiary obcych.

Następnego ranka Wit zebrał wszystkich żołnierzy POP-u przebywających w Indonezji. Wielu znajdowało się w obozie na Sulawesi i ci spotkali się z nim w kantynie. Pozostali, którzy stacjonowali w pobliskich wioskach albo na Nowej Gwinei, połączyli się z nim za pośrednictwem holo.

Wit stanął w holoprzestrzeni.

- Chcę wam pokazać kilka filmików - powiedział. Odtworzył kilka z tych, które pokazywały obcych. Reakcja żołnierzy była podobna do komentarzy w sieciach. Śmieli się. Drwili. Szydzili. Klaskali, jeśli te próby były realistyczne.

- Hej, Deen, to twoja dziewczyna? - zawołał ktoś, kiedy na ekranie zaryczał szczególnie paskudny obcy.

- Coś ty! - odkrzyknął ktoś inny. - Dziewczyna Deena jest o wiele brzydsza. Śmiech.

- Jestem otoczony genialnymi komikami - powiedział Deen ze śmiertelną powagą.

Kiedy filmiki się skończyły, Wit znowu pojawił się w holoprzestrzeni.

- O co chodzi, panie kapitanie? - zapytał Lobo. - Przygotowujemy się na jakichś obcych?

- Możliwe - odparł Wit.

Sala ryknęła śmiechem, ale Wit zachował kamienną twarz, więc śmiechy szybko ucichły i nastała niezręczna cisza.

- Pan nie mówi poważnie, kapitanie - odezwał się Deen. - Widziałem sto takich filmików. Wszystkie są fałszywe.

- Ach, więc to robisz w wolnym czasie, Deen? - zapytał Chiwon.
- Co jest? Dzień Dokuczania Deenowi? - rozzłościł się zapytany.
- Ale tak na serio, panie kapitanie - rzekł Mabuzza - przecież oglądamy różne inwazje obcych od lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku!
- To nie znaczy, że do czegoś takiego nie dojdzie - odparł Wit - i że nie będzie to straszne. - Przerwał i powiódł spojrzeniem po zebranych. - Sytuacja: stu obcych ląduje w tym obozie i zaczyna wszystkich zabijać. Co robicie?
Po dłuższej chwili ktoś powiedział:
- Zwiewamy jak diabli. Żołnierze parsknęli śmiechem.
- Dobrze. Nowa sytuacja: Stu członków Remesehu atakuje obóz i zaczyna wszystkich zabijać. Co robicie?
- Wysyłamy ich do diabła - odpowiedziało kilku. Wit uśmiechnął się.
- Cieszę się, że mamy plan co do Remesehu. - Przerwał na chwilę, a potem zapytał głośniejszym głosem: - Na co się przygotowujemy?
- Na każdą ewentualność! - odparli jednym głosem żołnierze.
Wit podniósł głos jeszcze bardziej:
- Na co się przygotowujemy?!
- NA KAŻDĄ EWENTUALNOŚĆ!
- Ewentualność to możliwe wydarzenie, którego nie da się przewidzieć. Nie możemy ze stuprocentową pewnością odrzucić słuszności tego pomysłu. Czy jest prawdopodobny? Nie. Czy jest możliwy? Tak. Czy jest absurdalny? Możecie tak uznać, ale ja wołałbym się przygotowywać na absurd, niż zginąć.
Żołnierze milczeli. Przykuł ich uwagę.
- Które armie świata przygotowują się na takie wydarzenie? Odpowiedź: żadna. Które armie są przygotowane na broń znacznie przewyższającą naszą? Odpowiedź: żadna. Które armie zostałyby przyłapane ze spuszczoneymi spodniami, całkiem nieprzygotowane? Odpowiedź: wszystkie. Ale nie my. Na co się przygotowujemy?
- NA KAŻDĄ EWENTUALNOŚĆ!

- Więc jak się przygotowujemy? Odpowiedziała mu cisza.

- Analizujecie przed podjęciem działania - rzekł Wit. - Nie macie pojęcia, z czym macie do czynienia. Wasze dotychczasowe wyszkolenie i taktyka mogą doprowadzić do waszej śmierci w momencie wprowadzenia ich w życie. Nie możecie zakładać, że wróg będzie myślał, walczył albo reagował jak człowiek. Przerażony człowiek ucieka. Przerażony pitbul rzuca się przeciwnikowi do gardła. Jak obcy zareaguje na strach? Czy w ogóle doświadcza strachu? Analizujecie przed podjęciem działania. Zauważajcie wszystko. Ich ruchy, broń, zachowanie grupowe, anatomię, reakcje na środowisko, szybkość, sprzęt. Nawet najdrobniejszy szczegół stanowi cenną informację. Analizujecie przed podjęciem działania. - Kilku żołnierzy kiwało głowami. - I we wszystkich wypadkach, bez wyjątku, zawsze zakładajcie wrogie zamiary. Musicie zakładać, że chcą was zabić. To nie znaczy, że strzelacie pierwsi, to tylko znaczy, że nigdy, przenigdy im nie ufacie. A kiedy rzeczywiście okażą wrogość, nie zawahacie się ich zdjąć.

Popatrzył na każdego po kolei.

- Sytuacja: Stu obcych ląduje w obozie. Co robimy? Deen?

- Analizujemy przed podjęciem działania, sir. Zakładamy wrogie zamiary.

- Dobrze. A co robimy, jeśli się okaże, że są wrogo nastawieni?

- Wysyłamy ich do diabła, sir.

- I tak ma być - zakończył Wit O'Toole.

Rozdział 23

Kleopatra

Od strony biurka odezwał się brzęczyk; Lem wydostał się z hamaka, podpłynął do biurka i przeciągnął dłonią przez holo-przestrzeń. Pojawił się w niej Chubs.

- Formidzi zbliżają się do Kleopatry - powiedział.

- Wyrzucili plazmę? - zapytał Lem.

- Nie. Zwalniają. I to szybko. Przeprowadziliśmy kilka dodatkowych skanów dalekiego zasięgu, by się zorientować, dlaczego to robią. Wygląda na to, że przy Kleopatrze zebrało się sporo statków i ustawiło na drodze Formidów. Właściwie utworzyły blokadę.

- Ile statków?

- Według naszych ostatnich obliczeń dwadzieścia cztery. Dane ze skanera nieba wciąż napływają. Nadal znajdujemy się w sporej odległości za statkiem Formidów, ale ponieważ zwalniają, odległość ta się zmniejsza. Pozwoliłem sobie polecić załodze dostosować się do ich nowej prędkości i zachowywać odległość do twojego przybycia na mostek.

- Już idę.

Lem narzucił mundur i udał się na mostek. Dotarł tam, zapinając guziki kurtki, i zastał Chubsa przy holoprzestrzeni. Mapę układu zastąpił obraz wielu statków. Ustawiły się w pewnych odległościach od siebie, ale wspólnie tworzyły olbrzymią ścianę między statkiem Formidów a Ziemią.

- Kto to jest? - zapytał Lem.
- Korporacje i wolni górniczy. Po kształcie i budowie statków widać, że należą do Jukę Limited, WU-HU, MineTech i kilku klanów wolnych górników.
- A więc ludzie wiedzą o Formidach. Ale czy wszyscy? Czy Ziemia wie?
- Trudno powiedzieć, ale wątpię. Wciąż jesteśmy o wiele za daleko, żeby statek Formidów pokazał się na ziemskich przyrządach. Jest za mały i za ciemny. Ziemia mogłaby się dowiedzieć o istnieniu statku tylko wtedy, gdyby ktoś jej o tym powiedział. A zakłócenia są ogromne. Podobnie jak my, statki tworzące blokadę nie mogą się komunikować z Ziemią. To, że one wiedzą, nie oznacza, że wie ktoś inny. Poza tym zauważ, że wszystkie są statkami górniczymi. Nie ma wśród nich okrętów wojennych. To nie są statki wysłane z Ziemi. Według mnie ktoś dostrzegł statek Formidów na skanerze nieba i zawiadomił inne statki w bezpośrednim sąsiedztwie. Łączność działa w zasięgu kilkuset kilometrów. Zresztą zakłócenia sprawiają, że statki i tak się gromadzą, by się dowiedzieć, co się dzieje.
- Kiedy Formidzi do nich dotrą?
- Za kilka godzin.
- Te statki nie mają pojęcia, do czego oni są zdolni. Będą się starali nawiązać z nimi łączność jak tamci Włosi. Musimy im powiedzieć wszystko, co wiemy.
- Nie możemy, Lemie. Musielibyśmy znaleźć się na tyle blisko, żeby nawiązać łączność radiową. Wtedy znaleźlibyśmy się w zasięgu broni Formidów. Prawdopodobnie wywiąże się bitwa, a my znaleźlibyśmy się w jej środku.
- Nie możemy siedzieć beczynnie i pozwolić im zginąć! Na niektórych z tych statków znajdują się nasi ludzie.
- Możemy porozmawiać na osobności? - zapytał Chubs ściszonego głosem.
- Lem był zaskoczony, ale się zgodził. Przenieśli się do sąsiadującej z mostkiem sali konferencyjnej. Chubs zamknął drzwi.
- Nie możemy stracić z pola widzenia naszej misji, Lemie. Mamy informacje, które musimy przekazać na Ziemię.
- Niczego nie tracimy z pola widzenia. Ratujemy ludziom życie. Nie musimy włączać się do walki. Nie musimy nawet

zwalniać. Przelatujemy szybko i po drodze przekazujemy statkom wiadomość. Każemy im uciekać. Wysyłamy im wszystkie informacje i odlatujemy. Czekałszy, żeby Formidzi zwolnili, więc możemy ich minąć i pierwsi dotrzeć na Ziemię. To nasza szansa.

- To zbyt niebezpieczne, Lemie. Formidzi w każdej chwili mogą wyrzucić plazmę. Nie możemy się zbliżyć, bo zamienimy się w popiół. Rozważ inną możliwość. Zmieniamy kurs, schodzimy z ekliptyki i poruszamy się w górę po wysokiej paraboli, omijając statek Formidów od góry. Potem schodzimy w stronę Luny. W ten sposób nawet jeśli statek wyrzuci plazmę, znajdziemy się dość daleko, by nie doznać żadnych uszkodzeń.

- Wtedy wszyscy ludzie na tych statkach zginą. Zostaną, będą walczyć i zginą. Poza tym przez tę okrężną drogę stracilibyśmy cenny czas. Wysłuchałem twoich rad. Doceniam je. Przyznaję, że moja propozycja jest ryzykowna. Ale ja tu rządę. Nie porzucimy nikogo, żeby ocalić własne głowy. Robiłem to już zbyt wiele razy. Zostajemy na kursie. - Lem wykonał ręką kilka precyzyjnych ruchów w holoprzestrzeni nad stołem konferencyjnym, wywołując nawigatora. - Przyspieszyć do naszej poprzedniej prędkości.

- Tak jest. - Nawigator spojrzał w lewo i sięgnął do przyrządów.

- Stój! - rozkazał Chubs.

Lem był wstrząśnięty. Chubs właśnie sprzeciwił się władzy Lema w obecności członka załogi. Nawigator znieruchomiał. Albo był tak oszołomiony niesubordynacją Chubsa, że nie był w stanie wykonać rozkazu Lema, albo wykonywał rozkaz Chubsa.

Chubs przeciągnął dłonią przez holoprzestrzeń i nawigator zniknął.

- Nie możesz tego zrobić, Lemie.

- Jestem kapitanem tego statku. Ja decyduję, co mogę, a czego nie mogę robić.

- Nie rozumiesz, Lemie. Nie mogę ci na to pozwolić. Mówił spokojnie, grzecznie, ale wniosek był oczywisty.

Chubs twierdził, że ma większą władzę. Całkowicie podważał pozycję Lema jako kapitana. To była niesubordynacja, jeśli nie otwarty bunt. Lem otworzył drzwi i gestem wezwał do środka dwóch załogantów. Kiedy znaleźli się w sali, wskazał Chubsa.

- Ten człowiek jest usunięty ze stanowiska. Zamknijcie go w jego kajucie. Pozostanie tam przez resztę lotu. Nie ma wstępu na mostek.

Załoganci byli wyraźnie zmieszani. Nie ruszyli się ani na krok.

- Czy rozkazy są niejasne? Odprowadźcie tego człowieka do aresztu domowego.

Zapadła niezręczna cisza. Załoganci patrzyli na Chubsa, jakby czekali na rozkazy od niego.

Lem nagle zrozumiał. Tak naprawdę nie on tu rządził. Nigdy tu nie rządził. Prawdziwym kapitanem był Chubs. I wiedzieli o tym wszyscy oprócz Lema.

- Nie możesz mnie usunąć - rzekł nie bez życzliwości Chubs. - Twój ojciec się obawiał, że moglibyśmy się znaleźć w trudnej sytuacji, i dał mi władzę uchylecia każdej decyzji, która mogłaby spowodować na ciebie fizyczne niebezpieczeństwo. A w mojej ocenie to, co proponujesz, spowoduje na ciebie fizyczne niebezpieczeństwo, więc tego nie zrobimy.

Mówił tonem grzecznym, lecz brzmiało to nieodwołalnie.

Lem odwrócił się do załogantów, którzy z zażenowaniem spuścili wzrok.

Roześmiał się w duchu. Cała ta podróż była farsą. Jego wszystkie zadania: doprowadzenie, nadzorowanie prób, ochrona glasera. Następna gierka ojca. Ojciec nie dał mu żadnej władzy. Ojciec mu nie ufał. Pozwolił jedynie bawić się w udawanie. A wszystko dlatego, że nie uważał go za wystarczająco inteligentnego, by samodzielnie podejmował decyzje i kierował własnym losem.

- Niebezpieczeństwo grozi mi w trakcie całej tej podróży - powiedział Lem. - Nigdy przedtem tak nie reagowałeś.

- Podczas stuknięcia nic ci nie groziło - rzekł Chubs. - A Stacja Wagowa Cztery mnie zaskoczyła. Popełniłem błąd, zgadzając się na przyłączenie do akcji „El Cavadora”. Gdybym wtedy wiedział to, co wiemy teraz, nigdy bym do tego nie dopuścił. Twój ojciec zażąda za to mojej głowy. Nie zamierzam popełnić takiego błędu drugi raz.

Lem się uśmiechnął.

- Cóż, cieszę się, że wreszcie znam prawdziwą sytuację.

- Polecimy po paraboli. I wydamy odpowiednie rozkazy w twoim imieniu, by nikt się nie zorientował, że była jakaś ingerencja w twoją władzę. Będzie to traktowane tak, jakby to była twoja decyzja.

- Dziękuję - powiedział Lem bez cienia sarkazmu. - To bardzo ładnie z twojej strony.

Nie zamierzał marudzić jak dziecko. Nawet nie był na nich zły. Oni po prostu wykonywali swoje zadania.

- A jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie, to moim zdaniem twój plan działania jest lepszy od tego, co robimy. Przy takiej zmianie kursu zużyjemy mnóstwo paliwa. Mamy je, owszem, ale w ten sposób pozbawimy się niemal całej rezerwy. Zdołamy dotrzeć do Luny, ale nie będziemy mogli już zmienić kursu. Do domu dolecimy bez napędu. Więc gdyby to zależało ode mnie, parlibyśmy do przodu i podjęli ryzyko. Ale nie zależy to ode mnie. To nie mój statek.

- Ani mój - powiedział Lem. Chubs skinął głową. Rozumieli się.

Lem grzecznie wyprosił załogantów. Został sam w sali konferencyjnej. Zbliżył się do okna. Wkrótce rozciągająca się przed nim paleta gwiazd lekko się obróciła - statek zmieniał kurs. Lem wiedział, że przy Kleopatrze dojdzie do walki. A raczej rzezi. Nie wierzył, że mógłby uratować wszystkie statki, ale kilka by ocalało. Przekonanie ich do ucieczki byłoby łatwe - argumentacja naprawdę była prosta. A zamiast tego porzucał tych ludzi i uciekał, tak jak zrobił to z Podolskim, „El Cavadorem” i własnymi ludźmi.

Jestem twoją marionetką, ojcze. Nawet kiedy znajdujesz się w odległości kilku miliardów klików.

Uświadomił sobie, że na statku nie ma nikogo, komu mógłby ufać. Właściwie nigdy nie będzie mógł zaufać nikomu zatrudnionemu w Jukę Limited. Ojciec zrobi wszystko i wykorzysta wszystkich, żeby mieć go pod kontrolą. Ach, ojcze, co za ironia! Ty naprawdę myślisz, że jesteś kochającym, opiekuńczym rodzicem.

Lem spojrzał na swoje odbicie w szkle i obciągnął kurtkę.

To jest wojna, ojcze. Dopóki jesteś właścicielem tej firmy, a ja jestem twoim pracownikiem, nigdy nie będę wolny. Skończyłem się bawić w twoje gierki. Pora, żebym dał ci kilka moich lekczyjek życia.

Rozdział 24

Sześcian z danymi

Victor był już przekonany, że wszyscy w ośrodku rehabilitacyjnym uważają go za obłąkanego. Pielęgniarki i sanitariusze traktowali go uprzejmie, ale kiedy tylko zaczynał mówić o obcych i zakłóceniach w kosmosie, uśmiechali się sztucznie, jakby mówili: „Tak, tak, słucham każdego twojego słowa, Vico, i wierzę ci”. A gdyby mu wierzyli, zrobiliby coś. Oddaliby mu jego rzeczy i wysłali do kogoś, kto mógłby pomóc: urzędnika rządowego, przedstawiciela prasy, wojska, kogoś, kto by go potraktował poważnie i pomógł dostarczyć ostrzeżenie na Ziemię. Zamiast tego personel woził go na wózku na rozmaite rodzaje fizykoterapii i robił mu zastrzyki z leków, które miały przyczynić się do odbudowy masy mięśniowej, cały czas kiwając głowami, uśmiechając się i traktując Victora jak żalosnego wariata.

Kiedy więc usłyszał, że ktoś z Lunarnego Wydziału Handlu chce porozmawiać o jego sprawie, pozwolił sobie na nadzieję. Wreszcie! Ktoś z jakąś władzą, kto może pomóc.

A potem wwieziono go na wózku do pokoju, w którym czekała ta kobieta, i stracił wszelką nadzieję. Była za młoda. Mniej więcej w jego wieku. Albo stażystka, albo świeżo po studiach. W sensie zawodowym nikt.

- Witaj, Victorze. Jestem Imała Bootstamp.
- Kto jest pani szefem? Pytanie ją zaskoczyło.

- Moim szefem?

- Osobą, której bezpośrednio pani podlega. Pani przełożonym.

- Jakie to ma znaczenie?

- Ma to wielkie znaczenie, ponieważ z nim muszę porozmawiać. Właściwie muszę porozmawiać z szefem szefa szefa pani szefa. Ale jako że prawdopodobnie nie ma do niego pani dojścia, zacznę od pani szefa, a potem pójdziemy wyżej.

Uśmiechnęła się, odchyliła się na oparcie krzesła i rozejrzała się wokół.

- Ładnie tutaj. Dobrze się tobą opiekują?

- Łóżko jest wygodne, ale jestem więźniem. Te dwie rzeczy jakby się nawzajem wykluczają.

Skinęła głową.

- Przynajmniej jest tu czysto.

Siedzieli sami w całkowicie białym pokoju ze szklaną ścianą i sufitem, co dawało im widok na miasto i statki latające wysoko nad nim.

- Nie była tu pani nigdy przedtem? Pracuje pani dla LWH. Jest pani konsultantką. Pojawiają się tu wszyscy imigranci z jakimiś urazami. Chce mi pani powiedzieć, że nigdy tego nie robiła?

- Powiedzmy, że jestem nowa.

Widział, że ją irytuje. Nie obchodziło go to.

- A tak nawiasem mówiąc, wie pani, kto jest pani szefem? Bo kiedy przed chwilą zapytałem, wydawała się pani dość niepewna.

- Myślałam, że to ja mam zadawać pytania.

- Tego też nie jest pani pewna? Zmusiła się do uśmiechu.

- Dobrze, będę szczerą. Nie, nie wiem, kto jest moim szefem. Dostałam to zadanie jakieś dwadzieścia minut temu od kogoś, kto nawet nie pracuje na cle. Więc technicznie nie jest moim szefem. Nawet jeszcze nie byłam w biurze celnym. Przyszłam tu bezpośrednio z mojej poprzedniej roboty. Nie mam więc jeszcze nawet terminalu komputerowego, biurka czy konta pocztowego. Gdyby drzwi zostały zamknięte, nie mogłabym się poruszać po budynku, bo nie dostałam jeszcze pierścienia dostępu. Takie jest moje CV na tym stanowisku.

- No, no. Nie jestem w stanie pani powiedzieć, jaką daje mi otuchę świadomość, że przydzielona mi konsultantka,

osoba odpowiedzialna za wydostanie mnie stąd, ma tak wielkie doświadczenie w tej dziedzinie. Ależ będę dziś dobrze spał.

- Możesz złożyć podanie i poprosić o innego opiekuna, ale na odpowiedź poczekasz trzy tygodnie. Nie spodziewaj się, że nowa osoba wkroczy tu jutro.

Pochylił się do przodu.

- Proszę posłuchać, pani Bootstamp...

- Mam na imię Imala.

- Świetnie. Imala. Z pewnością jesteś miła, a ja nie jestem bałwanem, lecz ty nie rozwiążesz mojego problemu. Nie warto ciągnąć tej rozmowy. Życzę ci dobrze w nowej pracy, ale najbardziej mi pomożesz, gdy dowiesz się, kto jest twoim szefem, i go tu przyprowadzisz. Ma to sens?

Przez chwilę milczała, a potem znów się uśmiechnęła.

- Złamałeś prawo, Victorze. Może nie zostało ci to przedstawione wystarczająco jasno, ale bez zezwolenia wszedłeś w obszar grawitacji lunarnej w załogowym statku kosmicznym. To dość poważne wykroczenie. Zakłóciłeś także nielegalnie rządową częstotliwość kontroli lotów. To kolejne poważne wykroczenie.

- Nie wiedziałem, że to zakazana częstotliwość. Usiłowałem...

- Nie skończyłam. Nie masz także paszportu, aktu urodzenia, żadnego dowodu tożsamości, żadnego prawa do przebywania na Lunie. Możliwe, że złamałeś te przepisy z niewiedzy, ale prawa to nie obchodzi. Moim zadaniem jest omówić z tobą przepisy i wysłuchać cię, żebym mogła ocenić, czy twoja sytuacja daje podstawy do pobłażliwości opartej na okolicznościach łagodzących będących poza twoją kontrolą. Są nimi potencjalna utrata życia i potencjalne uszkodzenie mienia o znacznej wartości. Może ci się nie podobać, że jestem nowa i niedoświadczona. Jednak wyznaczono mnie do zajęcia się twoją sprawą. To moja praca. Wyraźnie uważasz, że jestem głupia. I chyba nie umiesz się zachować w towarzystwie, ponieważ nie potrafisz ukryć, że uważasz mnie za głupią. Sęk jednak w tym, że ja nie jestem głupia. Wiem, jak funkcjonuje ten świat. Ty nie. Znam prawo handlowe i celne. Ty nie. Wiem, czego trzeba, by cię uwolnić. Ty nie. Więc możesz wysuwać żądania, aż zachrypniesz, ale nie zobaczysz nikogo postawionego wyżej ode mnie, dopóki ja ci na

to nie pozwolę. A w tej chwili nie pozwalam. Masz dwa wyjścia: możesz odpowiadać na moje pytania i ewentualnie dać sobie pomóc. Albo możesz siedzieć w tym pokoju, aż wygaśnie twoja karencja i sędzia wsadzi cię na prom i odeśle tam, skąd przybyłeś. Twój wybór. Możesz mi dać odpowiedź, kiedy wrócę tu jutro.

Wstała i, nie czekając na jego reakcję, wyszła.

Świetnie, pomyślał Victor. Nie wystarczy, że mam kogoś, kto jest nikim. Musi być nadętym nikim. Westchnął. Zmarnował kolejny cenny dzień.

Następnego dnia czekał na nią w tym samym pokoju.

- Jest oczywiste, że nie mogę dostać się wyżej bez twojej pomocy - zaczął. - Zróbmy więc to po twojemu. Chciałbym powiedzieć na wstępie, że mogę udowodnić wszystko, co zamierzam ci powiedzieć. Wszystkie dowody znajdują się na sześcianie z danymi, który personel odebrał mi z innymi moimi rzeczami. Gdybyś chciała sama sprawdzić, powiem ci, gdzie dokładnie tych dowodów szukać. W porządku?

- Może być - odpowiedziała Imala.

- Słyszałaś o zakłóceniach w kosmosie uniemożliwiających łączność dalekiego zasięgu?

- Codziennie jest o tym w wiadomościach.

- Ja wiem, co powoduje te zakłócenia. I jeśli zdobędziesz mój sześcian z danymi, pokażę ci.

Nie było jej dziesięć minut. Wróciła z przezroczystą torbą zawierającą rzeczy osobiste Victora. Chłopak wyjął z niej sześcian, postawił na stole i włączył, tworząc w powietrzu nad nim holoprzestrzeń.

- Zakłócenia powoduje statek obcych, który zmierza prosto na Ziemię z prędkością bliską prędkości światła.

- Statek obcych? -Tak.

- Zbliżający się do Ziemi?

- Tak powiedziałem.

- Rozumiem.

- Wiem, że brzmi to jak majaczenie obłąkanego. Wiem, że za takiego mnie uważasz. Leczą moja rodzina wsadziła mnie na szybkostatek w pasie Kuipera osiem miliardów klików stąd. Leciałem w tym stateczku niemal osiem miesięcy. Istniało duże

prawdopodobieństwo, że nie dotrę na Lunę żywy. A wolni górnicy tak nie robią. Chronimy swoich. Przede wszystkim rodzinę. Jeśli nic nie wiesz o wolnych górnikach, to dlaczego wykonujesz tę pracę?

- Nie powiedziałam, że jesteś obłąkany.

- Nie musiałaś. Miałas to wypisane na twarzy. A nie mogę na to pozwolić. Powinnaś mieć otwarty umysł i spojrzeć na te dowody bez uprzedzeń. Nie obchodzi mnie twoje zdanie na mój temat. Zależy mi tylko na tym, by te informacje dotarły do wszystkich na Lunie i Ziemi. Nie stanie się tak, jeśli będziesz się starała je zdyskredytować.

- Powiedziałam, że cię wysłucham, Victorze.

- Słuchanie nie wystarczy. Musisz mieć otwarty umysł. Jeśli będziesz się bawić w urzędniczkę i martwić się, jak to wpłynie na opinię, jaką ma o tobie ten nowy szef, to będziesz tylko szukała pretekstów, żeby wszystko zatuszować.

- Pamiętaj, że nie jestem głupia. Musisz mi zaufać.

Nie chciał jej ufać. Chciał zaufać osobie postawionej o pięć czy sześć szczebli wyżej w hierarchii, ale jaki miał wybór?

Pokazał jej wszystko: mapy, trajektorię, obrazy zniszczonych włoskich statków, wideo z ataku na kapsułę przeprowadzonego przez niego, ojca i Torona, zjadłe walczących hormigów, śmierć Torona, sprawozdania ocalałych Włochów z ataku kapsuły na ich statki. Był nawet filmik, który pokazywał, jak Victor modyfikuje szybkość statek i startuje w stronę Luny. Wszystko to trwało niemal dwie godziny, a Imala cały ten czas oglądała w milczeniu. Kiedy nagrania się skończyły, milczała jeszcze kilka chwil.

- Puść znowu ten fragment, na którym widać obcych -poprosiła.

Victor znalazł odpowiednie miejsce i odtworzył wideo.

- Zatrzymaj.

Victor zatrzymał obraz na twarzy hormigi. Imala wpatrywała się w nią długo. Wreszcie spojrzała na Victora.

- Czy to mistyfikacja?

- Tak, to wielka, dopracowana mistyfikacja, Imalo. Wymyśliłem statek poruszający się z prędkością bliską prędkości światła, żeby ci zrobić psikusa.

- Pytam, Victorze, bo dla mnie wygląda to całkowicie realistycznie. Nie tylko ten obcy, ale wszystko. Wszystkie dane. Obliczenia. Skany nieba. To wygląda autentycznie i ja temu wierzę.

-Tak?

- Bez zastrzeżeń. Ale jeśli to jest mistyfikacja, musisz mi o tym powiedzieć teraz, bo jestem gotowa ci pomóc. Jeśli ci pomogę, a to się okaże nieprawdą, stracę pracę i oboje na bardzo długo pójdziemy do więzienia.

- To jest prawda. Jeśli zdołasz zdobyć dostęp do teleskopu sięgającego tak daleko, sama zobaczysz.

Pokręciła głową.

- Jedyne tak silne teleskopy na Lunie należą do Ukko Jukesa. Wierz mi, on nam nie pomoże.

- A więc pokażesz to swojemu szefowi?

- Oczywiście, że mu to pokażę. Muszę. To moja praca. Lecz nie oryginalny sześcian z danymi. Chcę, żebyś ty go miał. Skopiuję dane. Dzisiaj. Jak tylko stąd wyjdę. Ale musimy zrobić więcej, Victorze. Nie zamierzam składać losów świata w ręce kilku urzędników z Lunarnego Urzędu Celnego. Nie znam tych ludzi, a nawet gdybym ich znała, nie zawierzyłabym im z tak ważną sprawą. Niedawne smutne doświadczenia nauczyły mnie nigdy nie ufać przełożonym. Będziemy zatem stosować się do odpowiednich procedur. W ten sposób puścimy maszynę prawną w ruch. Ale będziemy też działać na własną rękę. Rozpuścimy wiadomość po swoim. Teraz. Natychmiast.

- Jak? Zwrócimy się do prasy?

- Nie. Jest za powolna. Świat nie śledzi wiadomości z Luny. Mówię poważnie, że zrobimy to teraz, Victorze. Umieścimy to wideo z obcym w sieciach. W tej chwili. Niech zobaczą je ludzie na całym świecie.

- Jak to zrobimy?

Wyjęła z torby swój holoprojektor, ustawiła go na stole i skopiowała wideo z sześcianu Victora do swojej holoprzestrzeni. Posługując się rysikiem, wybrała fragment pokazujący atak obcego na Victora, jego ojca i Torona, i odsunęła go na bok. Potem wybrała jeszcze inne fragmenty. Wnętrze kapsuły Formi-dów. Wraki włoskich statków. Urywki przerażającego sprawozdania włoskich rozbitków. Utworzyła kilka kadrów z dodatkowymi

informacjami, takimi jak współrzędne, trajektoria i inne dane od Edimar. Kiedy skończyła, odtworzyła całość. Filmik trwał nieco ponad pięć minut.

- To nie może być za długie - powiedziała. - Inaczej ludzie nie zechcą tego oglądać.

- Wideo jest dobre - stwierdził Victor. - Ma akurat odpowiednią długość.

Poruszała rysikiem w holoprzestrzeni, wywołując kilka okien.

- Jest około dwudziestu poważnych stron, na których możemy je umieścić. Mają tam duży ruch. Zobaczą to administratorzy innych stron i wezmą do siebie. Rozprzestrzeni się jak wirus.

- Jak szybko?

- Trudno powiedzieć, ale bardzo szybko. Kiedy tylko nabierze rozpędu, eksploduje. Chcesz powiedzieć całemu światu, że nadchodzą obcy? Oto twoja szansa.

Podawała mu rysik. Wszystkie okna w holoprzestrzeni były zaznaczone. Dwadzieścia stron z filmikami. I pośrodku hologramu duży zielony przycisk z napisem „Wyślij”. Wystarczy go dotknąć.

Pomyślał o ojcu, matce, Concepción, Mono i wszystkich ludziach z „El Cavadora”, którzy modlili się, żeby dożył tej chwili. Po to tu przybył i za to niemal umarł. Za to umarł Toron. Pomyślał o Jandzie - że położyła dłoń na jego dłoni i też trzyma rysik. Pomyślał o dwunastu miliardach ludzi na Ziemi.

- Musi się udać - powiedział Victor i dotknął przycisku.

Posłowie

Historia opowiedziana w tej książce nie zaczęła się jako powieść. Powstała jako przedpowieść dla *Gry Endera*, wydanej po raz pierwszy jako nowela w sierpniu 1977 roku, a jako peł-nowymiarowa powieść w 1985 roku. Przedpowieść z definicji opisuje wszystko, co wydarzyło się w świecie powieści przed jej rozpoczęciem. Bardzo łatwo jest lekceważyć przedpowieść. Przecież rozgrywa się w przeszłości. A jednak w wypadku *Gry Endera* twierdzę, że bez wymyślonej z polotem historii, którą Scott Card dał swojemu uniwersum, założenie tej książki by się nie sprawdziło.

Przyjrzyjmy się początkowi tamtej książki. Mamy sześciolatka z urządzeniem medycznym na karku - prawdopodobnie podłączonym do pnia mózgu - które monitoruje jego każde działanie, myśl i rozmowę, a wszystko po to, by określić, czy dzieciak ma zadatki na wielkiego dowódcę wojskowego. Rodzi się pytanie: co się stało z ludzkością, że dopuszcza się takie naruszenie osobistej prywatności albo, jeśli już o to chodzi, wykorzystanie niewinnych dzieci w celach wojennych? Odpowiedzią są oczywiście Formidzi. Scott Card stworzył historię dla świata pełnego najazdów obcych i bohaterstwa w obliczu śmierci, w którym rodzaj ludzki został niemal całkowicie wybity. Albo, innymi słowy, stworzył historię, w której mogły zaistnieć okoliczności z *Gry Endera*. Wyjawił nam z niej jednak tylko tyle, ile było konieczne. Wiedzieliśmy, że te dwa konflikty zostały nazwane pierwszą i drugą wojną z Formidami, i słyszeliśmy pogłoski o decydujących wydarzeniach, takich jak bitwa o Pas czy „masakra Chin”, lecz szczegóły tych wojen pozostawały w dużym stopniu niewyjaśnione. Zamiast

tego Scott przykuł nasze oczy i serca do opowiadanej historii, opowieści o Enderze Wigginie.

Przerzucmy się do 2009 roku. Wydawnictwo komiksowe Marvel właśnie wydało dziesięciozeszytową adaptację *Gry Endera* i dziesięciozeszytową adaptację *Cienia Endera*. Reakcja krytyków i fanów okazała się niezwykle pozytywna. Komiksy były przepięknie narysowane i nadzwyczaj dobrze napisane. Uznanie za to należy się wydawnictwu Marvel, które, dochowując wierności opowiadaniom Scotta i zatrudniając jednych z najbardziej utalentowanych twórców w dziedzinie komiksu, wykazało się szacunkiem i miłością do pierwotnego materiału. Ci twórcy to Christopher Yost, Pasqual Ferry, Mike Carey, Sebastian Fiumara, Frank D'armata, Giulia Brusco, Jim Cheung, Jake Black i inni.

Wydawnictwo chciało wydać kolejne komiksy, zbudowało więc zespół do stworzenia adaptacji *Mówcy umarłych* i *Endera na wygnaniu*, mających powstać jako serie o ograniczonej liczbie zeszytów. Ponadto Marvel wyprodukował kilka jednorazowych komiksów osadzonych w świecie Endera. (Jednorazowe komiksy są to pojedyncze zeszyty, niestanowiące części wydawanej aktualnie serii). Jeden z nich był adaptacją opowiadania Scotta *Więzienie Mazera*. Inny opowiadał o tym, jak Peter i Valentine rozpoczęli, a potem powstrzymali wojnę Ligi. Następny był całkowicie oryginalną opowieścią o Valentine. Krótko mówiąc, świat Endera Wiggina kwitł w komiksach.

Lecz wydawnictwo Marvel nie powiedziało ostatniego słowa. Chciało wydawać więcej. I właśnie wtedy Scott Card przedstawił propozycję, która w końcu zaowocowała niniejszą książką. Scott zasadniczo zapytał: „A gdyby zamiast kolejnej adaptacji Marvel wydał oryginalną serię ze świata Endera? Co by było, gdybyśmy opowiedzieli historię dwóch pierwszych wojen z Formidami? Może wydobądźmy na pierwszy plan tło *Gry Endera* z całkowicie nowymi postaciami”.

Wydawnictwo dało zgodę, a Scott i ja zgodziliśmy się napisać tę serię. Pracowałem z Marvelem przy adaptacji *Mówcy umarłych* i *Endera na wygnaniu*, napisałem też kilka jednorazówek. Scott też miał doświadczenie komiksowe, kilka lat wcześniej bowiem napisał dla Marvela *Ultimate Iron Man*. Poza tym nie po raz pierwszy pracowaliśmy jako zespół. Współpracowaliśmy

przy powieści *Invasive Procedures* i serii o ograniczonej liczbie zeszytów dla EA Comics, opartej na popularnej grze wideo *Dragon Age*.

Wydawnictwo Marvel zaczęło tworzyć zespół graficzny, a Scott i ja zaczęliśmy tworzyć opowieść. *Gra Endera* tkwiła w głowie Scotta od ponad trzydziestu lat, więc podczas wielu z tych wczesnych sesji Scott opowiadał, co mu się kłębiło w myślach przez te wszystkie lata, a ja gorączkowo robiłem notatki. Pierwsze rozmowy skupiały się głównie na budowaniu świata. Scott dużo się zastanawiał nad koncepcją wydobywania minerałów z asteroid i nad funkcjonowaniem całego tego przemysłu. Jakie są jego podstawy naukowe? W jaki sposób górnicy dostarczają metale na Ziemię? Jaka musi być infrastruktura gospodarcza, żeby można było przeżyć w dalekim kosmosie? Czy górnicy pracowaliby wyłącznie w pasie asteroid, czy niektórzy wyprawialiby się dalej? Czy zajmowały się tym tylko korporacje, czy było też w gospodarce miejsce dla niezależnych rodzin i klanów górniczych? A jeśli tak, to jakie są stosunki między wolnymi górnikami a korporacjami? I w jaki sposób rodziny górnicze zawierają małżeństwa? Jak mieszają pulę genów i jak egzystują?

A co z wojskiem? Wiedzieliśmy ze Scottem, że kluczową rolę w tej opowieści musi grać Mazer Rackham. Gdzie się szkolił? I, co ważniejsze, kto go szkolił? Kto pokazał Mazerowi, jak dowodzić?

Kiedy już mieliśmy podstawowe ramy świata, zaczęliśmy go zaludniać. Od początku wiedzieliśmy, że nie piszemy *Gry Endera*. To nie miała być historia jednego bohatera; miała to być historia wielu osób.

Wyzwanie stanowiło to, że pisaliśmy komiks. A komiksy, jeśli nigdy tego nie policzyliście, mają zwykle dwadzieścia dwie strony. Na jednej stronie można zmieścić ograniczoną liczbę paneli, a im więcej się pisze dialogów, tym więcej ilustracji się zasłania. Najlepiej jest więc być bardzo oszczędnym w słowach. Niektóre pomysły i postacie, które wymyślaliśmy ze Scottem, po prostu nie zmieściłyby się w komiksie.

Mniej więcej w tym samym czasie wydawnictwo Marvel pokazało nam grafiki Giancarla Caracuzza, który powalił nas swoimi środowiskami, postaciami i stylem. Dołączył do niego

niezmiernie utalentowany Jim Charalampidis jako kolorysta i w bardzo krótkim czasie w naszych skrzynkach e-mailowych zaczęły się pojawiać tętniące życiem strony komiksu.

Tworzenie komiksu jest podobne do kręcenia filmu, ponieważ w dużym stopniu polega na współpracy. Pomysły mogą pojawiać się zewsząd, a wkład pojedynczych osób przyczynia się do ostatecznego rezultatu. Na przykład postać Victora Delgado zawsze będzie istnieć w mojej głowie dokładnie tak, jak narysował ją Giancarlo. A ilekroć myślę o „El Cavadorze”, widzę stonowane brzozy, które dał statkowi Jim.

Przy komiksie pracowały też oczywiście inne osoby, lecz najwięcej uznania i nieustanna owacja na stojąco należą się Jordanowi D. White'owi, naszemu redaktorowi, który maczał palce we wszystkich aspektach komiksu i jest prawdopodobnie najmiłą osobą w branży. (Polecam jego wpisy na Twitterze pod adresem@crackshOt. To jest zero, a nie litera O).

Kolejne podziękowania otrzymują Jake Black, Billy Tan, Guru-eFX, Cory Petit, Jenny Frison, Salvador Larroca, Aron Lusén, Bryan Hitch, Paul Mounts, Arune Singh, John Piretti, Joe Quesada i wszyscy inni w Marvelu.

Tworząc ze Scottem opowieści dla każdego zeszytu, nadal wymyślaliśmy elementy, które po prostu nie pasowały do komiksu. Aby pokazać, co mam na myśli, powiem, że niniejsza powieść zawiera historię opowiedzianą w pierwszych trzech zeszytach, i to nawet nie w pełnej wersji; są kawałki z drugiego i trzeciego zeszytu, które w formie powieści pojawiają się dopiero w następnej książce.

Tak więc musieliśmy ze Scottem pójść na ustępstwa i wyłączyć z komiksu postacie i wydarzenia, które mogły zaistnieć tylko w powieściach. Jeśli czytaliście oprócz tej książki także komiksy, zapewne zauważyliście pewne zmiany. Myślmy o tym ze Scottem w ten sposób: komiksy to adaptacja powieści, mimo że zaistniały przed książkami. A może dokładniej można by powiedzieć tak: komiksy to rozwinięcie tła dla *Gry Endera* oraz adaptacja powieści napisanych później. Hm, jak się zacznie o tym myśleć za dużo, można dostać zawrotu głowy. Oczywiście ta praktyka rozwijania opowieści nie jest niczym nowym w uniwersum Endera. Pamiętajcie, że *Gra Endera* powstała jako nowela.

Jeśli chodzi o niniejszą powieść, podziękowania należą się wszystkim w wydawnictwie TOR, a zwłaszcza naszej redaktor Beth Meacham, której mądre rady odegrały zasadniczą rolę w powstaniu tej książki. Dodatkowe podziękowania kieruję do Kathleen Bellamy, Kristine Card i mojej żony, Lauren Johnston, za ich uważne czytanie rękopisu i nieustanne słowa zachęty. Dziękuję także dzieciom, które wciąż mieszkają w domach państwa Cardów i Johnstonów, za ich cierpliwość, kiedy Scott i ja zamykaliśmy się w naszych gabinetach, żeby napisać tę powieść. Dziękuję Wam, Zino, Luke'u, Jake'u, Laynie i mała Meg. Bez Was nie zdołalibyśmy tego dokonać.

Aaron Johnston 13 października 2011